

**NIGDY  
NIE GASNA**

ALEXANDRA  
**BRACKEN**



ALEXANDRA  
BRACKEN

# NIGDY NIE GASNĄ

TLUMACZENIE  
MAGDALENA KRZYSIK

WYDAWNICTWO  
otwarte  
KRAKÓW 2014

*Pamięci mojego taty – jego umiłowanie życia i niezłomna odwaga  
wciąż są dla mnie inspiracją*

## PROLOG

Pierwszy raz przyśniło mi się to w drugim tygodniu pobytu w Thurmond. Później sen nawiedzał mnie regularnie przynajmniej dwa razy w miesiącu. Pewnie nie bez przyczyny narodził się właśnie tu, za bucącym elektrycznym ogrodzeniem obozu. Wszystko związane z tym miejscem redukowało człowieka do tego, co w nim najpodlejsze, bez względu na to, ile minęło lat – dwa, trzy, sześć. Dla ubranych w zielone mundury, zamkniętych w monotonnej rutynie czas się zatrzymał i charczał jak zużyty samochód. Wiedziałam, że przybywa mi lat – czasem dostrzegałam odbicie mojej zmieniającej się twarzy w metalicznych blatach stołów w kantynie – ale nie czułam tego. To, kim byłam w obozie, odłączyło się od tego, kim byłam wcześniej, pozostawiając mnie zagubioną gdzieś pośrodku. Zastanawiałam się nawet, czy wciąż jestem Ruby. W obozie, kiedy przekraczałam próg swojego baraku, nie miałam imienia. Byłam numerem 3285. Plikiem na serwerze, segregatorem zamkniętym w blaszanej szarej szafce na dokumenty. Dla ludzi, którzy znali mnie, nim trafiłam do Thurmond, stałam się kimś obcym.

Sen zawsze zaczynał się od tego samego grzmotu, tej samej eksplozji hałasu. Byłam stara – powykęcana, zgarbiona, obolała – i stałam na środku ruchliwej ulicy. Może działo się to w Wirginii, z której pochodziłam. Od mojej ostatniej wizyty w domu minęło jednak tyle czasu, że nie mogłam być stuprocentowo pewna.

Z obu stron mijały mnie samochody jadące w przeciwnych kierunkach po prostej, ciemnej drodze. Czasami słyszałam grzmot zapowiadający burzę, innym razem wycie klaksonów, które wraz ze zbliżaniem się aut przybierało na sile. Niekiedy nie słyszałam zupełnie nic.

Ale oprócz tego sen zawsze wyglądał tak samo.

Identyczna kolumna czarnych samochodów dojeżdżała do mnie i zatrzymywała się z piskiem opon, a następnie, kiedy tylko podnosiłam wzrok, zaczynała się cofać. Tak jak wszystko inne. Deszcz odklejał się od miękkiego czarnego asfaltu i unosił się w idealnych błyszczących kropkach. Słońce sunęło po niebie w odwrotnym kierunku, goniąc księżyc. Z każdym takim cyklem czułam, jak moje przygniecione wiekiem plecy odginają się krąg po kręgu, aż znowu stałam wyprostowana. Kiedy patrzyłam na swoje dłonie, widziałam, jak zmarszczki i niebieskofioletowe żyłki się wygładzają, jakby starość się ze mnie ulatniała.

Moje dłonie z każdą chwilą malały. Droga zdawała się rozszerzać i wydłużać, a ja tonęłam w za dużym ubraniu. Dźwięki robiły się ogłuszające, ostrzejsze i bardziej niepokojące. Czas cofał się z coraz większą siłą, zwalając mnie z nóg, taranując mój umysł.

Śniłam o zawracaniu czasu, o odzyskiwaniu tego, co straciłam, i tego, kim byłam.

Ale ten sen już do mnie nie przychodzi.

Zgięłam mocniej rękę w łokciu, zacieśniając chwyt wokół gardła mężczyzny. Gumowe podeszwy jego butów waliły bezładnie o podłogę.

Wbijał paznokcie w czarny materiał mojej koszuli i rękawic, rozpaczliwie próbując się uwolnić. Jego mózg został pozbawiony dopływu tlenu, ale nie zatrzymało to przeblysków świadomości. Zobaczyłam wszystko. Jego wspomnienia i myśli paliły mnie pod powiekami żywym ogniem. Nie odpuściłam jednak, nie poddałam się nawet wtedy, kiedy przerażony umysł strażnika wydobył na powierzchnię obraz jego samego wlepiającego szeroko otwarte oczy w ciemny sufit korytarza. Może był już martwy?

Nie, nie dałabym rady go zabić. Wyglądałam przy nim mizernie – miał przedramię grubości mojego uda. Udało mi się go zaatakować tylko dlatego, że zaszłam go od tyłu.

Trener Johnson nazywał ten chwyt neck lockiem. Can opener, crucifix, neck crank, nelson, twister, wristlock i spine crack to kilka innych, których mnie nauczył. Dzięki nim, mając zaledwie metr sześćdziesiąt, byłam w stanie unieruchomić przeciwnika, który miał nade mną przewagę fizyczną. To wystarczało, bym mogła sięgnąć po swoją prawdziwą broń.

Mężczyzna tracił kontakt z rzeczywistością. Wniknięcie do jego umysłu przyszło mi łatwo i bezboleśnie. Wszystkie wspomnienia i myśli, które docierały na powierzchnię jego świadomości, miały czarne plamy. Kolor przesiąkał przez nie jak atrament przez mokry papier. Dopiero kiedy się w nie wczepiłam, mogłam w końcu rozluźnić chwyt ręki.

Pewnie nie tego się spodziewał, kiedy wychodził ze sklepu na papierosa przez ukryte boczne drzwi.

Ostre pensylwańskie powietrze nadało jego porośniętym jasnym zarostem policzkom intensywny czerwony kolor. Wypuściłam gorący oddech przez otwór w kominiarce i odchrząknęłam, w pełni świadoma, że świdruje mnie dziesięć par oczu. Przesunęłam trzęsące się palce po skórze mężczyzny. Śmierdział stęchłym dymem i miętową gumą do żucia, którą usiłował zamaskować swój obrzydliwy nałóg. Pochyliłam się do przodu, przyciskając do jego szyi dwa palce.

– Obudź się – wyszeptałam.

Mężczyzna z wysiłkiem uniósł powieki i otworzył oczy szeroko jak dziecko.

Ścisnęło mnie w żołądku.

Spojrzałam ponad ramieniem na zgromadzony za mną oddział taktyczny. Wszyscy obserwowali rozgrywającą się scenę w ciszy zza skrywających twarze masek.

– Gdzie jest Więzień 27? – zapytałam.

Znajdowaliśmy się poza zasięgiem kamer systemu bezpieczeństwa – podejrzewałam, że to dlatego strażnik czuł się na tyle bezkarnie, że wymykał się na kilka nadprogramowych przerw – ale niczego nie pragnęłam tak bardzo, jak mieć to już za sobą.

– Pospiesz się, do cholery! – syknęła przez zaciśnięte zęby stojąca tuż obok Vida.

Dowódca oddziału zbliżył się do mnie od tyłu, a wraz z nim fala gorąca, która sprawiła, że zadrżały mi ręce. Penetrowanie czyichś myśli nie sprawiało mi już takiego cierpienia jak kiedyś. Nie wysysało ze mnie życia i nie zasypywało mi umysłu w węzły bólu. Uwrażliwiało mnie za to na silne uczucia osób znajdujących się w pobliżu – włącznie z obrzydzeniem emanującym od Dowódcy. I jego czarną jak smoła nienawiścią.

Kątem oka widziałam ciemne włosy Roba. Na końcu języka miał rozkaz, żeby kontynuować beze mnie. Z trzech misji, w których uczestniczyłam pod jego komendą, ukończyłam tylko jedną.

– Gdzie jest Więzień 27? – powtórzyłam, ponaglaając w myślach umysł strażnika.  
– Więzień 27. – Kiedy powtarzał te słowa, jego bujny wąs drgnął. Ślady siwizny sprawiały, że wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości.

Kartoteka misji, którą otrzymaliśmy w Bazie Głównej, zawierała notatki o wszystkich żołnierzach przypisanych do tego bunkra, łącznie z nim. Max Brommel, czterdzieści jeden lat, urodzony w Cody w stanie Wyoming. Przeprowadził się do Pittsburgha w Pensylwanii, bo dostał tu pracę jako programista, którą następnie stracił wskutek krachu ekonomicznego. Miła żona, obecnie bezrobotna. Dwoje dzieci.

Martwych.

Fale ponurych obrazów zalewały każdy ciemny zakamarek i szczelinę jego umysłu. Zobaczyłam tuzin mężczyzn takich jak on, ubranych w identyczne jasne mundury moro, wyskakujących zza tylnych drzwi furgonetki. Kolejna grupa wylaniała się z wozów bojowych, które otaczały większy pojazd pełen przestępców oraz osób podejrzanych o terroryzm – jeśli donos, który otrzymała Liga Dzieci, był prawdziwy, znajdował się wśród nich również jeden z naszych najważniejszych agentów.

Patrzyłam, jak żołnierze wyprowadzają jednego... dwóch..., nie, trzech mężczyzn z ciężarówki, i nagle poczułam się dziwnie spokojna. Nie byli to oficerowie Sił Specjalnych Psi, FBI czy CIA, a już na pewno nie oddziały SWAT ani SEAL, które mogłyby rozbić nasze niewielkie siły jednym szybkim ciosem. Nie, byli to przedstawiciele Gwardii Narodowej, którzy ze względu na niespokojne czasy zostali powołani do służby wojskowej. Nasz wywiad przynajmniej w tej jednej kwestii się nie mylił.

Żołnierze szczelnie zasłonili głowy więźniów kapturami i popędzili ich w dół po schodach opuszczonego sklepu do rozsuwanych srebrnych drzwi prowadzących do ukrytego pod ziemią bunkra.

Po tym, jak większa część Waszyngtonu została zniszczona przez, jak stwierdził prezydent Gray, „grupę wszawych dzieciaków z Psi”, naczelny wódz zadbał o to, by wzdłuż Wschodniego Wybrzeża wybudować tak zwane minifortece, na wypadek gdyby niepokoje podobnych rozmiarów miały się powtórzyć. Niektóre powstały pod hotelami, inne wykuto w zboczach gór, a jeszcze inne, takie jak ten, zlokalizowano w małych miasteczkach pod sklepami albo budynkami administracji publicznej. Miały być schronami dla Graya, jego rządu i ważnych oficjeli wojskowych oraz, jak się okazało, więzieniami dla „jednostek wysoce zagrażających bezpieczeństwu narodowemu”.

Do takiego więzienia trafił Więzień 27, któremu najwyraźniej należało się szczególne traktowanie.

Jego cela znajdowała się na końcu długiego korytarza, dwa poziomy pod ziemią. Było to puste pomieszczenie z niskim, ciemnym sufitem. Ściany wydawały się rozmazywać wokół mnie, ale poza tym wspomnienie było stabilne. Więzień 27 miał na głowie kaptur, a stopy przykuto mu do metalowego krzesła stojącego na środku celi w kręgu światła roztaczanego przez pojedynczą gołą żarówkę.

Oderwałam się od umysłu strażnika, rozluźniając też rękę, którą go dusiłam. Osunął się na pomazaną graffiti ścianę opuszczonej pralni. Wciąż był zagubiony we mgłę własnych myśli. Usuwanie mu ze wspomnień mojej twarzy, a także obrazu oddziału zajmującego korytarz było jak zbieranie kamyków z dna przejrzystego, płytkiego stawu.

– Dwa poziomy pod nami, cela Cztery B – powiedziałam, odwracając się do Roba.

Mieliśmy pobieżny szkic planu bunkra, na którym brakowało wielu istotnych szczegółów – nie poruszaliśmy się całkiem na oślep, ale daleko nam było do dokładności. Podstawowy rozkład tego rodzaju konstrukcji był jednak zawsze mniej więcej taki sam. Przez

całą jej wysokość przebiegała klatka schodowa albo szyb windy, od których na każdym poziomie odchodził długi korytarz.

Rob podniósł rękę, nie pozwalając mi dokończyć, i dał sygnał stojącym w tyle żołnierzom. Podałam mu kod z pamięci strażnika: 6-8-9-9-9-9-\* i odsunęłam się na bok, pociągając za sobą Vidę, która warknęła i pchnęła mnie na jednego z mężczyzn.

Nie widziałam oczu Roba, bo zasłaniały je okulary noktowizyjne błyskające zielonym światłem, ale nie było mi to potrzebne, żeby odczytać jego zamiary. Nie potrzebował nas i z pewnością nie uśmiechało mu się nas za sobą wlec, bo będąc byłym wojskowym, o czym uwielbiał nam przypominać, mógł z łatwością załatwić tę sprawę przy pomocy kilku swoich ludzi. Myślę, że przede wszystkim był wściekły, że w ogóle musiał się tym zajmować. Liga zwykle degradowała agentów, którzy dali się pojmać. Nikt się o nich nie upominał.

Jeśli Alban chciał odzyskać agenta, musiał mieć ku temu naprawdę dobry powód.

Drzwi się rozsunęły i rozpoczęło się odliczanie. Piętnaście minut na to, żeby wejść, przejąć Więźnia 27 i się ulotnić. Tak naprawdę nie wiedzieliśmy tego na pewno. Rob po prostu ocenił, że tyle czasu upłynie od momentu uruchomienia alarmów do pojawienia się posiłków.

Drzwi prowadziły na klatkę schodową na tyłach bunkra, wijącą się w dół i z każdym odcinkiem pograżającą się głębiej w ciemności. Drogę oświetlały nam jedynie nieliczne światełka umieszczone wzdłuż metalowych schodów. Usłyszałam, jak jeden z mężczyzn przecina kabel od zawieszanej nad nami kamery, i poczułam dłoń Vidy popychającą mnie do przodu, ale zabrało mi trochę – zbyt wiele – czasu, zanim moje oczy przyzwyczyły się do ciemności. Drobiniki środków chemicznych z pralni zlepione z nieświeżym, suchym powietrzem paliły mnie w płucach.

Ruszyliśmy. Szybko i tak cicho, jak tylko potrafi grupa ludzi w ciężkich butach, pognaliśmy w dół.

Kiedy dotarliśmy z Vidą do pierwszego półpiętra, krew dudniła mi w uszach. Sześć miesięcy szkolenia to niedługo, ale wystarczająco, żebym nauczyła się, jak mocniej zacisnąć broję koncentracji wokół swojego umysłu.

Coś twardego walnęło mnie w plecy, a po chwili poczułam coś jeszcze twardszego. Agenci trącali mnie na przemian ramionami i bronią. W końcu uderzenia stały się tak regularne, że musiałam przywrzeć do znajdujących się obok drzwi. Kiedy minął nas ostatni członek oddziału, VIDA wydała z siebie przenikliwy jęk. Tylko Rob się przy nas zatrzymał.

– Oślaniajcie nas, aż skończymy, a później pilnujcie wejścia. Nie opuszczajcie pozycji.

– Przecież miałyśmy... – zaczęła VIDA.

Stałam przed nią, nie pozwalając jej dokończyć. Nie, nie tak wyglądał pierwotny plan, ale dla nas było to lepsze rozwiązanie. Nie było sensu, by którakolwiek z nas szła za nimi w głąb bunkra i ryzykowała życie. VIDA wiedziała – powtarzano nam to do znudzenia – że dzisiaj to Rob jest Dowódcą. A pierwsza i najważniejsza zasada, jedyna, która się liczyła, kiedy w żyłach krążyło człowiekowi wyłącznie przerażenie, mówiła, że zawsze, nawet w obliczu walki, śmierci czy pojmania, *zawsze* należy słuchać Dowódcy.

VIDA stała za mną na tyle blisko, że jej gorący oddech przenikał przez grubą spłot mojej czarnej kominiarki. Czułam, jak jej wściekłość tnie zmrożone powietrze. VIDA zawsze emanowała rodzajem zachłannej gorliwości, nawet wtedy, kiedy to Cate była Dowódcą. Chęć wykazania się przed Opiekunem niezmiennie przyćmiewała wartościowsze umiejętności, które zdobyła podczas treningu. Dla niej to była gra, wyzwanie, sposób, żeby popisać się idealną celnością, wyszkoleniem bojowym, starannie szlifowanymi zdolnościami Niebieskich. Moim zdaniem nadarzyła się tylko kolejna okazja, by zginąć przez brawurę. W wieku siedemnastu lat VIDA może i była idealną rekrutką, wzorem dla reszty odmieńców, ale nie zdołała opanować

jednego – kontroli nad poziomem adrenaliny.

– Nigdy więcej nie waż się mnie dotykać, szmato – warknęła niskim, pełnym wściekłości głosem. Zaczęła się wycofywać, żeby ruszyć za resztą w dół schodów. – Jesteś aż takim śmierdzącym tchórzem, że zamierzasz dać się poniżyć? Nie obchodzi cię, że mają nas za nic? Ty...

Klatka schodowa uniosła się pod moimi stopami, jakby brała głęboki wdech tylko po to, by eksplodować. Nawet czas dał się zaskoczyć i zwolnił – poderwało mnie w górę, zważyło z nóg i cisnęło na drzwi z taką siłą, że miałam wrażenie, iż wgniatają się pod naporem mojej czaszki. Vida upadła na ziemię, zasłaniając głowę, i wtedy dobiegł nas ryk granatu wstrząsowego, który rozsadził wejście w dole.

Gorący dym był tak gęsty, że aż mnie przygniótł, ale najgorsza była dezorientacja. Kiedy zmusiałam się, by otworzyć oczy, powieki paliły mnie, jakby mi je żywcem zrywano. Ciemność przenikało pulsujące czerwone światło przedzierające się przez chmury cementowego pyłu. Stłumiony rytmiczny odgłos w uszach – to nie było bicie mojego serca. To był alarm.

Dlaczego użyli granatu, skoro wiedzieli, że kod do drzwi celi jest taki sam jak ten na zewnątrz? Nie doszło do wymiany ognia – znajdowałyśmy się na tyle blisko, że usłyszałybyśmy wystrzały. Ogłosiliśmy całemu światu, że przeprowadzamy tajną misję – pełen profesjonalizm...

Zerwałam kominiarkę z twarzy i chwyciłam się za prawe ucho. Po ukłuciu ostrego, przeszywającego bólu tkwiąca w nim słuchawka rozprysła się na kawałeczki. Przycisnęłam dłoń do boku głowy i chwiejnie wstałam, usiłując odeprzeć nadchodzące raz po raz fale obezwładniających nudności. Kiedy się odwróciłam, żeby odnaleźć Vidę i wyciągnąć ją po schodach z powrotem na mroźne pensylwańskie powietrze, okazało się, że jestem sama.

Z sercem walącym z przerażenia szukałam jej ciała przez dziurę ziejącą w podłodze, przez którą widać było pędzących żołnierzy. Oparłam się o ścianę, usiłując utrzymać się na nogach.

– Vida! – Poczułam, jak jej imię wyrywa mi się z gardła i znika zagłuszone przez dudnienie w uszach. – Vida!

Znajdujące się obok drzwi były wykręcone, wgięte i nadpalone, ale, jak się okazało, wciąż działały. Zgrzytnęły i zaczęły się rozsuwać, po czym zatrzymały się w połowie z przerażającym, nieznosnym chrobotem. Ponownie przywarłam do ściany i zrobiłam dwa kroki w górę po połamanych schodach. Znowu szczelnie otuliła mnie ciemność. W tym momencie przez drzwi przecisnął się pierwszy żołnierz i zaczął wymachiwać pistoletem w ciasnej przestrzeni. Wzięłam głęboki oddech i przykucnęłam. Minęła chwila, zanim odzyskałam ostrość widzenia, a do tego czasu żołnierze jeden po drugim przeciskali się przez drzwi, przeskakiwali przez poszarpaną dziurę w podłodze i zbiegali po schodach. Widziałam, jak dym połyka czterech, pięciu, sześciu. Miałam wrażenie, że towarzyszy temu seria dziwnych brzęczących dźwięków, i dopiero kiedy wstałam i przetarłam ręką twarz, zorientowałam się, że to, co rozlegało się w dole, to odgłosy wystrzałów.

Vida zniknęła, oddział taktyczny wpakował się w sam środek gniazda os i to na własne życzenie, a Więzień 27...

*Jasna cholera*, zakłębam w myślach, wracając na półpiętro. W każdej chwili bunkier mógł się wypełnić żołnierzami. Spodziewałam się przynajmniej dwudziestu, może nawet trzydziestu. Większy oddział raczej by się tu nie pomieścił. To, że korytarz był chwilowo pusty, nie oznaczało, że rozgrywająca się w dole walka skupi na sobie całą uwagę strażników. Wiedziałam, że jeśli zostanę złapana, spotka mnie marny koniec. Miałam wrażenie, że cokolwiek postanowię i tak czeka mnie śmierć.

W głowie miałam jednak obraz mężczyzny, którego ujrzałam w umyśle strażnika –



więźnia z kapturem na głowie.

Nie czułam się szczególnie lojalna wobec Ligi Dzieci. Wiązała nas umowa, dziwny słowny kontrakt, który był w takim samym stopniu rzeczowy, co krwawy. Poza członkami mojego zespołu nie zależało mi na nikim, a już z pewnością nikomu nie zależało na mnie. Liga dbała o absolutne minimum, czyli o utrzymywanie mnie przy życiu i w gotowości do infekowania ich celów jak wirus.

Stopy wciąż miałam wrośnięte w ziemię. W scenie z Więźniem 27 było coś, co sprawiało, że ciągle od nowa odtwarzałam ją w myślach. Sposób, w jaki związali mu ręce, w jaki wiedli go w mroczne trzewia bunkra. Połyskiwanie broni, niemożność ucieczki. Czułam, że rozpacz kłębi się we mnie jak chmura pary i rozchodzi po całym ciele.

Wiedziałam, co znaczy być więźniem. Czuć, jak czas się zacina i staje w miejscu. Każdego dnia tracić odrobinę nadziei, że sytuacja się zmieni, że ktoś przyjdzie ci na ratunek. Doszłam do wniosku, że warto zaryzykować choćby po to, by do niego dotrzeć i pokazać mu, że nie jest sam, zanim nasza misja legnie w gruzach.

Nie było do niego bezpiecznej drogi, a z dołu dobiegał przeraźliwy ryk karabinów maszynowych. Więzień 27 na pewno wiedział, że w bunkrze są ludzie. I że nie mogą się do niego dostać. Musiałam strząsnąć z siebie współczucie. Musiałam porzucić przekonanie, że ci dorośli – a w szczególności agenci Ligi – zasługiwali na jakąkolwiek litość. Wydawało mi się, że nawet nowi rekruci cuchną krwią.

Czułam, że jeśli zostanę tam, gdzie rozkazał mi Rob, już nigdy nie odnajdę Vidy. Wiedziałam jednak, że jeśli się ruszę i okażę mu nieposłuszeństwo, wpadnie w furję.

*Może chciał, żebyś stanęła tam, gdzie nastąpi wybuch?* – szeptał mi cichy wewnętrzny głosik. – *Może miał nadzieję...*

Nie. Nie zamierzałam się teraz nad tym zastanawiać. Byłam odpowiedzialna za Vidę. Nie za Roba, nie za Więźnia 27. Za przekłętą, zmijowatą Vidę. Postanowiłam, że przeanalizuję całą scenę, kiedy już się stamtąd wydostanę, kiedy odnajdę Vidę i wrócę z nią bezpiecznie do Bazy. Nie teraz.

W uszach ciągle słyszałam dudnienie własnego pulsu, zbyt głośne, by mógł do mnie dotrzeć odgłos ciężkich kroków dobiegających z posterunku wartownika w pralni.

Żołnierz był młody. Gdybym miała go ocenić wyłącznie po wyglądzie, pomyślałabym, że jest ode mnie starszy zaledwie o pięć lat. Ryan Davidson – mój mózg otworzył odpowiednią teczkę i wydobył całą stertę niepotrzebnych informacji z kartoteki misji. Urodzony i wychowany w Teksasie. Po zamknięciu college'u, do którego uczęszczał, wstąpił do Gwardii Narodowej. Zrobił dyplom z historii sztuki.

Widzieć przed sobą czyjeś życie zamknięte w drukowanych, równych, czarnych literach to jedno. Zupełnie czym innym było stanąć twarzą w twarz z żywym człowiekiem. Poczuć jego gorący, cuchnący oddech i zobaczyć, jak tętno pulsuje mu na szyi.

– Ej, ty! – Sięgnął do boku po broń, ale kopnęłam go w rękę i posłałam karabin ze szczękiem na ziemię i w dół schodów.

Oboje rzuciliśmy się za nim.

Łupnęłam brodą o metal z taką siłą, że zatrzęsł mi się mózg. Przez jedną przedziwną sekundę nie widziałam nic poza śnieżnobiałym rozbłyskiem światła. Po chwili wszystko wróciło w rozświetlonych, mocnych kolorach. Następny do świadomości przeniknął ból – kiedy żołnierz runął na mnie i powalił mnie na ziemię, rozciąłam sobie dolną wargę, zatapiając w niej zęby. Krew trysnęła na schody.

Strażnik przycisnął mnie do ziemi całym swoim ciężarem. Kiedy się poruszyłam, wiedziałam, że sięga po krótkofalówkę. Z głośnika dobiegał kobiecy głos. Słyszałam, jak mówi:

„podaj status”, a potem: „już idę”.

Świadomość, jak bardzo będę miała przekichane, jeśli jakakolwiek z tych rzeczy się wydarzy, wprawiła mnie w stan, który Trener Johnson zwykł nazywać kontrolowaną paniką.

Paniką, bo wyglądało na to, że sytuacja szybko się pogarsza.

Kontrolowaną, bo to ja byłam w niej napastnikiem.

Jedną rękę przygniatałam sobie klatką piersiową, druga była wkliniwana między moje plecy a jego brzuch. To ona stanowiła moją szansę. Na tyle, na ile mogłam, podwinęłam mu mundur, szukając nagiej skóry. Rozpierzchnięte macki mojego umysłu wyciągnęły się w jego kierunku i jedna po drugiej wniknęły do jego głowy. Przebiły się przez wspomnienie mojej zaskoczonej twarzy za drzwiami, przez nastrojowe niebieskawe obrazy kobiet tańczących na skąpo oświetlonych scenach, przez wspomnienia pól i nieznanego mężczyzny zamierzającego się na niego pięścią...

Potem ciężar ustąpił i moje płuca na powrót załapała fala powietrza, zimnego i nieświeżego. Podparłam się na rękach i wdychałam je łapczywymi haustami. Stojąca nade mną postać zrzuciła strażnika ze schodów jak zmiętą kulę papieru.

– Wstawaj! Musimy... – Słowa brzmiały, jakby dochodziły spod powierzchni wody. Gdyby nie pasemka jaskrawofioletowych włosów wystających spod kominiarki, nie rozpoznałabym, że to Vida. Jej ciemna koszula i spodnie były podarte i wyglądało na to, że trochę kuleje, ale żyła, była obok i to w jednym kawalku, mniej więcej. Jej głos dobiegał do mnie przez głuche dzwonienie w uszach. – Rusz się! – krzyczała. – Idziemy!

Rzuciła się w dół, ale chwyciłam ją za strzép kamizelki kuloodpornej i pociągnęłam w tył.

– Wychodzimy stąd. Będziemy osłaniać wejście. Czy twój zestaw słuchawkowy działa?

– Oni ciągle tam walczą! – wrzasnęła. – Możemy się im przydać! Zabronił nam opuszczać pozycję...!

– Potraktuj to jak rozkaz *ode mnie!*

Musiała mi się podporządkować, tak to działało. Właśnie tego nienawidziła we mnie i w całej tej sytuacji najbardziej – to ja miałam decydujący głos. To ja wydawałam rozkazy.

Splunęła mi pod stopy, ale czułam, że wspina się za mną po schodach, przeklinając pod nosem. Przeszło mi przez myśl, że z łatwością mogłaby wyciągnąć nóż i przeorać mi kręgosłup.

Strażniczka, którą zastałam na zewnątrz, wyraźnie się mnie nie spodziewała. Uniosłam dłoń i wyciągnęłam w jej kierunku, żeby wpłynąć na nią i ją odesłać, ale huk wystrzału pistoletu Vidy nad moim ramieniem odrzucił mnie daleko w tył szybciej, niż struga krwi zdążyła wytrysnąć z szyi kobiety.

– Żadnego cackania się! – warknęła Vida, wyciągając pistolet, który jakimś cudem wciąż tkwił przypięty do mojego boku, i wciskając mi go w dłoń. – *Idziemy!*

Zacisnęłam palce na znajomym kształcie. Był to typowy pistolet służbowy – czarny SIG Sauer P229 DAK – który wciąż, po wielu miesiącach nauki strzelania, czyszczenia i składania, zdawał się dla mnie za duży.

Rzuciłyśmy się pędem w noc. Usiłowałam znowu chwycić Vidę, żeby ją spowolnić, zanim wpakuje się w tarapaty, ale z całej siły mi się wyrwała. Wbiegłyśmy w wąską alejkę.

Dopałam węgła dokładnie w chwili, gdy trzech żołnierze, osmoleni i krwawiący, wyciągali dwie zakapturzone postaci z czegoś, co wyglądało jak duży przydrożny rów. Ten punkt dostępu z *całą pewnością* nie był opisany w kartotece operacji, którą otrzymaliśmy.

Więzień 27? Nie miałam pewności. Jeńcy, których żołnierze ładowali do furgonetki, byli mężczyznami, mniej więcej tego samego wzrostu, istniała więc jakaś szansa. I ta szansa miała nam właśnie odjechać sprzed nosa.

Vida przycisnęła dłoń do ucha, zaciskając do białości usta.

– Rob nas wzywa. Potrzebuje wsparcia.

Już się odwracała, kiedy znowu ją chwyciłam. Chyba po raz pierwszy w życiu byłam odrobinę szybsza.

– Naszym celem jest Więzień 27 – wyszeptałam, starając się zabrzmieć tak, by przemówić do jej bezrefleksyjnego poczucia lojalności wobec organizacji. – I myślę, że to on. To po niego wysłał nas Alban i jeśli się nam wymknie, całą operację trafi szlag.

– On... – zaprotestowała Vida, po czym przełknęła resztę słów, które prawie wydostały się z jej ust. Zaciśnęła zęby i niemal niezauważalnie skinęła głową. – Jeśli nas pogrążysz, nie pójdę z tobą na dno. Zapamiętaj to sobie.

– Wezmę całą winę na siebie – powiedziałam. – Będziesz czysta.

Żadnej skazy na jej nieskazitelnej operacyjnej historii, żadnej zadry na zaufaniu, którym obdarzyli ją Cate i Alban. Nic nie ryzykowała – mogła zdobyć „chwałę” za powodzenie akcji, a w najgorszym wypadku przyglądać się, jak ja zostaję ukarana i upokorzona.

Nie spuszczałam oczu z rozgrywających się przed nami wydarzeń. Widziałam trzech żołnierzy – byłam w stanie rozprawić się z nimi za pomocą kul, ale żeby naprawdę wykorzystać sytuację, musiałam podejść na tyle blisko, by móc ich dotknąć. Było to jedyne i frustrujące ograniczenie moich zdolności – mimo forsownych ćwiczeń, do których zmuszała mnie Liga, wciąż nie potrafiłam go przewyciężyć.

Niewidzialne macki mieszkające w mojej czaszce niecierpliwiły się, jak gdyby oburzone, że nie mogą działać samodzielnie.

Wbiłam wzrok w najbliższego żołnierza i próbowałam wyobrazić sobie długie, wijące się palce wyciągające się ku niemu, pokonujące dzielącą nas przestrzeń, by wnikać do jego niestrzeżonego umysłu. Przypominałam sobie, że Clancy to potrafił. Nie musiał dotykać ludzi, żeby wejść w ich myśli.

Przełknęłam krzyk frustracji. Potrzebowałyśmy czegoś innego. Czegoś, co odwróciłoby ich uwagę, czegoś, co...

Vida miała mocne plecy i silne kończyny, dzięki czemu nawet najryzykowniejsze akcje przychodziły jej z łatwością i przypominały taniec. Zobaczyłam, jak unosi pistolet i namierza cel.

– Zdolności – syknęłam. – Vida, żadnej broni. Zaalarmujemy innych!

Spojrzała na mnie, jakby mózg wyciekał mi przez nos w postaci papki. Zastrzelenie żołnierzy to szybkie rozwiązanie, obie byłyśmy tego w pełni świadome, ale gdyby chybiła i trafiła któregoś z więźniów albo gdyby żołnierze odpowiedzieli ogniem...

Vida opuściła broń, wzdychając z irytacją. Następnie wyrzuciła w przód obie ręce. Poderwała oficerów Gwardii Narodowej w górę z taką dokładnością i siłą, że wylądowali w połowie kwartału, na zaparkowanych tam samochodach. Nie dość, że Vida była fizycznie najszybsza i najsilniejsza z nas oraz odznaczała się najlepszą celnością, to musiała oczywiście mieć również największą kontrolę nad swoimi zdolnościami.

Pozwoliłam się wyłączyć części mojego mózgu odpowiedzialnej za emocje. Najcenniejszą umiejętnością, której nauczyła mnie Liga Dzieci, było pozbycie się strachu i zastąpienie go czymś nieskończenie zimniejszym. Uspokoić się, uspokoić, skupić, opanować nerwy – udało się, chociaż krew szumiała mi w żyłach, gdy ruszyłam w kierunku więźniów.

Cuchnęli wymiocinami, krwią i fekaliami. Zupełnie inaczej niż sterylne, czyste wnętrza bunkra przesiąknięte smrodem chloru. Żołądek podszedł mi do gardła.

Więzień leżący bliżej kulił się przy rowie, wznosząc związane ręce nad głowę. Koszulę miał w strzępach, spod których wylaniały się pręgi, poparzenia i sińce, sprawiające, że jego plecy wyglądały bardziej jak talerz surowego mięsa niż ciało.

Mężczyzna odwrócił się na odgłos moich kroków, wychylając twarz zza osłony ramion.

Zerwałam mu kaptur z głowy. Na końcu języka miałam słowa otuchy, ale na jego widok połączenie między moim mózgiem a ustami zostało zerwane. Spod rozczochranych blond włosów patrzyły na mnie zmrużone niebieskie oczy. Nie byłam w stanie nic zrobić, nic powiedzieć, nie po tym, jak pochylił się głębiej w krąg jasnożółtego światła latarni.

– Rusz się, ofiario! – krzyknęła Vida. – Co tak wolno?!

W jednej chwili poczułam, jak odpływa ze mnie cała krew, szybko, jakby strzelono mi prosto w serce. I nagle do mnie dotarło – zrozumiałam, dlaczego Cate na samym początku tak uparcie walczyła, żeby przepisać mnie do innej misji, dlaczego zakazano mi wchodzić do bunkra, dlaczego nie podano mi żadnych informacji o więźniu. Nie dostałam imienia ani opisu. Nikt mnie nie ostrzegł.

Twarz, na którą teraz patrzyłam, była szczuplejsza, ściągnięta i zmęczona, ale ja ją znałam. Ja ją...

*Tylko nie on* – pomyślałam, czując, jak ziemia usuwa mi się spod nóg. – *Nie on.*

Widząc moją reakcję, powoli wstał. Szelmowski uśmiech przebijał się przez grymas bólu. Z trudem trzymał się na nogach i chwiejnie ruszył w moją stronę. Pomyślałam, że wygląda na rozdartego pomiędzy ulgą a pośpiechem. Jednak gdy w końcu się odezwał, południowy zaśpiew w jego akcencie był ciepły jak nigdy, choć jego głos zdawał się głębszy i bardziej szorstki.

– Czy... wyglądam tak uroczo, jak się czuję?

I przysięgam. Przysięgam. Poczułam, jak czas mi się wymyka.

Oto jak szukać Ligi Dzieci: nie szukać.

Nie rozpytuje się o nią, bo żadna dusza żyjąca w Los Angeles nigdy nie przyzna, że ta organizacja działa w mieście, by nie dać prezydentowi Grayowi wrzodu do drapania. Wystarczająco szkodliwa dla biznesu była już obecność Koalicji Federalnej. Ci *gotowi* zdradzić do niej drogę wykaszliwali wskazówki za cenę, którą mogli zapłacić tylko nieliczni. Liga nie prowadziła polityki otwartych drzwi, pojawiania się bez zapowiedzi. Każdy, kto rzuciłby jej agentowi choćby ukradkowe spojrzenie, zgodnie z zasadą organizacji był likwidowany.

To Liga odnajdywała *ciebie*. Przechwytywała tych, którzy byli wystarczająco cenni. Gotowych walczyć. To była pierwsza rzecz, jakiej się nauczyłam, siedząc obok Cate, kiedy wieziono mnie do Bazy. Pierwsza prawdziwa myśl, która wyklarowała się w moim umyśle, gdy należący do Ligi samochód terenowy pędził autostradą, kierując się prosto do serca miasta.

Kwaterna Główna – Baza, jak ją wszyscy nazywaliśmy – była ukryta dwa poziomy poniżej fabryki plastikowych butelek, która uparcie, choć ledwo, zipała, przyczyniając się do gęstnienia brązowej mgły oblepiającej centrum fabrycznego okręgu Los Angeles. Wielu agentów Ligi i jej wysokich rangą urzędników „pracowało” dla P&C Bottling, Inc.

Zaciskałam leżące na kolanach dłonie w pięści. W Thurmond przynajmniej mogliśmy patrzeć w niebo. Przez elektryczne ogrodzenie widziałam drzewa. Teraz pozbawiono mnie nawet tego – do czasu, aż Liga zdecyduje, że wolno mi wyjść na powierzchnię i się rozejrzeć.

– Właścicielem jest Peter Hinderson. Pewnie prędzej czy później go spotkasz. Z oddaniem od samego początku wspiera wysiłki Ligi. – Cate przygładziła włosy i zebrała je z tyłu w kucyk, podczas gdy samochód wjechał na coś, co wyglądało jak kolejny parking.

Tak przedstawiało się Los Angeles – wyblakła farba w kolorach zachodzącego słońca i beton.

– Baza została wybudowana przy jego wsparciu. Znajduje się bezpośrednio pod należącą do niego fabryką. Dzięki temu jesteśmy niewykrywalni dla satelitów szpiegowskich: ciepło ulatniające się z naszych systemów wentylacyjnych, które mogłyby wychwycić, można z łatwością uzasadnić.

Brzmiała, jakby była z tego niewiarygodnie dumna, a ja, szczerze mówiąc, miałam to zupełnie gdzieś. Już sama nie wiedziałam, co przyprawiało mnie o gorszą migrenę: przelot samolotem z Maryland, choroba lokomocyjna, która dopadła mnie w drodze z lotniska, czy typowy dla miast uporeczywy smród benzyny. Całą sobą tęskniłam do słodkiego, czystego powietrza Wirginii.

Pozostali agenci wysiedli ze swojego samochodu. W chwili, gdy nas zauważyli, wszystkie rozmowy i śmiech ucichły. Przez cały czas trwania lotu czułam na sobie ich spojrzenia. Najwyraźniej wystarczającą rozrywką było dla nich zastanawianie się, jak ważna musiałam być dla Cate, skoro zorganizowała dla mnie zakrojoną na tak wielką skalę akcję poszukiwawczą. Rzucali we mnie słowami jak papierowymi samolocikami – „szpieg”, „uciekinierka”, „czerwona” – za każdym razem chybiając.

Zostałyśmy w tyle, a pozostali agenci ruszyli w kierunku srebrnej windy na przeciwległym końcu parkingu. Stukot ich kroków na pomalowanym betonie roznosił się echem. Cate sprytnie odegrała przedstawienie, przeciągając wypakowywanie rzeczy z bagażnika. Każdy jej ruch był powolny do bólu, idealnie zaplanowany w celu puszczenia wszystkich przodem. Czekałam, aż nadejdzie nasza kolej, przytulając do piersi skórzaną kurtkę Liama.

Cate przycisnęła kartę identyfikacyjną do czarnego czytnika obok drzwi windy, która

z łoskotem wjechała na nasz poziom. Weszłam do środka i wbijałam wzrok w sufit, aż drzwi znowu błyskawicznie się otworzyły i uderzyła nas ściana ciężkiego, wilgotnego powietrza.

Podjeżdżałam, że kiedyś były to kanały – a nawet byłam tego pewna, sądząc po szczurach, gryzącym smrodzie i słabej wentylacji. Wyszliśmy z windy, uruchamiając zapewne umieszczone gdzieś czujniki ruchu, bo w tym samym momencie wzdłuż obu ścian zapaliły się nędzne sznury maleńkich światełek, oświetlając jaskrawe plamy graffiti i kałuże utworzone przez skraplającą się wodę, skapującą z sufitu z przeciągłym, głośnym dźwiękiem.

Wpatrywałam się w Cate, czekając na puentę tego żalostnego dowcipu. Ale ona tylko wzruszyła ramionami.

– Wiem, że nie jest tu... pięknie, ale z czasem zaczniesz... Cóż, nikt nie jest tym zachwycony. Wystarczy kilka wycieczek na powierzchnię i z powrotem i się przyzwyczaisz.

*Cudownie. Wprost nie mogę się doczekać.*

Przejście wzdłuż jednego kwartału, gdzie oddychało się wilgotnym, zapleśniałym powietrzem, wystarczało, żeby człowiekowi zrobiło się niedobrze. Pokonanie czterech niemal przekraczało granicę ludzkiej wytrzymałości. Sufit był na tyle wysoko, że większość z nas była w stanie się wyprostować, chociaż wielu wyższych agentów – łącznie z Robem – musiało się schylać pod każdą z metalowych belek. Ściany zakrzywiały się wokół kanału jak zmarszczki wokół ust, zamykając nas w ciemności. Przejście było obskurne, ale na tyle szerokie, że mogliśmy iść obok siebie, a po bokach zostawało jeszcze trochę wolnej przestrzeni.

Cate spojrzała w górę i pomachała do jednej z czarnych kamer, pod którą przechodziliśmy, po czym skierowała się do srebrnych drzwi na końcu przejścia.

Nie wiem, co w tym widoku sprawiło, że zaczęłam się cofać. Może poczucie nieodwołalności. Dotarło do mnie, ile pracy i wysiłku mnie czeka, żeby dać Liamowi czas, którego potrzebował, by zaszyć się w bezpiecznym miejscu. Wiedziałam, że dopiero wtedy będę się mogła stąd wyrwać.

Czytnik zapiszczał trzy razy, po czym zapalił się na zielono. Cate przypięła identyfikator z powrotem do szlufki na pasku. Drzwi się otworzyły i zalała nas fala oczyszczonego powietrza – odgłos westchnienia ulgi Cate zlał się z jego szumem.

Odsunęłam się, zanim zdążyła chwycić mnie za rękę. Jej uprzejmy uśmiech przyprawiał mnie o dreszcze.

– Witaj w Bazie, Ruby. Zanim cię oprowadzę, chciałabym, żebyś poznała kilka osób.

– Dobrze – wymamrotałam.

Wlepiłam wzrok w długą ścianę korytarza, na której wisiały setki pożółkłych kartek. Poza nimi nie było tam nic. Przed nami rozciągała się ciemność rozświetlona jedynie migoczącym światłem z długich fluorescencyjnych rurek nad naszymi głowami.

– To karty powołań do służby wszystkich naszych agentów – powiedziała Cate, kiedy przechodziliśmy obok.

W obliczu kryzysu Gray zarządził obowiązkowy pobór, co oznaczało, że każdy, kto nie ukończył czterdziestego roku życia, w którymś momencie miał zostać wezwany do służby krajowi albo w siłach pokojowych w ramach Gwardii Narodowej lub straży granicznej, albo do SSP w celu opieki nad odmieńcami w obozach rehabilitacyjnych. Pierwsza fala rekrutów składała się głównie z niechętnych dwudziestolatków, którzy byli za starzy, żeby dotknęła ich OMNI, a równocześnie za młodzi, by doświadczyć utraty własnych dzieci.

– Wielu naszych agentów to byli wojskowi tak jak Rob – podjęła znowu Cate. – Jeszcze większą grupę stanowią cywile, którzy wierzą w Albana i jego misję poszukiwania prawdy albo usiłują zdobyć trochę więcej informacji o tym, co stało się z ich dziećmi czy rodzeństwem. Mamy ponad trzystu agentów w czynnej służbie oraz około setki odpowiedzialnych za

monitorowanie Bazy, prowadzenie szkoleń i sprawy techniczne.

– Ile dzieci?

– Dwadzieścioro sześcioro, wliczając ciebie i Martina. Sześć czteroosobowych zespołów, każdy przypisany do agenta, Opiekuna, jak nazywa nas Alban. Będziesz trenować z resztą mojego zespołu, a później uczestniczyć w operacjach taktycznych.

– Liga wyciągnęła ich wszystkich z obozów? – zapytałam.

Przy kolejnych drzwiach Cate znowu musiała użyć identyfikatora.

– Nie, tylko czworo w ciągu pięciu lat istnienia organizacji. Przekonasz się, że te dzieciaki pochodzą z całego kraju. Niektóre, tak jak Vida i Jude, których za chwilę poznasz, trafiły tu, kiedy zaczęło się zamykanie dzieci w obozach. Niektórym się poszczęściło i zostały przechwycone podczas transportów albo kiedy zjawiali się po nich żołnierze SSP. Mamy też kilku odmieńców takich jak Nico, kolejny członek mojego zespołu. Chłopak ma... interesującą przeszłość.

Nie potrafiłam stwierdzić, czy to miała być przynęta.

– Interesującą?

– Pamiętasz, co mówiłam ci o Leda Corporation? O tym, jak rząd przyznał im grant na badania nad OMNI? Nico był... – Dwa razy odchrząknęła. – Był jednym z podmiotów. Jest u nas od kilku tygodni, więc będziecie się mogli uczyć razem. Trzeba z nim jednak uważać, bo wciąż jest dość kruchy.

Od razu się zorientowałam, że korytarz nie był dokładną zapowiedzią tego, jak przedstawiała się reszta konstrukcji. Wyglądało to tak, jakby po ukończeniu wejścia albo wyczerpały się im fundusze, albo uznali, że nie ma sensu kontynuować. Miało się wrażenie, że to niedokończony plac budowy. Ściany zrobiono z gołych, szarych żelbetowych bloków, a podłogę stanowił pomalowany beton. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć, wszystko było z betonu. To miejsce wyglądało tak przyjaźnie, że równie dobrze mogło być częścią Thurmond.

Nisko zawieszone sufity były poprzecinane rurami i kablami elektrycznymi w jaskrawych owijkach. I chociaż Baza okazała się nieporównywalnie jaśniejsza od prowadzącego do niej kanału, pozbawiona dopływu naturalnego słonecznego światła tonęła w chorobliwym, anemicznym blasku migających świetlówek.

Najbardziej osobliwą cechą tego miejsca był jego kształt. Drzwi wejściowe prowadziły bezpośrednio do położonego centralnie dużego, okrągłego pomieszczenia otoczonego przez obłe szklane ściany. Z tego, co zdążyłam zauważyć, opasywał je korytarz, w którym stałyśmy, a od niego w linii prostej odchodziły przynajmniej cztery oddzielne przejścia.

– Czym jest Nico? – Idąc, strzelałam oczami na prawo, by przyjrzeć się osobom krzątającym się po dużym pomieszczeniu. Na ścianach wisiało tam kilka telewizorów, pod którymi przy okrągłych stolikach wyglądających na kawiarniane agenci Ligi grali w karty, jedli albo czytali.

Okrągły korytarz nie był ciasny, ale nie należał do przestronnych. Za każdym razem, kiedy chciały nas wyminąć dwie osoby lub więcej, idące w odwrotnym kierunku, ktoś musiał ustąpić.

Dwie pierwsze napotkane osoby, młode agentki w wojskowych mundurach, potwierdziły moje kolejne podejrzenie – byłam tu spalona. Kiedy ich wzrok napotkał wzrok Cate, miło się uśmiechnęły, ale kiedy przeniósł się na mnie, ominęły nas i pospiesznie ruszyły dalej.

– Czym jest? – powtórzyłam, ale widząc, że jasnoniebieskie oczy Cate zachodzą mgłą niezrozumienia, doprecyzowałam: – Jaki ma kolor?

– Nico jest Zielony. Ma niesamowitą smykałkę do technologii. Przetwarza wszystko jak program komputerowy. Vida jest Niebieska. Jude Żółty. To jedyny oddział, który ma mieszane

zdolności. Pozostałe są wyłącznie jednokolorowe i udzielają określonego rodzaju wsparcia podczas operacji. Jesteś tu na razie jedyną Pomarańczową.

Po prostu świetnie. Byłam częścią Tęczowej Gromady. Do pełni szczęścia potrzebowaliśmy jeszcze tylko Czerwonego.

– Inne zespoły skompletowano i tobie zostały same niedobitki?

Uśmiechnęła się.

– Nie. Po prostu skrupulatnie dobieram sobie podopiecznych.

W końcu opuściliśmy zewnętrzny pierścień i schylając głowy, ruszyliśmy jednym z prostych korytarzy. Cate milczała. Nie odezwała się ani słowem nawet do grupki agentów, którzy przeciskali się obok. Ciekawskie spojrzenia odprowadziły nas pod same drzwi, na których widniało nazwisko Cate – za każdym razem, kiedy ktoś wbijał we mnie wzrok, czułam się, jakby przejeżdżał mi wzdłuż kręgosłupa poszarpanymi paznokciami.

– Gotowa? – zapytała, jakbym miała wybór.

Jest coś bardzo osobistego w odwiedzaniu czyjejś sypialni – patrząc na małe drobiazgi, które Cate zdołała tam przemycić, czułam się niezręcznie. Pokój był ciasny, ale dało się w nim mieszkać. Kompaktowy, ale – co zaskakujące – nie klaustrofobiczny. Prycza stała wciśnięta w kąt, a za nią na ścianie wisiała brudna patchworkowa makatka. Wzór w jasnoczerwone i żółte stokrotki przebiegał przez nawet najgorsze plamy na materiale. Na karcianym stoliku, który służył za biurko, znajdowały się komputer, torebka, lampka i dwie książki.

Wszędzie wisiały obrazki.

Malunki pokrytymi farbą dłońmi, ludzkie sylwetki powołane do życia pociągnięciami małych paluszków. Wykonane ołówkiem portrety twarzy, których nie rozpoznawałam. Pejzaże węglem, prezentujące się tak surowo jak życie pod ziemią. Fotografie ciepłych miejsc i ośnieżonych gór oklejały ściany w równych rzędach, ale zbyt daleko od moich oczu, bym mogła dostrzec każdy piękny, błyszczący szczegół. Nie wspominając o tym, że zasłaniały mi je trzy postaci.

Wysoki, chudy jak patyk dzieciak chodził tam i z powrotem na półmetrowym odcinku między biurkiem a pryczą. Kiedy weszliśmy do środka, zatrzymał się nagle i odwrócił w naszą stronę, kołysząc rudoczerwonymi lokami. Twarz mu się rozpromieniła i rzucił się na Cate, zaciskając jej na szyi swoje cieniutkie jak ołówki ramiona.

– Tak się cieszę, że wróciłaś! – W jego głosie słyszeć było ulgę.

– Ja też – odpowiedziała Cate. – Jude, to jest Ruby.

Jude wyglądał jak obleczony skórą szkielet i sprawiał wrażenie, jakby rósł w tempie dziesięciu centymetrów na pięć dni. Absolutnie nie był brzydkim dzieckiem, ale kiedy się na niego spojrzało, od razu było wiadomo, że natura jeszcze nie skończyła dzieła. Kiedyś miał dorosnąć do swojego długiego, prostego nosa i do wielkich brązowych oczu, które na razie nadawały mu wygląd postaci z kreskówki.

Wyglądał na trzynaście, może czternaście lat, ale poruszał się tak, jakby jeszcze nie opanował sztuki kontrolowania swoich pająkowatych kończyn.

– Miło cię poznać! – powiedział. – Dopiero teraz wróciłaś? Przez cały ten czas byłaś w Wirginii? Cate opowiadała, że was rozdzielono i że strasznie się martwiła, że coś ci się...

Zanim skończył jedno słowo, zaczynał następne. Zmrużyłam oczy, usiłując się uwolnić z jego uścisku.

– Judytko, nie molestuj koleżanki. – Znad ramion chłopca dobiegł niski kobiecy głos. – Daj jej spokój.

Jude natychmiast się cofnął, chichocząc nerwowo.



– Przepraszam, nie gniewaj się. Miło cię poznać. Cate dużo nam o tobie opowiadała. Podobno byłeś w tym samym obozie co Martin? – Kiedy wypowiadał imię drugiego Pomarańczowego, w jego tonie pojawił się dziwny zgrzyt: zrobił się bardziej piskliwy, po czym się załamał.

Pokiwałam głową. Więc wiedział, kim jestem. I pomimo tego mnie dotknął. Co za odważny, głupi dzieciak.

– Na łóżku siedzi Vida. – Cate popchnęła mnie w kierunku dziewczyny.

Musiałam zrobić krok w tył – siła jej spojrzenia sprawiła, że poczułam się przyparta do muru. Nie mam pojęcia, jak mogłam jej nie zauważyć. Siedziała na pryczy ze skrzyżowanymi rękami i nogami, całkowicie, totalnie obojętna. Teraz, kiedy na nią patrzyłam, wyraźnie poczułam, że nieznacznie się kurczę.

Przysięgam, że była prześliczna. Idealna mieszanka ras – błyszcząca brązowa skóra, która przywodziła na myśl ciepłe jesienne popołudnie, oczy w kształcie migdałów i zafarbowane na sinoniebiesko włosy. Takie twarze widywało się w kolorowych pismach: wysokie, ostre kości policzkowe i pełne usta, na których cały czas zdawał się gościć zuchwały uśmiezek.

– Cześć. Miło, że w końcu raczyłaś przytaszczyć do nas swoje cztery litery. – Miała donośny, mocny głos, a każdemu jej słowu zdawało się towarzyszyć tąpnięcie. Kiedy wstała, żeby uściskać Cate, poczułam się jak kilkucentymetrowe chuchro.

Nie wróciła na miejsce, tylko powoli wsunęła się między Cate i mnie. Znałam tę postawę. Nieraz przybierałam ją dla Zu, Pulpeta czy Liama. Nieraz oni robili to dla mnie. Stojąc plecami do kobiety, Vida uważnie mi się przyglądała.

– Biedactwo. Rób, co mówię, a nic ci nie będzie.

*Co ty nie powiesz*, odparowałam jej w myślach, jeżąc się na jej ton.

Kiedy odwróciła się do Cate, znowu była słodka jak miód. Jej ciemna skóra wyraźnie promieniała z radości.

– Tam, w kącie, to Nico. – Vida przejęła prezentację. – Stary, mógłbyś się odłączyć na dwie sekundy?

Nico siedział na podłodze oparty o niewielką komodę. Z jakiegoś powodu wydał mi się mały i natychmiast zrozumiałam, co Cate miała na myśli, kiedy powiedziała, że jest kruchy. Nie chodziło o jego wzrost czy sylwetkę, choć były nikłe, ale o ściągniętą napięciem twarz. Niesforne pasemko kruczoczarnych włosów wymknęło się z utrwalonej żelem gładko zaczesanej fryzury, kiedy powiedział:

– Cześć, miło cię poznać. – Potem opuścił oczy na małe czarne urządzenie, które trzymał w dłoniach, i jego palce znowu zaczęły podskakiwać na klawiaturze. Światło wyświetlacza zabarwiało jego skórę na nienaturalnie jasny biały kolor, podkreślając jeszcze bardziej niemal czarne oczy.

– Opowiedz nam o sobie – zwróciła się do mnie Vida.

Zesztywniałam i zaplotłam ramiona na piersi tak samo jak ona. Wiedziałam bez cienia wątpliwości, że jeśli miało się nam udać – jeśli miałam mieszkać z tymi dziećmi, spędzać z nimi czas i trenować – musiał istnieć między nami dystans. Przez ostatnie kilka tygodni życie nieraz udowodniło mi, że im lepiej kogoś poznajemy, tym bardziej nam na tej osobie zależy. To nieuchronne. Granice się zacierają i później, kiedy przychodzi rozłąka, utrata relacji staje się nieznośnym cierpieniem.

Nawet jeśli chciałabym opowiedzieć im o Thurmond, nie znalazłabym słów, żeby opisać ten ból. Jak miałabym sprawić, żeby zrozumieli, skoro na samą myśl o Ogrodzie, Fabryce i Infirmerii dławił mnie gniew. Piekący ból wypełniał mi klatkę piersiową i nie opuszczał mnie przez wiele dni tak jak zapach wybielacza, który odparzał nam dłonie w Pralni.

Wzruszyłam ramionami.

– A co z Martinem? – zapytał Jude. Wykręcał sobie palce tak mocno, że zaróżowiły mu się całe dłonie. – Będziemy mieć piątego w zespole?

Cate bez wahania odparła:

– Martin został przeniesiony do Kansas. Będzie współpracował z tamtejszymi agentami.

Vida z impetem odwróciła się w jej stronę.

– Serio?

– Tak. Ruby zajmie jego miejsce, zostanie Liderem zespołu.

Szybko poszło. Cała sztuczna grzeczność, na jaką Vida zdołała się zdobyć ze względu na Cate, uleciała z niej z gwałtownym wydechem. Przez chwilę w jej oczach błysnęło poczucie zdrady. Dziewczyna dosłownie przełknęła te słowa i pokiwała głową.

– Zaraz, zaraz. Co? – wybąkałam. Nie chciałam tego. O nic takiego się prosiłam.

– Fajnie! Pogratulować! – Jude przyjacielsko klepnął mnie w ramię, wytrącając z oszołomienia.

– Wiem, że wszyscy pomożecie Ruby się zdomować i pokażecie jej co i jak – powiedziała Cate.

– Pewnie – syknęła Vida przez zęby. – Oczywiście. Jesteśmy do jej usług.

– Chodźmy razem na kolację – zaproponował wesoło Jude. Był całkowicie i beztrzęsliwie nieświadomy tego, że Vida raz po raz zaciska i rozluźnia pięści. – Dziś będzie makaron!

– Muszę się zameldować u Albana, ale wy idźcie. Potem możecie pokazać Ruby, gdzie są łóżka, i pomóc jej się rozgościć – odparła Cate.

Kiedy tylko wyszła i zamknęła za sobą drzwi, poczułam, jak ktoś chwytá mnie za kucyk, szarpie i ciska na najbliższą ścianę. Przed oczami zobaczyłam czarne plamy.

– Vida! – krzyknął zdumiony Jude tak głośno, że nawet Nico podniósł wzrok.

– Jeśli chociaż przez jedną sekundę pomyślałaś, że nie wiem, co się naprawdę wydarzyło, to cholernie się mylisz – syknęła Vida.

– Zejdź mi z oczu – odparowałam.

– Wiem, że historyjka o tym, że Cate cię zgubiła, to bujda. Wiem, że zwałaś. – Nie odpuszczała. – Spróbuj znowu ją skrzywdzić, a rozerwę cię na strzępy.

– Nic o mnie nie wiesz. – Niespodziewanie udzielił mi się jej gniew.

– Wiem tyle, ile potrzeba – warknęła. – Wiem, czym jesteś. Wszyscy wiemy.

– Wystarczy! – Jude chwycił mnie za rękę i pociągnął w tył. – Idziemy na kolację, Vi. Możesz iść z nami albo nie.

– Smacznego – rzuciła słodkim głosem, ale furia, która emanowała z jej postaci, przecięła dzielącą nas przestrzeń i zacisnęła się wokół mojej szyi jak pięść. Jak obietnica.

Nie do końca rozumiałam, dlaczego widok pustych miejsc przy otaczających nas stołach tak bardzo mnie dotknął. Może z tego samego powodu Jude czuł, że musi wypełnić ciszę, i przez cały czas trwania posiłku nie przestawał paplać.

Wystarczyło, że usiedliśmy przy jednym z mniejszych okrągłych stolików, a wielu agentów i wiele starszych dzieci wstało od swoich. Niektórzy zabrali tacki i wyszli z auli, inni przenieśli się do zatłoczonych stołów stojących dalej. Próbowalam sobie wmawiać, że to nie z mojego powodu, ale są pewne myśli, które żyją w naszych umysłach jak przewlekła choroba. Czasem wydaje się nam, że je pokonałiśmy, ale okazuje się, że tylko przerodziły się w nowe, mroczniejsze formy. *To oczywiste, że wstali i wyszli* – szeptał mi do ucha znajomy głos. – *Czemu mielibyście chcieć przebywać blisko czegoś takiego jak ty?*

– ... miejsce, w którym jemy i spędzamy czas, kiedy mamy trochę wolnego. Po posiłkach wszystko jest sprzątane, więc można tu przyjść pograć w karty albo w ping-ponga czy nawet

pooglądać telewizję – opowiadał Jude z ustami pełnymi sałaty. – Czasami któryś z agentów przynosi nam jakiś nowy film, ale ja przez większość czasu przesiaduję na dole w sali komputerowej...

Przebywając w okrągłym pomieszczeniu, czułam się nieswojo i jakby oszołomiona. Wrażenie to potęgowała obecność dziesięciu telewizorów w zasięgu wzroku. Większość nastawiono na jedyny istniejący kanał wiadomości krajowych – okazuje się, że jeśli jest się skorym, by wskoczyć do prezydenckiej kieszeni, można tam znaleźć sporo pieniędzy. Pozostałe emitowały jednostajny cichy szum. Nie miałam siły wysłuchiwać aktualnych okropieństw, które akurat walcowali prezenterzy. Znacznie bardziej interesującym zajęciem było obserwowanie, do których stolików przysiadają się osoby wchodzące kolejno do auli. Dzieci najpierw podchodziły do szwedzkiego stołu, po czym dołączały do swoich rówieśników. Mięśniaki, zapewne byli wojskowi, przysiadali się do grupy niemal identycznie wyglądających mężczyzn – różnorodności temu towarzystwu dodawały jedynie nieliczne siedzące tu i tam agentki.

Tak bardzo skupiłam się na liczeniu kobiet, że zauważyłam Cate, dopiero kiedy stanęła bezpośrednio za Jude'em.

– Alban chciałby cię zobaczyć – powiedziała, jakby nigdy nic, sięgając po moją tacę.

– Jak to? Po co?

Jude najwyraźniej odebrał moje wzburzone spojrzenie jako przejaw strachu, bo wyciągnął dłoń i poklepał mnie po ramieniu.

– Nie ma się czego bać! On jest naprawdę miły. Jestem przekonany, że... Na pewno chce z tobą pogadać, bo to twój pierwszy dzień. Będzie dobrze. Musisz to tylko odbębnić.

– Jasne – wymamrotałam, ignorując nutkę zazdrości, którą wyczułam w jego głosie. Najwyraźniej nie codziennie dostawało się takie wezwanie. – Na pewno.

Cate wyprowadziła mnie z powrotem na korytarz. Moją tacę zostawiła na wózku obok drzwi. Zamiast skręcić w prawo albo w lewo, pokierowała mnie do znajdujących się w naprzeciwległej ścianie drzwi, których wcześniej nie zauważyłam, a następnie niemal wciągnęła na znajdujące się za nimi schody. Minęłyśmy drugi poziom i krętą klatką schodową dotarłyśmy do trzeciego. Kiedy Cate pchnęła drzwi, od razu zrobiło mi się lepiej. W porównaniu z przyprawiającą o ciarki wilgocią wyższych pięter to było cieplejsze i suchsze. Nie przeszkadzała mi nawet swąd naelektryzowanego powietrza i gorącego plastiku dochodzący z obszernego pomieszczenia komputerowego, które znajdowało się dokładnie pod aulą.

– Przepraszam – powiedziała Cate. – Wiem, że jesteś wykończona, ale Alban chce cię niezwłocznie poznać.

Splotłam dłonie za plecami, żeby ukryć, że zaczęły mi drzeć. Podczas lotu Cate starała się nakreślić szlachetny obraz Albana i przedstawiła mi go jako człowieka prawdziwie światłego – amerykańskiego patriotę z krwi i kości. Muszę przyznać, że klóciło się to nieco ze wszystkim, co o nim słyszałam – że jest terrorystą, który steruje ponad dwustoma strajkami w całym kraju wymierzonymi w prezydenta Graya i morduje przy tym pokąźną liczbę cywilów. Dowody na to otaczały mnie ze wszystkich stron. Agenci obwiesili ściany artykułami z gazet i wydrukami zdjęć, jakby śmierć i zniszczenie były czymś, co należy celebrować.

Oto, co wiedziałam o Johnie Albanie z własnego doświadczenia: założył organizację o nazwie Liga Dzieci, ale był chętny wyciągać z obozów tylko tych odmieńców, których uważał za potężnych. Użytecznych. Obawiałam się, że jeśli był pamiętliwy, istniało duże prawdopodobieństwo, że zostanie ukarana za to, iż z całych sił będę sabotować jego plany.

Przeszłyśmy na drugą stronę pętli. Cate przyłożyła swój identyfikator do czarnego czytnika i czekała, aż zapiszczy. W głębi serca miałam nadzieję, że zielona lampka się nie zapali.

Kiedy ruszyłyśmy w dół betonowymi schodami, całe ciepło się ulotniło. Drzwi zasunęły

się za nami z trzaskiem i szczelnie wessały się we framugę. Odwróciłam się zaskoczona, ale Cate delikatnie popchnęła mnie do przodu.

Znalazłyśmy się w kolejnym korytarzu, ale innym niż te, które widziałam na poziomie pierwszym. Lampy nie były tu tak silne i wydawały się ustawione na tryb migający. Jedno spojrzenie wystarczyło, bym się wycofała i by serce podeszło mi do gardła. Przed oczami stanął mi Thurmond – wycinek tego, czym dla mnie był. Zardzewiałe metalowe drzwi, grube ściany z pustaków z małymi okienkami wychodzącymi z cel. Jednak zamiast dziesiątek par drzwi to więzienie miało ich dwanaście i tkwiło w nim dwanaście osób zamiast tysięcy. Zjełczały smród zmieszany z zapachem chloru, gołe ściany i podłogi. Jediną różnicę stanowiło to, że żołnierze SSP ukaraliby nas, jeśli spróbowalibyśmy walić w drzwi, tak jak robili to tutejsi więźniowie. Stłumione głosy błagały o wolność i po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, czy któryś ze strażników obozu kiedykolwiek czuł się tak jak ja w tej chwili – zemdlilo mnie i miałam wrażenie, że puchnie mi głowa. Wiedziałam dokładnie, kiedy więźniowie przykładali twarze do okien i że ich przekrwione oczy odprowadzają nas do końca korytarza.

Cate przyłożyła identyfikator do zamka przy ostatnich drzwiach po lewej, odwracając twarz w stronę mroku. Drzwi odskoczyły. Przecisnęła się przez nie i skierowała w stronę pustego stołu i kilku krzeseł. Wnętrze oświetlała huśtająca się na kablu goła żarówka. Wbiłam pięty w podłogę i znieruchomiałam.

– Co to ma być, do cholery? – zapytałam stanowczo.

– Wszystko w porządku – odparła Cate cichym i łagodnym głosem. – W tym skrzydle trzymamy cennych więźniów oraz niesubordynowanych agentów, których sprowadziliśmy tu w celu zadania im kilku pytań.

– To znaczy, żeby ich przesłuchać?

*Nie* – pomyślałam, a docierająca do mnie prawda eksplodowała czarnymi plamami w mojej głowie. – *Martin ich przesłuchiwał. Ja będę ich przesłuchiwać.*

– Ja nie... – zaczęłam. – Nie ufam sobie. Nie chcę tego robić. Nie chcę mieć z tym do czynienia.

– Przez cały czas będę przy tobie – uspokajała mnie Cate. – Nic ci nie grozi. Alban chce jedynie sprawdzić poziom twoich umiejętności, a to jeden z niewielu sposobów, w jaki możemy mu to pokazać.

O mało się nie roześmiałam. Alban pragnął się upewnić, że zrobił dobry interes.

Cate zamknęła drzwi i pociągnęła mnie na krzesło przy metalowym stole. Usłyszałam kroki i chciałam wstać, ale mnie przytrzymała.

– Zajmie nam to tylko kilka minut, Ruby, obiecuję.

*Czemu jesteś taka zaskoczona?*, pytałam sama siebie. Wiedziałam, czym była Liga i o co im chodziło. Cate powiedziała mi kiedyś, że organizacja powstała, by ujawnić prawdę o dzieciach w obozach. Zabawne, jak daleko odbili od tej misji. Byłam tam niespełna pół dnia, ale już zdążyłam się zorientować, że wszystko, co udało im się osiągnąć w ciągu pięciu lat, sprowadzało się do zamienienia kilkorga dzieci w żołnierzy, schwywania i przesłuchiwania ludzi oraz wysadzenia paru ważnych budynków.

Ze względu na rozmiar i kształt szyby w drzwiach nie byłam w stanie zobaczyć wiele więcej poza ciemną twarzą Albana, który pojawił się za nimi w otoczeniu sześciu innych mężczyzn. Przez trzeszczący interkom dobiegł nas jego głos:

– Możemy zacząć?

Cate skinęła głową, a następnie zrobiła krok w tył, mrucząc:

– Rób, co ci każą, Ruby.

*Nic innego nie potrafię.*

Drzwi się otworzyły i moim oczom ukazały się trzy postaci. Dwóch potężnie zbudowanych agentów w zielonych mundurach, a między nimi drobna kobieta, którą musieli siłą wciągnąć do środka i przywiązać do drugiego krzesła plastikowym zaciskiem. Na głowie miała coś w rodzaju płóciennego kaptura, a sądząc po tym, jak skamlała i pojękiwała w proteście, zakneblowano jej usta.

Poczułam ukłucie przerażenia, które powoli schodziło zygzakiem od szyi w dół kręgosłupa.

– Witaj, moja droga. – Znowu dobiegł mnie głos Albana. – Mam nadzieję, że czujesz się znakomicie.

John Alban był doradcą w gabinecie prezydenta Graya do chwili, kiedy OMNI zabrało mu córkę Alysse. Cate twierdziła, że nie mógł sobie poradzić z poczuciem winy. Usiłował ujawnić prawdę – która zaprzeczała błyszczącej, lukrowanej wizji obozów – najważniejszym gazetom, ale nikt nie chciał się podjąć opisanie tej historii. Nie było o tym mowy, ponieważ prezydent Gray trzymał media w żelaznym uścisku. Taki był wynik bombardowań w stolicy: dobrzy ludzie zniknęli bez śladu, a źli wykorzystali sytuację.

Na jego ciemnej skórze odciskało się zmęczenie wieku średniego, a ciężkie worki pod wielkimi oczami sprawiały, że cała twarz wyglądała na obwisłą.

– Rzecz jasna, miło nam cię gościć. Moi doradcy i ja bardzo chcielibyśmy zobaczyć poziom twoich zdolności i ocenić, jak mogą się przydać naszej organizacji.

Skinęłam głową, zaciskając usta.

– Podejrzewamy, że ta kobieta przekazywała informacje ludziom Graya i sabotowała operacje, do których ją przydzielaliśmy. Chciałbym cię prosić, byś zbadała jej najświeższe wspomnienia i powiedziała mi, czy to prawda.

Jakby to było takie proste. Jedno zerknięcie i gotowe. Usiadłam sztywno i spojrzałam na niego przez szybę. Chciałam, by wiedział, że wiem. Że jestem w pełni świadoma, iż stoi za drzwiami dla ochrony nie przed tą kobietą, ale przede mną.

Musiałam jedynie zdobyć jego zaufanie, zasłużyć na odrobinę wolności. We właściwym czasie miał pożałować, że kiedykolwiek dał mi szansę ćwiczyć umiejętności. Kiedy obudzi się pewnego ranka, mnie już tu nie będzie. Zniknę bez śladu z tej dziury w ziemi. To tylko kwestia czasu. Chciałam jedynie potwierdzić, że pozostali są bezpieczni. Potem miałam zamiar się stąd wydostać. Zerwać umowę.

– Muszę dostać opis konkretnej sytuacji – powiedziałam, zastanawiając się, czy w ogóle mnie słyszy. – W przeciwnym razie możemy tu spędzić całą noc.

– Rozumiem – zatrzeszczał jego głos. – Nie muszę chyba dodawać, że to, co usłyszysz i zobaczysz w tym pomieszczeniu, to tajne informacje, do których twoi rówieśnicy nie będą mieć dostępu. Jeśli dowiemy się, że cokolwiek wydostało się na zewnątrz, wyciągniemy... konsekwencje.

Skinęłam głową.

– Znakomicie. Podejrzana agentka w niedalekiej przeszłości wyszła spotkać się z osobą kontaktową, żeby odebrać od niej pakiet informacji.

– Gdzie?

– Na przedmieściach San Francisco. To wszystko, co mogę ujawnić.

– Czy osoba kontaktowa miała imię?

Nastąpiła długa pauza. Nie musiałam odrywać wzroku od zasłoniętej twarzy kobiety, by się domyślić, że jego doradcy naradzają się między sobą. W końcu głos Albana przeniknął do środka:

– Ambrose.

Żołnierze, którzy wprowadzili kobietę, wycofali się na zewnątrz. Zatrzymana słyszała trzask zamka, ale dopiero kiedy wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć jej spętanych nadgarstków, zaczęła się wrywać.

– Ambrose – powiedziałam – San Francisco. Ambrose. San Francisco... – Wnikałam do jej umysłu, w kółko powtarzając te słowa. Napięcie, które stopniowo we mnie narastało od chwili, kiedy wsiadłam na pokład samolotu w Maryland, uszło ze mnie z miękkim westchnieniem. Poczułam, jak się ku niej pochylam. Pędzący strumień myśli przepływał przez jej umysł. Były oślepiająco jasne: miały boleśnie intensywny połysk, zupełnie jakby każde z jej wspomnień zostało zanurzone w najprawdziwszym słonecznym świetle. – Ambrose, San Francisco, wywiad, Ambrose, San Francisco...

Była to sztuczka, której nauczył mnie Clancy. Powtarzanie komuś określonego słowa, frazy albo imienia zazwyczaj wystarczało, żeby uaktywnić związane z nimi wspomnienia.

Poczułam pod palcami, jak kobieta się rozluźnia. Miałam ją.

– Ambrose – powtórzyłam cicho.

Było południe albo okolice południa. Byłam agentką, a ona mną. Rzuciłam szybkie spojrzenie w kierunku znajdującego się bezpośrednio nade mną słońca. Biegłam przez opuszczony park. Świat wokół migotał, a moje czarne tenisówki sunęły przez wysoką trawę. Przede mną wyrósł budynek publicznych toalet.

Nie zdziwiłam się, kiedy w mojej prawej dłoni pojawił się pistolet. Im większej nabierałam wprawy, tym więcej wrażeń zmysłowych odbierałam równoległe z obrazami – zapachy, odgłosy, dotyk. Od chwili, gdy wniknęłam w jej wspomnienie, czułam zimno metalu wsuniętego za pasek sportowych szortów, które miała na sobie.

Czekający na tyłach budynku mężczyzna nie zdążył się nawet obrócić, zanim runął na ziemię. W tyle jego czaszki zionęła dziura wielkości jednodolarowej monety. Wzdrygnęłam się i puściłam nadgarstek kobiety. Ostatnie, co zobaczyłam, zanim przerwałam połączenie, to niebieska teczka miotana przez wiatr i wpadająca do pobliskiego stawu.

Otworzyłam oczy, chociaż światło żarówki jeszcze nasiliło pulsowanie pod moimi powiekami. Przynajmniej nie dostałam migreny. Z każdym kolejnym razem, kiedy wnikałam w cudze myśli, ból był mniejszy, ale dezorientacja ciągle była tak samo nieznośna. Minęły dwie sekundy, zanim dotarło do mnie, gdzie jestem, kolejne dwie, zanim wrócił mi głos.

– Spotkała mężczyznę w parku za toaletami publicznymi. Zaszła go od tyłu i strzeliła mu w głowę. Informacje, które miał przy sobie, znajdowały się w niebieskiej teczce.

– Widziałas, co się stało z tą teczką? – W tonie Albana pobrzmiwała ekscytacja.

– Jest na dnie stawu. Czemu go zastrzeliła? Jeśli był jej kontaktem...

– Wystarczy, Ruby – wtrąciła się Cate. – Przyślij po podejrzaną, proszę – zwróciła się do Albana.

Kobieta opadła z sił, ciągle była częściowo oszołomiona moim oddziaływaniem. Nie szarpała się, kiedy przecinali zacisk i podnosili ją z krzesła. Ale wydawało mi się... Wydawało mi się, że słyszę, jak płacze.

– Co się z nią stanie? – zapytałam stanowczo, odwracając się do Cate.

– Wystarczy – powtórzyła tonem, który wywołał u mnie ciarki. – Czy jesteśmy już wolne? Jesteś zadowolony z jej wyników?

Alban stanął w drzwiach, ale nie pokonał dzielącego nas od nich odcinka. Ani razu nie spojrzał mi też w oczy.

– Ależ oczywiście – powiedział łagodnie. – Jesteśmy więcej niż zadowoleni. To, co potrafisz, jest wyjątkowe, moja droga. Nie masz pojęcia, ile możesz dla nas zrobić.

Miałam pojęcie.

Liam nie opowiedział mi za wiele o swoim pobycie w Lidze – był to krótki, brutalny i tak wyniszczający okres, że przy pierwszej lepszej okazji wziął nogi za pas. Choć żadne z nas nie było tego świadome, przygotował mnie do nowej rzeczywistości, w której przyszło mi żyć. Nie raz i nie dwa ostrzegał mnie, że Liga przejmie kontrolę nad każdym moim ruchem, że będzie wymagać ode mnie, bym zabijała tylko dlatego, że wpisuje się to w jej potrzeby, tylko dlatego, że ona tak chce. Opowiedział mi o swoim bracie Cole’u i o tym, czym się stał pod czułą opieką Ligi.

Cole. Z plotek krążących o Lidze wiedziałam, że był gwiazdą – ściśle tajnym agentem o przerażającej wydajności. Liam twierdził, że napędzało go poczucie władzy, wzrastające z każdym pociągnięciem za spust.

Ale nikomu, nawet Liamowi, nie przyszło na myśl, żeby wspomnieć, jak bardzo przypominał brata z wyglądu.

Z jakiegoś powodu Jude mianował się jednoosobowym komitetem powitalnym mojego oddziału. Kiedy wróciłam do Bazy po swojej pierwszej operacji pod skrzydłami Ligi, to jego chuderławą postać zobaczyłam, jak przechadzając się tam i z powrotem, czeka na mnie na końcu korytarza wejściowego, a potem wystrzeliwuje w moim kierunku niczym torpeda i zasypuje mnie lawiną pytań. Sześć miesięcy później wciąż był jedyną osobą, która tam czekała, nagradzając nasz bezpieczny powrót uśmiechem od ucha do ucha.

Kiedy Vida przyłożyła swój identyfikator do drzwi, cała się spięłam. Kilka minut wcześniej Rob i pozostali członkowie oddziału taktycznego odeskortowali do środka Cole'a Stewarta, ale ja wymogłam na Vidzie, żebyśmy szły wolniej i zostały z tyłu. Było ważne, żeby to Rob zebrał laury za tę akcję, żeby mógł się wytarzać w chwale jak pies w trawie. Słyszałyśmy, jak przemierzając tunel, jego ludzie coraz głośniejsze wiwatowali, i obserwowałyśmy, jak wchodząc do Bazy, wyrzucali w górę pięści, gotowi całkiem zapomnieć o siedzącym na wózku inwalidzkim Cole'u.

W końcu w długim, prowadzącym do wejścia korytarzu nie było już nikogo. Agenci zostawili za sobą echo radosnych okrzyków, które cichły z każdym stawianym przez nich krokiem. Po chwili słyszałam już tylko własny oddech i widziałam pustą przestrzeń na końcu tunelu, w miejscu, gdzie powinien stać Jude.

– Dzięki ci, Boże – rzuciła Vida, wyciągając ręce nad głowę. – Przynajmniej raz obejdzie się bez gruchotania kości. *Adiós*, mała.

Niektórzy używają określenia „mała” jako wyrazu czułości. Kiedy wypowiadała je Vida, człowiek czuł się jak jeden z tych miniaturowych psiaków, które mają mózgi wielkości grochu i sikają pod siebie, gdy za bardzo się podniecą.

Nie odezwałam się i pozwoliłam jej odejść. Skręciłam w lewo w kierunku kwatery Cate i jeszcze jednego starszego rangą agenta, żeby się zameldować. Po pięciu minutach bezowocnego pukania zrezygnowałam i wsunęłam głowę do auli, żeby sprawdzić, czy Cate tam nie ma. Pomieszczenie było prawie puste, więc doszłam do wniosku, że nasza Opiekunka pewnie jest z innymi. Przy żadnym ze stolików nie dostrzegłam jej jasnych blond włosów, ale przed jednym z telewizorów zauważyłam burzę rdzawobrazowych loków.

Nie zdołałam się wymknąć. Przelotne spojrzenie wystarczyło, by Jude wyczuł moją obecność. Chłopiec zerknął na swój stary plastikowy zegarek, a następnie z przerażeniem podniósł oczy z powrotem na mnie.

– Roo! – krzyknął, machając ręką, żebym podeszła. – Przepraszam! *Strasznie* przepraszam! Czy wszystko poszło dobrze? Dopiero teraz wróciłaś? Gdzie jest Vida? Czy ona...

Nie jestem święta i skłamałabym, mówiąc, że wcale nie chciałam się odwrócić i wybiec, zanim zdążył do mnie podejść, chwycić mnie pod rękę i wciągnąć do środka.

Dopiero kiedy znalazłam się po drugiej stronie pomieszczenia, zauważyłam Nico, który siedział przy przeciwległym końcu stołu. Nie mogłam dostrzec go z progu, bo usadowił się za jednym z betonowych filarów. Co więcej, chłopiec się nie ruszał. Zupełnie. Podążyłam za jego kamiennym spojrzeniem wbitym w leżące na stole niewielkie urządzenie. Komunikator.

Był wielkości telefonu i z łatwością można go było wziąć za komórkę, jeśli nie przyjrzało mu się wystarczająco uważnie. Komunikatory wykorzystywały mechanizmy telefonów starszej generacji – tych, które w miejscu gładkiego ekranu dotykowego miały tradycyjną klawiaturę. Nowe obudowy, które dla nich stworzono, były owalne i wystarczająco cienkie, by podczas zajęcia można było wsunąć urządzenie do tylnej kieszeni albo rękawa.



To cudo zostało zbudowane przez kilku Zielonych, żeby agenci mogli bezpiecznie przysyłać swoim rodzinom cyfrowe zapisy informacji, zdjęcia i krótkie filmiki. Do tej pory po każdorazowym wysłaniu tego typu danych musieli niszczyć telefon, by przypadkiem nie dać się namierzyć. Technologia, którą wykorzystywały, w dużej mierze była dla mnie tajemnicą, ale wiedziałam, że komunikacja przebiegała za pomocą stworzonej przez Zielonych sieci, niedającej się zhakować. Można ich było używać jedynie do kontaktowania się z innymi komunikatorami i to tylko wtedy, gdy miało się tajny numer PIN danego użytkownika. Nie nadawały się do wysyłania dużych obrazów czy plików video dłuższych niż trzydzieści sekund i właśnie z tego powodu Alban odrzucił pomysł używania ich w terenie, stwierdzając, że to nic niewarty bubel. Z tego, co wiedziałam, Zieloni zazwyczaj używali ich po prostu, żeby porozumiewać się ze sobą na terenie Bazy, kiedy przebywali w osobnych salach treningowych albo w czasie ciszy nocnej.

– ... naprawdę wróciła? Udało wam się spotkać tego agenta? Jest takim twardzielem, jak wszyscy gadają? Możemy...?

– Co jest grane? – zapytałam, przenosząc wzrok z Nico na ekran telewizora i z powrotem. Nadawano wyłącznie prognozę pogody dla Kalifornii i wiadomości.

Jude stanął jak wryty, cały się spiął i – jak to miał w zwyczaju – zrobił wielkie oczy, po czym uśmiechnął się sztucznie z wyraźnym trudem.

– Co jest grane? – powtórzyłam.

Przełknął ślinę, rzucił przelotne spojrzenie Nico i nachylił się do mojego ucha. Wzrokiem skanował aulę, jakby szukał nieistniejących mrocznych zakamarków.

– Wysłali Blake’a Howarda na akcję – oznajmił. – Jesteśmy po prostu...

– Blake’a Howarda? Zielonego z Zespołu Pierwszego? To chuchro, które można powalić jednym porządnie wymierzonym kichnięciem?

Jude pokiwał głową, rzucając kolejne nerwowe spojrzenie za moje plecy.

– Po prostu... się martwię. Nico również.

Też mi niespodzianka. Nico nigdy nie przepuścił dobrej spiskowej teorii, zwłaszcza jeśli dotyczyła Ligi. Każdy agent był podwójnym agentem. Alban tak naprawdę pracował dla Graya, a jego celem było obalenie Koalicji Federalnej. Ktoś zatruwał nasze zapasy wody ołowiem. Nie wiem, skąd mu się to brało. Może po prostu był to sposób, w jaki jego mózg przetwarzał wszystkie informacje, które przyswajał, i Nico nie potrafił tego wyłączyć.

– Pewnie chcą go wymienić – stwierdził Nico, chwytając komunikator. – Za informacje. A może, żeby odzyskać innego agenta? To wcale nie takie niemożliwe, co? Jest tu już tylu Zielonych. Agenci mają nas dość. Nienawidzą nas wszystkich.

Starłam się nie przewracać oczami.

– Czy operacja wymagała znajomości elektroniki? – zapytałam.

– No tak, ale czy kiedykolwiek wcześniej wysłali na akcję dzieciaka z Jedyńki? – zaczął Jude. – Oni mieli służyć wyłącznie do pomocy w Bazie.

Miał rację. Vida nazwała ich Skrzypkami i bardzo to do nich przylgnęło. Wszyscy Zieloni ze względu na swoje ponadprzeciętne zdolności logicznego myślenia i analizy zostali skierowani przez Ligę do rozszyfrowywania kodów, tworzenia wirusów komputerowych i budowania szalonych urządzeń. Wszyscy chodzili w ten sam charakterystyczny utykający sposób – Nico też. Stawiali dziwne kroki i ciągnęli stopy po podłodze, trąc po niej trampkami, które wydawały ciche skrzypnięcia. Byłam pewna, że podchwytywali to jeden od drugiego podświadomie – zawsze poruszali się synchronicznie, tak jak powinny się poruszać części sprawnej maszyny.

– Nie jest już dzieckiem i ma właściwy zestaw zdolności, żeby im pomóc – powiedziałam. – Wiem na pewno, że pozostałe zespoły Zielonych są w tym tygodniu zajęte. Prawdopodobnie był ich ostatnią deską ratunku.

– Nie – zaproponował Jude. – Uważamy, że wybrali go celowo. Że chodziło im konkretnie o niego.

Minęła chwila, zanim Jude zebrał się na odwagę, żeby znowu na mnie spojrzeć. Kiedy podniósł na mnie wzrok, na jego twarzy malowało się zawstydzenie i tak wyraźne przerażenie, że poczułam, jak mięknę na tyle, by zapytać:

– Czy jest coś, czego mi nie mówisz? Coś mi umknęło?

Jude zawiązał węzeł na rogu rozciągniętej koszuli. Nico wbił wzrok w komunikator i nawet nie mrugał.

– Ja, Nico i... Blake – zaczął Jude – bawiliśmy się tu kilka dni temu. Próbowaliśmy skonstruować samochód na pilota ze zbędnych części komputerowych.

– Aha...

– Nico musiał wyjść porozmawiać z Cate, ale ja i Blake wzięliśmy samochód na jazdę próbną. Nie podejrzewaliśmy, że to coś złego albo że ktoś może mieć coś przeciwko temu. Ale... kojarzysz pomieszczenia, w których magazynujemy wyposażenie bojowe? Kamizelki kuloodporne, zapasową amunicję i takie tam?

Pokiwałam głową.

– Usłyszeliśmy, że z jednego z nich dochodzą głosy. Stwierdziłem, że to pewnie chłopaki grają sobie w karty albo coś w tym rodzaju. Czasem się tam zaszywają, żeby móc obgadywać Albana lub któregoś z doradców. – Jude zaczął się wyraźnie trząść. – Ale kiedy usłyszałem, co dokładnie mówią... Nie grali w karty, Roo, rozmawiali o nas. To byli Rob, Jarvin i kilku ich kumpli. Powtarzali rzeczy takie jak „redukcja populacji odmieńców” i „przywrócić Albana na właściwy kurs”. Dyskutowali o tym, jak zamierzają udowodnić, że utrzymywanie nas tu to strata czasu i... zasobów.

Poczułam przeszywający chłód. Chwyciłam najbliższe krzesło i przyciągnęłam je do Nico. Jude zrobił to samo, wykręcając sobie przy tym palce dłoni.

– Przyłapali cię na podsłuchiowaniu?

– Wiem, że to głupie, ale kiedy to usłyszałem, spanikowałem... Nie chciałem, ale upuściłem samochód. Uciekliśmy, zanim otworzyli drzwi, ale jestem pewny, że nas widzieli. Słyszałem, jak Rob woła moje imię.

– I co potem? – naciskałam. Mój umysł łączył fakty. Robiło się niebezpiecznie.

– Później Blake został przydzielony do akcji, pomimo że jest w Jedynce. Jarvin twierdził, że potrzebują Zielonego, żeby się włamać na serwer jakiejś firmy, i że nie ma wyboru.

Powoli odchyliłam się w tył. Redukcja populacji odmieńców. Moje ucho, to, na które przyjąłem wybuch granatu, zaczęło pulsować.

*To przypadek* – mówiłam sobie. – *Rob po prostu zachowywał się brawurowo.* Ale drugie kłamstwo brzmiało mniej przekonująco niż pierwsze. Redukcja populacji odmieńców. Jak? Przez pakowanie ich w śmiertelnie groźne sytuacje podczas akcji, tak żeby ich śmierć można było uznać za wypadek? Rob już wcześniej zabił kilkoro dzieci. Wiedziałam tylko o tych, które dostrzegłam w jego pamięci, ale to nie znaczyło, że nie było ich więcej.

*Boże.* Obezwładniająca fala nudności eksplodowała mi w żołądku. Czy zabił je po to, by zmniejszyć ich liczbę w Bazie?

Nie, nie. To bez sensu. Myśli kotłowały mi się w głowie i wymykały spod kontroli. Przecież to Nico i Jude – dwójka chłopców, którzy mieli za dużo wolnego czasu i trwonili go na objanie się i wymyślanie upiornych historii. Nieustannie szukali guza, a później nie mogli uwierzyć, kiedy sytuacja zmieniała się na ich niekorzyść.

– To tylko zbieg okoliczności – skwitowałam. Jestem pewna, że zamierzałam powiedzieć coś jeszcze, ale nowy argument odczepił się od mojego łańcucha myślowego, gdy usłyszałam,

jak ktoś woła moje imię z drugiego końca pomieszczenia.

W drzwiach auli stał Szczurza Twarz – jeden z doradców Albana.

– Szef chce z tobą porozmawiać w swoim biurze za godzinę od teraz – rzucił, po czym odwrócił się na pięcie i zniknął, najwyraźniej niezadowolony, że obsadzono go w roli posłańca.

– Czego on chce? – Jude był widocznie zdezorientowany.

Sztywniaków w garniturach widywało się zazwyczaj wyłącznie w bezpośredniej bliskości Albana. Nie zdziwiłabym się, gdyby co noc włamywali się do jego kwatery i śpiącemu na zmianę szeptali do ucha plany i pochlebstwa.

Łącznie było ich dziesięciu, wszyscy mieli ponad pięćdziesiątkę. Rozdzielili między siebie różne zadania i przejęli kontrolę nad podlegającymi im sektorami. Koordynowali i zatwierdzali operacje, sprowadzali zapasy i załatwiali kontrakty, rekrutowali trenerów i zajmowali się finansami Ligi. A wszystko po to, by Alban mógł się skupić na „wielkoformatowych” wytycznych i celach.

Jude twierdził, że znaleźli się w Lidze, bo Gray chciał się ich pozbyć z takich czy innych powodów, nie mieli więc wyjścia i musieli zejść do podziemia. Ciągle nie znałam imion połowy z nich, bo większość hołdowała zasadzie, by nigdy nie zwracać się bezpośrednio do odmieńców. Łatwiej było się skupić na ich cechach szczególnych i nadać im adekwatne przezwiska. Szczurza Twarz, Małpie Uszy, Końskie Zęby i Żabie Usta należeli do tych, których widywałam najczęściej.

Przezwiniska nie były może najoryginalniejsze, ale za to niezwykle celne.

– Sprawozdanie? Tak szybko? – zapytał Jude, na powrót wbijając wzrok w telewizor.

Sięgnęłam do wyłącznika.

– Hej! – zaprotestowali.

– Jesteście spóźnieni. – Wskazałam na wiszący na ścianie zegar. – Jeszcze dwie minuty i Trener Johnson wlepi wam przewinienie.

– I co z tego? – odgryzł się Jude. – To jest ważniejsze.

– Ważniejsze niż przejście do czynnej służby? – zapytałam. – Bo jak sprawdzałam ostatnio, brakowało ci tylko dwóch przewinień do tego, żeby utknąć w obsłudze Bazy na zawsze.

Grałam nie fair. Potwierdził to rozwścieczony wzrok Nico. Ale on wiedział, i to pewnie lepiej ode mnie, że zakaz uczestnictwa w akcjach na powierzchni był czymś, czego Jude za wszelką cenę pragnął uniknąć.

Odprowadziłam ich aż do sali treningowej, na wypadek gdyby przyszło im do głowy się wymknąć. Zespoły, z którymi zazwyczaj trenowaliśmy – Dwójka, Trójka i Czwórka – były już na miejscu i rozgrzewały się, zasłaniając ścianę luster. Było to jedyne pomieszczenie w całej Bazie, w którym naprawdę czuć było ludźmi. Odór potu i rozgrzanych ciał świadczył o obecności prawdziwego, namacalnego życia. Było to na pewno lepsze niż pleśń.

Trener Johnson skinął w moim kierunku, kiedy przytrzymałam drzwi. Fluorescencyjne świetlówki rozjaśniały jego i tak jasne blond włosy. Tego dnia ja i Vida byłyśmy zwolnione z zajęć i treningu, ale nazajutrz miałyśmy zacząć od nowa. Wpadłam w rytm tego miejsca z ulgą, wdzięczna za to, że nie muszę myśleć o niczym poza chodzeniem z jednych zajęć na kolejne i od jednych do drugich drzwi. Lekcja przetrwania zdobyta dzięki uprzejmości Thurmond.

Byłam gotowa na to, że Jude i Nico mnie znienawidzą. Nie przejmowałam się tym. Po prostu nie mogłam pozwolić sobie na zarażenie się od nich strachem i dopuścić, by ich przerażenie spotęgowało moje własne. Bardzo ciężko pracowałam, by zniezulić się na to miejsce. Nie mogli tego zniweczyć. Mieli moją uwagę, troskę, opiekę, ale tego nie zamierzałam im oddawać.

Wykapana, najedzona, przebrana i opanowana, byłam gotowa na spotkanie z Johnem

Albanem. Ale on nie był gotowy na mnie.

Założyciela Ligi można było opisać wieloma określeniami – w tym nawet kilkoma pochlebnymi. Charakteryzowała go niezwykła inteligencja, temu nikt nie mógł zaprzeczyć. Liga istniała dzięki niemu. Problem tkwił jednak w tym, że jedni uważali, iż nadszedł czas na przeniesienie ofensywy przeciwko Grayowi na „kolejny poziom”, podczas gdy inni naciskali na Albana, by trzymał obrany kurs, skoro przynosiło to rezultaty.

Sądziłam, że miał wszelkie prawo spędzić tyle czasu, ile potrzebował na przemyślenie tak poważnej decyzji, ale rozumiałam też zniecierpliwienie agentów. Wiedziałam, że chcą wykorzystać rosnące niezadowolenie i szept sprzeciwu, które nas dobiegały.

Zza drzwi dosłyszałam głosy. Z początku łagodne, a później podniesione na tyle, że przykuły moją uwagę. Im dłużej stałam i słuchałam, tym mniejszą miałam ochotę zapukać.

– Nie! – warczał Alban. – Na Boga, nie! Nie! Ile razy mam powtórzyć to słowo, żeby w końcu trafiło do twojego słownika? Taka była odpowiedź, kiedy pierwszy raz przedstawiłeś to starszym rangą oraz kiedy przekonałeś Jarvina, by zaprezentował to doradcom. Ja również ją podtrzymuję.

– Nie przemyślałeś tego dokładnie...

Na dźwięk opryskliwego tonu Roba, instynktownie odchyliłam się w tył.

– Jak taki stan rzeczy świadczy o Lidze? Ilu tych wyrzutków tylko zajmuje miejsce w Bazie, marnując nasz czas i naszą energię?

Alban przerwał mu w pół słowa:

– To nie są *wyrzutki*, czego, jestem pewien, masz pełną świadomość. To nie podlega dyskusji. Cel nigdy nie uświęci środków, nieważne, jak bardzo będziesz się starał mnie o tym przekonywać. Nigdy. To są *dzieci*.

Gdzieś w mojej głowie pojedyncza myśl zaczęła się zasupywać w węzeł z inną, mroczniejszą, ale koncentrowałam się na tu i teraz.

– To ty zawsze powtarzasz: „cokolwiek, byle pozbyć się Graya”, nieprawdaż? To odwróciłoby jego uwagę, umożliwiłoby nam wniknięcie do obozów i ich rozbrojenie. Dowiedziałby się o tym cały kraj, do cholery! To teraz jedyny sposób. Wycwanili się i podrobione identyfikatory już nie wystarczą. Nie jesteśmy w stanie dostać się do obozów nawet po to, żeby wyciągnąć agentów. Czekają na nas! Wszyscy liczymy, że *coś* zrobisz! Że cokolwiek *postanowisz*!

Nastąpiła długa, pełna goryczy cisza. Jeśli Alban szukał jakichś słów, to ich nie znalazł. Myśli tłukły mi się po głowie jak szalone. Co to musiał być za plan, skoro tak bardzo wyprowadził go z równowagi?

– Po prostu cię ostrzegam – ciągnął Rob już spokojniej. – Na własne uszy słyszałem, jak agenci zastanawiali się, w kierunku jakiej polityki zmierzamy. Sporo ludzi ciągle uważa, że ostatecznie chcesz ożywić współpracę z Grayem. Że tęsknisz za swoim przyjacielem.

Zamknęłam oczy. Niepisana zasada mówiła, że pod żadnym pozorem nie wolno poruszać tematu byłej przyjaźni Albana z prezydentem Grayem oraz pierwszą damą. Cate powiedziała mi kiedyś, że Alban nie lubił nawet wzmianek o pracy, którą kiedyś wykonywał jako minister bezpieczeństwa wewnętrznego. Podejrzywałam więc, że nie był zachwycony, gdy wypominano mu, iż dawniej należał do wąskiego grona osób, które uczestniczyły w prywatnych kolacjach w dostojnych wnętrzach Białego Domu.

Do rozmowy włączył się kolejny głos:

– John, nie odrzucajmy tego całkowicie. To taktyka, którą już kiedyś stosowano i która *naprawdę* jest skuteczna. Nie dowiedzieliby się o tym. Mamy swoje sposoby, potrafimy ukrywać mechanizmy...

Byłam tak skupiona na podsłuchiowaniu, że nie usłyszałam, jak ktoś, kulejąc, zachodzi mnie od tyłu. Dostrzegłam go, dopiero kiedy klepnął mnie w ramię, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Na twoim miejscu wpuściłbym to jednym, a wypuścił drugim uchem – odezwał się Cole. – Może przytoczyć ci stare dobre porzekadło o tym, co jest pierwszym stopniem do piekła?

Było za późno, by odskoczyć i udawać, że nie podsłuchuję, a poza tym za bardzo się trzęsłam, żeby próbować.

Lekarz z oddziału Roba wykonał kawał dobrej roboty, łąając głębsze rozcięcia na twarzy Cole’a i oczyszczając mu skórę. Cole miał na sobie luźną koszulkę i o kilka rozmiarów za duże spodnie, ale przynajmniej nie były to jego stare poplamione wymiocinami łachmany. Dzięki Bogu wyglądał jak inny człowiek. Łatwiej było na niego patrzeć.

I w końcu mogłam mu się dobrze przyjrzeć.

Kiedy Liam powiedział mi, że ma starszego brata, wyobraziłam sobie, że jest *dużo* starszy. Że ma jakieś dwadzieścia pięć albo dwadzieścia sześć lat, że jest w wieku Cate. Ale w samolocie podsłuchiwałam, jak członkowie oddziału taktycznego Roba narzekali na niego. Mówili, że jest aroganckim dwudziestojednoletnim smarkaczem, na którego Alban marnuje wszystkie dobre akcje. *Mały złoty chłopak*.

Trzy lata – tyle dzieliło go od Liama. Od OMNI. Cole należał do tego wąskiego pokolenia, które miało wystarczająco dużo lat, żeby wymknąć się chorobie.

– Nie było za bardzo okazji, żeby pogadać w samolocie, co? – rzucił, unosząc zabandażowane palce ponad moim ramieniem i zaczesując do tyłu wilgotne włosy.

Przewyższał brata o kilka centymetrów, co dobitnie sobie uświadomiłam, kiedy z szelmowskim uśmiechem pochylił się, żeby spojrzeć mi w twarz. Możliwe, że był od niego węższy w ramionach i w pasie, ale w jego postawie zauważyłam coś znajomego...

Potrząsnęłam głową, usiłując się pozbyć rumieńca z policzków, i zapukałam do drzwi. Dyskusja gwałtownie się urwała. Kiedy weszłam, Alban podniósł się zza swojego ciemnego drewnianego biurka, zamknął laptopa i wyłączył wydające cichy pomruk krótkofalówki leżące na stole. Rob i zabiousty doradca stali z rozpalonymi od emocji twarzami. Kiedy Rob nas zobaczył, przewrócił teatralnie oczami i oparł się o jedną z wielu półek Albana, wyłożoną bezużytecznymi drobiazgami z jego dawnego życia.

– Chciał mnie pan widzieć? – zapytałam.

– Na litość boską, usiądźcie, usiądźcie, proszę. – Alban wskazał dłonią na stojące naprzeciwko niego rozkładane krzesła. – Oboje wyglądacie na ledwo żywych.

– Nic mi nie jest – powiedziałam, a po chwili namysłu dodałam: – Dziękuję.

Nienawidziłam tego, jak słaby wydawał się przy nim mój głos. *Nienawidziłam*.

Alban z powrotem usiadł i wygiął usta w uśmiechu, odsłaniając garnitur żółtych zębów. Rzadko wychodził z Bazy i pokazywał się publicznie – nie mógł tego robić ze względu na gigantyczną cenę nałożoną na jego głowę. Kiedy zachodziła potrzeba nagrania jakiegoś przemówienia, podczas postprodukcji zawsze czyszczono mu ospowatą skórę i rozjaśniano cerę. Nierzadko też nakładano jego postać na zdjęcia amerykańskich krajobrazów albo miast, by stworzyć wrażenie, że jego strach przed wyjściem na powierzchnię jest dużo mniejszy niż w rzeczywistości.

– Jeśli wasza trójka wyrazi zgodę, chciałbym wysłuchać sprawozdania z operacji odbicia agenta Stewarta zeszłej nocy. Nie sądzę, byśmy mogli dłużej z tym zwlekać.

Zaczął, aż Cole opadnie na krzesło obok mnie, po czym nachylił się przez biurko i ujął jego dłoń.

– Nie potrafię wyrazić, jak się cieszę, że znowu widzę twoją twarz, mój drogi chłopcze.

– Szczęściarz z ciebie – odparł Cole ze sporą dawką goryczy. – Wygląda na to, że od teraz będziesz często widywał moje piękne oblicze.

*Spokojnie* – napominałam się w myślach, czując, że się spinam. Cole to nie Liam bez względu na to, jak bardzo przypomina go z wyglądu. Bez względu na to, jak podobne mają głosy. – *Skup się na różnicach.*

Cole był postawniejszy i bardziej kanciasty niż Liam. Od kiedy ostatnio go widziałam, zgolił się prawie na zero, i chociaż wiedziałam, że jest blondynem, to jego włosy wyglądały teraz na o dwa odcienie ciemniejsze. Liam, którego znałam, był naturalniejszy i cieplejszy w każdym możliwym znaczeniu. Starszy brat siedział obok mnie – surowy i skatowany, sprawiał wrażenie, jakby wykuto go z lodu. Jego stan wcale nie różnił się tak bardzo od tego, w jakim zostawiłam Liama. To okropne, przerażające, jak szybko mój umysł zamienił jednego brata na drugiego. Jak bardzo myśl, że obok znowu siedzi Liam, podniosła mnie na duchu i zmniejszyła napięcie w klatce piersiowej.

*Uspokój się.*

Żabie Usta zamknął drzwi od wewnątrz i wycofał się w kąt biura, wślizgując się w cień Albana.

– W normalnych warunkach nigdy nie zakłóciłbym ci odpoczynku – powiedział Alban. – Ale wysłuchawszy sprawozdania agenta Meadowsa, mam wrażenie, że zaistniały pewne niejasności, że tak to nazwę. Chciałbym usłyszeć, jak to wyglądało z twojego punktu widzenia, Ruby.

Zdałam sobie sprawę, że zwraca się do mnie, dopiero w chwili, gdy Rob odepchnął się od półki z książkami i wziął głęboki wdech, wypychając do przodu pierś. Przed wyruszeniem na akcję znowu przyszytył na krótko ciemne włosy, co uwydatniało kości twarzy. Zmieniało sposób, w jaki cienie rozkładały się na jego skórze.

*Boże, czemu to robimy? Gdzie jest Cate?* Nigdy nie zdawałam raportu bez niej, na dodatek tu, w biurze Albana, za zamkniętymi drzwiami. Zaskoczył mnie własny niepokój – nie ufałam Cate, ale najwidoczniej gdzieś po drodze przyzwyczaiłam się do jej cichej, spokojnej obecności i przekonania, że jeśli się potknę, ona mnie złapie.

– Czy... czekamy jeszcze na kogoś? – zapytałam, uważając, by nie zadrżał mi głos.

Alban zrozumiał, o co mi chodzi.

– To jest po prostu zwyczajna pogawędka, Ruby. Poziom tajności tej operacji nie pozwala nam na zorganizowanie zebrania sprawozdawczego przed całą organizacją. Możesz być z nami zupełnie szczerą.

Przycisnęłam dłoń do kolan, usiłując opanować ich drżenie.

– Agent Meadows – podjęłam, świadoma, że mówię za głośno – omówił z nami wytyczne misji podczas lotu. Powtórzył, jaki mamy cel, oraz przedstawił to, co było wiadomo o rozkładzie bunkra. Przypomnił nam również o planach awaryjnych, które omawialiśmy przed wyjazdem.

Alban nie był mistrzem w ukrywaniu emocji – zdradzały go szerokie usta. Jeden z kącików drgnął.

– Czy którykolwiek z tych planów awaryjnych zakładał, że razem z Vidą opuścicie bunkier?

– Nie – powiedziałam. – Agent Meadows rozkazał nam pozostać na pozycjach na klatce schodowej, żeby osłaniać oddział.

Alban położył łokieć na biurku i oparł brodę o palce dłoni.

– W takim razie czy możesz wyjaśnić, dlaczego tego nie zrobiłyście?

Nie patrzyłam na Roba, ale wiedziałam, że świdruje mnie wzrokiem. Tak jak cała reszta. Ich spojrzenia były tak ciężkie, że byłam pewna, iż Meadows już odpowiedział na to pytanie.

*Jeśli wpakuję Roba w kłopoty* – pomyślałam – *ostatecznie się pogrążę*. Był w gorącej wodzie kąpany. Już w chwili, gdy podejmowałam decyzję opuszczenia bunkra, wiedziałam, że będzie wściekły, ale to było nic w porównaniu z furją, w jaką by wpadł, gdybym go wydała i powiedziała innym o tym, co wydarzyło się na schodach. Nie mogłam pozwolić, by moja twarz zdradziła nurtujące mnie podejrzenia. Nie mogłam zadać pytań, które mnie dręczyły. *Czemu nas nie ostrzegł?* Moje radio wtedy jeszcze działało. Usłyszałabym go.

– Klatka schodowa... przestała być bezpieczna. Rozkazałam Vidzie opuścić bunkier, żeby monitorować sytuację z zewnątrz.

– I nie poinformowałam mnie o tym, bo...? – zapytał Rob. Wściekłość już go zdradzała.

– Mój zestaw słuchawkowy uległ zniszczeniu, co zresztą widziałeś podczas przegrupowania.

Chrząknął.

– W porządku – odezwał się po chwili Alban. – Klatka schodowa przestała być bezpieczna. Jak to się stało?

*Wybuchł granat. Rob odpalił granat.* Pięć słów. Jedyna pewna droga do tego, żeby Rob dostał nagane, na którą zasługiwał. Żeby musiał przełknąć każdą jej gorzką kroplę. Alban by mi uwierzył. Nigdy nie zwątpił w moje słowa – a raz nawet mnie bronił przed swoimi doradcami, po tym, jak wydobyłam niechciane informacje z jakiegoś nieszczęsnego umysłu. Pięć słów, żeby powiedzieć mu prawdę o tym, że Rob naraził na szwank własną operację przez czystą głupotę albo naumyślnie i o mały włos nie zabił Vidy i mnie.

Nie wiem, skąd o tym wiedziałam ani czemu byłam tego taka pewna – przecucie było jednak tak wyraźne jak dudnienie krwi w moich uszach. Czułam, że jeśli go wydaję i upokorzę, następnym razem weźmie mnie na cel. I nie chybi.

– Była... słabej konstrukcji i się zawaliła – wyjaśniłam. – Nie mogła unieść ciężaru nas wszystkich naraz.

– Rozumiem – powiedział Alban, rozciągając to słowo. – Agent Stewart twierdzi, że to ty i Vida bezpośrednio go odbiliście. Jak do tego doszło?

– Ona i ta druga całkowicie zignorowały mój rozkaz powrotu do bunkra! Oto, jak do tego doszło! – wtrącił się Rob. – Nie mam najmniejszych wątpliwości, że twoja koleżanka go słyszała. Wiem, że to ty zaniechałaś powrotu.

Wszyscy czterej mężczyźni odwrócili się w moją stronę. Moje pole widzenia się zwężyło, a z brzegów zaczęła się do niego przesączać czerń. Przycisnęłam dłoń do gardła i szarpnęłam za ciasny kołnierz, usiłując uwolnić oddech, który tam utknął.

Potrzebowałam Liama. Nade wszystko pragnęłam, żeby był przy mnie, stanął na tyle blisko, bym mogła poczuć zapach jego skórzanej kurtki, dymu i słodkiej trawy.

– Ruby – głos Albana był opanowany, głęboki i cierpliwy jak ocean spokoju – odpowiedz, proszę, na moje pytanie.

Chciałam tylko, żeby to się skończyło. Nie mogłam się doczekać, aż wrócę do siebie, wypełnę na prycze w zimnej ciemności i odpłynę w nicość.

– Rob ma rację. Nakazałam Vidzie zignorować rozkazy. Kiedy wyszliśmy na powierzchnię, zobaczyliśmy, jak oficerowie Gwardii Narodowej wyprowadzają więźniów wyjściem, o którym nie wiedzieliśmy. Nie poprosiłam o pozwolenie na działanie. Wiem, że powinnam była.

– Bo wiesz, do cholery, że jedyne, czego się od ciebie oczekuje, to wykonywanie rozkazów Dowódcy! – warknął Rob. – Gdybyście byli na pozycjach i osłaniały nasz odwrót, nie stracilibyśmy tylu ludzi! Jesteś tego świadoma?

Telewizory za plecami Albana były wyłączone, ale mogłabym przysiąc, że słyszałam ich

elektryczny oddech – tym głośniejszy, im dłużej mężczyźni milczeli. Alban przycisnął sobie dłoń do czubka głowy, ale ani na chwilę nie oderwał ode mnie wzroku.

I wtedy rozległ się głos Cole’a, z niepodrabialnym południowym akcentem:

– Dzięki Bogu za twoją *niesubordynację*. W przeciwnym razie byłbym teraz w drodze na tamten świat.

Stało się jasne, że nie doceniałam wpływu, jaki Cole wywierał na organizację. „Wpływ” to nie najlepsze słowo. Lepsze byłoby „poważanie” – zyskiwał je głównie dzięki urokowi osobistemu, a potęgowała je jeszcze jego zabójcza skuteczność. Alban uniósł brwi, ale jedynie skinął głową i pozwolił mu kontynuować.

– Nazywajmy rzeczy po imieniu. – Cole rozsiadł się wygodnie. – To ona mnie wyciągnęła. Czemu ma mieć z tego tytułu problemy?

– Zlekceważyła moje bezpośrednie rozkazy!

Cole machnął ręką ze znudzeniem.

– Chryste! Tylko spójrzcie na biedaczkę! Nadstawiała dla mnie karku. Jeśli myślicie, że będę siedział cicho i pozwolę jej wziąć na siebie winę za coś, co wcale nie było porażką, to grubo się mylicie.

Nikt się nie odezwał. Popatrzyłam na arogancką minę Cole’a, a później na złowieszczy wyraz twarzy Roba. Skrawek dzielącej ich przestrzeni był wypełniony czymś więcej niż nieufnością i złością – zalegała tam wieloletnia historia zabarwiona nienawiścią, której nie rozumiałam.

Napięcie spłynęło z twarzy Albana jak deszcz i w końcu on też się uśmiechnął.

– W tej sprawie skłaniam się ku przyznaniu racji agentowi Stewartowi, Ruby... Dziękuję, że miałaś głowę na karku. – Alban przerzucił kilka kartek na swoim biurku. – Agencie Meadows, przejrze wasz pełny raport dziś wieczorem. Na chwilę obecną jesteście wolni.

Kiedy starszy rangą agent wstał, poszłam w jego ślady, odwracając się ku drzwiom z zamiarem szybkiej ucieczki. Powstrzymał mnie jednak głos Albana:

– Ruby, jeśli pozwolisz, mam jeszcze jedną sprawę. Chciałbym omówić pewną rzecz z tobą i Cole’em.

*Pozwól mi już iść, pozwól mi już iść, pozwól mi...*

Było jasne, że Robowi się to nie podoba, ale nie miał wyboru. Drzwi trzasnęły za nim z taką siłą, że rozległ się brzdęk szklanych butelek po coli stojących na wiszącej nad nimi półce.

– Dobrze, a teraz coś z innej beczki... – Alban spojrzał w moją stronę. – Zacznę od tego, że masz u mnie kredyt zaufania, moja droga, i to wykraczający poza to, co do tej pory sobą zaprezentowałaś. Jeśli się dowiem, że choćby słowo z tej rozmowy wydostało się poza ściany tego biura, wyciągnę konsekwencje. Te same zasady obowiązują tu i na dole.

*Blagam, tylko nie to. Blagam, żeby to nie było to.*

– Tak jest.

Usatysfakcjonowany zwrócił się do Cole’a.

– To, co powiedziałem wcześniej, było szczere. Przepraszam, że musimy to zrobić, chociaż jeszcze nie całkiem wydobyłaś. *Ale*, jak dobrze wiesz, musimy odzyskać informacje, które ci wykradziono.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odezwał się Cole – ale mówiłem już, że nie wiem, kto je ma. Przewrócili mnie i widziałem, jak ktoś je zabiera, ale szczerze mówiąc, nie pamiętam za wiele z tego, co się wydarzyło po tym, jak zabrali mnie do bunkra. Nie mam pewności, czy przechwycił je mój kontakt.

Patrzyłam, jak przeciąga zabandażowaną dłońią po swoich krótko przystrzyżonych włosach. Zastanawiałam się, czy dla Albana jest tak samo oczywiste jak dla mnie, że nie mówi



prawdy.

– To zrozumiałe, biorąc pod uwagę okoliczności – powiedział Alban, odchylając się na oparcie krzesła. Splótł palce i położył je na wypukłości swojego brzucha. – I właśnie dlatego potrzebujemy Ruby. Jest niezastąpiona w... w wydobywaniu wspomnień z agentów. Pomogła nam namierzyć niejedną zagubioną informację.

*Proszę, proszę, tylko nie on.* Nie chciałam zaglądać do jego umysłu. Nie chciałam patrzeć na obrazy Liama ani ich wspólnego życia. Jedyne, czego pragnęłam, to znaleźć się jak najdalej od niego, zanim moja zapadająca się klatka piersiowa zmiażdży mi serce.

Mimo opalenizny Cole zrobił się blady – od zmarszczek między brwiami po palce dłoni zaciśnięte na podłokietnikach plastikowego krzesła.

– Daj spokój. – Alban się roześmiał. – Słyszałem, że to zupełnie bezbolesne. Jeśli będzie inaczej, dopilnujemy, by natychmiast przestała.

W to nie wątpiłam. Na wypadek gdybym oszukała i nie puściła umysłu Cole'a, każdy z doradców i starszych rangą agentów trzymał w dłoni głośniki, które działały jak miniaturowe urządzenia do produkcji Białego Szumu.

– Zawsze aż się palisz do skakania z mostów i infiltrowania Sił Specjalnych Psi, a nie chcesz pozwolić, żeby dziewczyna zerknęła ci do wspomnień dla dobra twojej rodziny... dla dobra twojego kraju? – Pomimo wszystkich przytyków uśmiech nie schodził Albanowi z twarzy.

*Sprytnie*, pomyślałam. Mowa w rodzaju „Zrób to dla Swojego Wspaniałego Kraju” o jeden stopień przewyższała bezpośredni rozkaz, a Cole miał wystarczająco dużo oleju w głowie, by zdawać sobie sprawę z tego, że będzie o wiele lepiej, jeśli zgodzi się na to z „własnej, nieprzymuszonej woli”.

– Niech będzie – powiedział w końcu, odwracając się, żeby na mnie spojrzeć. – Co mam zrobić?

Minęło kilka chwil, zanim odzyskałam głos, ale byłam dumna z tego, jak mocno zabrzmiał.

– Podaj mi rękę.

– Bądź delikatna, skarbie – rzucił Cole, a jego palce lekko drgnęły, kiedy dotknęły moich. Alban roześmiał się bezceremonialnie, a Cole wypuścił nierówny wydech i zamknął oczy.

Jego skóra była lodowata i śliska w dotyku. Staralam się ignorować uporczywy napór jego kciuka na mój. Zawsze miałam wrażenie, że dłoń Liama połyka moją, kiedy ją chwycił, ale ta była jeszcze większa. Była jednak tak samo szorstka i pokryta stwardniałą skórą, którą nabywało się jedynie przez lata dźwigania ciężarów, broni i udziału w walkach. I tak samo jak u lewej dłoni brata jego palce drgały co kilka minut.

Nie chciałam myśleć o żadnej z tych rzeczy. Utkwiłam wzrok w jego lewej dłoni, w dwóch palcach, które raz na jakiś czas się poruszały, podczas gdy on cicho walczył z bólem promieniującym z odniesionych obrażeń.

– Spróbuj się rozluźnić – powiedziałam. – Możesz mi powiedzieć, czego mam szukać? Co to jest, jaki ma rozmiar, kolor? Podaj mi tyle szczegółów, ile tylko zdołasz.

Cole ciągle miał zamknięte oczy.

– Pendrive standardowych rozmiarów. Mały czarny prostokąt, długości mniej więcej mojego kciuka.

W ciągu minionych sześciu miesięcy robiłam to tyle razy, że nie odczuwałam już żadnego bólu, ale i tak się na niego przygotowałam. Dłoń Cole'a delikatnie się trzęsła – a może to moja ręka drżała? Chwyciłam go mocniej, żeby dodać nam obojgu otuchy.

– Cofnij się wspomnieniami do ostatniego momentu, kiedy go miałeś. Spróbuj przywołać tę chwilę, jeśli potrafisz.

Powietrze uszło z Cole'a w dwóch krótkich gwałtownych wydechach.

To było jak wślizgiwanie się pod nieruchomą powierzchnię rozgrzanej słońcem rzeki. Choć przebicie się przez jego naturalne systemy obronne wymagało wysiłku, w smugach kolorów i kształtach, które przeze mnie przepływały, nie było nic zimnego ani odrętwiałego. Poruszały się jednak za szybko. Raz po raz ukazywała mi się twarz albo przedmiot: zielone jabłko, opuszczona huśtawka, mały wypchany miś palący się w umierającej trawie, drzwi z niedbalym napisem WSTĘP WZBRONIONY! nabazgranym kredkami. Zupełnie jakby próbował myśleć o wszystkim *poza tym*, o co go poprosiłam.

Opadł na krzesło praktycznie bezwładny, a jego głowa powoli pochyliła się w kierunku mojego ramienia. Miałam wrażenie, że nią potrząsa i muska mnie włosami w szyję.

– Pokaż mi, gdzie go zgubiłeś – powiedziałam cicho. – Czarny pendrive.

Wspomnienia przyplłynęły ku powierzchni tak szybko, jakbym wyciągnęła je z wody. Mały chłopczyk w ogrodniczkach, mający nie więcej niż dwa–trzy lata, siedzący pośrodku morza ciemnoszarego dywanu, wrzeszczący wniebogłosy.

– Pendrive – powtórzyłam.

Obraz rozmazał się i zniknął. W jego miejsce pojawiło się nocne niebo i trzaskające ognisko, które rzucało ciepłą poświatę na stojący obok namiot i poruszające się w nim ciemne sylwetki.

– Filadelfia! – usłyszałam za sobą głos Albana. – Filadelfia, Cole. Laboratorium!

Cole najwyraźniej zarejestrował głos mężczyzny, bo poczułam, jak się wzdyga. Chwyciłam go mocniej, zanurzając się w strumieniu jego myśli, niespodziewanie zmartwiona tym, co się ze mną stanie, jeśli nie wydobędę oczekiwanej odpowiedzi. *Pendrive* – pomyślałam. – *Filadelfia*.

Wspomnienie zadrgało, zakołysało się – czarne i bezszelestne jak kropla atramentu na czubku pióra. Zadrżało po raz ostatni i w końcu się uwolniło.

Sceneria wokół się zmieniła, wpadłam w deszczową noc. Strumień światła omiotł ceglany mur po mojej lewej stronie, potem następny. Zobaczyłam światła samochodu. Nie słyszałam pisku hamulców ani wysokich obrotów silnika, ale byłam Cole'em i widziałam wszystko tak, jak on widział to wtedy. Uciekałam.

Wokół moich kostek tryskała w górę woda i plątały się śmieci. Jedną ręką opierałam się o mur, żeby odnaleźć drogę w ciemności. Beton raz po raz roziskrzył się, jakby ktoś pocierał o niego czymś ostrym, aż w końcu pojęłam, co się dzieje. Strzelali do mnie i to coraz celniej.

Podskoczyłam wysoko, złapałam czarną drabinę przeciwpożarową i pociągnęłam ją w dół. Miałam tak sztywne i zziębnięte dłonie, że ledwie zaciskałam je na szczeblach podczas wspinaczki. Strzały wciąż trwały, aż do chwili, kiedy przetoczyłam się na szorstką powierzchnię dachu, wycierając włosami kurz i brud. Zerwałam się jak rażona piorunem i rzuciłam pędem, przeskakując na dach budynku obok. Poszybowałam nad ziemią i na tę jedną sekundę spojrzałam w dół. Migające czerwono-niebieskie światło samochodu policyjnego podążało za mną jak kpiący cień. Wiatr zawiął mocniej, targając moją luźną koszulę.

Opuściłam się wzdłuż krawędzi następnego budynku. Poczułam dławiący smród gnijących śmieci i zrobiło mi się trochę niedobrze. Moje stopy uderzyły w gumową pokrywę kontenera, a siła upadku wygięła mi kolana i cisnęła na ziemię głową w dół.

Minęła chwila, może dwie, ale byłam zbyt oszołomiona przez ból, żeby się ruszyć. Zdażyłam tylko wsunąć pod siebie ręce, kiedy alejkę zalało jasne białe światło.

Człowiek nie jest w stanie zbyt szybko się poruszać, kiedy kuleje, ani uciec za daleko, kiedy za plecami ma ścianę. Ale i tak się pozbierałam i rzuciłam do odrapanych drzwi po lewej stronie, słysząc, jak żołnierze i policjanci ciskają za mną wyzwiskami. Szłam powoli, lecz

pewnie – wiedziałam, dokąd idę, i upewniłam się, że drzwi się za mną zamknęły.

Przyzwyczajenie wzroku do słabego światła korytarza kosztowało mnie dwie cenne sekundy. Pokuśtykałam w górę schodów do bładoniebieskich drzwi mieszkania 2A i pchnęłam je ramieniem. W środku świeciło się światło, a na ladzie wciąż parzyła się kawa, ale nie było w nim nikogo. Sprawdziłam każdy pokój, pod łóżkiem, w szafach, po czym wróciłam do przedpokoju i sięgnęłam po wiszącą tam czarną kurtkę.

Budynek zdawał się trząść od uderzeń butów na wąskiej klatce schodowej. Kiedy chwytałam kurtkę, zadrżały mi ręce – z niedowierzaniem dotykałam podszewki i raz po raz przebiegałam palcami tuż nad dolnym szwem.

Drzwi obok mnie otworzyły się z impetem. Nie miałam szansy się ruszyć, walczyć ani uciekać. Powalili mnie na ziemię, wykręcili ręce za głowę i zakuli w kajdanki. Widziałam ich buty, kiedy przechodzili ponad moimi plecami, zaglądając do pozostałych pomieszczeń – jedno po drugim sprawdzali je z uniesioną, gotową do wystrzału bronią. Dopiero kiedy skończyli, zwlekli mnie schodami w dół. Minęliśmy zszokowane twarze moich sąsiadów, obszarpane zewnętrzne drzwi i wypadliśmy z powrotem na deszcz, gdzie czekała na nas czarna furgonetka.

Były tam Siły Specjalne Psi, Gwardia Narodowa i policja. Żadnych szans na ucieczkę. Nie stawiałam oporu, kiedy mnie podnosili, wrzucali na tył auta i przypinali kajdankami. W środku znajdowali się też inni ludzie, ale nikogo nie poznawałam. Żaden z nich nie był nim.

Nie wiem czemu, ale nagle podniosłam wzrok – może instynktownie, może z desperacji. Drzwi z trzaskiem odcinały mnie od życia, ale i tak najważniejszy stał się obraz przerażonej twarzy Liama, który stał pod pobliską migającą latarnią uliczną, a po ułamku sekundy zniknął w ciemności.

– Jak mogłeś? – zabrzmiał roztrzęsiony głos Cate. – Nie spała od dwóch dni, a ty kazałeś jej przechodzić przez coś takiego?

Utkwiłam wzrok w małej ogrodowej figurce podrygującego chłopczyka, którą w połowie zasłaniała mi amerykańska flaga zwisająca z biurka Albana. Leżałam na plecach na podłodze, ale nie pamiętałam, jak się tam znalazłam.

– Nie jest tresowanym szczeniakiem, który na zawołanie robi sztuczki! – Cate potrafiła krzyczeć bez podnoszenia głosu. – To *dziecko*. Proszę, nie korzystaj z jej *usług*, jak to elokwentnie nazywasz, bez konsultacji ze mną!

– Sądzę – podjął oschle Alban – że na dzisiaj już wystarczy tych pouczeń, agentko Connor. To *dziecko* jest już w takim wieku, że może samodzielnie podejmować decyzje. O ile może je tobie zgłaszać, a ty musisz przychodzić z nimi do mnie, o tyle ja w żadnym wypadku nie jestem zobowiązany, żeby cokolwiek z tobą „konsultować” albo ze względu na ciebie weryfikować swoje postanowienia. Teraz bardzo grzecznie cię proszę, żebyś opuściła moje biuro, zanim powiesz coś, czego będziesz żałować.

Podciągnęłam się z powrotem na krzesło. Cate rzuciła się, żeby mnie podtrzymać, ale poradziłam sobie sama i ją odepchnęłam. Też wyglądała tak, jakby nie spała – miała rozczochrane, posklejane włosy i tak szarą twarz, jakiej nigdy u niej nie widziałam. Pięć minut wcześniej wpadła do biura Albana jak burza, nie zatrzymując się nawet, żeby złapać oddech. Nie wiem, kto dał jej cynk. Może Rob. W każdym razie udało jej się tylko sprawić, że poczułam się jak upokorzony pięciolatek.

– Nic mi nie jest – powiedziałam.

Nie wyglądała na przekonaną.

– Zaczekam na zewnątrz – odparła.

– W takim razie trochę sobie poczekasz. Mamy na dole gościa, którego chciałbym przedstawić Ruby.

Oczywiście. Czemu miałabym dostać dzień wolnego od „zabawiania” gości?

– Naprawdę? – Cole patrzył po kolei na każdego z nas. – Ja też jestem zaproszony na tę imprezę?

Nastąpiła długa chwila ciszy, po czym Alban podniósł się z krzesła, okrążył biurko i zatrzymał się między mną a Cole’em, ostrożnie przysiadając na krawędzi blatu. Po raz pierwszy byłam tak blisko niego, że poczułam, iż pachnie pleśnią, tą samą, której nigdy do końca nie udawało się nam zeskrobać z pryszniców.

– Do zobaczenia na zebraniu, agentko Connor – rzucił, po czym dodał ciszej: – Proszę się przygotować. Agent Meadows kolejny raz wysunie wniosek o przeprowadzenie głosowania.

Cate odwróciła się na pięcie. Miała lekko uniesione dłonie, jakby chciała odbić tę myśl z powrotem w jego kierunku. Kiedy Żabie Usta odprowadzał ją do drzwi, wciąż się trzęsła.

Trzasnęła za sobą drzwiami, ale Alban nawet nie drgnął.

– Znalazłaś naszą cenną zgubę?

Wtargnięcie Cate wyrwało mnie z oparów wściekłości, ale nie potrzebowałam wiele, żeby znowu się w nich zatracić. Wykręcałam sobie pod biurkiem palce, by nie rzucić się Cole’owi do gardła.

Okazywało się, że na nic się nie zdało nakłonienie Ligi, by puściła Liama wolno. Jego brat najwyraźniej znalazł sposób, żeby znów wciągnąć go do centrum wydarzeń. Nie do końca rozumiałam obraz, który zobaczyłam w jego myślach i – wbrew temu, co sądził Alban – wcale

nie był to pendrive. Stało się dla mnie jasne, że Liam był zamieszany w całą sprawę.

– Nie trzymaj nas w niepewności – nalegał Alban. – Musimy otoczyć informatora ochroną i to jak najszybciej.

*Albo wysłać kogoś, żeby go zamordował.*

– Myślę... – odezwał się Cole.

Jedyną wartościową rzeczą, jaką sprezentowało mi Thurmond, była umiejętność kłamania z kamienną twarzą.

– Nie rozpoznałam nikogo, więc nie mogę podać żadnych nazwisk. Może jeśli ich opiszę, agent Stewart będzie w stanie powiedzieć coś więcej.

– Może – wybąkał Cole, po czym odchrząknął i dodał: – Ale w Filadelfii pracowałem z wieloma różnymi ludźmi...

Alban niecierpliwie machnął ręką, świdrując mnie mrocznym, mętным wzrokiem.

– Widziałam kobietę. Stała w pobliżu furgonetki Sił Specjalnych Psi. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej i cały czas się rozglądała, aż w końcu dostrzegła coś na chodniku: najwyraźniej znalazła to, czego szukała. Grubo po czterdziestce, dosyć korpulentna. Długie, ciemne włosy i okulary w zielonych oprawkach. Miała delikatnie przekrzywiony czubek nosa.

Był to szczegółowy opis pani Rosen, mojej nauczycielki z pierwszej klasy.

Alban kwitował każdy szczegół opisu skinieniem głowy, a następnie zwrócił się do Cole'a:

– Mówi ci to coś?

– Owszem. – Chłopak bębnił palcami o podłokietnik. – Mogę się na tym oprzeć.

Sporządzę pełny raport.

Alban pokiwał głową.

– Ma się znaleźć na moim biurku jutro do dwudziestej.

– Tak jest. – Cole podniósł się z wysiłkiem.

Bałam się na niego spojrzeć, żeby się nie zdradzić. Przez krótką chwilę czekał przy drzwiach, aż Żabie Usta go wyprowadzi.

Alban wstał i skierował się do rzędu brzydkich, niedopasowanych szafek na dokumenty stojących za biurkiem. Z kieszeni koszuli wysunął pęk kluczy i puścił do mnie oko. Nie wierzyłam własnym oczom – za każdym razem, kiedy wchodziłam do biura, gapiałam się na te brzydactwa, zastanawiając się, co skrywają, a teraz Alban otwierał przy mnie jedną z nich.

Zastukał palcami w najbliższe drzwiczki.

– Doradcy uważają, że to staromodne i zacofane z mojej strony, że ciągle ich używam, biorąc pod uwagę, jakie wyżyny osiągnęła technologia. Mam rację, Peters?

Mężczyzna uśmiechnął się blade.

Bez względu na to, co naprawdę myśleli, dla mnie to właśnie ta metoda rodem z minionej epoki naprawdę spełniała swoje zadanie. Tylko jedna osoba miała dostęp do danych, akt czy innych sekretów, które się tam mieściły – Alban. Nie było możliwości, by ktoś je zhakował albo zainstalował złośliwe oprogramowanie, które umożliwiłoby przechwycenie ich zawartości. Alban uparł się, żeby drzwi do jego biura wyposażono nie tylko w skaner tęczówki, ale też w zamek na kod cyfrowy – dwa najdroższe urządzenia w całej Bazie. Jeśli ktoś chciał się dostać do akt, potrzebował jego pozwolenia albo musiał się wykazać *niebywałym* sprytem.

Wysunął czerwoną teczkę z powyginanej czarnej szuflady mieszczącej się na skraju po prawej i zamykając ją biodrem, odwrócił się do mnie.

– Właśnie sobie o czymś przypominałem... Nie miałem okazji ci podziękować za zebranie w całość wszystkich informacji o obozach. Świetna robota. Wiem, że odkąd mi je przekazałaś, minęło kilka miesięcy, ale miałem zaledwie parę minut, żeby je przejrzeć. Widać, że

włożyłaś w to sporo wysiłku i porządnie wszystko przeanalizowałaś. Podziwiam to.

Nie wiem, czy kiedykolwiek przedtem mnie tak zaskoczył. Gdy wiele tygodni temu zauważyłam maleńki skrawek teczki wystający spod wielgachnej sterty papierów piętrzącej się na jego biurku, pogodziłam się z myślą, że nigdy do niej nie dotrze. Pamiętam, jak pomyślałam wtedy, że oto moja ostatnia nadzieja zostaje rozbita w pył.

Po co nazywać organizację Ligą Dzieci, skoro zamierza się tylko udawać, że pomaga się dzieciom? Zadawałam sobie to pytanie każdego dnia, podczas wszystkich zajęć i akcji. Czułam, jak wgryza mi się w kark i w sumienie i mocno zaciska szczęki za każdym razem, kiedy bez najmniejszej emocji zwalniano mnie ze służby. Większość agentów, głównie byłych wojskowych, miała totalnie gdzieś obozy. Nienawidziła Graya, przymusowej służby wojskowej i tego, że stopnie wojskowe straciły na znaczeniu. Liga była jedyną wystarczająco rozpoznawalną organizacją, która naprawdę usiłowała coś osiągnąć, zamiast tylko co kilka miesięcy wysyłać niejasne pogroźki. Próba nakłonienia agentów, by zrobili *cokolwiek*, aby pomóc dzieciom, była jak krzyczenie w pomieszczeniu, w którym wszyscy pozostali też krzyczą. Nikt nie chciał tego słuchać, bo każdy miał własne plany i priorytety.

Od pierwszej nocy w Bazie wiedziałam, że by pozbyć się poczucia winy, muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby przekierować działania Ligi na uwalnianie dzieci z obozów. Przez ostatnie kilka miesięcy planowałam, sporządzałam szkice i spisywałam wszystko, co pamiętałam o Thurmond, od sposobu, w jaki patrolowano obóz, po szczegóły takie jak to, o jakiej porze zmieniali się wartownicy oraz gdzie znajdowały się martwe punkty kamer.

W pewnym sensie stało się to moim nałogiem. Za każdym razem, kiedy miałam chwilę spokoju, czułam się, jakbym siadała przy palenisku w East River, słuchając, jak Liam z pasją rozprawia o tym, że sami musimy uratować siebie i innych. I że żadna organizacja przenigdy nie wyjdzie ponad swoje potrzeby ani nie zaryzykuje utraty wizerunku, żeby nam pomóc. Oczywiście miał rację – w ciągu ostatnich sześciu miesięcy stało się to dla mnie jasne jak słońce.

Wierzyłam mu. Wierzyłam *w niego*. Ale też zepchnęłam go z tej ścieżki, kiedy się rozdzieliliśmy, i teraz sama musiałam nią podążać.

– Rozumiem – odparłam.

– Zrobiliśmy kopie – oznajmił. – Poruszymy to później na zebraniu. Nie mogę nic obiecać, ale biorąc pod uwagę ciężką pracę, jaką dla nas wykonałaś przez ostatnie sześć miesięcy...

Nie miałam pojęcia, dokąd prowadziło to zdanie, i nie było mi dane się tego dowiedzieć. Nie wysilając się na pukanie, kolejny doradca, Końskie Zęby, wsunął przez drzwi swoją siwą głowę i otworzył usta, po czym szybko je zamknął, zauważywszy moją obecność. Żabie Usta odsunął się od ściany i rzucił:

– Śnieżyca?

Końskie Zęby potrząsnął głową.

– Tego się właśnie obawialiśmy.

– Cholera – zaklął Alban, wstając. – Czy Profesor żyje?

– Tak, ale jej badania...

Kiedy wszystkie trzy pary oczu nagle spoczęły na mnie, zdałam sobie sprawę, że od trzydziestu sekund nie powinno już mnie tam być.

– Poczekam w auli – wymamrotałam – jeśli jeszcze będę potrzebna.

Alban machnął mi na pożegnanie, ale to głos żabioustego odprowadził mnie za próg biura, przenikając przez zamykające się za mną drzwi.

– *Od początku* uważałem, że to zły pomysł. Ostrzegaliśmy ją!

Ciekawość nie pozwalała mi się ruszyć. Czekałam na jakąś wskazówkę, która

naprowadziłyby mnie na temat rozmowy. Mężczyzna pluł z wściekłości, a słowa wylewały się z jego wielgachnych ust jak potok. Próbowałam przypomnieć sobie, kiedy ostatnio widziałam, żeby którykolwiek z doradców tak się gorączkował. Na próżno. Jude zawsze żartował, że byli półrobotami zaprogramowanymi tak, żeby wykonywać zadania przy najmniejszym możliwym zaangażowaniu emocjonalnym.

– Powzięła środki bezpieczeństwa. Nie wszystko stracone – powiedział spokojnie Alban. – Nie chcę więcej słyszeć o tym, że kobiety dają się zaślepić miłości. Chodź ze mną. Jarvin zaraz wraca i muszę go wtajemniczyć. Może będzie trzeba wysłać oddział do Georgii, żeby uprzątnąć ten bajzel.

Usłyszałam zbliżające się do drzwi kroki i wiedziałam, że te zdawkowe informacje będą musiały mi wystarczyć. Akurat mijała mnie gromada dzieci idących do auli, więc odwróciłam się i dołączyłam do ogona grupy.

Kiedy się obejrzałam, Alban stał przed drzwiami biura spowity w szeptu doradców. Nie dał po sobie poznać, że mnie widzi, ale czułam, że przez całą drogę śledzi mnie wzrokiem, jakby nie mógł oderwać ode mnie oczu.

Minęło kilka godzin, a ja wciąż tkwiłam w auli, czekając, aż w grafiku Albana znajdzie się w końcu okienko i znów mnie wezwie, bym kolejny raz przekopała czyjś umysł. Parę minut wcześniej pojawił się Nico. Przyniósł mi kanapkę, ale sama nie wiem, które z nas było mniej zainteresowane jedzeniem.

*Śnieżycy*. Liga skrupulatnie nadawała kryptonimy każdemu agentowi i każdej operacji. Orientowałam się już w sprawach organizacji na tyle dobrze, by wiedzieć, że w Los Angeles nie pracuje dla nas żaden Profesor. Ale *Śnieżycy*...? Mój mózg miał tę nazwę w taki sam sposób, w jaki badał nieznane słowa. Powoli. Metodycznie. Dzięki brudnej robocie, którą odwałam dla Ligi na dole, mój dostęp do nazw tajnych misji i projektów znacznie wykraczał poza wiedzę dostępną zwykłym śmiertelnikom, ale z tym terminem nigdy wcześniej się nie spotkałam.

– Hej! – rzuciłam do wpatzonego w ekran laptopa Nico. – Jeśli podałam ci nazwę operacji, byłbyś w stanie przeszukać pod jej kątem serwery?

– Tajne serwery? – zapytał. To, co mniej strzeżone, dla Zielonych stanowiło stratę czasu i talentu. – Pewnie. Dawaj.

– *Śnieżycy*. Wydaje mi się, że kryptonim odpowiedzialnego za nią agenta to Profesor. To najprawdopodobniej kobieta, która pracuje w kwaterze głównej w Georgii.

Nico wyglądał, jakbym chwyciła za plastikową tacę i roztrzaskała mu ją na twarzy.

– Co się stało? – zapytałam. – Słyszałeś coś o tym?

Kiedy usiadłam obok niego, otaczający nas agenci wstali i wyszli, dzięki czemu mieliśmy kawałek auli tylko dla siebie. Następnie utkwiałam wzrok w stojącym nieopodal stoliku rozgadanych Niebieskich, aż w końcu oni również się wynieśli. Zrobiło się tak cicho, że słyszałam, jak Nico przełyka ślinę, opuszczając oczy na klawiaturę, a następnie podnosząc je z powrotem na mnie.

Było tak cicho, że kiedy Jude wpadł do środka jak burza, słyszałam wyraźnie jego przyspieszony oddech.

Chłopiec wyminął pozostałe stoliki i ruszył prosto do nas. Można go było ignorować, ale nie dało się sprawić, by Jude zniknął. Był rodzajem wysypki, która ciągle nawracała mimo zastosowania przeróżnych dyskretnych metod leczenia.

– Hej – rzucił do niego Nico. – Co ty...

Utkwiłam wzrok w swojej nietkniętej kanapce i podniosłam go dopiero wtedy, kiedy Jude chwycił nas oboje za ręce i zaczął wyrwać z miejsc.

– Chodźcie ze mną – zakomenderował piskliwym głosem. – W tej chwili.

– Jestem zajęta – wybąkałam. – Poszukaj Vidy.  
– Musisz ze mną pójść. – Jego ton był tak stanowczy i poważny, że ledwo go rozpoznawałam. – Natychmiast.

– Czemu? – zapytałam, nie podnosząc oczu.

– Blake Howard wrócił z akcji.

– I powinno mnie to obejmować, bo...?

Jego palce zdawały się palić mi skórę.

– Wrócił w worku na zwłoki.

Kiedy dotarliśmy do korytarza, do sali chorych zdążyła się już ustawić długa kolejka, w której oprócz gapiów i starszych agentów znajdował się również Alban i jego doradcy – tłum ponurych twarzy w chmurze wściekłych, zadawanych szeptem pytań.

– Jesteś pewien? – spytałam Jude’a, stając na końcu. – Na sto procent?

Przełknął gwałtowny szloch. Stał tak blisko, że wokół jego powiek zauważyłam czerwone obwódki. Podejrzewałam, że płakał, zanim po mnie przyszedł.

Podniósł rękę i zacisnął palce na niewielkim, prawie płaskim srebrnym kompasie, który nosił na sznurku na szyi. Przedmiot pochodził z prywatnej kolekcji rupieci Albana. Szef podarował mu go razem z obietnicą, że chłopiec zostanie „wielkim odkrywcą” i „podróżnikiem pierwszej maści”. Jude nigdy go nie zdejmował, mimo że jego zdolności poważnie rozstroiły małe urządzenie. Był Żółtym, więc jego dotyk zawsze przenosił delikatny ładunek elektryczny, który wpływał na mieszczący się w środku magnes. Skutkiem tego kolorowa wskazówka, zamiast wskazywać kierunek, w jakim się poruszał, niezmiennie wychylała się w stronę Jude’a.

– Widziałem, jak wchodzili, potem Cate kazała mi wyjść. Ale słyszałem, jak Alban pytał agenta Jarvina, jak do tego doszło, i Rob odpowiedział mu, że to był wypadek. – Jude rozejrzał się wokoło, zerkając ponad moją głowę, żeby się upewnić, że nikt nas nie podsłuchuje. – Roo, myślę, że to nie był wypadek.

Kiedy dotarliśmy na drugi poziom, wyminął nas pędzący schodami w dół Nico.

– Hej! – zawołał za nim Jude.

– Niech biegnie. – Uspokoiłam go, bo po części sama pragnęłam się za nim rzucić i uniknąć tego całego bałaganu.

Sala chorych stanowiła dużą okrągłą przestrzeń – znajdowała się bezpośrednio pod aulą i dokładnie nad salą komputerową na poziomie trzecim. Pomimo swoich rozmiarów prawie zawsze była zagracona maszynami i łózkami, między którymi kluczyły nieliczne pielęgniarki oraz kilku lekarzy trzymanyh przez Ligę na wypadek sytuacji awaryjnych oraz po to, by leczyli urazy doznawane podczas treningów. Byłam tu nieraz wcześniej, żeby mnie połatano, i mojej uwadze nie umknęło, że personel wkładał przy mnie specjalne, grubsze gumowe rękawice.

Teraz, żeby zbadać Jarvina i pozostałych członków jego oddziału, lekarze włożyli zwykłe bezbarwne. Jude sięgnął do klamki, wstrzymując oddech, ale odciągnęłam go w stronę szyby, zza której salę obserwowało kilku agentów. Patrzyliśmy, jak personel przewozi nosze obok łóżek i sprzętu medycznego w kierunku znajdującej się z tyłu pomieszczenia zasłony. Leżał na nich czarny worek na zwłoki. Z zawartością.

Przecisnęliśmy się z Jude’em do samej szyby w chwili, kiedy lekarze rozpięli worek i wyciągnęli z niego Blake’a Howarda, żeby przenieść go na płaski metalowy stół. Z prawej stopy zwisał mu niebieski trampak i nawet z miejsca, gdzie staliśmy, było widać, że ubranie ma przesiąknięte krwią. To wszystko, co zdążyliśmy dojrzeć. Do przodu wystąpili Alban, Jarvin, Cate i Rob i zasłona została zaciągnięta, a my widzieliśmy już jedynie ich rozmazane sylwetki.

– O Boże, o Boże, o mój Boże – szeptał Jude, szarpiąc za swoje rudobrzowe loki. – To był on. To naprawdę był on.



Zachwiał się tak, że musiałam go podtrzymać za łokieć. Szczerze mówiąc, wcale nie znałam Blake'a. O dzieciach spoza swojego zespołu wiedziałam tylko, jak mają na imię, a ze względu na moją czarującą osobowość one też zupełnie mnie nie znały. Jednak Jude i Blake byli jak papużki nierozłączki. Razem z Nico spędzali we trójkę większość wolnego czasu, wygłupiając się w sali komputerowej albo urządzać sobie przeróżne zabawy. Kiedyś byłam świadkiem, jak Blake, wymachując rękami i z rozpromienionymi zielonymi oczami, opowiadał chłopcom historię, przy której Jude dławił się ze śmiechu – był to jeden jedyny raz, gdy widziałam, jak na twarzy Nico pojawia się uśmiech.

– Powinniśmy poszukać... Myślę, że powinniśmy poszukać Nico. Chyba poszedł coś sprawdzić – zdołał w końcu wydusić z siebie Jude.

Przeprowadziłam go obok drzwi i korytarzem w stronę schodów. Musieliśmy się przeciskać obok agentów pędzących w przeciwnym kierunku, żeby potwierdzić plotki, od których, jak podejrzewałam, wrzało w całej Bazie.

– Muszę ci coś powiedzieć – wyszeptał Jude, kiedy dotarliśmy do schodów. – Musisz coś zrozumieć... Nie wierzę, by to był wypadek. Myślę... Sądzę, że to moja wina...

– To nie ma z tobą nic wspólnego – zaprzeczyłam, udając znacznie bardziej opanowaną, niż byłam w rzeczywistości. – Takie rzeczy się zdarzają. Winę ponosi tylko Jarvin. To on wybrał Blake'a, chociaż ten nie ukończył szkolenia w terenie.

Jude nie pozwolił mi się wycofać. Chwycił mnie za nadgarstek i pociągnął za sobą w dół schodów na trzeci poziom. Patrzyłam, jak kościste krawędzie jego ramion poruszają się pod starą koszulką z Bruce'em Springsteenem, i dopiero teraz zauważyłam, jak bardzo jest sfatygowana. Dokładnie wiedział, gdzie szukać przyjaciela.

Chociaż od szkolenia, które odbywało się w sali komputerowej, minęło już dobrych kilka godzin i zbliżała się pora kolacji, zaskoczyło mnie, że było tu aż tak pusto. Zazwyczaj przed komputerami przesiadywała gromada Zielonych, którzy jak najęci stukali w klawiatury, doskonaląc kolejne programy albo wirusy. Zaczęłam podejrzewać, że to wyraz twarzy Nico wszystkich wymiótł.

– Znalazłem to – odezwał się.

– I? – zapytał trzęsącym się głosem Jude.

– To nie był wypadek.

Nico miał skłonność do czarnych myśli. Uwewnętrzniał je i radził sobie z nimi sam, używając sposobów, których wolałam nie znać. Nigdy nie odkrywał swoich gorzkich, trujących przeczuć przed resztą z nas. Nigdy, aż do teraz.

– Co znalazłeś? – zapytałam. – Jeden z was musi mi wyjaśnić, co się dzieje. *Natychmiast*.

– Mówiłaś, że nic się nie stało – odparował Nico. – Stwierdziłaś, że to przypadek. Trzeba nas było posłuchać.

Jego głos działał jak kwas na moje i tak już nadwątłone nerwy. Patrzyłam, jak klika w plik video. Na ekranie pojawiło się szerokie okno z czarno-białym nagraniem. Miniaturowe ludziki krzątały się po pomieszczeniu pełnym długich maszyn. Był to dla mnie znajomy widok i wystarczyło mi jedno spojrzenie, żeby zidentyfikować to miejsce – nagranie pochodziło z serwerowni.

– Co to jest? Proszę, nie mówcie mi, że byliście na tyle głupi, żeby ściągnąć ścieżkę z kamer firmy, do której włamał się oddział Blake'a i Jarvina...

– Mieliśmy dać Jarvinowi i jego koleżkom szansę na zdalne skasowanie takiego dowodu? – odparował Nico.

Nagranie trwało trzydzieści sekund. Tyle właśnie potrzebował. Chciałam mu powiedzieć, że ściągając ten materiał, naraża się na ogromne ryzyko, że firma komputerowa mogła nas

wyśledzić, ale Nico nie był nieodpowiedzialny.

Trzydzieści sekund. Chociaż wszystko wydarzyło się w mniej niż piętnaście.

Blake wszedł do serwerowni ubrany w typowy czarny uniform zakładany przez agentów, kiedy wychodzili w teren, i od razu zlokalizował urządzenie, którym miał się zająć. Nagle do pomieszczenia wszedł strażnik. Stało się to tak niespodziewanie, że aż podskoczyłam – robił nocny obchód, który to fakt został beztrząsowo pominięty przez osobę planującą operację. Blake uskoczył za obudowę jednego z serwerów, a następnie ze schyloną głową niepostrzeżenie pokonał jedną alejkę i przedostał się na kolejną. Strażnik pewnie nie zauważyłby, że cokolwiek jest nie tak, gdyby Jarvin i jeszcze jeden członek oddziału taktycznego nie wpadli do pomieszczenia i nie otworzyli ognia.

Pochyliłam się ku ekranowi, nie mogąc uwierzyć, jak wyraźne jest nagranie. Widzieliśmy dokładnie, jak dwóch naszych kryje się za rogiem, jak Jarvin ostrożnie przesuwając lufę pistoletu i zamiast w strażnika mierzy w odsłonięte plecy Blake'a. Jak na dłoni zobaczyliśmy też rozbrzmienie światła, kiedy wziął go na muszkę i wystrzelił.

Jude odwrócił się i przycisnął dłonie do twarzy, żeby nie patrzeć.

*Niech to szlag* – przeklinałam w myślach. – *Niech to szlag*.

Nie ulegało wątpliwości, że Nico zdążył obejrzeć nagranie, zanim się pojawiliśmy, ale wciskał przycisk *play* kolejny i kolejny raz, aż w końcu sama musiałam zamknąć program. Nie odezwał się ani słowem, a jego twarz była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu. Miał ciężkie powieki i niemal czułam, jak odpływa, daleko, w miejsce, które należy tylko do niego.

– To... Ja nie... – bąkał Jude, z każdym słowem podnosząc ton głosu i przyciskając kompas do piersi. – Ale... ci ludzie... są źli. Reszta Ligi się o nas troszczy. Kiedy się dowiedzą, co zaszło, ukarzą ich. Wstawią się za nami. To nie jest Liga. Nie jest... To nie jest...

– *Nikomu* o tym nie wspominaj. Słyszysz? *Nikomu*.

– Ale, Roo... – Jude wyglądał na przerażonego. – Nie możemy pozwolić, żeby uszło im to płazem! Musimy poinformować Cate albo Albana, kogokolwiek! Oni się tym zajmą!

– Jeśli zginiesz, Cate nic na to nie poradzi! Mówię poważnie. Ani słowa. I zabraniam ci chodzić samemu. Trzymaj się mnie, Vidy, Nico albo Cate. Obiecuj mi to. Jeśli zobaczysz kogoś z nich, masz zawrócić i iść w przeciwnym kierunku. Obiecuj.

Jude nie przestawał kręcić głową i obracać w palcach kompasu. Chciałam powiedzieć coś, co by go pocieszyło. Przedziwne, jak bardzo czułam się rozdarta. Z jednej strony pragnęłam ochronić ich przed prawdą o tym, czym naprawdę jest Liga, oraz jadowitym okrucieństwem agentów, a z drugiej odczuwałam cichą satysfakcję – nie pomyliłam się co do tej bandyckiej organizacji. To nie było bezpieczne miejsce dla dzieci takich jak my. Może kiedyś było, ale teraz Liga trzęsła się w posadach i jedno potknięcie mogło sprawić, że wszystko się zawali i nas pogrzebie.

Rob i Jarvin nie należeli do cierpliwych. Zawsze kończyli swoje misje na czas. W tym przypadku miało być tak samo – byłam tego pewna. Może Cate i kilkoro innych agentów nam współczuło, ale ile miało to potrwać? Zastanawiałam się, czy jeśli staniemy się dla Ligi ciężarem, jeśli będzie się nas przedstawiać jako śmieci, które trzeba sprzątnąć, to dalej będą się za nami wstawiać.

Ciągle od nowa wracałam myślami do wybuchu granatu, do chwili, gdy eksplodował tuż pod moimi nogami, do słów Roba, który kazał nam stać dokładnie w tym miejscu.

Mogłam to naprawić. Wiedziałam o tym. Musiałam się jedynie znaleźć wystarczająco blisko Roba i jego kompanów. I niestety to właśnie było najtrudniejsze.

– Ani słowa – rzuciłam i odwróciłam się do wyjścia. – Zajmę się tym.

I taki miałam zamiar. To ja byłam Liderem. Do tej pory miałam wątpliwą nadzieję, że

ucieknę, jeśli tylko usłyszę cokolwiek o Liamie i reszcie, ale ulotniła się teraz jak sen o poranku.

Jude żył, Nico żył i żyłam ja – w tej chwili musiałam skierować całą swoją energię na to, by tak zostało.

Zamiast wrócić do auli, popędziłam schodami na wyższy poziom, a następnie rzuciłam się łukowatym korytarzem do szatni, żeby wziąć prysznic i zmienić ubranie. Wokół jak zwykle panował przeszywający chłód, ale miałam wrażenie, że każdy centymetr mojego ciała jest lepki i rozgrzany, jakbym dostała gorączki. Liczyłam na to, że kilka minut pod lodowatym natryskiem pozwoli mi ochłonać. Pragnęłam wykorzystać rzadko nadarżającą się chwilę ciszy, żeby ułożyć jakiś plan i zapewnić Jude'owi bezpieczeństwo.

W szatni paliło się światło – lampy wyposażono w automatyczne czujniki ruchu, co oznaczało, że ktoś właśnie wszedł do środka albo przed chwilą stąd wyszedł. Znieruchomiałam i przywarłam plecami do drzwi, przysłuchując się rytmicznemu kapaniu z kranu gdzieś na przeciwległym końcu pomieszczenia. Pod prysznicami nie było nikogo – wszystkie żółte zasłonki były odsłonięte i nie dochodziło mnie skrzypienie kurków ani charakterystyczne trzaskające wybuchy wody pod ciśnieniem.

Odgłos, który słyszałam, był cichy, niemal całkowicie zagłuszony przez kapanie wody. Równomierne stukanie, jakby ktoś tupał, i szelest przekładanych kartek papieru.

Przeszłam naokoło, okrążając błyszczące srebrne szafki, a kiedy dotarłam do końca rzędu, schylona prześlizgnęłam się bokiem do następnego.

Na ławce z teczką w rękach siedział Cole. Kiedy przewracał stronę, kątem oka zauważyłam znajomy szkic ogrodzenia elektrycznego Thurmond.

– Myślisz, że Caledonia wygląda podobnie? – zapytał, nie podnosząc na mnie wzroku.

Poczułam, jak napinają mi się wszystkie mięśnie pleców, zmuszając, bym się wyprostowała, choć na sam jego widok chciałam się zapaść pod ziemię. Zacisnęłam dłonie w pięści i wzięłam głęboki wdech.

– Nie – odpowiedziałam. – Caledonia jest mniejsza, powstała z przerobionej szkoły podstawowej. Ale niektóre szczegóły się pokrywają.

Obojętnie pokiwał głową.

– Thurmond – powiedział i wycelował palcem w kartkę. – Kilka lat temu widziałem jakieś pobieżne szkice, ale pierwszy raz mam przed sobą coś tak dokładnego. Agenci, których tam mamy, nie wiedzą nawet połowy z tych rzeczy... Włączając w to Connor.

Ciągle stałam nieruchomo przy szafkach, czekając, aż wyjdzie.

– Alban rozdał te poręczne kopie na dzisiejszym zebraniu agentów. Cate wstała, przeprosiła i wyszła w połowie. Wiesz może dlaczego?

Nic nie odparłam, chociaż podejrzywałam, co się stało. Cate starała się odwieść mnie od tego pomysłu przez wiele miesięcy. Musiałam przemycić teczkę do Albana za jej plecami.

– A ja sądziłem, że potrafisz czytać w myślach. – Zaśmiał się cicho.

Ciągle miał zesztywniałe z bólu mięśnie i kiedy wstawał, było widać, że bardzo cierpi. Skinął głową w kierunku pryszniców.

Ruszyłam za nim do jednej z kabin. Kółka, na których wisiała zasłonka, zgrzytnęły, kiedy pociągnął za lichą plastikową płachtę. Podskoczyłam i przywarłam plecami do betonowej ściany. Czułam się nieswojo, bo kabina była bardzo ciasna, ale on jeszcze pochylił się nade mną, zbliżając swoją posiniaczoną twarz do mojej, i odkręcił wodę na najmocniejszy strumień.

– Co ty wyprawiasz? – warknęłam, usiłując się wydostać.

Chwycił mnie za ramię i przytrzymał. Zanim zaczął mówić, byliśmy już przemoczeni.

– To jedyne miejsce w całej Bazie, które nie jest monitorowane. Kamery w szatni mogłyby wyłapać naszą pogawędkę. Nie chcę ryzykować.

– Nie mam ci absolutnie nic do powiedzenia – burknęłam, odpychając go.

– Za to ja mam bardzo dużo do powiedzenia *tobie*. – Cole wyciągnął w przód obie ręce, żeby mnie zablokować, i o mały włos nie stracił równowagi. Chwiał się na nogach i działał poniżej swoich możliwości, co czyniło z niego łatwy cel.

Ośmielona wysunęłam cios, ale najwyraźniej przejrzał moje zamiary. Złapał mnie za rękę i wygiął ją tak mocno, że miałam wrażenie, iż rozerwie mi mięśnie i rozsadzi stawy. Jego skóra była wrząca, zupełnie jakby chciał przelać na mnie ogień, który płonął mu w żyłach.

*On jest jednym z nich, jest jednym z nich...*

– Uspokój się! – warknął, potrząsając mną stanowczo. – Weź się w garść! Nie zrobię ci krzywdy! Chcę pogadać o Liamie.

Zwolnił żelazny chwyt i zrobił krok w tył, unosząc ręce do góry. Odwróciłam się, ciężko sapiąc. Woda stanowiła teraz granicę, której żadne z nas wołało nie przekraczać. Wokół moich przemoczonych tenisówek zaczęła się kłębić para, która następnie wzniosła mi się do kolan, i po chwili poczułam, jak moje ściśnięte płuca wypełniają się gorącym, wilgotnym powietrzem.

– O kim? – zapytałam, kiedy odzyskałam panowanie nad sobą.

Cole rzucił mi rozdrażnione spojrzenie i już wiedziałam, że nie ma sensu udawać.

– Znowu go w to wpłatałeś – powiedziałam zirytowanym tonem. – Zrobiłam *wszystko*, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo.

– Bezpieczeństwo? – Cole zaśmiał się ironicznie. – Uważasz, że wysłanie idioty w świat, gdzie może zostać pojmany albo zabity, to przysługa? Miał szczęście, że regularnie sprawdzałem, czy nie skorzystał z umówionego sygnału, w przeciwnym razie łowca nagród, który za nim łąził, z łatwością dostarczyłby go do obozu.

Nie mogłam się powstrzymać. Zacisnęłam dłonie w pięści.

– Jak go zmusiłeś, żeby ci pomógł?

– Dlaczego zakładasz, że musiałem go do czegokolwiek zmuszać, skarbie?

– Nie jestem twoim skarbem – wycodziłam.

Cole uniósł swoje jasne brwi.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego nakłamałaś Albanowi. Może mi wyjaśnisz, skąd w ogóle znasz mojego brata?

Teraz to ja byłam zaskoczona.

– Cate ci nie powiedziała?

– Mam pewne podejrzenia, ale w twoich aktach nie ma o nim nawet wzmianki. –

Przechylił głowę na bok, zupełnie jak Liam. Bębnił wskazującym i środkowym palcem o udo, może z nerwów. – Alban ma chyba pewne pojęcie, ale pozostali nie.

Odchylił się od strumienia wody i dla równowagi oparł się o ścianę. Wciąż cierpiał, ale niosła go fala dumy, która nie pozwalała mu tego okazać. Typowe zachowanie Stewartów.

– Liam w żaden sposób ze mną nie współpracował. Tamtej nocy widziałem go po raz pierwszy, odkąd odszedł z Ligi wiele lat temu. Ustaliliśmy sygnał, na wypadek gdyby stało się coś złego, i on go użył. Myślałem, że to kwestia życia lub śmierci, w przeciwnym razie *nigdy* nie powiedziałbym mu, jak mnie znaleźć.

– Ponieważ uczestniczyłeś w supertajnej misji? – zapytałam. – Co, do jasnej cholery, jest na tym pendrivie? Nigdy nie widziałam, żeby Alban się tak gorączkował.

Cole patrzył na mnie niewzruszonym wzrokiem, a ja byłam tak wściekła, że w końcu mogłam mu się odwdziżyć tym samym.

– Chcę wiedzieć.

Wydał z siebie przeciągłe westchnienie i podrapał się zabandażowanymi palcami po głowie. Przy próbie wydobywania z niego informacji połamano mu wszystkie palce lewej dłoni.

Tyle powiedział mi Alban i to z nieskrywaną satysfakcją.

– Rozumiem, że twoja misja, cokolwiek miała na celu, została zdekonspirowana i to dlatego ci ludzie wtargnęli do twojego mieszkania. Mam rację?

Cole poczuł się wyraźnie urażony.

– Nie, nie masz. Moja przykrywka była bez skazy. Nikt mnie nie podejrzewał, mogłem zostać tam na zawsze. Pojmano mnie tylko dlatego, że ogon śledzący Lee zobaczył, jak ten wchodzi do mojego mieszkania, i doniósł na mnie, że pomagam dziecku z Psi. Nic by się nie wydarzyło, gdyby się nie pojawił. Miałem skończyć misję za *trzy godziny!*

– Niech ci będzie, ale ciągle mi nie powiedziałaś, co robiłeś w Filadelfii. Chcę wiedzieć, co było na tym pendrivie i czemu nie mogłeś go znaleźć. To jego szukałeś w kurtce?

– Tak – powiedział w końcu. – Mój dumny brat zabrał go, nie zdając sobie z tego sprawy.

– Co? – Zmroziło mnie.

– Pracowałem pod przykrywką w Leda Corporation jako technik laborant. Prowadziliśmy zlecone przez Graya badania nad Psi. Pewnie słyszałaś o tym programie. – Zaczekał, aż pokiwa głową, po czym kontynuował: – Początkowo moje zadanie polegało na tym, żeby mieć na wszystko oko. Alban chciał wiedzieć, jakie rodzaje testów przeprowadzają i czy już do czegoś doszli, ale oczekiwał też, że będę mu meldował, jeśli uznam za możliwe wyciągnięcie jakichkolwiek dzieci uczestniczących w programie.

– I udało ci się – przerwałam mu, ku własnemu zaskoczeniu błyskawicznie kojarząc fakty. – Nico był w tym programie badawczym.

Cole zgarbił ramiona – znowu lała się po nich woda.

– Był jedynym podmiotem, który... miał wystarczająco dużo sił, żeby móc go wydostać. Pozostali... Nie potrafię tego opisać, żeby nie zabrzmiało to jak z jakiegoś horroru.

– Jak wam się to udało?

– Symulowanie zatrzymania akcji serca i śmierci. Wezwano „służby sprzątające” laboratorium, ale Liga je uprzedziła.

Mój mózg działał na zwiększonych obrotach, rozważając jedną przerażającą możliwość po drugiej.

– Więc dane, które znajdowały się na pendrivie... To wykradzione wyniki badań?

– Tak, coś w tym rodzaju.

– Coś w tym rodzaju? – powtórzyłam z niedowierzaniem. – Więc nie dowiem się nawet, co za cholerstwo się na nim znajduje?

Wahał się tak długo, że zaczęłam się obawiać, że naprawdę mi nie powie.

– Zastanów się, jaka jest jedna jedyna rzecz, której chciałby się dowiedzieć każdy rodzic, straciwszy dziecko. Co od lat starają się odkryć naukowcy?

Jaka jest przyczyna Psi.

– Czy ty... – Nie. Nie żartował. Sprawa była zbyt poważna.

– Nie mogę ci podać szczegółów. Nie miałem czasu przejrzeć wyników, ale podsłuchałem, o czym rozmawiano po zakończeniu eksperymentów. Naukowcy zdobyli dowód, że za wszystko odpowiedzialny jest rząd. – Cole mocno zacisnął dłonie w pięści. – Dzień po tym, jak dorwały mnie Siły Specjalne Psi, laboratorium zostało rozbite w drobny mak, a wszyscy naukowcy uciszeni na zawsze. Już samo to powinno być dla większości ludzi wystarczającym dowodem.

– Powiedziałaś Albanowi? – zapytałam. Nic dziwnego, że był aż tak zdesperowany.

– Dopiero po powrocie, kiedy wymyśliłem, jak wyjaśnić to, że zostałem zdekonspirowany. Powiedziałem mu, że podczas ściągania danych uruchomiłem jakiś cichy alarm. Odzyskam swoją dumę za jakieś tysiąc lat. – Westchnął. – Obawiałem się, że jeśli powiem

mu wcześniej, tutejsi agenci wymyślą sposób, by to wykorzystać, jeszcze przed moim powrotem. – Bębnił palcami o udo. – Nie mogłem tego ujawnić i ryzykować, że informacja mnie wyprzedzi. Działalem z dala od Bazy, ale wiedziałem, że coś zaczyna się tu zmieniać. Ludzie, których znałem i którym ufałem, zostali przeniesieni do innych placówek. Ci, od których wołałem się trzymać z daleka, nagle zyskiwali posłuch u Albana. To wystarczyło, żebym nabrał podejrzeń, sama rozumiesz.

Skinęłam głowę.

– Wiem, że jeśli zaoferowałbym Albanowi coś cennego – podjął na nowo – istniałaby spora szansa, żeby wykołegować agentów, którzy usiłują zmienić Ligę. Ale jeśli dowiedzieliby się o tym niewłaściwi ludzie, wykorzystaliby to. Te dane są walutą, której potrzebujemy, żeby wyrwać Ligę z ich brudnych łap i przekonać Albana, by stanął po naszej stronie. To będzie nasza karta przetargowa, kiedy ich plany zaczną wyglądać jak jedyna słuszna opcja.

W uszach dudniły mi przypadkowe wrywyki kłótni Roba i Albana. *Jak taki stan rzeczy świadczy o Lidze? Dzieci. Obozy.*

– Jeśli te dane są tak ważne, to jak udało ci się je wynieść z laboratorium?

– Wszyłem tego przeklętego pendrive’a w podszewkę kurtki. Najnormalniej w świecie wyszedłem z nim z budynku: znałem ochroniarzy, więc nikomu nie przyszło do głowy, żeby mnie przeszukać. Wiedziałem, że ktoś się zorientuje, że to ściągnąłem, ale użyłem kodu dostępu jednej z pracownic naukowych. Bułka z masłem. Kiedy zorientowaliby się, że jest niewinna, byłbym już bardzo daleko. Tylko że gdy wyszedłem z domu po zakupy, mój *kochany* młodszy brat zobaczył, że do mieszkania zbliżają się Siły Psi, i zwał, zabierając przez pomyłkę moją kurtkę.

Nie jestem pewna, czybym mu uwierzyła, gdyby nie wściekał się o to tak bardzo. Nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy rozkwasić mu łeb o betonową ścianę.

– Jak mogłeś być tak głupi? Jak mogłeś popełnić tak kretyński błąd? Naraziłeś go na śmiertelne niebezpieczeństwo...

– Najważniejsze, że ciągle możemy odzyskać te dane.

– Najważniejsze... – Byłam tak wściekła, że z trudem składałam zdania. – Życie Liama jest ważniejsze niż ten głupi pendrive!

– No, no. – Na twarzy Cole’a pojawił się szelmowski uśmiech. – Młody musi dobrze całować.

Złość wezbrała we mnie tak szybko i z taką siłą, że nie zdążyłam pomyśleć, by go uderzyć.

– Idź do diabła – warknęłam, próbując przemknąć obok niego.

Cole znowu mnie złapał i zawrócił, śmiejąc się ironicznie. Poczułam, że drgnęła mi ręka. *Zobaczmy, kto się będzie śmiał, kiedy usmażę ci mózgownicę.*

Ta sama myśl musiała przejść przez głowę i jemu, bo puścił mnie i zrobił krok w tył.

– Czy przynajmniej udało ci się nawiązać z nim kontakt, odkąd wróciłeś? – zapytałam.

– Rozpłynął się w powietrzu. – Cole splótł ręce na szerokiej piersi. Palcami lewej dłoni bębnił o prawe ramię. – Nie zdaje sobie sprawy z tego, co przy sobie nosi, więc nie jestem w stanie przewidzieć, gdzie to zabierze i w co się wpakuje. Oznacza to, że wytropienie tego palanta jest niemal niemożliwe. Mogę jedynie założyć, że dalej szuka mamy i ojczyma. Chaos w najczystszej formie.

– Po co mi to mówisz?

– Bo jesteś jedyną osobą, która może coś w tej sprawie zrobić. – Para wodna całkowicie pochłonęła jego postać. – Posłuchaj mnie: jestem spalony, Liga nie wypuści mnie z Bazy. Nie będę więcej dowodził misjami, nie wspominając nawet o przetrząsaniu Wschodniego Wybrzeża

w poszukiwaniu zbiega. Kiedy się zorientują, że wymyślona przez ciebie informatorka nie jest prawdziwa, zaczną rozpatrywać inne możliwości. Zadadzą sobie pytanie, czy przypadkiem nie mamy wspólnego znajomego. Zastanowią się, kogo chcesz chronić za wszelką cenę.

Wzdrygnęłam się i splotłam ręce na piersi. Wzrok Cole'a ześlizgnął się z mojej twarzy w rejon, w którym bluzka przyklejała mi się do klatki piersiowej. Podniosłam ręce odpowiednio wyżej. Wydał z siebie pomruk, a na twarzy pojawił mu się zadumany uśmiech.

– Muszę powiedzieć, że nie jesteś za bardzo w jego typie. Natomiast jeśli chodzi o mnie...

– Wiesz, co myślę? – odezwałam się, robiąc krok do przodu.

– Nie bardzo, skarbie, ale mam przecucie, że zaraz to usłyszę.

– Tak naprawdę martwisz się o Liama dużo bardziej niż o te dane. Chcesz, bym go znalazła, żebyś znów mógł go mieć na oku. I to dlatego prosisz mnie, a nie kogoś innego.

Cole prychnął. Para sprawiła, że koszula przylgnęła mu do ciała – nie dało się nie patrzeć na zarys jego silnych ramion, kiedy się prostował.

– Niech ci będzie. Wierz sobie w tę teorię, ale czy możesz, do jasnej cholery, choć na dwie sekundy przestać rozmyślać o rozmarzonych oczach mojego brata i wrócić na ziemię? Tu nie chodzi ani o niego, ani o mnie, ale o to, by zdobyć kontrolę nad tymi danymi. To *my* musimy przedstawić je Albanowi, jeśli chcemy zamknąć drogę Meadowsowi i jego koleżkom. Oni chcą, żeby organizacja babrała się w rzeczach, o jakich ci się nie śniło. Nie masz pojęcia, co planują zrobić z dziećmi, jeżeli któreś wejdzie im w drogę. I *zrobią* to, jeśli nie wymyślimy sposobu, żeby ich przechytrzyć.

Wróciły do mnie słowa Roba: „Jak taki stan rzeczy świadczy o Lidze?”.

– Co oni planują? Czy to dotyczy nas i obozów?

Strumień między nami zaczął pryskać – wyłączył się zegar, który wbudowano, żeby ograniczyć zużycie ciepłej wody. Woda wciąż leciała, ale ochłodziła się do swojej zwyczajnej lodowatej temperatury. Żadne z nas się nie poruszyło.

– Jego wielki plan – zaczął Cole łamiącym się głosem – zakłada wykorzystanie niektórych z „podrzędnych” dzieci z Bazy oraz informacji, które zebrałaś o obozach. Chodzi o dzieci, które są zbyt małe, żeby przenieść je do czynnej służby: o niektóre z Zielonych.

– Do czego chce je wykorzystać?

– W raporcie napisałaś, że nie przeszukują ani nie rewidują dzieci, które we wstępnej selekcji uznano za Zielone, tak? – Począł, aż skinął głową, po czym ciągnął dalej: – Potwierdziło to również jedno z dzieci, które uwolniliśmy z mniejszego obozu. Meadows sądzi, że obozowe procedury bezpieczeństwa podczas przyjmowania nowych w ciągu ostatniego roku znacznie się rozluźniły. Na zewnątrz obozów pozostało tak niewiele dzieci, że zazwyczaj przywożą tylko kilkoro naraz. Na dodatek w większych obozach Siły Psi są niewystarczające.

– To prawda. Obserwowałam, jak przez lata liczba żołnierzy w Thurmond malała. Obóz w tym czasie całkowicie się wypełnił i przestał przyjmować nowych więźniów. Zmniejszenie liczebności ludzi przełożyło się jednak na zwiększenie ilości broni i wzrost gorliwości w uderzaniu Białym Szumem w każdego, kto choćby w najmniejszym stopniu mógł okazać nieposłuszeństwo.

– Rob myśli... – Cole odchrząknął, przyciskając dłoń do gardła. – Meadows chce obwiązywać dzieci materiałami wybuchowymi, wydawać je Siłom Psi i wysadzać podczas wwożenia do obozów. Uważa, że wzbudzi to taki popłoch wśród żołnierzy Psi, że zaczną występować ze służby.

Ostatnie zdanie usłyszałam tylko w połowie. Uszy wypełnił mi elektryczny szum, który spalał, spopielał wszystko, co istniało na zewnątrz moich galopujących myśli.



– Jeśli masz mi tu zamiar zemdleć, siadaj – rozkazał. – Powiedziałem ci o tym, bo jesteś dużą dziewczynką i potrzebuję twojej pomocy. Wiem, że nie tego chciałaś, ale i tak tkwisz w tym po uszy. Jesteś tak samo odpowiedzialna za naprawienie tej sytuacji jak reszta z nas.

Nie usiadłam, ale ciemne plamy przed moimi oczami rosły i rozlewały się, połykając jego twarz.

– Inni agenci... go popierają?

– Nie wszyscy. Ale ma tylu zwolenników, że gdyby nie Alban, nawet nie byłoby dyskusji. Domyśl się, co chcę powiedzieć.

*O mój Boże.*

– Cate wie, ale... i tak z nim jest? Jak można trwać przy kimś, kto chociażby *dopuszcza* do siebie taką myśl?

– Connor to bystra babka. Jeśli z nim jest, to ma ku temu powód i to najprawdopodobniej inny, niż myślisz. Oboje widzieliśmy, jak Meadows załatwia swoje sprawy.

– W takim razie wiesz, że Jarvin „załatwił” Blake’a Howarda? – zapytałam. – Strzelił dzieciakowi w plecy podczas wczorajszej operacji.

– Jesteś pewna? Masz jakiś dowód?

– Nagranie z kamery przemysłowej. Nie zdążyli go skasować.

– Na razie zatrzymaj je dla siebie. Kiedy odzyskasz dane, zabierzemy wszystko razem do Albana. To będzie gwóźdź do trumny Meadowsa i pozostałych.

– Jeszcze się na nic nie zgodziłam.

– Dobijasz mnie – rzucił, kolejny raz przewracając oczami. – Odszukasz Liama.

Odzyskasz dane. Nie mam co do tego cienia wątpliwości. Bo, perelko – uśmiechnął się, widząc, że na dźwięk nowego przezwiska marszczę brwi – wiem, że nie chcesz, by Alban odgadł, co się stało naprawdę, i odkrył, że Liam jest w to zamieszany. Wiem, że nie chcesz dać mu najmniejszego pretekstu, by skłonił się ku planowi Meadowsa. Dopilnuję, żeby Alban skupił się na wyzwalaniu obozów we *właściwy* sposób, tak jak sugerowałaś w raporcie. Przecież o to od początku ci chodziło, prawda? To dlatego zebrałaś te informacje? Wiem, że nie chciałaś, by Meadows wykorzystał to przeciwko tobie.

*Możesz go odnaleźć.* – Pragnienie zagłuszało bardziej opanowaną, cichą i racjonalną część mojego umysłu. – *Masz szansę znowu go zobaczyć. Tym razem dopilnujesz, żeby wrócił do domu. I możesz pomóc wszystkim dzieciom. Wszystkim.*

– Jeśli się zgodzę – zaczęłam – musisz mi zagwarantować, że kiedy wrócę, nie dostanę nagany za tę małą samowolkę. Musisz mi przysiąc z ręką na sercu, bo jeśli się na tobie zawiodę, wydrę ci z głowy wszystkie myśli i zrobię z mózgu lepkie smarki. Rozumiesz?

– Zuch dziewczyna – odparował Cole. – Moja perelka. Zobaczę, czy uda mi się wkręcić cię na najbliższą misję na wschodzie kraju. Będziesz musiała wykazać się sprytem, żeby zgubić Opiekuna, którego ci przydzielią, ale myślę, że dasz sobie radę. Nasz stary adres to 1222 West Bucket Road, Wilmington, Karolina Północna. Zapamiętasz? Zaczynij tam. Lee jest przewidywalny, spróbuje się dostać do domu, żeby sprawdzić, czy nasz ojczym nie zostawił jakiegś wskazówki dotyczącej swojego miejsca pobytu.

Wzięłam głęboki oddech. Stałam jak słup soli, ale wszystko we mnie zdawało się galopować: serce, myśli i nerwy.

– Potrafisz to zrobić – powiedział cicho. – Jestem pewien. Przez cały czas będę cię krył.

– Nie potrzebuję twojej ochrony – odparowałam. – W przeciwieństwie do Jude’a.

– Tego patyczaka? Jasne. Będę miał go na oku.

– Widę i Nico też?

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. – Cole skłonił się przede mną lekko i wycofał

za zasłonkę.

Zamknęłam oczy, usiłując wymazać spod powiek jego znajomy krzywy uśmiech, na którego widok serce wyrwało mi się z piersi.

– Robienie z tobą interesów to przyjemność – rzucił.

– Hej – wyrwało mi się niespodziewanie. – Słyszałeś o misji o kryptonimie Śnieżyca? I agentce, na którą mówią Profesor? – Podejrzywałam, że jako tajny agent Cole może mieć dostęp do takich informacji.

– Wydaje mi się, że tak, ale tylko tyle, że to projekt, który przeprowadzają w Georgii. Czemu pytasz? Chcesz, żebym bliżej się temu przyjrzał?

Wzruszyłam ramionami.

– Jeśli znajdziesz czas.

– Dla ciebie, perelko, mam tyle czasu, ile potrzeba. Zaufaj mi.

Drzwi szatni zamknęły się z trzaskiem, a ostatnie strużki wody zniknęły w odpływie. Ja jednak nie ruszałam się z miejsca.

Minęły dwa długie, nieznosne tygodnie, zanim znalazłam w szafce czerwoną teczkę. Dzień za dniem upływał mi według dokładnie zaplanowanego schematu: trening, posiłek, trening, posiłek, spanie. Schylałam pokornie głowę, ale moje myśli były w ciągłym ruchu. Nie mogłam patrzeć ludziom w oczy ze strachu, że ktoś przez przypadek dostrzeże we mnie poczucie winy albo zauważy, że coś knuję. Kiedy zobaczyłam akta operacji leżące na moim niewielkim stosiku książek, o mało się nie popłakałam, po części z ulgi, po części z przerażenia.

W szatni szumiało od spekulacji. Dzieci wysnuwały najróżniejsze teorie. Ktoś był na tyle odważny, a może głupi, żeby pewnego dnia podczas zajęć zapytać Trenera Johnsona, co się stało z ciałem Blake’a i czy zostanie zorganizowana jakaś uroczystość pogrzebowa. Nico zrobił się zielony ze strachu, ale Johnson zbył pytanie.

Liderka Zespołu Drugiego, Niebieska o imieniu Erica, na cały głos wyrażała swoje przekonanie o tym, że Blake ciągle leży w sali chorych na dole i jest poddawany sekcji, a Jillian, Zielona, utrzymywała, że kilka dni wcześniej widziała, jak worek z jego zwłokami został wyniesiony z Bazy.

– Jestem pewna, że go pochowali – stwierdziła.

Stałam przy szafce i za zasłoną z drzwiczek czytałam akta. Słyszałam, jak kilka metrów dalej Vida śmieje się głośno z czegoś, co powiedział jeden z Niebieskich. Odwróciłam się i wyciągnęłam szyję, usiłując zajrzeć do jej szafki. Na szczęście nie było w niej nic oprócz pogniecionej sterty koszulek. Ucieszyłam się, że zostanie w Bazie. Mogłam nakazać Jude’owi i Nico, żeby trzymali się blisko niej – nawet Jarvin czuł przed nią respekt. Ta osa potrafiła uządlić.

Znowu otworzyłam teczkę i przeglądałam dokument linijka po linijce. *Blagam, niech to będzie Wschodnie Wybrzeże* – prosiłam w myślach. – *Niech to będzie wschód...* Dużo łatwiej byłoby mi się dostać do Karoliny Północnej z Connecticut niż z Teksasu czy północnej Kalifornii.

**Nr Operacji: 349022-A**

**Czas: 15.12, 13.00**

**Miejsce: Boston, MA**

Massachusetts. Ujdzie. Ciągle działało tam kilka pociągów.

**Cel: Sprawdzić dra P.T. Fishburna, kierownika administracji Katedry Genetyki i Chorób Złożonych na Wydziale Zdrowia Publicznego na Harvardzie; unieszkodliwić laboratorium.**

Poczułam, jak ściska mnie w żołądku. „Sprawdzić” oznaczało przesłuchać podmiot na

miejsu w Bostonie, w jednej z kryjówek Ligi, a jeśli nie będzie chciał współpracować, przewieźć go do najbliższej bazy. Moje zadanie. „Unieszkodliwić” oznaczało spalić, zniszczyć, zdemolować. Zadanie oddziału taktycznego.

**Oddział taktyczny: Grupa Beta**

**Psi: Mandarynka, Słoneczko**

**Opiekun: Do ustalenia**

– O nie – wyszeptałam, uświadamiając sobie, że całkiem tracę czucie w rękach. – Tylko nie to.

Zostawiłam teczkę w szafce i zamknęłam ją z trzaskiem. Upięłam jeszcze mokre włosy w luźny kok i wyszłam, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować. Była trzecia po południu – jeśli Cate nie uczestniczyła w zebraniu, najprawdopodobniej siedziała u siebie albo w auli.

Z wściekłością starłam kroplę wody, która ściekla mi z włosów na policzek. Przedzierałam się przez zasłony ze zwisających z sufitu plastikowych pasków – w teorii miały pomóc zatrzymać tę odrobinę ciepła, którą mieliśmy w Bazie. Raz po raz musiałam się usuwać na bok, żeby przepuścić grupę agentów, wbijałam wtedy oczy w niski strop, unikając kontaktu wzrokowego.

Włosy na karku stanęły mi dęba, bo zdałam sobie sprawę, że każdemu mojemu krokowi towarzyszy dziwnie równe echo.

Ktoś mnie śledził. I to od kiedy wyszłam z szatni.

Ciężkie buty i charczący oddech kazały mi sądzić, że to mężczyzna. Spojrzałam w górę na jedną ze stalowych belek, szukając jego odbicia, ale ktokolwiek za mną szedł, robił to w idealnie wymierzonym tempie – nikogo nie zobaczyłam. Byłam jednak świadoma jego obecności, czułam, jak cała pogarda, jaką ma dla mnie, przecina wilgotny chłód korytarza i wbija mi się w kręgosłup.

*Nie odwracaj głowy* – upominałam się, zaciskając zęby – *nie zatrzymuj się.* – Wmawiałam sobie, że nic się nie dzieje, że to wyobraźnia jak zwykle płata mi figle. – *Wszystko w porządku. Nikogo tam nie ma.*

Czułam jednak, jak za mną podąża, jakby jego palce próbowały zetrzeć moją gęsią skórę. Serce nagle zaczęło mi walić jak szalone i nie mogłam nic na to poradzić. Wiedziałam, co mogę zrobić i że mam wystarczające umiejętności, żeby się obronić, ale przed oczami stanął mi but Blake’a Howarda zwisający z jego białej, sztywnej stopy.

W końcu dotarłam do podwójnych drzwi i ledwo zapiąć, wpadłam do auli.

Wewnątrz trwało rozstawianie okrągłych stolików i składanie krzeseł – zamienianie sali z powrotem w świetlicę. Tu i tam widziałam napuszonych agentów ubranych w swoje najlepsze sportowe ciuchy z emblematem Ligi – grali w karty, oglądali wiadomości w telewizji albo siedzieli nad wybrakowanymi zestawami szachów.

Cate weszła przez drugie, znajdujące się naprzeciwko drzwi. Ubrała się oficjalnie – miała na sobie nienagannie wyprasowaną granatową garsonkę, a jasne włosy spięła w ciasny kok. Zagapiła się i wpadła na agenta siedzącego przy pobliskim stole, po czym rzuciła niemrawe przeprosiny. Zdałam sobie sprawę, że mnie szuka, dopiero kiedy jej wzrok zatrzymał się na mojej twarzy.

– Tu jesteś – rzuciła i podbiegła do mnie tak szybko, jak to możliwe w butach na obcasach. Otworzyłam usta, ale uniosła dłoń, żeby mnie uciszyć. – Wiem. Przepraszam. Zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby Alban zmienił zdanie, ale się uparł.

– On nie ma jeszcze szesnastu lat! – warknęłam. – Nie jest gotowy... Dobrze o tym wiesz. Wszyscy to wiedzą! Chcecie z niego zrobić kolejnego Blake’a Howarda?

Równie dobrze mogłam uderzyć ją w twarz. Cofnęła się o krok, a przez jej maskę spokoju

przebiło się przerażenie.

– Walczyłam, żeby go odsunęli, Ruby. Przypisałam ci Vidę, ale ktoś przekonał Albana, że Jude powinien wcześniej zostać wcielony do czynnej służby. Potrzebują Żółtego do rozbicia systemu bezpieczeństwa i Alban stwierdził, że nie ma sensu angażować dwóch różnych zespołów do jednej prostej operacji.

Przyciągnęłyśmy kilka zabłąkanych spojrzeń. Cate wzięła mnie za rękę, poprowadziła do pustego stolika i zmusiła, żebym usiadła.

– Powinnaś się bardziej starać – wycodziłam.

Jude – nasze małe Słoneczko – nie potrafił działać pod presją, a do tego miał tendencję do zajmowania się zgłębianiem najróżniejszych ciekawostek w czasie, gdy powinien być całkowicie skupiony. O broni palnej wiedział tyle, że koniec z dziurą powinien być skierowany w stronę przeciwną do jego twarzy.

– Za kilka tygodni skończy piętnaście lat. – Cate położyła dłoń na mojej. – Jestem pewna... Jestem przekonana, że nic mu się nie stanie. To łatwa, nieskomplikowana operacja, która pozwoli mu posmakować czynnej służby.

– Potrafię to zrobić sama. Jeśli trzeba rozpracować jakiś sprzęt elektroniczny, dam radę...

– Mam związane ręce. Nie mogę nieustannie stawiać Albanowi oporu, bo zacznie mnie postrzegać jako problem. A poza tym... – Wzięła głęboki oddech i odruchowo przygładziła włosy, a następnie spódnicę. Kiedy znowu się odezwała, jej głos brzmiał bardziej stanowczo, ale nie patrzyła już na mnie. – Jedyne pocieszenie znajduję w tym, że będzie tam z tobą i że będziesz się nim opiekować. Możesz to zrobić?

Skóra zapadała się pod jej wystającymi kośćmi policzkowymi, jakby dopiero co wyzdrowiała po długiej chorobie. Gdy pochyliłam się do przodu, zauważyłam, że puder zebrał się jej w kilku nowych cieniutkich zmarszczkach wokół oczu i że jej powieki okala bardzo ciemna obwódka. Miała dopiero dwadzieścia osiem lat, a zaczynała wyglądać starzej niż moja mama, kiedy ją zostawiłam.

Czasem wydawało mi się, że prawdziwą Cate odnajdywałam między słowami. Nie powiedziałabym, że nasze stosunki były dobre, bo opierały się na kłamstwie i to dość okrutnym. Potrafiła mówić jedno, kiedy chodziło jej o coś całkiem innego. Ale teraz, w ciszy, jej twarz wyrażała wszystko. Zobaczyłam, że toczy ze sobą walkę, i wiedziałam, że słowa, które zaraz wypowie, będą skierowane bardziej do otaczających nas agentów niż do mnie.

– Muszę pojechać na północ – powiedziała pewnym głosem. – Mam do wykonania zadanie.

Najprawdopodobniej miało to coś wspólnego z Koalicją Federalną. Cate była teraz starszym agentem. Zapracowała sobie na awans. Jeśli ją gdzieś wysyłano, to na pewno miała wykonać coś ważnego dla Albana.

– Więc nie pojedziesz z nami? – zapytałam.

Cate spojrzała za mnie i do kogoś pomachała. Poczułam, jak coś zimnego spływa mi z tyłu po szyi, chociaż włosy miałam już prawie suche.

– Tu jesteś – rzuciła. – Właśnie miałam powiedzieć Ruby, że podczas akcji będzie w dobrych rękach. Miej oko na moją małą, dobrze?

Rob nigdy, nawet kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, dobrowolnie mnie nie dotknął. Tak jak cała reszta wiedział, czym to grozi. Ale kiedy patrzyłam na jego zwisające luźno ręce i ciemne włosy kręcące się na kostkach dłoni, ścisnęło mnie w gardle.

– Czy kiedykolwiek spuściłem ją z oczu? – Rob zaśmiał się cicho.

Cate wstała. Jej przezroczysta twarz błyszczała w sztucznym świetle.

– Cześć, czołem!

Zawsze rzucała nam na pożegnanie to głupie, dziecinne hasło. Pozostali odpowiedzieliby jej bez wahania – Jude wymyślił specjalną rymowaną, którą się jej rewanżowaliśmy. Teraz jednak z trudem wykrztusiłam z siebie słowa:

– Czołem, cześć, niej daj się zjeść.

Kiedy tylko wyszli, zobaczyłam, że przy stoliku na drugim końcu pomieszczenia siedzi Cole i udaje, że czyta. Ponury wyraz jego twarzy jasno sugerował, że słyszał całą rozmowę.

*Mówiłeś, że go ochronisz.* Czy naprawdę w całej Lidze nie było nikogo, komu mogłabym zaufać? Na nikogo nie mogłam liczyć. Każda obietnica okazywała się kłamstwem.

Cole potrząsnął głową i rozłożył bezradnie dłonie. Były to ciche przeprosiny – przynajmniej rozumiał. Przesunięcie tego jednego pionka na planszy wystarczało, żeby zmienić cały przebieg gry.

Przeszmuglowali mnie i Jude'a do Bostonu w biały dzień, w ładowni beczkowatego samolotu transportowego. Maszyna była starsza niż ta, którą przywieziono mnie z Filadelfii, i śmierdziała tak nieznośnie, że zaczynałam się skłaniać ku teorii Jude'a – twierdził, że kiedyś przewożono nią padlinę.

Siedzieliśmy na rozkładanych fotelach, skąd z niepokojem przyglądałam się leżącym przed nami olbrzymim skrzyniom. Staraliśmy się ignorować skrzypienie, które wydawały pod naporem pasów stabilizujących. Wszystkie były oznaczone eleganckim złotym łabędziem Leda Corporation, co uznałam za koszmarny żart losu. Próbowalam myśleć racjonalnie i nie brać tego za złą wróżbę. Ciągłe lataliśmy samolotami Ledy. Firma ta odkryła korzyści płynące z utrzymywania dobrych stosunków zarówno z Grayem, jak i z Koalicją Federalną, dzięki czemu miała specjalny przywilej latania do Kalifornii z transportami swoich produktów. Gray, który lubił komplikować ludziom życie, wpadł na genialny pomysł, żeby zagłodzić Koalicję Federalną w Kalifornii przez zabronienie importu z tego stanu i eksportu do niego. Na nieszczęście dla reszty kraju to właśnie z Kalifornii pochodziło najwięcej świeżych produktów, w dodatku stan ten miał platformy wiertnicze na Alasce, a dzięki temu łatwy dostęp do ropy.

Koalicja swatała nas z Leda Corporation. Mogliśmy podróżować na gapę, tak jak w tym przypadku, w zamian za to, że byliśmy ich skrytobójcą bronią. Dostarczaliśmy im dane i przez lata przeprowadziliśmy dla nich wiele operacji. Alban nazywał to sprawiedliwą wymianą, ale wiedziałam, że pragnął czegoś więcej. A mianowicie szacunku, pieniędzy i pewnego miejsca w rządzie, który Koalicja miała zamiar uformować po obaleniu Graya.

Po drugiej stronie owiniętej folią sterty skrzyń siedział Oddział Beta. Jego członkowie zanosili się śmiechem z dowcipu, który do nas nie dotarł, zagłuszony przez jednostajny warkot silnika.

Przycisnęłam skostniałe dłonie do oczu, chcąc złagodzić pulsujący ból w skroniach. Jeśli w ładowni krążyła choć odrobina ciepłego powietrza, musiała przywrzeć do sufitu, bo byłam przemarznięta do szpiku kości. Zapadłam się głębiej w siedzenie i otuliłam czarną kurtką tak ciasno, jak pozwalały mi na to pasy bezpieczeństwa.

– Głęboki wdech. Głęboki wydech. Głęboki wdech. Głęboki wydech. Nie jesteś w samolocie, szybujesz sobie po niebie jak ptak. Głęboki wdech... – powtarzał Jude.

– Jeśli chcesz, żeby to podziałało, naprawdę musisz głęboko oddychać – zauważyłam. Samolot zanurkował, a po sekundzie znów się poderwał.

– Czy to... – Chłopcu łamał się głos. – Czy to normalne?

– To tylko niewielkie turbulencje – wyjaśniłam, starając się wyzwolić z uścisku jego ręki. – Zdarzają się podczas wszystkich lotów.

Jude założył hełm bojowy i gogle. Nie miałam serca mu powiedzieć, że jeśli się rozbijemy, urazy głowy będą jego najmniejszym zmartwieniem.

Boże. Nawet lot samolotem go przerastał.

To był błąd. Powinnam była walczyć wytrwalej, nie dać się zbyć i przekonać kogoś, żeby odwołał Jude'a z tej operacji. Już w Bazie wizja, że będę musiała go wziąć na poszukiwania Liama, była frustrująca i nieznośna, ale teraz... teraz po prostu się bałam. Jak miał poradzić sobie z dezercją z oddziału Roba, skoro nie umiał usiedzieć spokojnie przez pięć minut? Jak, skoro jego wyobraźnia już skradła mu odwagę i całkiem nim zawładnęła?

*Może znaleźć sposób, żeby zostawić go z Bartonem*, pomyślałam, pocierając czoło. Był tylko jeden problem – nie mogłam mieć pewności, że Barton nie jest jednym z popleczników

Roba i entuzjastów ataku na obozy. Tak naprawdę istniało spore ryzyko, że każdy z członków oddziału bez mrugnięcia okiem wpakowałby Jude'owi kulkę w łeb.

– Będzie super. Nie ma się o co martwić – uspokajał się.

Jego teczka z dokumentacją nosiła ślady kolacji, którą jadł zeszłej nocy, i miała wymięte krawędzie.

Chciałam krzyczeć. *Krzyczeć*. Wzięłam sobie na głowę dodatkową głowę do wykarmienia i dodatkowe plecy do krycia. Jude był chodzącym roztargnieniem. Nie miałam jednak wyboru. Przecież nie mogłam odesłać go z powrotem do tego piekła z nadzieją, że przetrwa żywy do czasu, kiedy wrócę i Cole wcieli w życie swój plan.

Nie. Jude był balastem, który musiałam wziąć na swoje barki. Teraz byłam silniejsza niż kiedyś i zamierzałam sobie poradzić. Postanowiłam odnaleźć Liama i obu ich ochronić. Nie miałam innego wyjścia. Tylko takie rozwiązanie mogłam zaakceptować.

– Zastanawia mnie ten Bartlett. Jak myślisz, co to za jeden? – zapytał Jude, przeglądając dokumenty. – Rozpoznaję pozostałe imiona. Frances jest miła: kiedyś dała mi batonika. Lebrowsky, Gold i Fillman są w porządku. To oni nauczyli mnie układać pasjansa. Lider też jest okej. Cieszę się, że awansowali Bartona. Ale kim, do licha, jest Bartlett?

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi – rzuciłam, koncentrując się na leżących przede mną skrzyniach.

Tak naprawdę co nieco wiedziałam. Był to nowy agent, który przeniósł się do nas z bazy operacyjnej w Georgii. Podśluchałam kiedyś dziewczyny w szatni. Rozmawiały o tym, jakim to jest „ciachem”, ale zauważyły mnie i przerwały, zanim zdążyłam się dowiedzieć czegoś pożytecznego.

Jude zaczął nucić coś pod nosem, energicznie przytupując sobie do rytmu. Kompas, który nosił na szyi, wysunął mu się spod kurtki i kołysał się razem z nim. Możliwe, że bujał się tak przez całe pięć godzin, które spędziliśmy w powietrzu.

– Bartlett studiował w Akademii Wojskowej w West Point. Myślisz, że jest dobry?

– Skoro znasz na pamięć akta wszystkich agentów, czemu mnie pytasz?

– Bo człowiek to znacznie więcej niż dane zapisane na kartce papieru czy w pliku na komputerze. Tak naprawdę nie obchodzi mnie, że jego specjalnością jest walka na noże. Nie zrozum mnie źle, ale wolałbym się dowiedzieć, dlaczego przyłączył się do Ligi i co teraz myśli o tej decyzji oraz jaka jest jego ulubiona potrawa...

Obróciłam się, żeby na niego spojrzeć. Po części zadziwiona, a po części przerażona.

– Według ciebie jego ulubiona potrawa jest ważniejsza niż preferowana metoda walki?

– No tak, tak jakby...

Nie wytrzymałam. Nie wiedzieć czemu nagle zalała mnie fala gwałtownej, wrzącej wściekłości.

– Chcesz, żebym opowiedziała ci o Oddziale Beta? – Uszy wypełniało mi dudnienie tętna. – Przez najbliższe dwanaście godzin to jedyne sześć osób, które nie będą usiłowały cię zabić. Nie mają jednak obowiązku cię chronić, zwłaszcza jeśli zagrozi to operacji. Masz więc słuchać rozkazów Lidera i się nie wychylać. To *wszystko*, co musisz wiedzieć.

– Matko, wyluzuj. Nie każdy dorosły na tym świecie chce nas wysłać do piachu – oburzył się Jude.

Zacisnęłam zęby, z trudem trzymając język na wodzy. *Czy myślisz, że zabicie ciebie jest najgorszą rzeczą, jaką mogą zrobić?*

– Po prostu lubię poznawać ludzi. Co w tym złego?

– Cóż, przykro mi, ale większość z nich nie ma ochoty się z tobą spoufalać.

– Chodzi mi tylko o to... – Wymachiwał rękami, jakby miało mi to pomóc zrozumieć

jego zagadkowe słowa. – Chodzi o to, że w naszych czasach ludzie bez zastanowienia sprowadzają drugiego człowieka do suchych informacji, które można wczytać na serwer. A ja myślę, że nie jesteśmy w stanie naprawdę kogoś poznać, jeśli nie poświęcimy mu uwagi. – Przerwał i wyciągnął długą szyję, żeby się rozejrzeć. Widząc, że nasz Opiekun jest zajęty graniem w karty z Frances, dodał: – Weźmy na przykład Roba. Jego akta są bez zarzutu. Studiował na Harvardzie, był wojskowym, a później przez chwilę agentem FBI. Ma dokładnie metr osiemdziesiąt trzy wzrostu i waży dziewięćdziesiąt trzy kilogramy. Potrafi strzelać i przyzwoicie mówi po hiszpańsku. Ale to... Nic z tych informacji nie wskazuje na to, że... – Urwał. – Chcę poznać nie tylko twarz człowieka, ale też jego cień.

Podjeżdżałam, że Blake był pierwszą bliską osobą, którą stracił Jude. Wcześniej chłopiec tylko słyszał o agentach, którzy ginęli w tej czy innej misji, w nalocie lub wybuchu. Tak naprawdę nie dopadł go jeszcze ten wyjątkowy rodzaj bólu, z jakim wiąże się utrata kogoś kochanego – to dlatego wciąż miał siłę, by próbować.

– Tak? A znasz mój cień? – zapytałam.

Odwrócił wzrok i spojrzał na obcasy swoich komicznie dużych butów.

– Nie. – Jego odpowiedź była tak cicha, że niemal rozplynęła się w tysiącach kilometrów krystalicznego niebieskiego powietrza pod nami. – Czasem myślę, że nie znam nawet twojej twarzy.

Miałam to gdzieś. Owszem, straciłam czucie w rękach, ale nie przez lodową atmosferę, która wytworzyła się między nami w ciągu kilku sekund, lecz z zimna. Zaciśnęłam zęby, ale nie po to, by stłumić jęk frustracji, tylko żeby nimi nie dzwonić. Nie potrzebowałam, żeby mnie lubiano, szukano mojego towarzystwa albo żeby komuś na mnie zależało. Nie potrzebowałam przyjaciół. I nie miałam zamiaru pozwolić, żeby dzieciak, który kiedyś, potykając się o własne wielgachne stopy, wyłączył cały system komputerowy Ligi, manipulował mną i robił ze mnie kogoś, kim nie jestem. Wmawiałam sobie, że nic mi się nie dzieje. Byłam tylko trochę zmarznięta.

Otuliłam się szczelniej kurtką, kątem oka obserwując, jak Jude się wierci. Wykręcał sobie palce do czerwoności.

– Beta to dobry oddział – odezwałam się w końcu. – Dopóki wykonujesz ich rozkazy, jesteś bezpieczny. Ludzie z Alfę mają wszystko gdzieś, więc dopilnuj, żeby dołożyli ci kogoś, kto będzie cię osłaniał. Deltę prowadzi Farbringer, a on lubi dzieci.

Jude miętosił w palcach materiał spodni.

– Tak? – Z jego głosu uszło życie. – Ruby – odezwał się tak cicho, że ledwo usłyszałam go przez warkot samolotu. – Czy Rob wybrał mnie na tę misję, żeby mnie zabić?

Roba spotkałam po raz pierwszy zaraz po tym, jak Cate wydostała mnie z Thurmond. Umówili się na spotkanie na opuszczonej stacji benzynowej – mieli przyprowadzić ze sobą dzieci, które wyzwolili. Rob twierdził, że nie udało mu się nikomu pomóc i że musiał uciekać, by nie wpaść w ręce strażników. Cate była w niego tak wpatrzona, że od razu mu uwierzyła. Ale chwila nieuwagi i jedno nieopatrzone dotknięcie wystarczyły, żeby jego umysł się przede mną otworzył. Żebym ujrzała prawdę.

Nocami, kiedy nie mogłam spać dręczona myślami o tym, co stało się z Liamem, Pulpetem, Zu i dziewczynami, które zostawiłam w Thurmond, wspomnienia Roba wślizgiwały się do mojej świadomości. Widziałam leżącego na ziemi chłopca w kapturze, widziałam, jak jego ciałem wstrząsają konwulsje po tym, jak Rob strzelił mu w głowę. Widziałam twarz dziewczynki. Patrzyłam, jak jej wargi poruszają się, błagając o litość, i słyszałam, jak jej ciało obija się o kubeł na śmieci, kiedy nasz Opiekun je wyrzucał. Gdy w końcu się budziłam, było mi niedobrze z żalu, że dzieci straciły życie, i dlatego, że czułam się, jakbym to ja je zabiła.



Dobrze znałam cień Roba. Byłam nim.

– Nie mogę przestać myśleć o Blake’u. Nie daje mi to spokoju. Powinniśmy byli komuś powiedzieć – odezwał się Jude. – Alban wywaliłby Jarvina i resztę i Liga znowu stałaby się taka jak dawniej... zanim to wszystko się wydarzyło. Tylko oni są źli. Jeśli się ich pozbędziemy...

Zakażenie nie zawsze rozwija się w ten sam sposób. Czasem gangrena jest tak rozległa, że nie da się jej usunąć za pomocą jednego cięcia. Rob, Jarvin i reszta mogli być tylko garstką z wielu. Bardzo mnie kusiło, żeby powiedzieć Jude’owi prawdę, wyznać mu wszystko, co zdradził mi Cole. Doszłam jednak do wniosku, że straszenie chłopca tylko po to, by sobie coś udowodnić, to najgłupsze, co mogę zrobić. Jeśli miało się nam udać, nie mógł poznać planu zbyt wcześnie. Nie mogłam ryzykować najmniejszej wpadki i tego, że niechcący nas wyda.

– Nic ci się nie stanie. Będę przy tobie przez cały czas – zapewniłam go.

Jude drżał. Podejrzywałam, że nie usłyszał ani jednego słowa, które wyszło z moich ust.

– Jak oni mogli? Przecież nigdy nie zrobiliśmy niczego, żeby ich skrzywdzić. Czemu aż tak bardzo nas nienawidzą?

Zamknęłam oczy, bo powietrze zgęstniało od dudniącego śmiechu Roba.

– Może spróbujesz zasnąć? Czeką nas jeszcze kilka godzin lotu. Jedno z nas może być wypoczęte.

– Dobrze. Tylko chciałbym, żeby...

– Żeby co?

– Możemy zamiast tego porozmawiać? – wybąkał w kierunku swoich kolan, pokracznie przyciągając stopy na siedzenie.

– Ty naprawdę nie znosisz siedzieć w ciszy. Milczenie cię uwiera, co?

Odpowiedział dopiero po długiej chwili, tak jakby chciał mi udowodnić, że się myłę.

– Po prostu nie lubię ciszy. Nie lubię tego, co w niej tkwi.

*Nie pytaj. Nie pytaj. Nie pytaj.*

– Co takiego?

– Przeważnie słyszę, jak się kłócą – wyszeptał. – Słyszę, jak on na nią krzyczy i jak ona płacze. Ale... Słyszę to przez zamknięte drzwi. Mama zamykała mnie w szafie, bo on był łagodniejszy, kiedy znikalem mu z oczu. Nie pamiętam, jak brzmiała, kiedy wszystko było dobrze, tylko jak brzmiała wtedy.

Pokiwałam głową.

– Wiem, o czym mówisz.

– Czy to nie dziwne? Minęło osiem lat, a ja ciągle ich słyszę i myślę o tym, jak ciemno i ciasno było w szafie. Mam wrażenie, że się duszę. Słyszę ich cały czas, jakby mnie prześladowali. Nie mogę przed tym uciec. Nie pozwalają mi.

Nie ulegało wątpliwości, że jest wykończony, a z doświadczenia wiedziałam, co zmęczenie robi z umysłem. Jak go oszukuje, zupełnie jakby wszelkie systemy obronne padały jeden po drugim. To własne wspomnienia, nie duchy, nawiedzają ludzi.

– Możesz do mnie mówić, aż zasnę? I proszę cię, nikomu o tym nie wspominaj, dobrze?

– Jasne. – Oparłam głowę o siedzenie, zastanawiając się, co, na Boga, mam mu opowiedzieć, żeby go uspokoić. – Pamiętam historię, którą naprawdę lubiłam, kiedy byłam mała – zaczęłam cicho, upewniając się jednak, że mój głos przebija się przez warkot silników. – O królikach. Może już ją kiedyś słyszałeś.

Zaczęłam od początku. Od ucieczki. Mówiłam o przeprawie przez las, gdzie na każdym kroku czaiło się zagrożenie. O rozpaczynie wynikającej z potrzeby zapewnienia bezpieczeństwa wszystkim mimo braku sił. O chłopcu o bezdennych ciemnych oczach, o zdradzie, ogniu i dymie. W chwili, kiedy się zorientowałam, że opowiedziałam mu własną historię, Jude smacznie spał,

otulony ciasno swoimi snami.

Wielkie metropolie łączy jedno: zmieniają się nie do poznania bez względu na to, jakie były kiedyś, jak wyglądają ich mieszkańcy, jaki rodzaj przemysłu w nich kwitnie ani kto z wielkich tego świata się tam urodził. Są jak ukochana osoba widziana we wstecznym lusterku samochodu, która coraz bardziej maleje, aż w końcu przestaje się rozpoznawać jej sylwetkę.

Budynki z czerwonej cegły wciąż stały niewzruszone, ale straszyły powybijanymi oknami. Trawa w parku była w jednych miejscach sucha, w innych przerośnięta, a tam, gdzie kiedyś stały drzewa, zupełnie wypalona. Okazałe kamienice miały pozamykane drzwi i okiennice, a ich ciemne fasady oblepiały lód i stary śnieg. Na każdej z dróg otworzono tylko jeden pas, po którym w tłoku wlekły się samochody i rowery. Większość ulic wypełniały prowizoryczne namioty, w których gnieli ludzie.

Liche szalasy zbudowane z kolorowych starych parasoli i wesołych dziecięcych prześcieradeł wyglądały tragicomicznie. Ci, którym wiodło się najgorzej, marzli na mrozie, mając jedynie śpiwór i ścianę do oparcia pleców.

– Nie pojmuję tego – powiedział Jude.

Wyglądaliśmy przez przyciemnianą szybę karetki, którą szpital wielkodusznie udostępnił nam w zamian za produkty Leda Corporation.

Na ulicach nie świeciła ani jedna latarnia, ale paliło się tyle ognisk, że byliśmy w stanie przyjrzeć się okolicy przyprószonej pierwszym śniegiem.

– Wielu ludzi straciło domy i mieszkania, kiedy załamały się rynki – wyjaśniłam, siląc się na cierpliwość. – Rząd nie był w stanie spłacić długu, skutkiem czego ludzie zostali bez pracy i wylądowali na bruku.

– Ale jeśli wszyscy wszędzie są w takiej samej sytuacji, czemu banki nie pozwolą im po prostu zostać u siebie i poczekać na lepsze czasy? Czy nie powinniśmy czegoś zrobić, żeby im pomóc?

– Nie tak działa świat! – zawołał zza kierownicy Rob. – Pogódź się z tym! – Miał na sobie ciemny uniform ratownika medycznego i z wielką gorliwością uruchamiał koguta i światła za każdym razem, kiedy ludzie na ulicach nie schodzili mu z drogi wystarczająco szybko.

Obok niego siedział członek Oddziału Beta o imieniu Reynolds, którego zadaniem było wspierać naszą część operacji. Jedno spojrzenie na twarz Jude’a, kiedy klepali się z Robem po plecach, wystarczyło mi, żeby się zorientować, że Reynolds był jednym z agentów, którego Jude przyłapał na spiskowaniu.

Reszta Oddziału Beta znajdowała się trzy przecznice przed nami, gniotąc się na pace starej furgonetki. Wyglądali jak manifestanci – mieli na sobie wytarte ubrania, czapki z daszkiem, spod których wystawały potargane włosy, i kurtki na tyle grube, by można było schować pod nimi broń.

Przedmiot naszego zainteresowania mieszkał w Cambridge, mieście, które od Bostonu oddziela rzeka. Wydział Medycyny Harvardu, gdzie przeprowadzał badania, na szczęście mieścił się w samym środku Bostonu. Rob, w swojej wątpliwej mądrości, zdecydował, że operacja zostanie podzielona na dwie równoległe akcje. Podczas gdy Oddział Beta będzie unieszkodliwiał laboratorium, Jude i ja mieliśmy się włamać do domu profesora i wyciągnąć z niego informacje.

Przynajmniej tak to widział Rob.

Zawróciliśmy i skierowaliśmy się na most. Przekraczaniu rzeki towarzyszyło niecierpliwe trajkotanie Jude’a, który pytał o bejsbol, o lepką maź na podłodze karetki i o to, jak wrócimy do domu. Tę lawinę w końcu przerwał głos Bartona, który zabrzmiał w słuchawkach:

*Tu Lider. Zgłaszam, że jestem na pozycji, gotowy do rozpoczęcia operacji o 22.30. Podaj swój status.*

– Tu Opiekun. Jesteśmy o pięć minut od Gęsiego Gniazda – odpowiedział Rob i poczułam, jak karetka przyspiesza.

W tej samej chwili obudził się we mnie niepokój. Wyprostowałam się, przyciągnęłam kolana do klatki piersiowej i objęłam je rękami.

– Halo, Baza, słyszycie nas?

*Tu Baza. Linia jest bezpieczna, śledzimy obie jednostki. Macie zezwolenie na rozpoczęcie akcji o 22.30. Obraz z satelity pokazuje minimalne zakłócenia w okolicach celu drugiego. W sektorze Opiekuna widać umiarkowaną aktywność.*

Nie jestem pewna, kogo określenie „Opiekun” odrzucało bardziej, Roba czy mnie. Rob nie prowadził zespołu dzieci tak jak Cate, ale został ochrzczony tym tytułem jak każdy, kto podczas operacji pilnował odmieńców.

– Mam protest w parku – powiedział.

Podniosłam oczy i na czworakach podeszłam do tylnej szyby. Miał rację. Przejeżdżaliśmy obok okolonego drzewami i poprzecinanego ścieżkami parku uniwersyteckiego. Wokół wielkiego ogniska zgromadziły się tu setki, może tysiące osób, ignorując padający deszcz ze śniegiem. Transparenty i bębny zaśmiecały leżące obok łąty śniegu, stanowiąc jedyną barierę między manifestantami a niewielkim kordonem niezadowolonych policjantów, który ich otaczał. Ludzie zdawali się krążyć wokół funkcjonariuszy, jakby chcieli znaleźć sposób na przebicie się przez ścianę mundurów i broni.

– Czemu protestują? – wyszeptał Jude, a jego oddech zamglił szybę.

Nie odpowiedziałam, ale wskazałam, żeby usiadł. Zaczęłam liczyć przecznice, które mijaliśmy: jedna, dwie, trzy, cztery, pięć.

Karetka zatrzymała się z szarpnięciem nieopodal przyjemnego, małego, białego domku przykrytego spadzistym szarym dachem. Rob rozpiął pasy i wstał, po czym przemknął na tył samochodu.

– Jesteśmy na pozycji – powiedział, przyciskając rękę do słuchawki w uchu.

Czułam, jak jego wzrok prześlizguje się po mnie, ale nie spuszczałam oczu z Jude’a, który znowu zaczął dygotać.

*Ten dzieciak da się zabić*, pomyślałam, uciskając sobie nasadę nosa.

*Droga wolna* – powiedziała agentka monitorująca operację z Bazy. – *Możecie ruszać na Gęsie Gniazdo.*

*Przyjłem* – odezwał się Barton.

Rob też potwierdził gotowość. Wyglądał na zmarniałego – krawędzie jego kwadratowej szczęki porastał ciemny zarost – ale oczy miał czujne. Rzucił Jude’owi uniform ratownika medycznego i czapkę, jakby strój mógł ukryć, że chłopak wyglądał na dwa lata młodszego, niż był w rzeczywistości.

– Nie odzywaj się, nie wierć i rób dokładnie to, co ci każę. Po wszystkim wracaj do karetki, zrozumiano? – Po tych słowach odwrócił się do mnie i dodał: – Wiesz, co robić?

Spojrzałam mu prosto w ciemne oczy.

– Wiem.

Zadaniem Jude’a było rozbroić alarm i zająć się obsługą noszy, na których profesor miał zostać wyniesiony, na wypadek gdyby któryś z sąsiadów okazał się wścibski i odsłonił zasłonę w nieodpowiedniej chwili. Następnie mieliśmy zabrać nasz podmiot na piętnastominutową przejażdżkę po mieście, podczas której moim zadaniem było skłonić go do współpracy. Po wszystkim zamierzaliśmy go gdzieś wyrzucić, uprzednio wymazawszy z jego pamięci wspomnienie całego zajścia. Jeśli okazałby się trudny do złamania, Rob planował go zabrać do tajnej kryjówki, gdzie, jak podejrzewałam, miał zostać poddany bardziej... przekonującym

metodom perswazji.

Rob otworzył tylne drzwi, wpuszczając do środka przeszywająco zimne powietrze. Razem z Reynoldsem wyciągnęli nosze i torbę medyczną. Jude znowu wykręcał sobie palce.

Kiedy wyskakiwał z samochodu, chwyciłam go za rękę.

– Uważaj na siebie.

Chłopiec zsalutował mi niepewnie i zacisnął zęby, jakby usiłował uśmiechnąć się pocieszająco albo starał się nie wymiotować.

– Cześć, czołem! – rzucił.

Drzwi zamknęły się za nimi z trzaskiem.

*Czołem, cześć, nie daj się zjeść.*

Wielokrotnie wyobrażałam sobie dzień, w którym w końcu spakuję manatki i odejdę z Ligi, ale żadna z moich wizji w niczym nie przypominała tej chwili. Nie przypuszczałam, że będę tak spokojna. Za pierwszym razem, kiedy uciekłam Cate i Robowi, strach eksplodował we mnie tak gwałtownie i z taką siłą, że mój umysł nie nadążał za nogami. Nie wiedziałam, dokąd zmierzam ani jak się tam dostać. Po prostu biegłam. To, że trafiłam na Zu i pozostałych, było zwykłym łutem szczęścia.

Tym razem nie mogłam polegać na losie. Nie miałam czasu bać się ewentualnych konsekwencji. Kiedy byłam opanowana, czułam się dużo silniejsza, niż gdy targaly mną dzikie, nieokrzesane emocje – jak wtedy na stacji benzynowej. Miałam cel, który musiałam osiągnąć, i ludzi, których musiałam chronić. Nikt – a w szczególności Rob Meadows – nie mógł mnie powstrzymać, póki nie wydałam z siebie ostatniego tchnienia.

Dwoje agentów i Jude przeszli pod lampą na werandzie i w tej samej chwili automatycznie zapaliło się światło. Chłopiec rzucił mi przez ramię ostatnie szybkie spojrzenie, po czym zniknął za rogiem, za którym znajdowała się niewielka skrzynka z zasilaniem.

Kiedy światło przed wejściem zgasło, a Rob pochylił się nad złotym zamkiem u drzwi, wyciągnęłam z kieszeni zapalniczkę i nóż bojowy, wsunęłam je do butów, po czym zrzuciłam z siebie puchówkę. Stara kurtka Liama nie była zbyt ciepła, ale nie miała wszytego nadajnika.

Przecisnęłam się na siedzenie kierowcy i otworzyłam drzwi od środka. Kiedy moje buty wylądowały na śniegu, z tyłu karetki pojawił się Jude.

– Co ty...?

Wystrzeliłam do przodu, przykrywając mu usta dłonią. Przerażony otworzył szeroko oczy. Pokazałam, że ma być cicho. Był zbyt zagubiony, żeby zrozumieć, co się dzieje. Chwyciłam go za nadgarstek i pociągnęłam za sobą za karetkę.

*Jesteśmy w środku* – rozległ się w mojej słuchawce szorstki głos Roba. – *Lider, podaj swój status.*

*Wszystko zgodnie z planem.*

Spojrzałam na znak z nazwą ulicy, usiłując wziąć się w garść. Musieliśmy wykorzystać czas, zanim Rob zda sobie sprawę, że nas nie ma, i jak najbardziej się oddalić. Mogłam prześcignąć go pieszo, ale nie byłam szybsza od samochodu... zwłaszcza że miałam ze sobą Jude'a. Chciałam dotrzeć do manifestantów i wtopić się w tłum. Podejrzywałam, że Rob nie wpadnie na pomysł, by szukać nas wśród ludzi, choć paradoksalnie tam najłatwiej byłoby mu nas pochwycić. Nasz Opiekun może i był brutalny i niebezpieczny, ale brakowało mu wyobraźni.

Jude ciężko dyszał, ale poza tym, że był niewyspany, nic mu się nie działo. Wiatr podrywał mu czapkę. Ja naciągnęłam swoją głęboko na uszy, ujarzmiając długie włosy i tłumiąc meldunki rozbrzmiewające w słuchawkach.

Tutejsze zimno było zupełnie inne od tego, do którego przywykłam w Wirginii. Przenikliwe i uparcie wczepiające się w każdy centymetr odsłoniętej skóry. Usiłowałam

przyspieszyć, walcząc ze łzami, którymi zachodziły mi oczy, i z podmuchami śniegu, ale Jude i tak ledwo za mną nadążał. Zamarznięte kałuże pękały nam pod stopami, a ukryte pod starym śniegiem gałęzie trzaskały, kiedy przedzieraliśmy się między drzewami rosnącymi obok domów i zabudowań. Południe, południe, południe. Żeby dotrzeć do parku, do manifestantów – żeby uciec – musiałam się kierować na południe.

*Cel pojmany. Mandarynko, droga wolna?*

Jude doskoczył do mnie w dzikiej panice, ale groźnie potrząsnęłam głową.

Głos Roba otarł się o moje nerwy jak zapalka. Ogień, który rozniecił, był nikły, ale przedzierał się przez napięty, kontrolowany ton mojego głosu.

Przycisnęłam słuchawkę i powiedziałam:

– Tu Mandarynka. Tak, droga wolna.

Dokładnie wiedziałam, kiedy Rob otworzył drzwi karetki i zorientował się, że nas nie ma. Milczał, pomimo że i Baza, i Barton prosili go o podanie najnowszego statusu operacji.

W myślach widziałam, jak jego twarz najpierw robi się biała, a następnie purpurowa z wysiłku, żeby opanować furję. Uśmiechnęłam się lekko. Nie mógł mnie wywołać bez ujawnienia, że mnie zgubił. Rolą Opiekuna ponad wszystko inne było mieć oko na podlegających mu odmieńców.

*Manda...* – zaczął Reynolds, ale został natychmiast odcięty.

Zobaczyłam płomienie ogniska w parku i pomarańczową poświatę na niebie. Jude złapał mnie za tył kurtki i wykręcał ją swoimi długimi palcami, usiłując za mną nadążyć. Śnieg padał teraz mocniej. Naciągnęłam na głowę kaptur bluzy, którą miałam pod spodem, wsunęłam ręce do kieszeni i przecięłam ostatnią dzielącą nas od parku ulicę.

– Hej, Rob – odezwałam się niskim, niewzruszonym głosem. – Mam do ciebie pytanie.

– Roo – wyszeptał Jude. – Co my robimy? Dokąd idziemy?

*Mandarynko, wszelkie pozaoperacyjne przekazy mają się odbywać poza linią* – zabrzmiał głos Bartona.

Chrzanić to. Chciałam, żeby mnie usłyszał. Chciałam, żeby wszyscy usłyszeli.

Kordon policji i Gwardii Narodowej został przerwany, a tłum manifestantów z transparentami i bębnami przelewał się teraz przez wyrwę. Nie miałam pojęcia, co próbowali osiągnąć. Po różnaitości napisów, które przewijały się przed moimi oczami, mogłam sądzić, że protestujący też nie bardzo wiedzieli, o co dokładnie im chodzi. O przymusowy pobór do Sił Psi? Niechęć prezydenta Graya do negocjowania z rządem z Zachodniego Wybrzeża? Ogólny stan okropności rozprzestrzeniający się po całym kraju jak trucizna, jak smog nad Los Angeles?

Większość otaczających nas twarze była młoda, ale nie nastoletnia. Bardzo wiele uniwersytetów i college'ów zostało tymczasowo zamkniętych z powodu braku funduszy. Tylko nieliczne zdołały się utrzymać, a wśród nich rzecz jasna Harvard.

„To my, uciśnione, głodne masy”, głosił transparent niesiony przez ludzi obok mnie.

Pozwoliłam im się wyprzedzić i zostałam w tyle, żeby zmniejszyć prawdopodobieństwo, że ich okrzyki przebiją się przez nasze radio. Zaczekałam, aż przejdą przez plac, i dopiero wtedy uruchomiłam mikrofon.

– Powiedz mi tylko, jak się nazywali.

*Mandarynko...* – Głos Roba był napięty, jakby brakowało mu oddechu. – *Nie mam pojęcia...*

*Mandarynko, przestań.* – Kobieta w Bazie też nie była zachwycona moim pytaniem.

*Opiekun, zgłoś się. Co się dzieje, do cholery?* – Barton się niecierpliwił.

– Dwoje dzieci, które wyprowadziłeś z obozu w nocy przed naszym spotkaniem.

Chłopiec i dziewczynka. Jestem pewna, że ich pamiętasz. Pewnie niełatwo było ich wydostać, nie wspominając już o związaniu im rąk i stóp w taki sposób.

Patrzyłam przed siebie na młodego chłopaka z dreadami, który pospieszał tłum, machając ręką.

Jude spojrzał na mnie zdezorientowany, ściągając brwi.

– Nie rozumiem twojej logiki. Najpierw ich wyciągnąłeś, a potem zamordowałeś w wąskiej uliczce i porzuciłeś? Dlaczego? O co ci chodziło? Co powiedzieli albo zrobili, że wpadłeś w taką złość? Dziewczynka cię błagała. Nie chciała umierać, ale ty wykonałeś egzekucję. A chłopcu nawet nie zdjąłeś maski.

Zacisnęłam dłonie w pięści, żeby zahamować ich drżenie. W tej samej sekundzie w uchu zachrobotał mi głos Albana.

*Co się dzieje?* – Wziął głęboki wdech. – *Jeśli nie chcecie wracać do Bazy z Opiekunem, macie się natychmiast zgłosić do Lidera...*

– Nie wrócimy do Bazy, dopóki on nie zniknie z niej raz na zawsze – wycedziłam.

To była ryzykowna gra. Wiedziałam, że nawet jeśli Alban złapie przynętę i pozbędzie się Roba, i tak istnieje spore ryzyko, że pozostali z krwiożerczej bandy zemszczą się na dzieciach w Bazie. Miałam jednak nadzieję, że skoro Alban wie, iż Rob jest do nas wrogo nastawiony, on i inni agenci, którym mogliśmy zaufać, będą bardziej wyczuleni na podejrzane zachowania, przynajmniej przez kilka nadchodzących tygodni. Jarvin i pozostali spiskowcy mogli się poczuć bezpiecznie, wiedząc, że Jude był daleko i nie mógł ich wydać. A ja nie potrzebowałam wieczności – zamierzałam wrócić za parę tygodni ze wszystkim, czego trzeba, żeby się ich pozbyć.

– Rob, chcę tylko poznać ich imiona. Jestem ciekawa, czy zapytałeś ich o to, zanim ich zabiłeś.

*Myślisz, że to jakaś gra? Przestań kłamać, do jasnej cholery! Jak cię znajdzie...*

Nie musiałam nawet zamykać oczu, żeby zobaczyć twarz zamordowanej przez niego dziewczynki. Czułam, jak idzie obok, z otwartymi oczami na zawsze utkwionymi w lufie pistoletu i trzymającej go dłoni.

– Lepiej dla ciebie, żebyś nigdy mnie nie odnalazł – wycedziłam lodowatym tonem. – Bo to, co ci zrobię, będzie dużo gorsze niż wpakowanie komuś kulki w czaszkę.

Nie czekając na odpowiedź, wyrwałam słuchawkę z ucha i wyrzuciłam, pozwalając, by podążające za nami stopy ją zgniotły i rozbiły w drobny mak. Machnęłam na Jude’a i przyspieszyłam, żeby dogonić manifestantów. Wciągnęła nas powódź ludzi zalewająca szerokie koryto Massachusetts Avenue. Z każdej strony ktoś się na mnie pchał. Otaczały mnie wyrzucane w górę ręce, okrzyki i wrzaski, a ja pierwszy raz od wielu miesięcy czułam się bezpieczna. Prądo do przodu, obejrzałam się w poszukiwaniu bladej twarzy Jude’a – szedł za mną z szeroko otwartymi oczami i różowymi od trzaskającego mrozu policzkami i nosem. Płynęłam na wzbierającej we mnie fali siły i kontroli. Udało się nam uciec i teraz nikt nie zwracał na nas uwagi.

Poczułam, jak Jude znowu łapie mnie za kurtkę. Płynęliśmy z prądem ludzkiej rzeki. Kiedy jednak podążające przodem bębny wybuchły szaleńczym rytmem, po raz pierwszy poczułam ukłucie paniki. Wydawało mi się, że ktoś z tyłu woła moje imię, ale nawet okrzyki manifestantów utonęły we wściekłości oplatającej mój umysł.

Tłum wokół mnie ciągle gęstniał i zdawało mi się, że im dalej brniemy, tym bardziej wszyscy dają się ponieść szaleńczemu podnieceniu. W krwi manifestantów krążył ten sam refren: „więcej, więcej, więcej”. Tylko to ich łączyło. Tylko tego chcieli wszyscy: więcej jedzenia, więcej wolności, więcej pieniędzy. Więcej.

Niemal natychmiast zdałam sobie sprawę z tego, dokąd idziemy – wracaliśmy do serca Bostonu. Przed nami ulica przechodziła w most, który blokowały dobrze mi znane niebieskie

i czerwone światła radiowozów.

Tłum się jednak nie zatrzymał.

Na drodze pochodu stały dziesiątki uzbrojonych policjantów w mundurach bojowych i Gwardia Narodowa, lecz ani jeden z protestujących nie przestał maszerować. Zwolniłam, ale pęd rozszałej fali porwał mnie za sobą.

Stojący w samym środku kordonu policjant, siwy starszy człowiek o groźnym spojrzeniu, uniósł megafon.

– Mówi sierżant Bowers z bostońskiej komendy policji. Pogwałciliście prawo o zgromadzeniach, paragraf dwieście sześćdziesiąty szósty, artykuł sto dwudziesty, i podlegacie karze pozbawienia wolności. To nielegalna manifestacja. Wzywam do natychmiastowego i pokojowego rozejścia się. W przeciwnym razie zostaniecie aresztowani. To jedyne ostrzeżenie.

Nie widziałam, kto pierwszy rzucił kamieniem. Ani drugi, ani trzeci. Ale słyszałam, z jaką siłą lądują na przezroczystych tarczach oddziałów szturmowych.

Ktoś krzyknął:

– W takim razie strzelajcie! Ognia! Ognia! *Ognia!*

Po chwili przyłączyły się do niego stojące obok mnie dziewczyny.

„Strzelajcie! Strzelajcie! Strzelajcie!” było jedynym konkurencyjnym okrzykiem.

Zrobiłam krok w tył, przepychając się łokciami przez napierający tłum. Chcieli, żeby policja otworzyła do nich ogień? Żeby coś udowodnić czy żeby...?

Nagrać całe zajście. Zobaczyłam, że w skostniałych sztywnych palcach manifestanci ściskają kamery. Płatki śniegu przywierały do szklanych obiektywów, które śledziły tor lotu każdego kamienia, śnieżki i cegły ciśniętej w stronę mundurowych. Schyliłam się i trzymając ręce nad głową, przeciskałam się do tyłu. Zabłąkany łokieć uderzył mnie w potylicę – to wystarczyło, żeby wytrącić mnie z oszołomienia.

Sięgnęłam za siebie, by chwycić rękę Jude’a, ale za kurtkę ciągnęła mnie niska Azjatka w grubych czarnych okularach, która wydawała się tak samo zaskoczona moim widokiem jak ja jej.

– Przepraszam! – krzyknęła. – Wzięłam cię za znajomą...!

*Niech to szlag.* – Obróciłam się, skanując wzrokiem otaczający mnie tłum. – *Gdzie on się podział?*

Wystrzał był jedynym dźwiękiem wystarczająco głośnym, żeby przebić się przez okrzyki, i wystarczająco zaskakującym, by je uciszyć. Azjatka i ja odskoczyłyśmy w tył, ale napierający stamtąd ludzie zepchnęli nas na bok. Może któryś z oficerów albo żołnierzy pomyślał, że taka groźba rozproszy tłum, ale wyglądało na to, że nie docenił rozmiarów gniewu, który napędzał ludzi.

Manifestanci idący na czele pochodu byli najwyraźniej przyzwyczajeni do tego rodzaju zastraszania. Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam, jak próbują się przebić przez ścianę przezroczystych tarcz i wskakują na maski policyjnych radiowozów. Tych, którzy mieli mniej szczęścia, ściągano na ziemię i okładano pałkami.

– Jude! – zawołałam. – *Jude!*

Poczucie winy niemal zważyło mnie z nóg.

Pierwsza puszka gazu łzawiącego otworzyła się ze złowieszczym sykiem, ale nie zdołała zawrócić masy, która z jeszcze większym pędem rzuciła się na mundurowych. Poczułam, że ktoś usiłuje chwycić mnie za rękę i odwrócić, żebym na niego spojrzała, ale zdołałam się wyrwać.

*Zły plan* – pomyślałam, dławiąc się zatrutym powietrzem. – *Fatalny plan, Ruby.*

To był wyłącznie łut szczęścia, że go zauważyłam – zaczęłam się obracać w drugą stronę i kątem oka dojrzałam burzę loków.

Jego granatowa kurtka była miejscami porwana i jej strzępy powiewały na wietrze. Jude stał na palcach. Jedną ręką przytrzymał się dla równowagi latarni ulicznej, a drugą przykładał do ust, krzycząc na całe gardło:

– *Ruby! Roo!*

Dotarło do mnie, że strach karmi niepokój i przekształca go w chaos. Postać Jude’a rozplynęła się w chmurze gazu łzawiącego i zniknęła w kłębowisku ciał uciekających przed kulami i dymem. Ludzie krzyczeli, ale wystrzały nie cichły. Pojawiły się też nowe odgłosy – nad nami wznosił się helikopter, oświetlając pochód strumieniem światła. Ruch jego śmigieł rozpędził część dymu, umożliwiając żołnierzom szturm. W tłumie zaczęły się pojawiać czarne mundury.

Gdyby noc była jaśniejsza, gdyby oczy nie spływały mi łzami i gdybym była w stanie usłyszeć cokolwiek innego niż dudnienie własnego serca, zauważyłabym to wcześniej. Miałam wrażenie, że powietrze przy mojej skórze wibruje, i poczułam zapach ozonu. Nie zdążyłam zareagować.

– Jude, nie!

Stojące wzdłuż ulicy latarnie zaczęły brzęczeć, a ich pomarańczowe światło straciło kolor i całkiem zbladło. Chwilę później wszystkie równocześnie eksplodowały, posyłając na przerażonych manifestantów deszcz szkła i iskier.

Pewnie nikt nie zorientowałby się, kim jest Jude, ale nagle w pobliskim budynku, który od miesięcy albo lat stał pogrążony w ciemnościach, rozbłysły światła.

Dosięgnęłam Jude’a w ostatniej chwili, ubiegając żołnierza o ułamek sekundy. Oplotłam chłopca ramieniem i pociągnęłam za sobą na ziemię. Siła upadku zaparła mi dech, ale pozbierałam się i osłoniłam Jude’a przed kolbą karabinu. Uderzenie trafiło mnie w czaszkę, sprawiając, że świat zaczął wirować i rozplynął się w ciemności.



Podłoga wibrowała mi pod głową. Jej ciche brzęczenie potęgowało jeszcze głuchy ból przeszywający mój mózg. Powoli odzyskiwałam czucie w kończynach. Wzięłam głęboki oddech, usiłując się pozbyć smaku żelaza i soli z suchego języka. Splątane włosy kleiły mi się do szyi. Chciałam je odgarnąć, ale zorientowałam się, że mam skrępowane z tyłu ręce – w skórę nadgarstków wbijał mi się metal.

Leżałam na brudnej podłodze furgonetki. Kiedy się przekręciłam, żeby zmienić pozycję, poczułam w barkach rozrywający ból. Wokół panowała ciemność, ale od czasu do czasu przez metalową kratkę oddzielającą przednie siedzenia od tyłu pojazdu przebłyskiwało światło, omiatając czarne mundury kierowcy i pasażera.

*Niech to wszyscy diabli!* W uszach słyszałam bicie własnego serca, ale prawdziwy strach poczułam dopiero wtedy, kiedy zobaczyłam Jude’a – siedział na ławce, wyprostowany jak struna, związany i zakneblowany.

Funkcjonariusze skrępowali mi ręce, ale z jakiegoś powodu – może dlatego, że byłam nieprzytomna – nie założyli mi knebla. Przynajmniej tyle. Poczułam smak żółci w ustach i palenie w gardle. Brakowało jeszcze tylko tego, żebym udławiła się własnymi wymiocinami. Niepokój narastał, pulsując w powolnym, ale równym tempie. *Tylko nie to, tylko nie to, nie mogę tam wrócić, tylko nie to.*

*Uspokój się. W takim stanie jesteś do niczego. Weź się w garść.*

Chciałam coś powiedzieć, żeby zwrócić na siebie uwagę Jude’a, ale nie mogłam poruszyć szczęką. Minęło kilka cennych chwil, zanim zauważył, że odzyskałam przytomność. Na widok moich otwartych oczu aż podskoczył z zaskoczenia. Próbował wysunąć sobie knebel z ust ramieniem, ale na próżno. Potrząsnęłam głową. Jeśli mieliśmy się wydostać, musieliśmy być cicho.

Strach Jude’a był namacalną, żywą istotą. Wznosił się nad jego ramionami, mroczny i groźny. Chłopiec zaczął się gwałtownie trząść. Rzucił głową, rozpaczliwie walcząc o każdy haust powietrza.

Wiedziałam, że to atak paniki. Jednak niespodziewanie załamanie Jude’a postawiło mnie do pionu. Odzyskałam panowanie nad sobą.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptałam z nadzieją, że brzęczenie radiostacji mnie zagłusza i że funkcjonariusze tego nie słyszą. – Jude, spójrz na mnie. Musisz się uspokoić.

Potrząsnęłam głową. Czytałam w jego myślach tak wyraźnie, jakbym znajdowała się w jego głowie. „Nie mogę, nie tu, nie teraz, o Boże, o Boże”, panikował.

– Jestem przy tobie – powiedziałam, przyciągając kolana do klatki piersiowej. Wszystko mnie bolało, ale zdołałam precyzyjnie przycisnąć pętle z rąk przez nogi. – Weź wdech nosem. Głęboki wdech. A teraz wydech. Nic ci nie będzie. Damy sobie radę. Tylko musisz się uspokoić.

Wiedziałam, że wcześniej czy później mu się uda. Mój umysł kluczył, usiłując przypomnieć sobie, gdzie mieści się najbliższy obóz rehabilitacyjny. Na północy stanu Nowy Jork? Pamiętałam, że jeden był też w Delaware, w pobliżu całkowicie wyludnionych farm. Nie miałam pojęcia, gdzie się znajdowaliśmy ani dokąd zmierzaliśmy.

Nie spuszczałam oczu z Jude’a.

– Uspokój się. Musisz się skupić. Chcę, żebyś zatrzymał samochód. Pamiętasz Saratogę?

Jeśli miałabym wymienić jedną pozytywną cechę metod treningowych Ligi, byłaby to kreatywność trenerów. Zupełnie jakby mieli nadprzyrodzone wycucie tego, w jakich sytuacjach się znajdziemy. Wśród przerabianych z nami scenariuszy był taki, który niemal całkowicie

pokrywał się z tym, w co się wpakowaliśmy. Podczas symulacji Vida, Jude i ja braliśmy udział w wyimaginowanej operacji w Saratodze, podczas której wpadliśmy w ręce wroga. Razem z Vidą zdołaliśmy się wydostać z furgonetki porywaczy, ale obie „zginęłyśmy” od kul podczas ucieczki. Trener Fiore wypunktował wszystko, co powinniśmy były zrobić inaczej, i wytknął Jude’owi, żeby następnym razem spożytkował swoją energię na coś innego niż trzęsienie portkami.

Jude wziął głęboki oddech i skinął głową.

Przypomniałam sobie Zu – to, jakim wyzwaniem było dla niej kontrolowanie swoich zdolności. Też była Żółta i przez większość czasu, który wspólnie spędziłyśmy, nosiła gumowe rękawiczki, żeby przypadkiem nie zniszczyć jakiejś maszyny albo samochodu. Dwukrotnie byłam świadkiem, jak nie mając ich na rękach, straciła kontrolę nad swoim naelektryzowanym dotykiem. W przeciwieństwie do niej Jude był przeszkolony. Miał szczęście przebywać wśród innych Żółtych, którzy chętnie pomogli mu w nauce. Chociaż zdawało się, że nie panuje nad swoimi rozbieganymi kończynami, umiejętności trzymał w ryzach. To, co stało się podczas protestu, było jego pierwszą wpadką. Potężną i przerażającą.

Zamknął oczy, a ja podwinęłam nogi i uklęknęłam, usiłując się uspokoić.

Poczułam silną naelektryzowaną falę. Muskała mi włoski na rękach, brzęczała w uszach i rozgrzewała powietrze.

Akumulator samochodu nie wytrzymał napięcia. Furgonetka nawet się nie zatrzęsła – stanęła, jakby uderzyła w niewidzialną ścianę. Siła bezwładności pchnęła mnie na oddzielającą nas od kabiny kierowcy kratkę. Funkcjonariusze krzyknęli ze zdziwienia.

Nie przemyślałam tego. Samochody na Wschodnim Wybrzeżu należały do rzadkości ze względu na kosmiczne ceny paliwa i koszty utrzymania w tej części Stanów. Najzwyczajniej założyłam, że poza nami na drodze nie będzie nikogo, że furgonetka po prostu się zatrzyma, a ja znajdę sposób, żeby unieszkodliwić funkcjonariuszy.

Zobaczyłam strumień białego światła reflektorów w tej samej chwili, co nasz kierowca i siedzący obok niego pasażer. Nadjeżdżająca z naprzeciwka półciężarówka walnęła w nas z taką siłą, że zmiażdżyła przód furgonetki i sprawiła, że zaczęliśmy się gwałtownie obracać. Poduszki powietrzne wystrzeliły i poczuliśmy zapach spalenizny. Cisnęło mnie na ławkę naprzeciwko Jude’a, a ten zwałił się na podłogę.

Furgonetka przechyliła się na prawy bok i przez ułamek sekundy byłam pewna, że zaczniemy się toczyć – że to nasz koniec. Zamiast tego wróciliśmy do pionu. Przez syczenie dymiącego silnika i przekleństwa wykrzykiwane przez jednego z funkcjonariuszy usłyszałam pisk opon półciężarówki, która w końcu się zatrzymała.

– Flowers! Flowers! – wołał nasz kierowca.

Potrząsnęłam głową, usiłując odzyskać ostrość widzenia. Moje dłonie błądziły po podłodze w poszukiwaniu Jude’a. Uspokoiliam się dopiero wtedy, kiedy poczułam jego kośćciastą, ciepłą dłoń, która zadrżała w odpowiedzi na mój dotyk. Żył. Było jednak zbyt ciemno, żeby sprawdzić, czy był w jednym kawałku.

– Flowers! Do cholery!

Gdyby nie byli żołnierzami Psi, pewnie zrobiłoby mi się przykro, że sprawiliśmy im tyle kłopotu. Mężczyzna na siedzeniu pasażera – podejrzewałam, że Flowers – pochylał się bezwładnie do przodu, a jego flaczejąca poduszka powietrzna była umazana krwią.

– Cholera! – Drugi żołnierz walił w kierownicę. Błądził rękami po pogniecionej desce rozdzielczej, aż w końcu jego palce zacisnęły się na radiostacji.

Jednak Jude świetnie spełnił swoje zadanie – cała elektronika w promieniu piętnastu metrów została usmażona. Funkcjonariusz uparczywie próbował włączyć urządzenie,

powtarzając w kółko:

– Tu Moreno, odbiór.

Nagle musiał sobie przypomnieć procedury postępowania z odmieńcami, bo sięgnął do drzwi, otworzył je z impetem i wyskoczył na śnieg. Musiał nas zabezpieczyć i upewnić się, że nic nam nie jest.

Czekałam na niego.

Nogi trzęsły mi się jak żrebakowi, kiedy przeskakiwałam nad leżącym twarzą do ziemi Jude'em, żeby znaleźć się przy drzwiach przed nim. Mężczyzna w jednej ręce trzymał broń, ale drugą musiał mieć wolną, żeby otworzyć zasuwę. Zanim zdążył wydać z siebie choćby jęk zaskoczenia, założyłam mu na szyję pętlę z kajdanek i ścisnęłam jego głowę.

Moreno był tak roztrzęsiony, że jego umysł nie walczył zbyt zaciekle. Przejęcie kontroli poszło mi gładko i bezboleśnie.

– Zdejmij nam kajdanki – rozkazałam.

Zaczekałam, aż to zrobi, a następnie wyrwałam mu broń. Jude wydał z siebie jęk ulgi, kiedy poczuł, jak metalowy uścisk zwalnia się z jego nadgarstków.

– Odwróć się i zacznij iść z powrotem do Bostonu. Nie zatrzymuj się, dopóki nie dotrzesz do rzeki. Zrozumiano? – Zagięłam palec na cynglu.

– Iść z powrotem do Bostonu. Nie zatrzymywać się, dopóki nie dotrę do rzeki – powtórzył.

Jude się podniósł i stanął na drżących nogach. Ja jednak wciąż celowałam w głowę mężczyzny, patrząc, jak odchodzi i znika w wirujących chmurach śniegu, jak pochłania go czerń nocy. Z przenikliwego zimna i z wysiłku, żeby nie stracić panowania nad sobą, zaczęły mi się trząść ręce.

Zajęło to chwilę, ale kierowca półciężarówki w końcu pojawił się przy bocznej szybie furgonetki i zaczął w nią łomotać.

– Czy nic się nikomu nie stało? Wezwałem pomoc!

Dałam znak Jude'owi, żeby się nie pokazywał. Oddalający się Moreno był ciągle widoczny, pomimo że jego ciemny mundur zlewał się z czarną jak smoła autostradą. Kierowca natychmiast go dostrzegł. Obserwowałam uważnie, jak pędzi za nim, wołając:

– Halo! Gdzie pan idzie?! Hej!

Jude tymczasem zsunął z trzęsących się rąk kajdanki, które z brzdękiem upadły na podłogę. Kiedy kierowca odwrócił się w naszą stronę, już na niego czekałam z uniesioną pewnie bronią.

Chociaż miał brodę, widziałam, że robi się blady jak ściana. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Śnieg osiadał na jego kręconych włosach. Był ubrany w kurtkę w jasnoczerwoną kratę i wełnianą czapkę pod kolor, którą naciągnął nisko na uszy. Powoli podniósł ręce.

– Dzieci – zaczął trzęsącym się głosem. – O mój Boże, czy wszystko z wami...?

Jude ścisnął mnie mocniej za ramię.

– Roo... – powiedział niepewnie.

– Spadaj stąd... – rzuciłam do mężczyzny, wskazując głową na pistolet, który miałam w rękach.

– Ale... od najbliższego miasta dzieli nas wiele kilometrów.

Najwyraźniej kierowca otrząsnął się z pierwszego szoku, bo rozluźnił się trochę i opuścił ręce. Pewnie doszedł do wniosku, że nawet gdybym musiała, nie potrafiłabym albo nie odważyłabym się go zabić. Nie wiedziałam, czy powinnam się z tego powodu wściekać, czy być mu wdzięczna.

– Gdzie chcecie się dostać? Trzeba was gdzieś podwieźć? Nie mam za dużo jedzenia,

ale... ale przynajmniej się zagrzejecie i...

Może chciał być uprzejmy. Jude najwyraźniej w to wierzył – musiałam złapać go za tył kurtki, bo obawiałam się, że wyskoczy i rzuci się nieznajomemu na szyję z ckliwą wdzięcznością.

A może kierowcy zamarzyło się po dziesięć tysięcy dolarów za głowę i planował nas wydać.

– Zjeżdżaj stąd – powiedziałam, odbezpieczając pistolet. – No już.

Widziałam, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale słowa uwięzły mu w gardle. Potrząsnął głową raz i drugi, po czym słabo nią pokiwał. Jude wydał z siebie stłumiony jęk protestu, wyciągając rękę w jego kierunku, jakby mógł go przekonać, żeby został. Kierowca powoli się odwrócił i z ociąganiem zaczął się oddalać.

– Czemu to zrobiłaś?! – krzyknął Jude. – Próbowaliśmy pomóc!

Wyskoczyłam z furgonetki. Cienka warstwa lodu chrupnęła pod moim ciężarem, przywracając mi pełną czujność. Nie miałam czasu na wyjaśnienia, nie teraz, kiedy całą sobą czułam, że pora uciekać. Czekaliśmy nas długa noc przedzierania się przez zasypyany śniegiem las. Musieliśmy się szybko poruszać i zacierać ślady.

– Poradźmy sobie sami – rzuciłam i pociągnęłam Jude’a za sobą w ciemność.

Biegliśmy przez las, z daleka obserwując migające na autostradzie światła. Chłód przenikał mnie do szpiku kości. Miałam nadzieję, że natkniemy się na jakiś działający samochód, ale wszystkie auta porzucone na tym odcinku miały albo wyładowany akumulator, albo pusty bak. Po pięciu minutach brnięcia po kolana w śniegu wzdłuż brzegu drogi, która, jak podejrzewałam, była stanową autostradą Massachusetts, w końcu natknęliśmy się na znak zjazdu na Newton, a po nim następny, informujący, że od Providence na Rhode Island dzielą nas siedemdziesiąt dwa kilometry.

O stanie Rhode Island wiedziałam jedno – leżał na południe od stanu Massachusetts. Dlatego właśnie kierowaliśmy się do Providence. Później zamierzałam odnaleźć kierunkowskaz na Hartford, jedyne miasto, które znałam w stanie Connecticut, a następnie na New Jersey. Moje wykształcenie na poziomie czwartej klasy musiało nam wystarczyć w kierowaniu się na Wschodnie Wybrzeże, przynajmniej do chwili zdobycia jakiejś mapy i samochodu.

– Zaczekaj na mnie. Zaczekaj, zaczekaj, zaczekaj... – Jude ledwo zipał.

– Musimy się pospieszyć – ostrzegłam. Ciągnęłam go za sobą, ale w razie potrzeby byłam gotowa go nieść.

– Hej! – Bez ostrzeżenia bezwładnie opadł na kolana.

Odskokczyłam na bok, prawie tracąc równowagę.

– Dalej! – wycodziłam. – Wstawaj!

– Nie! – wrzasnął. – Nie ruszę się, dopóki mi nie powiesz, dokąd, do cholery, idziemy! Barton pewnie nas szuka!

Autostrada przebiegała wśród wzgórz i gęstych zagajników, ale i tak byliśmy za bardzo odsłonięci. Za każdym razem, kiedy przejeżdżająca ciężarówka omiatała nas białym światłem reflektorów, na nowo musiałam się uspokajać.

Wzięłam głęboki wdech.

– Czy ciągle masz przy sobie nadajnik? – zapytałam. – Jude, spójrz na mnie. Ciągle go masz?

– A co? – rzucił, klepiąc się po kieszeniach. – Chyba tak, ale...

– Wyrzuć go.

Ściągnął brwi. Z czerwonego czubka długiego nosa ciekł mu katar. Uniósł wolną rękę i wytarł go rękawem.

– Ruby, co się dzieje? Proszę, powiedz mi!  
– Wyrzuc go! – powtórzyłam. – Nie wracamy do Los Angeles. Przynajmniej na razie.  
– Co? – Jego głos był cichy i odległy. – Mówisz poważnie? Dezerterujemy?  
– Kiedyś w końcu *wrócimy*. Po wszystkim. Ale najpierw czeka nas inna, specjalna operacja. Musimy ruszać, zanim ktoś nas znajdzie.

– Kto nam ją zlecił? Cate?

– Agent Stewart.

Jude nie wyglądał na przekonanego, ale przynajmniej się podniósł.

– Muszę pozyskać informację od jednego z jego łączników. – Staralam się brzmieć tak tajemniczo i strasznie, jak to tylko możliwe.

Podziałało. Jego nerwowe spojrzenie zamieniło się w zainteresowanie z cieniem wątlej, ale pączkującej ekscytacji.

– Od tej misji zależy byt Ligi, ale nawet Barton nie mógł się o niej dowiedzieć. Musimy mieć pewność, że kiedy wrócimy, Roba nie będzie już w Bazie.

– Trzeba mi było powiedzieć! Na samym początku... Mogłem się tym zająć.

– To ściśle tajne. Objęte zasadą ograniczonego dostępu – powiedziałam i po chwili dodałam: – Niebezpieczne.

– W takim razie po co wzięłaś mnie ze sobą?

– Bo gdybyś teraz wrócił, zabiliby cię tak, jak zabili Blake’a.

Zrobiło mi się wstyd. Poczucie winy znienacka ścisnęło mnie za gardło. Wplątałam go w to, nie pozostawiając mu żadnego wyboru, a potem uprościłam prawdę, żeby łatwiej było mu ją przełknąć. Przecież dokładnie za to samo nienawidziłam Cate. Czy jej tak samo rozpaczliwie zależało na tym, bym się z nią zgadzała?

Jude znowu zwolnił, patrząc na mnie, jakby widział mnie pierwszy raz. – Wiedziałem – wyszeptał. – To dlatego mnie wybrał. Miałem *rację*.

– Tak. Miałeś.

Pokiwał głową. Ruszał szczęką w przód i w tył, usiłując wydobyć z siebie słowa. W końcu sięgnął do kieszeni kurtki, wyciągnął z niej znajomy czarny przycisk i cisnął go w śnieg.

– I tak nie działa – burknął, wyrывая się z mojego uścisku. – Usmażyłem samochód i całą elektronikę, pamiętasz?

No tak. Oczywiście.

– W porządku. – Jego głos brzmiał teraz pewniej. To był Jude, na którego liczyłam: chłopak sądzący, że tajne misje są jak gry video, w które grał z kolegami.

Wyciągnęłam rękę i strzepnęłam mu śnieg z włosów i ramion.

– Musisz robić dokładnie to, co ci powiem, rozumiesz? Musimy zniknąć, nikt nie może wiedzieć, gdzie jesteśmy. Ani Cate, ani Vida, ani nawet Nico. Jeśli nas odnajdą i sprowadzą z powrotem, akcja legnie w gruzach: stracimy szansę na to, by uczynić Ligę bezpiecznym miejscem.

Wyłożyłam mu zarys misji najszybciej i najprościej, jak umiałam – od tego, dokąd zmierzaliśmy, do tego, co knuł Rob i reszta. Odśloniłam przed nim skrawek prawdy. Wyznałam, że przez jakiś czas podróżowałam z Liamem i że straciłam go z oczu bezpośrednio przed tym, jak Cate sprowadziła mnie do Bazy.

Czy powiedzenie mu całej prawdy byłoby rzeczywiście aż tak straszne? Zaskoczona poczułam, że w głębi duszy pragnę opowiedzieć mu o tych kilku ostatnich cennych chwilach w kryjówce. Obawiałam się jednak, że wtajemniczenie go w szczegóły naszego pożegnania niepotrzebnie by wszystko skomplikowało. Chciałam być jedyną osobą, która żyje w tamtej

chwili, myśli o niej i śni. Wiedziałam, że jeśli ma się nam udać, Jude musi całkowicie mi zaufać. Jeśli wyznałabym mu, co zrobiłam Liamowi, każde jego spojrzenie byłoby zabarwione obawą, że i jego mogę tak potraktować. O ile w ogóle byłby w stanie na mnie spojrzeć.

Zdałam sobie sprawę, że Jude był jedynym dzieckiem w Bazie, które szukało mojego towarzystwa, podczas gdy połowa członków Ligi była zbyt przerażona, żeby podnieść na mnie wzrok. Nie wzdrygał się, kiedy go dotykałam. Czekał na mnie, kiedy wracałam z akcji, żeby się upewnić, że jestem cała. Wtedy wydawało mi się to strasznie irytujące, ale nigdy się nie zastanawiałam, co by się stało, gdyby to zniknęło. Gdyby on zniknął.

Jude wysłuchał mnie z zaskakującym spokojem. Zupełnie nie zareagował, kiedy mu powiedziałam, co było na pendrivie, który miał przy sobie Liam. Na początku myślałam, że przestał mnie słuchać, ale kiedy skończyłam, skinął głową i powiedział:

– Okej.

– Czy coś ci dolega? Jak się czujesz? Nie masz stłuczeń, skręceń ani złamań? – zapytałam, świadoma, że wszystko jest nie tak.

– Nie, nie, nic mi nie jest. Przynajmniej jestem w jednym kawałku. – Odpukał w czubek swojej głowy. – Tylko po prostu ciekawi mnie...

– Co?

– To, co stało się wcześniej. *Dużo* wcześniej. – Obrócił się, żeby na mnie spojrzeć. – Czy w obozie, w którym byłaś, miałaś na co dzień do czynienia z żołnierzami Psi? W furgonetce byłaś bardzo opanowana. Nie zrozum mnie źle, twoje „zjeżdżaj stąd” było imponujące. Chodzi mi o to, że wyglądałaś, jakbyś zupełnie się nie bała.

Uniosłam brwi.

– Myślisz, że się nie bałam?

– Ja też się nie bałam! – dodał pospiesznie. – Zastanawiam się tylko nad tym, co się wydarzyło, zanim przybyłaś do Bazy...

– Czy próbujesz mnie zapytać, co robiłam, zanim Cate mnie sprowadziła?

– Tak! Wszyscy się nad tym głowiliśmy. Krążyły plotki, ale takie, że trudno było w nie uwierzyć.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Widząc, że strategia, którą obrał, prowadzi w ślepy zaułek, zmienił temat tak niezręcznie, jak to tylko możliwe. – Czy naprawdę myślisz, że naukowcy odkryli przyczynę ostrej młodzieńczej... eee?

– Ostrej młodzieńczej neurodegeneracji idiopatycznej? – Pomogłam mu.

Była to nazwa przyczyny stojącej za śmiercią większości amerykańskich dzieci i powstaniem populacji odmieńców. Jak mógł zapomnieć, co kryje się pod skrótem OMNI?

– No właśnie, wszystko jedno. O mamó, wyobrażasz sobie, co Liga mogłaby z tym zrobić?

Słyszałam pobrzmiewającą w jego głosie nadzieję i poczułam, że pęka mi serce. Nie miałam odwagi mu powiedzieć, że odnalezienie Liama graniczy z cudem, nie wspominając o tajnych danych.

– Nie wiem, jak ty, ale ja dużo o tym myślę – powiedział. – Wielu rzeczy nie rozumiem, a Cate i reszta nie zdradzają za wiele. Ale moim zdaniem to, że nasze mózgi uległy mutacji, jest dość fascynujące. Oczywiście byłoby super wiedzieć, jak i dlaczego to się stało!

Kiedyś sporo się nad tym zastanawiałam – podczas pobytu w Thurmond skupiałam się głównie na rozmyślaniu nad własną niedolą. Spędziłam niezliczoną liczbę godzin wgapienia w spód pryczy Sam, rozmyślając, jak i dlaczego to wszystko się nam przydarzyło. Czemu niektórzy z nas stali się Zieloni, inni Pomarańczowi, a jeszcze inni zmarli? Jednak niemal w tej

samej chwili, kiedy Cate mnie wykradła, postanowiłam się więcej nad tym nie rozczulać. Miałam ważniejsze rzeczy na głowie. Przeżyć. Nie dać się złapać. Dbać o Liama, Pulpeta i Zu.

– Wiem, że to głupie, ale próbuję rozwikłać tę zagadkę. Czasami wierzę, że to rzeczywiście wirus, ale są chwile, kiedy... Zastanów się: jeśli to wirus albo choroba, to jakim cudem występuje niemal wyłącznie w Stanach? Albo co odróżnia ciebie i mnie od dzieci, które zmarły?

Celne pytania. Celne i burzące spokój.

– Skupmy się na jednym. Najpierw musimy odnaleźć brata Cole’a.

Jude pokiwał głową.

– O matko, to będzie strasznie... dziwne spotkać się z Liamem. Pamiętam, jak uciekł. Nikt nie zauważył, że go nie ma, aż do chwili, kiedy wszystkich policzono pod koniec symulacji.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

– Znałeś Liama?

Jude podniósł wzrok. Jego bursztynowe oczy odrobinę się rozszerzyły.

– Nie, to znaczy nie osobiście. *Słyszałem* o nim. Trenował w Georgii, a ja i Vida od zawsze byliśmy w LA. To z jego powodu przeniesiono wszystkie treningi Psi do Kalifornii. Pewnie uznali, że zmniejszą prawdopodobieństwo ucieczek, jeśli zamkną wszystkich pod ziemią.

No tak, oczywiście. Liam nie mógł trenować w Kalifornii. Byłam zaskoczona tym, jak na myśl, że nie musiał mieszkać w tej obmierzłej dziurze w ziemi, mi ulżyło.

– Czy Liam jest jedną z osób, których co tydzień szukasz w sieci SSP? Nico kiedyś o tym wspomniał. Czy pozostałych też musimy odnaleźć?

Poczułam, że moja cierpliwość się wyczerpuje. Topniała niczym lodowa powłoka na śniegu, przez który brnęliśmy. Za dużo pytań jak na jedną noc.

– Nie twój interes – syknęłam. – Gdybyś nie wdepnął w głębokie bagno, nie byłoby cię tu ze mną!

– Wiem o tym! *Wiem!* – burknął, wymachując rękami. – Nie lubisz nas, nie lubisz Ligi i nie chcesz być Liderką. Nie masz ochoty rozmawiać o sobie, o Cate ani o treningach! I nie powiesz mi o swoim ulubionym jedzeniu, rodzinie i przyjaciółach. Niech ci będzie. *Zgoda!* Czeka... Co ty wyprawiasz?

Przed oczami zamajaczyły mi odległe, nieokreślone kształty. Najpierw myślałam, że mam zwiady, ale kiedy zeszliśmy ze zbocza kolejnego wzgórza, las niespodziewanie się skończył, ustępując miejsca małej, ciasnej osiedlowej uliczce.

Usłyszałam, jak Jude hamuje na krawędzi oblodzonej drogi, i dostrzegłam, że w domach pali się światło. Na podjazdach stały samochody, a za firankami poruszali się ludzie, gotowi, żeby skreślić w kalendarzu kolejną zwykłą środę.

Mężczyzna w rozklekotanym pługu usiłował odśnieżyć ulicę, przedzierając się przez gruby biały koc. Schowałam Jude’a za siebie i wbiłam wzrok w dom stojący bezpośrednio po drugiej stronie ulicy. Mój wyczerpany mózg zdołał wykrzesać z siebie pewien pomysł. Na podjeździe stał niewielki srebrny sedan, ale co ważniejsze, przez małe okienko w drzwiach wejściowych domu dostrzegłam rozmazaną sylwetkę.

Tak jak się spodziewałam, kiedy tylko pług przejechał przed domem, na progu pojawiła się kobieta i odwróciła się, żeby zamknąć za sobą drzwi. Między szmaragdową robioną na drutach czapką a kołnierzem czarnego płaszcza widać było jej mysie poprzecinane srebrzystymi pasemkami blond włosy. Kiedy zapinała płaszcz, spostrzegłam rąbek sukienki, która krojem przypominała fartuszek, jaki nosiły kelnerki.

Ruszyła przed siebie. Kręcąc kluczykami wokół palca, spojrzała na nocne niebo i śnieg padający delikatnymi podmuchami. Zaczekałam na piśnięcie oznaczające odblokowanie drzwi

i ruszyłam przed siebie.

– Idziemy – rzuciłam, chwytając Jude’a za rękę.

Kobieta usłyszała, że się zbliżamy. W ciemnej szybie auta zobaczyła odbicie mojej twarzy i zamarła ze strachu. Widziałam, jak w jej oczach panika miesza się z dezorientacją, i wykorzystałam okazję, żeby wsunąć rękę w rękaw jej płaszcza i dotknąć jej ciepłej nagiej skóry. Pachniała owocami i słońcem, a jej umysł był pogodny. Wniknęłam do niego tak błyskawicznie, że nie doświadczyłam charakterystycznego zalewu wspomnień. Upewniłam się, że ją mam, kiedy powoli mrugnęła i spojrzała na mnie szklistymi oczami.

– Wsiadaj do samochodu – zarządziłam, obracając się do Jude’a, który stał za mną z szeroko otwartymi ustami. – Mamy kierowcę.

Korzyści z posiadania szofera były dwojakie. Po pierwsze, nie ryzykowaliśmy, że ktoś zgłosi kradzież samochodu i poda jego numer rejestracyjny. Po drugie, mieliśmy z głowy uiszczanie opłat za autostradę i punkty kontrolne utworzone na granicach miast przez Gwardię Narodową albo policję. Po dwóch sekundach namysłu wymusiłam na kobiecie, by zawiozła nas do najbliższego węzła komunikacyjnego. Kiedyś kolejami państwowymi można było dojechać wszędzie, ale kryzys ekonomiczny skutecznie wydobyl ich liczne wady, tak że przetrwały jedynie rok, po czym padły. Obecnie między głównymi miastami na Wschodnim Wybrzeżu kursowały codziennie dwa elektryczne pociągi, których podstawowym zadaniem było zapewnienie transportu oficerom Gwardii Narodowej, żołnierzom SSP oraz senatorom. Ochrzczono je Elite Express, czyli elitarnym ekspresem, i ceny biletów wywindowano adekwatnie do nowej nazwy.

Jeżdżenie na gapę pociągiem było *znacznie* ryzykowniejsze niż przemieszczanie się autem, ale nie mogłam znieść wizji, że co piętnaście kilometrów będziemy musieli się zatrzymywać i tankować. Pochłonęłoby to niejedną cenną godzinę. Miałam nadzieję, że się nam poszczęści i złapiemy prawie pusty pociąg, przynajmniej na odcinku kilku miast. Jeśli okazałoby się, że robi się zbyt niebezpiecznie albo że patrzy na nas za wiele niepożądanych par oczu, zawsze mogliśmy się ewakuować wcześniej. W końcu byłam specjalistką od znikania.

– Włącz radio, proszę – powiedziałam. – Nastaw na wiadomości.

Przykucnęliśmy z Jude’em za przednimi siedzeniami, wciskając się w przestrzeń między nimi a tylną kanapą. Ciągłe wyciągałam rękę, żeby nie zwalniać dotyku i utrzymać połączenie z myślami kobiety. Po chwili jednak wzięłam głęboki wdech i powoli cofnęłam dłoń, cały czas koncentrując się na migoczącej nitce między naszymi umysłami. Może to właśnie tak Clancy nauczył się wnikać do ludzkich myśli bez fizycznego dotyku. Może za każdym razem odrywał rękę na odrobinę dłużej.

Kobieta posłuchała i głośniki za nami eksplodowały dźwiękiem wpadającej w ucho reklamy. Nie mogłam uwierzyć, że wciąż reklamowano środki do czyszczenia basenów, chociaż większość Amerykanów straciła domy.

Kobieta przeskakiwała po stacjach, przerzucając muzykę i szum, aż w końcu dotarła do częstotliwości, gdzie monotonny męski głos podawał:

*... Szczyt Jedności odbędzie się na neutralnym gruncie w Austin w Teksasie. Rozmowy między kilkoma głównymi ekspertami z otoczenia prezydenta Graya a Koalicją będą moderowane przez gubernatora stanu, który niedawno zaprzeczył domniemaniom, jakoby współpracował z Koalicją Federalną w Kalifornii. Dyskusja ma dać odpowiedź na pytanie, czy istnieje szansa, że porozumienie między rywalizującymi rządami zostanie osiągnięte przed ukończeniem nowego budynku Kapitolu w Waszyngtonie, zaplanowanym na pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia.*

*Oto, co ma do powiedzenia na temat tego zapewne historycznego wydarzenia prezydent Gray.*



Nagle w miejsce poważnego głosu spikera pojawił się aksamitny, swobodny głos prezydenta:

*Mam najszczerzą nadzieję, że po blisko dekadzie tragedii i cierpienia uda się nam zasiąść wspólnie do rozmów i poczynić pierwsze kroki w kierunku ponownego zjednoczenia. Podczas szczytu moi doradcy przedstawiają plany ożywienia gospodarczego, w tym programy uruchomienia przemysłu budowlanego. Dzięki nim Amerykanie będą mogli wrócić do swoich domów, które stracili w czasie ekonomicznej katastrofy ostatnich lat.*

Katastrofy. Jasne.

– Myślisz, że Gray w końcu zrzeknie się urzędu, jeśli przystaną na jego warunki? – zapytał Jude.

Potrząsnęłam przecząco głową. Nie znałam Graya osobiście, ale znałam jego syna Clancy'ego. I jeśli ten chociaż trochę przypominał ojca, prezydent na pewno miał jakiś ukryty powód, dla którego zgodził się na rozmowy. Utrata kontroli była ostatnią rzeczą na świecie, na którą mógłby sobie pozwolić.

Clancy. Ucisnęłam nasadę nosa, by odpędzić tę myśl.

Okazało się, że najbliższa stacja kolejowa mieści się w Providence na Rhode Island. Znajdowała się w ogromnym betonowym budynku, który, zanim dopadły go czas i wandalizm, prawdopodobnie był piękny. Spojrzałam na zegar wbudowany w fasadę pojedynczej wieży, ale albo nie działał, albo od czterech minut była 11.32. Na pobliskim parkingu stało zaledwie kilka samochodów, jednak z autobusu podmiejskiego, który wtoczył się na przystanek, wysypało się przynajmniej trzydzieści osób.

Dotknęłam ramienia kobiety i zdziwiło mnie, że podskoczyła. Jej umysł był teraz bardzo cichy i mlecznobiały jak wiszące nad nami niebo.

– Chcemy, żebyś kupiła nam bilety do Karoliny Północnej, najbliższej Wilmington, jak tylko się da. Rozumiesz?

Kiedy skinęła i odpięła pas, luźna skóra na jej policzkach nieznacznie drgnęła. Patrzyliśmy, jak brnie przez świeży śnieg w kierunku automatycznych rozsuwanych drzwi. Wiedziałam, że jeśli się uda...

– Czemu łapiemy pociąg? Czy to nie jest niebezpieczne? – zapytał Jude.

– Ryzyko się opłaca. Jazda autem zajęłaby nam dwa razy dłużej, bo co chwilę musielibyśmy się zatrzymywać, żeby zatankować.

– A jeśli ktoś nas zobaczy albo w pociągu będą żołnierze? – Nie odpuszczał.

Ściągnęłam z głowy wełnianą czapkę i rzuciłam mu ją razem z grubym białym szalem, którym wcześniej oplotłam sobie szyję. W pociągu mogłam go przykryć kurtką, ale na czas oczekiwania musieliśmy znaleźć sobie jakiś ciemny zakamarek.

Kobieta wróciła szybciej, niż się spodziewałam. Wbiła wzrok w ziemię, a w rękę ścisnęła coś białego. Otworzyła drzwi od strony kierowcy i wślizgnęła się na siedzenie, wpuszczając do środka podmuch lodowatego powietrza.

– Dziękuję – powiedziałam, kiedy podała mi bilety, a gdy Jude wysiadł, dodałam: – Serdecznie za wszystko przepraszam.

Ruszyliśmy w kierunku stacji. Obejrzałam się za samochodem tylko jeden jedyny raz. Kazałam kobiecie poczekać dwie minuty, a następnie wrócić do domu. Może oszukały mnie zmęczone oczy, a może to przez wirujący między nami śnieg, ale mogłabym przysiąc, że kiedy światła mijającego ją samochodu odbiły się w przedniej szybie, zobaczyłam błyszczące na jej policzkach łzy.

Udało się jej kupić bilety do Fayetteville w Karolinie Północnej, miasteczka, które, z tego, co pamiętałam, leżało na drugim końcu stanu od Wilmington. Niestety pociąg odjeżdżał o 7.45

rano, czyli za dobre dziesięć godzin. Zbyt dużo czasu do stracenia, zbyt duże ryzyko, że zostaniemy złapani.

W środku stacja nie była tak ozdobna jak od zewnątrz. Z każdej strony otaczał nas beton. Znalazłam nam ławkę – stała w kącie, zwrócona do ściany z niepodłączonymi automatami do gier. Usiedliśmy na niej i zastygliśmy w bezruchu. Za naszymi plecami nocne pociągi przyjeżdżały i odjeżdżały, stopy szurały o podłogę, a tablice z rozkładem jazdy pstrykały, obracały się i piszczały.

Byłam zmęczona i głodna. Przy okienku kasy stało stoisko z kawą – która ratowała pracowników stacji przed zaśnięciem – ale nie miałam pieniędzy, a nie byłam aż tak zdesperowana, żeby użyć swoich zdolności wobec obsługującego je biedaka.

Jude oparł się o moje ramię i zasnął. Raz na jakiś czas z głośników dobiegało automatyczne ogłoszenie z najświeższymi informacjami o odjazdach i przyjazdach pociągów albo opóźnieniach. Wypełniająca przerwy między nimi cisza zdawała się wydłużać z każdą godziną oczekiwania, a ja coraz bardziej żałowałam swojej decyzji. W okolicach czwartej nad ranem, kiedy znalazłam się na skraju wyczerpania, wątpliwości dopadły mnie z całą siłą. Zaczęłam się obawiać, że kiedy dotrzemy do Karoliny Północnej, Liam już tam nie będzie. Potrafił być zaradny i w czasie, gdy my siedzieliśmy na stacji, próbując do niego dotrzeć, mógł pokonać ogromną odległość.

Pomyślałam o stojących na parkingu samochodach. Może rozsądniej byłoby odpalić jeden z nich i ruszyć przed siebie, starając się unikać bramek i punktów kontrolnych Gwardii Narodowej rozmieszczonych w okolicach większych miast? Oznaczałoby to jednak wychwycenie przez tysiące kamer, które rząd zainstalował przy autostradach właśnie po to, by namierzać dzieci takie jak my.

To nie syk rozsuwających się drzwi przykuł moją uwagę, ale odgłos ciężkich kroków. Od czasu do czasu ktoś wchodził na stację albo z niej wychodził. Było tu też wielu bezdomnych, którym pozwolono spędzić noc w cieple, pod warunkiem że leżeli pod ścianą, a nie na ławkach. Ale ten odgłos był inny – liczne gumowe podeszwy z piskiem uderzały o śliską podłogę. Kątem oka zobaczyłam, że kasjer się prostuje.

Jedno spojrzenie przez ramię wystarczyło, żeby potwierdzić moje podejrzenia. Czarne mundury.

Chwyciłam Jude'a i pociągnęłam go za sobą, zsuwając się z ławki, która teraz oddzielała nas od około dziesięcioosobowego oddziału SSP zgromadzonego na środku stacji.

– Niech to diabli – wyszeptał Jude.

Położyłam mu rękę na ramieniu, przytrzymując go zdecydowanie. Wiedziałam, nad czym się zastanawia, bo te same pytania przebiegały i przez moją głowę: *Jak nas znaleźli? Skąd wiedzieli, że tu będziemy? Co robić?*

Jednego byłam pewna: nie mogę dać się ponieść emocjom i spanikować. To była jedna z tych rzadkich, ulotnych chwil, kiedy odczuwałam wdzięczność wobec Ligi – wzięłam głęboki, uspokajający oddech i zaczęłam na zimno oceniać sytuację.

Jedenastu umundurowanych żołnierzy SSP zajmowało ławki w pobliżu jednego ze stanowisk autobusowych. Były wśród nich dwie kobiety, które wstały, żeby sprawdzić rozkład jazdy. Jedna miała warkocz, druga gładko zaczesane włosy – wyglądały schludnie, podczas gdy mężczyźni sprawiali wrażenie podpitych. Co więcej, u ich stóp leżała nie broń, tylko jedenaście podręcznych toreb.

Mężczyzna siedzący pośrodku wstał, śmiejąc się głośno, i ruszył do automatu z przekąskami. Reszta wykrzykiwała za nim swoje zamówienia na chipsy, gumę do żucia albo ciastka. Nie przeszukiwali stacji, nie przesłuchiwali kasjera. Mieli na sobie mundury, ale nie byli

na służbie.

– To nowi rekruci – powiedziałam Jude’owi. – Hej, patrz na mnie, nie na nich. Czekają na autobus, bo muszą się gdzieś zgłosić. Nie szukają nas. Musimy znaleźć jakieś ciche miejsce, żeby przeczekać, aż przyjedzie nasz pociąg, dobrze?

Obróciłam się w kierunku żołnierzy, skanując wzrokiem naszą część poczekalni w poszukiwaniu otwartych wyjść albo korytarza. Ledwo zauważyłam, że Jude cały sztywnieje, ale *poczułam*, kiedy szarpnął mnie za warkocz, obracając mi głowę w stronę rozsuwanych drzwi. Tego się nie spodziewałam – moim oczom ukazała się Vida, która wprowadzała do budynku Bartona i resztę Oddziału Beta. Wszyscy mieli na sobie cywilne ubrania i obserwowali żołnierzy, którzy z kolei zdawali się zupełnie ich nie zauważać.

*Co ona tu robi? Skąd się tu wzięli?* Nie miałam pojęcia, jakim cudem nas wytropili...

– O nie, o nie. Tylko nie to – szeptał Jude, chwytając mnie mocniej.

Przynajmniej rozumiał ryzyko wiążące się z powrotem do Bazy. Nie musiałam mu wyjaśniać, że Vida nie przybyła, żeby nam pomóc. Nerwowo błędziłam wzrokiem między automatami do gier, kasami biletowymi i pobliskimi łazienkami dla kobiet. Nawet *ja* nie wyobrażałam sobie, że wpakujemy się w taką kabałę. W głębi serca miałam ochotę usiąść i wybuchnąć płaczem.

Jude też wyglądał, jakby połykał łyż. Nie tracąc czasu na wyjaśnianie mu planu, którego tak naprawdę nie miałam, pociągnęłam go za sobą do ciasnej rodzinnej łazienki.

Drzwi skrzypnęły, kiedy pchnęłam je ramieniem. W łazience nie było okien ani przewodów wentylacyjnych, przez które moglibyśmy się przecisnąć. Znajdowała się tu tylko toaleta i umywalka i poza drzwiami, przez które weszliśmy, nie było stąd innego wyjścia. Wyciągnęłam rękę i wyłączyłam światło, a następnie przekręciłam zamek. Sekundę później drzwi się zatrzęsły. Ktoś za nie szarpał.

Usiadłam na ziemi i przyciągnęłam kolana do piersi, usiłując uspokoić oddech. Jude opadł obok mnie. Przycisnęłam palec do ust.

Nie mogliśmy zostać tu długo – ktoś w końcu musiał się zorientować, że łazienka nie powinna być zamknięta, i wrócić z kluczem. Odliczyłam w myślach cztery minuty, przerywając i zaczynając od nowa za każdym razem, kiedy słyszałam, że ktoś przechodzi obok.

– Wstawaj – wyszeptałam, zmuszając Jude’a, żeby się podniósł. – Będziemy musieli biec. Nie pokonaliśmy nawet dwóch metrów.

Vida odepchnęła się od ściany dokładnie naprzeciwko nas, unosząc brwi i dłoń z pistoletem.

– Czołem, *przyjaciele* – odezwała się słodko. – Tęskniliście za mną?

Do głowy przychodziły mi najgorsze przekleństwa.

– Co ty tu robisz?

Spodziewałam się, że na jej twarzy zagości uśmiech triumfu, ale się go nie doczekałam. Zamiast tego Vida obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem i parsknęła:

– Wow, pogratulować. Masz naprawdę imponujący instynkt samozachowawczy.

A mówili, że nie będzie łatwo was znaleźć.

Powoli wyciągnęłam zza paska broń i ostrożnie wycelowałam. Rozpostarłam niewidzialne macki swojego umysłu, wyobrażając sobie, że sięgam nimi w kierunku Vidy. Że dotykam jej myśli. Ale... nie stało się zupełnie nic.

– No popatrz – rzuciła na widok mojego pistoletu. – Ja też taki mam.

Przez dłuższą chwilę żadna z nas się nie poruszyła. Ciemne oczy Vidy zmierzyły mnie z góry do dołu tak samo jak wtedy, kiedy walczyliśmy ze sobą podczas treningu. Oceniała moje możliwości. Zastanawiała się, czy naprawdę jestem gotowa wystrzelić.

Zanim zdążyliśmy się zorientować, Jude niepostrzeżenie wyslizgnął się zza osłony moich pleców, zakradł się za Vidę i położył jej dłoń na ramieniu.

– Naprawdę bardzo mi przykro – powiedział.

Małeńka niebieska błyskawica wytrysnęła z krótkofalówki przyczepionej do jej paska i delikatnie musnęła jej skórę jak badający otoczenie język węża. Vida zapewne zdała sobie sprawę z tego, co zamierzał, w tym samym momencie co ja, ale nie zdążyła się wyrwać. Przewróciła oczami i opadła na ziemię.

– O Boże. – Uklękłam przy niej i dotknęłam jej szyi, sprawdzając, czy ma puls.

– To był tylko czuły prztyczek – tłumaczył Jude. Włosy na głowie stały mu dęba. – Za minutę dojdzie do siebie. Roo, powiedz, że zachowałem się, jak trzeba. Nie chcę jej tu zostawiać. Uważam, że nie powinniśmy bez niej iść. Ale ona chyba nie zamierzała nam pomóc, a przecież musimy odnaleźć Liama. Pewnie by się komuś wygadała, a nasza misja jest bardzo ważna...

– Zachowałeś się, jak trzeba. Dziękuję. *Dziękuję.*

– I co teraz zrobimy? – wyszeptał, ruszając za mną korytarzem do pomieszczenia z tabliczką TYLKO DLA PERSONELU.

Pospiesznie rozejrzałam się wokoło. Wyglądało na to, że oddział taktyczny się rozdzielił. Połowa ludzi poszła na górę – mogłam ich obserwować przez szklane ściany biur – a połowa ruszyła na perony. Część żołnierzy SSP leżała unieruchomiona na podłodze, a pozostali zostali skuci razem w niezadowolony zbitek czarnych mundurów.

Dotarliśmy do końca długiego korytarza, po drodze omal nie wpadając na pracownika stacji idącego na przerwę. Ani na chwilę nie spuszczałam z oczu podwójnych drzwi na końcu betonowego tunelu. Byłam zbyt przerażona tym, co mogłabym zobaczyć, gdybym odwróciła głowę.

Najciszej, jak umiałam, otworzyłam prawe skrzydło drzwi i pociągnęłam za sobą Jude’a. Usłyszeliśmy ciche trzaśnięcie. Dopiero po chwili zorientowałam się, że stoimy na stanowisku odjazdu autobusów, a po kolejnych kilku sekundach zauważyłam starszego mężczyznę, który wypadł zza rogu w granatowym uniformie poplamionym kawą.

Zmroziło mnie. Chwyciłam Jude’a za rękę i gwałtownie przyciągnęłam. Mężczyzna zbliżył się i obrzucił nas badawczym spojrzeniem, wybałuszając jeszcze bardziej swoje i tak już szeroko otwarte, przerażone oczy. Przez jedną okropną chwilę nikt nic nie powiedział. Z wnętrza stacji dobiegały odgłosy wystrzałów, a z parkingu po przeciwnej stronie budynku piski opon.

Instynktownie wyciągnęłam ku niemu rękę, ale Jude chwycił mnie i zmusił, bym ją opuściła.

– Czy to... – Mężczyzna mówił z wyraźnym trudem. – Czy to żołnierze?

– Chcą nas złapać – wyjaśnił Jude. – Czy może nam pan pomóc?

Na te słowa nieznajomy zrobił ostatnią rzecz, jakiej się po nim spodziewałam – pokiwał głową.

Jechaliśmy w bagażniku pod autobusem już dwadzieścia minut – dworzec kolejowy, Siły Psi i Vida byli tak daleko, że zniknęli ze wstecznego lusterka. Było nam przeraźliwie zimno i niewygodnie. Na każdym zakręcie ślizgaliśmy się bezwładnie po zimnej metalowej podłodze, podkurczając kolana. Pozwoliłam Jude'owi się przytulić, żeby trochę go ogrzać własnym ciepłem.

Bełkotał coś pod nosem. Czułam, jak potrząsa głową, muskając lokami moje ramię. W końcu, kiedy wyjechaliśmy na prosty odcinek drogi, usłyszałam, jak mówi:

– Ona nam nigdy nie wybaczy.

– Kto? – zapytałam, ściskając go za rękę. – Cate?

– Nie, Vida.

– Posłuchaj... – zaczęłam, czując, jak nagle dopada mnie poczucie winy.

– Zrobiliśmy to samo, co jej siostra. Po prostu ją porzuciliśmy. Nigdy nam nie wybaczy.

– O czym ty mówisz?

Jude odwrócił się w moją stronę, pocierając oczy dłońmi.

– O Cate chyba wiesz, prawda? Że była pracownikiem opieki społecznej, którego nam przydzielili.

Poczułam, jak do gardła podchodzi mi coś ciężkiego i oślizgłego.

– Opieki społecznej do spraw dzieci porzuconych – wyjaśnił pospiesznie. – Nie wiedziałas?

– Opiekowała się tobą i Vidą?

– Tak. Cate nigdy ci nie powiedziała o swojej dawnej pracy?

Nie, ale przecież nigdy jej o to nie pytałam.

– I co, wyciągnęła was z domów zastępczych i sprowadziła do Ligi?

– Tak jakby. – Przywarł do klapy bagażnika, bo autobus wszedł w kolejny ostry zakręt. Ledwie słyszałam, co mówi. – Kiedy zaczęła się epidemia OMNI, wiele dzieci zostało wyrzuconych z domów zastępczych. W przypadku zmarłych sytuacja też była tragiczna, bo nie miał ich kto odebrać ani pochować. Cate mówiła, że wielu pracowników opieki społecznej nie mogło ustalić losu swoich podopiecznych. Gdyby nie znalazła mnie w porę, ktoś wydałby mnie dla nagrody albo złapaliby mnie żołnierze.

Dzieci, które przeżyły OMNI, ale nie zostały jeszcze poddane „rehabilitacji”, w końcu i tak trafiały do obozów. Rodzice, którzy dochodzili do wniosku, że nie są w stanie dłużej opiekować się swoim chorym potomstwem, albo chcieli poddać je leczeniu, powiadamiali SSP. Te zjawiały się pod szkołami i przechwytywały maluchy. Była to pierwsza zorganizowana na dużą skalę akcja tego typu. Następny krok stanowiła obława i przymusowe zamykanie dzieci w obozach. Już bez zgody rodziców...

– To musiało być przerażające.

Poczułam, jak wzrusza ramionami, ale wypowiedzenie kolejnych słów nie przyszło mu łatwo.

– Nieważne... To już minęło. I tak było mi tam lepiej niż w domu. Mój tata nigdy sobie nie odpuszczał.

Odwróciłam wzrok. Powiedział to jakby nigdy nic...

– A Vida...? – zapytałam.

Miałam wrażenie, że coś w nim pękło. A może był zbyt zmęczony, żeby dłużej to w sobie tłamsić.

– Nie znam historii jej rodziny. Wiem, że ma starszą siostrę Nadię, która przez jakiś czas się nią opiekowała. Cate na chwilę straciła Vidę z oczu, jak sądzę, dlatego że zamelinowały się w jakimś pustostanie. Pewnego ranka, kiedy Vida się obudziła, zamiast siostry zastała obok siebie żołnierzy SSP. Podejrzewa, że Nadia wydała ją dla nagrody.

– Jak Cate ją odnalazła?

– Żołnierze zapakowali Vidę i dziesięcioro innych dzieci do autobusu z zamiarem przewiezienia ich do obozu w Wyoming, ale Liga dotarła tam pierwsza. Znasz tę historię, prawda?

Rzeczywiście słyszałam o tym. Liga wyzwoliła pięcioro dzieci, z którymi nie wiedziała, co zrobić, więc rozpoczęła program treningowy. Wiedziałam, że Vida była w Lidze długo, ale nie miałam pojęcia, że należała do Piątki z Wyoming.

– Nieźle...

– Tak było.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Przykro mi – rzuciłam tylko.

Jude się skrzywił.

– Czemu ci przykro? Przecież to nie twoja wina. A poza tym nam i tak się poszczęściło. To Cate miała najgorzej. Podejrzewam, że nigdy się nie pogodziła z utratą swoich podopiecznych. Zwłaszcza tych, którzy zginęli w pożarze.

– Co takiego? – wymamrotałam.

– Chodzi o dom dziecka, za który była odpowiedzialna – wyjaśnił. – Kilko dzieci zaczęło przejawiać zdolności psioniczne i ich opiekunka spanikowała. Cate nie wie, czy to jeden z wychowanków zaproszył ogień przez przypadek, czy kobieta podłożyła go specjalnie. Z tego, co się dowiedziałem, opiekunka była *przesadnie* religijna, na granicy obsesji. Kiedy policja ją znalazła, twierdziła, że wykonywała boże rozkazy.

– To... – Nie było słowa, które zdołałoby opisać okropieństwo tej sytuacji, więc nawet nie próbowałam.

– Oto nasza historia. – Jude wzruszył ramionami. – A przynajmniej jej początek.

Autobus się zatrzymał. Podejrzewałam, że trafiliśmy na punkt kontrolny. Ktoś – zapewne oficer SSP – wszedł do środka. Nie słyszeliśmy rozmowy między nim a kierowcą, a jedynie ciężkie kroki przemierzające tam i z powrotem długość autobusu nad naszymi głowami. Prawdziwie sumienny żołnierz zażądałby otwarcia bagażnika, ale ten pozwolił nam przejechać i po chwili jedynym dochodzącym do naszych uszu dźwiękiem był szum drogi pod kołami.

Kierowca zatrzymał pojazd, żeby nas wypuścić, po czym zaczął nas przepraszać. Chciałam wymazać ostatnie wydarzenia z jego pamięci i poszukać innego środka transportu, ale zorientowałam się, że nie mijają nas żadne samochody. Na odcinku autostrady, na którym się znajdowaliśmy, nie dostrzegłam niczego oprócz drzew i zasp śnieżnych. Do wyboru mieliśmy jazdę autobusem albo kolejny wspaniały dzień brnięcia w zamięci śnieżnej w poszukiwaniu cywilizacji.

– Czy na pewno nie sprawiamy panu kłopotu? Możemy się panu jakoś odwdziżyć? – zapytał Jude.

Zajęliśmy jedno z siedzeń z przodu, żeby lepiej widzieć drogę podczas jazdy.

– Nie zrozumcie mnie źle – odparł kierowca. – To *potworne* marnotrawstwo benzyny, ale od czasu do czasu lubię się wypiąć na swojego wspaniałego pracodawcę. Bez mrugnięcia okiem

obciął mi świadczenia, kiedy tylko zaczął się kryzys, więc nie czuję się wobec niego szczególnie zobowiązany. Poza tym kurs w tę stronę jest zazwyczaj pustawy, a niezależnie od tego, czy mam pasażerów, czy nie, i tak muszę dojechać do Richmond. Kurs powrotny jest przeważnie pełny. Niektórzy najwyraźniej wierzą, że na północy jest więcej pracy niż na południu, a mało kogo stać na te koszmarnie pociągi.

W ciągu minionej doby Jude wielokrotnie dowiódł swojej naiwności. Jakimś cudem udało mu się jednak zaskoczyć mnie kolejny raz – po kilku minutach zapadł w spokojny, beztroski sen. Jakby nie istniało niebezpieczeństwo, że nasz kierowca wezwie kogoś przez radio albo zatrzyma się przy pierwszym napotkanym posterunku policji.

– Wyglądasz, jakbyś za chwilę miała się stoczyć z siedzenia prosto na podłogę, młoda damo – powiedział mężczyzna, patrząc na mnie w dużym wstecznym lusterku. – Może powinnaś wziąć przykład ze swojego przyjaciela i trochę odpocząć?

Wiem, że zachowywałam się niegrzecznie, irracjonalnie i trochę zgorzkniale, ale na jego słowa zmarszczyłam brwi i utkwiałam oczy w radiu. Mężczyzna podążył w dół za moim wzrokiem i zaczął się śmiać.

– Bystrzacha z ciebie – rzucił. – Pewnie jak się jest w twoim wieku, w obecnych czasach nie da się inaczej, jeśli człowiek nie chce, żeby go zamknęli. Uwaga, zaraz będziemy mijać bramki. Lepiej się schowajcie.

Wślizgnęłam się między siedzenie i metalową kratkę i przykryłam szczelniej kocem. Kierowca komuś pomachał i ruszyliśmy dalej.

W końcu nie wytrzymałam.

– Cemu nam pan pomaga? – wypaliłam.

Zaśmiał się.

– A jak myślisz?

– Szczerze? – powiedziałam, pochylając się do przodu. – Podejrzewam, że chce pan nas wydać za nagrodę pieniężną.

Słyszac to, mężczyzna cicho zagwizdał.

– Przyznam, że zgarnąłbym sporą sumkę. To zabawne, że rząd jest w stanie wysupłać pieniądze na takie nagrody, a nie stać go na dopłaty do jedzenia. – Potrząsnął głową. – Nie, skarbie. Mam pracę. To mi wystarcza. Nie potrzeba mi ani poczucia winy, ani splamionych krwią pieniędzy.

– W takim razie dlaczego?

Mężczyzna oderwał coś z deski rozdzielczej. Taśma klejąca odeszła bez problemu, jakby była ciągle zrywana i ponownie przyklejana. Wyciągnął rękę w moim kierunku, czekając, aż to od niego wezmę.

Z błyszczącej fotografii uśmiechał się do mnie mały chłopiec o ciemnych, lśniących włosach. Wyglądał na dziesięć, najwyżej dwanaście lat. Rozpoznałam zgaszone kolory mieszczącego się za nim tła – było to zdjęcie do legitymacji szkolnej.

– To mój wnuczek – wyjaśnił mężczyzna. – Ma na imię Michael. Zabrali go ze szkoły jakieś cztery lata temu. Próbowałam się czegoś dowiedzieć na policji, w urzędach i w szkole, ale nikt nie był w stanie mi nic powiedzieć. Wszędzie odprawiali mnie z kwitkiem. Nie mogłam ogłosić tego w internecie, bo od razu odcinali mi dostęp. Nie mogłam iść do telewizji ani napisać do gazet, bo Gray kontroluje i te media. Rodzice ze szkoły Michaela twierdzili jednak, że kiedyś podsłuchali, jak żołnierze SSP rozmawiają o miejscu o nazwie Black Rock.

Starłam ze zdjęcia rozmazane odciski palców i podałam mu je z powrotem.

– Masz rację – mówił dalej. – Nie robię tego zupełnie bezinteresownie. Miałem nadzieję, że może będziecie w stanie mi coś powiedzieć. Wiesz może, czym jest Black Rock albo gdzie się

znajduje? Da się tam zadzwonić?

Jego błagalny ton mnie rozbroił. Mężczyzna przywołał mi na myśl moją babcię, która zapewne też strasznie się o mnie niepokoiła. Miałam wrażenie, że moja klatka piersiowa robi się za ciasna.

– Black Rock to obóz w Dakocie Południowej – wyjaśniłam.

– W Dakocie Południowej?! – Był wstrząśnięty. – Aż tak daleko?! Jesteś pewna?

Byłam bardziej niż pewna. Liga miała listę wszystkich piętnastu obozów, między które rozdzielono niedobitków z Psi. Niektóre były bardzo małe i mieściły zaledwie kilkudziesięciu odmieńców. Inne znajdowały się w zaadaptowanych budynkach szkół i przetrzymywano tam kilkaset dzieci. Jeszcze inne, takie jak Black Rock czy Thurmond, ze względu na swoje odległe położenie mogły więzić tysiące.

Obóz w Dakocie interesował Ligę szczególnie, z powodu krążących o nim plotek. Odkąd istnienie OMNI zostało oficjalnie uznane, wszystkie nowo narodzone dzieci rejestrowano w specjalnej bazie danych. Rodzice byli zobligowani, by przyprowadzać je na dodatkowe badania wykonywane przez lekarzy albo naukowców, żeby sprawdzić, czy nie wykazują żadnych „anomalii”. Dzieci, u których zdolności psioniczne rozwinęły się przed dziesiątym rokiem życia, kwalifikowano do specjalnego programu badawczego prowadzonego zdalnie z Black Rock. Pozostałe dzieci, które przeżyły OMNI i rozwinęły zdolności później, były wylapywane i umieszczane w „normalnych” obozach rehabilitacyjnych.

– Do tej pory mogli go stamtąd przewieźć – powiedziałam. – Wie pan, czym on jest?

– Jak to czym? – Kierowca lekko odwrócił się w moją stronę. – Jest moim wnukiem!

Chciałam się jedynie dowiedzieć, czy należał do niebezpiecznych odmieńców, Czerwonych albo Pomarańczowych, jak ja. Jeśli tak, istniało spore prawdopodobieństwo, że został usunięty z obozu. Na zawsze.

– Te obozy... – zaczął mężczyzna, osłaniając oczy przed światłami mijającej nas ciężarówki. – Wiesz, co się tam dzieje? Byłaś w jakimś?

Spojrzałam kątem oka na Jude’a.

– Wypuścili cię, bo cię wyleczyli? Jesteś zdrowa? – zapytał.

Pobrzmiwająca w jego głosie nadzieja łamała mi serce.

– Nie da się nas wyleczyć. Zamknięte w obozach dzieci tylko pracują i czekają.

Wydostałam się, bo ktoś pomógł mi w ucieczce.

Mężczyzna pokiwał głową, jakby właśnie tego się spodziewał.

– Żyjemy w potwornych czasach – powiedział po dłuższej chwili. – Masz rację, że nikomu nie ufasz. To, co zrobiliśmy... To, że pozwoliliśmy na to, co wam zrobiono, to wielka hańba. Wielka, straszna hańba, którą zabierzemy ze sobą do grobu. Ale musisz wiedzieć, że na każdą osobę gotową wydać dziecko ze strachu albo dla pieniędzy przypadają setki, tysiące takich, które za wszelką cenę broniły swoich rodzin.

– Wiem.

– Nie było łatwo, nastał kryzys, a rząd w kółko straszył rodziców, że jeśli nie pozwolą, by ich dzieci wzięły udział w programach badawczych, to i one umrą jak cała reszta. To nie była kwestia wyboru. Rząd wiedział, że w żaden sposób nie będziemy mogli ich odzyskać, i to boli mnie najbardziej. To mnie *zabija*.

– Czy ludzie naprawdę sądzili, że programy rehabilitacyjne zadziałają? – zapytałam.

Jude kręcił się na siedzeniu, szukając wygodniejszej pozycji.

– Nie wiem, skarbie. Ale myślę, że mieli wielką nadzieję, że tak będzie. Kiedy nie masz ani pieniędzy, ani pracy, ani domu, nadzieja wydaje się jedynym, co ci pozostaje, chociaż nawet wtedy jest rzadkością. Wątpię, żeby teraz ktoś jeszcze wierzył w te kłamstwa, ale... co możemy



zrobić? Nie mamy żadnych pewnych informacji, na których moglibyśmy się oprzeć.

Nagle dotarło do mnie, że tak samo ważne jak odnalezienie Liama jest zdobycie pendrive'a dla Cole'a. Do tej pory myślałam o nim wyłącznie jako o małym plastikowym urządzeniu, nie zastanawiając się zbyt nad wartością zapisanych na nim informacji. Odszukanie Liama było istotne dla *mnie* i oznaczało spełnienie *moich* marzeń, ale dane Cole'a... miały pomóc wszystkim. Istniała szansa na ponowne zjednoczenie rodzin i najbliższych.

– Zamierzam wyzwolić wszystkie obozy do ostatniego dziecka – powiedziałam. – Nie spocznę, póki wszyscy nie wrócą do domu.

Kierowca pokiwał głową, nie spuszczać oczu z rozpościerającej się przed nami drogi.

– W takim razie jesteście kwita.

Rozmowa się urwała, a ciszę wypełniało jedynie granie radia. Obserwowałam, jak wschód słońca maluje horyzont na łagodny róż. Mdlilo mnie ze zmęczenia. Ale i tak nie mogłam zasnąć.

Nakryłam się kurtką Liama jak kocem i poczułam, że z jednej z kieszeni coś wypada. Na podłodze wylądowały dwa bilety kolejowe, które kupiła nam kobieta – jeden awersem do góry, drugi do ziemi.

„Uważajcie”.

Słowo napisane na odwrocie jednego z biletów kilkakrotnie poprawiono długopisem.

Litery były koślawe i niechlujne, ale wyraźnie wryte na papierze.

Sprawdziłam rewers drugiego. „Na siebie”.

„Uważajcie na siebie”.

Najwyraźniej nie wpłynęłam na umysł kobiety w tak dużym stopniu, jak myślałam. To głupie, ale pomimo że dzieliły nas od niej setki kilometrów, wypełniły mnie przerażenie i niepokój. Nie potrafiłam się powstrzymać przed wyobrażaniem sobie strasznych scenariuszy, które mogły się wydarzyć. Kobieta mogła przecież ostrzec świat przed znajdującymi się w jej aucie wykołajeńcami. Kiedy wysiadła na dworcu, mogła uciec albo zgłosić nas do najbliższego łowcy nagród. Mogła dostać nagrodę i mieć satysfakcję, że oto się nas pozbyła, dodatkowo czyniąc świat bezpieczniejszym.

Ale zrobiła coś zupełnie *odwrotnego*. Tak jak kierowca autobusu.

Podarłam bilety, zanim Jude zdążył się obudzić i je zobaczyć. Nie chciałam dawać mu złudnej nadziei, że ci ludzie byli czymś więcej niż tylko samotnymi płomieniami świec w morzu nieskończonej ciemności.

Kiedy zobaczyliśmy pierwsze drogowskazy na Wilmington, Jude wciąż dosłownie wyśpiewywał peany na cześć kierowcy autobusu, który został jego nowym bohaterem. Mężczyzna wysadził nas w okolicach Richmond, po czym szczegółowo wyjaśnił, których autostrad powinniśmy unikać. Byłam zbyt rozgorączkowana i zdenerwowana opóźnieniem, jakie mieliśmy, by mu podziękować. Później, kiedy mknęliśmy pustymi drogami małym kradzionym samochodem, poczułam z tego powodu ostre ukłucie żalu.

Wilmington z jednej strony przytulało się do oceanu, a z drugiej do rzeki. Z zaskoczeniem dostrzegłam, że architekturą domów i układem dzielnic miasto bardzo przypomina moją rodzinną Wirginię. Co więcej, tak jak tam niebo nagle poszarzało nad dachami, pociemniało i pękło, spuszczając na nas ulewny deszcz.

Dom, którego adres podał mi Cole – 1222 West Bucket Road – znajdował się w niewielkiej dzielnicy o nazwie Dogwood Landing, niedaleko zabudowań, które wyglądały mi na kampus uniwersytecki. Była to cicha okolica, otoczona przez ośnieżony las i pełna pustych działek. Wybrałam jedną z koślawych, nadgryzionych zębem czasu tabliczek z napisem NA SPRZEDAŻ i zaparkowałam przed nią zielonego volkswagena, którego ukradliśmy po

opuszczeniu autobusu.

– Czy to tu? – zapytał Jude, przyglądając się najbliższemu domowi.

– Nie. Wydaje mi się, że musimy przejść spory kawałek. – Wzięłam głęboki wdech, zastanawiając się, jakim cudem równocześnie można odczuwać podniecenie i przerażenie. – Chcę podejść od tyłu, na wypadek gdyby budynek był obserwowany.

Liam i inni nie od razu wrócili do swoich rodzinnych domów po ucieczce z Caledonii, bo się bali... Byłam rozdarta. Doradcy Albana nieustannie przypominali nam o tym, jak rozległa jest sieć działania SSP, a choć minęło już dobre dziewięć miesięcy, Liam ciągle był wysoko na liście poszukiwanych. Jakie było prawdopodobieństwo, że rząd nadal obstawiał jego dom? Czy ktoś mógł wciąż obserwować jego rodziców?

*Boże. Rodzice Liama. Co ja im, u licha, powiem?*

Machnęłam ręką, wskazując, że będziemy okrążyć jeden z budynków. Większość tutejszych zabudowań była raczej nieduża. Domy miały przeważnie jedno piętro, szare, spadziste dachy oraz ceglane fasady z białymi dekoracyjnymi detalami. Przechodziliśmy między drzewami wąską, ubitą dróżką, biegnącą wzdłuż ogrodów. Przyciągnęłam Jude'a bliżej.

Dom Liama stał przycupnięty głęboko w zagajniku z dala od pozostałych. Miał wesołe niebieskie okiennice i długi podjazd wiodący do garażu. Musiałam zobaczyć go od przodu.

Zatrzymałam się i pociągnęłam Jude'a w dół, żeby przykucnął obok mnie. Obserwowaliśmy otoczenie. Szukaliśmy kamer, śladów stóp, opon i żołnierzy w strojach cywilów, spacerujących na patrolu.

– Zdaje się, że... – zaczął Jude z wahaniem.

*Jest opuszczony*, dokończyłam w myślach. Wyglądało na to, że nikt tu nie mieszka i to od dłuższego czasu, na co wskazywały między innymi zapchane jesiennymi liśćmi i brudem rynny.

– Może wyszli, bo mieli coś do załatwienia? – zastanawiał się Jude.

– O czwartej po południu w czwartek? Chyba raczej nie – odpowiedział mu dobiegający zza naszych pleców głos.

Vida zdołała bezszelestnie jak wąż podpełznąć do nas wśród liści.

– Czołem, Liderko – rzuciła, kiwając do mnie głową i przykucając za nami. – Czołem, Judytko.

Jude z wrażenia stracił równowagę.

– Co ty tu...? – zaczęłam. – Jakim cudem...?

Nie mogła tak po prostu odgadnąć, gdzie będziemy. Była dobra, ale nie aż *tak* dobra. Musiałam przeoczyć jakiś nadajnik, *coś* musiało mi umknąć...

– Kołnierzyk podkoszulki. – Vida skinęła w stronę Jude'a. – Następnym razem, kiedy zdecydujecie się ulotnić i zwać, upewnijcie się, że wyrzuciliście *wszystkie* nadajniki, pataluchy.

– Nadajniki? – powtórzył Jude, patrząc to na mnie, to na nią.

– Jude usmażył samochód – rzuciłam – i całą elektronikę w środku.

Oraz, jak chciałam wierzyć, w naszych ubraniach.

– To pewnie dlatego oblekają wszystkie nadajniki Żółtych gumą – powiedziała, kręcąc głową. – Jak mogłaś tego nie wiedzieć?

Była z siebie wyraźnie dumna, chociaż wyglądała, jakby coś ją przeżuło i wypłuło. Jej niebieskie włosy skręcały się w loki.

Złapałam Jude'a, rozpięłam mu kurtkę i dotknęłam szwu jego podkoszulki. Jak można się było spodziewać, pod palcami wyczułam niewielkie zgrubienie wielkości ziarenka. Wycięłam je wojskowym nożem i pokazałam właścicielowi. Zanim zdążył po nie sięgnąć, roztrzaskałam je rękojścią.

– Liga... wszywa nadajniki w nasze ubrania? – Jude patrzył na nas z niedowierzaniem. –

Po co? Przecież chyba nie...

Vida wyglądała, jakby zaraz miała wybuchnąć tym swoim charakterystycznym okrutnym śmiechem, ale na jej twarzy pojawił się niepokój. Przeniosła całą swoją uwagę na coś, co działo się za nami. Stała na równe nogi i jednym gładkim ruchem wyciągnęła z kabury broń.

Obróciłam głowę, a następnie uklęknęłam, odgarniając z twarzy mokre włosy.

Ziemia usunęła mi się spod nóg.

Naprawdę czułam, jak się pode mną rozstępuje i zaczyna mnie wciągać. Nie wiem, jak zdołałam się podnieść. Byłam tak oszołomiona, że zupełnie zapomniałam o tym, że wystawiam się na strzały.

Rzuciłam się pędem przed siebie. Słyszałam, jak Vida i Jude za mną wołają, ale wiatr i deszcz porywał i tłumiał ich głosy, aż w końcu uszy wypełniało mi jedynie dudnienie krwi. Zbiegłam z niewielkiego wzniesienia, przedarłam się przez płataninę gałęzi i przez rozpadający się płot. Pędziłam do niego.

Wyślizgnął się z okna, ostrożnie przytrzymując się połamanej, pociemniałej framugi, aż w końcu zeskoczył w błoto. Jego włosy były dłuższe, niż pamiętałam, a rysy twarzy ostrzejsze. Urósł albo to ja zmałałam. A może moje wspomnienia były niedokładne. Nie miało to jednak znaczenia. Usłyszał, że nadbiegam, i odwrócił się na pięcie, jedną ręką sięgając pod ciężką kurtkę moro, a drugą ku paskowi dzinsów. Widziałam, że kiedy mnie zauważył, zamarł.

Po chwili jednak jego usta delikatnie się poruszyły i w końcu zagościł na nich ledwie zauważalny uśmiech. Zwolniłam, ale się nie zatrzymałam.

Ciężko dyszałam, z trudem łapiąc powietrze i mocno przyciskając rękę do serca. Byłam wyczerpana, ale przepełniały mnie ulga i ten sam gorzki strach, który czułam tamtego popołudnia, kiedy go straciłam. Nie miałam siły, żeby dłużej walczyć ze swoimi emocjami.

Wybuchłam płaczem.

– Na miłość boską... – Pulpet potrząsnął głową i westchnął, ale w jego głosie pobrzmiwała czułość. – To tylko ja, wariatko.

Nie powiedział już nic więcej, tylko pokonał dzielące nas dwa kroki i zamknął mnie w ramionach.

Problem polegał na tym, że gdy już zaczęłam się do niego przytulać, nie mogłam przestać. Poczułam, jak przywieram do niego całą sobą. Chciałam się upewnić, że jest prawdziwy, że serce, które bije pod moim uchem, należy do niego. Pulpet nieporadnie gładził mnie po plecach, podczas gdy ja schowałam twarz w jego kurtce i całkiem się rozkleiłam.

– Jak...? – łkałam. – Skąd się tu wzięłeś?

Ledwie usłyszałam szelest dobiegający spomiędzy znajdujących się za nami drzew, ale Pulpet podniósł wzrok i zawołał:

– No dalej, Lee! Pewnie też chciałbyś się przytulić, co?!

Wszystko stało się tak szybko, że nie zdążyłam go ostrzec. Nie zdążyłam ich powstrzymać. Pulpet wypuścił mnie z ramion i pociągnął za siebie, zbijając mnie jeszcze bardziej z pantałyku. Byłam niemal pewna, że mam zwidy. Zobaczyłam, jak zza paska spodni wyciąga długi nóż myśliwski. Moim oczom ukazała się też Vida, która odbezpieczała wycelowany w niego pistolet.

– To... – zaczęłam, czując, jak mój przyjaciel cały się spina. – To Pulpet...

– Coś ty za jedna? – warknął Pulpet do Vidy.

– Na pewno nie jestem frajerem, który zamierza się nożem na pistolet – rzuciła Vida, wymachując bronią.

– Zaraz, zaraz, czekajcie! – Zza drzewa po prawej stronie wyłonił się Jude, po czym zjechał z błotnistej wzniesienia i wpadł między nas. – Ja nie jestem Liam. – Wskazał na siebie, po czym wskazując na Vidę, powtórzył: – To też nie jest Liam. – Następnie odwrócił się do Pulpeta i ściągając swoje grube brwi, wycelował w niego palcem. – To też nie on?

Vida odwróciła się do niego i z niedowierzaniem wypaliła:

– Ogarnij się! Czy ten tu palant w *czymkolwiek* przypomina ci Cole’a Stewarta?

Kiedy Jude się bronił, zaczynał mówić cienkim głosem.

– Nie wiem! Może mieli inną matkę? Przecież istnieje coś takiego jak adopcja...

Pulpet opuścił nóż. W jego oczach było widać, że nie ma pojęcia, co się dzieje. Moje łzy i pojawienie się nieznajomych zamiast Liama sprawiło, że jego umysł tworzył przeróżne teorie i to coraz bardziej przerażające.

– O mój Boże. – Jego twarz spochmurniała. Przycisnął pięść do brzucha, jakby zaraz miał zwymiotować. – O mój Boże.

– Nie, *nie* – rzuciłam pośpiesznie. – On żyje!

*Z tego, co wiem*, podszepnął mi wewnętrzny głos.

– Czemu nie ma go z tobą? On nigdy by cię nie zostawił. Nigdy! – Teraz to Pulpet wyglądał, jakby zaraz miał się rozplakać.

Jego włosy były o wiele dłuższe niż normalnie. Na nosie miał okulary w srebrnych oprawkach, w których, trzeba przyznać, było mu do twarzy i które sprawiały, że prezentował się dużo dojrzalej, niż go zapamiętałam. Wyglądał inaczej niż stary dobry Pulpet aż do chwili, gdy dostrzegłam, że ogarnia go strach. Właśnie tak zapadł mi w pamięć – jako chłopak, który żyje od jednego ataku paniki do drugiego.

Odwróciłam głowę i wbiłam wzrok w miękkie błoto otaczające kałuże u naszych stóp. Vida i Jude milczeli, obserwując sytuację.

– Ruby, co się stało? – Tym razem głos Pulpeta zabrzmiał stanowczo.

Potrząsnęłam głową, przyciskając lodowate ręce do twarzy.

– Zostawiłeś go? Pokłóciliście się? Rozdzieliliście się na kilka dni?

Myślałam, że jeśli to wyszeptam, prawda nie będzie aż tak straszna, ale tak się nie stało. Pulpet oniemiał i cofnął się o krok. Patrzył na mnie przerażonym wzrokiem.

– Nie zrobiłaś tego! – Chwycił mnie za ramiona. – Wierzyłem w was! Byłem pewny, że zostaniecie razem!

– Co miałam zrobić?! – podniosłam głos. – Ty... ty nie żyłeś, a my zostaliśmy zatrzymani, więc poszłam na ugodę. Wiedziałam, *wiedziałam*, że inaczej nie odejdzie. Co, do jasnej cholery, miałam zrobić?

Pulpet potrząsnął głową.

– A te dzieciaki? Są z Ligi? Jesteś z nimi?

– Oni... – zaczęłam.

– ... ciągle tu stoją i czekają na wyjaśnienia – przerwała mi Vida z kamienną twarzą.

Zaczynałam dochodzić do siebie i powoli odzyskiwałam zdolność racjonalnego myślenia. Zalała mnie nowa fala strachu.

Obok stała Vida, która usiłowała sprowadzić nas z powrotem do Bazy. Dotarło do mnie, że od teraz będzie mogła zidentyfikować Pulpeta, jeśli zajdzie taka konieczność. Podejrzewałam, że spróbuje go nawet zwerbować.

Wepchnęłam się przed przyjaciela, usiłując go zasłonić.

– To nikt ważny. Nie interesuj się.

– Chyba jednak powinnam, skoro mamy razem szukać Stewarta – parsknęła Vida.

– Co powiedziałaś?

– Błagam, uruchom w końcu tę swoją zasuszoną mózgownicę. Nie jestem tu po to, żeby was sprowadzić z powrotem. Mam wam pomóc – oznajmiła, po czym zwróciła się do Jude'a: – Miło z twojej strony, że odwdzięczyłeś mi się wstrząsem elektrycznym, gówniarzu.

– Jeśli nie przyjechałaś razem z Bartonem i Oddziałem Beta po to, żeby nas pojmać, to po co?

Vida przewróciła oczami, ale w końcu odpowiedziała z najbardziej zarozumiałym uśmieszkiem, na jaki było ją stać:

– Zostałam wtajemniczona w waszą małą romantyczną intrygę. Jedynym sposobem, żeby wydostać mnie z Bazy bez wzbudzania podejrzeń, było wysłanie mnie za wami w pościg. Podobno świetnie was znam i potrafię przejrzeć wasze pokręcone zamiary.

– A Oddział Beta? – zapytał Jude.

– Zostali wezwani z powrotem. Dostali rozkaz, żeby schwytać Roba, czy coś w tym rodzaju... Kto by się spodziewał, że moje małe panienki wywołają taką burzę. No, no. – Odgarnęła włosy. – Alban dał mi dwa tygodnie, żeby was odnaleźć, więc lepiej bierzmy się do roboty.

Gapiałam się na nią, kręcąc głową.

– Ty naprawdę masz tupet. Oczekujesz, że tanecznym krokiem ruszymy za tobą w stronę zachodzącego słońca?

– Nie – warknęła. – Oczekuję, że ruszycie za mną w *podskokach*, z uśmiechami na twarzach i starając się nie zrzędzić. W przeciwnym razie Cole nie wywiąże się z danego ci słowa i Liga nie wyzwoli obozów.

Wiedziała o wszystkim, a w takim razie nie kłamała też, twierdząc, że chce nam pomóc. Inaczej Cole by jej nie wtajemniczył. Cel misji był zbyt ważny. Zaskoczyło mnie, jak bardzo poczułam się urażona tym, iż uważał, że nie jestem w stanie podołać tej operacji sama. Że potrzebuję wsparcia.

Jude odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć. Był całkowicie zdezorientowany.

– Dobra, komu w drogę, temu... – rzuciła Vida, klaszcząc w dłonie. – Jeśli zamierzacie

przeszukać dom, to się pospieszcie.

– Nigdzie z tobą nie pójde – parsknął Pulpet.

Znałam tę minę. Widziałam ją nieraz, zanim pogodził się z tym, że reszta jego przyjaciół mnie zaakceptowała i że z nimi zostaje. Pulpet nie należał do osób, które potrafiły ukrywać swoje uczucia. Złość, strach i podejrzliwość wyraźnie malowały się na jego twarzy. Ta cecha łączyła go z Liamem. U Lee jednak wynikało to z osobowości, a u Pulpeta – z wyboru. Nie widział sensu w udawaniu, że jest kimś innym.

– Spokojnie – powiedziałam i znowu chwyciłam go za ramię. Pod palcami poczułam, jak napina mięśnie. – Chodź, musimy pogadać. Wszystko ci wyjaśnię.

Pulpet zrobił nieszczęśliwą minę.

– Tylko ty i ja...

Usłyszeliśmy to wszyscy. Trzaśnięcie drzwi samochodu. Jednych, drugich, trzecich.

Pociągnęłam Pulpeta w tył, tak że przywarliśmy do ściany domu, po czym machnęłam do Jude'a, żeby się pospieszył i zrobił to samo. Vida obeszła pobliskie drzewa, stąpając bezszelestnie po miękkiej ściółce. Jej jaskrawe włosy były ostatnim, co widzieliśmy, zanim zniknęła w deszczu.

Spojrzałam w górę na okno, z którego wygramolił się wcześniej Pulpet, i wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć luźnej moskitiery. Następnie wbiłam wzrok z powrotem w ścianę lasu. Zastanawiałam się, czy nie powinniśmy zacząć uciekać i spróbować zniknąć w gęszczy.

– Czy to Barton? – wyszeptał Jude.

Uciszyliśmy go z Pulpetem. Na tylnej ścianie znajdowało się pięć okien z białymi framugami oraz zabite grubymi deskami niewielkie drzwi. Starannie ułożony kwadrat z cegieł przed progiem pełnił funkcję ganku – ze szczelin wyrastała zielona trawa, na której połyskiwała mżawka.

Opadłam na wilgotne cegły i na czworakach powoli ruszyłam wzdłuż ściany domu. Odgłosy stawały się coraz głośniejsze. Moje paznokcie wbiły się w materiał spodni, nadstawiłam uszu. Doszłam do wniosku, że oddział składa się z dwóch mężczyzn i kobiety.

Zanim wróciłam do chłopaków, żeby im o tym powiedzieć, Vida już przy nich była. Kiedy poczuła na sobie mój wzrok, podniosła oczy i niecierpliwie skinęła na mnie brodą.

– Jest ich czwórka – wyszeptała. – Kobieta i trzech mężczyzn. Wyglądają na SSP.

Zakryłam Jude'owi usta ręką.

– Są uzbrojeni?

Skinęła potakująco i dodała:

– Tak jak zazwyczaj. O co chodzi z tym domem? Cemu jest aż tak ważny, że zainstalowali w nim czujniki ruchu?

– Czujniki? – odezwał się Pulpet.

– Umocowali je pod dachem we wszystkich czterech rogach domu – rzuciła poirytowana, że nie przyjął jej słów za świętą prawdę.

Wymieniłam z Pulpetem spojrzenia, pozwalając Jude'owi wyzwolić się z knebla mojej dłoni. Można się było tego spodziewać. Dom musiał być pod obserwacją – jeśli nie ze względu na Liama, to z powodu Cole'a. Zastanowiło mnie, że Cole nie pofatygował się, żeby opowiedzieć Vidzie o przeszłości swojego brata. Może nie starczyło mu na to czasu?

Głosy ucichły, ale słyszałam ciężkie kroki przemierzające zarośnięty ogród po prawej stronie domu. Byli za blisko, byśmy mogli próbować schować się wśród drzew. Nie było mowy, żeby nas nie zauważyli.

Pulpet wstał z ciężkim westchnieniem i otworzył połamane skrzydła okiennic jednego z okien. Rezygnacja przygniatała mu ramiona.

– Ufasz mi? – zapytał, zauważając moją minę.

– Oczywiście.

Jude jęknął cicho, ale go zignorowałam.

– W takim razie powiedz swoim znajomym, żeby weszli do środka. – Kiwnął głową w stronę okna. – A ty wstań. Muszę cię skuć.

Dzięki temu, że byłam w totalnym szoku, nie musiałam udawać przerażonej. Stałam spokojnie, czując, jak ostre brzegi plastikowego zacisku odcinają mi dopływ krwi do nadgarstków. Wyłączyłam myślenie.

*Kim jest ten chłopak?*, zastanawiałam się, patrząc uważnie na Pulpeta. Dopiero teraz zauważyłam, że ma na sobie myśliwską kurtkę moro z kapturem oraz wypłowiałe, zakurzone dzinsy, zniszczone od długiego noszenia. Na pasie nosił coś, co wyglądało na niewielką komórkę i skórzaną saszetkę. W czasach, gdy podróżowaliśmy razem, wszystkie swoje rzeczy trzymał w sfatygowanej walizce, którą przypadkiem znalazł. Prezentował się wówczas dużo lepiej niż w tym dziwnym, nieudolnym przebraniu myśliwego.

Powinłam się poczuć pewniej, widząc, że jest tak przygotowany i wyposażony, ale z jakiegoś powodu napawało mnie to jeszcze większym przerażeniem.

Pulpet ujął mnie pewnie za brodę i zaczął obracać moją twarz w prawo i w lewo, przyglądając się z dezaprobatą zadrapaniom i siniakom nabytym minionej nocy. Vida i Jude patrzyli na nas zza zamkniętego okna – chłopiec niemal przyklejał nos do szyby.

– Może będzie lepiej, jeśli udasz, że zemdlałaś – stwierdził Pulpet.

Powiedział to w samą porę. W chwili, kiedy osuwałam się na ziemię, przed oczami mignęła mi czerń wyłaniających się zza rogu mundurów.

Vida miała rację, przybyli we czworo. Najwyższa z całego oddziału była kobieta – brunetka przewyższała swoich towarzyszy o kilka dobrych centymetrów. Starszy mężczyzna miał rozwichrzone siwe włosy. Dwaj pozostali, młodszy, wyglądali tak podobnie, że mogliby być braćmi. Wszystkich wyposażono w standardowe strzelby, kajdanki i inne niezbędne drobiazgi.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zwrócił się do nich Pulpet z kamienną twarzą.

Żołnierze nie bardzo wiedzieli, jak się zachować, ale nie opuścili broni. Zaczynałam się domyślać, co się dzieje, jeszcze zanim Pulpet otworzył usta.

– Chcielibyście mi sprzątnąć zdobycz sprzed nosa, co? Kombinujecie, jakby się tu wywinąć od płacenia, mam rację?

Najstarszy żołnierz zmarszczył krzaczaste brwi.

– Łowca nagród?

Cudownie. Jeśli to właśnie był fortel, który miał nas uratować, to znaleźliśmy się w większych tarapatkach, niż sądziłam. Pulpet był tak groźny jak kaktus w doniczce.

– Bardzo proszę. – Sięgnął do skórzanej saszetki przypiętej do paska i wyciągnął w kierunku żołnierzy coś, co wyglądało na małą książeczkę, mniej więcej rozmiaru paszportu.

Starszy mężczyzna wystąpił do przodu, ale odwrócił się do kobiety ze słowami:

– Rozejrzyjcie się po okolicy. Upewnijcie się, że jest sam.

Reszta patrolu ruszyła na zwiady, a Pulpet ponownie zamachał żołnierzowi przed nosem książeczką. Mężczyzna sięgnął po dokument, po czym z westchnieniem zaczął go przeglądać, raz po raz zerkając na twarz Pulpeta.

– W porządku, panie Lister – odezwał się, oddając mu papiery. – Odznaczył ją pan w rejestrze?

– Nie jest zarejestrowana. Najprawdopodobniej przebywa na wolności od dłuższego czasu. Nigdzie nie ma o niej żadnej wzmianki.

– Sprawdzał ją pan? Jeśli jest Niebieska albo Żółta, będzie pan musiał...

– Jest Zielona – przerwał mu Pulpet. – A co? Potrzebuje pan demonstracji?  
– Możemy ją przejąć. Zaoszczędzilibyśmy panu zachodu z transportem.  
– Jak już mówiłem, nie figuruje w systemie. – Wrogość w głosie Pulpeta była coraz bardziej wyczuwalna. – Wiem, jak to działa. Nie możecie przelać mi zapłaty, jeśli nie jest zarejestrowana. Żeby dostać znaleźne, muszę się zgłosić na najbliższy posterunek i wypełnić papiery.

Mężczyzna się zachnął, ale nie zaprzeczył.  
– Ten samochód na drodze jest pański?  
– Nie. – Pulpet przewrócił oczami. – Przypłynąłem tu na chmurce i spadłem jak grom z jasnego nieba na to dziecko.

– Nie takim tonem – warknął żołnierz. – Jeśli będę miał ochotę, to ją zabiorę, czy pan tego chce, czy nie. Proszę uważać na słowa...

Pulpet ku mojemu zaskoczeniu rzeczywiście przeginał. To nie leżało w jego naturze. Kiedy przyjaciele byli w niebezpieczeństwie, robił się bohaterski, ale tym razem wykazywał nie tyle odwagę, ile brawurę. A to ostatnia cecha, którą bym mu przypisała.

Nie wiem, ile czasu minęło do momentu, kiedy odezwała się krótkofalówka żołnierza. Minuta. Dziesięć lat. A może cała wieczność.

*Tu Jacobson, odbiór.*

Stojący przed nami mężczyzna odpiął od paska czarną słuchawkę.

– Odbiór. Znaleźliście coś?

*Nie, nic niepokojącego. Trudno coś stwierdzić przez ten deszcz. Ewentualne ślady na pewno zostały zmyte.*

– Jest sama, na sto procent – wtrącił się Pulpet. – Śledziłem ją.

– W porządku – powiedział mężczyzna i zrobił dwa kroki w moją stronę.

Widziałam, jak jego buty zapadają się głębiej w martwą, błotnistą trawę. Zamknęłam oczy. Z trudem trwałam w bezruchu, kiedy stał tak blisko. Nie chciałam, żeby mnie dotykał. Szturchnął mnie butem w żebra, przyprowadzając o obezwładniający atak paniki.

Zimna, mokra skóra rękawiczki zacisnęła się wokół mojego ramienia. Podniósł mnie, wykręcając rękę tak, że poczułam przeszywający ból barku.

– Nie! – warknął Pulpet. – Niech pan jej nie dotyka...!

Żołnierz nie posłuchał.

– Chodzi o to – podjął na nowo Pulpet, tym razem łagodnym tonem – że potrąca mi z nagrody za koszty leczenia, jeśli będzie ranna. Sam sobie z nią poradzę... panie władzo.

– Tak lepiej. – Mężczyzna mnie puścił, przez co runęłam twarzą w błoto. – Zabieraj ją pan stąd. To teren prywatny. Jeśli jeszcze kiedyś tu pana spotkam, osobiście pana aresztuję.

Krople deszczu gromadziły się w moim uchu, po czym spływały swobodnie po linii policzka i wsiąkały w starą kurtkę Liama. Pragnęłam, żeby zmyły ze mnie strach, żeby wsiąknął w ziemię razem z nimi i już nie wrócił. Wzięłam głęboki haust wilgotnego powietrza.

W oddali słychać było odgłos odpalanego silnika. Otworzyłam oczy i zobaczyłam Pulpeta – uklęknął przy mnie i odgarnął mi z twarzy pajęczynę splątanych włosów. Milczący i nieruchomi słuchaliśmy chrobotania opon na zwirowym podjeździe.

– Przepraszam – odezwał się w końcu. – Wszystko w porządku? Zwichnął ci bark? Jeśli tak, to...

– Nic mi nie jest. Ale mogłabym cię prosić, żebyś uwolnił mi ręce? – Byłam przerażona tym, jak bardzo drżał mi głos. Odczuwałam dyskomfort nie tylko fizyczny, ale i psychiczny: mój umysł przywoływał wspomnienia, które wolałabym pozostawić głęboko schowane. Podróż autobusem do Thurmond. Segregowanie. Sam.



Kiedy tylko usłyszałam trzask plastiku pod nożem, natychmiast się podniosłam i uklęknęłam, ignorując ból w prawym ramieniu. Pulpet wyciągnął rękę, żeby sprawdzić, czy nie mam zwicnięcia, ale nie pozwoliłam mu się dotknąć.

Siedzieliśmy nieruchomo, patrząc na siebie i pozwalając, by dzieląca nas przestrzeń wypełniła się deszczem i ciszą. W końcu wyciągnęłam rękę, a on bez słowa podał mi czarną książeczkę.

Była oprawiona w sztuczną skórę i rzeczywiście wyglądała jak paszport – miała kartki z cienkiego niebieskawego papieru oznaczone opalizującym godłem Stanów Zjednoczonych.

„Agent Służb Odławiania Zbiegów Psi”. Boże, nie wiedziałam, że istnieje oficjalny tytuł.

„Joseph Lister – czytałam – lat dwadzieścia cztery, metr osiemdziesiąt trzy wzrostu, siedemdziesiąt siedem kilogramów wagi, miejsce urodzenia: Penn Hills w Pensylwanii”. Spojrzałam na Pulpeta. Na jego twarzy malował się grymas identyczny z tym ze zdjęcia w dokumencie.

– To zabawne. Najmniej wiarygodna z tego wszystkiego jest twoja waga.

– Bardzo śmieszne – prychnął i wyrwał mi legitymację, zanim zdążyłam przejrzeć pozostałe strony.

Cały Pulpet. To było tak bardzo w jego stylu, że aż się uśmiechnęłam. Z całych sił starał się zachować powagę, ale widziałam, że jego usta wyginają się w uśmiechu.

– Naprawdę myślałam, że nie żyjesz – powiedziałam cicho. – Nie powinnam była pozwolić im cię zabrać.

Ścisnął mocno swoje ramię, jakby jego myśli też wróciły do tamtej chwili.

– Spanikowałaś?

Kiwnęłam twierdząco głową.

– Postąpiłbym tak samo. Cóż... – Zamilkł i się zamyślił. – Pewnie przycisnąłbym ranę trochę mocniej, ale poza tym tak samo...

– Już nic nie mów, zanim zepsujesz tę wzruszającą chwilę – rzuciłam oschle.

Nagle okno nad naszymi głowami się otworzyło i wychylił się przez nie Jude.

– Roo, nic ci nie jest? O Boże! Vida nie pozwoliła mi patrzeć! Próbowałam wyjść przodem, ale wszystkie drzwi są pozabijane deskami, a tu nie ma żadnych narzędzi, więc po prostu...

Pulpet pomógł mi wstać, patrząc na mnie, jakby chciał zapytać: „kto to jest, u licha?”.

– Wyjaśnimy sobie wszystko później. Teraz musimy sprawdzić, czy Lee nie zostawił nam jakiegś wskazówki...

Pulpet ściągnął brwi i odezwał się cicho:

– Lee nie zdradził ci, jaki sygnał ustalił z Harrym?

– Wiem, że się umówili, ale nie znam szczegółów. A tobie powiedział?

Pokiwał głową i obrócił się plecami do Vidy i Jude’a stojących w oknie.

– Musimy iść. I to już.

– Zaczekaj – zaprotestowałam, ale on zdążył chwycić mnie pod ramię.

– Obserwują dom, *musimy* stąd zniknąć. I przykro mi, ale wolałbym nie ciągnąć za sobą

Ligi.

Wyzwoliłam się z jego uścisku i zrobiłam krok w tył.

– Nie mogę ich zostawić.

– Nie należysz do Ligi. Nie jesteś jedną z nich. Jesteś jedną z *nas*.

– Nie myśl teraz o *nas* i o *nich* – nalegałam. – Możemy działać wspólnie. Razem poszukamy Liama, a później my wrócimy do Kalifornii. Tyle chyba z nami wytrzymasz. – Kątem oka zauważyłam jaskrawoniebieskie włosy Vidy. – Kiedyś nie chciałeś, żebym to ja z wami

została, pamiętasz?

– Tak, ale... to co innego. Dobrze o tym wiesz.

– Ale ty wtedy tego nie wiedziałeś.

Przejrzałam go. Zobaczyłam to w jego twarzy i sztywnych, uniesionych barkach.

– Zapytałeś, czy ci ufam – wyszeptałam. – A czy ty ufasz mnie?

Westchnął ciężko i oparł ręce na biodrach.

– Boże, ratuj – odezwał się w końcu. – Ufam. Ale *tobie*, nie im. Nawet nie wiem, kim są.

Wyciągnęłam rękę i czekałam, aż ją ujmie. Pragnęłam, żeby jego długie palce zacisnęły się wokół moich. Potrzebowałam ostatecznego dowodu na to, że jego rozsądek i praktyczne myślenie ustąpiło wierze, jaką kiedyś we mnie pokładał. Chciałam, by wyruszył ze mną na tę misję, by dotarło do niego, że znowu jesteśmy razem. Pragnęłam, by zrozumiał, że czas, odległość i niepewność nie zdołały zachwiać naszej przyjaźni.

Jasnobrązowa terenówka Pulpeta cuchnęła sztucznym świerkiem. Zapach odświeżacza był tak mdlący, że musiałam odkręcić szybę, by wypuścić trochę świeżego powietrza.

– To jeszcze nic, trzeba było powąchać gościa, od którego odkupiłem to auto – rzucił Pulpet i podał mi okulary przeciwsłoneczne. – Ruszamy, zapnijcie pasy.

Vida i Jude siedzieli już przypięci na tylnym siedzeniu, chociaż nie znaleźli się tam bez walki. Kiedy Vida zauważyła metalową kratkę oddzielającą przednie siedzenia od tylnych, o mało nie wyrwała mi z głowy wszystkich włosów, usiłując wyciągnąć mnie z miejsca obok kierowcy.

– Czy wlecemy się tak bardzo, bo nie mamy pojęcia, dokąd jechać? – zapytała. – A może masz nadzieję, że z rozpacy wyskoczymy z auta?

Jude wyczuł, co się święci, i usiadł prosto. Oboje rozpoznawaliśmy ten ton. Kiedy Vida się nudziła, wszczyniała kłótnie, kiedy była zestresowana – prowokowała bitwy. Wiedzieliśmy, że jeśli dojdzie do tego drugiego, tylko jedno z nich wyjdzie z tej przejażdżki żywe. A my będziemy przez wiele tygodni zeskrobywać krew z szyb.

– Psychopaci, którzy trzymają was na smyczy, pewnie by się ucieszyli – odgryzł się Pulpet.

Nagle metalowa kratka, która nas dzieliła, wydała mi się świetnym rozwiązaniem.

– To nie są psychopaci, ty impertynencki gnoju! – warknęła Vida.

– Impertynencki? Czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy?

– Ty zasrany...

– *Roo* – odezwał się ciekawym głosem Jude. – Skąd się znacie z Pulpetem?

– Z Charlesem – wycedził Pulpet. – Mam na imię Charles.

– I to niby brzmi lepiej? – prychnęła Vida.

Pulpet pozwolił dotoczyć się samochodowi do światła i stanął na czerwonym. Odwrócił się do mnie – za szklami okularów oczy płonęły mu żywym ogniem.

– Tak. Zawsze taka jest – powiedziałam.

Napięcie rozciągnęło się między nami jak naprężona struna. Jedno słowo czy fałszywy ruch mogły ją zerwać. Jude bębnił palcami o podłokietnik.

– Przestań, śmierdzieli, zanim ci je obetnę – syknęła do niego Vida.

– Śmierdzieli? – wypalił Jude. Jego głos z oburzenia zabrzmiał o oktawę wyżej. – Nie musisz być aż taka wredna.

Pacnęłam się dłonią w czoło.

– I to cię zdenerwowało? To głupie przewisko? A od miesiący pozwalasz jej mówić do siebie Judytko.

Pulpet się roześmiał, ale kiedy zobaczył moje spojrzenie, udał, że kaszle.

– No i co? – prychnął Jude i przyciągnął swoje kościste kolana do klatki piersiowej. – Po prostu nie widzę nic obraźliwego w byciu nazywanym dziewczynskim imieniem. Obydwie jesteście całkiem w porządku poza chwilami, kiedy chcecie odgryźć mi głowę albo traktujecie mnie jak pięciolatka.

– A ile masz lat? – zapytał Pulpet, dojeżdżając do skrętu na autostradę i włączając kierunkowskaz. – Dziesięć?

– Hola, hola! – zaprotestowałam. – Nic z tych rzeczy. Ma prawie piętnaście.

– Dziękuję, *Roo* – rzucił Jude z błyskiem wdzięczności w oku.

– Ty też byłeś pająkowaty, kiedy cię poznałam. – Szturchnęłam Pulpeta w ramię. –

A miałeś osiemnaście.

– Nieważne – burknął Jude.

– To ty byłaś pająkowata – odgryzł się Pulpet. – Lee był porywczy, Zu śliczna, a ja mądry.

Usłyszeliśmy stukanie w kratkę za plecami. Jude zbliżył do niej twarz i świdrował nas swoimi ciemnobrązowymi oczami.

– Byłoby miło, gdybyście raczyli nam wyjaśnić, o czym rozmawiacie. Na przykład kto to jest ta cała Zu.

Pulpet spojrzał na mnie.

– Ile dokładnie im powiedziałaś?

– Dokładnie nic – wtrąciła się Vida. – I jeśli to się nie zmieni, pożałujecie.

Tym razem to ja przewróciłam oczami.

– Oczywiście, wedle rozkazu – odburknęłam.

Poczułam znajome ciepło i mrowienie w piersi. Ledwie zdążyłam wziąć oddech, gdy niewidzialna ręką szarpnęła mnie w przód, tak że walnęłam głową w deskę rozdzielczą. Siła uderzenia była tak mocna, że zobaczyłam gwiazdy.

Pulpet gwałtownie zahamował. Pas bezpieczeństwa zadziałał i zablokował mi się na klatce piersiowej. Odrzuciło mnie w tył – przed oczami eksplodowała mi feeria kolorów.

– Dość tego! – ryknął Pulpet, waląc dłonią w kierownicę. – Miarka się przebrała! Do jasnej cholery, nie używamy zdolności przeciwko sobie nawzajem! *Zachowuj się!*

– Uspokój się, dziadku. Bo dostaniesz wylewu – rzuciła Vida.

– Żebyś ty przypadkiem nie dostała... – warknął Pulpet, ale się opanował.

Jude wydał z siebie nerwowy śmiech. Przyłożyłam sobie dłoń do piekącego czoła. Vida dopięła swego.

– Zu była naszą koleżanką – wyjaśniłam. – Przez jakiś czas podróżowaliśmy razem.

– Myślałam, że to Cate cię wyzwoliła. W takim razie musieliście się rozdzielić, tak? Takie podróżowanie musi być potwornie niebezpieczne – powiedział Jude.

– To nie tak – wtrącił się Pulpet. – Po tym, jak nasza trójka uciekła z obozu...

Równie dobrze mógł powiedzieć, że ma magiczną moc. Nawet Vida pochyliła się do przodu, nagle odzyskując zainteresowanie.

– Ty... Ty uciekłeś z obozu? – wybąkała.

– Liam wszystko zaplanował. Ale tak, uciekłem – potwierdził.

– Czy ten Stewart to jakiś pieprzony specjalista od znikania? – burknęła Vida. – A niech mnie...

W oczach Jude'a błysnęła ciekawość.

– Jak tam było? – zwrócił się do mnie. – Miałeś własny pokój, coś jak więzienną celę? Zmuszali cię do ciężkiej pracy? Słyszałem, że...

Dzieciaki z Ligi miały dość marne pojęcie o obozach. Zaledwie garstka z nich w jakimś była i doświadczyła obozowej rzeczywistości na własnej skórze. Obowiązywała jednak niepisana zasada, że o tym się nie rozmawia. Pozostali znali prawdę, jednak nie żyła w nich tak jak w nas. Słyszeli o urządzeniach do segregacji, barakach, eksperymentach, ale większość powtarzanych przez nich historii była dalekimi od prawdy plotkami. Te dzieciaki nie wiedziały, co to znaczy stać bez końca przy taśmach produkcyjnych. Nie znały strachu przybierającego postać małego czarnego oka kamery, które nieustannie nas śledziło.

Wysiłek, jakiego wymagało ode mnie milczenie, utrudniał mi oddychanie. Jeden po drugim zaciskałam palce na srebrnej taśmie pasa, aż całkiem ją zgniotłam.

– Nic nie pamiętasz? Byłaś tam krótko? Nie chcesz o tym mówić, bo nie masz nic

ciekawego do opowiadania? – dopytywał się Jude.

– Na twoim miejscu bym się zamknął – przerwał mu Pulpet.

– Nie bądź taki. Czemu Ruby z nami nie *porozmawia*...?

– Co? – To słowo wystrzeliło z moich ust. – *Co* mam ci opowiedzieć? Chcesz posłuchać o tym, jak transportowali nas tam spętanych jak bydło? A może o tym, jak pewnego razu strażnik walił jedną z dziewczynek po głowie tak bestialsko, że straciła oko? Masz ochotę się dowiedzieć, jak to jest pić zjełczałą wodę przez całe lato w oczekiwaniu na nowe rury? Albo jak przez sześć bitych lat każdego dnia budziłam się wystraszona i kładłam do łóżka, trzęsąc się z przerażenia? Na litość boską, daj mi w końcu *spokój*! Czemu ciągle drążysz ten temat, chociaż *wiesz*, że nie chcę o tym mówić?

Już po kilku zdaniach żałowałam, że dałam się tak ponieść, ale rozpacz po prostu się ze mnie wylała – jedno haniebne, zdradzieckie słowo po drugim. Pulpet patrzył na mokrą, zimową drogę, raz po raz spoglądając na niebieskie cyfry zegara. Na tylnej kanapie Jude siedział tak cicho, jakby był śniegiem padającym na asfalt. Otwierał i zamykał usta, jakby usiłował wyczuć palący smak słów, które z nich wyszły.

– Nie wiem jak wy, ale ja chętnie posłucham o tej jednookiej lasce – rzuciła Vida, wzruszając ramionami.

– Jesteś naprawdę najpodlejszą osobą, jaką w życiu spotkałem – warknął Pulpet.

– A ludzie tacy jak ty są powodem, dla którego natura obdarzyła nas środkowym palcem.

– Dajcie spokój... – zaczęłam.

Dawno temu Cate powiedziała mi, że jedyną drogą do pogodzenia się z przeszłością jest znalezienie sposobu, żeby ją za sobą zamknąć. Żeby wejść do kolejnego, jaśniejszego pokoju, trzeba zatrzaskać za sobą drzwi. A ja się bałam. *Taka* była prawda. Wiedziałam, że jeśli cofnę się po własnych śladach, przekręcę zamek i odnajdę dziewczynkę, którą kiedyś byłam, zaleje mnie przerażające poczucie winy i wstyd. Nie chciałam wiedzieć, co zrobiła z nią panująca tam ciemność. Nie byłam pewna, czy rozpoznałaby siebie w mojej twarzy.

Nie chciałam nawet sobie wyobrażać, co pomyślałby o mnie Pulpet, gdyby się dowiedział, co uczyniłem dla Ligi.

Nie chciałam wiedzieć, jak zareagowałby Liam i co powiedziałby na swąd dymu, który wciąż oblepiał mi włosy bez względu na to, ile razy je umyłam.

– To może chociaż powiedz nam, jak to się stało, że się rozdzieliliście z Liamem. – Jude nie odpuszczał. – Jeśli podróżowaliście razem, to czemu... eee... przestaliście? Cate zjawiała się po ciebie, kiedy wcisnęłaś przycisk alarmowy, wiem, ale czy już wtedy nie było z tobą Liama? I o co chodzi z tym gościem? – Wskazał na Pulpeta.

Te wspomnienia nie bolały ani trochę mniej, ale przynajmniej były istotne dla naszej wspólnej sprawy.

– Niech ci będzie. Wiecie, że podróżowaliśmy razem: Liam, Pulpet, Zu i ja. Nie wiecie jednak, że szukaliśmy pewnego miejsca, bezpiecznej przystani o nazwie East River. Żeby wyjaśnić, czemu postąpiłam tak, jak postąpiłam, i w jaki sposób Pulpet został sam, muszę zacząć od początku.

– Może wytrzymamy. – Vida odchyliła się od kratki i powędrowała wzrokiem do szyby po swojej prawej stronie. Na naszą wojenną ścieżkę spadły pierwsze spokojne płatki śniegu.

Opowiedziałam im o East River – pięknym śnie, który okazał się koszmarem. O Clancym – co było o wiele trudniejsze, niż myślałam. O tym, jak uciekliśmy, jak Pulpet został postrzelony i jak zostaliśmy z Liamem w kryjówce tylko we dwoje. Jude zaczął mi przerywać, a jego źrenice raz po raz rozszerzały się albo z niepokoju, albo z dezorientacji – nie byłam w stanie stwierdzić. Czułam, jak serce podchodzi mi coraz wyżej i wyżej do gardła, aż w końcu

z trudem musiałam przełknąć, żeby móc przejść do tego, co było dalej. *Do mojej decyzji i propozycji Cate*. Do obrazu, który zobaczyłam w pamięci Cole'a, i przedstawionego przez niego planu.

W dziwny sposób poczułam się bliżej Liama. Wrócił do mnie żywy i wyraźny. Prawdziwy, ciepły Liam, w tych swoich okularach przeciwsłonecznych, ze słońcem we włosach i słowami ulubionej piosenki na ustach. Niemal miałam wrażenie, że kiedy podniosę oczy, zobaczę go za kierownicą.

Nikt się nie odzywał. Nie potrafiłam się zmusić, żeby spojrzeć za siebie. Miałam wrażenie, że mieszane uczucia Jude'a i Vidy przywierają do mojej skóry jak zbierająca się na szybach para.

Poczułam delikatny dotyk na ramieniu. Obróciłam się powoli i zobaczyłam, jak Jude cofa palce za metalową kratkę. Przygryzał usta tak mocno, że dolna warga całkiem mu zbieleła, ale patrzył na mnie nie ze strachem czy z pogardą, ale z głębokim, szczerym smutkiem.

Wciąż potrafił na mnie patrzeć.

– Bardzo mi przykro – wyszeptał.

– Mogę ci zadać jedno pytanie? – odezwał się Pulpet ze ściśniętym gardłem. – Co zamierzasz zrobić z tym pendrive'em, kiedy go odnajdziesz?

– Oddać go Cole'owi. Zawarliśmy umowę: jeśli dostarczę mu te dane, wpłynie na Ligę tak, że jej priorytetem znów będzie wyzwalanie dzieci z obozów i obnażanie kłamstw rządu.

Pulpet podrapał się po czole.

– I ty mu wierzysz? Liam powiedział nam o nim tylko tyle, że miał zwyczaj podpalać jego zabawki, kiedy coś nie szło po jego myśli.

– Wierzę mu – odparłam. – Nie skrzywdzi nas. Wygląda na to, że jest jednym z niewielu, którzy nie chcą się nas pozbyć.

– Pozbyć? – W głosie Pulpeta zabrzmiał niepokój.

Pozwoliłam Jude'owi wyjaśnić, o co chodzi. Jego nieskładna, gorączkowa opowieść była doprawiona głęboką rozpaczą, co sprawiało, że słuchało się jej jeszcze trudniej.

– Nie, nie, nie, nie, nie – powtarzał Pulpet. – I co, wróćcie tam z nadzieją, że uda się im wyrwać wszystkie chwasty?

– Nie mów tak o tym! Wszystko się zmieni! Wygląda na to, że Roba już usunęli. Cate da nam znać, kiedy będziemy mogli wrócić. – Jude się gorączkował.

– Ze strony Ligi tobie i Liamowi nic nie grozi – zwróciłam się do Pulpeta. – Nie będą was szukać. Rozumiesz, prawda? Rozumiesz, czemu obiecałam Cole'owi, że to zrobię?

– Jasne. – W jego głosie pobrzmiwał taki chłód, że ścięło mi krew.

W ciszy, jaka między nami zapadła, ponownie wyczytałam pytanie, które naprawdę go nurtowało. Wiedziałam, o co chciał zapytać, bo ta sama myśl od kilku dni krążyła i w mojej głowie.

Jeśli te dane były aż tak ważne, to dlaczego w ogóle pomyślałam o tym, by oddać je Lidze?

Żadne szkolenia, misje i eksplozje, za które odpowiadała Liga i których miałam wątpliwe szczęście być świadkiem, nie były nawet w połowie tak dramatyczne jak mroząca krew w żyłach historia ucieczki Pulpeta.

Na noc zajechaliśmy na stary kemping, zaraz za granicą miasta Asheville na zachodzie Karoliny Północnej. Przez pięć godzin jazdy niemal nieustannie mówiłam, więc czułam się wypompowana. Kiedy Pulpet i Jude kłócili się o miejsce postoju, nie odezwałam się ani słowem.

Pospieszenie obeszlśmy teren, by się upewnić, że prócz nas nie ma tam nikogo, po czym wróciliśmy do auta, żeby wypakować coś do jedzenia. Nacisnęłam klamkę bagażnika i zrobiłam

krok w tył, pozwalając mu się otworzyć.

– O mój Boże – wyrwało mi się.

Moim oczom ukazał się imponujący widok. Ściana niewielkich, ułożonych jedno na drugim plastikowych pojemników i pudełek – wszystkie oznaczone praktycznymi hasłami takimi jak: „pierwsza pomoc”, „liny”, „witaminy”, „haczyki na ryby”. To, z jaką dbałością i przezornością wszystko spakowano, było niezwykle, choć jednocześnie dość przerażające.

Jude rzucił Pulpetowi przeciągłe, pełne podziwu spojrzenie.

– Przyznaj się: kiedy byłeś mały, nosiłeś bieliznę z nazwami dni tygodnia, prawda? – wycedził.

Pulpet poprawił okulary na nosie.

– Nie widzę powodu, dla którego miałoby cię to interesować.

Wyciągnęliśmy spod tylnego siedzenia starannie złożony namiot i zajęliśmy się jego rozkładaniem. Vida w końcu się na coś przydała – udało się jej rozpaść niewielkie ognisko. A Pulpet nareszcie opowiedział mi swoją historię.

– Tak naprawdę to niewiele z tego pamiętam – zaczął, walcząc ze szkieletem namiotu. – Liga zawiozła mnie do najbliższego szpitala, który przypadkiem znajdował się w Aleksandrii.

– A nie w Fairfax? – zapytałam, odgarniając z twarzy wilgotne włosy.

Jude i Vida robili wszystko, by nie dać po sobie poznać, że nas podsłuchują.

Pulpet wzruszył ramionami.

– Pamiętam jakieś twarze, ale jakby przez mgłę. Mówiłem ci, że jestem bardzo podobny do swojego ojca, prawda?

Skinęłam głową.

– Jedna z lekarek mnie rozpoznała. Kiedyś pracowała z moim tatą, ale później się przeniosła... Zresztą nieważne. Lekarzom udało się ustabilizować mój stan, ale ta kobieta i reszta personelu stwierdzili, że wymagam lepszego sprzętu. Zaczęła dzwonić do różnych osób i odszukała mojego tatę. Mieliśmy się z nim spotkać w restauracji mojej cioci, pamiętasz?

– Pamiętam.

– Kiedy karetka podjechała pod szpital w Fairfax, mój ojciec już tam czekał z przygotowanym dla mnie fałszywym dowodem osobistym: dzięki temu zarejestrowano mnie pod nowym nazwiskiem. Cały czas miałem na twarzy maskę tlenową. Minąłem dwa posterunki ochrony i nikt nawet na mnie nie spojrzał.

– I nikt nie powiedział o tym agentom, którzy przywieźli cię do pierwszego szpitala – dokończyłam. – Liga nie ma pojęcia, co się z tobą stało. We wszystkich dokumentach powiązanych z tamtą sprawą figurujesz jako „zaginiony w akcji”.

Pulpet prychnął.

– Próbowali wmówić agentom, że dostałem zapaści i zmarłem, ale nie połknęli tego. Pewnego dnia tatę odwiedziło sześć różnych osób i każda usiłowała wydobyć od niego informację, ale nie puścił pary z ust.

Prawdziwa sztuka nie polegała na tym, że ojcu Pulpeta udało się go zarejestrować pod fałszywym nazwiskiem. W relacjach z rządem szpital stosował zasadę „nie pytamy, nie donosimy”, zbywając wszelkie prośby o udostępnianie danych. Przestrzegano tego tak skrupulatnie, że placówce wiele razy groziło zamknięcie. Przebłysk geniuszu doktora Meriwethera polegał na tym, że umieścił swojego syna „Markusa Bella” w izolatce na porodówce. Kiedy chłopak wystarczająco wydobrał, zapakowano go w worek na zwłoki i wywieziono ze szpitala w wynajętym karawanie. Agenci Ligi odnaleźli dokumenty transferu między szpitalami i próbowali połączyć fakty, ale w chwili, kiedy wwieziono go do Fairfax, Pulpet zamienił się w ducha.

Później trzeba było tylko znaleźć mu miejsce, gdzie mógł wyzdrowieć i odzyskać siły.

– Nie jesteś w stanie nawet sobie wyobrazić, co to znaczy mieszkać w rozpadającej się stodole na końcu świata przez cztery miesiące – powiedział i krzywiąc się, poruszył barkiem. – Do końca życia, zamykając oczy, będę czuć smród siana i gnoju.

Stara stodoła należała do bliskiej przyjaciółki rodziny Pulpeta i znajdowała się w Adirondacks – już samo brzmienie tej nazwy przywodziło na myśl totalne pustkowienie, zimne i osamotnione. Rodzice zdołali odwiedzić go zaledwie dwa razy, bo nie chcieli wzbudzać podejrzeń, ale starsza kobieta, do której należała farma, zaglądała do niego dwa razy dziennie, żeby pomóc mu w rehabilitacji i przynieść jedzenie. Przez większość czasu jednak potwornie się nudził.

– Myślałem, że umiem się dogadać z ludźmi w podeszłym wieku, ale ta kobieta wyglądała, jakby codziennie rano wyłaniała się z krypty.

– Po to, żeby cię karmić i się tobą opiekować – przypomniałam mu.

– Jedyne książki, jakie miała, opowiadały o detektywie starej pannie, która uprzykrzała życie mieszkańcom małej wioski – rzucił. – Mam prawo wspominać to z goryczą.

– Nie. Nie masz prawa narzekać.

– Jakim cudem robisz... to, co robisz? – zapytał Jude.

Pulpet westchnął.

– Muszę przyznać, że to zasługa pani Berkshire. Kiedy jej opowiedziałem, jak wyostałem się z Wirginii, stwierdziła, że ostatnie miejsce, gdzie ludzie będą szukać uciekiniera, znajduje się wśród myśliwych. Oczywiście zasnęła w pół zdania, więc musiałem poczekać kilka godzin, zanim dane mi było usłyszeć drugą część tych mistycznych rozważań.

Pokręciłam głową, a on dumny jak paw oznajmił:

– I muszę przyznać, że jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby ktoś mnie podejrzewał. *Ani razu*. Najtrudniejsze było załatwienie nowego aktu urodzenia, ale rodzicom się udało. Sama rejestracja i nabycie uprawnień łowcy nagród wcale nie są takie skomplikowane. Trzeba tylko dostarczyć odpowiednie dokumenty i dowieść swoich umiejętności.

Płonące drewno głośno trzasnęło i skromna sarta gałęzi, którą uzbieraliśmy, się zapadła. Stwierdziłam, że to dobry moment na przerwę w opowieści. Wstałam i pociągnęłam za sobą Pulpeta. Jude też zaczął się podnosić, ale pokazałam, żeby został na ziemi.

– Skoczmy po coś do jedzenia. Zaraz wracamy – rzuciłam.

– O nas się nie martw – powiedziała Vida swoim słodkim jak miód głosem. – Już kiedyś przeżyliśmy bez ciebie całe dwie minuty.

Z trudem opanowałam emocje i szłam spokojnym krokiem.

– Naprawdę nie ufam tej dziewczynie – wyznał Pulpet, patrząc przez ramię na Vidę, która siedziała na ziemi z wyciągniętymi przed siebie nogami. – Młodzież, która farbuje włosy, zawsze zmaga się z kompleksem niższości. Albo coś ukrywa.

Uniosłam brew.

– Młodzież?

Tak się na nią zapatrzył, że otwierający bagażnik prawie uderzył go w twarz. Odruchowo położył sobie dłoń na lewym ramieniu, jakby chciał je ochronić.

– Mogę zobaczyć? – zapytałam, zanim sięgnął do pudełka podpisanego „batoniki energetyczne”.

Westchnął i wysunął rękę z rękawa. Jego koszulka była na tyle elastyczna, że zdołał naciągnąć dekolt, tak by odsłonić lewy bark, na którym na tle ciemnej skóry wyraźnie odznaczała się okrągła, różowa, pomarszczona plama wielkości monety.

– Czy... – Nagle zaschło mi w gardle. – Wyciągnęli kulę?



Poprawił koszulkę i wygładził materiał.

– Przeszła gładko i na wylot. Jak na postrzał, wcale nie był taki straszny.

*Wcale nie był taki straszny, akurat.* Przełknęłam wzbierający mi w gardle płacz.

Z marnym skutkiem.

– O matko, nie zaczynaj znowu. Nic mi nie jest. Przecież żyję, prawda?

– Czemu wróciłeś? – wyszeptałam łamiącym się głosem. – Czemu nie zostałeś tam, gdzie byłeś bezpieczny?

Pulpet przycisnął batony i puszki z jedzeniem do piersi i wyciągnął rękę, żeby zamknąć bagażnik.

– Miałem zostawić was, niedorajdy, na pastwę losu?

Patrzyłam, jak bierze dwa głębokie wdechy i wypuszcza z siebie powietrze w długim białym obłoku.

– Jestem na ciebie strasznie zły – odezwał się w końcu cicho. – *Wściekły*. Wiem, czemu wymazałaś mu pamięć, ale mam ochotę tobą potrząsnąć, żebyś odzyskała rozum.

– Wiem. Doskonale o tym wiem.

– Naprawdę? Nie chcesz zostawić tych dzieciaków, chociaż mogą donieść Lidze na mnie i na Lee. Stoisz na linii ognia z ludźmi, którym na tobie nie zależy i którzy cię nie ochronią, jeśli będzie trzeba. Jak myślisz, jak zareaguje Liam, kiedy się dowie, co zrobiłaś?

Węzeł, który miałam w żołądku, zacisnął się mocniej, aż do bólu. Pulpet był *naprawdę* wściekły. Potężna złość, która go napędzała, sprawiała, że czułam się krucha i bezbronna.

– Liam się nie dowie – powiedziałam. – Mówiłam ci, że chcę się tylko upewnić, że nic mu nie jest, i odzyskać pendrive’a. Nie zamierzam... Nie zamierzam mieszać mu w głowie.

– To największa ściema, jaka kiedykolwiek wyszła z twoich ust – odparował. – Kiedyś okłamałaś nas w kwestii swoich zdolności i nie mam ci tego za złe. Rozumiem, czemu to zrobiłaś, ale teraz... Jesteś na wolności, możemy znowu być wszyscy razem, a ty wybierasz jedyną opcję, która oznacza rozłąkę. Może Liam ci wybaczy, ale jeśli wrócisz do nich do Kalifornii, to *ja* nigdy ci tego nie zapomnę. – Ruszył z powrotem w kierunku ogniska i ciemnozielonego namiotu, jednak po chwili odwrócił się na pięcie i wycodził: – Pamiętasz, jak East River zostało zaatakowane i musieliśmy się ukrywać w jeziorze? Przez całą tamtą noc sądziłem, że już nic gorszego mi się nie przydarzy. To samo myślałem, kiedy uciekliśmy z Caledonii i musieliśmy zostawić resztę dzieciaków z naszego baraku, wiedząc, że wykrwawią się na śmierć. A potem znowu, kiedy mnie postrzelono. Ale myliłem się. Najgorsze, co mnie spotkało, najkoszmarniejszym uczuciem na świecie było leżeć bezpiecznie w tej stodole przez pół roku, nie wiedząc, co się dzieje z tobą, Liamem i Suzume. Obserwować, jak wasze imiona pojawiają się w sieci łowców nagród i jak co chwilę zwiększa się cena za wasze głowy. Śledzić sugerowane miejsca waszego pobytu i nie móc odnaleźć *żadnego* z was przez tyle miesięcy.

Chwilami... a tak naprawdę przez większość czasu, nie można było odróżnić jego złości od strachu. Obie emocje nawzajem się zaogniały.

– A potem nagle zaczęłaś się pojawiać wszędzie. W Bostonie, na stacji kolejowej na Rhode Island... Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale działałaś bardzo nieostrożnie. – Rzucił mi groźne spojrzenie. – Liam jest jeszcze gorszy. Przez wiele miesięcy nic, a później sygnał, że był widziany w Filadelfii. Musiałem zgłosić, że poszlaka była fałszywa, żeby skasować to z rejestru.

Liga miała tajny dostęp do rejestru SSP oraz łowców nagród. Profil Liama wyglądał tak, jakby nie był aktualizowany od wieków – wiedziałam to, bo sprawdzałam go dwa razy w tygodniu. Nic dziwnego, że kiedy ostatnio do niego zaglądałam, wydawał się niezmieniony.

– Co ściągnęło cię do domu Liama? – zapytałam, podejrzewając, że nasze spotkanie nie

mogło być zbiegiem okoliczności.

– Doszedłem do wniosku, że Liam skorzysta ze stworzonego przez Harry’ego systemu komunikacji, który miał im pomóc się odnaleźć. Obserwując miejsca, w których się pojawialiście, pomyślałem, że jest szansa, iż oboje przyjedziecie do Wilmington, żeby sprawdzić, czy ojczym Liama nie zostawił dla niego jakiejś wiadomości

– Jak to?

– Kiedy Cole i Liam wstępowali do Ligi, Harry powiedział im, że jeśli on i ich mama będą musieli zniknąć, zostawią im współrzędne pod parapetem w starym pokoju Liama.

– I masz te współrzędne?

– Nie. Nic tam nie było.

– To pewnie dlatego Liam pojechał do Filadelfii szukać Cole’a. Chciał sprawdzić, czy brat ma jakieś informacje.

Pulpet potarł palcem usta i kiwnął głową.

– Też tak myślę. Ale marnował tylko czas, bo Cole nic nie wie.

– Czyli znowu błądzimy w ciemnościach jak za starych dobrych czasów.

Pulpet westchnął, a ja się pochyliłam i oparłam mu czoło na ramieniu.

– Będziemy obserwować rejestr i sprawdzać, czy nie widziano go gdzieś jeszcze. Nieraz zdarzyło mu się nawalić, więc jest duża szansa, że zrobi to znowu.

Przerażało mnie to. Podejrzywałam, że nawet jeśli uda się nam zdobyć jakiekolwiek informacje o jego miejscu pobytu, istnieje duże prawdopodobieństwo, że będziemy za daleko, żeby wkroczyć na czas i pomóc mu, zanim zostanie złapany. Miał nad nami dużą przewagę i pewnie był już bardzo daleko. Ta myśl mnie przytłoczyła – nagle wszystko stało się znacznie trudniejsze i jeszcze bardziej niemożliwe niż zaledwie kilka minut wcześniej. Wszelkie starania wydały mi się zupełnie bezsensowne.

– Jestem bardzo zmęczona – powiedziałam. – Wiem, że nie mam do tego prawa... Wiem, że to moja wina, że sama to sobie zrobiłam, ale już nie mam siły walczyć. Wykańcza mnie to wszystko i świadomość, że sytuacja nigdy się nie poprawi. Że to, co robię, nic nie zmieni. Chce mi się wymiotować.

Pulpet poprawił puszkę z jedzeniem, które trzymał w rękach, i pochylił głowę, żeby lepiej mi się przyjrzeć. Bolało mnie gardło i dudniło mi w głowie, ale nie płakałam.

– Nie. Jesteś po prostu padnięta – uznał. – Czarne myśli, niepokój, trudności ze skupieniem uwagi: klasyczny przypadek. Chodź, jak coś zjesz i się prześpisz, zaraz poczujesz się lepiej.

– To niczego nie rozwiąże.

– Wiem, ale to zawsze jakiś początek.

Życie nauczyło mnie, że jest możliwe tak dalekie przekroczenie granicy wyczerpania, że sen przestaje przychodzić. Z niewyspania bolał mnie żołądek, a serce wydawało mi się ociężałe, ale miałam wrażenie, że moje ciało na coś się szykuje – mięśnie miałam napięte, a umysł pobudzony. Nieważne, jak bardzo starałam się skupić na suficie namiotu czy liczeniu owiec, moje myśli ciągle wracały do nocy, którą spędziliśmy w opuszczonym supermarkecie. Do dzieci, co do których byliśmy przekonani, że dadzą nam nieźle popalić.

Musiałam jednak na chwilę odpłynąć, bo nagle zbudził mnie zimny podmuch powietrza. Przy wyjściu z namiotu klęczała Vida – delikatnie i najciszej, jak potrafiła, rozsunała suwak, po czym wyszła na zewnątrz. Mój umysł powoli otrząsał się z oparów snu i chociaż najchętniej osunęłabym się z powrotem w krainę nieświadomości, byłam na tyle przytomna, żeby nabrać podejrzeń.

Policzyłam do trzydziestu, a potem do sześćdziesięciu. Słyszałam, jak jej kroki cichną.

Czuwałam, czekałam, aż wróci.

Nie wróciła.

Przepełzłam nad długimi nogami Pulpeta do wyjścia, zastanawiając się, o co chodzi tym razem. Jeśli Vida potrzebowała tylko zaczerpnąć świeżego powietrza albo wyjść za potrzebą, już dawno by wróciła.

Mimo gęstej ciemności od razu ją zobaczyłam. Cała się trzęsła i pocierała ramiona, usiłując złagodzić lodowate ukąszenia nocy. Zauważyłam, że spojrzała w stronę namiotu, więc cofnęłam się z nadzieją, że światło księżyca nie wydobyło mojego kształtu zza cienkiej, wodoodpornej płachty.

Vida skradała się obok forda explorera Pulpeta. Okrążyła go dwukrotnie i w końcu zatrzymała się od strony kierowcy.

*Masz pecha*, pomyślałam, czując cichą satysfakcję. Przypomniałam Pulpetowi, żeby zamknął auto, a że Vida zostawiła broń w schowku na rękawiczki, teraz musiała znaleźć kamień albo coś wystarczająco ciężkiego, żeby rozbić szybę. Podejrzewałam, że nie uda się jej zrobić tego cicho.

Nagle ruszyła w kierunku lasu i gdyby nie jej jaskrawe włosy, zgubiłabym ją w ciemnościach. Wstałam i wyslizgnęłam się na zewnątrz, po czym nie spuszczać jej z oczu, poszłam w stronę samochodu. Palce u nóg mi odmarzały i kleiły się do zmrożonych kępek trawy i błota. Vida się nie zatrzymała, a ja podążałam za nią, dalej i dalej. W końcu oddaliła się na tyle, że jej włosy całkiem zniknęły wśród spowitych czernią drzew – dzielącą nas ciemność wciąż przecinało jednak białoniebieskie światło urządzenia, które trzymała w dłoniach.

Rozsądek podpowiadał mi, żebym zaczekała, aż wróci, i wzięła ją z zaskoczenia.

Ale nim mój umysł w pełni uformował tę myśl, zaczęłam biec. Wszystkie zasady, które Liga usiłowała mi wpoić podczas szkoleń, oraz rozważa i logiczne myślenie wyparowały, kiedy zobaczyłam pierwszy błysk tego dziwnego światła. Jeśli kontaktowała się z Cole'em, czemu to przed nami ukrywała? Czemu chciała wysłać mu wiadomość za naszymi plecami?

Najwyraźniej to nie z nim chciała nawiązać łączność.

Przemknęłam obok samochodu. Nadciągająca zima огоłociła drzewa, które teraz chłostały mnie po twarzy i ramionach nagimi gałęziami. Cienka warstwa lodu i szronu przeraźliwie paliła mnie w stopy, ale i tak najtrudniejsze było przedzieranie się przez gąszcz suchych zarośli.

Nie miało znaczenia, że hałasowałam. Nie planowałam jej zaskoczyć. Zresztą w przypadku Vidy graniczyłoby to z cudem. Chciałam się maksymalnie rozpędzić, rzucić się na nią i powalić ją na ziemię.

Kiedy opuściłam głowę i z całej siły na nią runęłam, wciąż ścisnęła w dłoniach zagadkowe urządzenie. Zdążyła jednak podciągnąć kolano i wbić mi je w klatkę piersiową. Spadłam na nią całym swoim ciężarem, jedną nogą opierając się na nierównym podłożu, i gruchnęłyśmy na ziemię.

Przycisnęłam jej krtani kolaniem, a ona wyciągnęła ręce i mocno chwyciła mnie za szyję. Żadna z nas nie chciała ustąpić, chociaż zaczęłyśmy się toczyć w dół zbocza, przedzierając się przez poszycie i podskakując na ostrych kamieniach. Nie byłyśmy w stanie nic zrobić. Zatrzymałyśmy się dopiero wtedy, kiedy uderzyłyśmy w drzewo, które spuściło na nas deszcz suchych brązowych liści.

Świat wirował mi przed oczami, ale to ja byłam na górze. Miałam przewagę i ją wykorzystałam. W powietrze wystrzeliła ciepła chmura oddechu Vidy. Przycisnęłam przeciwniczkę nogami, nie pozwalając się jej wyrwać, i sięgnęłam po czarne urządzenie leżące obok jej głowy.

Nigdy wcześniej nie widziałam w jej oczach takiego przerażenia.

Uniosła się pode mną, uwolniła przygniecioną rękę i rąbnęła mnie tak mocno, że na sekundę zrobiło mi się czarno przed oczami. Z jękiem wzięła kolejny zamach i grzmotnęła mnie w ucho, co wystarczyło jej, żeby się uwolnić.

Skoczyła na równe nogi, a ja chwiejnie podniosłam się za nią. Widziałam podwójnie i nie byłam pewna, która z jej stóp szybuje w kierunku mojego brzucha, aż go dosięgnęła. Wyrzuciłam rękę przed twarz, żeby zablokować kolejny cios.

– Jak mogłaś! – wydusiłam z siebie.

Złapałam ją za nadgarstek, ale mi się wyrwała. Kolejny raz machnęłam w jej kierunku pięścią i zdumiona zobaczyłam, jak Vida wylatuje w powietrze i ląduje dobre siedem metrów dalej, choć nie zdołałam jej nawet dotknąć.

– *Przestań!* – dobiegło mnie.

Ciężko dyszałam i ledwie trzymałam się na nogach. Przechyliłam się na bok w szorstkie objęcia drzewa i osunęłam się na kolana. Pulsowanie krwi w uszach tłumiło dobiegający do mnie dźwięk czyjegoś głosu. Obróciłam głowę i zobaczyłam, jak Jude zbiega pokracznie ze zbocza, potykając się o gąszcz splątanych gałęzi i mokrych liści, po czym klęka u boku Vidy.

Nieopodal stał Pulpet, który wciąż wyciągał ręce w kierunku, w którym ją cisnął.

– Co tu się wyprawia, do jasnej cholery?! – zawołał.

– O... ona – wybąkałam i uniosłam drżącą dłoń, żeby przetrzeć sobie usta.

Pulpet ruszył w moją stronę, oświetlając sobie drogę latarką.

– Miała... urządzenie... dzwoniła... chciała się połączyć.

Kiedy w końcu do mnie podszedł, chwycił mnie za rękę. Wykręcałam szyję, usiłując się zasłonić przed ostrym światłem, którym mierzył mi prosto w twarz. Wyrwałam mu się i upadłam na ziemię.

– Widzisz to? Widzisz? Daj mi... daj mi latarkę – wymamrotałam.

– To jej wina! – wrzeszczała Vida. – To ona rzuciła się na *mnie*!

Pulpet posłusznie przyświecił latarką tam, gdzie wskazywałam.

– Musisz usiąść. Hej! Czy ty mnie w ogóle słyszysz? – mówił do mnie.

Błądziłam palcami po mchach, kamieniach i korzeniach, aż w końcu je znalazłam – czarna obudowa była nienaturalnie gładka i ciągle ciepła w dotyku. Podczas walki urządzenie upadło ekranem do ziemi, dlatego nie było widać, że świeci.

– Co to jest? Telefon? – Pulpet przykucnął obok mnie.

Ciepło, ale nie.

– Komunikator? – rozległ się zaskoczony głos Jude’a. – Skąd to wzięłaś?

Chłopiec stał za nami, podtrzymując słaniającą się na nogach Vidę. Nie, nie podtrzymywał jej. Jedną ręką obejmował ją w pasie, powstrzymując, żeby nie rzuciła mi się do gardła.

*Głupi, odważny dzieciak*, pomyślałam po raz tysięczny, po czym spuściłam wzrok z powrotem na ekran i go włączyłam.

Przeszkodziłam jej w połowie pisania wiadomości. Na szczęście. Przybliżyłam ekran do twarzy i zmrużyłam oczy, odczytując dziwny ciąg liter. Mały czarny kursor wciąż migotał w oczekiwaniu, aż Vida skończy pisać.

MAM ICH // FAZA DRUGA INSTRLWJERL: KS SLKJDFJ

– Ty żmijo – rzuciłam, podnosząc wzrok. – Myślałaś, że nas oszukasz? Sprowadzisz z powrotem do Ligi? Co obiecał ci Alban? Że zajmiesz moje miejsce i zostaniesz Liderką zespołu?

Zaslepiła mnie wściekłość. Byłam zbyt zła, żeby pozwolić jej odpowiedzieć. Wstałam i cisnęłam urządzenie na ziemię. Vida i Jude cofnęli się o kilka kroków. W głowie szumiało mi od chęci zemsty – niczego nie pragnęłam tak bardzo, jak wnikać w umysł Vidy, poszatkować go i zniszczyć. Furia dodawała mocy niewidzialnym mackom moich myśli i naprawdę uwierzyłam, że tym razem nie muszę nikogo dotykać, że jeśli spuszczę je ze smyczy, oplotą umysł zdrajczyni. Odwróciłam się gotowa, by je wypuścić.

Jednak zamiast tego poczułam, jak ktoś zaciska mi palce na nadgarstku i pociąga mnie w tył. Stojący obok Pulpet gapił się w ekran. Usłyszałam, że wciska jakiś przycisk i po chwili podstawiał mi urządzenie pod nos, żebym przeczytała starą, odebraną wiadomość:

JEDŹ NA POŁUDNIE DROGĄ NR 40 // ADRES TAK JAK PODANO // WYJAŚNIJ ZMIANY W OPERACJI OD RAZU PO NAWIĄZANIU KONTAKTU // POWIEDZ JEJ, ŻE JĄ PRZEPRASZAM

– Powiedz jej, że ją przepraszam? – Spojrzałam na Vidę, która odwróciła głowę. Miała kamienny wyraz twarzy. – Kto to? Cole?

Jej warga była spuchnięta, skutkiem czego Vida bełkotała, a do tego mówiła tak cicho, że ledwie ją słyszałam. Jej opór potwierdzał rodzącą się w mojej głowie teorię... Na świecie istniała tylko jedna osoba, którą Vida tak bardzo chroniła.

– Nie. To Cate – odpowiedziała.

Byłam gotowa, żeby załatwić sprawę na miejscu, ale Pulpet zarządził powrót do

obozowiska i ponowne rozniecenie ognia.

– Złe wiadomości w ciemnościach i na mrozie wydają się jeszcze gorsze – rzucił stanowczo.

Zaprowadził mnie do rozgrzebanego paleniska, po czym ruszył do samochodu. Jak przez mgłę słyszałam dźwięk otwieranego zamka i trzaśnięcie drzwi. Po chwili Pulpet wrócił, usiadł obok i zaczął przemywać zadrapania na mojej twarzy i rękach, nie okazując ani śladu współczucia.

– Niech ktoś lepiej zacznie gadać – burknął. – Bo wiercie mi, nie chcecie usłyszeć, co ja mam na ten temat do powiedzenia. Zwłaszcza że jest pierwsza nad ranem.

Vida prychnęła i podciągnęła kolana do klatki piersiowej. Nie byłam w stanie dojrzeć prawej połowy jej twarzy – była albo pogrążona w ciemności, albo pokryta gigantycznym siniakiem. Przybliżyłam komunikator do przygasającego ognia, oglądając go ze wszystkich stron.

– Kto ci to dał? Nico?

Milczała tak długo, że byłam pewna, iż mi nie odpowie. Wzruszyła ramionami. Wrywała paznokciami grudy ziemi i ścisnęła w pięściach.

– Więc on i Cate o wszystkim wiedzą? Kto jeszcze? – warknęłam.

Vida zaplotła ręce na piersi i wbiła wzrok w ciemną przestrzeń.

– Czemu nam nie powiedziałaś? – zapytał Jude. – Cate ci zabroniła? To nie ma najmniejszego sensu. A już zupełnie nie rozumiem, czemu teraz milczysz. Zostałaś złapana na gorącym uczynku. Wpadłaś! Pamiętasz, co powinnaś zrobić w takiej sytuacji?

„Bezwzględna akceptacja, adaptacja, reakcja” – te słowa nabazgrano na jednej ze ścian w sali szkoleniowej. Równie dobrze mogli nam je wytatuować bezpośrednio na mózgach.

– Niech wam będzie – rzuciła, wykręcając barki w tył, jakby chciała się z nich pozbyć napięcia.

Uświadomiłam sobie, że jest zła – wściekła na samą siebie. Idealna wychowanka Ligi nawaliła i spartaczyła wyjątkową, powierzoną jej przez Cate operację. Oddychała ciężko, wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby. Cate była najważniejszą osobą w jej życiu, może jedyną, na której naprawdę jej zależało. Podejrzewałam, dlaczego zataiła przed nami prawdę, ale chciałam usłyszeć, jak wychodzi to z jej ust.

– Cate i Cole zaczęli planować tę akcję prawie w tej samej sekundzie, w której sprowadziliśmy Cole’a z powrotem do Bazy – podjęła. – Znają się od dawna. Cate wzięła go pod swoje skrzydła, kiedy wstąpił do Ligi, i pomogła go wyszkolić. Powiedział jej prawdę o twoim durnym kochasiu oraz pamięci przenośnej i wspólnie stwierdzili, że to ty jesteś szansą na rozwiązanie tej sytuacji. Z jakiegoś powodu Cate ślepo wierzy, że nie ma bagna, z którego się nie wydostaniesz.

– W takim razie czemu to Cole mi o wszystkim powiedział?

– Rob i jego świta obserwują Cate. Zorientowała się, jaki z niego popapraniec, już kilka miesięcy temu, ale starała się trzymać blisko, by mieć pewność, że nie podniesie na nas ręki. Nie mogła pójść z tym do Albana ani jego doradców, bo obawiała się, że odsuną ją od nas, stwierdzając, że jest „problematyczna”. Nico pokazał Cole’owi, Cate i mnie nagranie z akcji, podczas której zginął Blake, i Cate, łagodnie mówiąc, wpadła w furję.

– Kiedy to się stało?

– Zaraz po tym, jak opuściliście Bazę. – Vida spojrzała na mnie i założyła sobie pasemko włosów za ucho. – Nico przyznał, że kazałaś mu trzymać buzię na kłódkę, ale coś, co powiedziałaś Cole’owi, sprawiło, że postanowił działać. Ujawni nagranie, dopiero kiedy wrócimy z danymi.

Nic dziwnego. Utrzymanie jedności Ligi jest zawsze priorytetem. Nie żadna tam ochrona

dzieci. Ani pozbywanie się psychopatów.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem – wtrącił się Pulpet. – Cate wiedziała o wszystkim od samego początku, ale nie pisnęła ani słowa? Chciała na wszelki wypadek dla dobra sprawy pozostać poza podejrzeniem?

– Nieźle, dziadku – rzuciła Vida. – Cole stwierdził, że udział Cate musi pozostać tajemnicą nawet dla ciebie, Ruby. Jeśli zostalibyście złapani i przesłuchani, wciąż mogłaby próbować ratować sytuację. Gdyby Cole wpadł, zostałaby nam jeszcze ona. Nie podobało jej się to, ale powiedziałam, że ci pomogę tylko pod warunkiem, że się zgodzi. Skapitulowała, dopiero kiedy uświadomiła sobie, że nie będzie w stanie odwołać Jude’a z misji w Bostonie bez wzbudzania podejrzeń. Rob osobiście o niego poprosił.

Jude zzieleniał. Blask ogniska wydobywał rumieńce paniki na jego policzkach.

Vida spojrzała na niego z politowaniem.

– Wiem od Cate, że Rob rozpląnął się w powietrzu po tym, jak go przed wszystkimi oczerniłaś. Ulotnił się, zanim Barton zdążył sprowadzić go na przesłuchanie.

– Więc nie będzie go w Bazie, kiedy wrócimy? – Jude wydał z siebie westchnienie ulgi.

Nie będzie go w Bazie, ale to oznaczało, że wypuściłam na świat rozwścieczoną bestię gotową rozerwać istniejący porządek rzeczy na strzępy i przerobić go według własnego uznania.

– To wszystko, co wiem – skończyła Vida. – Koniec, kropka. Ale pamiętajcie, że jeśli którekolwiek z was piśnie komuś choć jedno pieprzone słowo o Cate, to spuszczę mu takie manto, że przez następne sto lat będą chrzcic moim imieniem huragany.

Otworzyłam usta, żeby się odgryźć, ale zmieniłam zdanie. Do tej pory podchodziłam ze szczerym politowaniem do nabożnego stosunku, jaki Vida miała do Cate. Sądziłam, że pod nieskazitelną maską, którą nosiła nasza Opiekunka, dostrzegałam przebliski tego, jaka jest naprawdę. Teraz coraz trudniej było mi uwierzyć, że którekolwiek z nas to wiedziało. Jej wiara w Ligę zawsze wydawała mi się naiwna. Naprawdę sądziłam, że przymyka oczy na wszystko, co dzieje się wokół niej, żeby móc żyć w szczęśliwym świecie, który istniał tylko w jej wyobraźni. Zaczęłam się obawiać, że może Jude ma rację i dzisiejsza Liga w niczym nie przypomina tej, do której Cate dobrowolnie wstąpiła przed wieloma laty.

Ale dlaczego odsłaniała się przede mną z takim ociąganiem? I czemu aż tyle czasu zajęło mi poskładanie fragmentów układanki w jaką taką całość?

– Kontaktowałaś się bezpośrednio z Cate, tak? – Pulpet wyciągnął mi komunikator z omdlelej ręki. – Od początku mówiła ci, co robić?

– Tak. To ona wysłała mi współrzędne domu w Wilmington. Młody Stewart jest jednak nieuchwytny. Nawet Nico nie potrafił go namierzyć.

Nagle komunikator zawibrował, wydał z siebie niski pomruk i wyłączył ekran. Jego światło było na tyle jasne, że wszyscy zobaczyliśmy, jak brwi Pulpeta, który trzymał go w dłoniach, unoszą się stopniowo coraz wyżej ponad oprawki okularów aż do linii włosów.

– Cóż, może Cate nie jest w stanie wysłać ci dokładnych współrzędnych – rzucił, odwracając urządzenie w naszą stronę. – Ale ma pomysł, od czego możemy zacząć.

CEL WIDZIANY W OKOLICACH NASHVILLE // W POBLIŻU WROGIE PLEMIE  
NIEBIESKICH // WSKAZANA OSTROŻNOŚĆ

– W rejestrze łowców nagród nic o tym nie wspomnieli – powiedział Pulpet, przesuwając palcem w dół po niewielkim ekranie tabletu, który podałam mu ze schowka. – Ale trudno się dziwić: od kilku dni nie mogę złapać internetu, więc nie mam aktualnych danych.

– Co to takiego? – zapytałam.

Na samej górze ekranu urządzenia widniała posiniaczona, wykrzywiona twarz Liama – zdjęcie zrobiono zapewne bezpośrednio po przywiezieniu go do Caledonii. Zaraz obok znajdowała się lista z tymi samymi informacjami, które wyczytałam w sieci SSP. Jediną zmianą było to, że nagroda za jego głowę wzrosła do dwustu tysięcy dolarów, a miejscem, w którym ostatnio zgłoszono jego obecność, były okolice Richmond w stanie Wirginia.

– Mam bezpośredni dostęp do sieci łowców nagród – poinformował mnie Pulpet. – Żeby go zdobyć, trzeba się zarejestrować i zostać oficjalnie zatwierdzonym. Informacje w nim zawarte są pilnie strzeżone. SSP nie mają do niego wglądu, w przeciwnym razie przechwytywaliby nasze cele.

Dzięki ekranowi dotykowemu można było z łatwością przeglądać zamieszczone poniżej komentarze. Łowca, który zauważył Liama w Richmond, nazywał się P. Everton i umieścił na jego profilu wpis o treści: „Stewart prowadził czerwonego pick-upa marki Chevrolet na kradzionych numerach. Był w dżinsach i czarnej bluzie z kapturem. Zgubiłem go podczas pościgu”.

– Po co ktoś upublicznił taką informację, skoro tylko jedna osoba może zgarnąć nagrodę? – zapytałam.

– Bo jeśli wskazówka okaże się pomocna, jej autor podskoczy w rankingu. Każdy dzieciak, a zwłaszcza te najbardziej poszukiwane, oprócz przypisanej wartości pieniężnej ma określoną liczbę punktów. Punkty można też zbierać przez dodawanie wskazówek albo wspieranie SSP. – Pulpet wzruszył ramionami. – Pierwszych dwudziestu łowców dostaje dodatkowe wsparcie od rządu, nie wspominając o sprzęcie oraz ułatwionym dostępie do sieci. Internet jest bardzo pomocny. Nawet nie chcę mówić, ile głupich dzieciaków wpadło w ich ręce dzięki zdjęciom i postom, które ich rodziny umieściły w sieci. Podejrzewam, że właśnie przez to żołnierze SSP zlokalizowali mnie pierwszy raz. Mama zapomniała, że na jakiejś stronie wrzuciła album ze zdjęciami z naszego domku letniskowego.

Pokiwałam głową, przesuwając palcem listę. Znajdowało się na niej około tysiąca aktywnych profili, wiele bez zdjęć. Podejrzewałam, że te wybrakowane należały do dzieci, które zostały zgłoszone przez swoich niczego nieświadomych rodziców do internetowego rejestru OMNI, ale jakimś cudem uniknęły obozów. Musiały znaleźć świetne kryjówki albo do perfekcji opanować życie poza zasięgiem radarów. Przesuwałam dalej.

Dale Andrea. Dale George Ryan. Daley Jacob Marcus.

Daly Ruby.

Zdjęcie zrobiono, kiedy miałam dziesięć lat. Patrzyłam z niego szeroko otwartymi oczami zza rozczochranych i mokrych czarnych włosów. *To by się zgadzało* – pomyślałam. – *Lało, kiedy nas przywieźli.*

– Co to ma być? – Podniosłam urządzenie w stronę Pulpeta. – Czterysta tysięcy dolarów nagrody?

– No tak. – Pulpet wyjął mi tablet z rąk i ponuro dodał: – Gratulacje, jesteś smakowitym



kąskiem.

– Ale... Jak to? *Dlaczego?*

– Naprawdę muszę ci to wyjaśnić? – Westchnął. – Uciekłaś z *Thurmond* z pomocą *Ligi*.

A, i byłbym zapomniał: jesteś *Pomarańczowa*.

– O co chodzi z tymi wpisami? Nigdy nie byłam w Maine ani w Georgii.

Podsunał mi ekran pod nos.

– Przyjrzyj się uważnie.

„Zauważona w okolicach Marietty w stanie Georgia, kieruje się na wschód. J. Lister”.

Przynajmniej pięć komentarzy było autorstwa J. Listera vel Pulpeta.

– Zrobiłbym więcej, ale zasypywanie sieci fałszywymi wskazówkami jest karalne. Kiedy tylko mogę, wrzucam coś o tobie i Liamie, żeby zmylić innych łowców.

– A co z Zu?

– Ją też ubezpieczam, ale nie tak często. Umieszczanie wpisów ciągle pod tymi samymi osobami nie wygląda dobrze, zwłaszcza jeśli odległości się nie zgadzają. Nie mogę napisać, że widziałem cię w Maine, a dwie minuty później, że zauważyłem Zu w Kalifornii. Ale zmyśliłem o niej pewną historyjkę. Wszyscy wierzą, że jest gdzieś na Florydzie.

– Myślisz, że jej i pozostałym udało się dotrzeć do Kalifornii? W rejestrze SSP, do którego włamuje się Liga, nie ma o nich żadnych aktualnych informacji. – Ostatni raz sprawdzałam tydzień temu i nic.

Pulpet odchrząknął.

– Chcę wierzyć, że się jej udało. Kiedy już odnajdziemy Liama, będziemy musieli sami to sprawdzić.

Patrzyliśmy na pozostałych przez przednią szybę auta. Vida usiłowała sprzątnąć namiot, próbując zmusić go do posłuszeństwa siłą. Jude rozłożył się na plecach na trawiastym skrawku ziemi i gapił w niebo, przyciskając kompas do piersi. Było zimno, ale pierwszy raz od wielu dni wyszło słońce. Chłopiec miał na twarzy wyraz zdumionego zachwyty.

– Jak myślisz, na co patrzy? – zapytał Pulpet, wyciągając szyję ponad kierownicę, żeby podążyć za wzrokiem Jude’a. – Czy ten dzieciak jest zdrowy... na umyśle?

– Podejrzewam, że jego myśli są teraz tysiące kilometrów stąd i dopisują zakończenie tej heroicznej wyprawy. To dobry chłopak. Nadpobudliwy i strasznie zakręcony, ale dobry.

– Skoro tak twierdzisz – wymamrotał.

Vida wyrwała jedną ze szpilek przytwierdzających namiot do ziemi i wydała z siebie zduszony okrzyk, po czym pchnęła całą konstrukcję na trawę, a na dokładkę wszystko podeptała.

– Czemu tylko ja tu pracuję?! *Słyszysz mnie ktoś?! – wrzasnęła.*

Pulpet wyskoczył z auta, zanim zdążyłam chwycić za klamkę po swojej stronie.

– Mogłabyś nie niszczyć mojego namiotu, ty niezdarna, niewdzięczna wywłoko?! – zagrzymiał.

– *Ja* jestem niezdarna? A co za durny baran wyrzucił instrukcję obsługi tego badziewia?

Zerknęłam na nią, by się upewnić, że nie zamierza nadziać Pulpeta na szpilkę, którą trzymała w ręce, po czym sięgnęłam po tablet i ponownie go włączyłam.

Przez dwie, trzy, cztery nieznosne sekundy widziałam jedynie powoli obracający się szary pierścień, pokazujący, że urządzenie się uruchamia. Ekran zaświecił się z cichym piśnięciem. Znajdowało się na nim niewielkie menu, które zawierało: „sytuacje nagłe”, „bazę danych” oraz „aktualizacje”, a powyżej widniała cyfrowa mapa Stanów Zjednoczonych, zapewne służąca do nawigacji.

Chciałam ją jednak wykorzystać do czegoś innego.

Żołądek zamienił mi się w zaciśnięty węzeł niepokoju, ale palce nawet mi nie drgnęły,

kiedy wklepywałam jego nazwisko: Gray Clancy.

Po chwili ból uszedł ze mnie z jednym długim oddechem. Na ekranie pojawił się komunikat „brak danych”.

Od Nashville dzieliły nas cztery godziny drogi, podczas których zmienialiśmy się z Pulpetem za kółkiem. Czułam się dziwnie, widząc go na siedzeniu kierowcy zamiast z tyłu, ale jego rozluźniona, pewna postura sprawiała, że wyglądał jak inna osoba. Staralam się to przyjąć i pogodzić się z faktem, że siedzący obok Pulpet to nie ten sam chłopak, którego mi odebrano. Nie mógł nim być, nie po tym wszystkim.

Pomijając jego reakcję na zaczepki i obelgi Vidy, był spokojniejszy – przynajmniej na zewnątrz. Co jakiś czas spoglądałam na niego i dostrzegałam cień przebiegający przez jego skupioną twarz. Chciałam go wtedy o wszystko wypytać, ale po chwili ciemne chmury przepływały nad nami, odsłaniając niebo, i drogę znowu zalewało lśniące słońce, a on na powrót stawał się sobą. Przynajmniej do chwili, kiedy przychodził czas, żeby coś zjeść.

W przeszłości Pulpet narzekał i protestował na samą wzmiankę o tym, żeby się zatrzymać i wyskoczyć do sklepu albo do restauracji po coś do jedzenia. Zawsze to Liam wysiadał i załatwiał takie sprawy, zostawiając za sobą jak echo jego głośnie utyskiwania.

Tym razem jednak to Pulpet nalegał na postój.

– Dajcie spokój, nic nam nie grozi – stwierdził i zjechał na przydrożny parking, po którym płatało się kilka osób.

Coraz bardziej oczywiste stawało się to, że Pulpet używa swojej legitymacji łowcy nagród jak kuloodpornej tarczy i że jest skłonny wymachiwać nią przed każdym, kto zwróci na niego uwagę. W głębi duszy zastanawiałam się, czy jedynie świetnie wczuwał się w rolę, czy coś w jego wnętrzu naprawdę się zmieniło.

Zsunęliśmy się maksymalnie na siedzeniach i czekaliśmy na niego, podczas gdy Pulpet, zupełnie się nie spiesząc, skorzystał z toalety, obszedł automaty z jedzeniem i nawdychał się świeżego jesiennego powietrza.

– I ty twierdzisz, że ten gość jest normalny – syknęła Vida.

– Bo jest. – Obserwowałam go znad deski rozdzielczej.

– W takim razie jest cholernie prymitywny. Albo chce, żeby nas złapano – odparowała.

Nie. Na pewno nie. Pulpet miał swoje wady, ale nie był na tyle perfidny, żeby wydać kogoś, kto potrzebował jego pomocy.

*Co ty nie powiesz?* – odezwał się cichy głosik w mojej głowie. – *Czy nie tego właśnie próbował z tobą?*

Potrząsnęłam głową, odganiając tę myśl, w chwili, gdy Pulpet wgramolił się z powrotem do auta i rzucił mi na kolana stertę chipsów i słodczy. Spojrzał na mnie zaskoczony, że się chowam.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał.

Otworzyłam ze zdziwienia usta.

– A jak ci się wydaje? Każda z tych osób mogła na nas donieść!

W końcu zrozumiał. Ściągnął brwi i spojrzał na pozostałych, którzy kulili się z tyłu. Jude, obejmując rękami kolana, siedział wciśnięty w wąską przestrzeń między metalową kratką a siedzeniem.

– Tak jak myślałam. Totalny kretyń... – rzuciła Vida do siebie.

– Nic się nie dzieje – odezwał się Jude, siląc się na swobodny ton. – Nie zgłosiliby nas. Nie wyglądali ani na żołnierzy, ani na łowców.

Łowcy nagród wyglądali bardzo różnie – Pulpet był tego dowodem. Wczuwał się w rolę, ale nie był jednym z nich. Nie miał w sobie rezerwy i chłodu, którymi emanowali pozostali. Jego

reakcja na nasze zachowanie i sposób, w jaki wepchnął kluczyk do stacyjki, sprawiły, że zaczęłam się zastanawiać, czy w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, jak nieodpowiedzialnie postępuje.

Prawdziwym problemem stało się to dopiero wtedy, kiedy dojechaliśmy do przedmieść Nashville i blokady, którą Gwardia Narodowa obstawiła swoimi najlepszymi ludźmi.

– Miasto zamknięte – powiedział Jude, odczytując napisaną sprayem informację, obok której przemknęliśmy.

Minęliśmy całą serię znaków: STREFA ZALEWOWA, ZWOLNIJ, MIASTO ZAMKNIĘTE, ZAWRÓĆ, PRZEJAZD TYLKO DLA GWARDII NARODOWEJ, MIASTO ZAMKNIĘTE.

Po każdym odczytanym napisie głos Jude’a brzmiał coraz mniej pewnie, ale nasza terenówka tylko nabierała prędkości.

Na horyzoncie pokrytej śniegiem drogi pojawił się prowizoryczny posterunek. Wyglądał jak ciemna, niewyraźna linia, która następnie przemieniła się w płataninę drutu kolczastego i ogrodzenie.

– Zwolnij. Zatrzymaj się na chwilę – poprosiłam Pulpeta, ale zupełnie mnie zignorował. Vida uniosła oczy znad komunikatora, na którym pisała kolejną wiadomość do Cate.

– A tak, Cate twierdzi, że miasto jest zablokowane od lata. Ma to jakiś związek z tym, że rzeka wylała i ludzie zaczęli się buntować, bo nie otrzymali żadnej pomocy.

Westchnęłam i schowałam twarz w dłoniach.

– Ta informacja mogła się nam przydać dwadzieścia minut temu, kiedy dyskutowaliśmy o tym, którędy najlepiej będzie wjechać do miasta.

Vida wzruszyła ramionami.

Nagle Jude wydał z siebie jęk.

– Jakiś facet się do nas zbliża. I naprawdę mu się spieszy – rzucił spanikowany.

Rzeczywiście: zza metalowej siatki i brudnych żółtych beczek, które blokowały przejazd, wybiegł żołnierz Gwardii Narodowej. Pędził w naszym kierunku, a broń i pas z amunicją podskakiwały mu przy każdym kroku. Poczułam zimne ukłucie przerażenia.

Mężczyzna zatrzymał się i sięgnął do przypiętej z boku broni.

– Wszyscy mają zapięte pasy? – zapytał Pulpet.

– Chyba żartujesz – rzuciłam. Nie byłam w stanie uwierzyć. Przecież nie mógł tego zrobić.

Vida w końcu oderwała oczy od ekranu komunikatora.

Jude krzyknął, kiedy Pulpet wcisnął gaz do dechy i samochód gwałtownie zerwał się do przodu.

Chwyciłam kierownicę i pociągnęłam za nią, wskutek czego ostro skręciliśmy w prawo. Pulpet usiłował mnie odepchnąć, ale poprowadziłam nas po łuku i udało mi się cudem wyminąć żołnierza, który wyszedł nam naprzeciw. Pulpet natychmiast zwolnił pedał gazu, ale zdążyliśmy już zawrócić i skierować się we właściwą stronę – z dala od zasieków, żołnierzy i niebezpieczeństwa. Vida uderzyła dłonią w oddzielającą nas kratkę i pod wpływem jej mocy pedał gazu znowu dotknął podłogi, wciskając się w brudny dywanik. Pulpet chciał zahamować, ale auto tylko jęknęło w proteście.

Kiedy blokada zamieniła się w maleńką kropkę we wstecznym lusterku, Vida cofnęła dłoń, na co stopa Pulpeta opadła na hamulec, a pasy bezpieczeństwa z szarpnięciem zablokowały się wszystkim wokół piersi.

– Ja... – zaczęłam, kiedy w końcu złapałam oddech. – Dlaczego... Ty...

– Niech to szlag! – wrzasnął Pulpet, waląc ręką w kierownicę. Brzmiał jak nie on. Nie

pierwszy raz się na mnie wydzierał, ale jeszcze nigdy tak nie krzyczał... Poczułam, jak się kurczę. – Jak *mogłaś* to zrobić?! Jak śmiesz się tak zachowywać?!

– Jeżeli zamierzacie się kłócić, to czy możecie wyjść? – odezwała się Vida. – Strasznie boli mnie głowa i nie mam ochoty wysłuchiwać, jak mamusia i tatuś skaczą sobie do gardeł.

Nie miałam nic przeciwko temu. Odpięłam pasy, ignorując Pulpeta, który mamrotał coś pod nosem, ale poszedł w moje ślady.

– O co ci chodzi? – zaatakował mnie, okrążając maskę. Buty ślizgały mu się na oblepiającym ciemną drogę śniegu. Jego gorący od gniewu oddech omiatał mi zmarnięte policzki białą i lepką chmurą.

– Co ty wyprawiasz? Naprawdę miałaś zamiar sforsować tę blokadę?

Sposób, w jaki wzruszył ramionami, jakby to nie miało żadnego znaczenia, jakby to była drobnostka, sprawił, że wpadłam w szal.

– Nie mogę w to uwierzyć! Obudź się! *Obudź się!* To nie w twoim stylu! – krzyczałam.

– Nie musiałbym tego robić, gdybyś nie kazała mi za sobą wlec tych durnych bachorów. Gdyby nie oni, wystarczyloby, że machnąłbym legitymacją, i by nas przepuścili! – Przeciągnął palcami po swoich ciemnych włosach. – I wiesz co? Gdybym jednak *przejechał* przez te zasieki, i tak by nas nie dogonili. Nie wierzę! Czy to nie ty zawsze powtarzałaś, że jeśli mamy przetrwać, musimy ryzykować?

– Czy ty... – łamał mi się głos. – Czy ty mówisz *poważnie*? Ryzykować? Gdzie ty masz głowę? Jesteś za mądry, żeby pleść takie bzdury!

Vida i Jude obserwowali przez przednią szybę, jak na niego krzyczę, a on robi wszystko, żebym poczuła się mała i słaba.

– Nie wątpię, że przejechalibyśmy przez blokadę! Może nawet udałoby się nam całkiem daleko zajechać, ale co, jeśli żołnierze spisałiby twoje numery i je zgłosili? Co, jeśli dalej byłaby kolejna blokada, na której tym razem czekałby na nas komitet powitalny? Co byś wtedy zrobił? Tylko ty masz papiery. Nic by ci się nie stało, ale co, jeśli zatrzymaliby mnie? Albo Jude’a, albo Vidę? Dałbyś radę z tym żyć?

– A co z *Liamem*?! – wrzasnął. – Z gościem, któremu postanowiłaś usmażyć mózg, pamiętasz?! Który zaginął albo nie żyje, albo jest bliski śmierci, bo zrobiłaś z niego idiotę! Pamiętasz *Liama*?!

Poczułam, że stoję się jak gałęzie drzew nad naszymi głowami – obnażona i pokryta lodem.

– Winisz mnie?

– A kogo miałbym winić?! – krzyczał. – To twoja wina, do jasnej cholery! I jeszcze śmiesz się tak zachowywać?! Jakby te dzieciaki były dla ciebie ważniejsze niż my?! Owszem, musiałem wprowadzić w swoim życiu kilka zmian, i co z tego?! Radziłem sobie świetnie, podejmując niezależne decyzje! Zachowujesz się, jakbym ciągle wykrwawiał się w twoich ramionach, ale *nic mi nie jest*! Mam się lepiej, niż myślisz! To tobie się wszystko pomieszało! To ty...

Nie słyszałam, jak otwierają się drzwi, ale nagle obok mnie, ramię w ramię, stanęła Vida.

– Zostaw ją. Nie chcesz nas tu, palancie? Dobrze. Spadamy – parsknęła i poczułam, jak chwyta mnie za nadgarstek.

Blady jak ściana Jude podszedł nieśmiało od tyłu, ściskając w dłoniach nasz skromny bagaż.

– Jestem gotowy – powiedział, a jego głos nie zdradzał ani śladu strachu, który widziałam w jego oczach. – Chodźmy.

Chwyciłam skórzaną kurtkę, którą mi podał, usiłując nadążyć za tym, co się działo. Pulpet

złapał za nią i mocno przytrzymał.

– Co ty wyprawiasz?

– Myślę... – Miałam wrażenie, że drętwieje mi twarz. – Myślę, że to był zły pomysł.

*Nie!* – krzyczały moje myśli. – *Nie, nie, nie!*

– Ruby – odezwał się zszokowany. – Nie mów mi, że... *Ruby!*

– Masz nas za nic? Chcesz udowodnić, jaki to jesteś strasznie odważny? Proszę bardzo, daj się zabić, baranie! Zobaczmy, kto pierwszy znajdzie Stewarta! – wybuchnęła Vida, po czym chwyciła mnie pod ramię i zaczęła ciągnąć za sobą.

Szłyśmy po łagodnie zakręcającym pasie awaryjnym do rozciągającego się przed nami ośnieżonego lasu. Był gęsty, ciemny i piękny. Nie widziałam, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy.

– Dupek – mruczała. – Niech go szlag. Nie mogłam już znieść jego durnowatej gęby i tego, że prowadzi jak osioł. Myśli, że jesteśmy kompletnymi tumanami?! *Dupek!*

Jude biegł, żeby dotrzymać nam kroku. Gałęzie uderzały mnie po twarzy i wplątywały mi się we włosy. Przebłyski słońca w koronach drzew były dezorientujące, w jednej chwili przybierały oślepiającą czerwoną barwę, a w następnej stawały się pomarańczowe. Do głowy przychodziło mi tylko jedno skojarzenie: *ogień*. Przed oczami miałam twarz Pulpeta tuż przy mojej, kiedy tuliliśmy się do siebie pod pomostem w East River, a nad nami płonął świat.

Poczułam, jak niewidzialna ręka dotyka mi łędźwi, uniemożliwiając bieg. Nogi ugięły się pode mną i ledwie udało mi się złapać drzewa, zanim runęłam na ziemię.

*Co ty wyprawiasz?* – myślałam. – *Przecież to Pulpet. Stary, dobry Pulpet.*

Przez kilka strasznych minut nie słyszałam nic oprócz własnego ciężkiego oddechu. Było mi niedobrze, czułam się, jakbym miała zwymiotować cały siedzący we mnie żal.

To był Pulpet. Chłopak, który ciągle mówił coś, czego później żałował, nawet jeśli była to prawda. Który dawał się ponieść wściekłości, zwłaszcza kiedy się bał. A ja go zostawiłam. Odeszłam. Porzuciłam Pulpeta.

Poczułam, jak ktoś szarpie mnie za rękę. Obok mnie stał Jude w szeleszczącej kurtce ratownika medycznego.

– Myślę, że oboje się mylicie – powiedział cicho. – On nie wini ciebie za to, co się stało z Liamem. Wini siebie. Zachowuje się w taki sposób, bo znalazł się w sytuacji, w której jest gotowy na wszystko, żeby tylko to naprawić.

– Czemu miałby winić za cokolwiek siebie? – zapytałam.

– Jest nieobliczalny – rzuciła Vida przez ramię. – Wylizał się z postrzału. W głębi duszy sądzi, że jest niezniszczalny, i wierzy, że może popełniać głupie błędy, bo i tak mu się upieczą. Mógł wybrać inny sposób życia, ale postanowił się przyłączyć do stada wilków. Albo kierowała nim desperacja i nienawiść do samego siebie, albo jest po prostu cholernym idiotą.

– Nie znacie go – zaprotestowałam.

– Nie. Ale znamy ciebie – powiedział łagodnie Jude.

– I jeśli nie zauważyłaś, że sama zachowywałaś się identycznie przez ostatnie sześć miesięcy, to też jesteś kretynką. – Vida obróciła mnie z powrotem w kierunku drogi i mocno popchnęła. – W każdym razie idź i go przyprowadź. Jeśli nie wrócisz za pięć minut, sami wyruszymy na poszukiwanie Stewarta. Twierdzisz, że wstąpiłaś do Ligi, bo nie miałaś wyboru? No to gratulacje: teraz masz. Możesz do nas wrócić albo nie, ale wiedz, że jestem absolutnie gotowa, żeby przeprowadzić tę akcję bez ciebie i twoich wydumanych problemów.

Zrozumiałam, co chce mi powiedzieć, jasno i wyraźnie.

– Wróć. Zaraz wróć, przysięgam – zapewniłam.

Rzuciłam się pędem z powrotem, wbijając wzrok w koślawe ślady, które zostawiliśmy na śniegu. Spoglądałam skupiona pod nogi i przed siebie, bo nie mogłam znieść myśli, że patrzą, jak

się oddalam.

Nie mogłam ich zostawić. Żadnego z nich. Ani Vidy, która była tak zawzięta, że aż prosiła się o guza. Ani Jude'a, który nie znosił ciszy i ciemności. Ani Pulpeta, bo za dużo razem przeszliśmy.

Terenówka wciąż stała krzywo zaparkowana na pasie awaryjnym. Pulpet siedział na przednim siedzeniu oparty o kierownicę. Okrążyłam samochód od tyłu, rozglądając się na boki, żeby się upewnić, że nikt nas nie obserwuje, po czym otuliłam się ciasniej kurtką Liama dla dodania sobie animuszu.

Nie widział mnie. Ramiona mu się trzęsły, ale nie byłam pewna, czy tylko ciężko oddycha, czy płacze. Zastukałam w szybę. I Pulpet – mój Pulpet – aż podskoczył z przerażenia.

– Przepraszam – powiedziałam.

Jednak płakał. Kiedy otwierał drzwi, coś we mnie pękło, gwałtownie i mocno.

– Wystraszyłaś mnie jak *diabli!* – krzyknął. – Nie wiesz, że włączając się bez nawigacji, można wpaść do jakiegoś dołu i złamać sobie nogę w kostce? Albo włączyć się do zamarznętej rzeki? Wiesz, co się dzieje z człowiekiem, kiedy dostaje hipotermii?

Pochyliłam się i otoczyłam go ramionami.

– Ja... – zaczął. Mocno mnie ścisnął, jakby chciał zatrzymać przy sobie. – Nie jestem tą samą osobą. Wiem o tym. Nie podoba mi się to, kim się stałem, ani to, co musiałem zrobić, ale skóra mi cierpnie na myśl o ponownym rozstaniu. *Nie rób tego!* Nie znikaj tak po prostu! Jeśli jesteś na mnie zła, to daj mi po gębie, ale nie myśl, że nie chcę z tobą zostać. Chciałbym, żebyśmy byli razem już *zawsze!*

Przytuliłam go mocniej, przyciskając twarz do jego ramienia.

– Ty też się zmieniłaś – ciągnął. – Wszystko jest inaczej. Chciałbym, żeby było jak kiedyś, jak wtedy, kiedy podróżowaliśmy tym głupim minivanem. Powiedz coś, na litość boską.

– Nie nazywaj Czarnej Betty głupią.

Nie wiem, czy się śmiał, czy znowu płakał, ale siła jego emocji wstrząsała i jego, i moim ciałem.

– Tęsknię za nim. Strasznie za nim tęsknię. Wiem, że to głupie, ale po prostu się boję... – dodał.

– On nie zginął – przerwałam mu. – Na pewno nie. To niemożliwe.

Pulpet powoli się odsunął i podniósł okulary, żeby przetrzeć ręką oczy.

– Nie o to mi chodzi. Boję się tego, jak zareaguje, kiedy się dowie... o tym wszystkim – Położył dłonie z powrotem na kierownicy.

– Zapewne trochę się z ciebie ponabija i ochrzci cię kolejnym durnym przezwiskiem.

– Nie – wydusił z siebie z wyraźnym trudem. – On będzie wiedział...

Znieruchomiałam. Nie potrafię opisać przerażenia, które zaległo się we mnie, kiedy Pulpet spojrzał mi w twarz.

– Pamiętasz, jak mówiłem ci o dokumentach, które trzeba złożyć, żeby zostać łowcą? To tylko połowa wymagań...

– Połowa?

Skinął głową ze zrozpaczoną miną.

– Żeby się zarejestrować, trzeba wydać dziecko. Nie ma innego sposobu. Nie da się oszukać systemu. Wierz mi, próbowałem.

Nie potrafię stwierdzić, ile czasu zabrało mi zrozumienie tego, co powiedział. Z każdą mijającą sekundą jego twarz robiła się coraz bardziej przezroczysta. Jego myśli i lęki przepływały przez nią w najczystszej postaci.

– Kto to był?

– Jakiś Zielony, na którego natknąłem się w Nowym Jorku. – Pulpet z trudem przełknął ślinę. – Żył jak włóczęga już od kilku dobrych lat. Było to po nim widać. Wystraszony, wygłodzony i chudy jak szkielet. Zauważyłem go tylko dlatego, że usiłował rozwalić automat z jedzeniem przy jakimś sklepie. Był środek dnia. Gapił się na niego tłum ludzi i nikt nie śmiał podejść.

– I co?

– On... Sam nie wiem, nawet się za bardzo nie opierał. – Pulpet aż ochrypl z emocji. – Spojrzał na mnie i widziałem, że się poddał. Wmawiałem sobie, że w obozie przynajmniej dadzą mu jeść i że dostanie łóżko, że to tylko Zielony. Stwierdziłem, że jeśli nie będzie się wychylał, to jakoś sobie poradzi.

– Musiałeś to zrobić. To była jedyna droga – powiedziałam z braku lepszego pocieszenia.

– Czy tak mam się tłumaczyć przed Lee? Wybacz, twoje życie było ważniejsze niż jego? On nie zrozumie. – Odchrząknął. – Prawda jest taka, że byłbym gotowy zrobić dużo gorsze rzeczy. Zrobiłbym wszystko, żeby tylko was odnaleźć. Przeraza mnie to. Boję się, że kiedyś posunę się za daleko, jeśli obok nie będzie kogoś, kto mnie powstrzyma.

Bardzo dobrze znałam to uczucie – wrażenie, że człowiek spada w głąb ciemnej jamy, nie wiedząc, kiedy uderzy o dno ani czy ono w ogóle istnieje.

– W ostatecznym rozrachunku to nie będzie miało znaczenia – powiedziałam. – Kiedy już znajdziemy Liama i odzyskamy dane, postaram się, żeby na powierzchni ziemi nie został ani jeden obóz.

Na twarzy Pulpeta malowało się tak wyraźne niedowierzanie, że łamało mi serce.

– Muszę to zrobić. Pomożesz mi? – szepnęłam.

Po chwili skinął głową.

– Dobrze. – Znowu odchrząknął, starając się odzyskać swój zwykły szorstki ton. – Gdzie podziła się reszta?

– Czekają na nas.

– Czyli idziemy pieszo? W takim razie muszę ukryć auto.

Gapiłam się na niego przez chwilę, zdezorientowana. W końcu zrozumiałam, że przekazuje mi pałeczkę.

– Tak. Uważam, że powinniśmy spróbować dotrzeć do miasta pieszo – rzuciłam.

Pokiwał głową, nie podejmując dyskusji. Wsiadliśmy do samochodu i podjechaliśmy kawałek, aż w końcu znaleźliśmy małą drogę dojazdową. Stanęliśmy między drzewami, przykryliśmy auto liśćmi i gałęziami, które udało się nam znaleźć, po czym ruszyliśmy do lasu.

– Dawno tego nie robiłem – powiedział Pulpet, poprawiając plecak, do którego wpakował jedzenie i apteczkę, jedną spośród miliona innych. Uśmiechał się, nieśmiało, ale się uśmiechał.

– Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego – rzuciłam, przeskakując przez powalone drzewo i opierając rękę na jego ramieniu dla równowagi.

– Gdzie mieli czekać Vida i Jude?

Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteśmy na małej polanie, na której się z nimi rozstałam, do chwili, gdy zauważyłam plataninę śladów odcisniętych w śniegu i błocie. Dotrzymali słowa. Wyruszyli bez nas i teraz musieliśmy ich gonić.

Spojrzałam na Pulpeta, żeby mu o tym powiedzieć, ale on w skupieniu wbijał wzrok w ziemię, ściągając brwi.

Było tam więcej niż trzy pary śladów. W pierwszym odruchu pomyślałam, że Jude po prostu jak zwykle nie mógł ustać w miejscu albo Vida niecierpliwie chodziła tam i z powrotem. Ale śladów i tak było zbyt wiele.

Wtedy dotarło do mnie, co musiało się wydarzyć. Patrzyłam na spirale wydeptane

w miejscu, gdzie Vida usiłowała walczyć, kończące się na odsłoniętym skrawku ziemi, na który prawdopodobnie upadła. Na leżące na śniegu gałęzie połamane podczas szamotaniny. Zrobiłam krok w przód i zobaczyłam, że na topniejącym śniegu widnieją kropelki jaskrawoczerwonej krwi.

Nie. Odgłos wiatru zamienił się w moich uszach w niskie, złowróżbne wycie.

Nie ruszyli o własnych siłach.

Zostali porwani.



Nawet nie przyszło mi do głowy, że Pulpet może za mną nie nadążyć, ale okazało się, że nie da rady biec. Porywacze wydeptali ścieżkę w błocie i śniegu, dzięki czemu łatwiej było nam maszerować. Zaczepiłam haust suchego powietrza, starając się nie zwracać uwagi na śnieg zjeżdżający z niskich gałęzi drzew i krzaków, przez które się przedzieraliśmy. Kiedy w końcu się zatrzymaliśmy, moje spodnie i kurtka były przemoczone do suchej nitki. Ślady, które do tej chwili układały się w szeroki wyraźny szlak, urywały się gwałtownie na brzegu zamrożonego strumienia.

Pulpet stanął obok, ciężko dysząc i mocno przyciskając dłoń do ramienia. Przeszło mi przez myśl, żeby go odciążyć i uwolnić od wypchanego plecaka, ale zmieniłam zdanie. Worek, który miałam na plecach, był równie ciężki – ze zbyt dużym obciążeniem nie dałabym rady brnąć przez śnieg w takim tempie.

– Co teraz? Przeszli na drugą stronę? – zapytał zasapany Pulpet.

– Nie. To niemożliwe. – Uklęłam, żeby sprawdzić grubość lodu na strumieniu. – Musiało ich być przynajmniej dziesięciu. Nie dałoby rady przejść w tyle osób, nie łamiąc lodu. Zmrużył oczy, patrząc, jak wstaje.

– I wywnioskowałaś to wszystko z kilku śladów?

– Nie do końca. Nie znam ich dokładnej liczby. Dziesięciu albo i więcej. Vida nie dałaby się pojąć mniejszej grupie.

Pulpet nie wyglądał na przekonanego, ale nie dyskutował.

Przeszłam kawałek wzdłuż brzegu strumienia, szukając jakichkolwiek śladów. Przecież nie mogli tak po prostu zniknąć.

*Cholera* – zaklęłam w myślach, ugniatając w palcach skołtuniony kok, w który spięłam włosy. – *Cholera!*

– Czy to możliwe... – Pulpet przełknął ślinę i poprawił plecak. – Czy myślisz, że zabrali ich żołnierze? Że przez tę całą historię z blokadą wysłali za nami pościg?

Potrząsnęłam przecząco głową.

– Musieliby przyjechać drogą. Zobaczylibyśmy ich. – Przynajmniej tak mi się wydawało. – To raczej łowcy nagród.

Tym razem to Pulpet obalił moją teorię:

– Dziesięciu? Skąd niby mieliby się wziąć na tym pustkowiu wszyscy naraz?

– W takim razie...

Pulpet otworzył szeroko oczy, domyślając się, co chodzi mi po głowie.

– Plemię Niebieskich, którego szukamy? Ale jeśli tak, to czemu wywiązała się walka?

Przełknęłam pierwsze łzy paniki nabiegające mi do gardła. Podejrzewałam, że Jude był przerażony.

– Vida i Jude nie rozumieją, jak to wszystko działa. Nie znają życia poza Ligą. W Bazie wtłacza się nam do głów, że nie wolno ufać nikomu.

Szczęśliwy przypadek zdecydował o tym, że odwróciłam się w stronę strumienia w chwili, kiedy wiatr rozwiał ciemnozielone liście drzew na drugim brzegu. W przeciwnym razie nie dostrzegłabym metalicznego błysku między gałęziami.

Rzuciłam się na Pulpeta, powalając go twarzą do ziemi, w chwili, kiedy padł pierwszy strzał. Poczułam, jak coś szarpie mnie za plecak, i odsunęłam się od eksplozji śniegu i brudnych liści, wyrzuconych w górę przez rozdzierający ziemię pocisk.

Kule ze świstem cięły powietrze nad naszymi głowami, kiedy czołgaliśmy się z powrotem

pod osłonę linii drzew.

– Schył głowę – wyszeptalam do Pulpeta, popychając go za gęstą zaslonę zarośli.

Pistolet, który wyłowiłam wcześniej ze schowka w samochodzie, był ciepły, kiedy wyciągnęłam go zza paska spodni. Oddałam pojedynczy strzał, celując na chybił trafił. Ostrzał z przeciwnej strony niespodziewanie ustał.

Otoczające nas popołudniowe powietrze było białe i nieruchome. Miało w sobie zimową ostrość. Pachniało śniegiem.

– Ruby! – krzyknął Pulpet.

Z drzewa za moimi plecami zsunął się ciemny kształt. Odwróciłam się bez namysłu i z całej siły wyrzuciłam do przodu łokieć. Trafiłam w coś miękkiego, co wyraźnie trzasnęło pod moim naporem.

Najpierw rozległ się przeraźliwy okrzyk bólu, a następnie ciężkie łupnięcie. Siła upadku wyrzuciła w górę wirujące tumany śniegu. Odwróciłam się w kierunku Pulpeta, usiłując go dosięgnąć przez białą mgłę, i poczułam, że ktoś chwytą mnie za przedramię. Dłoń była blada, poraniona i pokryta bliznami.

Odsunęłam się o krok, uginając kolano, gotowa uwolnić się od kolejnego napastnika, ale walka skończyła się, zanim się zaczęła. Poczułam ukłucie wbijanego w kręgosłup ostrza i opuściłam ręce. Obróciłam głowę, żeby spojrzeć na Pulpeta. Był umazany błotem i miał poszarzałą twarz.

– Kim jesteś? – zapytałam nieznajomego, odsuwając się od noża.

– Twoim koszmarem – syknął.

Cofnął się, ale nie opuścił ostrza. Sądząc po głosie, podejrzewałam, że jest mniej więcej w moim wieku. Najwyżej rok czy dwa starszy.

Chłopiec, którego uderzyłam, pozbierał się z ziemi i wytarł rozkwaszony nos w rękaw wyświechtanego płaszcza, zostawiając na nim ciemną purpurową smugę. Następnie wyciągnął w moim kierunku otwartą rękę. Udałam, że podaję mu pistolet, ale w ostatniej chwili upuściłam broń, dotknęłam go i wdarłam się do jego umysłu. Zadrżał. Ujrzałam w jego myślach obraz przerażonej twarzy Jude’a i to mi wystarczyło.

– Co zrobiliście tym dzieciom? Chłopcu i dziewczynie? Dokąd ich zabraliście? – warknęłam.

Pulpet obserwował mnie z dziwnym wyrazem twarzy, ale się nie odezwał.

– Zabrali ich... – mamrotał chłopak. Paskudne złamanie nosa zniekształcało mu głos, a mnie, jakby w odpowiedzi, zabolął łokieć. – Zabrali ich do Uciekiniera.

No jasne.

To pierwsze słowa, które przyszły mi na myśl, które przebiły się przez warstwę lodu pokrywającą mój umysł. *No jasne*. System Clancy’ego świetnie zadziałał za pierwszym razem, więc czemu miałby nie zadziałać i teraz? *No jasne*. Nie miało znaczenia, kim były zgromadzone przez niego dzieciaki, wystarczyło, że chciały wyruszyć na wojnę z prezydentem Grayem – albo dawały się łatwo do tego przekonać jego zdolnościami.

No jasne.

Wśród drzew pojawiły się cztery nowe osoby. Podchodziły coraz bliżej, by sprawdzić, co się dzieje. Musiałam puścić chłopca. Byłam w stanie kontrolować tylko jedną osobę naraz – nie miałam takiej mocy jak Clancy. Nie mogłam szarżować, bo ryzykowałabym utratę swojej jedynej broni. Wystąpiłam do przodu, pokazując, że nie jestem uzbrojona, i kiwnęłam na Pulpeta, żeby zrobił to samo.

– Chcemy się zobaczyć z Uciekinierem. Nie będziemy sprawiać problemów – powiedziałam.

– Czyżby? – zapytał jeden z chłopaków, patrząc na oszołomionego dzieciaka u moich stóp. – Michael, słyszałeś to czy walnęła cię tak mocno, że poluzowały ci się śrubki?

Chłopiec z rozkwaszonym nosem – Michael – potrząsnął głową, próbując odzyskać świadomość. Uraz głowy dobrze maskował moje wniknięcie do jego umysłu, ale jego mały mózg potrzebował tak dużo czasu, by się otrząsnąć, że zaczęłam się martwić, że inni zaczną coś podejrzewać. Wyglądało na to, że nie chcą albo nie potrafią nic zrobić bez jego pozwolenia.

– Zabieramy ich – powiedział w końcu Michael. – Pospieszcie się. Dwóch niech zostanie na pozycjach. Wyślę po was posiłki.

Podejrzewałam, że to właśnie on jest przywódcą grupy. Nie byłoby w tym nic dziwnego, bo pomijając wszystko inne, jego gabaryty wystarczały, żeby kogoś wystraszyć.

Któryś z chłopców popchnął Pulpeta w moim kierunku i ruszyliśmy z powrotem w stronę strumienia. Otoczyłam przyjaciela ramieniem w pasie, żeby mieć go blisko. Napastnicy zabrali nam plecaki i zarzucili je sobie na ramiona.

– Niech do szlag – burknął Pulpet.

Znowu znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni i – co najbardziej przerażające – w zasięgu wzroku snajpera na drzewie.

Zaczęli mnie przeszukiwać. Nie zareagowałam, kiedy jeden z nich wyciągnął mi z buta mój szwajcarski scyzoryk. Lodowate powietrze szczypało mnie w twarz, ale to myśl o tym, co mogą znaleźć w kieszeniach Pulpeta, mroziła mi krew w żyłach.

Pulpet musiał wyczytać strach z mojej twarzy, bo dyskretnie potrząsnął głową. Dzieciak, który go przeszukiwał, znalazł jedynie nóż i garść papierków po cukierkach. Pulpet okazał się na tyle przytomny, że wyrzucił swoją legitymację łowcy podczas napaści albo zostawił ją w samochodzie. Dzięki Bogu.

Odwróciłam się, by spojrzeć na drugą stronę strumienia, w samą porę, żeby uniknąć kopnięcia przez Pulpeta, który nagle uniósł się w powietrze, wierzgając nogami.

Trwało to ułamek sekundy – jeden z dzieciaków wyciągnął rękę i za pomocą swoich nadprzyrodzonych zdolności podniósł Pulpeta i cisnął go na drugi brzeg.

Poczułam znajome ciepło i szarpnięcie na dnie żołądka i zanim się obejrzałam, ja również poszybowałam w górę, przeleciałam nad strumieniem i wylądowałam obok swojego towarzysza niedoli.

Dzieciaki wybuchnęły śmiechem, po czym jedno po drugim przefrunęły na drugą stronę niczym spokojne podmuchy łagodnej bryzy. Żadne z nich nie odezwało się jednak do nas – niczego nam nie wyjaśniono ani nie poinformowano, dokąd zmierzamy. Dwóch chłopców zostało w tyle, żeby zatrzeć ślady na śniegu.

Maszerowaliśmy w ciszy. Padający śnieg osiadał mi na włosach i rzęsach, a przez skórzaną kurtkę Liama zaczęło przenikać dotkliwe zimno. Pulpet wyglądał na spiętego i bezwiednie pocierał pokiereszowane ramię. Złapałam jego spojrzenie i zobaczyłam, jak w jego ciemnych oczach odbija się mój niepokój.

– Nie wierzę. Znowu to samo – burknął.

– Zajmę się tym – zapewniłam go cicho i chwyciłam pod ramię.

– Bo ostatnio poszło ci naprawdę świetnie?

– Hej! – Michael potrząsnął srebrnym pistoletem. – Stulić mordy!

Szliśmy tak długo, że zaczęłam się zastanawiać, czy kiedykolwiek dojdziemy do obozu lub innego celu. Dopiero kiedy naszym oczom ukazała się szeroka rzeka, zorientowałam się, że zmierzamy w kierunku Nashville.

W jednej chwili zrozumiałam, dlaczego miasto zostało zamknięte – chociaż rzeka wystąpiła w brzegów wiele miesięcy temu, ogromna ilość wody ciągle jeszcze nie wróciła do

normalnego poziomu ani nie zamarzła, przez co wybrzuszała i podtapiała pobliskie tereny. Rzeka była potworem, który wydawał się coraz większy, im bardziej się do niego zbliżaliśmy. Tylko ona dzieliła nas od majaczącego po drugiej stronie białego magazynu.

Na brzegu czekały na nas trzy małe, płaskie tratwy, zbudowane ze zwykłych skrzynek i desek powiązanych jasnoniebieskim winylowym sznurkiem. Na każdej stało ubrane na białą dziecko trzymające w ręku długi pal. Rozdzieliliśmy się pomiędzy tratwy, a kiedy byliśmy gotowi, dzieciaki z palami odepchnęły je od brzegu i przepawiły przez płytką, błotnistą wodę, ostrożnie wiosłując.

Zobaczyłam, że jeden z doków załadunkowych magazynu jest otwarty i gotowy na nasze przybycie. Zaciśnęłam dłonie w pięści. Nasza tratwa niezwykle spokojnie przedryfowała resztę drogi i wpłynęła przez poskręcane metalowe wrota do ciemnego pomieszczenia.

Platforma załadunkowa była podniesiona na tyle, że tratwy nie były nam już dłużej potrzebne. Ktoś chwycił mnie w pasie i przekazał dziewczynie, która najwyraźniej na nas czekała – była to chuda i blada istota o zielonych oczach, które zdawały się wyskakiwać z jej kościstej twarzy. Wydała z siebie mokry, grzechoczący kaszel, ale nie powiedziała ani słowa, jedynie chwyciła mnie za rękę i pociągnęła za sobą do środka.

Ściany i podłogi budynku były betonowe, popękane i prawie w całości pokryte wyblakłymi bohomazami. Magazyn miał rozmiary mniej więcej sali gimnastycznej i ciągle nosił ślady swojej minionej funkcji – oznakowania miejsc, w których składowano kable i druty. Tylina ściana, w której kierunku zmierzaliśmy, została pomalowana na jasny błękit i chociaż ktoś usiłował zamalować je na białą, wciąż można było na niej odczytać czarne litery układające się w napis JOHNSON ELECTRIC.

Pulpet zrównał się ze mną i kiwnął głową, wskazując na brązową linię, która przebiegała wzdłuż ścian, mniej więcej w połowie ich wysokości. Czyżby woda z rzeki sięgnęła aż tak wysoko?

Każdy krok, każdy dobiegający nas odgłos i każde kapnięcie wody z łukowatego sklepienia zdawało się odbijać echem od otaczających nas nagich ścian i zabitych okien. Budynek nie był ocieplony, więc choć nie padał w nim śnieg i nie hulał wiatr, było nam przeraźliwie zimno. W starych metalowych kubłach na śmieci wprawdzie palił się ogień, ale większość z nich stała na drugim końcu pomieszczenia, z dala od grupki dzieciaków zebranych obok wejścia, przez które nas wprowadzono.

To miejsce... w niczym nie przypominało East River.

A nastolatek siedzący na zbudowanym ze skrzynek podium na samym końcu, raz po raz wylaniający się zza dymu z papierosów i ognisk, na pewno nie był Clancym Grayem.

– Coś ty za jeden, do cholery? – wycodziłam.

Kiedy nas wprowadzano, pomieszczenie wypełniały ciche pomruki zainteresowania, ale po moim pytaniu wokół zapanowała kompletna cisza. Tak bardzo skoncentrowałam się na twarzy chłopaka na podwyższeniu, że nawet nie zauważyłam pozostałych dzieciaków, które go otaczały. Uświadomiłam sobie ich obecność, dopiero kiedy podeszły do przodu, żeby lepiej się nam przyjrzeć. Były wśród nich trzęsące się z zimna nastolatki w podkoszulkach i krótkich spodenkach, które albo opierały się o podstawę podestu, albo siedziały na skrzynkach za chłopakiem, kuląc się pod kilkoma kocami. Wokół stały też grupki roześmianych chłopców, z których wielu paliło papierosy, przyczyniając się do gęstnienia otaczającej nas chmury dymu.

Dzieciak siedzący w centrum – najprawdopodobniej dowódca całej bandy – musiał być bliżej dwudziestki niż pozostali. Twarz okalały mu zaczątki rudawej brody, którą z zapalem pocierał o policzek dziewczyny z długimi brudnymi włosami, siedzącej mu na kolanach. Blondynka drżała, ale nie byłam w stanie stwierdzić czy z zimna, czy ze strachu. Kiedy się

odwróciła, żeby na mnie spojrzeć, zobaczyłam, że siniak w kącie jej ust rozciąga się na szerokość całej szczęki.

Chłopak miał długie włosy, starannie założone za uszy. Jego wojskowe buty i czarny mundur SSP były poplamione błotem, ale poza tym wyglądały nieskazitelnie – nieco zbyt nieskazitelnie jak na moje oko.

– Słucham? – zapytał z południowym akcentem.

– Coś ty za jeden, *do cholery*? – powtórzyłam.

Wszystkie dzieci siedzące na platformie jednocześnie odwróciły głowy, żeby na niego spojrzeć, ale on patrzył tylko na mnie. Znowu poczułam ciepłe szarpnięcie w żołądku i mimo że Pulpet próbował mnie chwycić, zaczęłam się ślizgać po zakurzonej podłodze w jego kierunku. Z trudem utrzymałam równowagę i nie rozbiłam się o krawędź podestu.

Chłopak wstał ze swojego prowizorycznego siedziska, zrzucając z kolan dziewczynę. Kiedy krzyknęła zaskoczona, cisnął w nią miską, z której jeszcze przed chwilą jadł, żeby się zamknęła.

Z trudem powstrzymywałam się, żeby nie zacząć szukać wzrokiem Vidy i Jude’a.

– Gdzie ich znaleźliście? – Chłopak przykucnął na krawędzi podium, chcąc spojrzeć mi w twarz. Jego oczy były zielone, ale górną połowę prawego zakrywała duża brązowa plama.

– Przy strumieniu – odparł Michael.

Dowódca bandy zwrócił się do jednej z dziewczyn na podeście:

– Daj mu swój koc, zanim zamarznie. Ten gość jest dzisiaj królem. Patrzcie, jaką zdobycz przyniósł.

Dziewczyna wyraźnie nie rozumiała, jak mógł wydać taki rozkaz ani czemu to zrobił. Gapiała się na niego oniemiała, aż w końcu jeden z chłopaków chwycił ją za kasztanowe krótkie włosy i pchnął w kierunku podium. Pod ciepłym brązowym kocem miała na sobie jedynie poplamioną żółtą podkoszulkę i stare męskie bokserki. Nie nosiła butów ani skarpetek.

Michael wyszarpnął jej koc, cmokając ze zniecierpliwieniem. Następnie jeden z młodszych chłopców podał mu wodę i patrzył, jak jego starszy kolega gasi pragnienie. Kiedy Michael skończył pić, cisnął w malca pogniecioną butelką i usiadł po prawej stronie dowódcy. Nie byłam w stanie pojąć, jak to możliwe, że człowiek puszy się jak paw i puchnie z dumy, kiedy siedzi na skrzynce owinięty w brudny koc, z twarzą umazaną zaschniętą krwią. Przerastało mnie to.

Dowódca rzucił nam pod stopy niedopałek papierosa – jego końcówka wciąż połyskiwała migotliwą czerwienią. Utkwiłam wzrok w kawałku odsłoniętej skóry ponad kołnierzykiem jego wojskowej kurtki.

Nieużywanej wojskowej kurtki. Pracowałam nad niejedną taką w Fabryce, więc nie dałam się nabrać. Nie było na niej żadnych naszywek, nawet standardowej amerykańskiej flagi. Jeśli wszystkich nie odpruł, co wydawało się mało prawdopodobne, bo materiał nie był wystrzępiony, to najpewniej zdobył tę kurtkę z transportu, a nie od żołnierza.

Dowódca odwrócił ode mnie wzrok na dłuższą chwilę, żeby spojrzeć na Michaela. Jego usta rozciągnęły się w ironicznym uśmiechu.

– On ci to zrobił? – zapytał i kiwnął w stronę Pulpeta.

Michael użył koca, żeby wytrzeć zaschniętą krew, oblepiającą mu górną wargę. Otworzył usta, ale najwyraźniej zrezygnował z przyznania się, że gębę rozkwasila mu dwa razy mniejsza od niego dziewczyna.

Dowódca zarechotał i zwrócił się do mnie:

– Łokieć, pięść czy stopa?

– Łokieć – odparłam. – Z przyjemnością ci zademonstruję, jeśli sobie życzysz.

Przez tłum znowu przebiegł pomruk i kilka zwierzęcych chichotów. Zaciśnęłam zęby, powstrzymując się od palnięcia kolejnej głupoty. *Opanuj się* – mówiłam sobie. – *Musisz go wyczuć.*

– Jaka waleczna. Jakiego jesteś koloru, skarbie? – zapytał, unosząc brwi.

Dopiero teraz zauważyłam Pulpeta, który stanął obok.

– Ona jest Zielona, ja Niebieski. A ty? – wtrącił się.

– Jestem Knox. Uciekinier. Mówi wam to coś?

– Jeśli ty jesteś Uciekinierem, to ja jestem pieprzonym Zajączkiem Wielkanocnym. To niby ma być East River? – parsknął Pulpet.

Na te słowa Knox zerwał się na równe nogi, a rozbawiony uśmiech zszedł mu z twarzy.

– Nie tak to sobie wyobrażaliście?

– Złapaliśmy ich w tym samym miejscu, gdzie pozostała dwójka, zaraz obok autostrady – pospieszył z wyjaśnieniami Michael. – Tamta laska też jest Niebieska. Wieczorem możemy przeprowadzić inicjację...

Knox uciszył go gromiącym spojrzeniem. Na zewnątrz śnieg najwyraźniej zamienił się w deszcz – bębnienie kropel uderzających o metalowy dach było jedynym dźwiękiem zakłócającym ciszę, oprócz ciekawskich szeptów tłoczących się wokół nas dzieci.

– Co wiecie o East River? – zapytał Knox stanowczym głosem.

– Zaczniemy od tego, że... – Pulpet splótł ręce na piersi.

– Słyszeliśmy, że znajduje się w Wirginii – weszłam mu w słowo. – Właśnie tam zmierzaliśmy, kiedy twoi ludzie nas znaleźli.

Ten arogancki gnojek, kimkolwiek był i skądkolwiek pochodził, na pewno nie był Uciekinierem. Wiedzieliśmy o tym. Zresztą tak jak on. Jednak gdyby się dowiedział, że *my* też to wiemy, bez wątpienia pozbyłby się nas, zanim zdążylibyśmy wyjawić jego sekret reszcie dzieciaków. Ten przydomek był legendą. Jeśli jednak Knoksowi udało się zgromadzić tak dużo dzieci i stworzyć obóz, czemu ktoś miałby mu nie wierzyć?

– Nieźle się tu zorganizowaliście – mówiłam dalej, wyciągając szyję, żeby spojrzeć za siebie. Nie zauważyłam ani Jude'a, ani Vidy, ale nabrałam pewności, że otaczało nas plemię Niebieskich, przed którym próbowała ostrzec nas Cate. – Milutko tu. Czy to wszyscy?

Knox prychnął i skinął na jednego ze stojących obok nastolatków. Dwunasto-, najwyżej trzynastoletni chłopiec zrobił się czerwony z podniecenia. Knox szepnął mu coś do ucha, na co tamten kiwnął głową, rozpędził się i zeskoczył z podium. Zobaczyłam tylko plecy jego granatowej poplamionej sadzą kurtki znikające za bocznymi drzwiami.

– Jestem Ruby – oznajmiłam, a następnie wskazałam kciukiem na Pulpeta. – To Charles. Jak już mówiłam, zmierzamy na wschód i po prostu tędy przechodziliśmy.

Knox wrócił na miejsce i choć nic nie powiedział, ta sama dziewczyna, co poprzednio, przydreptała do niego i podała mu miskę z jedzeniem. Z zupą – sądząc po tym, co wychlapywało mu się na kurtkę. Zauważyłam, jak otaczające go dzieciaki pochylają się do przodu, obserwując łakomie, jak ciecz łyżka po łyżce znika w jego ustach.

*Nie patrz na Pulpeta.* Bałam się, że jeśli na niego spojrzę, to się zdradzę. Widok usługującej Knoksowi dziewczyny, która wyglądała jak obleczony skórą szkielet, łamał mi serce.

Knox machnął na Michaela, na co ten z pomocą jeszcze jednego chłopca cisnął na podium nasze plecaki. Do akcji wkroczyły dwie młodsze dziewczynki i zaczęły wyrzucać wszystko, co tak skrupulatnie spakowaliśmy. *Żegnajcie energetyczne batoniki i apteczko. Żegnajcie butelki z wodą, koce i zapalki...*

Patrząc, jak dotykają naszych rzeczy, niemal straciłam nad sobą kontrolę. Podniosłam wzrok na Knoksa, zastanawiając się, jak przyjemnie byłoby w ten sam sposób rozgrzebać jego

umysł. Poszłoby mi gładko, gdybym tylko zdołała podejść wystarczająco blisko.

Kiedy Knox na nas popatrzył, na jego twarzy malowały się głód i podniecenie.

– Skąd to wzięliście?

– Przeszukaliśmy starą stację benzynową – rzuciłam i zrobiłam krok w przód. – To nasze. Znaleźliśmy to.

– Co twoje, to moje, skarbie – odparł. – Każdy tutaj musi sobie zasłużyć, żeby coś dostać.

Pulpet mruknął coś pod nosem.

– Zabierzcie wszystko do magazynu. Potem ty i twoi ludzie możecie się najeść do syta – powiedział Knox do Michaela.

Michael wyszczerzył zęby w uśmiechu i ciaśniej owinał się kocem. Jego koledzy skakali z podniecenia i przepychali się w kierunku tych samych drzwi, przez które wcześniej wybiegł chłopiec. Wszyscy z wyjątkiem jednego, który trzymał się z tyłu. Był przeciętnego wzrostu, ubrany w za ciasną zgniozloną kurtkę, w której się nie dopinał. Tak jak reszta miał długie i rozczochrane włosy, ale chował je pod ciepłą czapkę. Na sekundę przed zamknięciem drzwi coś musiało przykuć jego uwagę, bo cofnął się o krok i oparł o ścianę.

– Jesteście z dziećmi, na które moi ludzie natknęli się wcześniej? Z tą laską i strachem na wróble? – zapytał Knox. Kiedy się pochylił, spod podkoszulki wysunął mu się ciężki złoty łańcuch.

Cóż... chyba można było ich tak opisać.

– Nie. Nie mam pojęcia, o kim mówisz – odpowiedziałam i zrobiłam jeszcze jeden krok w przód. I jeszcze jeden.

– Roo!

Wszystkie głowy obróciły się w kierunku bocznych drzwi, w których stanęli Vida i Jude. Co za ulga – wprawdzie wyglądali na wpółżywych, ale byli cali. Żadne nie miało na sobie kurtki. Jude trząsał się jak osika, a Vida zaciskała mocno zęby i z całej siły przyciskała ręce do boków, udając, że nie marznie. Dostrzegłam w jej oczach błysk, nie odezwała się jednak. Szkoda, że tego samego nie można było powiedzieć o jej towarzyszu.

– Widzisz – paplał Jude, szturchając ją w ramię. – Mówiłem ci, że przyjdą!

Westchnęłam i odwróciłam się z powrotem w stronę Knoksa.

– Spróbujesz odpowiedzieć jeszcze raz, cukiereczku? – zapytał chłodno.

Wzruszyłam ramionami bez słowa. *Cholera*.

– No ładnie, Zielona, Żółty i dwoje Niebieskich spacerują sobie po moim lesie... – Knox wstał i zeskoczył z podestu.

Vide i Jude'a pchnięto w naszym kierunku.

Knox, ku uciesze reszty bandy, przechadzał się przed nami tam i z powrotem. Ciągłe był jednak zbyt daleko, bym mogła go dosięgnąć.

– Serdecznie witamy oboje Niebieskich, choć oczywiście będziemy musieli stwierdzić podczas inicjacji, które z was jest silniejsze.

Inicjacji?

– Mam mierzyć się z nim? Myślałam, że czeka mnie walka – parsknęła Vida, patrząc z pogardą na Pulpetę.

Knox się roześmiał i jak na komendę wszyscy poszli jego śladem.

Vida odrzuciła w tył burzę niebieskich włosów.

– Równie dobrze możesz od razu pozwolić mu odejść. Jest totalnie bezużyteczny, rozłóż go na łopatki w trzy sekundy. Powaga...

Jude był całkowicie zdezorientowany. Zupełnie nie rozumiał, że w ten pokrętny sposób Vida próbuje uchronić Pulpetę przed walką, której nie miał szans wygrać. Byłam zaskoczona, że

się na to zdobyła.

– Ona nie kłamie – powiedziałam. – Jeśli chcesz lepszego myśliwego, weź ją, poważnie. Ale Charles ma wprawę w udzielaniu pierwszej pomocy. Nieraz mnie łątał. Spójrz. – Odsłoniłam włosy z czoła, odkrywając bliznę.

Knox nie połknął przynęty i nie podszedł, by lepiej przyjrzeć się bliznie. Splótł palce i założył sobie ręce na kark – wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Większym problemem jesteście ty i Żółty.

Nie podobał mi się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa. Jude’owi też nie. Poczułam, że zaczyna dygotać, i chwyciłam go za nadgarstek.

– Nie przyjmujemy słabeuszy – mówił dalej Knox. – Nie jestem Matką Teresą i nie prowadzę przytułku dla łajz. Nie zamierzam marnować jedzenia na *Zieloną* i *Żółtego*. Nikt z tu obecnych nie może za was poręczyć, więc będziecie musieli dowieść swojej wartości... w inny sposób.

Pulpet zacisnął dłonie w pięści, szykując się, by zaprotestować, ale wyprzedził go inny głos. Cichy i bardziej nieśmiały niż zapamiętałam, ale rozpoznawalny.

– Ja mogę za nich poręczyć.

W East River Clancy powierzył kwestie bezpieczeństwa obozu dwóm osobom. Jedną z nich był Hayes, chłopak wielkości ogra odpowiedzialny za grabieże, a drugą Olivia, która koordynowała patrołowanie obozu. Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo mi ulżyło, kiedy zobaczyłam jej długie blond włosy, a po chwili ją samą, przepychającą się przez tłum. Jej twarz była jednak niemal nie do poznania – zupełnie jakby ktoś ją rozerwał i niedbale na nowo poskładał. Dziewczyna szła do nas, wyraźnie kulejąc.

Tak, to była Olivia. Choć równocześnie nie ona.

Jej okrągłe policzki, które w East River były cały czas rumiane od właśnie skończonej przebieżki albo od podekscytowania nowymi rozkazami, zapadły się, nadając jej upiorny wygląd. Złota opalenizna pokrywająca jej skórę zamieniła się w szary popiół. Kiedy się odwróciła, żeby na mnie spojrzeć, przerażenie skręciło mi żołądek. Niemal całą prawą połowę jej twarzy pokrywała pomarszczona różowa blizna, która ściągała w dół kącik oka i ciągnęła się aż do linii szczęki. Dziewczyna wyglądała, jakby poturbowało ją dzikie zwierzę albo wpadła w ogień.

– Olivia? – wydusiłam z siebie. – O Boże!

Jakim cudem... Wiedziałam, że uciekła. Liam nam o tym powiedział. Kiedy pożary i SSP przejęły East River, kilkorgu ze stróżujących dzieciaków, w tym Olivii, udało się prysnąć. Tylko Liam po nas wrócił...

– Chryste! Co ci się...? – zaczął Pulpet i odruchowo zrobił krok w jej stronę.

– To razem z nimi uciekłam z furgonetki, do której zgarnęli nas żołnierze – wyrecytowała Olivia, ignorując rękę, którą wyciągnął do niej Pulpet. – Rozdzieliliśmy się podczas ucieczki przez las – dopowiedziała.

Kątem oka zobaczyłam, że chłopiec w zgniłozielonej kurtce odpycha się od drzwi i rusza w kierunku Knoksa.

Olivia, którą znałam z East River, miała w sobie tyle ognia, że potrafiłaby zmieścić cały ten magazyn z powierzchni ziemi i zamienić go w stertę dymiącego popiołu. Teraz jednak ledwo kiwała głową z potulnością, która zupełnie do niej nie pasowała.

– To Ruby zaplanowała tę ucieczkę – dodała.

– Zgadza się – potwierdził chłopiec z zielonej kurtce, po czym wepchnął ręce do kieszeni i zakotłosał się na piętach. – Wiedziałem, że skądś ich znam. Kilkoro dzieciaków się wtedy od nas oddzieliło.

Spojrzenie Olivii poszybowało w jego stronę. Zmarszczyła brwi z zaskoczenia albo



dezorientacji. Nie wyglądała na wdzięczną za wsparcie.

– Czyżby? – Głos Knoksa wciąż brzmiał oschle. Znowu poczułam na sobie jego wzrok. – I przez ostatnie kilka miesięcy tak po prostu włączyliście się po moim pięknym terenie?

– Ukrywając się, zbierając zapasy i szukając Olivii – wyjaśniłam pospiesznie i zaryzykowałam spojrzenie w stronę chłopca, zastanawiając się, co jest grane.

– Czemu nie wspomniałeś o tym Michaelowi, Brett? – zapytał Knox. – Czemu dowiaduję się o tym dopiero teraz?

Chłopiec, który się za nami wstawił, wzruszył ramionami.

– Dopiero teraz ich skojarzyłem. Ona miała krótsze włosy. – Kiwnął głową w moim kierunku. – A on był inaczej ubrany.

– Mogą mi pomagać – przerwała im Olivia, wbijając wzrok w podłogę. – Przynajmniej do czasu, kiedy się wykażą.

Knox westchnął z rozdrażnieniem. Ponownie zaczął chodzić tam i z powrotem, a każdy jego krok głośno dudnił w zalegającej wokoło ciszy.

– Niech ci będzie – powiedział, podnosząc oczy. – Weź Żółtego i Zieloną. I Charlesa.

I tak po prostu znalazł się poza moim zasięgiem, pozbawiając nas szansy na ucieczkę.

– Niebieskowłosa zostanie z nami i będzie nas zabawiać – dorzucił Knox i wyszczerzając zęby, założył włosy za uszy. Następnie skinął głową na chłopaków po swojej lewej stronie. – Zabierzcie im kurtki i wszystko, co może się nam przydać. I wyprowadźcie ich na zewnątrz: to nie miejsce dla śmieci.

Boczne drzwi magazynu prowadziły na rozległy parking. Z morza zalewającej go czerni wylaniało się kilka posępnych namiotów, które ledwo stały pod naporem wody zbierającej się w zagięciach materiału. Rozbito je na platformach z drewnianych palet, które łączyły się ze sobą, tworząc nierówny krąg, dzięki czemu można się było poruszać parę centymetrów ponad poziomem mętnej wody podtapiającej cały teren.

Z wygasających ognisk leniwie unosił się dym, mieszając się z kwaśnym odorem nieświeżej wody. Splotłam ręce na piersi, czując, jak ulatują ze mnie ostatnie resztki gniewu i żalu po stracie kurtki Liama. W przeciwnym rogu parkingu stały dwa niewielkie szare budynki. Z jednego z nich, z rękami pełnymi chleba i chipsów, wylewała się banda Michaela. Widziałam, jak spotykając na swojej drodze Bretta, poklepują go po plecach i starają się go zawrócić. On jednak obojętnie szedł dalej w kierunku budynku z wysprayedym na czerwono znakiem „X” widniejącym nad drzwiami. Po kłódkach można było stwierdzić, że nikt nie miał do niego dostępu.

Olivia zaczęła, aż myśliwi znikną w magazynie, po czym gwałtownie obróciła się do mnie i chwyciła mnie za ramiona.

– O Boże – wymamrotała drżącym głosem. – Tylko nie ty... On...

– Co się stało? – wyszeptałam. – Co się tu dzieje, do licha?

W tej samej chwili doskoczył do nas Pulpet i podtrzymał słabnącą Olivię.

– Zaraz, zaraz, to wy się *naprawdę* znacie?! – krzyknął Jude, którego Pulpet pociągnął bliżej nas.

– Kiedy opuściłam East River... – w jej słowach pobrzmiwała szczerza wściekłość – razem z kilkorgiem dzieciaków znaleźliśmy samochód i dojechaliśmy nim aż do Tennessee.

Pokiwałam głową, czekając, aż dokończy.

– Oczywiście auto się zepsuło, a po piętach cały czas deptały nam SSP... Tak naprawdę nie mieliśmy wyboru. Rozdzieliliśmy się i zaczęliśmy uciekać pieszo. Ja ruszyłam lasem i wpadłam w ręce jednej z grup myśliwych Uciekiniera.

– Myślałam, że to Pan Lans jest Uciekinierem. – Jude kulił się i pocierał rękami, bezskutecznie usiłując się rozgrzać.

– Pan Lans? – zapytała zaskoczona Olivia.

– Clancy. Tak go przezwał – wyjaśniłam, ciężko wzdychając.

Nieśmiały uśmiech zagościł na jej ustach, ale zaraz zastąpił go wyraz silnego, mrocznego bólu. Uniosła dłoń i mocno przycisnęła ją do obojczyka, jakby chciała coś siłą tam przytrzymać.

– Wiesz, co się stało, prawda? Wiesz, że to on był za wszystko odpowiedzialny? – wyszeptałam.

Kiwnęła głową.

– Na początku nie chciałam w to wierzyć, ale tamtej nocy, kiedy próbowaliście odejść... Zrozumiałam, jak nami manipuluje. Jak nas kontroluje. Mieliśmy prawie idealny system bezpieczeństwa i wiedzieliśmy, że Gray woli zostawić Clancy’ego w spokoju, niż go zdemaskować. Jedynym wytłumaczeniem tego, że nas znaleźli, był przeciek: ktoś musiał zdradzić im nasze współrzędne albo sprowokować prezydenta, a jedyną osobą, która mogła to zrobić, był... – Przesunęła dłoń na krtań, żeby powstrzymać drżenie głosu.

Podczas pobytu w East River znałam Olivię bardzo pobieżnie. Większość naszych interakcji zależała od tego, czy akurat Clancy albo Liam znajdowali się w pobliżu – jeśli nie, prawie nie zwracaliśmy na siebie uwagi. Olivię fascynowali obaj, ale na różne sposoby. Liam

był człowiekiem, z którym dobrze się jej pracowało, który motywował ją do myślenia i podpowiadał, że zamiast marnować czas w głuszy, mogliby zrobić coś dla dzieci w obozach. Clancy z kolei był osobą, którą chciała za wszelką cenę chronić, której chciała się przypodobać.

Był jej wybawicielem. Jej całym światem. Tak jak dla pozostałych dzieci.

– „Pan Lans” nawet do niego pasuje – powiedziała w końcu, uwalniając się z mojego uścisku.

Ostrożnie stąpaliśmy po kołyszących się paletach, podążając wytyczonym przez nie szlakiem.

– Kiedy myśliwi Knoksa mnie znaleźli, poszłam z nimi dobrowolnie tylko dlatego, że chciałam się dostać do Clancy’ego – wymamrotała. – Nawet nie pomyślałam, że to dziwne, że tak szybko zdołał uciec i zorganizować kolejny obóz. Chciałam go zapytać, czemu nam to zrobił. Myśle, że bym go zabiła.

– To absolutnie uzasadniona reakcja... Byłaby jeszcze bardziej uzasadniona, gdybyś zrobiła to powoli, używając ognia i ostrych narzędzi – rzucił Pulpet.

Olivii jakimś cudem to nie rozbawiło.

– Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, kiedy zaciągnęli mnie przed tego palanta – mówiła dalej. – Pierwszą rzeczą, jaką mi powiedział, było, że opuszczę to plemię, dopiero kiedy postanowią wywalić moje zwłoki do rzeki.

Potrząsnęłam głową, usiłując rozpedzić złość szumiącą mi między uszami i skupić się na chwili obecnej zamiast na tym, co zamierzałam zrobić z Knoksem.

– Skąd on się wziął? – zapytałam.

– Knox? – Olivia rozglądnęła się wokoło, ale byliśmy sami. – Nie jestem pewna. Podobno wydostał się z niewoli SSP kilka lat temu i ukrywał w różnych częściach Nashville aż do powodzi. Nie wiem, jak przekonał pierwsze dzieci, żeby się do niego przyłączyły, ale zapewniam was, że większość tu obecnych nie dołączyła do niego z wyboru.

Jude ściągnął brwi.

– Czemu tak bardzo nienawidzi innych kolorów? Co się stało?

Olivia wzruszyła ramionami.

– Kto wie? Nikt nie chce mu podpaść, pytając o to. I tak musimy walczyć o każdy ochłap jedzenia.

– Zastanawiałam się nad tym. Wygląda na to, że Niebiescy, którymi się otacza, też nie mają lekko. Trwają przy nim ze strachu? – spytałam.

Skinęła w kierunku drzew rosnących na przeciwległym końcu parkingu, za namiotami.

– Jeśli komuś przyszłoby do głowy uciekać, wpadłby na rozstawionych wszędzie strażników, a to oznacza pewną śmierć. I tak jest nam wystarczająco ciężko z tym, że zabiera nam wszystkie rzeczy. Musimy sobie „zasłużyć”, żeby je odzyskać. Jeśli ktoś nie pracuje wystarczająco dużo, nie podlizuje się tak jak trzeba albo jeśli Knox się nim znudzi, zostaje zesłany tu. Albo wymieniony.

– Wymieniony?

Pierwszy raz widziałam Olivie tak bardzo bliską płaczu.

– W taki sposób Knox zdobywa jedzenie. Widzieliście blokady wokół miasta? Tych wszystkich żołnierzy? Wydaje im dzieci, które uważa za bezużyteczne, i wymienia je na fajki i jedzenie. Ostatnio żądają od niego coraz większej liczby dzieci, chociaż coraz mniej mu za nie oferują. Nie wiem, czemu po prostu na nas nie najadą. Wygląda na to, że Knoksowi jakimś cudem udało się utrzymać to miejsce w tajemnicy.

Myślałam, że to Olivia się trzęsie, dopóki nie spojrzałam na własne ręce.

– I *oczywiście* najczęściej wymienia dzieci z Białego Namiotu... takie, za którymi nikt nie

tęskni. Wie, że nie mogę nic na to poradzić i że one nie potrafią mu się sprzeciwić. Ostatnio, kiedy się postawiłam, wziął dwoje dzieci zamiast jednego. – Olivia przygryzła usta.

– A co z tym chłopakiem, Brettem? – zapytałam. – Wstawił się za tobą. Mogłabyś...

– To tak nie działa. On jest inny niż reszta, ale to Michael jest drugi po Knoksie. Brett od czasu do czasu przynosi mi coś dla dzieci, ale jeśli Michael by go przyłapał... byłby następny w kolejce do wywalenia.

Biały Namiot stał z dala od innych i był dużą koślawą konstrukcją przykrytą poplamionym brezentem. Panujący w nim smród dosięgnął nas, jeszcze zanim zobaczyliśmy namiot. Olivia podciągnęła zawiązaną na szyi czerwoną bandanę i zakryła nią usta. Powietrze było ciężkie i tak gęste od fetoru ludzkich odchodów, że to niemal uniemożliwiało oddychanie.

– Musicie go zabrać i przyskać stąd, póki jeszcze ma szansę. Dopóki wasza koleżanka jest w magazynie, nie będziecie w stanie jej wydostać. Ale jego tak. Przynajmniej tyle. Mogę wam pomóc. Razem powinniście poradzić sobie ze strażnikami – nalegała Olivia.

Jude ścisnął mnie za ramię.

– W porządku. To nie wchodzi w grę. Nie zostawimy jej tu – zapewniłam go.

Kiwnął głową i ze zmartwioną miną obejrzał się przez ramię w stronę magazynu.

– Zrobią jej krzywdę? – zapytał.

Uniosłam brew.

– Martwiłabym się raczej o *nich*.

– Wszystko w porządku? – Pulpet spojrzał łagodnie na Olivię.

Zatrzymała się tuż przed namiotem i chwyciła mocno klapę zasłaniającą wejście, po czym oparła na niej głowę.

– On... Przykro mi, próbowałam, starałam się z całych sił, ale... – W jej głosie brzmiała prawdziwa rozpacz. – Nikt oprócz mnie im nie pomaga. On walczył przez jakiś czas, ale...

– On? O kim mówisz? – Czułam, jak serce mi zamiera.

Twarz Olivii mimo pokrywających ją blizn wyrażała szczere zaskoczenie.

– Jak to...? Nie przyszliście tu po Liama?

Nie pamiętam, jak ją minęłam, ale we wspomnieniach widzę, jak moje równie blade jak brezent wielkiego namiotu dłonie odsuwają stare prześcieradło. Odór ludzkich ciał w środku był jeszcze silniejszy, zmieszany z mdlącym zapachem pleśni i skisniętej wody. Oczy powoli przyzwyczajały mi się do półmroku. Palety skrzypiały i jęczały pod moimi stopami, a jedna całkiem pękła.

Moim oczom ukazało się ponad dwa tuziny dzieci ułożonych w rzędy po obu stronach namiotu. Niektóre leżały skulone na boku, inne zaplątane w cienkie prześcieradła.

Na samym środku między nimi zobaczyłam Liama.

Kłamałam.

Okłamywałam Cate, wszystkich innych i samą siebie. Codziennie, przez cały czas.

Teraz jednak prawda wezbrała we mnie jak żal. Domagała się ujścia i pchała mnie w kierunku przeciwnego rogu namiotu.

Żałowałam tego, co zrobiłam.

Na widok jego twarzy, jego pociętych i posiniaczonych rąk leżących spokojnie na wypłowiałym żółtym kocu wypełniły mnie taka rozpacz i ból, że zgięłam się wpół.

Przez wiele miesięcy jego twarz istniała dla mnie tylko na ekranie komputera, z którego patrzyła z ciągle tym samym grymasem. Przechowywałam ją w pamięci, ale przecież świetnie wiedziałam, że z biegiem czasu wspomnienia wykrzywiają się i płowieją. To pewnie samolubne i chore, ale przez trzy ulotne chwile myślałam jedynie o tym, że powinnam była zatrzymać go przy sobie.

Niewiarygodnie za nim tęskniłam.

Wokół panowały bezruch i cisza. Musnęłam palcem krawędź pozwijanego koca, spod którego sterczały jego bose bladoniebieskie stopy. Miał na sobie tylko szarą podkoszulkę. Poczułam, jak gwałtownie uchodzi ze mnie powietrze. Kiedy widziałam go po raz ostatni, był posiniaczony i podrapany po nieudanej próbie ucieczki z East River. Ale teraz wyglądał dokładnie tak, jak wtedy, kiedy widziałam go po raz pierwszy, tak jak go zapamiętałam. Mój wzrok bezwiednie przesunął się z szerokich jasnych skroni Liama wzdłuż krawędzi kanciastej pokrytej zarostem szczęki. Jego dolna warga była spierzchnięta i popękana od zimna. Włosy miał zmierzwiłone, ciemniejsze i za długie, nawet jak na niego.

Z każdym oddechem powietrze wychodziło z niego z okropnym świszczącym charkotem. Wyciągnęłam rękę, usiłując powstrzymać jej drżenie, i położyłam mu ją na piersi. Chciałam policzyć sekundy między jego oddechami, upewnić się, że klatka piersiowa choć odrobinę się porusza. Dotknęłam go bardzo delikatnie, ale otworzył oczy. Ich błękit na tle jego brudnej twarzy zdawał się szklisty i rozpalony. Mogłabym przysiąc, że kiedy znowu opuścił powieki, kąciki jego ust uniosły się w łagodnym uśmiechu.

Ile razy może się złamać jedno serce? Spotykaliśmy się znowu, a wszystko było jeszcze tragiczniejsze, niż mogłabym sobie wyobrazić.

– Lee – wydukałam i mocniej przycisnęłam dłoń do jego klatki piersiowej. Drugą rękę przyłożyłam mu do policzka. Tego się właśnie obawiałam: nie był zmarznięty, ale rozpalony. – Liam, otwórz oczy.

– Jesteś... Jesteś w końcu... Mogłabyś... Kluczyki są... Zostawiłem je, są... – mamrotał, poprawiając się pod kocem.

*Jesteś w końcu.* Zmroziło mnie, ale nie cofnęłam ręki.

– Lee, słyszysz mnie? Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Uniósł powieki.

– Muszę tylko...

Paleta skrzyknęła pod ciężarem Pulpeta, który uklęknął obok.

– Hej, stary. Wpakowałeś się, baranie, w niezłe bagno – powiedział łamiącym się głosem, dotykając czoła przyjaciela.

Liam podniósł na niego oczy i cały się rozpromienił.

– Pulecik? – zapytał z szelmowskim uśmiechem.

– Dobrze, już dobrze, przestań stroić durnowate miny – odparł Pulpet, chociaż miał identyczny wyraz twarzy.

Liam zmarszczył brwi.

– Co się dzieje? Przecież ty... Twoi rodzice...? – mruczał.

Pulpet spojrzał na mnie.

– Pomożesz mi go podnieść?

Wzięliśmy go pod ramiona i unieśliśmy do siadu. Głowa bezwładnie opadła mu na bok, lądując w zagłębieniu między moim ramieniem a szyją.

Powstrzymując łzy, przebiegłam palcami po linii jego żeber i przycisnęłam dłoń do kręgosłupa – był przeraźliwie chudy.

Pulpet przyłożył ucho do jego piersi.

– Weź głęboki wdech i zrób mocny wydech.

Liam machnął prawą ręką, klepiąc czule przyjaciela po twarzy.

– ... też cię kocham – rzucił.

– Wdech, wydech. Porządnie i głęboko – instruował go Pulpet.

Lee nie oddychał ani porządnie, ani głęboko, ale zobaczyłam, jak z jego ust unosi się

biały obłoczek.

Pulpet odchylił się w tył, poprawił okulary i kiwnął na mnie, żebym pomogła mu z powrotem go położyć.

Wydawało mi się, że Liam mówi coś pod nosem, ale Pulpet odsunął mnie, żeby móc chwycić go za nadgarstek i zmierzyć mu puls.

– Od kiedy jest w takim stanie? – zwrócił się do Olivii.

Po raz pierwszy od wejścia do namiotu oderwałam oczy od Liama i też na nią spojrzałam. Olivia przestępowała z nogi na nogę za naszymi plecami z siną od zimna i pobrużdżoną od poparzeń twarzą. Jude zastygł w bezruchu z otwartymi ustami, z miną wyrażającą absolutne, najszczerze przerażenie.

– Złapali go mniej więcej półtora tygodnia temu. Już wtedy męczył go jakiś nieznosny wirus – wyjaśniła Olivia trzęsącym się głosem. – Od razu wiedziałam, że coś jest nie tak. Pytałam go o was, ale był przeraźliwie zdezorientowany. Dostał gorączki i potem wpadł w taki stan.

– Co mu jest? Czemu się tak zachowuje? – zapytał Jude.

Liam nagle przekręcił się na bok i wykrzywił twarz z wysiłku, jakby chciał mówić sam za siebie. Głęboki, mokry kaszel wstrząsał jego ciałem, zostawiając go bez tchu. Cały czas trzymałam mu rękę na brzuchu – słaby puls pod palcami upewniał mnie, że żyje. Boże, jego twarz... Nie mogłam oderwać od niej wzroku.

– Myślę, że to zapalenie płuc – powiedział Pulpet. – Nie mam pewności, ale to chyba najbardziej prawdopodobne. Większość pozostałych dzieciaków ma to samo. – Wstał, chwiejąc się. – Czym ich leczysz?

Aż do tej chwili szok i przerażenie wywołane widokiem Liama były tak wielkie, że zapomniałam o wypełniającym mnie gniewie. Ale gorzka rzeczywistość tężała wokół mnie – czułam, jak w piersiach buchają mi płomienie, jak coraz bardziej rosną, aż miałam wrażenie, że zaraz zionę ogniem.

– Niczym. Nie mam nic. Muszę błagać o jedzenie. Do tego otacza nas woda, zalewa nas, a nie mamy nawet kropli nadającej się do picia – tłumaczyła nieskładnie Olivia.

– Już dobrze. Nic się nie dzieje, wiem, że robisz, co możesz – uspokoił ją Pulpet.

– Masz coś w samochodzie? – zapytałam, podnosząc na niego oczy.

– Nic wystarczająco silnego. Przede wszystkim musimy ich ogrzać, wysuszyć i porządnie nawodnić.

Olivia nie przestawała kręcić głową.

– Próbowалам wiele razy, ale Knox nie pozwala przenieść chorych do magazynu. Nie leżą tu Niebiescy, tylko inne kolory. Pogorszyło im się do tego stopnia, bo nie pozwolono im pracować, a jeśli nie pracujesz, nie jesz. Knox nie chce ich widzieć w magazynie. Prawdę mówiąc, myślę, że stara się ich ukryć przed innymi.

*Ale nie ukryje ich przede mną. Nie ukryje tego, co zrobił Liamowi.* Poczułam, jak ogarnia mnie furia. Nie mogłabym się od niej uwolnić, nawet gdybym chciała. Skoczyłam na równe nogi i puściłam się pędem w stronę wyjścia. W głowie kołatała mi się tylko jedna myśl. Pragnienie wniknięcia do umysłu Knoksa przepływało przeze mnie tam i z powrotem, coraz bardziej wypełniając mnie wściekłością, aż w końcu miałam wrażenie, że nią eksploduję.

– A ty dokąd? Ruby? – Jude zastąpił mi drogę.

– Załatwię to raz na zawsze – odparłam spokojnie i pewnie, zupełnie jak nie ja.

– Wybij to sobie z głowy – powiedział Pulpet. – A co będzie, jeśli ktoś cię przyłapie, jak włamujesz się do jego umysłu? Jak myślisz, co ci zrobi?

– Chcesz się do niego włamać? Tak jak Clancy? – zapytała Olivia, a kiedy pokiwałam

głową, jeszcze szerzej otworzyła oczy. – Rozumiem, a ja myślałam... Zastanawiałam się, czemu tak bardzo mu na tobie zależy. Czemu tak bardzo walczy, żeby nie pozwolić ci odejść.

– Jude, pomóż Pulpetowi. Wykombinujcie, jak rozpalić tu ognisko, nie puszczając wszystkiego z dymem. Pamiętasz jak? – rzuciłam.

Chłopiec pokiwał głową, choć twarz ciągle wykrzywił mu żal.

– Musisz coś zrobić. Musimy go powstrzymać, sprawić, żeby zrozumiał, że tak nie można. Błagam – powiedział niespodziewanie.

– Ruby, zniszcz go – dodała z kamienną twarzą Olivia.

Szumiało mi w głowie, jakbym obudziła się z długiego, nieprzyjemnego snu. Już dawno tego nie robiłam. Zaciśnęłam prawą dłoń w pięść, wyobrażając sobie, jak to będzie chwycić Knoksa za gardło. Nic prostszego... musiałam jedynie podejść wystarczająco blisko.

Wiedziałam, że tak właśnie postąpiłby Clancy. Twierdził, że mamy prawo korzystać ze swoich zdolności i że zostały nam dane nie bez powodu. Mawiał, że mamy obowiązek ich używać, żeby pokazać innym, gdzie ich miejsce.

Aksamitne brzmienie jego głosu zadźwięczało mi w uszach, przyprowadzając o dreszcze. Kiedy to mówił, w jego ciemnych oczach pojawiały się szaleństwo i determinacja. Przerazał mnie wtedy. Przerazało mnie to, co potrafił... i z jaką łatwością korzystał ze swojej mocy.

Miałam te same zdolności. Z jakiegoś powodu – który wciąż znali tylko naukowcy z Leda Corporation – miałam w rękach narzędzie, dzięki któremu mogłam naprawić całe wyrządzone przez Knoksa zło. Nawet Jude poprosił mnie o to bez zawahania i z całkowitą wiarą. Jakby to, że mam się rozprawić z tym złoczyńcą, było najbardziej naturalną rzeczą pod słońcem. Zaczynałam naprawdę poznawać tego chłopca.

*Zniszcz go.* Miałam zamiar zrobić więcej. Pragnęłam go upokorzyć, rzucić na kolana i zamienić w pustą skorupę, której jedynym wspomnieniem będzie obraz mojej twarzy. Miałam zamiar dręczyć go w snach. Sprawić, że pożałuje, że postanowił uwięzić Liama i skazał go na taki los.

– Uważaj na siebie – wyszeptał Jude, schodząc mi z drogi.

– Nie martw się o mnie. Rozglądnij się za jego czarną kurtką. Przeszukaj kieszenie i upewnij się, że Liam nie ma przy sobie pendrive’a, a jeśli go znajdziesz, pilnuj jak oka w głowie.

– Cześć, czołem.

– Czołem, cześć, nie daj się zjeść – odburknęłam.

Czułam na plecach wzrok Pulpety, ale się nie odwróciłam. Nie mogłam – ze strachu, że jeśli to zrobię, znieruchomię na zawsze, patrząc, jak przed moimi oczami Liam osuwa się w nicość.

*Znalazłam go* – myślałam, wychodząc na deszcz. – *Znowu jesteśmy wszyscy razem.*

Postanowiłam też, że wszyscy razem stąd wyjdziemy. Jeszcze tego samego dnia.

Chłopak pilnujący wejścia do magazynu nie mógł być starszy ode mnie, ale przewyższał mnie wzrostem i gabarytami. Kilka miesięcy wcześniej byłaby to dla mnie prawdziwa przeszkoda.

– Ani kroku dalej! – zawołał, kiedy zauważył, że idę w jego kierunku. – Nie wolno ci wejść do środka, chyba że Knox na to pozwoli.

Miał broń, ale po tym, jak ją trzymał, wnioskowałam, że albo nie umie, albo nie chce jej używać. Wyciągnęłam dłoń i musnęłam go palcami. Szybko zatrzymałam zalewające mnie wspomnienia chłopca – wściekłość zdawała się wyostrezać moje zdolności.

– Siadaj i się nie ruszaj – warknęłam i pchnęłam drzwi.

Jeden z trenerów w Lidze powiedział kiedyś, że gdy człowiek stara się rozwiązać problem bez użycia przemocy, najmniej „produktywną” emocją, której może się poddać, jest gniew. Twierdził, że osoba zaślepiona gniewem niczego nie osiągnie. Widać nie zawsze – w moim przypadku furia okazała się całkiem „produktywna”. Pozwoliłam, żeby wiatr zatrzaskał za mną drzwi.

Stałam w ciemności i mrugałam, starając się przyzwyczaić do niej oczy. Poczułam, że obok coś się porusza, i po chwili zobaczyłam przed sobą grube ramię, zagradzające mi drogę i zasłaniające pole widzenia. Podążyłam wzrokiem w górę po zielonej kurtce aż do ponurej twarzy Bretta.

– Nie możesz tu być – wyszeptał, po czym ściągnął czapkę, wypchał ją małymi krakersami i wcisnął mi w ręce. – Weź to i wracaj, zanim cię zobaczy...

Ledwie chwyciłam Bretta za nadgarstek, gdy Knox wyłowił mnie z ciemności.

– Kogo my tu mamy...! Patrzcie, co przywiał nam wiatr! – zawołał.

Rozejrzałam się wokoło i z zaskoczeniem spostrzegłam, że w magazynie było prawie dwa razy więcej dzieci niż wcześniej. Większość siedziała na ziemi przy podeście wokół paczek z chipsami i pudełek z płatkami do mleka. Ta grupka była ubrana w odcienie szarości i bieli. Podejrzewałam, że to myśliwi, którzy wrócili z łowów. Na przeciwległym końcu pomieszczenia znajdowała się druga grupa. Te dzieci leżały na betonie niemal nieruchomo, ale można było dostrzec, że oddychają. W ich pobliżu nie zauważyłam ani jedzenia, ani ognia.

Z wysiłkiem wzięłam głęboki wdech i rozluźniłam twarz, siląc się na sztuczny uśmiech. Musiałam rozegrać to powoli, sprawić, żeby Knox opuścił gardę i pozwolił mi podejść bliżej. Całą sobą pragnęłam wyrwać do przodu i się na niego rzucić. Każde uderzenie mojego serca brzmiało jak: teraz, teraz, teraz. Ale dzieliło nas zbyt wiele osób. Zbyt wiele rąk z bronią.

– Chciałaś nam coś powiedzieć? – Knox pochylił się do przodu.

W tej samej chwili zauważyłam burzę opalizujących niebieskich włosów Vidy lśniących ponad jego ramieniem. Poruszała się ostrożnie, z gracją klucząc i prześlizgując się obok dzieci na podeście.

Jedno spojrzenie na jej twarz powiedziało mi wszystko, co chciałam wiedzieć. Gdyby Knox w tamtej chwili popełnił błąd i odchylił się w tył, z największą przyjemnością skrzyłaby mu kark.

Kiwnęła głową na znak, że wszystko w porządku, po czym spojrzała w dół na Knoksa i z powrotem na mnie. Wiedziałam, co mi sugeruje.

Michael oderwał ręce od biustu jednej z dziewczyn i wstał, zasłaniając mi Vidę.

– Zastanawiałam się, co musiałabym zrobić, żebyś pozwolił mi brać udział w polowaniach – powiedziałam. – Żebyś pozwolił mi wyjść po jedzenie. – Wsunęłam skostniałe



dłonie do tylnych kieszeni spodni i podeszłam do podium.

Knox odrzucił głowę w tył i się roześmiał. Kilka dziewcząt i młodszych chłopców przycupniętych u jego stóp też wydało z siebie wymuszony rechot. Ścierpła mi skóra – brzmiała jak usiłująca szczekać sfora psów z poderżniętymi gardłami.

Poczułam, że ktoś zachodzi mnie od tyłu, ale się nie odwróciłam. Nie zamierzałam dać się zastraszyć tym dzieciakom. Michael mógł mnie uderzyć, a Brett siłą wywlec na zewnątrz, ale to, co ja mogłam zrobić im, było o wiele gorsze.

– Ty chcesz iść polować? *Zielona*? – Michael prychnął.

– O co ci chodzi? Chyba się nie boisz, że obalę panujące tu przekonanie o wyjątkowości Niebieskich? Krążą plotki, że myślenie nie jest waszą najmocniejszą stroną.

Tak jak przypuszczałam, Michael nie lubił, kiedy ktoś z niego drwił. Duch prześladowcy, który w nim tkwił, był zafascynowany i równocześnie potwornie wściekły. Podejrzewałam, że najbardziej złościło go to, że wszyscy wokoło wyglądali, jakby zaczynali się zastanawiać, dlaczego nie chce mnie puścić, dlaczego nie wolno mi wyjść i przynieść im rzeczy, których bez wątpienia potrzebowali.

Knox wstał powoli, strzepując na ziemię popiół z papierosa.

*Podejdz tu* – przywoływałam go myślami. – *Podejdz do mnie i pozwól mi to skończyć.*

W mojej głowie rozległ się szmer, który następnie zamienił się w głośny ryk. Jeden krok dzielił Knoxa od tego, żeby zrozumiał, czemu takim jak ja nadano kolor pomarańczowy, a takim jak on marny niebieski.

Zamierzałam go zniszczyć.

Włosy opadły mu na twarz. Kiedy z powrotem zakładał je za uszy, zobaczyłam, że na każdym palcu ma pierścioneł ze splecionych ze sobą jasnych papierków. Wyglądało to niemal jak artystyczny projekt zrobiony przez znudzonego dzieciaka. Nie wiedziałam, czemu służą ani po co je nosi, ale podsunęły mi pewien pomysł.

– Może zawrzemy umowę? – zaproponowałam. – Kto nie pracuje, ten nie je, tak? Pozwól mi dołączyć do myśliwych, żebym mogła jeść, a zdobędę tyle jedzenia, że wystarczy wszystkim na całą zimę.

Knox prychnął i przewrócił oczami.

– Nie kłamieł. Widziałeś, co mieliśmy w plecakach. Tylko tyle byliśmy w stanie zmieścić, ale zostawiliśmy za sobą całe fury jedzenia i innych rzeczy.

Vida rozchyliła swoje różane usta, jakby chciała mnie zapytać, co wyprawiam.

Jasne, że kłamałam. Ona dobrze o tym wiedziała. Nagle poczułam, jak nastrój otaczającego nas tłumu się zmienia. Wyglodniałe dzieci patrzyły na mnie z nadzieją.

– Były tam ściany założone puszkami z żarciem i hektolitry czystej wody. Nawet papier toaletowy – dodałam, wiedząc, że rzeczy, które w normalnym świecie są czymś oczywistym, dla tych dzieci były luksusem. – Ubrania, koce, co tylko chcesz. Mógłbyś porządnie zaopatrzyć to miejsce.

Kiedy skończyłam, wokół panowała taka cisza, że słyszałam kapanie wody ściekającej z pęknięć w sklepieniu.

– Czyżby? A gdzie to znajduje się ten raj? Zaraz za Krainą Czarów, prosto w kierunku twojej wyobraźni? – Knox znowu chodził tam i z powrotem, wciąż oddzielony ode mnie rzędem dzieci siedzących na krawędzi podestu. Czułam, że jeśli zaraz nie chwyci przynęty, będę musiała się na niego rzucić.

– Czemu miałabym ci powiedzieć, skoro nie chcesz mi dać tego, o co proszę?

Oto jak wyglądały ostatnio relacje międzyludzkie: nikt nie robił nic dla drugiego człowieka, chyba że w jakiś sposób mu się to opłacało. Knox na pewno chodził po tym świecie

wystarczająco długo, żeby być tego świadomy.

To mu się jednak nie podobało.

*No dalej* – popędzałam go w myślach, rozgorączkowana. – *Dalej!*

Jednym susem zeskoczył z podestu i niewidzialne ręce jego myśli pchnęły mnie do tyłu, rzucając na ziemię. Kłapnęłam zębami tak mocno, że o mało nie odgryzłam sobie czubka języka. Wokół rozległ się dudniący śmiech Michaela, odbijając się echem od wystraszonych, cichych dzieci, które nas otaczały.

– Sądzisz, że będę się z tobą targować? – warknął Knox. – Myślisz, że nie mam innych sposobów, żeby zmusić ciebie i twoich towarzyszy do gadania?

Mocno oparłam ręce o ziemię, czując, jak nadgarstki pulsują mi z bólu. Nie przewidziałam, że ten dzieciak był bardziej dumny niż chciwy. Nie dostrzegając, że im większą ilością jedzenia i zaopatrzenia dysponował, tym większą miał władzę. Widział jedynie małą dziewczynkę, która mu się postawiła. Wystraszył się, że proponuję mu rozwiązanie problemu, za który był odpowiedzialny, i nie podobało mu się, że podburzam jego poddanych. Nawet jeśli dzieci mi nie wierzyły, to bardzo tego chciały.

– Nikt w to nie wątpi – rozległ się głos Vidy. – Ale czy zaryzykujesz i będziesz czekał, aż wpadnie tu Gwardia Narodowa i was stąd wymiecie? – wycodziła, po czym rozsiadła się wygodnie na „tronie” Knoksa ku wyraźnemu przerażeniu wszystkich obecnych.

Michael odwrócił się gwałtownie, gotując się z wściekłości.

– Knox! Puścisz jej to płazem?

– Nie mów mi, że masz stracha przed kilkoma małymi żołnierzkami – ciągnęła Vida, przyglądając się swoim połamanym paznokciom. – Czy to dlatego upierasz się, że Ruby kłamie? Bo przeraża cię to, co może się stać, jeśli ma rację?

– Dajcie spokój – odezwał się Brett gdzieś po mojej prawej stronie. – Przyznajcie, że brzmi to zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe. Milion razy przemierzaliśmy brzegi rzeki w poszukiwaniu jedzenia i jedyne, co znaleźliśmy, to pusta paczka po chipsach.

– I odrzucicie taką szansę? Po tym, jak widzieliście dowody? – zapytałam.

Choć Brett nie wyglądał na zbyt bystrego, używał zaskakująco rozsądnych argumentów.

– Mógłbym z nią iść i to sprawdzić. Później wróciłbym tam z naszymi ludźmi, żeby pozbierać rzeczy...

– *Mógłbyś?* Naprawdę? – warknął Michael. – I ty byś tam wrócił? O czyich ludziach mówisz? O moich? Myślisz, że nie wiem, co kombinujesz, gnoju? Myślisz, że nie zauważyłem twoich godnych pożałowania wysiłków, żeby wysadzić mnie z siodła?

Knox podniósł rękę, powstrzymując ich, by nie rzucili się na siebie jak wygłodniałe zdziczałe koty.

– Odpowiedź brzmi: nie! Ani teraz, ani nigdy! – krzyknął.

– Powinnaś była się domyślić – powiedziałam, wstając. – Wyrzuciłeś dzieci na mróz, skazując je na śmierć. Czemu miałoby ci zależeć, żeby zapewnić im jedzenie i podstawowe produkty, których potrzebują?

Próbując kogoś do czegoś nakłonić, możemy do znudzenia uderzać w te same struny, czasem zdarza się jednak, że zadrży nam ręka i szarpniemy za niewłaściwą.

– Michael – mruknął Knox bardzo cicho.

Jego podwładni, w tym Michael, byli tak wpatrzeni w Vidę, że musiał dwukrotnie wywołać imię swojego zastępcy, żeby ten się otrząsnął.

– Zabierz te dwie... perełki na zewnątrz – burknął.

– Ale Knox, co z jedzeniem? – wtrącił się Brett.

Ręka Knoksa wystrzeliła w przód jak błyskawica i chwyciła chłopca za gardło.

– Zabrać mi je *na zewnątrz*. Jeśli tak bardzo chcą zostać myśliwymi, niech pokażą, co potrafią, podczas inicjacji dziś wieczorem, tak jak cała reszta.

Vida podniosła się z krzesła i zeskoczyła na ziemię obok Knoksa. Czy tego chciał, czy nie, jego oczy przesunęły się po jej twarzy i w dół, badając centymetr po centymetrze jej odsłoniętą lśniąca skórę.

– Jeśli przetrwacie, przyjmujemy was. Ale jeśli zobaczę wasze mordy jeszcze raz, zanim po was posłę, osobiście wam je przypiekę.

– Umowa stoi – rzuciłam stanowczo, walcząc z uśmiechem satysfakcji wykrzywiającym mi usta.

Wyciągnęłam do niego dłoń. W głowie mi wrzało. Nie mogłam się doczekać, aż go dosięgnę, i nie potrafiłam przestać myśleć o tym, co dokładnie mu zrobię. Chciałam poniżyć Knoksa tak bardzo, jak on poniżał innych.

Przywódca bandy podszedł do mnie z kamienną twarzą i zaciśniętymi zębami. Wyciągnął rękę w moim kierunku, ale w chwili, gdy jego palce były już niemal w moim zasięgu, cofnął ją i chwycił mnie za koniec warkocza. Uprzedził mnie o sekundę i wcisnął rozżarzony czerwony koniec papierosa w skórę mojej dłoni, po czym pchnął mnie w tył.

Pałący ból przeszył mnie na wylot, ale się nie rozplakałam, jedynie nabrałam powietrza. Kiedy Knox spojrzał na mnie przez ramię z zuchwałym uśmieszkiem, pojęłam, że straciłam swoją szansę.

Zaprowadzili nas na drugą stronę magazynu, z dala od namiotów i drzwi, i wpakowali do ogrodzonego siatką kojca, w którym przechowywano nieczynne generatory prądu i wentylatory.

Na widok naszego nowego lokum Vida zaczęła wierzgać nogami i warczeć, wrywając się dwóm chłopakom, którzy ją trzymali. Przy wtórze jej raniącego uszy pisku chłopcy unieśli ją w końcu i cisnęli do środka. Byłam tak otumaniona bólem, że w przeciwieństwie do niej potulnie weszłam do klatki.

Zaczekałam, aż nas zamkną i ruszą z powrotem do budynku, po czym opadłam na kolana. Wcisnęłam pokrytą pęcherzami dłoń do kałuży lodowatej brei, połykając szloch. Paliła mnie nie tylko dłoń, ale wszystkie myśli.

Vida usiadła, podciągnęła nogi i oparła się o siatkę. Wzięła głęboki wdech i zamknęła oczy.

– Niech zgadnę – powiedziała, kiedy już się uspokoiła. – Znalazłeś swojego lubego w Białym Namiocie?

– Jego i dwadzieścioro innych – uściśliłam, nie mogąc znieść tego, jak trząśł mi się głos. Miałam wrażenie, że płonie mi cała dłoń. Próbowalam nią machać, czując, jak poparzenie przegryza mi się przez wszystkie warstwy skóry.

– Pokaż – powiedziała Vida, a kiedy nie podniosłam ręki, sama podsunęła ją sobie pod nos. Byłam zaskoczona, że ona też trzęsie się ze złości. – O cholera. Zabiję gnoja! – warknęła na widok rany, po czym ostrożnie włożyła moją dłoń z powrotem w zimną młakę.

– Wszystko zepsułam. Byłam tuż obok. Prawie go miałam. Powinnam była po prostu... użyć drugiej ręki albo...

– Błagam cię. Jeśli zdążyłabyś zareagować, to znaczyłoby, że naprawdę nie jesteś człowiekiem.

– A czym?

Wzruszyła ramionami.

– Cyborgiem? Bezduśną, pozbawioną serca bestią, która karmi się nieszczęściami innych i jest fizycznie niezdolna do płaczu, chyba że krwawymi łzami?

Zgięłam zdrową rękę i położyłam ją sobie na kolanach.

– Taką mam reputację w Bazie?  
– Nazywają cię Meduza. Jedno niewłaściwe spojrzenie wystarcza, żebyś zamieniła człowieka w kamień.  
Kreatywnie. I dość trafnie.  
– Gdzie pozostali? – zapytała.  
– W Białym Namocie. – Oparłam się o metalowy wentylator, żeby lepiej ją widzieć. – Te dzieci są naprawdę poważnie chore. Połowa z nich wygląda, jakby już nie żyła.  
– Tak z nimi kiepsko? Ze Stewartem też?  
– Tak.  
– Niech to szlag. A zastanawiałam się, co cię tak wkurzyło.  
– No to już wiesz. – Czulałam, jak znowu wzbiera we mnie wściekłość. Prawie go miałam. Był *tuż obok*, a ja okazałam się zbyt głupia i za wolna, żeby to skończyć.  
– Hej, mała. Ja też biorę w tym udział, a mam sporo doświadczenia w ustawianiu takich pajaców. Jeśli potrzebujesz wsparcia, po prostu powiedz. Przestań sobie wmawiać, że jesteś w tym sama.  
Podniosłam oczy, zaskoczona.  
– Tylko pamiętaj – dodała swoim normalnym tonem. – Jeśli się okaże, że będziemy musiały stanąć przeciwko sobie podczas tej głównianej inicjacji, to i tak spiorę cię na kwaśne jabłko.

Błade światło dnia rozplynęło się w szarości wczesnej zimowej nocy, drobna mżawka zamieniła się w płatki śniegu, a my wciąż tkwiłyśmy w zamknięciu. Do tego naprawdę zaczynał doskwierać nam głód.

Latarnie na parkingu nie działały, więc wyłonienie z ciemności czegoś więcej niż ogólnych zarysów przedmiotów i postaci graniczyło z cudem. Zrezygnowana przestałam wypatrywać przyjaznych twarzy i znów skierowałam całą swoją uwagę na dzieci stojące w rogu magazynu, nieopodal naszej klatki. Byłam tak zaabsorbowana ich przerażającą rozmową o tym, jak to Knox zastrzelił dziczatego psa, że zupełnie nie zauważyłam Jude'a, który podszedł do klatki od drugiej strony. Okazało się, że zaniepokojony naszą długą nieobecnością wyruszył na poszukiwania.

– Roo. *Roo* – wyszeptał.

Vida odwróciła się gwałtownie, odruchowo sięgając do miejsca, gdzie zwykle nosiła broń.

– Skąd się tu...? – wybąkała.

– O Boże, zaraz dostanę zawału. Musiałem okrążyć cały budynek, żeby mnie nikt nie zauważył.

Zerknęłam przez ramię na naszych „strażników”, po czym zbliżyłam się do jego błyszczącej twarzy. Jude schylił się przezornie, tak żebyśmy mogły go z Vidą zasłonić przed niechcianymi spojrzeniami.

– Co się stało? – Metalowa siatka zagrzechotała, kiedy do niej przywarł. – Myślałem, że idziesz tylko z nim pogadać, ale tak strasznie długo cię nie było... O Boże, czemu was tu wsadzono? Czym się naraziłyście? Pulpet powiedział...

– Jude – próbowałam mu przerwać. – Jude...

– ... a ja na to: „nie ma mowy, Roo by do tego nie dopuściła”, ale Olivia zaczęła opowiadać o tych wszystkich okropieństwach, które zrobił Knox... A do tego okazało się, że Liam nie ma przy sobie pendrive'a, co znaczy, że urządzenie ciągle musi być w kurtce.

– Jude!

Przerwał w pół słowa.

– Co?

– Musisz iść zapytać Olivie, gdzie trzymają kurtki i rzeczy, które zabierają nowo przybyłym dzieciom – powiedziałam.

– Po co? Chodzi o kurtkę Liama?

Vida strzeliła palcami, żeby go uciszyć. Posłałam jej spojrzenie pełne wdzięczności.

– Nie, nie, nie mamy czasu jej szukać, a poza tym może ją nosić któreś z dzieci. To Liam nam powie, co się z nią stało. Teraz musisz jedynie odnaleźć *moją* kurtkę. Tę skórzaną, pamiętasz? W lewej kieszeni jest komunikator. Na razie zajmij się tylko tym.

Jude wbił we mnie wzrok wyraźnie zdezorientowany.

– Komunikator – powtórzyłam, a Vida dla otrzeźwienia dźgnęła go przez siatkę prosto między wybałuszone oczy. – Jest w lewej kieszeni. Możesz mi go przynieść?

– Chcecie... Chcecie, żebym to ja...

– *Tak!* – syknęłyśmy równocześnie.

Po kilku sekundach wahania na jego twarzy pojawił się tak wielki i łobuzerski uśmiech, jakiego nie widziałam u niego już od bardzo dawna.

– Dobra, zrobi się! Jasne, że dam radę! Myślicie, że będę musiał rozbroić jakiś

elektroniczny zamek? Trener Biglow próbował mnie tego nauczyć, ale do tej pory nigdy mi się to nie udało... Zaraz, zaraz... – Jude spojrzał najpierw na Vidę, potem na mnie, a podekscytowanie i uśmiech nagle zniknęły mu z twarzy. – Cemu siedzicie w klatce? – zapytał.

Starając się ucinąć wszystkie jego wtrącenia, pokrótce opowiedziałam mu, co się stało.

– To oznacza, że musisz poczekać do zmroku, do chwili, kiedy będziemy przechodzić inicjację – dodałam.

– Co to będzie? Walka?

– Nieważne. Jestem pewna, że sobie poradzisz. To dla ciebie pestka. Ściągniemy na siebie uwagę, więc będziesz musiał jedynie wyczuć odpowiedni moment, żeby się wymknąć. Potem skontaktujesz się z Cate i powiesz jej, żeby Nico namierzył jakieś miejsce, w którym moglibyśmy zdobyć leki. Zaznacz, że potrzebujemy tych informacji na *już* i że to miejsce musi być w miarę blisko. Zapamiętasz?

– Jasne. – Jude zrobił krok w tył, kołysząc się na palcach. Na jego twarzy zagościł nerwowy uśmiech. – Wszystkim się zajmę.

Odruchowo sięgnął do miejsca, gdzie powinien zwisąć jego nieodłączny kompas.

– Co się z nim stało? – zapytałam, zaskoczona, że go nie ma.

– Zabrali mi go zaraz na początku. Nie przejmuję się tym, wierzę, że go znajdę. Pewnie jest w magazynie z resztą rzeczy.

– Co z pozostałymi? Jak się czuje Liam?

– Eee... – Jude się zawahał i przygryzł dolną wargę. – Nie za dobrze. Pulpet tego nie przyzna, ale myślę, że naprawdę się martwi. Powiedział, że jeśli nie zdobędziemy leków, to istnieje spore ryzyko, że on i reszta dzieci umrą. I wierzę mu. Roo, jest źle. Jest naprawdę bardzo źle.

Przycisnęłam dłoń do czoła i zamknęłam oczy, starając się kontrolować podchodzącą mi do gardła żółć. *Miałaś Knoksa na wyciągnięcie ręki i go nie powstrzymałaś. Liam umrze, a ty jesteś bezradna. Po tym wszystkim on umrze – i to z twojej winy.*

Wysunęłam rękę przez zniekształcone oko metalowej siatki, chwyciłam Jude'a za koszulkę i przyciągnęłam go bliżej. Może i był ode mnie wyższy, ale ja górowałam nad nim doświadczeniem i częściej niż on wślizgiwałam się do różnych miejsc i wymykałam z nich niezauważona.

– Wiem, że sobie poradzisz. Ufam ci – powiedziałam. – Ale jeśli zobaczysz, że coś jest nie tak, daj spokój, zrozumiano? Wymyślimy inny sposób.

– Rozumiem, Roo. Nie zawiodę cię – obiecał.

Cofnął się i wyciągnął w naszą stronę wzniesione w górę kciuki, co tylko upewniło mnie, że zupełnie nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. Westchnęłam, patrząc, jak znika w mroku i chmurze wirujących płatków śniegu. Poruszał się szybko, pchany taką ilością nieujarzmionej energii, że nawet wiatr zdawał się zmieniać kierunek, żeby za nim nadążyć.

Wiedziałam, że jest w stanie to zrobić. Rozbrajanie zamków było jedną z pierwszych symulacji, przez które musieliśmy przejść podczas szkolenia w Lidze. Choć Jude był jak słoń w składzie porcelany, ludzie zwykle nie zauważali, że skądś zniknął, zwłaszcza gdy wymykał się z tłumu – przynajmniej nie od razu.

– Maksymalnie pięć minut – powiedziała Vida, opierając się o siatkę obok mnie. – Tyle mu daję, zanim ktoś skopie mu ten jego kościsty tyłek.

– W takim razie musimy się postarać, żeby inicjacja była prawdziwym przedstawieniem – odparłam, zamykając oczy pod naporem padającego śniegu. – I zwiększyć jego szanse.

Przyszli po nas bezszelestnie. Jak upiory wyłonił się z czarnej, lodowatej nocy i wyciągnęli po nas lepkie łapska.

– Spokojnie – mruknęłam do Vidy.

Wyprowadzała nas szóstka dzieciaków – trójka dziewcząt i tyle samo chłopców – wszyscy ubrani w biel. Nie odzywali się ani słowem. Nie opierałam się i pozwoliłam, by włożyli mi na głowę stary płócienny worek, ale VIDA nie miała zamiaru pozwolić im stąpić żadnego ze swoich zmysłów.

– Odpuść. – Próbowałam ją udobruchać.

Byłam ociężała i zeszywniała. Zwykle maszerowanie sprawiło, że barki i biodra przeszywał mi kłujący ból. Nagle ostro skręciliśmy w kierunku magazynu. Skrzywiłam się, czując, jak podtapiająca parking woda wlewa mi się do ciężkich butów. Pocieszałam się, że za chwilę wejdziemy do środka, gdzie przynajmniej będzie sucho.

Nie usłyszałam jednak skrzypienia otwieranych metalowych drzwi.

Myśli Vidy musiały się toczyć tym samym torem, bo dosłyszałam, jak mamrocze moje imię.

– Spokojnie – powtórzyłam.

Co innego mogłam powiedzieć? Że wszystko będzie dobrze?

Pamiętam, że kiedy byłam mała, tata czasami zabierał mnie na rozgrywki sportowe szkół średnich. Były to głównie mecze futbolu, ale czasem także bejsbolowe. Uwielbiał oglądać wyrównane pojedynki... Właściwie każdy mecz był dla niego gratką. Ja natomiast najbardziej lubiałam po prostu na niego patrzeć. Obserwować, jak cały się wyciąga, podążając za linią jakiegoś niesamowitego podania... Widzieć, jak się uśmiecha, kiedy piłka przelatowała poza ogrodzenie. Tata znał na pamięć hymny bojowe wszystkich drużyn.

Rozpoznałam więc znajomy dźwięk, kiedy tylko go usłyszałam. Wokół rozlegało się wycie wygłodniałego tłumu i pulsujący łomot klaszczących rąk, które po dłuższej chwili w końcu odnalazły ten sam rytm. Przyprawiło mnie to o ciarki na długo przed tym, jak w nozdrza zaczął mnie gryźć dym.

Ciągle się potykałam. Prowadzili nas najpierw po rozsypującym się asfalcie, potem po miękkiej grząskiej ziemi, a następnie z powrotem po twardszym i bardziej stabilnym gruncie. W pewnej chwili miałam wrażenie, że przechodzimy obok ściany ognia, bo poczułam, jak skórę muskają mi fale rozgrzanego powietrza.

Dobiegające zewsząd wrzaski zagłuszały moje myśli. Przez sekundę wydawało mi się, że słyszę, jak Pulpet woła moje imię przy wtórze delikatniejszego dziewczęcego głosu. „Ruby, Ruby, Ruby, Ruby...”. Krzyczeli coś jeszcze, ale nie miałam pojęcia co.

Zapędzono nas w zbitą grupkę dzieci. Zdawało mi się, że wszystkie się na nas pchają, jakby chciały zagrozić nam drogę.

Kiedy tylko zdjęto mi z głowy worek, głęboko zaczerpnęłam ciepłego powietrza. Miałam nieprzyjemne wrażenie, że w żyłach krążą mi tysiące igieł. Otaczał nas dziki tłum – dziesiątki par wylupiastych oczu, spękanych ust i pokrytych bliznami twarzy. Ich widok oraz nieprawdopodobny smród ich brudnych ubrań i ciał mieszały się z ciężkim swędem dymu i stawały jeszcze bardziej nieznośne. Wyciągnęłam szyję i między sięgającymi w naszą stronę rękami szukałam znajomych twarzy. Ciemności rozświetlał blask ognia.

W końcu dojrzałam Pulpeta, a obok niego Olivie, usiłujących się przecisnąć bliżej nas. Jude’a, dzięki Bogu, nie było ani widać, ani słyszeć. Jednak poczucie ulgi szybko minęło, bo przerazenie bijące z twarzy moich przyjaciół zmroziło mi krew w żyłach. Panika, która załęgła się w moim umyśle, wypełniła mi uszy czymś, co brzmiało niemal jak Biały Szum.

Olivia złożyła dłonie i przytknęła je do ust, coś wykrzykując. Miałam wrażenie, że słyszę: „stracony”.

Podejrzewałam, że znajdujemy się w budynku leżącym obok magazynu. Część jego

dachu i wschodniej ściany się zawaliła, dlatego musieliśmy się przedzierać przez gruzy betonu i kawałki powyginanego metalu, co nie było łatwe, biorąc pod uwagę głód i zmęczenie. Miejsce to wyglądało jak mniejsza wersja magazynu i to po pożarze. Na pustych ścianach i betonowej podłodze widniały jedynie rzucane przez dzieci czarne cienie. W samym środku hali ułożono wielki okrąg z metalowych kubłów na śmieci. Żółte płomienie ognia buchały z nich w kierunku ubranych na białą dzieci, które spoglądały na wszystko z góry.

Fabryka w Thurmond była skonstruowana w taki sposób, żeby żołnierze SSP mogli bez przeszkód obserwować, jak całe tłumy odmieńców harują. Podobnie jak tu poziom pierwszy był otwarty i tak samo zaaranżowany. Nad naszymi głowami wisiały dwa zachowane metalowe mostki, które jednocześnie odgrywały rolę spajających konstrukcję wzmocnień.

Pośrodku jednego z nich, na krawędzi, wygodnie rozsiadł się Knox otoczony przez morze dzieci w bieli. Po jego prawej stronie siedział Michael, który gapił się na nas z puszką jedzenia w ręce. Na widok ich uśmiechniętych twarzy dłoń zaczęła mi pulsować z bólu. Przycisnęłam ją do uda.

Po chwili zostaliśmy wepchnięci w środek ognistego kręgu. Myśli kotłowały mi się w głowie. *Niech to szlag*. Wyglądało na to, że naprawdę będziemy musiały ze sobą walczyć.

Podniosłam oczy na Vidę – zerwała sobie z głowy worek i cisnęła go do najbliższego paleniska. Żyły na szyi nabrzmiały jej z wściekłości i po raz pierwszy zobaczyłam, że jest bliska łez. Ogarnął mnie strach – potrzebowałam Vidy, potrzebowałam jej przenikliwej intuicji i niezłomnej determinacji.

– Spokojnie – szepnęłam kolejny raz.

Zacisnęła dłonie w pięści, jakby próbowała zwalczyć targający nią niepokój.

Nagle jeden głos wybił się ponad inne.

– Witaaam, drogie panie! – zawołał Knox. – Mam nadzieję, że byliście grzeczne.

Płonące kubły zajmowały większą część najniższego poziomu, ale wciąż było tam wystarczająco dużo miejsca, by pozostałe dzieci – te, które nie miały na sobie białych ubrań – mogły się zbierać wokół nich w ciasny krąg. Zamiast tego wołały jednak zachować bezpieczną odległość. Nawet Pulpet, którego sylwetkę ledwie wyławiałam zza słupa gorącego, migotliwego powietrza unoszącego się znad ognia, nie odważył się podejść bliżej.

– Mogłabym go tu ściągnąć – wyszeptała Vida. – Wziąć go z zaskoczenia i oddać w twoje ręce.

Pokręciłam głową.

– Zbyt wiele karabinów. – I wszystkie wymierzone w nasze plecy.

Było tam też zbyt wielu Niebieskich. Musiałyśmy poczekać, aż Knox łaskawie do nas zejdzie, i wtedy go dopaść. Poczułam, jak stopniowo wzbiera we mnie wściekłość – pozwoliłam, żeby mnie wypełniła, by popłynęła w moich żyłach, wypierając resztki litości. Czułam się jak drapieżnik, gotowy, by wyjść z cienia i pokazać swoje prawdziwe oblicze.

– Zasady są proste – powiedział Knox. – Ten, kto zostanie wypchnięty poza krąg, wypada z gry. Kto straci przytomność, też wylatuje i mogę z nim zrobić, co tylko zechcę. W tej grze nie ma litości. Żeby się wydostać, trzeba albo utrzymać się na nogach, albo skoczyć w ogień. Zrozumiano? Aha, jeszcze jedno. Specjalnie dla was nagnę trochę reguły. Żadnych umiejętności Psi. Walczymy tylko na pięści! Dajcie z siebie wszystko!

Wymieniłyśmy z Vidą szybkie spojrzenia. Nie wiedziałam, co chodzi jej po głowie, ale gorączkowo usiłowałam obmyślić najszybszy sposób na to, by pokonała mnie bez oszukiwania. Gdybym odmówiła stanięcia do walki, zerwałabym umowę, ale nie do końca podobał mi się pomysł wyładowania na ruszcie... I to dosłownie.

– Co z naszą umową? Przyjmiesz mnie do jednej z grup myśliwych, jeśli przyniosę wam



jedzenie?

Na słowo „jedzenie” Knox zeszytywniał, a otaczające go dzieci z zaciekawieniem pochyliły się do przodu. Specjalnie przypominałam dzieciakom o tym, czego ich dowódca im odmawiał.

– Do cholery, ale ty jesteś upierdliwa. Jak wygrasz, może to przemyśle – burknął.

Cofnęłam się o kilka kroków i zamknęłam oczy. Zastanawiałam się, jak mocno Vida będzie musiała mnie uderzyć, żeby powalić mnie jednym ciosem.

– Wprowadzić go! – rozkazał Knox, a na widok naszej reakcji parsknął śmiechem. – Co? Naprawdę myślałyście, że będziecie walczyć przeciwko sobie nawzajem? Chyba umrę ze śmiechu!

Vida odwróciła się w stronę zrujnowanego wejścia do budynku. Ja nie musiałam. Niezależnie od tego, co w nim zobaczyła, z wyrazu jej twarzy wyczytałam, że jest kiepsko.

Z góry dobiegł nas szmer, który jednak został szybko stłumiony i zastąpiony przez nowe dźwięki – jęki i przeciągłe szuranie, jakby po ziemi ciągnięto coś bardzo ciężkiego.

Strużka potu spłynęła mi po plecach. Dobiegło mnie stękanie, gardłowy krzyk i brzęk, który mogły wydawać jedynie łańcuchy.

Ludzki mózg to zadziwiający organ, a mój jest dziwniejszy niż większość pozostałych. Nasza pamięć jest wybiórcza, ale niektóre wspomnienia żyją w nas niezwykle wyraźnie, ostre jak kawałek szkła, a żeby je przywołać, czasem wystarcza jedynie dźwięk albo zapach. Nie pamiętam zbyt wiele z okresu sprzed Thurmond, ale do końca życia będę w sobie nosić wszystkie straszne chwile z pobytu w obozie.

Nigdy nie zapomnę segregowania i badania, którego omal nie oblałam, ani wyrazu twarzy Sam, kiedy wymazałam się z jej wspomnień. Nie zapomnę czarnych karabinów połyskujących w promieniach letniego słońca ani śniegu padającego powoli na elektryczne ogrodzenie. Na zawsze pozostanie też ze mną obraz długiej kolejki dzieci uznanych za niebezpiecznych odmieńców, skutych ze sobą, z twarzami ukrytymi za skórzanymi kagańcami.

– Co to ma...? Co to ma być, do cholery? – wysapała Vida, po czym zasłoniła mnie plecami.

I wtedy go zobaczyłam. Był blady jak ściana, ubrany w obszarpane spodnie moro oraz koszulkę zwisającą jak szmata z chudych ramion i zapadniętej klatki piersiowej. Na pierwszy rzut oka wziąłabym go za swojego rówieśnika, ale nie miałam stuprocentowej pewności. Wyglądał na skurczonego i nieszkodliwego, ale kiedyś musiał być dużo większy, bo spodnie wisiały na nim jak worek, związane przeciągniętą przez szlufki reklamówką.

Liny i łańcuchy krępujące chłopaka były niewątpliwie sprawką Knoksa. Usta kneblowała mu bandana, którą ścisnął między żółtymi zębami. Wolałabym jednak, żeby zamiast tego zasłonięto mu zaropiałe, podbite oczy, którymi przenikał dzielący nas mrok.

Dopiero teraz dotarło do mnie, jakie słowo wykrzykiwała Olivia. Głośno i wyraźnie usłyszałam w głowie jej głos: „Czerwony. Czerwony. Ruby, Czerwony”.

Widok, który rozciągał się przed moimi oczami, nie był straszny... Był potworny.

Gdy Czerwony opuścił twarz, na brwi opadła mu zasłona z długiej ciemnej grzywki. Wciąż jednak świdrował nas wzrokiem zza popłatanych straków. Nagle jego ciałem wstrząsnął gwałtowny dreszcz, jakby dostał silnego skurczu mięśni, i chłopak zamknął oczy, najwidoczniej chcąc przeczekać nieprzyjemne uczucie. Kiedy znowu je otworzył, były większe, bardziej szkliste i ludzkie... Jednak wraz z kolejnym skurczem mięśni znów zagościł w nich mrok.

– Moje panie, oto Spazm. – Knox najwyraźniej dobrze się bawił, widząc nasze oniemiałe miny. – Złapałem go w Nashville: włóczył się bez celu po tym, jak zerwał się ze smyczy jednemu żołnierzowi. Myślałem, że jest ćpunem, bo wykręcało mu ciało, jakby był na głodzie. Bardzo się zmienił, od kiedy zacząłem go trenować. – Knox machnął ręką na jednego z chłopców, który trzęsąc się ze strachu, podszedł do Czerwonego i zaczął przecinać krępujące go liny. – Myślę, że przypadniecie sobie do gustu. Dobrej zabawy! – zawołał na koniec.

Kiedy metalowy łańcuch legł u stóp Czerwonego, dwaj chłopcy, którzy wprowadzili go do hali, natychmiast uciekli – nigdy wcześniej nie widziałam, żeby ktoś aż tak pędził. Spazm zrobił krok do przodu i przeszedł przez ścianę buchającego z kubłów ognia. Migoczący krąg zafalował i na moment przygasł, a po chwili znowu rozgorzał oślepiającym blaskiem.

– Ten śmierdzący gnój wystawił przeciw nam miotacz ognia – burknęła Vida i odwróciła głowę, żeby na mnie spojrzeć.

Spazm zasłużył sobie na swój przydomek. Jego głowa gwałtownie przechyliła się w prawo, a następnie nienaturalnie odskoczyła w lewo, co, jak podejrzewałam, musiało go zboleć. W chwilach między skurczami w jego oczach na ułamek sekundy pojawiała się dezorientacja.

Knox włożył palce do ust i zagwizdał. Potem nie było już czasu na myślenie.

Z płonących kubłów wystrzeliła pierwsza kula ognia i spadła pomiędzy mnie i Vidę, zmuszając nas, byśmy od siebie odskoczyły. Upadłam na ziemię i zaczęłam się toczyć, rozpaczliwie próbując ugasić tłące się brzegi prawej nogawki spodni. Miałam wrażenie, że rana po poparzeniu na mojej prawej dłoni zaraz się otworzy i także tryśnie ogniem.

Powietrze nad moją głową zrobiło się gorące, potem wrzące, a w końcu tak rozpalone i pozbawione tlenu, że musiałam się przetoczyć gdzie indziej. Ogień z kubła, który przewróciłam, upadając, przelał się za metalowy brzeg i pełził teraz po betonie w naszym kierunku.

Czerwony wyciągnął przed siebie rękę i strzelił palcami. Z dłoni buchnęła mu wiązka płomieni, którą rzucił w nas jak piłką.

*Wstań! Natychmiast się podnieś!*, słyszałam w głowie. Spocone dłonie ślizgały mi się na grudach cementu, ale zdołałam się podeprzeć, szukając wzrokiem Vidy.

Pędziła jak szalona prosto na Czerwonego.

– Nie! – krzyknęłam.

Płomienie znowu buchnęły w górę i przecięły krąg, łącząc się nad kubłami jak mosty. Nagle oddzielił się od nich ognisty bicz i trafił Vidę między łopatki. Przez chwilę naprawdę myślałam, że dziewczyna pokona dwie wznoszące się przed nią złocisto-czerwone linie ognia.

– Vi...! – wrzasnęłam, patrząc, jak blask płomieni rozświetla jej skórę.

Ostatnie kilka metrów dzielącej ich odległości pokonała ślizgiem, podcinając Czerwonemu nogi. Spazm upadł, wydając z siebie nieludzki ryk. Z gardeł dzieci w bieli obserwujących nas z góry też wyrwały się krzyki. Zaryzykowałam i podniosłam wzrok.

Większość kubłów wciąż się paliła, tak jak beton w miejscach, gdzie spadły ogniste

jęzory. Zdusiłam jeden z nich i ruszyłam w kierunku Vidy.

Spazm skoczył na równe nogi, zrzucając ją z siebie z wściekłą, pulsującą nienawiścią, która wypełniła dzielącą nas przestrzeń. Zdążyłam złapać Vidę, zanim jej płonące plecy uderzyły o beton. Walnęła mnie głową w szczękę tak mocno, że zrobiło mi się ciemno przed oczami, ale nie pozwoliłam nam upaść. Odepchnęłam Vidę i postawiłam ją na nogi.

Tylko jeden jedyny raz stanęłam do walki przeciw Trenerowi Johnsonowi – „pojedynek” trwał niespełna piętnaście sekund. Działo się to zaraz na początku mojego szkolenia, bo Trener chciał „ocenić” poziom moich umiejętności. Pamiętam, że potem kulałam przez dwa tygodnie, a przez kolejne dwa ramiona zdobyły mi siniaki w kształcie dłoni.

Trener Johnson zwiędłby jak stokrotka przy tym Czerwonym.

Ciało Spazma przestało się wyginać. Jego ruchy były teraz szybkie, precyzyjne i przemyślane, zupełnie jakby przestawił się na inny tryb. Krążyłyśmy wokół niego, raz po raz cofając się, wyginając i schylając, żeby uniknąć jego pięści wymierzonych w nasze twarze.

I pomyśleć, że kiedy go wprowadzono, wzięłam go za chuchro.

– No dalej, moje panie! Co za *nudy*! – wydzierał się Knox.

Złapałam Vidę za ramię, zanim przypuściła kolejny atak, i odciągnęłam ją o kilka kroków w tył. Spazm nie zareagował od razu. Trzymał się swojej połowy kręgu, przemierzając ją tam i z powrotem jak pantera. Jego krokom towarzyszyło skrzypienie ciężkich wojskowych butów. Po raz pierwszy od początku walki zdołałam się skoncentrować.

Dygotałam z wyczerpania i bólu. *Myśl*.

Podejrzywałam, że nasz przeciwnik nie był w obozie rehabilitacyjnym, przynajmniej nie ostatnio. Może nawet nigdy... Ale w takim razie dlaczego miał na sobie wojskowe ciuchy? Nie wyglądał na kogoś, kto jest wystarczająco bystry, żeby obrabować posterunek Gwardii Narodowej. W gruncie rzeczy, z wyjątkiem krótkich przeblysków dezorientacji malujących się na jego twarzy, wyglądał, jakby zupełnie nie potrafił samodzielnie myśleć. Oznaczało to...

*Nie do wiary* – pomyślałam. – *To niemożliwe.*

Ale w tej chwili nic nie było niemożliwe.

– Jamboree – wysapałam do Vidy.

Szeroko otworzyła oczy.

– Chrzanisz.

Vida знаła Operację Jamboree tak samo, jak niektóre dzieci znają historie o duchach – złożyła ją z szeptów i najmroczniejszych wytworów własnej wyobraźni. W Lidze wszyscy wiedzieli o tajnej armii wyszkolonych Czerwonych stworzonej przez prezydenta Graya. Agenci od miesięcy bezskutecznie usiłowali upublicznić jej istnienie. Najwyraźniej pomysł był jednak zbyt „niedorzeczny” dla Koalicji Federalnej, by można było dać mu wiarę... Co więcej, ludzie prezydenta inwigilujący internet zniekształcali i blokowali wszystkie doniesienia o projekcie, tak że nie było mowy, by cokolwiek wyciekło do międzynarodowej prasy.

Vida nie wiedziała jednak, że pomysł ten wypełził z najmroczniejszych zakamarków umysłu Clancy’ego. To on zasiał tę ideę w umyśle prezydenta i jego doradców. Do chwili, gdy Gray zorientował się, co robi jego syn, Clancy odgrywał główną rolę w programie szkolenia Czerwonych.

Od zderzenia z głową Vidy bolała mnie szczeka, a z wargi leciała mi krew. Splunęłam na ziemię i starłam z oczu piekący pot. Jak Clancy ich kontrolował? Czerwony w jednej chwili zachowywał się, jakby jego myśli zalewała wściekłość, a w drugiej stawał się świetnie wyszkolonym żołnierzem. Był wyraźnie dezorientowany i podążał wyłącznie za swoimi instynktami. Sprawiał wrażenie, jakby zaprogramowano go tylko do jednego – żeby zabijać.

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem. Strach mieszał się teraz we mnie z wściekłością.

*Boże, co oni zrobili tym dzieciom...?*

Przez lata byłam przekonana, że obozowi strażnicy i żołnierze SSP pozbywają się „niebezpiecznych osobników”. Ta świadomość towarzyszyła mi jak niewidzialny upiór, który coraz mocniej zaciskał mi szpony wokół gardła – w końcu na samą myśl o tym, co działo się z tymi dziećmi, nie mogłam oddychać. Kiedy Clancy powiedział mi, że nie były mordowane, bardzo mi ulżyło. Teraz jednak... Zastanawiałam się, czy śmierć nie byłaby dla nich lepszym rozwiązaniem. Wtedy przynajmniej odmienicy nie zamieniliby się w zwierzęta. Umysł tego dzieciaka nie należał już do niego.

– Hej, mała – rzuciła Vida przez zaciśnięte zęby. – Musimy wziąć go z dwóch stron.

– Co nam to da?

– Może potrafi wzniecać i kontrolować ogień, ale kosztuje go to ogromnie dużo skupienia. Za każdym razem, kiedy na niego ruszamy, na moment się dekoncentruje, jakby jego mózg nie umiał sobie poradzić z dwiema rzeczami jednocześnie.

Miała rację. Chociaż Spazm potrafił być bardzo niebezpieczny, korzystanie ze zdolności wymagało od niego wysiłku i praktyki, podobnie jak od każdego z nas. W dodatku ten dzieciak miał tak sprany mózg, że nie wiedział, co się wokół niego dzieje. Clancy, czy też inny trener Operacji Jamboree, wyszkolił go tak, że na widok przeciwnika chłopiec odruchowo atakował.

– Zamknąć się i walczyć! – wrzasnął Knox.

– Odwróć jego uwagę. Skończ to – syknęła Vida.

Knox zabronił nam wychodzić poza okrąg, ale nie powiedział nic o tym, że nie możemy zmieniać jego kształtu.

Dzieci nad nami krzyknęły z przerażenia, kiedy kopniakiem przewróciłam najbliższy kubek. Rozżarzone kawałki drewna wysypały się na ziemię, a ogień, który wypełził na zimny beton, po kilku sekundach zgasł. Spazm zatrzymał się w pół kroku, gapiąc się tępo na umierające płomienie. Ja natomiast dopadłam kolejnego kubła, słysząc jęk Vidy, która znów rzuciła się do ataku.

– Co to ma być, do jasnej cholery?! Łamiecie zasady! – gorączkował się Knox.

Głośny skowyt skierował moją uwagę z powrotem na Vidę, która klepała końcówki włosów, usiłując ugasić chwytające się ich płomienie. Opadła na kolana... Ciężko dyszała, a w przerwach między łapczywie połykanymi haustami powietrza siarczyście klęła. Ruszyłam w ich kierunku, ale stojące obok paleniska ponownie buchnęły ogniem, który otoczył ich migotliwą zasłoną gorąca i światła.

– Nie, Ruby! – wrzasnęła Vida.

Spazm chwycił ją za kark, unosząc wolną rękę nad głowę. Z najbliższego kubła wyślizgnęła się wstążka ognia, która następnie owinęła się wokół jego palców i nadgarstka jak wąż. Z góry dobiegały nas oszalałe krzyki. I tylko jeden głos milczał. Knox nie zamierzał powstrzymać swojej bestii.

*Nikt go nie zatrzyma.* Przyłożyłam palce do ust, chcąc zagwizdać jak Knox, ale nie byłam w stanie wydusić z siebie wystarczająco silnego oddechu. Dym kłuł mnie w oczy i palił w gardło...

*Zabije ją, on ją zabije.*

Tym razem nie miałam wyboru.

– Ty, Czerwony! – wrzasnęłam zachrypniętym głosem.

Chłopak podniósł na mnie oczy. Miałam go.

Poddanie się temu nagłemu impulsowi przyszło mi tak naturalnie jak wypuszczenie głębokiego oddechu, który nieświadomie wstrzymywałam. Poczułam, jak macki mojego umysłu się rozplątują – gniew, przerażenie i desperacja oddzieliły je od siebie jedną po drugiej. Przy

podstawie czaszki czułam łaskoczące ciepło. Ściana ognia przede mną pulsowała w rytm oszalałych drgawek wyginających ciało Czerwonego. Słyszałam dobiegające z góry protesty Knoxa, ale Czerwony był już mój. Wniknęłam do jego głowy bez jednego dotyku.

W przypadku większości umysłów zawsze miałam wrażenie, że zapadam się w cudze myśli. Było to nieprzyjemne uczucie, które zwykle kończyło się dla mnie nieznośną migreną. Czasem działa się to stopniowo, innym razem wpadałam w nie całą sobą. Byłam w stanie wiele wywnioskować z odcienia czyjejś pamięci i zabarwienia snów.

Ale Spazm był niewiarygodnie pokiereszowany.

Nie tyle wślizgiwałam się w jego myśli, ile się w nie wdzierałam, jak nóż w stertę potłuczonego szkła. Jego wspomnienia były ostre, ale drobne i niesamowicie ulotne. Zobaczyłam ciemnowłosą dziewczynkę na huśtawce, kobietę schylającą się nad piekarnikiem, rząd wypchanych zielonych jaszczurek i imię wyryte drukowanymi literami na półce. Potem wszystko przyspieszyło – czarne buty, druciane ogrodzenia, sztuczne zielone obicie siedzenia w szkolnym autobusie. Błoto, błoto, błoto, rozkopana ziemia, brzęk łańcuchów, ucisk kagańca i coraz mocniejszy ogień gorejący w ciemnościach. Musiałam przypomnieć sobie o oddechu. Gorące powietrze paliło mi płuca.

Między fragmentarycznymi obrazami znalazłam spokojną twarz Clancy’ego – stał samotnie za ścianą ze szkła, przyciskając do niej dłonie. Przychodził tylko po zmroku, jak koszmar senny. Poruszył ustami i umysł Czerwonego zaalał biel.

Wycie gapiów zagłuszało moje myśli. Nie byłam w stanie powiedzieć, co wykrzykiwali. Wszystko zlewało się w bełkot i hałas. Ale trzymałam go w garści, mogłam kontrolować jego umiejętności. Czułam to tak intensywnie, jakby w żyłach płynął mi ogień. Spojrzałam w górę, skąd z bezpiecznej odległości obserwowali nas Knox i reszta.

*Tylko poczekaj*, pomyślałam i odwróciłam się z powrotem do Czerwonego. Zastanawiałam się, co zrobi Knox, jeśli zwrócę jego marionetkę przeciw niemu. Jak się zachowa, kiedy poczuje, że skórę pali mu ogień.

Spazm wbił we mnie wzrok – źrenice mu się zwężyły, po czym eksplodowały, by znowu się skurczyć. Bezgłośnie poruszył ustami, wydając z siebie ciche jęki bólu, aż w końcu zaczął płakać. Cekał na polecenie. Na rozkaz.

*Mason.*

To imię zobaczyłam wypisane na jego drzwiach. Tak szeptała do niego z czułością matka, kiedy układała go do snu.

Miał na imię Mason. Myśli kotłowały mi się w głowie, usiłowałam pojąć, co się właśnie wydarzyło. Chłopiec kiedyś mieszkał w domu z niebieskim płotem, a mama codziennie robiła mu śniadanie do szkoły. Miał przyjaciół i psa. Wszystko to jednak zniknęło, gdy pewnego dnia przyszli po niego nieznajomi mężczyźni i wpakowali go do samochodu. Na ścianach jego pokoju wisiały plakaty drużyny bejsbolowej White Sox. Chłopiec jeździł na rowerze po opuszczonym parkingu za domem. Miał na imię Mason i kiedyś miał życie.

Osunęłam się na kolana, przyciskając dłoń do czoła. Wraz z kolejnym poszarpanym wspomnieniem, które przefiltrowało mu się przez głowę, nasze połączenie zostało zerwane. Upadł nieopodal, obok sterty gruzu. Przez chwilę nie słyszałam nic poza własnym ciężkim oddechem i biciem serca. Potem coś łupnęło i dobiegł mnie nieznośny trzask.

– Przestań! Co ty robisz?! – usłyszałam rozpaczliwy krzyk Vidy.

Patrzyłam, jak Mason chwyta kawałek betonu i wali się nim w głowę, ale mój umysł nie był w stanie zrozumieć, co się dzieje. Vida wyrwała mu kamień z ręki z krzykiem protestu. Mason z wysiłkiem wygiął szyję i podniósł głowę tylko po to, żeby z całej siły uderzyć nią w ziemię. Przestał, dopiero kiedy wsunęłam ręce między jego czaszkę a twardy beton.

Ciężki zapach dymu nagle zmieszał się z odorem krwi. Czułam, jak lepka i ciepła maź oblepia cienkie włosy chłopca.

– Przestań! – Vida przycisnęła mu ramiona do ziemi, usiłując go unieruchomić.

Wyrwałam mu z dłoni kolejny kawałek betonu, który chwycił. Kiedy gruda potoczyła się z łoskotem po ziemi, poczułam, jak Mason chwytą mnie za rękę.

– Pomóż mi – szlochał. – Błagam, pomóż mi, proszę, już nie mogę, nie mogę dłużej... O Boże, o Boże, znowu nadchodzą, widzę ich, nadchodzą w ciemności...

– Już dobrze. – Pochyliłam się nad jego uchem.

– Pomóż mi. *Proszę* – błagał.

– Uspokój się, Mason. Wszystko w porządku, nic ci nie grozi.

Mogłam znowu zanurkować w jego myśli. Do głowy przychodziły mi różne rozwiązania. Mogłam wyczyścić mu pamięć, wymazać koszmar, przez który przeszedł, i wszystko, co widział. Zostawiłabym odrapane kolana, słoneczne dni na placu zabaw i słodki uśmiech jego mamy – same dobre wspomnienia. Zasługiwał na to. Mogłam go uwolnić.

– Boję się – wyszeptał. Policzki lśniły mu od krwi i łez. – Chcę do domu...

Kula świsnęła tak blisko mojego ucha, że zraniła jego brzeg. Poczułam ukłucie bólu i piekące ciepło. Pochyliłam się, przykrywając sobą Masona, żeby go ochronić. Strzał oddano z góry... Słyszałam, że Vida coś krzyczy, ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, co się stało, dopóki nie chwyciła mnie za ramiona i nie rzuciła na ziemię. Nie miała zamiaru pozwolić, bym stała się łatwym celem.

Przód mojego ubrania przesiąkł czymś ciepłym, a koszulka dziwnie przylegała mi do skóry. Chciałam ją przygładzić, ale kiedy spojrzałam w dół, zamarłam. Na wpół oszołomiona zastanawiałam się, jak to możliwe, żeby ucho aż tak bardzo krwawiło.

– Nie, do jasnej cholery! – Słowa Vidy wybijały się ponad rozlegające się w mojej głowie dzwonięcie. – Niech cię szlag!

Podniosłam się i odwróciłam w kierunku, skąd dobiegał jej przerażony głos. Otaczające mnie ciche brzęczenie zaczęło się wyostrzać i w końcu mogłam wyłowić z niego płacz i szepty siedzących u góry dzieci. Wszystkie patrzyły na Czerwonego, obserwując, jak z gardła, w którym utkwiała kula, tryska bulgocząca krew. Jak chłopiec krztusi się i rzezi, rozpaczliwie błędząc rękami po ziemi. Czas między jego kolejnymi oddechami coraz bardziej się wydłużał, aż w końcu ostatni wydech opuścił jego ciało ze zduszonym westchnieniem.

Nie byłam w stanie się odezwać, nie słyszałam i nie widziałam niczego poza Masonem. Moje ręce same wysunęły się do przodu. Utkwiłam wzrok w kałuży krwi, która rozlewała się po betonie i zaczynała docierać do moich kolan.

– Chybiłem – rzucił Knox.

Odwróciłam głowę i zobaczyłam, jak nieznacznie opuszcza srebrny pistolet.

– No cóż, mama zawsze mi mówiła, że trzeba wyrzucać zepsute zabawki – dodał.

Gniew wezbrał we mnie jak gorączka, spopielając ostatnie ślady wahania. Nie musiałam się zastanawiać – nie miałam wyboru. Wstałam i odwróciłam się do Knoksa.

Wystarczyło, że na mnie spojrzał z tym swoim aroganckim uśmieszkiem, a siła mojej nienawiści posłała w jego stronę idealnie wymierzony cios.

Umysł Knoksa wyrósł na moim jak gorący pęcherz, który w miarę jak go drażniłam, coraz bardziej puchł, aż w końcu pękł, tryskając wspomnieniami. Nie miałam cierpliwości ani ochoty się im przyglądać. Zignorowałam gęste, zastygłe obrazy pięści, pasów, wściekłych słów, które jak bomby rozsadzały jego mroczny świat. Przebiłam się przez akademie wojskowe, golenie włosów, bicie i brnęłam dalej, aż Knox w końcu padł na kolana.

Miałam wrażenie, że wraz z głosami wszystkich obecnych z pomieszczenia wyszano

powietrze. Ogień trząsał w kubłach, pożerając resztę drewna. Słyszałam, jak Vida podczołguje się do mnie, biorąc krótki, nasycony bólem oddech. Wydawało mi się, że wszystkie twarze orbitują wokół mnie i Knoksa – że na świecie nie ma nikogo poza nami dwojgiem.

– Co ty robisz...? – Chłopiec stojący obok Knoksa ciągle mierzył w nas z broni, ale zaryzykował i odwrócił głowę, żeby spojrzeć na swojego dowódcę.

Wszyscy patrzyliśmy, jak Knox przeczesuje palcami włosy i zaczyna się kołysać w przód i w tył.

– Zejdź tu – rozkazałam lodowatym tonem. – Natychmiast.

Kilkoro dzieci nieudolnie próbowało go złapać i zatrzymać, ale je odepchnął. Przeszedł mnie dreszcz satysfakcji. Teraz to ja miałam władzę. Trzymałam Knoksa tak mocno, że walczył z innymi, by się do mnie dostać. Zrzucił sznurową drabinę z krawędzi mostu i zaczął z niej schodzić.

– Co się dzieje?! Co ty wyprawiasz?! – zawołał jakiś głos.

Knox minął leżącą na ziemi Vidę, która obserwowała całe zajście z szeroko otwartymi oczami. Nie wiem, czy właśnie wtedy zdała sobie ze wszystkiego sprawę, czy po prostu chciała wykorzystać sytuację, ale podniosła lepką od sadzy i potu twarz i podłożyła Knoksowi nogę, zwalając go na ziemię prosto do moich stóp.

– Jesteście zadowoleni?! – wrzeszczała na niego i otaczające nas dzieci. – Podnieca was to?! Przeszliśmy waszą kretyńską próbę?!

Wyglądało na to, że tylko jedna osoba decydowała o tym, czy ktoś przeszedł inicjację, czy nie, i ta osoba właśnie upadła przede mną na kolana.

– Chcę, żebyś przeprosił – powiedziałam. – W tej chwili. Przepróś Masona. I wszystkie obecne tu dzieci za to, co im zrobiłeś, za to, że nigdy nie dostały od ciebie tego, czego potrzebowały i na co zasługują. Za to, że kazałeś im walczyć przeciwko innym dzieciom i udawać, że to jedyny sposób, by przetrwać w tym świecie. – Uklęłam. – Przepróś też za dzieci, które zostawiłeś na mrozie na śmierć... Za te, które uznałeś za bezwartościowe i postanowiłeś traktować jak niewidzialne. Na twoje nieszczęście ja zobaczyłam je bardzo wyraźnie.

– Przepraszam – wydał z siebie ledwie słyszalny szept, cień słowa.

Kilkoro dzieci westchnęło, ale większość całkowicie oniemiała. Po otaczających mnie twarzach widziałam jednak, że jedno słowo to za mało. Że zupełnie nie wystarczy.

– Zdradź im swoje prawdziwe imię – zażądałam.

Jego źrenice rozbiły się, jakby usiłował zwalczyć moją kontrolę. Chwyciłam go więc jeszcze mocniej i widząc, jak się trzęsie, nieznacznie się uśmiechnęłam.

– Wes Truman – wymamrotał.

– Czy to ty jesteś Uciekinierem, Wes?

Potrząsnął głową, wbijając oczy w ziemię.

– Wyznaj im, jak zdobywałeś zapasy – powiedziałam, pozwalając, by lód skuł każde moje słowo. – Przyznaj się, co się dzieje z dziećmi z Białego Namiotu, kiedy potrzebujesz kolejnej paczki fajek.

Usłyszałam szurające kroki, ale nie spuszczałam oczu z żalosnej postaci kulającej się u moich stóp.

– Wymieniam je...

– Dobijasz targu z SSP? – Nie odpuszczałam.

Przygryzł usta i skinął głową.

Otoczająca nas cisza została przerwana. Dobiegały mnie teraz jęki zaskoczenia, okrzyki oszołomienia, słabe protesty i jedno powtarzane w kółko słowo: „Pomarańczowa”.

– Niech ktoś ją zabije! Zastrzelcie ją! Zrobi to samo z nami wszystkimi! – krzyczał jakiś

chłopiec.

– Już wiecie, czym jestem! – zawołałam. – To oznacza, że możecie mieć pewność, że każde słowo, które wychodzi z ust Knoksa, jest prawdą. Okłamywał was i traktował, jakbyście byli bezwartościowi i niezdolni do podejmowania własnych decyzji, ale to się dzisiaj skończy. I to w tej chwili. – Odwróciłam głowę, żeby znowu spojrzeć na Knoksa, który bezwiednie wpatrywał się w swoje dłonie. – Chcę, żebyś odszedł i nigdy nie wracał... Chyba że... – Podniosłam oczy na patrzące na nas z góry twarze. – Chyba że ktoś ma z tym jakiś problem.

W głębi serca wiedziałam, że wiele z tych dzieciaków nie odzywa się ze strachu. Chłopcy, którzy wcześniej protestowali, ucichli w chwili, gdy omiotłam ich spojrzeniem. *Tak naprawdę wszyscy się zgadzacie* – pomyślałam. – *I nigdy tego nie pożałujecie.*

Poszło jak z płatka. Wystarczyło, że ostrożnie – by nie wzbudzać podejrzeń – umieściłam w ich głowach odpowiednie obrazy, a chłopcy skinęli głowami i wycofali się w cień. Spuściłam oczy na Knoksa i przygryzając usta z obrzydzenia, zalałam jego myśli własnymi wizjami. Pokazałam mu jego samego brnącego przez zlodowaciały śnieg – kaszłał, był słaby i bezbronny i w końcu znikał na zawsze. Pragnęłam, żeby doświadczył wszystkiego, przez co przeszedł Liam. By w takim samym stopniu poczuł dezorientację, ból i gorączkę. Chciałam, żeby pochłonął go świat, który go stworzył.

Patrzyłam, jak wstaje, raniąc sobie dłonie o chropowaty beton. Poruszał się powoli – kulał, klucząc między dziećmi stłoczonymi przy powalanej ścianie. Przez jedną krótką chwilę myślałam, że go zatrzymają i zwrócą się przeciwko mnie. Zobaczyłam jednak, jak stojąca przed Olivią dziewczynka robi wielki krok w bok, po czym splatając ręce na piersi, patrzy zimnym nieugiętym wzrokiem, jak Knox znika w ciemności. Reszta poszła w jej ślady i usuwała mu się z drogi. Wokół zapanował hałas – wszyscy syczeli, spluwali i warczeli, wyrażając emocje, których słowa nie byłyby w stanie wyrazić. Po chwili dzikie odgłosy odezwały się również wśród dzieci siedzących nad nami, dając ujście całej złości, strachowi i beznadziei, tłumionym przez miesiące, a nawet lata. Było to tak intensywne, że aż zaparło mi dech w piersiach. Przycisnęłam sobie dłoń do gardła – pod palcami dudniło mi tętno.

Knox w jednej chwili panował nad tym przybytkiem, a w następnej z niego odchodził. Czułam, że furia, która mnie napędza, opuszcza magazyn razem z nim, znikając jak stare wspomnienie i wtapiając się w czarną noc. Nagle stwierdziłam, że to zbyt lekka kara. Przez moment chciałam go zawołać i zawrócić. Przecież zasługiwał na coś dużo gorszego. Czemu miałam pozostawiać mu jakąkolwiek szansę na przeżycie, skoro on nie znalazł w swojej przeklętej mrocznej duszy na tyle litości, by choć raz okazać ją otaczającym go dzieciom?

Vida ociężale ruszyła w moim kierunku, wlepiając we mnie zmęczone oczy. Trzymała się na dystans, ściskając porozrywane spodnie. Patrzyła na mnie, jakby widziała mnie pierwszy raz w życiu. Chciałam zapytać, co się dzieje, ale poczułam, że ktoś bierze mnie pod ramię i odwraca do siebie.

Pulpet zaciskał usta w cienką linię. Nie widziałam jego oczu, bo skrywały je szkła okularów, w których odbijały się płomienie. To niewiarygodne, ale po tym wszystkim, co się wydarzyło, wciąż miałam w sobie wystarczająco dużo siły, żeby wyzwolić się z jego uścisku i go odsunąć. Pulpet jednak znowu mnie złapał i próbował wyprowadzić z dala od spojrzeń, które wbijały mi się w plecy.

Nie bałam się już tych dzieci ani tego, co mogą mi zrobić. Gdybym potrafiła znaleźć słowa, powiedziałabym Pulpetowi, że kiedyś nie byłam wystarczająco silna, by utrzymać naszą grupę razem. Że nie miałam wystarczającej kontroli ani mocy, by uchronić jego i pozostałych przed światem, który chciał nas rozdzielić. Teraz je miałam.

Nastrój wokół mnie cały czas się zmieniał. Czułam tak silne mentalne połączenie ze



wszystkimi otaczającymi nas dziećmi, że mogłam praktycznie smakować ich ulgę jak zimny, słodki deszcz na języku. Dopiero po pewnym czasie zorientowałam się, że czekają, abym wykonała jakiś ruch.

Kątem oka zobaczyłam, jak Jude przepycha się przez tłum, dysząc ciężko z wysiłku. W dłoni świecił mu komunikator, wibrując tak głośno, że jego dźwięk dobiegał do moich uszu. Na twarzy chłopca malowało się jedyne potwierdzenie, jakiego potrzebowałam – uśmiech.

Ale w jednej chwili jego oczy się zmieniły i stało się jasne, że już mnie nie widzi. Jude patrzył teraz na roztaczające się wokół pobojowisko i płonący beton. Na Masona i jego puste oczy utkwione w czymś poza granicami naszego widzenia.

– Wszystko w porządku – zwróciłam się do niego, przełamując ciszę. – Nic nam nie jest.

Nie wiem, czy reszta dzieci uwierzyła moim słowom, ale wszyscy i tak ruszyli za mną ku wyjściu.

*Jeśli to słyszysz, jesteś jednym z nas. A jeśli jesteś jednym z nas, możesz nas odszukać.*  
*Jezioro Prince. Wirginia...*

Dźwięk głosu Clancy'ego wydobywający się z głośników niewielkiego radia sprawił, że zjeżyły mi się włosy na karku. Olivia ustawiła urządzenie na krawędzi podestu Knoksa – Jude naładował baterie na tyle, żeby zapewnić nam pięć minut niezakłóconego słuchania.

– Czemu ciągle to emitują? – zapytałam. – Myślałam, że nadają to z East River.

Olivia pokręciła przecząco głową.

– Clancy stworzył kilka linii przekazu, by móc przesyłać tę wiadomość daleko na zachód, aż do Oklahomy. Pewnie nie chciało mu się ich likwidować.

Zgromadziliśmy w magazynie wszystkie dzieci i po raz pierwszy byłam w stanie mniej więcej oszacować, ile nas było. Wokół odbiornika, wsłuchując się w słowa Clancy'ego oraz trzaski i szum, stało pięćdziesięcioro jeden dzieci.

W końcu Olivia, najwyraźniej zmęczona słuchaniem w kółko tego samego, wyłączyła urządzenie. Razem z transmisją zniknęły też cisza i spokój. Wzburzone głosy dzieci wznosiły się aż pod sklepienie, a dobiegające ze wszystkich stron pytania odbijały się rykoszetem od przemokniętych betonowych ścian. Zgromadzeni chcieli wiedzieć, do kogo należy głos, skąd wziął się odbiornik, czemu dzieci z Białego Namiotu zostały wniesione do środka i dlaczego położono je najbliżej kublów z ogniem.

– Czy to dla was wystarczający dowód? – rzuciłam. – Knox tylko udawał, że jest Uciekinierem, a to nie jest East River.

Złościło mnie, że w ogóle musimy to robić. Większość dzieci uwierzyła moim słowom minionej nocy, ale kilkoro myśliwych ciągle pozostawało lojalnymi wobec Knoksa. A może nie chodziło o lojalność? Może po prostu się bali, że bez kretyńskich przywilejów nadanych im przez przywódcę lwia część zapasów, które obiecałam zdobyć, przejdzie im koło nosa?

A może naprawdę ulegli sugestii i uwierzyli, że są w East River?

Usiadłam obok Olivii na krawędzi podestu. Patrzałam na stojące przede mną dzieci, dostrzegając coraz to nowe ślady okrucieństwa Knoksa. Poparzenia, głód, który wybałuszał im oczy, oraz przerażenie pojawiające się za każdym razem, kiedy w dziurawym dachu zawył wiatr.

– Czy potrzebujecie więcej dowodów? – zapytała Olivia, odwracając się do chłopca w bieli stojącego bezpośrednio przed starym odbiornikiem.

Brett przestał być jedynie żołnierzkiem Knoksa. Zamienił się w siedemnastolatka, który całe życie spędził w Nashville, nigdy nie postawił stopy w obozie i najwyraźniej powoli zaczynał rozumieć, co się stało.

– Puść to jeszcze raz – powiedział zachrypniętym głosem. – Ostatni raz.

Clancy miał w sobie coś – może była to pewność siebie – co zmuszało człowieka, żeby wysłuchał go do końca, do ostatniego słowa. Potarłam grzbietem dłoni czoło i kiedy w końcu wypowiedział przeciągnięte słowo „Wirginia”, wypuściłam powietrze.

– Skąd wiecie, że to prawdziwy Uciekinier? – dopytywał Brett.

To właśnie on wezwał do magazynu pozostałe trzy grupy myśliwych i ich przywódców: Michaela, Fostera i Diego. To również on nalegał, by nas pilnowano, kiedy przeprowadzaliśmy łamiący serce pochówki Masona. Nie zaproponował żadnej pomocy ani dobrego słowa nawet wtedy, kiedy pękały mi pęcherze na dłoniach, gdy z wysiłkiem usiłowałam wbić łopatę w zamrzniętą ziemię.

Rozumiałam go jednak. Byliśmy dla nich obcy i zburzyliśmy porządek. Martwiłam się

tylko, że będzie tak zły i niechętny naszej małej rewolucji, że przekona innych, by nie brali udziału w wyprawie po jedzenie i leki. Nawet teraz widziałam, jak raz po raz odwraca głowę i strzela oczami w kierunku miejsca, gdzie Pulpet klęczał przy chorych.

Zaczynałam rozumieć, że to on jest teraz zasadniczym ogniwem w łańcuchu plemiennej społeczności. Wiedziałam, że jeśli stanie po naszej stronie, reszta odruchowo zrobi to samo. Ale mieliśmy coraz mniej czasu – czułam to, widząc, jak Pulpet zaciska usta za każdym razem, kiedy mierzy Liamowi temperaturę.

– Przysięgam, że mówię prawdę – powiedziała Olivia. – Wystarczająco długo milczałam, myśląc, że Knox się poprawi albo zmieni. Tak się jednak nie stało. Robił się coraz gorszy i gdyby Ruby go nie wypędziła... nie wiem, do czego by się posunął. Jestem jednak pewna, że żadne z tych chorych dzieci by tego nie przeżyło.

– Naprawdę wymieniał chorych na zapasy? Mówił, że próbowali uciekać i że dał im naukę – odezwała się dziewczyna, która siedziała Knoksowi na kolanach w dniu, kiedy nas złapano. Była jedną z pierwszych osób, którym wręczyłam koc.

Po wypędzeniu Knoksa opróżniliśmy zagracony budynek, w którym przechowywano różne przedmioty, i rozłożyliśmy je na środku magazynu, żeby wszyscy mogli zobaczyć, co przed nimi chowano. Niektóre ze starszych dzieci były na tyle odważne, żeby sięgnąć po swoje rzeczy, ale większość patrzyła na nas zdeorientowana, nie rozumiejąc, co się dzieje.

Olivia skinęła głową, wzbudzając wśród tłumu kolejną falę pomruków.

– Wymienił jedenaścioro z nich... Przynajmniej odkąd tu trafiłam.

– Robił to, bo tylko tak mógł zdobyć jedzenie – warknął Michael. – Trzeba być gotowym na poświęcenia i to właśnie jest sprawiedliwe.

– Sprawiedliwe? Chore dzieci mają umrzeć z głodu, bo są za słabe, by pracować, a skoro nie mogą pracować, nie mają szans na wyzdrowienie? I to według ciebie jest w porządku? – odparowała. Podniosła się i stanęła na podeście. Odrzuciła swoje oklapnięte blond włosy do tyłu i wyprostowała się, górując nad pozostałymi. – Zrozumcie, nasze życie nie musi tak wyglądać. Byłam w East River i widziałam, jak to może działać. Spędziłam tam kilka mroźnych zim i upalnych letnich miesięcy i nigdy nie głodowałam, nigdy. Nigdy się nie bałam... To było dobre miejsce, bo dbaliśmy o siebie nawzajem.

Czekałam, aż Olivia wyleje na nich kubel zimnej prawdy... Byłam ciekawa wyrazu ich twarzy, kiedy usłyszą, że bezpieczna przystań, o której im opowiedziała, już nie istnieje, a jej twórca okazał się zwykłym kłamcą. Spostrzegłam jednak, że napięcie na twarzy Bretta maleje z każdym jej słowem. Wiedziałam, że nie jest mu łatwo pojąć, co się wydarzyło i zaakceptować prawdę, ale zobaczyłam, jak w końcu zaczyna kiwać głową.

– Możemy stworzyć coś takiego tutaj – ciągnęła Olivia. – Wiem to. Mamy teren, żeby uprawiać ziemię, i znamy sposoby, by wzmocnić ochronę. Uciekinier nie musi być pojedynczą osobą, a East River tylko jednym miejscem. Możemy sobie stworzyć własną bezpieczną przystań.

– I mamy to zrobić za pomocą tego? – oburzył się Michael, dźgając palcem w kierunku marnej sterty leżącej na środku magazynu. – Jesteś równie głupia, jak brzydka.

Kiedy potrząsał głową, rozchylił mu się podarty kołnierzyk koszuli, odsłaniając jasnoróżowe pręgi blizn po poparzeniach, wybrzuszające mu skórę na szyi i ramionach.

– Hej! – warknął Brett i zrobił ostrzegawczy krok w jego stronę, na co Michael wycofał się z szyderczym uśmieszkiem.

– Na początek postarajmy się, żeby chore dzieci przeżyły – mówiła dalej Olivia. – Żebyśmy wszyscy przetrwali tę zimę. Jeśli wyruszyacie po zapasy ze mną i Ruby, będziemy mieli co jeść przez wiele miesięcy. Ocalimy chorych, a przy okazji samych siebie.

– Zdradzisz nam łaskawie, gdzie się znajduje ta magiczna kraina obfitości? – Michael nie odpuszczał.

– W jednym z hangarów na lotnisku Johna C. Tune’a – odparła Olivia, patrząc chłopakowi prosto w oczy. – Czy ktoś wie, gdzie to jest?

Brett podniósł rękę.

– Kilkanaście kilometrów na zachód. Tak mi się wydaje... Maksymalnie piętnaście.

– W porządku – powiedziała Olivia. – Damy radę. – Była tak chuda, że džinsy zwisały jej luźno z bioder, w połowie schowane pod kurtką, którą wyłowiła dla siebie ze sterty.

– Nie ma mowy – warknął Michael. – To *pułapka*. Każdy, kto zdecyduje się dołączyć do tego cyrku, zasługuje na to, co go czeka.

Ubrani w białe stroje myśliwi zaczęli się nerwowo kręcić. Poczułam, że macki mojego umysłu drgnęły, ale kiedy spojrzałam na Michaela, Olivia znowu przemówiła:

– Zrozumcie, że jeśli się nam uda, a wierzę w to z całego serca, będziemy musieli zmienić panujące tu zasady. Nie możemy być po prostu plemieniem Niebieskich. Nie... *Nie*, posłuchajcie mnie! – podniosła głos, usiłując przekrzyczeć zaskoczone głosy protestu. – Tu nie chodzi o kolory. Nigdy nie powinniśmy byli dopuścić do segregacji. Musimy odrzucić dyskryminację. To powinno być miejsce, w którym panuje szacunek. Jeśli ktoś nie szanuje innych dzieci i ich umiejętności, jeśli nie jest gotowy, by pomóc im je zrozumieć, nie ma tu czego szukać.

– I mamy się na to zgodzić, bo ty tak postanowiłaś? – naciskał Michael. – Za kogo ty się uważasz, że próbujesz się wymądrzać? Mieliśmy system, który działał całkiem sprawnie. Mamy wpuścić w swoje szeregi jakieś miernoty? Nie bez powodu trzymamy się tylko z Niebieskimi: reszta kolorów jest tak cholernie żalosna, że nie potrafi się nawet obronić.

Olivia się zawahała – jej niskie poczucie własnej wartości wrzało pod powierzchnią pokrytej bliznami skóry. Wątpliwości, które się w niej zrodziły, zaczynały oddziaływać na wszystkich stojących w pobliżu. Zdawała się kurczyć w oczach. Poczułam, jak przechodzi mnie niewielki dreszcz paniki i serce zaczyna mi mocniej bić. Jeszcze nie skończyliśmy. Potrzebowałam jej pomocy. Potrzebowałam jej siły.

– Naszym kolorem jest czerń – powiedziałam. Przebiłam się przez napór wspomnień, pozwalając, by te słowa mną owładnęły. Usłyszałam je delikatnie zmiękczonym południowym akcentem Liama, dokładnie tak jak wtedy, gdy wiele miesięcy wcześniej wypowiedział je po raz pierwszy. – Naszym kolorem jest czerń.

Zrozumiała. Nie musiałam jej tego wyjaśniać, a zresztą nie istniały słowa, które mogłyby opisać, czym było dla nas East River. Przebywałyśmy tam razem, razem pracowałyśmy, żyłyśmy i przetrwałyśmy. East River nie było obozem, ale ideą i naszą Gwiazdą Polarną. Naszym wyznaniem. Owszem, Clancy był Uciekinierem, ale było nim również każde dziecko, które wymknęło się systemowi. Które nie siedziało cicho i nie wstydziło się tego, kim jest.

– Bycie rozsądnym nie oznacza bycia miękkim – rzuciłam. – Możecie zostać albo odejść. Droga wolna. Pamiętajcie jednak, że jeśli odejdziecie, zostanieie sami. A wiercie mi, świat na zewnątrz nie jest przyjazny.

– Zgadza się – odezwała się w końcu Olivia. – Jeśli chcecie iść, zróbcie to teraz. Ale wiedźcie, że od pierwszego kroku już nigdy nie przestaniecie uciekać. Nigdy. Aż w końcu was złapią.

– Co za bzdury! – krzyknął Michael. – Nie zgadzam się! Jeśli myślisz, że którykolwiek z chłopaków cię poprze...

– W takim razie do widzenia – powiedziała Olivia. – Jeśli wam się nie podoba, to spadajcie. Może się nam udać jedynie wtedy, kiedy zostanieie tu z własnej woli. Bierzcie, czego wam trzeba, i w drogę.

Zeskoczyłam z podestu i ruszyłam prosto w kierunku Michaela. Z daleka wydawał mi się niebezpiecznym twardzielem, ale kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że cały się trzęsie. Był ode mnie o głowę wyższy i dużo postawniejszy, a do tego uzbrojony, ale to nie miało znaczenia. Nie musiałam się włamywać do jego głowy, żeby wiedzieć, że przed oczami ma minioną noc. Że jego myśli krążą wokół tego, co zrobiłam Knoksowi.

*Nie możesz teraz na niego wpłynąć*, powiedział mi wewnętrzny głos.

Świadomość, że nie mogę go zmanipulować, nagle rąbnęła mnie prosto w zęby i totalnie zmroziła. Byłam w stanie to zrobić, ale nie w tym tkwił problem. Michael był mi tak otwarcie i szczerze wrogi, że gdybym teraz przeciągnęła go na swoją stronę, jego cudowna, nagła odmiana wzbudziłaby podejrzenia. Wszyscy zaczęliby się obawiać, że to samo mogę bez wahania zrobić każdemu z nich. Wciąż wzbudzałabym jedynie strach, a nie chciałam, by to motywowało dzieci do działania.

Michael wbijał we mnie wzrok, oddychając ciężko. Olivia w jednej chwili znalazła się za mną ze splecionymi na piersi rękami. Chłopak oblizał usta i ruszył do przodu – stara myśliwska strzelba klekotała mu u boku, poruszając się w rytmie jego kroków.

– Nie, stary. Daj spokój – zaprotestował jeden z ubranych na biało chłopców i chwycił go za rękę. – Nie musimy tu zostawać.

Michael wzdrygnął się, strząsając dłoń chłopaka, po czym ruszył w kierunku drzwi do doku załadunkowego. Nagle odwrócił się do Brett.

– Ty też dałeś się jej omamić?

– Jeśli coś idzie źle, trzeba to naprawić – powiedział cicho Brett.

Tylko czterech z ośmiu członków ekipy myśliwskiej Michaela wyszło za nim. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem, żaden nie wziął nic ze sterty rzeczy leżącej na środku ani nie zwrócił uwagi na falę rąk wyciągniętych ku nim w cichym pożegnaniu. Żaden też nie odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć.

Zobaczyłam rodzący się w umyśle Michaela plan, zupełnie jakby chłopak otworzył książkę i przewracał dla mnie strony. Widziałam, jak całą grupą wracają nocą do obozu, jak zakradają się do magazynu, omiatają serią z karabinów skulone w kocach śpiące dzieci, a następnie wynoszą wszystkie zapasy, które udało się nam zdobyć.

Poczułam, jak kręgosłup zamienia mi się w granit, a następnie w stal. Potrząsnęłam głową i całkowicie wymazałam te chore rojenia z jego czaszki.

– Ktoś jeszcze? – zapytała Olivia, przyglądając się stłoczonym przed nią dzieciakom. – Nie? Dobrze, w takim razie bierzmy się do roboty.

Byli mieszkańcy Białego Namiotu zostali ułożeni obok sterty zapasów i otoczeni pierścieniem płonących kublów na śmieci, które zapewniały im ciepło. Kiedy przechodziłam przez krąg ognia, zapach dymu przywoływał mi na myśl jedno mroczne wspomnienie po drugim. Wzięłam głęboki oddech i przycisnęłam dłoń do ust, czekając, aż twarz Masona zniknie mi spod powiek, po czym zaczęłam ostrożnie przechodzić nad śpiącymi dziećmi. Znowu leżały w dwóch rzędach, ale nie były tak stłoczone jak przedtem.

Na mój widok pochylający się nad ramionami Vidy Pulpet podniósł oczy.

– Jesteś w tym do kitu! – warczała na niego dziewczyna. – Równie dobrze mógłbyś mnie potraktować grabiami! Polej to wodą i zostaw mnie w spokoju, do cholery!

Siedziała na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, opierając łokcie na kolanach i mocno wciskając twarz w dłonie. Za każdym razem, kiedy na nią patrzyłam, doznawałam szoku – była jak nieznośne przypomnienie minionej nocy. Kiedy wróciliśmy po walce do magazynu, okazało się, że jej długich włosów nie da się ocalić. Na szczęście zdołała ugasić płomienie, zanim dotarły do skóry głowy, niebieskie kosmyki zwęgliły się jednak i sterczały na wszystkie strony

w nierównych kępkach. Kiedy się zobaczyła, z szaleństwem w oczach sięgnęła po mały nóż, który Jude przeszmuglował ze składu, i sama je sobie obciąła. Krótkie kręcone pasemka zwijały jej się teraz wokół uszu i brody.

– Grabie naprawdę przyspieszyłyby całą sprawę – burknął Pulpet. – Podejrzewam jednak, że doceniasz luksus posiadania skóry na plecach. – Oblizał pot z górnej wargi.

Mozolne usuwanie zwęglonych skrawków materiału z ran po poparzeniach na ramionach Vidy trwało już od ponad godziny i wszyscy mieliśmy serdecznie dość połajanek, które temu towarzyszyły.

– Odejdź stąd! – syknęła na mój widok. – Strasznie cuchniesz!

– Jak idzie? – zapytałam, kucając przy Pulpecie.

– Nie najlepiej – wymamrotał. – Ale też nie najgorzej.

– Przysięgam, że cię zamorduję. – Głos Vidy trząsł się od silnego bólu. – Rozkwaszę ci gębę!

Szczypce w palcach Pulpeta na krótką chwilę zastygły w bezruchu. Odchrząknął, a kiedy znowu się odezwał, w jego tonie nie było ani cienia współczucia.

– Proszę bardzo. Jeśli dzięki temu zapomnę o tobie na pięć minut, z chęcią pozwolę ci to zrobić.

– Mogło być dużo gorzej – pocieszyłam go, rozglądając się wokoło. – Mam listę leków, którą podyktowałeś Jude'owi. Czy jest jeszcze coś, czego mam dla ciebie poszukać?

Pulpet zanurzył w wodzie skrawek materiału.

– Sterylną gazę na poparzenia Vidy, jakiś środek dezynfekujący, na przykład waciki nasączone alkoholem... Po prostu kompletną apteczkę, jeśli coś takiego znajdziesz.

– Może jakieś dodatkowe leki? – naciskałam, powstrzymując się od patrzenia na nieruchome ciało Liama. – Coś jeszcze na zapalenie płuc?

Pulpet potarł czoło grzbietem dłoni i zamknął oczy.

– Nie ma nic innego, a i tak lekarstwo zadziała, tylko jeśli to zapalenie bakteryjne. Jeżeli jest wirusowe, nie wiem, czy w tym stadium nawet kroplówka by coś pomogła.

– Nie ma nic innego...? Nawet w twojej książce?

Wcześniej Pulpet skrupulatnie przegrzebał swoje rozkradzione rzeczy w poszukiwaniu jakichś medycznych zapisków, które dostał od ojca. Dzięki nim mógł jeszcze raz zweryfikować listę leków, którą stworzył.

Potrząsnął głową z rezygnacją.

W gardle uwiązał mi palący krzyk. *NIE ON! Błagam, Boże, nie zabieraj mi go!*

Zastanawiałam się, czy właśnie tak czuli się rodzice małych dzieci, kiedy ujawniono istnienie OMNI i kiedy się dowiedzieli, że na dziewięćdziesiąt osiem procent ich pociechy nie przeżyją, niezależnie od tego, jak bardzo będą usiłowali im pomóc.

– Kiedy wyruszasz? – zapytał Pulpet. – Kto idzie z tobą?

– Za kilka godzin. Dołączy do mnie większość myśliwych, ale paru chłopaków zostanie z wami. Vida też.

Upiorny plan, który zobaczyłam w umyśle Michaela, wystarczył mi, żeby mieć się na baczności. Obawiałam się innych pomysłów, na które on i jego koledzy mogli wpaść, by odzyskać swoją siedzibę. Chciałam się przygotować, gdyby okazali się na tyle głupi, by spróbować jakichś sztuczek, i postanowiłam zgotować im powitanie, jakiego nigdy nie zapomną.

– I to ma mnie uspokoić? Niby jak? – zapytał Pulpet.

Vida sięgnęła za siebie, próbując go uderzyć.

– Dość tego – zawyrokowała i skoczyła na równe nogi.

Strzępy koszuli, którą Pulpet pociął, żeby opatrzyć jej rany, spadły mu z kolan, kiedy

bezsukutecznie usiłował ją zatrzymać. Po chwili oboje patrzyliśmy, jak Vida, kulejąc, wychodzi za krąg palenisk. Z każdym jej koślawym krokiem oczy Pulpeta coraz bardziej się zwiężały, a kiedy powoli zniknęła wśród tłumu dzieci, przyjaciel spojrzał na mnie pytająco.

– Tak – powiedziałam. – Musisz za nią iść.

Uniósł brwi na znak protestu.

– Dostanie zakażenia – przypomniałam mu.

– Świętego skłoniłaby do zbrodni: dźgałby ją nożem bez opamiętania.

– Dobrze, że nie jesteś święty.

Na te słowa Pulpet wstał, wcisnął mi ręcznik i wiadro ciepłej wody, po czym wykonał jakiś dziwny gest, wskazując na leżących za nami chorych.

– Wracam za pięć minut. Przydad się do czegoś i spróbuj dać im pić.

Ruszyłam wzdłuż rzędu dzieci, budząc je z trawionych gorączką snów i przykładając im do ust plastikowy kubek. Nie miałam wyjścia – żeby je napoić, musiałam na siłę otwierać im usta i wlewać wodę prosto do gardeł. Robiłam, co mogłam, wycierając im twarze i zadając pytania, poczynawszy od: „boli cię?”, a skończywszy na: „czujesz się gorzej niż wczoraj?”.

Tylko jedna dziewczynka była w stanie mi odpowiedzieć.

– Tak – wyszeptała. – Tak. – Na każde pytanie w odpowiedzi słyszałam pełne bólu, ciche „tak”.

Odgłos gwałtownego kaszlu zmusił mnie, bym spojrzała na drugą stronę, gdzie chłopak ze znajomą potarganą czupryną usiłował się uwolnić spod dziecięcego niebieskiego kocyka. Zobaczyłam, jak Liam próbuje się podnieść i oprzeć na łokciach i jak jego klatka piersiowa wznosi się i opada z wysiłku. Martwił mnie jego świszczący płytki oddech i drżące, słabe ręce.

– Przestań – powiedziałam, podchodząc do niego. – Już dobrze. Połóż się z powrotem.

Miał szeroko otwarte oczy i zaczerwienione, poznaczone schodzącymi siniakami powieki. Kiedy w końcu jego ręce się poddały, odruchowo przytrzymałam go za barki i ostrożnie położyłam. Nie spuszczał oczu z mojej twarzy – ich niebieski kolor był bledszy niż zwykle, a do tego zeszlony gorączką.

– Ostrożnie – szepnęłam. Po dotknięciu jego rozpalonej skóry moje dłonie wydały mi się równie zimne, jak puste, kiedy je cofnęłam.

– Co jest? – wydukał, z trudem przełykając ślinę. – Co się dzieje...?

– Pulpet musiał coś załatwić – odparłam łagodnie. – Zaraz wróci.

Liam lekko kiwnął głową i zamknął oczy z cichym westchnieniem. Wyciągnęłam rękę, żeby odgarnąć mu z czoła kosmyki włosów, ale w tej samej chwili odwrócił się do mnie i podniósł ciężkie powieki.

– Jesteś... bardzo ładna. Jak masz na imię? – Te słowa wyszły z jego ust przy akompaniamencie przerażających świstów i gwizdów, ale ułożyły się w tak składne zdanie, że poczułam się zupełnie zbita z tropu, i upłynęło kilka dłuższych chwil, zanim zdobyłam się na odpowiedź.

– Jestem Ruby.

– Ruby – powtórzył swoim ciepłym, pieszczotliwym głosem zabarwionym południowym akcentem. – Jak *Ruby Tuesday* Stonesów. Podoba mi się.

Następnie wyraz jego twarzy całkowicie się zmienił. Liam ściągnął brwi, jakby intensywnie się nad czymś zastanawiał, w kółko powtarzając bezdźwięcznie to jedno słowo.

*Ruby.*

Uklękłam przy nim, przysunęłam bliżej wiadro z wodą i podparłam się ręką, kładąc ją na ziemi obok jego odwróconej dłoni.

– Ruby – powtórzył, a jego jasne oczy zaszyły mgłą. – Ty... Cole powiedział...

Powiedział, że nigdy się nie spotkaliśmy, a ja miałem wrażenie... Miałem wrażenie, że to sen.

Przyłożyłam szmatkę do jego twarzy i delikatnymi ruchami zaczęłam z niej zmywać brud i sadzę. Stwierdziłam, że nie robię nic złego, w końcu nie dotykałam go bezpośrednio. Zarost na jego brodzie szeleścił cicho, kiedy go pocierałam. Skupiłam się na niewielkiej białej bliźnie w kącie jego ust. Poczułam wzbierającą we mnie czułość i z całej siły powstrzymywałam się, by go nie pocałować.

– Sen? – zapytałam, zachęcając go do mówienia. – Co to był za sen?

Nie, to niemożliwe. Zdarzało się, że ludzie czuli się zdezorientowani albo gubili się w szczegółach po tym, jak zamieszałam im we wspomnieniach. Jeśli jednak chodzi o umysł Liama, to przewertowałam wszystkie myśli, w których występowałam, i usunęłam je, zastępując obraz swojej twarzy nicością i cieniem.

Na jego ustach pojawił się wąły uśmiech.

– Przyjemny.

– Lee...

– Muszę... Czy kluczyki są...? – Jego głos robił się coraz słabszy. – Pójdziemy po... Zu jest chyba... Jest chyba w alejce z... W tej z...

*Alejce?*

– Nie chcę, żeby tamci ją zobaczyli. Zrobią im obu krzywdę...

Odsunęłam się, ale dłoń Liama jakimś cudem odnalazła moją i jego palce zakleszczyły się na niej, zatrzymując ją w miejscu.

– Jacy „tamci”? Zu jest bezpieczna. Nikt jej nie skrzywdzi.

– Supermarket... Kazałem jej... Kazałem jej iść razem z... Poszła... Nie, gdzie ona jest? Gdzie jest Zu?

– Jest bezpieczna – zapewniłam go, próbując uwolnić dłoń.

Trzymał ją jednak tak stanowczo, jakby chciał mnie zmusić, żebym coś zrozumiała, a im bardziej walczyłam, tym trudniej mu było oddychać. Przyłożyłam mu wolną dłoń do policzka, pochylając się nad jego twarzą.

– Liam, spójrz na mnie. Nic jej nie grozi. Musisz się uspokoić. Wszystko będzie dobrze. Zu jest bezpieczna.

– Bezpieczna... – To słowo zabrzmiało pusto. Wypowiadając je, Liam zamknął oczy. – Nie zostawiaj mnie – wyszeptał. – Nie idź tam, gdzie nie mogę za tobą pójść, proszę, *proszę*, nie rób mi tego kolejny raz...

– Zostanę przy tobie – powiedziałam, gładząc kciukiem jego policzek. Wiedziałam, że powinnam przestać i odejść. Natychmiast.

– Nie kłam – wymamrotał na wpół śpiąco. – Tutaj... Tutaj nie musimy...

Zerwałam się na równe nogi. Przed oczami eksplodowały mi kolorowe plamy, a uszy wypełniło pulsowanie krwi. Zakryłam dłonią usta, czekając, aż wróci mi zdolność widzenia, i usiłując się nie potknąć o leżące na ziemi dzieci. Wiedziałam, co chciał powiedzieć. Już kiedyś słyszałam te słowa, sama je wypowiedziałam, ale przecież... To nie było możliwe.

*Tutaj nie musimy kłamać.*

– Ruby?

Vida i Pulpet stali przed płonącymi kubłami, wpatrując się we mnie z jednakowym wyrazem troski. Nie wiedziałam, jak długo tam są ani ile słyszeli. Pulpet zrobił krok w moim kierunku, ale obojętnie machnęłam ręką.

– Wszystko dobrze, tylko Liam...

Przykucnęłam, chowając twarz w dłoniach, i wzięłam dwa głębokie, uspokajające wdechy.



Niemożliwe.

– Jesteś pewna? – zapytał Pulpet chłodniejszym tonem niż wcześniej. – Nie sądzisz, że może w końcu powinnaś przestać udawać?

Pokiwałam głową, wbijając wzrok w ziemię pod jego stopami. Żołądek skręcał mi się i podchodził do gardła. Słyszałam, jak Liam walczy z kocem owijającym mu nogi, i nagle myśli zaczęły mi się kotłować.

– Uważasz, że to w porządku tak mieszać mu w głowie? Teraz jesteś dla niego słodka i miłutka, a przecież ciągle chcesz tylko odzyskać pendrive’a i porzucić nas dla Ligi, prawda? Co będzie, kiedy się obudzi?

– Ruby będzie się krzątać i udawać, że w całym swoim smutnym, żalonym życiu nigdy go nie spotkała – rzuciła Vida, siadając nieopodal. – W tej misji chodzi tylko i wyłącznie o pendrive’a. Ruby dobrze o tym wie, prawda? O ile się nie mylę, powiedziała kiedyś, że nie pozwoli, by ta sprawa namieszała jej w uczuciach.

Przełknęłam ślinę.

– Wiem. Czy możesz...? Powiesz mu, czemu tu jesteśmy? – wymamrotałam do Pulpeta.

– Powiedzieć mu prawdę? – zapytał kąśliwie.

Zacząłem się pokasywaniem, ale już po pierwszym gwałtownym wdechu wiedziałam, że coś jest nie tak. Liam próbował uwolnić ręce spod koca, żeby chwycić się za gardło, walcząc o kolejny haust powietrza. Łapczywie otwierał i zamykał usta, starając się obrócić na bok, ale sam nie był w stanie tego zrobić. Nie wiem, które z nas zareagowało pierwsze. Kiedy dopadłam do niego, Pulpet już przy nim był, unosząc go, żeby się nie zadławił.

– Już dobrze – uspokajał przyjaciela, pochylając go do przodu, by poklepać go po plecach. Mówił spokojnie, ale na czoło wystąpiły mu krople potu. – Wdech, wydech. Już w porządku. Nic ci nie będzie.

Liam nie wyglądał najlepiej. Zaczęłam się bać.

*On umrze.* Chwyciłam się za włosy. Po tym wszystkim Liam miał tak po prostu przegrać walkę i umrzeć, odpływając tam, gdzie nie mogłam za nim pójść.

– Wody? – zapytała Vida, podchodząc do nas z plastikową butelką w ręce.

Nie mogłam znieść błysku w jej oczach, w którym wyczytywałam wyrok, jaki wydała na Liama, i litość, jaką żywiła do mnie.

– Nie – powiedział Pulpet. – Mogłaby zablokować drogi oddechowe. Ruby, on wyzdrowieje. Będę przy nim czuwał, nie pozwolę mu zasnąć i zadbam o to, żeby zmieniać mu pozycję. Ale potrzebuję leków. Potrzebuję płynów, ogrzewaczy, czegokolwiek. Szybko.

Pokiwałam głową, wbijając palce we włosy i zmuszając się do łapania jednego haustu wilgotnego powietrza po drugim.

– *Roo!* – Głos Jude’a przydryfował do nas chwilę przed tym, jak chłopiec pojawił się w kręgu płonących kublów. W ręce trzymał znajomą czarną kurtkę. – Znalazłem ją. Znalazłem!

Wszyscy troje go uciszyliśmy.

– Podejdź tu! – Machnęłam na niego, chwytając cenne znalezisko, zanim przez przypadek je podпали.

Wprowadzie we wspomnieniach Cole’a kurtkę spowijał cień i zdążyłam jedynie pospiesznie na nią zerknąć, stwierdziłam jednak, że ta wygląda dość podobnie. Nie była całkiem czarna – uszyto ją z ciemnoszarego grubego materiału i podszyto flanelą. Mimo że obecny właściciel już od dawna jej nie nosił, wciąż pachniała jak on. Lasem, dymem i potem. Czułam na sobie spojrzenia Pulpeta i Vidy, kiedy przebiegałam palcami wzdłuż szwów, by w końcu trafić na twarde prostokątne wyrzuszenie, które Cole wszył w ciemną podszewkę.

– Ma rację. – Podałam kurtkę Vidzie. – Na razie to zostawcie. Weźmiemy pendrive’a,

gdy będziemy stąd odchodzić.

Moje oczy z powrotem spoczęły na poszarzałej twarzy Liama. Wykrzywił ją wysilek kolejnego ataku kaszlu. Z jakiegoś powodu Lee wydał mi się jednak silniejszy, jakby zdołał wykrztusić trochę tego, co blokowało mu drogi oddechowe. Jude stał za mną, równie poruszony całą sytuacją. Duma, która jeszcze przed chwilą biła z jego twarzy, wyparowała. Zaciskał mocno palce na moim ramieniu, jakby chciał dodać mi otuchy – albo pokrzepić samego siebie.

– Możesz pójść powiedzieć Olivii, że jestem gotowa? – poprosiłam. – I jeszcze jedno. – Złapałam go za tył koszulki. – Znajdź sobie coś cieplejszego do ubrania, dobrze?

W odpowiedzi zasalutował mi niezgrabnie. Vida uniosła brwi, patrząc, jak się oddala, i zrobiła taką minę, jakby chciała mi powiedzieć: „już to widzę”. Może miała rację – może powinnam zostawić go z nimi... Nie miałam jednak pojęcia, czy nie przyjdzie się nam mierzyć z jakąś elektroniką. Jude może i nie umiał trafić do celu, nawet jeśli miał go przed nosem, ani przebiec więcej niż trzydziestu metrów, ale jako Żółty został specjalnie wyszkolony, żeby rozbrajać elektroniczne zamki i systemy bezpieczeństwa.

Pomogłam Pulpetowi z powrotem położyć Liama. Zanim zdążyłam zareagować, chwycił mnie za rękę, a jego oczy prześlizgnęły się z bladej twarzy chorego przyjaciela na moją.

– Czy teraz naprawdę jest lepiej, niż gdybyście zostali razem?

Wzdrygnęłam się.

– Zastanawiasz się, czy *przypadkiem* odrobinę nie przeceniłaś jego możliwości? Nie bardzo mu wyszło samodzielne dbanie o siebie, co?

Pewnie nie było lepiej, ale niekoniecznie było też gorzej. Pulpet mógł rozdrapywać tę ranę bez końca i pokazywać mi, jak bardzo krwawi, bo tego nie rozumiał.

Leżący przed nami Liam był odzwierciedleniem rzeczywistości, w której przyszło nam żyć. Choć było to okrutne i trudne, przynajmniej nie stał się tym, w kogo zamieniłaby go Liga – bezlitosnym odbiciem wizji, jaką miała o świecie.

– Nie podoba mi się to.

– Wiem – wyszeptałam. Pochyliłam się nad wymęczonym ciałem Liama, żeby objąć Pulpeta za szyję.

Nawet jeśli zaskoczył go mój przyływ czułości, nie okazał tego. Poklepał mnie delikatnie po plecach, po czym się odwrócił, żeby dokończyć czyszczenie ran Vidy.

– Wkurzasz mnie jak diabli, ale jeśli coś ci się stanie, to tego nie przeżyję. Jesteś na sto procent pewna, że wiesz, co robisz?

– Tak – powiedziałam. Niestety. – Jestem wyszkolona, pamiętasz?

Jego usta wykrzywił kwaśny uśmiech.

– A pomyśleć, że kiedy cię znaleźliśmy...

Nie musiał kończyć. Wiedziałam, czym byłam, kiedy na nich trafiłam – przerażonym cieniem dziewczyny zdeptanej przez los. Nie miałam niczego, nikogo ani żadnego miejsca, gdzie mogłabym pójść. Może wciąż byłam połamana, może tak miało być już zawsze – ale teraz przynajmniej próbowałam się poskładać, sklejając pokruszone kawałki, jeden po drugim.

Wyruszyliśmy zaraz po zachodzie słońca. Wcześnie zapadający zmrok był jedną z niewielu zalet szybko nadchodzącej zimy. Próbowałam obliczyć, ile dokładnie czasu minęło, odkąd wyruszyłam na poszukiwanie Liama. Dwa tygodnie? Może nawet mniej. Był grudzień. Przypomniałam sobie cyfrowy wyświetlacz na dworcu kolejowym w Rhode Island. Liczyłam od tyłu.

– Przegapiliśmy twoje urodziny – powiedziałam do Jude’a.

Szliśmy w ogonie grupy, podczas gdy Olivia i Brett maszerowali na jej czele.

Jude nucił pod nosem jakiś kawałek Springsteena, ale na moje słowa urwał nagle.

– Co?

– Były w zeszłym tygodniu. – Wyciągnęłam rękę, żeby go podtrzymać, kiedy przeskakiwał przez zwalone drzewo. – Dziś jest osiemnasty grudnia.

– Serio? – Jude splótł ręce na piersi i zaczął pocierać sobie ramiona. – Chyba rzeczywiście czuję się inaczej.

– Piętnaście lat – powiedziałam i zagwizdałam cicho. – Latka lecą, staruszk.

Zaczęłam odwijać z szyi wełniany szalik, ale machnął ręką na znak, że go nie chce, i ruszył przed siebie, szeleszcząc odzyskaną kurtką ratownika medycznego. Jak na tak liczną grupę poruszaliśmy się dość cicho i tylko od czasu do czasu ktoś następował na suchą gałązkę albo lód na zmrożonej kałuży. Co więcej, Brett twierdził, że ciągle jesteśmy głęboko w sercu parku narodowego, gdzie raczej nie powinniśmy się na nikogo natknąć.

– Nie wierzę! Znalazłeś go? – rzuciłam na widok srebrnego przedmiotu, który Jude ściskał w dłoni.

Chłopiec wyciągnął przede mną swój stary kompas – prawie płaski krążek, którego srebrna powłoka błyszczała teraz w świetle przebijającego się przez gałęzie księżyca. Sięgnęłam po niego i położyłam sobie na środku dłoni – był ciepły, w dwóch miejscach miał pęknięte szkiełko.

– Tak, znalazłem – powiedział, zabierając go z powrotem. – Przez sekundę... Zresztą nieważne.

– Jak to nieważne? – powtórzyłam z niedowierzaniem. – Co się dzieje?

– Chodzi o to, że przez sekundę byłem naprawdę szczęśliwy, że go znalazłem, wiesz? A potem zacząłem myśleć, że może nie powinienem go ze sobą brać.

– Bo?

– Bo dał mi go Alban. Kilka dni po tym, jak trafiłem do Bazy. Mówił mi, że jest dumny, iż stałem się częścią Ligi, ale teraz... Teraz ja sam nie jestem już z tego taki dumny.

Westchnęłam głęboko, szukając właściwych słów. Jude znowu wzruszył ramionami i przełożył przez głowę sznurek, na którym wisiał kompas. Błyszczący krążek zniknął pod jego kurtką, a ja pomyślałam sobie, że teraz wiem, co nas od siebie diametralnie odróżnia. Od chwili, gdy odkryłam prawdę o otaczającym mnie świecie, nie byłam w stanie wrócić do swych dawnych marzeń. Jude natomiast ciągle przechowywał w sercu nadzieję, która czekała spokojnie, aż będzie gotowy po nią sięgnąć. Po wszystkim, co się wydarzyło, nadal wierzył, że Ligę można zmienić, ulepszyć, uzdrowić.

Ciągle byłam w dobrej formie fizycznej, ale wspinanie się na jedno wzgórze po drugim w gęstej mazi świeżo opadłych liści, przy jednoczesnym wysiłku, by nie wracać myślami do Liama, zaczynało naprawdę dawać mi w kość, zwłaszcza że czułam potworny głód. W ciągu półgodziny Jude’owi zaburczało w żołądku przynajmniej cztery razy i chociaż tak jak reszta

z nas zaciskał zęby i nie marudził, widziałam, że też zaczyna opadać z sił.

– Już niedaleko – zapewniłam go, rzucając niechętnie spojrzenie na tył głowy Brett.

To nie była jego wina. Nie mieliśmy samochodów, żeby wszystkich przewieźć.

Rozmawialiśmy wprawdzie o możliwości spłynięcia tratwami po Cumberland River, ale Brett uważał, że chociaż od powodzi upłynęło kilka miesięcy, prąd rzeki jest ciągle zbyt zmienny. Szliśmy więc pieszo z wyciętymi z płótna namiotów prowizorycznymi torbami, do których mieliśmy zapakować zdobycze.

Przeszliśmy piętnaście kilometrów, osiemnaście, dwadzieścia. Palce zupełnie mi zeszywniały i nawet wkładanie pod pachy nie pomagało ich rozgrzać. Jude zacisnął usta i mocniej naciągnął czapkę – sterczała na jego kręconych włosach pod tak dziwnym kątem, że wywijala mu uszy, przez co wyglądały na większe niż w rzeczywistości. Przez ułamek sekundy poczułam w sercu przypływ czułości.

– W każdym razie... – powiedział Jude, mistrz dziwacznych zmian tematu. – Będzie super. Super hiper. Wejdziemy tam o tak. – Strzelił palcami. – Zmieciemy leki i trochę jedzenia i pryskamy! – Zacisnął pięści i z impetem rozłożył palce. – Czary-mary! Nie zorientują się, co zaszło, do czasu, aż będziemy daleko. Przejdziemy do historii!

Jude w kółko powtarzał „oni” to „oni” tamto, problem jednak tkwił w tym, że nie wiedzieliśmy, kto zarządza lotniskiem ani dlaczego zgromadzono tam zapasy. Próbowaliśmy dowiedzieć się więcej, pisząc do Cate i Nico, ale nie zdążyli odpowiedzieć, zanim wyszliśmy.

Cały czas kierowaliśmy się na wschód w stronę centrum Nashville, okazało się jednak, że rzeka nie płynie tu w linii prostej – w pewnym momencie zakręcała, odcinając nam drogę.

Przepchałam się na czoło grupy. Dotknęłam ramienia Olivii, a ta sięgnęła do tyłu i pociągnęła mnie ku sobie na sam brzeg rozlewiska.

– Nieźle – rozległ się jedyny komentarz Jude’a.

Zanim napotkaliśmy tę pierwszą przeszkodę, nie rozumiałam, dlaczego wiele miesięcy po ustąpieniu powodzi miasto wciąż jest zamknięte. Ale tak jak w przypadku prawie każdej innej katastrofy porządku po niej były jeszcze gorsze niż sama chwila uderzenia żywiołu. Nic dziwnego, że grunt pod moimi stopami przypominał bagno, a rzeka ciągle wylewała. Burze przynoszące pierwsze deszcze były tak gwałtowne, że zmiotły całe osiedla domów i poprzewracały wielkie barki rzeczne, które teraz leżały porzucone, rdzewiejąc w słońcu. Wszystko to tworzyło gigantyczny zator. Woda nie mogła płynąć starym korytem w kierunku miasta, co oznaczało, że wylewała na pobliskie pola i lasy.

– To tam – powiedział Brett, wskazując na majaczące w oddali białe budynki. Jak na komendę na jednym z nich zaczęło powoli i rytmicznie migać czerwone światło. – To już dawno powinno być posprzątane. Gray, jak widać, nie wywiązał się z kolejnej obietnicy.

– Będziemy musieli płynąć? – zapytałam, próbując zachować kamienną twarz.

Olivia odwróciła się do mnie, podnosząc latarkę, i zobaczyłam, że pokryta bliznami połowa jej twarzy rozciąga się w szczerym uśmiechu.

– Nie. Zagramy w skoczki.

Okazało się, że „gra w skoczki” z grupą Niebieskich polega na pozwoleniu im, by przerzucali człowieka jak szmacianą lalkę z jednego unoszącego się na powierzchni wody obiektu na kolejny. System, który wypracowali, był imponujący. Rzeka była zbyt szeroka, by za jednym zamachem mogli przetransportować dziecko na drugi brzeg. By ułatwić sobie sprawę, wykorzystali zaśmiecające rzekę rupiecie.

Najpierw Brett podniósł Olivię i z niewiarygodną dokładnością i ostrożnością postawił ją na burcie wystającej z wody wywróconej barki. Ona z kolei wysłała kolejnego Niebieskiego kawałek dalej, na dach czegoś, co wyglądało na dużą przyczepę kempingową. Tak rozstawieni

byli w stanie przenieść resztę z nas zupełnie bez wysiłku. W końcu i ja wylądowałam na kolanach na drugim brzegu.

Wycieliśmy ścieżkę w gęstwinie zarośli i wydostaliśmy się z nich ubłoceni i mokrzy od deszczu, który właśnie zaczął padać. Rozciągający się przed nami pas startowy był krótszy od tych, które widziałam na większych lotniskach, i załadowany maszynami o różnych rozmiarach i kształtach. Między helikopterami i jednoosobowymi samolotami stały wojskowe ciemnozielone samochody terenowe. Lotnisko najwyraźniej nie było używane – jeśli przechowywano tu samoloty i ciężarówki, istniało duże prawdopodobieństwo, że informacje od Cate i Nico były prawdziwe i w hangarach znajdowały się również inne rzeczy.

Ktoś – sądząc po wyglądzie samochodów, była to najpewniej Gwardia Narodowa – niedbale ogrodził pasy startowe i hangary drucianą siatką i wywiesił tabliczki, na których widniały napisy typu: OBCYM WSTĘP WZBRONIONY i UWAGA, WYSOKIE NAPIĘCIE. Olivia rzuciła w ogrodzenie kamieniem, który prawie bezdźwięcznie odbił się od ziemi i wpadł w błoto. Nagle poczułam, że kurtka, za którą trzymałam Jude'a, wyslizguje mi się z ręki, i zanim się spostrzegłam, zobaczyłam, jak chłopiec czołga się po trawie.

– Hej – wyszeptałam. – Co ty wyprawiasz?

Jude dla pewności kilkakrotnie postukał palcem w ogrodzenie, po czym pospiesznie zawrócił.

– To ogrodzenie ma takie napięcie elektryczne jak mój but – powiedział cicho.

Zaczynałam nabierać podejrzeń. Jeśli w środku było coś wartościowego, czemu nikt tego nie pilnował?

Ponownie spojrzałam na rozciągającą się przed nami przestrzeń, a w uszach zadzwonił mi głos Trenera Marcha: „jeśli coś wygląda za dobrze i za łatwo, to nigdy takie nie jest”. Jedna z symulacji bojowych, w której razem z Vidą szturmowałyśmy pewien magazyn, tylko potwierdziła te słowa. Jasne, że z zewnątrz wszystko wyglądało na bezpieczne. Ale agenci udający żołnierzy Gwardii Narodowej czekali na nas w środku.

– Roo – jęknął Jude. – Ruszajmy wreszcie.

Między granicą lasu a hangarami nie było żadnej porządnej osłony, ale to nie powstrzymało Bretta i kilku innych chłopaków od wyrwania do przodu. Nawet Olivia spojrzała na mnie zirytowana, po czym wstała i popędziła za nimi.

– Dobra – rzuciłam do Jude'a. – Trzymaj się blisko mnie.

On jednak też zdążył już wstać i zacząć biec, klucząc między samochodami i samolotami na pasie startowym. Dogoniłam ich, kiedy zatrzymali się na krawędzi pasa i przykucnęli za ostatnią linią maszyn.

– Brett i Jude pójdą ze mną – powiedziałam i zabrałam Olivii latarkę. – Dwa mignięcia będą znaczyć, że możecie ruszać, jedno, że macie zawrócić. Zrozumiano?

– *Nikogo tu nie ma*, Ruby.

– I nie wydaje się wam to dziwne? – syknęłam w odpowiedzi. Wokoło było pełno śladów opon i stóp. Gdyby były stare, już dawno zmyłby je deszcz.

Pobliskie parkingi były w dużej części puste i tylko gdzieś tam stały na nich wielkie ciężarówki. Od czasu do czasu migała nad nimi lampka, ale poza tym lotnisko było pogrążone w ciemności.

Okrążyliśmy z Brettem oba budynki. Kiedy się spotkaliśmy, mrowiły mnie wszystkie nerwy. Wysunęłam brodę w kierunku miejsca, gdzie zostawiliśmy Jude'a.

– To rzeczywiście jest zbyt łatwe – przyznał w końcu Brett, poprawiając strzelbę na ramieniu. – Gdzie, do cholery, się wszyscy podziali?

W myślach błagałam los, by się nie okazało, że w hangarach czeka na nas oddział

żołnierzy. Cała ta akcja była moim pomysłem – to ja wciągnęłam w to resztę dzieci i w razie porażki to na mnie spoczywała odpowiedzialność, by je stąd wyciągnąć.

Mówiłam sobie, że Cate nie wysłałaby nas gdzieś, gdzie było zbyt niebezpiecznie. Nie wystawiłaby nas na ryzyko złapania.

– Zawołaj pozostałych – powiedziałam Jude’owi, uciszając wątpliwości, żeby nie zdążyły nakręcić we mnie spirali prawdziwego strachu.

Przeliczyłam wszystkich jeszcze raz, kiedy kolejno do nas podbiegali. Jeden, dwa, trzy, aż do dwudziestu jeden.

Schowaliśmy się w cieniu hangaru numer jeden i przywierając plecami do ściany, skanowaliśmy wzrokiem pograżony w mroku teren. Dostępu do głównych drzwi broniła płatanina grubych łańcuchów, których nie byliśmy w stanie przeciąć. Na szczęście znajdowało się tam również boczne wejście, które, tak jak przewidziałam, zabezpieczał rodzaj jakiegoś elektronicznego zamka sprawiającego wrażenie, jakby trafił tu z odległej przyszłości.

– Odsuń się – powiedział Jude i odepchnął mnie na bok. – Mistrz się tym zajmie.

– Ostrożnie – rzuciłam. – Wywołując spięcie, pewnie uruchomisz alarm.

– Proszę cię... – skwitował i zmrużył oczy, wpatrując się w wyświetlacz. Kiedy tylko przed nim stanął, urządzenie automatycznie się uruchomiło i wyświetliło klawiaturę numeryczną. – Zachowujesz się, jakbym nigdy wcześniej tego nie robił!

– Bo nie robiłeś – przypomniałam mu. – Przeważnie to Nico zdalnie wyłączał alarmy.

– Czepiasz się. – Machnął lekceważąco jedną ręką, a drugą przyłożył do ekranu. – Nie odzywaj się i pozwól mistrzowi działać!

– Czy mistrz może się pospieszyć, do cholery? – syknął Brett, przeskakując z nogi na nogę z zaplecionymi na piersi rękami.

Mnie też zaczynało doskwierać zimno. Miałam wrażenie, że jeśli temperatura spadnie jeszcze o dwa stopnie, to ściekający mi po twarzy pot zamieni się w twarde lodowe kryształki.

– Otworzysz na trzy – rozkazał Jude. – Gotowa?

Wcisnęłam się obok niego i mocno chwyciłam metalowy drążek.

– Do dzieła.

Na trzy ekran urządzenia zgasł. Usłyszałam jedynie trzask zamka i pchnęłam drzwi ramieniem. Kiedy wyświetlacz ponownie się zaświecił, rzucał na wirujące płatki śniegu niepokojącą czerwoną lunę.

Czekałam, aż rozlegnie się przeszywające wycie alarmu i oślepiające światła reflektorów zaleją naszą niewielką grupę. Czekałam, aż poczuję, jak Jude kuli się za mną, przywierając ze strachu do ściany. Czekałam i czekałam. Ale nic takiego się nie stało.

– W porządku! – zawołał. – Tak oszukałem system alarmowy, że myśli, że drzwi są zamknięte. Jeśli ich nie zamkniemy, nie będzie żadnych problemów.

– Dobra robota – wyszeptałam.

Pozostali przemknęli obok i weszli do środka, zostawiając na betonowej rampie ślady błota i mułu. Cuchnęliśmy jak mokre psy, które wytarzały się w popielniczce.

Jude podążył za nimi z uśmiechem. Ktoś zapalił światła i wewnątrz hangaru zalała ostra biel. Zasłoniłam oczy ręką, próbując się przyzwyczaić do blasku.

Miałam wrażenie, że powietrze jest dziwnie naelektryzowane. Nagle poczułam, jak samopoczucie Jude’a zmienia się z iskrzącego podekscytowania w szok z rodzaju tych, które spadają na człowieka jak cegła na głowę. Zmiana była tak szybka, że bałam się zobaczyć, co ją spowodowało.

– A niech mnie...

Wielką halę przecinały linie metalowych półek. Wyglądały podobnie do regałów

bibliotecznych, ale były dwa albo i trzy razy większe. Żołnierze przyciągnęli je tu i ustawili w ciasne, równe rzędy – na podłodze pomalowanej mdłą brzoskwiniową farbą widniały głębokie rowki i zadrapania. Na szczycie półek piętrzyły się palety i piramidy skrzyń. Wiele z nich było nieoznakowanych, a jeszcze więcej ciasno owinięto warstwami przezroczystej folii.

– W jakim to języku? – zapytała Olivia, po czym kopnęła leżącą obok drewnianą skrzynię i czubkiem buta strąciła z niej kurz i brud.

Skrzynia leżała do góry dnem, wybrzuszała się z jednej strony i była spękana, jakby spadła z dużej wysokości.

– Chiński? – Jude się zastanawiał. – Japoński? Koreański?

Nie rozpoznawałam słów, ale stempel prostego czerwonego krzyża nie pozostawiał wątpliwości.

Jeśli wierzyć temu, co podają media, fundusze oddziału Amerykańskiego Czerwonego Krzyża wyczerpały się, kiedy na Stany Zjednoczone nałożono embargo. Podobno ludzie obawiali się, że OMNI jest zaraźliwe i że może się przedostać niezauważone na jakimś towarze albo żywej osobie za granicę i rozprzestrzenić w innym kraju. Po kryzysie gospodarczym organizacja z trudem zdołała się utrzymać przez zaledwie dwa lata.

Jeśli to była prawda, skąd wzięły się tu te rzeczy?

– Rzuć okiem na to! – zawołał do Olivii jeden z chłopaków. Wraz z kilkoma innymi przeciął folię i ściągał skrzynię z górnych półek.

Zdążyli już wypatroszyć jedną z nich – jej ognistoczerwone wnętrza wysypały się na podłogę. Podniosłam jedno z czerwonych opakowań, zaskoczona jego wagą i prostokątnym kształtem. Widniały na nim rysunek człowieka podnoszącego do ust jedzenie i flaga, a nad nimi napis: **DZIENNA RACJA ŻYWNOŚCIOWA**.

– Jedna torebka zaspokaja dzienne zapotrzebowanie żywnościowe człowieka – przeczytała Olivia.

Pod informacją w języku angielskim widniały objaśnienia w innych językach, zapewne po francusku i hiszpańsku.

– Dar żywności od obywateli Chińskiej Republiki Ludowej – dokończyłam i oddałam jej opakowanie.

Kilka osób stało jak wryte, ale większość ruszyła do kolejnego regału i zaczęła ściągać z niego kartonowe pudła podpisane „Dziesięć dobowych porcji ogólnego przeznaczenia. Zatwierdzone przez NATO”.

– To chyba z Wielkiej Brytanii. – Jude rozerwał jedno z nich i studiował znaną w środku ulotkę. – Ile tego jest! Zapalki, zupy, *czekolada*... O Boże, jest nawet herbata!

– Zabierzcie, czego nam trzeba – poleciłam. – Ale szukajcie leków. Czy ktoś jakieś znalazł?

– Tu są rzeczy z *Rosji*! – usłyszałam dobiegający z sąsiedniej alejki głos Bretta.

– A ja mam Niemcy, Kanadę i chyba Japonię! – odkrzyknęła mu Olivia.

– Francja i Włochy też przysłały! – rozległ się kolejny głos. – Na wszystkich jest napisane, że to dobowe porcje!

Wyciągnęłam cienką kartkę papieru, na której Pulpet nabazgrał swoją listę leków, i uniosłam ją do światła. Jego pismo było strasznie nieczytelne i rozmazane. Długopis, który udało mu się wygrzebać ze sterty zapasów, zaczął pluć atramentem przy słowie „penicylina”. Pod spodem widniały różne jej rodzaje: amoksycylina (amoxil), ampicylina (rimacillin) i benzylopenicylina (crystapen).

Przemierzałam pędem alejki, skanując pudła i skrzynie zmęczonym wzrokiem. Było tam jeszcze więcej jedzenia oraz worki wypełnione najprawdopodobniej wełnianymi kocami –

wszystko opakowane i oznaczone flagami, których nie rozpoznawałam. Na każdym pakunku z każdej strony widniały czerwone krzyże. Do brzegów pudeł przywarły brud i uschnięta trawa. Uświadomiłam sobie, że to wszystko dawniej stało na zewnątrz. Może zostało zrzucone z samolotów. Cate wspominała kiedyś, że słyszała, iż do różnych części kraju dostarczono pomoc zagraniczną, ale ponieważ nie było na to żadnych dowodów, wszyscy wkrótce o tym zapomnieli.

– Dajcie mi chwilę!

Serce wyrывało mi się z klatki piersiowej i podskakiwało do gardła, a oddech szaleńczo przyspieszył. Tu, pod tylną ścianą hangaru wyłożoną plastikowymi beczkami, było ciszej. Gdy pochyliłam się i wytarłam kurz z przezroczystej ścianki jednej z nich, moim oczom ukazało się jeszcze więcej dziwnych czerwonych opakowań. Przeszłam do kolejnej, jednym uchem nasłuchując dochodzących z przeciwnego końca hali niespokojnych szeptów.

W końcu moje oczy natknęły się na znajomą wygiętą szyję złotego labędzia Leda Corporation. Wspięłam się na palce, żeby zobaczyć, co jest w środku, i upuściłam listę Pulpeta na ziemię. Latanie w ładowniach samolotów Ledy nauczyło mnie jednego – ich logo oznaczało leki. Chwyciłam za plastikową pokrywę najmocniej, jak umiałam, i zaczęłam za nią szarpać. Słyszałam, jak w oddali ponad inne głosy wybija się głos Jude’a – wołał mnie.

– No, dalej – mamrotałam. Ręce trzęsły mi się z wysiłku.

Nagle pokrywka gwałtownie puściła i pojemnik razem ze mną wylądował na ziemi. Zaczęłam przegrzebywać przezroczyste opakowania pełne fiolek i sterylnych igieł, aż w końcu natrafiłam na jedną z nazw, które zapisał mi Pulpet. Załadowałam do torby tyle leku, ile udało mi się w niej zmieścić. Kolejny pojemnik oznaczono napisem SZCZEPIONKI, a leżący pod nim zawierał opaski z gazy, waciki i środki do dezynfekcji.

– Pomóżcie mi! – zawołałam. Zdążyłam już zapełnić jedną z toreb, a w drugiej też nie zostało wiele miejsca. Potrzebowaliśmy więcej. Liam potrzebował więcej.

Dobiegł mnie odgłos szybkich, ciężkich kroków. Usłyszałam, że ktoś pośpiesznie się do mnie zbliża, mamrocząc pod nosem słowa, których nie potrafiłam rozszyfrować. Spojrzałam za siebie – połowa naszej grupy ostatni raz obchodziła różne alejki, uginając się pod ciężarem toreb.

– Ruby!

To nie przerażenie w głosie Jude’a sprawiło, że odwróciłam się jak oparzona, ale nagły duszący smród zjełczałego papierosowego dymu.

Nie byłam wystarczająco szybka. Zamierzyłam się, chcąc zablokować cios, ale najpierw dosięgnął mnie nóż, a następnie coś trafiło mnie w tył głowy. Nie wiem, czy krzyknęłam, ale otworzyłam usta, czując eksplozję bólu. Runęłam na beczki. Usiłowałam się podeprzeć, ale czyjaś ręka zacisnęła się na moim kucyku i szarpnęła mnie w tył. Nie miałam szans na odzyskanie równowagi. Zanim zdążyłam pomyśleć o tym, żeby sięgnąć po broń, ktoś wyrwał mi ją zza paski u spodni.

Michael charczał i sapał, zapewne bardziej z wściekłości niż z wysiłku, jakiego wymagał od niego atak. Przekręcił nóż, który wbijał mi w łędźwie – wtedy już na pewno krzyknęłam. Ręka opasująca moją klatkę piersiową przesunęła się w górę do gardła, mocno ściskając pistolet. Lufa wbiła mi się pod brodę tak głęboko, jak pozwoliły na to moje kości. Nie mogłam oddychać, nie mogłam przełykać, nie mogłam się poruszyć.

– Tęskniłaś za mną? – syknął.

Próbowałam odrzucić głowę w tył i się wykręcić. Chciałam zrobić cokolwiek, żeby się uwolnić. *Nic ci nie jest. Nie trafił ani w kręgosłup, ani w nerki. To tylko...*, uspokajałam się.

– Dzięki za znalezienie tego miejsca – powiedział, ciskając mnie w przód na beczki, po czym schylił się nisko i zbliżając usta do mojego ucha, wycedził: – Możecie przegryźć sobie coś słodkiego, zanim wpadną tu żołnierze.



Siła, z jaką Jude wparował między nas, nie zdołała całkiem zrzucić ze mnie Michaela, ale wystarczyła, żebym zdążyła się odwrócić i wbić mu kolano w klatkę piersiową. Poczułam, jak nóż wysuwa mi się z ciała z nieprzyjemnym odgłosem i uderza z brzdękiem o podłogę. Jude rzucił się ku niemu w tej samej chwili co Michael. Kopnęłam napastnika w twarz, czując, jak cała prawa połowa mojego ciała krzyczy z bólu.

– Ty podła szmato! – wrzasnął Michael, po czym pchnął mnie na stojące naprzeciwko regały.

Jude poszybował w przeciwnym kierunku, w stronę Bretta i Olivii, którzy pojawili się w alejce, żeby sprawdzić, co się dzieje. Usłyszałam jeden wystrzał, a po nim drugi. Nagle światło przed moimi oczami zrobiło się czerwone i zaczęło migać, a wszystko, co nastąpiło później, zostało połknięte przez przeszywające wycie.

Nie miałam pojęcia, jak znalazłam się znowu w przedniej części hangaru. Pamiętam jedynie, że kiedy czarna zasłona opadła z mojego umysłu, a ostre światło lamp zapłonęło nieznosnym blaskiem przed moimi oczami, stałam podtrzymywana z jednej strony przez Jude'a, a z drugiej przez Olivię, patrząc, jak Michael i czterech innych chłopaków zabierają naszą broń i żywność.

Po prawej stronie myśliwych tkwił Knox – miał puste spojrzenie i trząsł się jak ostatni jesienny liść na wietrze.

Wyglądało na to, że po opuszczeniu magazynu Michael i jego świta udali się na poszukiwanie swojego byłego przywódcy. Nie na wiele im się to jednak zdało... Knox mruczał do siebie, bujając się z palców na pięty, a jego usta wypowiadały jedno i to samo słowo: „odejdz, odejdz”.

– Sami do tego doprowadziliście! – krzyczał Michael. Wycie ucichło, ale światło w dalszym ciągu migało. – Woleliście obcych od Knoksa! *Ode mnie!* Chcieliście nam wszystko odebrać i się nas pozbyć? To my znaleźliśmy ten cholerny magazyn! My wszystko zorganizowaliśmy!

Jude dygotał – nie ze strachu czy z zimna, ale ze wzbierającej w nim złości. W końcu wypalił:

– Jeśli ty nie możesz czegoś mieć, to nikt nie może, tak? O to ci chodzi? – Mocniej zacisnął rękę na mojej talii. – Nienawidzisz własnego życia, więc chcesz, żeby wszyscy inni byli tak samo smutni, głodni i żałśni jak ty?

– Nie jestem żałosny! Żaden z nas nie jest! Gdyby nie złamała Knoksa, sam by ci to powiedział! Spójrz na niego! No, *patrz!* Chcesz, żeby z tobą zrobiła to samo? Masz ochotę na kolejny chory pokaz tego, co potrafi?

– Uwierz mi... – Potrząsnęłam głową, bezskutecznie usiłując się pozbyć skaczących mi przed oczami płam. – Jeśli nie zostawisz tych toreb i w ciągu dwóch sekund nie zejdziesz mi z oczu, będziesz następny.

Michael uniósł broń, ale Olivia i Brett mnie zasłonili.

Po mojej lewej stronie coś się poruszyło. Spojrzałam w bok w chwili, gdy jeden z kumpli Michaela otworzył boczne drzwi. Uświadomiłam sobie, że ktoś musiał je wcześniej zamknąć i nieświadomie uruchomić alarm.

– Znikamy! – krzyknął chłopak. – Już są!

Zmroziło mnie. Zaczęłam się obawiać, że wszystko stracone.

– Nie! – ostrzegł ich Brett.

Michael jednak chwycił Knoksa i wraz z pozostałymi ruszył w mrok.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, a po niej eksplozja hałasu. Zamknęłam oczy i odwróciłam się, pragnąc uciec od krzyków, wycia samochodów, od broni i mundurów. Rozległ się pojedynczy strzał, a w odpowiedzi padło ich sto.

– Na ziemię! – Pociągnęłam Jude'a w dół.

Kule w większości odbijały się od potężnej bramy hangaru znajdującej się po prawej stronie od mniejszych bocznych drzwi, przez które weszliśmy. Niektóre jednak przebijały cienką blachę i wbijały się w regały z zapasami, które przed chwilą ogołacaliśmy.

Krawędzie moich myśli były postrzępione, a dudniący ból głowy jak echo odpowiadał na rwanie w lędźwiach. Otarłam kropelki potu znad górnej wargi. Nie musiałam wstawać razem z Brettem ani wyglądać na zewnątrz. Wiedziałam, co zobaczę – sześć ciał durnych dzieciaków

i płamę czerni oraz moro układającą się w linię obrony.

– Naliczyłem trzydziestu – powiedział jeden z Niebieskich.

*Nawet nie znam twojego imienia* – pomyślałam. – *Mimo to poszedłeś za mną, a teraz przeze mnie zginiesz.*

Chciało mi się wymiotować. *Już po nas. Zabiłam nas.*

– Bułka z masłem, prawda? – rzucił Brett i odchrząknął, po czym odwrócił się do reszty. – Oni mają broń, ale my mamy rozum. Podoba mi się ten rozkład sił.

– Jedno porządne uderzenie powinno wystarczyć – zgodziła się Olivia. – Mogę wysłać połowę z nich na drugi brzeg, tam, skąd przyszliśmy, ale ktoś musi zafundować daleki lot pozostałym.

Brett z cichym śmiechem przeczesał dłonią swoje ciemne włosy.

– Mówiąc „ktoś”, masz na myśli mnie? Tak bardzo chcesz się mnie pozbyć?

Niebiescy zaczęli się dzielić na dwie grupy – jedni stawali za Olivią, inni za Brettem. Ich plan wydawał mi się absurdalny do tego stopnia, że chciało mi się krzyczeć. Czy naprawdę mieliśmy wykopać żołnierzy z pasa startowego jak łobuzów z placu zabaw, a później wyprzedzić kule, które za nami poślą?

Stałam na skraju hałasu i zamieszania i czułam się dziwnie daleko od tego, co działo się wokoło. Jednak Jude rzucił się w sam środek chaosu, przepychając się przez tłum Niebieskich, żeby sięgnąć do skrzynki z bezpiecznikami.

– Ustawcie się przy drzwiach – polecił i za pomocą stojącej obok gaśnicy roztrzaskał niewielką kłódkę, a następnie cisnął powyginany metal za siebie i otworzył szarą pokrywę. Chwycił zębami czubek prawej rękawiczki i ściągnął ją z dłoni, po czym przyłożył palce do przełączników. Wskaźniki urządzenia zaczęły się obracać w tak szalonym tempie, że czerwone wskazówki aż się zamazywały.

– Odrzućcie ich, a ja jeszcze przywalę im od siebie – zarządził Jude. Jego głos brzmiał bardzo spokojnie... o wiele za spokojnie jak na niego.

– Co ty wyprawiasz? – zapytałam. Miałam wrażenie, że powietrze zrobiło się cieplejsze i zaczęło mnie laskotać po twarzy.

Kasztanowe włosy chłopca uniosły się, naelektryzowane. Cofnęłam się o krok, ale dopiero kiedy zgąsły światła i ucichł alarm, zauważyłam, że wokół jego dłoni i rąk skaczą niebieskie iskierki.

– Ruby, musisz wcisnąć przycisk otwierający bramę – powiedział.

Wystarczało, że znajdowałam się blisko niego, by włosy na przedramionach stanęły mi dęba.

– Co ty wyprawiasz? – zapytałam znowu. Miałam wrażenie, że widzę go podwójnie. Zamrugłam, ale otaczająca go aureola światła nie zniknęła.

– Zaufaj mi. – W jego głosie pobrzmiwało nienaturalne opanowanie. – Wiem, co robię.

Odliczał od trzech, zmuszając pozostałych, żeby ustawili się przed nim w szeregu, tak jak zarządził. Uważał, by nikogo nie dotknąć. Jakby w odpowiedzi na jego oddziaływanie i zmianę nastroju Niebiescy otoczyli go półokręgiem.

Chciałam krzyknąć, żeby przestał, żeby się schował w jakimś bezpiecznym miejscu.

– Jeden! – zabrzmiał jego głos.

Moja dłoń uderzyła w przycisk.

W międzyczasie padający śnieg przeszedł w ulewę. Woda spadała teraz z nieba płachtami, rozmazując promienie lamp ustawionych przez żołnierzy. Białe światło najpierw zalało nasze stopy, a następnie, równocześnie z unoszeniem się olbrzymiej bramy, wędrowało po nas w górę. Jude zaczekał, aż snop światła trafi go prosto w pierś, i zacisnął dłonie w pięści.

Zdałam sobie sprawę, że nie oświetlano nas reflektorami, jedynie przednimi światłami czterech dużych terenówek zaparkowanych w półokręgu przed bramą hangaru. Większość żołnierzy ustawiła się za nimi, opierając broń na maskach dla lepszej celności, ale z przodu klęczały jeszcze dobre dwa tuziny mężczyzn w hełmach, z uniesionymi strzelbami.

Brama ze zgrzytem zatrzymała się nad naszymi głowami.

Kilku żołnierzy przysiadło na piętach albo cofnęło się od celowników. Z pewnością byli zaskoczeni, widząc jedynie nieliczną grupkę odmieńców. Jeden z klęczących z przodu mężczyzn odwrócił się i krzyknął coś do pozostałych, ale deszcz zagłuszył jego słowa.

Ciszę przerwał pisk i szum. Ktoś podał megafon jednemu ze starszych żołnierzy stojącemu na tyłach.

– Dowódca Sił Specjalnych Psi Joseph Traylor rozkazuje wam oddać się w nasze ręce. Jeśli odmówicie współpracy, odpowiemy siłą – powiedział.

– Co ty nie powiesz?! – krzyknął Brett. – Możesz przekazać Josephowi Traylorowi, że ja rozkazuję mu spadać na drzewo!

Czy tego chciał, czy nie, jego słowa stały się sygnałem do ataku. Niebiescy wysunęli się i wyrzucili ręce w przód. Nawet ci żołnierze, którzy spostrzegli, co się dzieje, nie zdążyli zareagować. Trzask wystrzałów zagłuszyły krzyki zaskoczenia, kiedy cały rój mężczyzn i sprzętu został uniesiony i pchnięty w tył przez niewidzialną falę przyływu.

I wtedy Jude wyszedł na deszcz.

Był to zarazem przerażający i piękny widok – w jakiś sposób również znajomy. Buczące ładunki elektryczne, które wysłał z zasilania hangaru, krążyły wokół niego jak niebieska aureola. Nagle wypełniające go światło jakby zwiększyło swoją objętość, przenikając przez granicę jego skóry, i wytrysnęło z niego, rozlewając się wzdłuż zbierającej się na ziemi wody w jaśniejącą rzekę. Postać Jude'a przemieniła się w cień, w zwykłą sylwetkę, podczas gdy energia elektryczna piętrzyła się teraz przed nim, wzbierając i bezgłośnie eksplodując.

Noc utraciła świeży zapach deszczu i wypełniła się śwędem spalonej skóry i włosów oraz wyraźnym, przyprawiającym o torsje odorem topiącej się gumy. Ładunki elektryczne, skwiercząc, nacierały na oddział żołnierzy. Przeskakiwały ponad ich butami na gumowych podeszwach. Podpalały ubrania, kości i skórę... Rozgrzewały pojemniki z gazem pieprzowym, a w końcu je rozsadzały. Żołnierze, którzy przetrwali uderzenie Niebieskich, zwiłali się teraz na ziemi. Jeden z nich zdołał unieść karabin i wymierzyć w kierunku Jude'a, ale w tej samej chwili Brett skierował na niego swoją moc i cisnął napastnika w tył.

Jude trzymał się na nogach, trzęsąc się jak osika, póki starczyło mu sił. W końcu osunął się na kolana, a potem na klatkę piersiową i na twarz tak bezwładnie, że krzyknęłam z przerażenia i zaczęłam się przeciskać przez resztę dzieciaków, żeby do niego dotrzeć.

Obróciłam go na plecy, ignorując ostre ukłucia prądu rażącego mi palce. Jego twarz parzyła w dotyku, nawet pod warstewką zmrożonego deszczu. Wraz z jego upadkiem zniknęło również pole rażenia, które generował, a trzaskające niebieskie igły wyparowały jak woda.

Teraz do przodu wystąpiła grupa Olivii. Rzucili się rozkradać wszelką broń, jaką udało się im znaleźć, kopiąc leżących żołnierzy, żeby do niej dotrzeć.

– Olivia! – krzyknął Brett.

Podniosłam wzrok, kiedy razem z innymi rzucił się pędem za pierwszą grupą. Olivia się zatrzymała i odwróciła, ślizgając się na betonie. Brett jedną dłonią chwycił ją za ramię, a drugą za warkocz. Następnie pochylił się ku jej pokrytej bliznami twarzy i ją pocałował. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, ale przekaz był jasny.

– Teraz biegnij! – powiedział i popchnął ją w kierunku pozostałych.

Usiłowałam podnieść pająkowate ciało Jude'a, ale nagle Brett odepchnął mnie na bok

ramieniem – nie miał cierpliwości albo, co oczywiste, czasu, żeby zajmować się cuceniem z omdlenia wyczerpanego dzieciaka. Zarzucił sobie chłopca na plecy, kopiąc w stronę innego Niebieskiego torbę z zapasami, którą wyniósł z hangaru.

– Tędy! – zawołał.

Nie spodziewałam się, że bieg okaże się dla mnie tak ciężkim i wyczerpującym zadaniem. Usłyszałam, jak w tyle wściekle ryknęły silniki samochodów. Kolejne terenówki pędziły po pobliskiej drodze, ale tylko kierowcy ostatnich dwóch w kolumnie zauważyli nas wystarczająco szybko, żeby skręcić w pole przed wjazdem na lotnisko. Samochody podskakiwały na miedzach i dziurach, omiatając nas migającymi światłami. Przed nami rozciągała się linia lasu oświetlona przez...

Nagle ktoś chwycił mnie za nadgarstek i gwałtownie odwrócił. Stopy podjechały mi na mieszaninie błota, szronu i lodu i runęłam jak długa. Walnęłam głową o ziemię i pod powiekami eksplodowały mi szare plamy.

Kobieta świeciła mi latarką prosto w twarz z tak bliska, że nie byłam w stanie otworzyć oczu. Wbiła kolano w moją klatkę piersiową, wyciskając mi z płuc ostatni oddech. Wiłam się i wierzgałam nogami, krzycząc z bezsilności.

W końcu światło latarki osunęło się w dół, dzięki czemu mogłam znowu unieść powieki. Funkcjonariuszka, która mnie zaatakowała, była młoda i co bardziej istotne – wściekła. Niespodziewanie zdjęła z paska pomarańczowy przedmiot i uniosła mi go przed twarz. Wykrzykiwała coś, ale jej nie rozumiałam. Deszcz i tylko deszcz – wypełniał mi usta, nos, oczy i uszy. Pomarańczowe urządzenie mignęło mi przed twarzą, po czym zniknęło w kolejnej eksplozji białego światła.

Wiedziałam, że wyświetliło moje dane, bo kiedy kobieta znowu na mnie spojrzała, była błąda z przerażenia.

Przekręciłam głowę i zatopiłam zęby w jej poparzonym, różowym nadgarstku. Pisnęła, ale byłam już w jej umyśle. W tej samej chwili strumień światła reflektorów samochodowych rozświetlił ciemność, wydobywając z niej postaci biegnące w stronę lasu i nas.

– *Puszczaj!* – warknęłam i zrzuciłam ją z siebie tak silnym kopniakiem, że nawet Trener Johnson byłby zadowolony.

Runęła prosto w błoto. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi, pustymi oczami, czekając na rozkazy.

Nie traciłam czasu, żeby wypuścić jej umysł z uścisku. Nie obchodziło mnie, co z nią będzie. Moje ciało poruszało się powoli i ociężale, więc dotarcie do linii drzew bez upadku wymagało ode mnie maksymalnego skupienia. Jeszcze większym wysiłkiem było brnięcie przez zapadającą się ściółkę i lód. Teren był tu nierówny i wiedziałam, że każde wzgórze zwiększa odległość między mną a pozostałymi.

Biegłam, a przynajmniej próbowałam biec. Z całych sił usiłowałam odeprzeć zamroczenie spowijające mi umysł oraz dreszcze, które pojawiały się w nogach i z każdym krokiem stopniowo podpełzały wyżej.

Myślałam o Liamie, Pulpecie, Vidzie i Judzie. Musieliśmy wrócić do magazynu, żeby ostrzec pozostałych. Musieliśmy ich gdzieś przenieść, na wypadek gdyby któryś z żołnierzy nas wyszedł.

– Jude... – mamrotałam. Nagle potknęłam się i coś wrzącego spłynęło mi po biodrze. – Jude... Vida... Pulpet... Jude...

Przypomniałam sobie, że Brett niósł mojego młodego przyjaciela. Zebrałam się w sobie i postanowiłam, że jeśli on potrafi kluczyć w gąszczu powykręcanych gałęzi z bezwładnym ciałem na plecach, to ja także to potrafię. Musiałam się podnieść.

*To moja wina.* Byliśmy skończeni. Obawiałam się, że zostaniemy schwytani i że już nigdy nie zobaczę żadnego ze swoich przyjaciół.

Wypowiadałam ich imiona, póki starczyło mi oddechu. Szłam, aż przestałam czuć pod sobą nogi. Widziałam, jak ostatnie z dzieci przede mną znika za grzbietem wzgórza, zlewając się z głęboką czernią lasu. Nie pamiętam, jak upadałam, ale przypominam sobie, że ogarnęło mnie uczucie, jakbym jakimś cudem zgubiła połowę swojego ciała i zostawiła je za sobą pod drzewami.

Przewróciłam się na plecy, sięgając do pasa w poszukiwaniu pistoletu, którego tam nie było. *Akceptacja, adaptacja, reakcja.* Jęcząc z bólu, podciągnęłam się i oparłam plecy o pień drzewa, stwierdzając, że dzięki temu w porę zobaczę, jeśli ktoś nadejdzie. W końcu mogłam odpocząć.

Podniosłam oczy na kształty otaczających mnie starych, огоłoconych drzew i patrzyłam, jak deszcz stopniowo rozdziera niebo, aż w końcu otoczyła mnie zupełna ciemność.

Urodziłam się w samym środku ciemnej, mroźnej zimy.

To słowa moich rodziców i babci, nie moje. Kiedy nie chciałam iść spać albo nudziło mi się podczas rodzinnych obiadów, mroząca krew w żyłach historia o powrocie do domu ze szpitala, w którym przyszłam na świat, była na mnie najlepszym sposobem. Opisy przerażającej śnieżycy za każdym razem działały mi na wyobraźnię. Pozwalałam całkowicie zawładnąć sobą słowom, z których wyzierało niebezpieczeństwo, i gestom rodziców i babci, pokazującym, dokąd sięgał śnieg. Zawsze ledwo nadążałam za opowieścią. Staralam się chłonąć każdy szczegół i chować go tak głęboko, żebym mogła wszystko dokładnie wyśnić, kiedy w końcu zasnę. Teraz ogarnęło mnie jednak przytłaczające uczucie wstydu. Byłam aż tak głupia, by uwierzyć, że przeżycie czegoś takiego czyniło mnie w pewien sposób wyjątkową? Jak mogłam się ludzić, że był to niezbity dowód na to, iż przeżyłam, by w przyszłości dokonać czegoś ważnego?

– Niebo miało kolor popiołu – mawiał tata. – W chwili, gdy wyjechałem z parkingu, chmury zawisły nisko nad ziemią. Powinienem być od razu zawrócić, ale twoja mama chciała być już w domu, gdzie babcia czekała na ciebie z wielką powitalną fetą.

Jechali, póki mogli, tata na miejscu kierowcy, usiłując się przebić przez przygniatającą kurtynę bieli, a mama z tyłu ze mną, krzycząc na niego, żeby się zatrzymał, zanim spadniemy z jakiegoś nieistniejącego klifu. Tę część historii tata lubił najbardziej – tylko on potrafił tak świetnie oddać piskliwy, zaaferowany głos mamy, którym mówiła, gdy balansowała na krawędzi rozstroju nerwowego.

Reflektory samochodowe były zbyt słabe, by przebić się przez śnieżną zasłonę, ale na autostradzie wciąż walczyło kilkoro kierowców. Tata w końcu się zatrzymał, jednak pojazd nadjeżdżający z przeciwnego kierunku wyskoczył ze swojego pasa i walnął prosto w maskę naszego auta. Nie wiem, dokąd jechał ani czemu pędził na oślep przez szalejącą zawieruchę, ale całkiem skasował nasz samochód, spychając nas z pasa awaryjnego w wielką zaspę. Mieliśmy roztrzaskany silnik i akumulator.

Telefony komórkowe straciły zasięg. Radio też nie działało. Mama zawsze opowiadała tę część ze ściśniętym gardłem, skupiając się na wszystkich okropnościach, które mogły nas spotkać, gdyby burza potrwała dłużej. Kuliliśmy się we trójkę na tylnym siedzeniu. Rodzice starali się nie panikować. Przytulaliśmy się do siebie, by się rozgrzać. Ja wszystko przespałam.

Myślę, że babcia lubiła tę historię, bo to jej przypadła rola bohatera. To ona zmobilizowała sąsiadów, żeby ruszyli na poszukiwania, a potem z pomocą swojej terenówki wyciągnęła samochód rodziców z powrotem na drogę.

– Takie jest życie, pszczołko – powiedziała mi po wielu latach. – Czasem to ty bierzesz na siebie za dużo i pędzisz gdzieś w panice, roztargniona, niechcący taranując i niszcząc po drodze różne rzeczy. A czasem życie po prostu ci się przytrafia i nie możesz go uniknąć. Wpada na ciebie, bo chce się przekonać, z czego jesteś ulepiona.

Mimo że ta historia mroziła mi krew w żyłach, i tak uwielbiałam zimę. Chłód mi nie przeszkadzał, bo wiedziałam, że za kilka miesięcy, tygodni, a w końcu dni przyjdzie kolejna pora roku. Trzymając się tej obietnicy i grzejąc się w ciepłe swoich najbliższych, z łatwością można przetrwać nawet najzimniejsze noce.

Chłód, który teraz odczuwałam, przeszywał mnie jednak do szpiku kości. Przybrał formę odrętwienia, którego nie mogłam się pozbyć i od którego nie było ucieczki.

Miałam wrażenie, że ziemia usuwa mi się spod pleców, że grudy błota ustępują bryłom lodu, a te kamieniom, które wbijały mi się teraz w kość ogonową i rozdzierały kręgosłup na całe

długości. Słyszałam szelest zmrożonych liści, które prześlizgiwały się obok moich uszu, i czułam dotkliwe szarpnięcia, kiedy zaczepiałam o coś włosami. Usiłowałam chwycić się jedną ręką korzenia zdającego się przepływać obok, ale prąd niewidzialnej rzeki, która mnie porwała, był zbyt szybki. Słońce mignęło mi pod powiekami czerwonym światłem, przebijając się przez rozsadzający czaszkę ból. Nie czułam prawej nogi – cała prawa strona mojego ciała była odrętwiała. Dopiero kiedy słońce przestało mnie oślepić i w końcu mogłam otworzyć oczy, mój umysł zrozumiał, że to ja się poruszam, a nie wszystko wokół.

Zza płam olbrzymich białych chmur nad moją głową wзираło niebieskie niebo. Ledwie je dostrzegałam pomiędzy nagimi, szarymi ramionami drzew. Wokół unosił się ostry zapach ludzkiego ciała. Zmarszczyłam brwi. Usłyszałam też jęk wysiłku, kiedy moje plecy opornie przesuwają się po jakiejś chropowatej powierzchni. Potem poczułam pod sobą gładką ziemię i spadek terenu, który pojawił się tak szybko i niespodziewanie jak nagle obniżenie samolotu. Mój żołądek poszybował w górę, a oczy w dół.

Mężczyzna, który mnie wlekł, miał na sobie sfatygowaną i poprutą od długiego noszenia fioletową puchową kurtkę – szew na biodrze był rozerwany i białe wypełnienie wyłaziło przez dziurę. Za ciasne dzinsy wydawały jęk protestu za każdym razem, kiedy się odwracał, żeby pewniej chwycić moją nogę.

– N... Nie. – Nie mogłam mówić. Próbowalam unieść drugą nogę, żeby go kopnąć, ale moje kończyny nie reagowały.

Mężczyzna musiał poczuć, że się napinam, bo spojrzał za siebie.

– Obudziliśmy się, co?

Widziałam go podwójnie, potem potrójnie i poczwórną. *Skup się*, upomniałam się w myślach. Facet wyglądał mniej więcej tak groźnie jak Święty Mikołaj w centrum handlowym – miał długą nierówną brodę i wielki brzuch. Tata czytał mi kiedyś opowiadania o iskierce w oku Mikołaja i jego różanych policzkach. Ten grubas też miał błysk w oku – w kształcie symbolu dolara.

– Nie kombinuj, bo skręcę ci kark. Słyszysz?

*Rusz się*. Usiłowałam unieść biodra. Trener Johnson kilkakrotnie pokazywał mi, jak wyzwolić się z takiego chwytu. Szukałam dłonią kamienia, którym mogłabym cisnąć w delikatne miejsce, gdzie podstawa jego czaszki łączyła się z kręgosłupem, a później sięgnęłam do scyzoryka, lecz zniknął z mojego buta. Moje ciało nie reagowało. Nie pamiętałam, żebym uderzyła się w głowę aż tak mocno. Minioną noc spowijał cień. Przypominałam sobie długi marsz oraz to, jak Jude zmienił ustawienia systemu bezpieczeństwa. Przed oczami miałam też tony pudeł i skrzyń oznakowanych flagami różnych krajów i podpisami w dziwnych językach. I Knoksa. Chociaż tego ostatniego nie byłam pewna.

Ból głowy eksplodował mi pod powiekami, więc je zacisnęłam. Świeciło słońce, dlatego nie rozumiałam, czemu jest mi aż tak zimno.

– Jest tu taki jeden typ, który bardzo się ucieszy na twój widok – ciągnął mężczyzna. – Przywłókł się rano, węsząc i wypytując, czy widzieliśmy w okolicy jakieś dzieci. Mówił, że był duży nalot na tereny należące do lotniska i że kilkoro mogło uciec. Pomyślałam sobie: „ten facet albo ma świra, albo rację”. I tak wyruszyłem na polowanie jak codziennie i patrzcie, co znalazłem!

Opuściłam biodra, usiłując jak najbardziej spowolnić zjazd ze zbocza. Może i nie byłam w stanie walczyć, ale nie zamierzałam ułatwiać mu sprawy.

– Co ja powiedziałem? – Parsknął i wykręcił mi mocno kostkę.

Kiedy schodziliśmy z ostatniego wzgórza, wysunęłam szyję do przodu, wykorzystując resztki sił. Moim oczom ukazał się magazyn otoczony przez największe skupisko namiotów,



jakie kiedykolwiek widziałam. Większość była całkiem biała albo miała nadruk: WŁASNOŚĆ ARMII STANÓW ZJEDNOCZONYCH AMERYKI. Poraziło mnie z przerażenia, ale w desperacji zdołałam wymierzyć jeden silny kopniak w tył kolana grubasa. Prawy bok przeszył mi ból – był jednak niczym w porównaniu z tym, który wywołał cios wymierzony w odpowiedzi w moje żebra.

Nie miałam wyjścia, uspokoiłam się. Wątki przyprły energii, który poczułam, zupełnie ze mnie wyciekł – mogłam sobie niemal wyobrazić, jak ciągnie się za mną niczym smuga krwi.

– Sandra! – wrzasnął mężczyzna. – Sandy, ten koleś ciągle tu jest?!

Kiedy tylko weszliśmy między namioty, otoczyły nas stopy i twarze. Czułam, jak zalewają mnie fale najróżniejszych zapachów: wędzonego mięsa, brudnego prania i nieświeżej wody. Przed wejściami do namiotów chlupało błoto, ale w środku leżały maty, stosy starych materaców i pościeli oraz paliły się świece.

– Joe, czy to...? – zwrócił się ktoś do grubasa.

– Odsuń się, Avo. To ja ją znalazłem. *Sandra!*

– Przed chwilą zniknął – rozległ się kolejny kobiecy głos o niemożliwym do odgadnięcia akcencie. – Pójdę zobaczyć, czy jego auto ciągle stoi na autostradzie. Przypilnuj jej.

Podkoszulka podciągnęła mi się na plecach, tak że pod nagą skórą czułam oślizgłe lodowate błoto. Coś lub ktoś szturchnął boki stopy moją lewą dłoń.

– Czy ona...? Czy to dziecko...?

Kobieta w średnim wieku pochyliła nisko nade mną swoją rumianą twarz. Zsunęła jedną z niedopasowanych rękawiczek i wyciągnęła dłoń, żeby przyłożyć mi ją do czoła. Joe warknął na nią, zmuszając, by się odsunęła. Powieki znowu mi opadły, a kiedy zdołałam je unieść, w miejsce jej twarzy pojawiły się inne. Każda z nich wyrażała jakąś inną nietłumioną emocję. Patrzyłam na nie jak na obrazy w galerii. Były tam portrety znużonego strachu, pejzaże smutku i miniatury ciekawości. Chciałam zmienić pozycję, ale nieznośny ból głowy skutecznie mnie unieruchamiał.

– Ona się trzęsie – powiedział jeden z mężczyzn. – Przyniosę jej koc.

Nie widziałam jego twarzy, jedynie poślizgnięte adidasy.

– Może choruje? Jest strasznie błada! – Tym razem rozległ się kobiecy głos. – Boże, ma najwyżej szesnaście lat. *Spójrz* na nią. Naprawdę zamierzasz ją oddać temu człowiekowi?

Broń działała w grupie tak jak „pałeczka głosu”, którą moja nauczycielka w podstawówce stosowała do zachowania porządku w klasie. Tylko ten, kto ją trzymał, mógł się odzywać.

– Wracajcie do swoich namiotów, do cholery! – Grubas ścisnął w ręce błyszczący srebrny rewolwer i nikt ze zgromadzonych nie miał ochoty sprawdzać, ile kul zostało mu w magazynku.

Nagle wiatr przyniósł do nas piskliwy kobiecy głos.

– Jest! Znalazłam go! – krzyczała Sandra.

Chwilę później zawtórował jej wyraźny dźwięk samochodu przemierzającego podmokły teren namiotowego miasta – warkot silnika robił się coraz głośniejszy.

Oblizałam spierzchnięte usta, usiłując wziąć głęboki oddech – na próżno. Pojawienie się nieznajomego mężczyzny, kimkolwiek był, zadziało jak wrzucenie kamienia w spokojny staw. Nawet przeciwnicy grubasa się rozpierzchli. Z powrotem upuszczono moją nogę na ziemię, a krew, która gwałtownie do niej spłynęła, wypełniła ją tysiącem szklanych odłamków.

– A moja kasa?! – zapytał grubas. – Chcę wiedzieć, jak Gray mi to wynagrodzi. Nie za bardzo się wysilił, kiedy rzeka zabrała nam cały dobytek!

– Pańskie nazwisko trafi do systemu łowców nagród. Znajdą pana. Ja odpowiadam tylko za transport. Proszę jej dla mnie popilnować.

Ktoś przydepnął mi nadgarstek, przyszpilając go do ziemi, i nagle mgła opadła z mojego umysłu.

– *Nie!* – wydusiłam z siebie. Błądziłam wzrokiem po frontach namiotów, szukając choć jednej współczującej czy niezdecydowanej twarzy. Kogoś, kto nie byłby Robem Meadowsem.

Wszyscy mieszkańcy namiotowego miasta wbijali we mnie wzrok. Ich lęk przesycił powietrze i mieszał mi w głowie, a ich milczenie było ogłuszające.

Wiedziałam, że kiedy otworzę oczy, nie będę mogła dłużej zaprzeczać prawdzie, i że Rob właśnie tego chce. Chwycił mnie za to, co zostało z mojego kucyka, i mocno wykręcił mi głowę w tył, żeby lepiej mi się przyjrzeć.

– Hej, *perelko!* – prychnął z kpiącym uśmiechem. – Kopę lat!

Słowo „nie” utknęło mi w gardle.

– Proszę. – Rob podał grubasowi tablet. – Proszę wpisać swoje imię i numer ubezpieczenia. Pan dostaje sześćdziesiąt, ja czterdzieści procent nagrody.

– Sześćdziesiąt procent – wymamrotał Joe. – A niech mnie... Niezła sumka.

– Ile? – zawołał ktoś z tłumu. – Nie zapominaj, że pożyczyłem ci broń. I że jesteś mi winien za przydział z zeszłego miesiąca!

– Trzymajcie ją! – warknął Rob. – Ona wymaga specjalnych środków bezpieczeństwa!

Unieruchomiono mi ręce i skrupowano je czymś metalowym. Po chwili usłyszałam grzechot łańcucha. Rob podniósł mi głowę i w nozdrza uderzył mnie zapach skóry.

Chciałam krzyknąć, ale wydałam z siebie nieprzyjemny dźwięk rozrywający mi gardło.

– *Nie* – błagałam, rzucając głową i wykręcając szyję, żeby nie dać się spętać.

Rob przygniótł mnie do ziemi kolanami i mój kolejny wydech uszedł ze mnie jak szloch.

– Pamiętasz to, prawda?

– *Nie!* – łkałam. – Proszę...

I tak oto całe moje szkolenie okazało się nic niewarte. Mogłam się rzucać, płakać i usiłować krzyczeć, ale miałam wrażenie, że zapadają mi się zębra. Cały otaczający mnie świat walił się i rozpadał, rozmywając twarze stojących wokół gapiów. Rob włożył grube gumowe rękawice, po czym nałożył mi na usta kaganiec, zaciskając go mocno z tyłu głowy. Znowu byłam małą dziewczynką. Znowu byłam potworem.

Wydychałam chmury gorącej pary. Grubas oddał tablet Robowi i zrobił kilka kroków w tył. Spojrzał na białowłosą kobietę po swojej prawej stronie i rzucił:

– Boże, gdybym wiedział, nawet bym jej nie tknął...

Rob się pochylił i szarpnął za łańcuch łączący moje nadgarstki z kagańcem, usiłując podnieść mnie z błota. Zdołałam jedynie uklęknąć, reszta mojego ciała ciągle była bezwładna. Rob zaklął siarczyście i jęknął z obrzydzeniem, po czym podniósł mnie i wziął pod pachę, tak że moje nogi wlekły się po ziemi, podskakując na kamieniach. Zapałam się, próbując wysunąć z jego uchwytu, ale tylko się zaśmiał.

– Nie zawsze wygrywam. Ale czasem los się do mnie uśmiecha. Wyraz twojej twarzy, kiedy mnie zobaczyłaś... Bezcenny, mówię ci – rzucił, po czym zaczął mnie ładować na tył swojego starego czerwonego jeepa. – Wiedziałem, że śledząc rejestr łowców nagród, prędzej czy później na ciebie wpadnę. Czulem, że w końcu nawalisz i że osobiście cię zapytam, dlaczego *tak naprawdę* nawiałas z akcji i co Cole i Cate mieli z tym wspólnego. Chciałem być tym, który cię odnajdzie, odwiezie do twojego ulubionego obozu i będzie patrzył, jak znowu cię tam zamykają.

Wiłam się i krzyczałam w zakrywającą mi usta skórę, kopiąc w tył siedzenia.

– Tylko ty i ja – mówił dalej, wyciągając z plecaka długą plastikową opaskę, żeby związać mi stopy.

Próbowałam się opierać, ale udało mi się tylko wzbudzić kolejną salwę śmiechu.

– Czekaj nas miła wycieczka do Wirginii. Nawet nie poproszę o nagrodę.

Zatrzasnął mi drzwi przed nosem, odgradzając mnie od zbitki dorosłych, którzy

w osłupieniu wbijali w nas wzrok. Czułam, jak samochód się kołysze, kiedy otworzył przednie drzwi i usiadł na miejscu kierowcy.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego zabiłem te dzieciaki, gówniaro?! – zawołał do mnie. – Nie miały ducha walki. Żadne z was go nie ma, ale doszło do tego, że to wy trzymacie władzę w Lidze. To wy macie posłuch, decydujecie o operacjach i to wy zamieniliście Albana w bezużyteczną, trzęsącą się kupę gnoju. Nic nie rozumiecie. Żadne z was nie rozumie. Nie widzicie, co trzeba zrobić, byśmy mogli przeżyć w tym świecie. Nawet łowcy nagród nie zdają sobie sprawy, że o wiele bardziej przydadacie się temu krajowi martwi niż żywi.

Pędziliśmy z zawrotną prędkością, mimo że jeep protestował i trząsł się z wysiłku. Z głośników na cały regulator ryczał ZZ Top. Rob krzyczał do mnie, że zmęczyło go moje chlupanie i szlochy – co za zbieg okoliczności, ja też miałam serdecznie dość nieznośnego rzępolenia i smrodu spalin.

Próbowałam wszystkich możliwych sposobów, żeby uwolnić się od kagańca, jednak pasek z tyłu mojej głowy nawet nie drgnął. Rob zacisnął go boleśnie ciasno, a sądząc po zgrzytającym dźwięku, który usłyszałam przy zakładaniu, użył dodatkowo mniejszej plastikowej opaski dla wzmocnienia. Jęknęłam, starając się sięgnąć do buta.

Poczułam szarpnięcie w lędźwiach, zupełnie jakbym coś sobie zerwała. Przygryzłam usta, ignorując ciepłą, lepłą ciecz, wsiąkającą w dzinsy.

*Michael.* Zapomniałam, że mnie zaatakował. Nic dziwnego, że czułam się, jakby przejechała mnie ciężarówka. Przed oczami stanęło mi ostrze, którym mnie dźgnął – było niewielkie, mniej więcej w rozmiarze mojego scyzoryka. Musiałam przezwyciężyć ból i karmić się adrenaliną, żeby znów nie stracić przytomności.

Tył jeepa był ciasny i tak wąski, że trudno było mi się ruszyć, ale jeśli chciałam, potrafiłam się skurczyć. Wsunęłam palce między sznurówki buta i opinającą mi kostki skórę. Skuliłam się, żeby było mi łatwiej sięgnąć, i nagle przypomniałam sobie, że nic tam nie ma. Nie odzyskałam swojego scyzoryka, bo nie zdołałam go odnaleźć w stercie rzeczy w magazynie Niebieskich. Przełknęłam ślinę. *Będzie dobrze, będzie dobrze. Nie panikuj.* Ale panikowałam. Czułam, jak strach pączy mi w piersi, i wiedziałam, że jeśli stracę nad nim kontrolę, to mnie udusi. *Będzie dobrze.*

Piosenka w radiu nareszcie się skończyła i zastąpiły ją wiadomości.

*Wciąż trwają przygotowania do Szczytu Jedności* – donosił prezydent Gray dziwnie spokojnym głosem. – *Z niecierpliwością czekam, aż zasiądę do rozmów z ich reprezentantami. Wielu z nich darzę wielkim szacunkiem i...*

Rob gwałtownie wyłączył radio.

– Zabawne, prawda?! – zawołał do mnie. – Wygląda na to, że prezydent jest większym rewolucjonistą niż Alban. Czyżby uznał, że czas w końcu coś zmienić?

*Tak* – chciałam powiedzieć – *przezabawne.* Alban miał pecha rządzić organizacją, która wyhodowała sobie drugą głowę z ostrzejszymi zębami.

– Albanowi zajęło wieki, żeby zrozumieć, jakim błędem było sprowadzenie was do Ligi, a i tak wysyłał was, małe gnojki, na misje, z którymi z łatwością poradziłby sobie *każdy* z nas. Niech sobie zatrzyma przeszłość, ale nie pozwolę, by zniszczył *moją* przyszłość.

Rozglądałam się wokoło, szukając czegoś wystarczająco ostrego, żeby przepiłować plastikowy zacisk krępujący mi nadgarstki.

– A ta cała *Connor*... chciała was niańczyć. Nie mamy na to czasu. Nie mamy dla was miejsca ani w Lidze, ani nigdzie. Możecie albo trafić do obozu, albo gryźć piach z resztą. Słyszysz?! – wrzeszczał. – Nie muszę się tłumaczyć z tego, co zrobiłem! Wstąpiłem do Ligi, żeby pozbyć się Graya, a nie po to, by bawić się w dom i słuchać gościa, który jest tak

przeżony, że nie wystawia nosa na powierzchnię ziemi. Myśli, że przyłączyliśmy się do niego ze względu na was? Chce wiedzieć, czemu was nie *szanujemy*, ale nie pozwala nam was użyć do jedynej rzeczy, w której jesteście naprawdę dobrzy.

*Czyli do umierania dla ludzi takich jak ty* – pomyślałam. – *O to właśnie ci chodzi?*

– Zrobiłem, co musiałem, i postąpiłbym tak samo jeszcze raz. Zabiję każdego dzieciaka z Ligi, aż wszyscy się opamiętają. A zacznę od twojego zespołu.

Rozsadzał mnie silny strach i jeszcze silniejsze obrzydzenie.

*Opanuj się*, mówiłam sobie. Rob nie wiedział jednego. Nie zdawał sobie sprawy, że nie musiałam go dotykać, by na niego wpłynąć. Mógł mnie uciszyć, ale nie miał władzy nad moim umysłem.

– Jak Jude poradzi sobie z elektrycznym ogrodzeniem twojego nowego domu, Ruby? – zastanawiał się na głos. – Co strażnicy zrobią Vidzie, kiedy zobaczą, jaka jest *ładna* i że jest tak dobrze *zbudowana*, jak na swój wiek? A Nico? On też jest dość łatwym celem, prawda?

Zamknęłam oczy. Z całej siły starałam się rozluźnić i przypomnieć sobie, że teraz i zawsze to ja jestem drapieżnikiem. Clancy stwierdził kiedyś, że nigdy nie będę w stanie kontrolować swoich zdolności, bo za bardzo się boję tego, w co mnie zamienią. Wcześniej nie potrafiłam tego robić nie dlatego, że nie chciałam albo nie próbowałam, ale dlatego, że nie umiałam całkowicie się poddać drzemającej we mnie mocy.

Nie musiałam dotykać ani Masona, ani Knoksa, żeby wpełznąć do ich umysłów. Strach sprawił, że nie starałam się tłumić swoich zdolności, i w zamian dostawałam to, czego chciałam.

Wszystko, czego pragnęłam w tej chwili, to wydostać się z przeklętego auta Roba. Pragnęłam pokazać mojemu oprawcy, jak strasznym, tragicznym błędem było ruszenie za mną w pościg i grożenie ludziom, na których mi zależało.

Odkryłam, że jeśli już raz wniknęłam w czyjś umysł, ponowne wejście do niego było łatwiejsze niż pierwsze. Wszystko, co musiałam zrobić, sprowadzało się do ukierunkowania pragnienia, które wypalało mi dziurę we wnętrzu klatki piersiowej, i wyobrażenia sobie twarzy Roba. Niewidzialne macki mojego umysłu spokojnie się rozwinęły i przeniknęły pod dzielącymi nas siedzeniami jak wstęgi dymu. Miałam go, opadłam na jego myśli z opanowaniem i pewnością kotwicy tnącej wodę.

Za pierwszym razem jego wspomnienia i myśli rozwijały się przede mną powoli, stopniowo i niespiesznie się rozciągając. Teraz rozprysły się jak plamy czarnej smoły i zamieniły w chaotyczną płataninę twarzy, numerów, rąk i broni.

Pamiętałam, jak wyglądały te dzieci, więc nie musiałam wyobrażać sobie szczegółów. Potrzebowałam jedynie sprawić, by Rob zobaczył, jak siedzą z nim w samochodzie. Dziewczynkę posadziłam obok niego na przednim siedzeniu, a chłopca tuż za nią.

– Co to? Co się dzieje, do jasnej...?

Rob widział teraz, jak dziewczynka wlepia w niego wzrok, dokładnie tak samo jak chwilę przed tym, gdy pociągnął za spust. Przeklął. Samochód zboczył na lewo, a później na prawo. Następnie skupiłam się na chłopcu, wydobywając jego obraz na powierzchnię umysłu Roba.

*Więcej.*

Rob zasługiwał na więcej. Był mordercą, zabójcą, bestią, która czerpała chora przyjemność z polowania, ale jeszcze większą z patroszenia. Widziałam jego twarz tamtej nocy, kiedy zabijał dzieci. Dostrzegłam uśmiezek zadowolenia i malujący się na niej głód, którego nie rozumiałam aż do tej chwili. *Więcej.*

Co zrobiłby Jude'owi, gdybym mu pozwoliła? Zastrzeliłby go tak jak innych? Poderżnąłby mu gardło? Miażdżyłby mu krtań, aż zgasłaby w nim ostatnia isierka życia?

Sprawiłam, że dziewczynka wyciągnęła do niego ręce. Tak jak kiedyś mnie, przed oczami

przewijały mu się teraz ciągle te same obrazy. Usłyszał chrzęst rozrywanego przez kulę oczodołu, a tryskająca z jej głowy krew zalala mu twarz i przednią szybę. Halucynacja była tak silna i tak krwście sugestywna, że samochód zjechał na bok i usłyszałam pracujące wycieraczki.

– Przestań! – wrzeszczał. – Przestań, do jasnej cholery!

Wyobraziłam sobie, jak dziewczynka wyciąga rękę i gładzi go po ramieniu, i Rob naprawdę poczuł jej dotyk. Chciał się odsunąć i znowu skręcił kierownicę gwałtownie w lewo.

*Więcej.*

Nie chodziło mi jedynie o to, że zabił te dzieci. Najtragiczniejsze było to, że najpierw wyzwolił je z obozu i dał im nadzieję na wolność i na to, że kiedyś znowu ujrzą swoich bliskich. A potem odebrał im marzenia i je podeptał.

– Wiem, co robisz! – grzmiał. – Wiem, że to ty!

Kiedy usłyszałam, jak przerażenie odbiera mu mowę, ogarnął mnie dreszcz satysfakcji. Sprawiałam, że chłopiec podniósł się z tylnego siedzenia, sięgnął za zagłówek i owinał dłonie wokół szyi Roba, rozmazując mu krew na koszuli, a następnie się w niego wtulił. Chciałam, żeby Rob poczuł ciepły puls i dotyk klejącej, parzącej cieczy, która już nigdy nie zejdzie ani z jego ubrań, ani z jego skóry. Dzieci zaczęły szlochać, potem wyć i się rzucać – wlałam w ten obraz całą wściekłość, strach i cierpienie, które miałam w sobie.

Dochodzący z siedzenia kierowcy wystrzał rozbił okno od strony pasażera. Rob władował cały magazynek w siedzącą obok nieistniejącą dziewczynkę. Ja jednak po każdym wystrale odrobinę zbliżałam ją do niego, aż w końcu jej ręka spoczęła na pistolecie i na dłoni Roba, po czym odwróciła jedno i drugie w stronę jego piersi.

*Mogę to teraz skończyć. Jego własną ręką.* Tak byłoby sprawiedliwie. To ja miałam teraz moc wymierzenia kary. Nie mężczyzna z bronią, szkolony zabójca, żołnierz czy strażnicy chodzący wzdłuż elektrycznego ogrodzenia w Thurmond. Ja. W żyłach krążyła mi krew pod napięciem. Nie czułam już bólu pleców ani głowy. Czułam się lekka, podniecona i wolna. Mogłam go wykończyć jego własną ręką. Jednym strzałem w serce. Miałam przed sobą kogoś, dla kogo życie dziecka nie było nic warte, sprawcę mojego cierpienia i strachu, który spętał mnie jak zwierzę.

To *on* był zwierzęciem – bezmyślną bestią. Tak jak Knox on też potrzebował kogoś, kto nim pokieruje, kto upewni się, że już nigdy nikogo nie skrzywdzi.

– Przestań... *Przestań* – łkał. Teraz to on zachowywał się jak dziecko. – Błagam, o Boże... Proszę...

Przerażenie wyciekało z niego przez wszystkie pory. Kwaśny zapach potu i dyszącego oddechu przyćmiewał nawet odór skóry kagańca. Palił mnie w nozdrza. Chwyciłam jego myśli mocniej, przysuwając dziewczynkę jeszcze bliżej, aż jej upiorna blada dłoń uniosła się i zaczęła gładzić go po policzku, rysując dziecięce kształty w wyimaginowanej krwi i brudzie.

*Musimy je wykorzystać, by móc kontrolować pozostałych.*

– Jesteś potworem – wydusił z siebie Rob. – Zgubicie nas, wszystko zaprzepaścicie, niech was szlag! *Niech was szlag!*

Eksplzja hałasu i wstrząsów zabijała tyłem samochodu, ciskając mnie na oparcia siedzeń. Potem coś huknęło i zaczęliśmy wirować. Siła uderzenia wybiła tylne okna, zasypując mnie odłamkami szkła. Usłyszałam, jak Rob krzyczy ostatni raz, potem coś zadudniło i przód samochodu wjechał w gąszcz przydrożnych zarośli i drzew z chrobotem gnieczonego metalu.

Walnęłam o oparcia siedzeń, szczękając zębami. Uderzyłam czołem tak mocno, że moje myśli ogarnęła oślepiająca biel. Obraz chłopca i dziewczynki wyparował gwałtownie spod moich powiek. Oboje zniknęli, tak jak twarz Roba. Zostałam tylko ja. Ja i to, co zrobiłam.

*O Boże.* Usiłowałam nabrać powietrza, ale w ciągu ostatnich kilku minut siła, z jaką

kaganiec zaciskał mi się wokół czaszki, zwiększała się równomiernie do narastania przenikliwego krzyku rozlegającego się w mojej głowie. Wylądowałam twarzą na dywaniku. Pierwszy szloch wydobywał się ze mnie, jakby ktoś sięgnął i wydarł mi go z gardła. *O Boże, o Boże, o mój Boże.*

Clancy byłby ze mnie bardzo dumny. Z tego, jak wykorzystałam te dzieciaki, jak je zmanipulowałam, wciskając się w umysł Roba, aż pękł. Clancy spojrzałby mi w twarz i zobaczył w niej własne odbicie.

*Musimy je wykorzystać, by móc kontrolować pozostałych.*

Żołądek mi podskoczył, a żółć podeszła do gardła, aż zaczęłam się nią dławić. Chciałam zwymiotować, chciałam wyrzucić z siebie wypełniającą mnie czerń. Potrzebowałam powietrza. Pragnęłam uwolnić się od Roba i od tego wszystkiego, co we mnie wyzwolił i co zrobiłam.

*Potwór, potwór, potwór, potwór, potwór, potwór.* Walłam stopą w drzwi, aż w końcu plastikowa obudowa zaczęła pękać. *Gdzie jest Rob? Cemu nic nie mówi?*

Dobiegł mnie pisk hamulców i trzaskanie drzwi. Kopałam jeszcze mocniej... Jednostajny łomot rozbrzmiewał jak rytm starego rockandrollowego kawałka, grzmiał jak broń strzelająca w mrok.

Kiedy tylne drzwi w końcu się otworzyły, wciąż łkałam. Wytoczyłam się z auta, uderzając twarzą o ziemię z cichym jękiem bólu. Byłam na powietrzu, ale kaganiec ciągle nie pozwalał mi swobodnie oddychać. Zważyłam, że kiedykolwiek uda mi się go zdjąć.

– Widzę, że miałaś pracowity dzień, co? – Cień stojącej nade mną Vidy padał płasko na ziemię obok mojej twarzy.

Robiłam, co mogłam, żeby się pozbyć tego przekłętego kagańca, usta wypełniał mi smak skóry i własnych łez. Wiedziałam, że oddycham zbyt łapczywie, ale nie potrafiłam okiełznać ogarniającej mnie paniki, która wraz z rozbiciem się jeepa wybuchnęła we mnie z pełną siłą. Nie chciałam, żeby Vida oglądała mnie w takim stanie. Nie chciałam, żeby ktokolwiek mnie teraz oglądał.

*Proszę, odejdźcie, proszę, zostawcie mnie w spokoju. Nie mogę być teraz z wami, proszę, proszę, po prostu mnie tu zostawcie...*

– Ruby – powiedziała Vida, przewracając mnie na plecy. – Już dobrze. *Dobrze.* Ruby, pozwól mi to zdjąć.

Jednym pociągnięciem noża rozcięła plastikowy zacisk krępujący mi nadgarstki, ale czułam, jak jej palce mocują się z paskami kagańca. Krzyczałam na nią, błagałam, żeby mnie zostawiła, moje słowa zamieniały się jednak w cichy jęk.

– Cholera!

Musiała użyć noża, żeby przeciąć skórę. Paski kagańca jeden po drugim strzelały pod jego ostrzem, aż w końcu usta wypełniło mi zimne powietrze o smaku spalin.

– Nie! – krzyczałam. – Nie mogę...! Musicie...! Musicie...!

– Vida! – Z daleka dobiegł mnie głos Jude'a. – Wszystko z nią w porządku?

Rzeczywistość raz po raz znikala mi sprzed oczu zalewana przez spienione morze szarości. Chłód był jak wąż, który pełzał po moich kończynach i ciasno oplatał mi klatkę piersiową za każdym razem, kiedy próbowałam nabierać powietrza. Na asfalcie pasa awaryjnego autostrady pojawiła się zbieranina stóp. Poczułam na sobie nową parę rąk, nowa twarz pojawiła się nad moją.

– Sprawdźcie, co się stało z kierowcą! – warknął Pulpet.

– Z przyjemnością – wycedziła Vida i przeszła na przód auta.

– Możesz wstać? – Pulpet pochylił się nade mną. Przyciskał mi dłonie do policzków. – Boli cię? Możesz mówić?

Próbowałam mu się wyrwać, usiłując wykaszeleć gorzki, palący smak spływający mi po tylnej ścianie gardła.

– Ruby, na litość boską. – Pulpet chwycił mnie za ramiona i unieruchomił. – Nic ci nie będzie. Obiecuję. Jesteśmy z tobą. Weź głęboki oddech. Spójrz na mnie. Po prostu na mnie spójrz. Jesteś bezpieczna – mówił łamiącym się głosem.

Przytuliłam czoło do asfaltu, starając się znaleźć słowa – jakieś ostrzeżenie. Przed oczami pojawiły mi się czarne plamy. Miałam wrażenie, że ktoś otworzył mi tył głowy. Wbiłam paznokcie w ziemię, jakbym mogła wykopać dół wystarczająco głęboki, by się w nim pochować. Słyszałam głosy i krzyki dochodzące z bliska i z daleka, ale dobiegał mnie również głos Clancy’ego – aksamity szept sączący mi się do ucha: „teraz jesteś moja”.

– I co? – zapytał Pulpet.

Moje oczy przewędrowały na poszarzałą twarz Vidy, która przecierała usta wierzchem dłoni. Razem podnieśli mnie z ziemi i Vida zarzuciła mnie sobie na ramię.

– Możesz ją rozkuć? – zwróciła się do Pulpeta.

Wokół nadgarstków miałam dodatkowo owinięty łańcuch, na którego końcu wciąż tkwił kaganiec. I jedno, i drugie wlekło się za mną po ziemi.

– To teraz nieważne. Umiesz prowadzić?

– I to jak – rzuciła Vida skromnie. – A co?

– *Nie!* – wyłam. Chwyciłam się za dekolot koszulki, którą miałam na sobie, bo wydawało mi się, że zamienia się w duszącą obrożę. – Nie, musicie... Musicie mnie zostawić...

– Roo! – krzyczał Jude. – Co się z nią dzieje?

– Otwórz drzwi. Nie, nie ty, idioto, ty zostań w samochodzie! – powiedział do kogoś Pulpet.

– Czy wszystko z nią w porządku? – usłyszałam głos, który zdawał się dobiegać z drugiego końca tunelu.

*Liam... To Liam.* Brzmiał jak on. Jak on z przeszłości. Jak to możliwe? Lekki?

Tylne drzwi auta zostały otwarte i Pulpet wgramolił się do niego pierwszy, po czym wciągnął mnie za sobą. Zaciśnęłam zęby z bólu, a świat rozmazał mi się przed oczami w chwili, gdy Jude wskoczył do środka i prześlizgnął się pod moimi wyciągniętymi nogami. Próbowałam podnieść rękę, żeby odgarnąć sobie włosy z czoła, ale od barków w dół nic nie czułam.

Przed oczami znów zrobiło mi się białe. Ból był żywy i rozdzierający. Przyćmił poczucie winy, pustkę, a nawet strach. Słabłam i odpływałam, ale miałam wrażenie, że słyszę krzyk. Odwróciłam głowę i zobaczyłam, jak biała ręka wali w metalową kratkę.

– *Pulpet!* – Błagalny głos Liama był tak samo przykry jak ostry kaszel, który po chwili wydarł mu się z piersi. – Przestań, robisz jej krzywdę!

– Jeszcze czego! Niech ci się nawet nie śni, że otworzysz te drzwi! – wrzasnęła Vida. – Siadaj na tyłku, smarkaczu, albo ja cię posadzę!

– Gdzie? – spytał Pulpet, odgarniając mi włosy z pleców i szyi.

Nie rozumiałam, o co mu chodzi, ale Jude pospieszył mi z pomocą.

– Na dole. Nie wiem, jak głęboko ją ranił, ale na pewno trafił.

Samochód, podskakując, wycofał się, a kiedy wyjechał na gładką nawierzchnię autostrady, wyrwał gwałtownie do przodu przy wtórze zaskoczonych protestów Pulpeta.

– Wszystko z nią dobrze? Jest ranna? Boże, Pulpet, powiedz coś!

Pulpet podwinął mi bluzę i podkoszulkę i poczułam, jak plecy omiata mi ciepłe powietrze płynące z wywietrzników. Usłyszałam syknięcie, ale nie byłam pewna, kto je wydał – on czy ja. Pulpet przycisnął lodowatymi palcami pulsujące centrum bólu.

– O Boże! – wykrzyknął Jude. Trzymał moje nogi na kolanach i przytulał je do swojej

piersi. – Roo, przepraszam, nie wiedziałem...

– Co się stało? – spytał Liam. – Stało jej się coś?

Pulpet nie kłamał, a jeśli już mu się zdarzało, nie były to kłamstwa istotne dla sprawy i zazwyczaj chodziło o to, by nas chronić. Ale stanowiliśmy bandę realistów i przeważnie nie lukrowaliśmy rzeczywistości. Tym razem musiało być naprawdę źle, skoro postanowił w ogóle nie odpowiadać.

– A co z tym gościem? – zapytał, po czym przyłożył mi do pleców coś lodowatego, co po chwili bez ostrzeżenia zaczęło piec tak mocno, że świat zawirował mi przed oczami.

– Nie będzie już stwarzał problemów – powiedziała Vida oschle. – Nigdy.

– Co masz na myśli?

– Jackson Pollock nie namalowałby lepszego obrazu niż to, co zobaczyłam na tej przedniej szybie – rzuciła.

– Nie zrobiłaś tego... – zaczął Jude.

– Nie. – Wyczułam w jej głosie zawód. – Autorami tego dzieła sztuki są drzewa i kierownica.

– Wiesz, kto to jest Jackson Pollock? – Oczyszczająca mi ranę ręka Pulpety na krótką chwilę znieruchomiała.

– Niespodzianka, dupku! – parsknęła. – Przecież umiem czytać.

– *Pulpet!* – To słowo zabrzmiało tak, jakby ktoś gwałtownie wyszarpał je z gardła Liama. Płonęło strachem. Na jego dźwięk serce na moment przestało mi bić. – *Powiedz, że nic jej nie jest!*

– Ży... je – wydusiłam.

Poczułam, jak odpływam, jak unoszę się na fali odrętwienia i chłodu, która skradła czucie z moich rąk, nóg i pleców. Wystarczyło, by Pulpet wbił mi w skórę czubek igły, a ból znów się wzmógł i pociągnął mnie z powrotem w ciemność.



Budzenie się wydało mi się uczuciem znajomym, ale równocześnie zupełnie nierzeczywistym. Jakby prawdziwe wspomnienie walczyło z wrażeniem *déjà vu*. Leżałam płasko na twardej ziemi ocieężała i zziębnięta. Nozdrza wypełniał mi zapach wilgotnej gleby i czegoś niezaprzeczalnie ludzkiego. Potrafiłam powiedzieć tylko tyle, że na pewno nie był to sztuczny cytrynowy aromat Czarnej Betty przypominający o tym, że kiedyś należała do firmy sprzątajacej. Co więcej, w uszach rozbrzmiewało mi nie nudzenie reportera radiowego donoszącego o aktualnych okropnościach dnia, ale spokojne, głębokie oddechy czterech osób pogrążonych we śnie.

Odzyskiwanie przytomności było jak wygrzebywanie się z dna gęstego, oślizgłego bagna. Kiedy tylko wydostałam się na powierzchnię, dopadł mnie ból. Zaczął się w lędźwiach, po czym wystrzelił w górę i w dół prawego boku, ściągając każdy mięsień i każde ścięgno tak mocno, że miałam wrażenie, iż je rozerwie. Nagle ziemia, koce i mrok zaczęły mnie przytłaczać. Poczułam fantomowy ucisk skórzaney opaski wokół głowy, a usta wypełnił mi gorzki, metaliczny posmak. Zdałam sobie sprawę, że człowiek może się zadławić własnym wspomnieniem – poczuć, jak zaciska się wokół krtani. Przygniatał mnie odór skórzanego kagańca.

*Namiot Pulpeta*, zauważyłam. To stało się naprawdę. Odnaleźli mnie.

*Jude, Vida...* Podniosłam się, ignorując opór zeszytniałych mięśni i rozrywający ból w plecach. *Pulpet i Liam*. Też byli obok – leżeli praktycznie jeden na drugim nad naszymi głowami.

Lodowate powietrze podwiało mi podkoszulek, ale w porównaniu z duchotą panującą w namiocie wydało mi się odświeżające. Do głowy przyszła mi mętna myśl, że muszę znaleźć swoje buty – musiałam natychmiast stamtąd uciec. Chciałam być sama, by uwolnić krzyk, który rozsadał mi wewnątrz. Ruszyłam przed siebie w kierunku tłących się popiołów ogniska na środku polanki i sznurka na bieleżnę obciążonego chaotycznie porzucanymi podkoszulkami i bluzami, które zamieniły się w zamarznięte sztywne zbitki. Podejrzewałam, że jesteśmy na opuszczonym polu kempingowym.

Miałam wrażenie, że jest znacznie chłodniej niż w ostatnim dniu, który pamiętałam. Chłopcy i Vida znaleźli pusty płaski teren, na którym zaparkowali samochód. Pobieżna ocena otoczenia wystarczyła mi, by dostrzec, że wzgórza zrobiły się bardziej poszarpane, a sucha trawa była tu cieńsza, dłuższa i zasypana starymi brązowiejącymi kamieniami. Na pewno nie byliśmy w Nashville.

Wzięłam kilka głębokich oddechów przez usta i odwróciłam się z powrotem w stronę sterty zwęglonego drzewa i popiołu, które zostały z ogniska. Pulpet zostawił na zewnątrz menażkę, ale i ona, i leżąca obok plastikowa butelka na wodę były puste.

Miałam na nogach tylko mokre, brudne skarpetki, skutkiem czego ślizgałam się po błocie. Z trudem ruszyłam przed siebie, rzucając pod nos kilka siarczastych przekleństw, ale nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Dotarcie do terenówki Pulpeta zajęło mi całe wieki, a kiedy w końcu opadłam na drzwi od strony pasażera, ledwo dyszałam. Pod przednim siedzeniem zostawiłam wodę – pamiętałam, że za każdym razem, kiedy Pulpet gwałtownie skręcał, plastikowa butelka uderzała mnie w pięty. Potrzebowałam tylko łyku. Jednego malutkiego łyku, żeby pozbyć się wstrętnego smaku, który utrzymywał mi się w ustach.

Drzwi były zamknięte, więc puściłam klamkę i kręcąc głową, ruszyłam z powrotem w kierunku paleniska. Na wyszczerbionym pieńku ktoś zawiesił cienki szary koc – przywłaszczyłam go sobie i ciasno się nim owinęłam.

*Nie mamy dla was miejsca ani w Lidze, ani nigdzie. Możecie albo trafić do obozu, albo gryźć piach z resztą.*

Mocno potrząsnęłam głową, żeby pozbyć się z myśli niechcianego głosu, machając rozpuszczonymi włosami wokół policzków i ramion. Kiedy dotykały twarzy, wydawały mi się czyste, a nawet miękkie. Wysunęłam dłoń spod koca, sięgając do poszarpanych końcówek. Żadnych liści ani kołtunów. Ktoś je wyszczotkował.

*Boże*, pomyślałam i mocniej otuliłam się kocem. Ten grubas... Wlekł mnie za sobą prosto w ręce...

Zabolało mnie gardło. Przez coraz głośniejsze tętno pulsujące mi w uszach przebił się dziwny huk. Przez jedną przerażającą sekundę byłam pewna, że to Rob wrócił i przyniósł ze sobą maszynę emitującą Biały Szum. Ale ten dźwięk był niski i odległy. I zupełnie nie sprawiał mi bólu.

Ruszyłam w kierunku, z którego dochodził. Kiedy zeszłam z polany, od razu zauważyłam stary szlak turystyczny. Śnieg pokrywał nierówny grunt, ukrywając ostre kamienie i podstępne dziury, ale między drzewami dostrzegłam krętą ścieżkę. Szłam, wspierając się o nieruchome pnie dębów białych i klonów. Słońce właśnie zaczynało się wyłaniać zza horyzontu i jego pierwsze bladożółte promienie położyły się na śniegu.

Ścieżka prowadziła do jeziora. Kiedy je zobaczyłam, poczułam się głupio. Jak mogłam podejrzewać, że dochodzący mnie hałas jest czymś tak przerażającym, okropnym i nienaturalnym jak Biały Szum?

Przed moimi oczami rozciągały się dostojne ryczące wodospady, znajdujące się we wnętrzu czegoś, co wyglądało na miniaturowy kanion. Spadająca woda tryskała ponad kręte krawędzie skalistego klifu, rozgałęziała się na mniejsze odnogi towarzyszące głównemu nurtowi i wpadała do niewielkiego jeziora. Wokół wyrastały ciemne skały, które pochylały się w przód, przypominając ludzką postać kulącą się z zimna.

Ścieżka łączyła się z drewnianym podestem zbudowanym nad granicą wody. Żeby się na niego dostać, przekroczyłam niewielki wypływający z jeziora strumyk, łamiąc warstewkę cienkiego lodu skuwającą jego brzegi.

Wilgotny podest tu i ówdzie pokrywały łaty śniegu. Odgarnęłam małą błyszczącą hałdę białego puchu i stanęłam dokładnie na krawędzi, skąd roztaczał się najlepszy widok na nieujarzmione kaskady.

Rozpryskująca się woda tworzyła nad lśniąca powierzchnią jeziora delikatną mgłę. Schyliłam się, zanurzyłam dłoń i ochlapałam sobie twarz.

Następnie wsunęłam rękę pod koc i bluzę, usiłując odnaleźć główne źródło palącego bólu. Moje lodowate, sztywne palce natrafiły na zgrubiały rząd równych szwów. Chłód przyniósł ukojenie.

Na początku myślałam, że wilgoć na moich policzkach to tylko przyklejona do nich mgła. Że wiatr przywiał drobne kropelki od strony wodospadu. Ale ból gardła wciąż był niezwykle silny i nie chciał ustąpić, a coś bardzo przypominającego szloch zaczęło wyrывать mi się z piersi. Wokoło nie było nikogo, nie musiałam więc tłumić płaczu ani dławić łez.

Wtuliłam twarz w koc, wciskając sobie zwitek materiału w usta, żeby zdusić krzyk. Kiedy zaczęłam płakać, nie mogłam przestać, wszystko się ze mnie wylało, zupełnie jakbym otworzyła wrota żalu. Każda przepływająca przeze mnie myśl była zabarwiona krwią – głęboko w gardle czułam jej smak.

*Zabiłam tego człowieka.*

I to nie wszystko. Torturowałam go strachem. Rob bez wątpienia zasługiwał na karę za zbrodnie, które popełnił, ale sposób, w jaki wymierzyłam sprawiedliwość, był podły.

Wykorzystałam do tego dzieci, zmanipulowałam pamięć o nich, a przecież to one były ofiarami. Co gorsza, podobało mi się to. Delektowałam się tym, z jaką łatwością przychodzi mi pożeranie plugawej świadomości Roba, wypełnianie jej kawałek po kawałku strachem, aż w końcu poczułam, jak całkiem pęka. Mrok, który wydobyłam z siebie w tamtej chwili, był ciepły. Podniecający. Jego przyływ pozostawił w moich kończynach łaskoczące, drgające uczucie, którego ciągle nie mogłam się pozbyć.

Zniszczyłam Knoksa za to, co zrobił Liamowi, ale zignorowałam fakt, że Liam nigdy, przenigdy nie uznałby tego za właściwą decyzję. Założyłam, że nie będzie go można uratować, ale przecież ten chłopak, niezależnie od tego, jak się nazywał – Knox, Wes czy Uciekinier – był jedynie dzieckiem. Jednym z nas. Czy posyłając go na śmierć na mrozie, zachowałam się bardziej humanitarnie niż on, kiedy wymieniał dzieci na jedzenie? I Mason... Mogłam mu pomóc. Mogłam wymazać jego bolesne wspomnienia, ale w pierwszym odruchu zapragnęłam użyć go jako broni. Jakby nie był człowiekiem, jakby nie zasługiwał na prawo do podejmowania własnych decyzji.

Może strażnicy w obozach postąpili słusznie, robiąc to, co czynili niebezpiecznym jednostkom? Może powinno się nam nałożyć kagańce, kajdany i wytrenować, byśmy reagowali na rozkazy? Zawładnięcie Robem i Knoksem oraz zmanipulowanie plemienia Niebieskich przyszło mi zupełnie naturalnie.

Zamieniło mnie w Clancy'ego. W Martina. W Pomarańczowego, który w autobusie do Thurmond zmusił strażniczkę, żeby zastrzeliła się z własnej broni. Stałam się jedną z niezliczonego tłumu tych, którzy torturowali żołnierzy SSP i obozowych wartowników, zalewając ich mózgi przerażającymi obrazami.

Niczym się od nich nie różniłam. Nie byłam lepsza. Przez cały czas wierzyłam, że jeśli zdobędę większą kontrolę nad swoimi zdolnościami, odzyskam życie. Ale najwyraźniej stało się zupełnie inaczej. Było całkiem możliwe, że brak kontroli nad mocą – strach przed nią – był jedynym powodem, dla którego wcześniej nie podążylałam tą samą ścieżką co reszta Pomarańczowych.

Zrozumiałam, że Liga była dla mnie dobra. Dała mi dyscyplinę, skupienie i pokazała, jak i kiedy używać zdolności. Miałam rację, mówiąc Cate, że nie powinnam być Liderką – potrzebowaliśmy silnych ludzi, którzy nigdy nie tracili twarzy albo przynajmniej byli pewni, że instynkty nie zawiodą ich w mrok.

*Morderczyni.* Tak jak reszta agentów Ligi.

Koc zrobił się gorący i wilgotny od moich łez. Uniosłam twarz, próbując ochłodzić obolałe oczy i płuca, ale to nie pomagało. Nic nie było w stanie wymazać wspomnienia, które wykradłam Vidzie – obrazu martwego Roba w roztrzaskanym jeepie. Nic nie łagodziło ciężaru ostatnich myśli, które przemknęły przez jego umysł na kilka sekund przed tym, jak jego życie się skończyło. Piękna kobieta w sukience w kratkę, czerwony rower, szerokie pole, zachód słońca nad Los Angeles...

– Przestań – wydusiłam z siebie. – *Przestań.*

Cierpiałam. Cierpiało całe moje ciało od rozsadzanej bólem głowy po rozorane zadrapaniami sine plecy. W płucach brakowało miejsca, by pomieścić powietrze, którego potrzebowałam. Mimo że szloch gwałtownie wstrząsał moim ciałem, nie mogłam się pozbyć napięcia. Czułam się, jakby raz po raz zginano mnie wpół, aż w końcu można mnie było jedynie złamać.

Grzmot wody pochłaniał wszystkie inne dźwięki, łącznie z odgłosem kroków, które powoli, niepewnie przemierzyły ścieżkę między drzewami.

– Hej – odezwał się łagodnie Liam, stając obok.

Wiatr przywiał ku nam mgłę znad wodospadów, podrywając duże płatki śniegu i tworząc z nich idealnie białą zasłonę. Kiedy kolejny lodowaty podmuch ją rozerwał, Liam wciąż stał nieruchomo, przyciskając do piersi moje czarne buty. Na wycieńczonej, poszarzałej twarzy malowało mu się to samo umęczone spojrzenie. Otworzył usta i zrobił niepewny krok w przód. Ciągle chwiał się na nogach, ale bardziej niepokoiło mnie jego skupione spojrzenie, badające moją twarz.

Najważniejsze, że żył. Że stał na własnych nogach. Szklisty blask z jego oczu zniknął. Oddech miał płytki, ale równy – jednostajne wdechy i wydechy następowały po sobie z małymi przerwami na kaszel.

Liam od zawsze był jak otwarta księga. Nie potrafił ukryć żadnych myśli ani uczucia, choćby zmuszał się do uśmiechów. Teraz jego twarz była równie szczerą, jak zawsze, i mimo bólu ściągającego linię ust wciąż rozczulająco idealna. Jego oczy były bardzo blade w świetle poranka i wędrowały od moich oczu do nosa i ust, jakby nigdy wcześniej mnie nie widziały i nie mogły się napatrzyć. W samym środku mojej klatki piersiowej zrodził się ból, który usiłował się wydostać, skręcając mi wnętrzności. W końcu nie wytrzymałam i musiałam odwrócić wzrok.

– Ja nie... – zaczął. W jego słowach pobrzmiwała nutka desperacji. – Mogę ci jakoś pomóc? Co... Co mogę zrobić, żeby ci ulżyć? Żebyś poczuła się lepiej?

*Liam, nie możesz. Nie tym razem.* Z jakiegoś powodu poczułam się zdezorientowana – jakbyśmy pochodzili z dwóch różnych światów. Miałam wrażenie, że nie wiem, co jest prawdą, a co tylko wytworem mojej wyobraźni.

– Nie mów o tym nikomu – wyszeptalam. – Proszę.

Spływające po policzkach, brodzie i szyi łzy paliły mi skórę – starłam je ręką. Czułam się zażenowana i przytłoczona tym, że to on mnie odnalazł, ale miałam wrażenie, że tak właśnie powinno być.

Kątem oka zobaczyłam, jak Liam kiwa głową. Oczywiście, że rozumiał. Nieraz oddalał się gdzieś samotnie, bo nie chciał, żebyśmy widzieli, jak pęka i się odsłania. Kiedy masz wokół siebie ludzi, którzy na tobie polegają, musisz przybierać odważną, zdecydowaną postawę, bo w przeciwnym razie nadwątlisz ich zaufanie.

– W torbie Pulpeta na pewno znajdzie się jakiś lek... – odezwał się. – Coś, co pomoże ci odpocząć...

Najwyraźniej Olivii i pozostałym udało się donieść leki do obozu i Pulpet zaaplikował je chorem. Samo to, że Liam mówił do mnie tak spójnie, oznaczało, że wyprawa na lotnisko nie poszła na marne – że wynikło z niej chociaż niewielkie dobro.

Podał mi buty. Kiedy je włożyłam, uczucie zdrętwienia rozeszło się od palców u stóp, przez kostki, w górę po łydkach – czekałam, aż ogarnie mnie cała. Byłam bardzo zmęczona i niewiarygodnie obolała. Poczułam, że wsuwam się pod płaską, szarą taflę smutku, ale nie miałam siły, żeby się spod niej wydostać. Wzięłam głęboki wdech, odchylając głowę w tył, jakby to miało wystarczyć, by powstrzymać łzy.

– Powiedz mi – błagał. – Już nie mogę... To dla mnie za wiele.

*Za wiele.* – Mój umysł zatrzasnął się na tych słowach. – *Za wiele, za wiele, za wiele.*

Liam ukląkł obok mnie. Jego grdyka podskoczyła, gdy przełknął ślinę – nie mogłam oderwać od niego oczu aż do chwili, kiedy wyciągnął rękę i pogładził palcami bliznę na moim czole. Nie odsunęłam się i poczułam, jak delikatnie muska krawędź mojej twarzy i policzek. Jego szorstkie, spierzchnięte z zimna dłonie wsunęły się pod moje włosy, sięgając za uszy. Zamknęłam oczy, pozwalając, by jego kciuki strząsnęły małe płatki śniegu osiadające mi na rzęsach.

*Odsuń się* – upominałam się, z trudem otwierając oczy. – *Odsuń się* – bo on tego nie

robił. Czułam, jak się ku mnie pochyla, i zrobiłam to samo, nachylając twarz, żeby spotkać go w pół drogi. Miał zamknięte oczy i przez moment myślałam, że jest uwięziony w jakimś śnie. Czułam, jak jego oddech ogrzewa mi usta.

Dotyk Liama był dla mnie czymś tak wytęsknionym, że na krótką chwilę niemal zapomniałam o przeszłości.

Nie zastanawiałam się, jakim cudem mnie poznaje, czemu tak bardzo mu na mnie zależy ani dlaczego pragnie czułości.

*Za wiele.*

– Co robisz? – wyszeptalam.

Zamurowało go. Od razu rozpoznałam popłoch, który pojawił się na jego twarzy. Gwałtownie cofnął dłonie, tracąc przy tym równowagę. Próbował się podnieść na nogi, ale był powolny i słaby. Czubki jego uszu zrobiły się jasnoczerwone i jedyne, co mógł zrobić, to odwrócić wzrok. Zdążył jednak wstać, zanim uczucie jego dotyku ulotniło się z mojej skóry.

Burknął coś, wsuwając dłonie pod pachy i kręcąc głową. Cofał się po dwa kroki naraz, a ja zastanawiałam się, jaki muszę mieć wyraz twarzy, skoro on wygląda na całkowicie zagubionego.

– Nic się nie stało – powiedziałam, chociaż było to dalekie od prawdy. Roześmiałabym się, gdybym właśnie nie płakała. To niewiarygodne, że człowiek może jeszcze bardziej się pogрузić, nawet po tym, jak sięgnął mrocznego dna. Pozwolić mu podejść tak blisko, pozwolić mu się pocieszać po wszystkim, co zrobiłam, było szczytem podłości.

Nie zdążyłam powiedzieć nic więcej, bo Liam wszedł mi w słowo – w jego tonie znowu pojawiła się dziwna nuta.

– Ruby... Jesteś Ruby – mówił, nie przestając kręcić głową. – Pulpet powiedział, że ty, Vida i ten mały pomagaliście mu mnie szukać. Twierdzi, że nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy, ale to niemożliwe, niemożliwe, bo ja znam twoją twarz. Znam twój głos. Nie rozumiem.

– Mówiłam do ciebie, kiedy byłeś chory. – Czułam, jak panika ściska mi żołądek. – W magazynie w Nashville.

– Nie. *Nie*. To znaczy wiem, że do mnie mówiłaś. – Upierał się przy swoim. Był wyraźnie poruszony i przemierzał tam i z powrotem szerokość niewielkiego podestu. – To nie dlatego. Wiem, że nie.

Musiałam to skończyć. Nie mogłam mieszać mu w głowie. Postanowiłam przerwać wszystko jednym zdecydowanym cięciem.

– Należę do Ligi – wymamrotałam, wiedząc, że to jedyna rzecz, która go ode mnie odrzuci. Jedyna rzecz, która zamieni współczucie w jego spojrzeniu w totalną pogardę.

– Ty... – zaczął. – Co? To... to niemożliwe.

Obozy. Musiałam myśleć o obozach, które wyzwolimy, kiedy dostarczę dane Cole'owi i Cate. O dobru, które wyniknie z mojej misji i wymaże krew zbierającą się pod moimi stopami oraz dym i ogień zostawiany za sobą jak ślady stóp.

– Masz rację. Już się kiedyś spotkaliśmy – dodałam. – W kryjówce w Maryland. Dostarczyłam ci pieniądze od brata, pamiętasz?

Przypomniawszy sobie. Zobaczyłam to w jego twarzy i w tym, jak zwiesił ramiona. Utkwiłam wzrok w drzewach za jego głową, ciasno oplatając się ramionami, żeby nie pozwolić ulecieć ostatniej odrobiny ciepła. Wyglądał, jakby miał zwymiotować.

– Uciekłaś z Ligi, tak? Pulpet by mi powiedział. Nie zataiłby tego przede mną. Należałaś do tej organizacji, ale teraz jesteś...

– Należę do Ligi, tak samo jak Vida i Jude. – Znałam Pulpeta wystarczająco dobrze, żeby dokładnie wiedzieć, czemu zachował dla siebie tę informację. – Nie wspomniawszy ci o tym, bo

wiedział, że będziesz chciał się odłączyć. Zawarliśmy układ.

– Nie... nie rozumiem – zdołał wydusić z siebie. Znowu się wycofywał i przecierał ręką twarz. – Układ?

Wbiłam mu nóż w piersi. Mogłam go przekręcić i skończyć to raz na zawsze.

*Nie* – szepnął mi cichy głosik. – *Nie rób tego znowu.*

Liam wlepił we mnie wzrok i czekał, trzęsąc się z zimna i ze złości. Nie protestował, kiedy podeszłam bliżej. Oddychał ciężiej – jego kolejnym wdechom i wydechom towarzyszyły świszczące, mokre gwizdy. Sięgnęłam do dolnego brzegu kurtki, którą miał na sobie, i rozerwałam szew pospiesznie zaszyty przez Cole’a.

Czarny prostokątny pendrive z wizerunkiem złotego łabędzia Leda Corporation był ciepły od bezpośredniej bliskości ciała Liama, gdzie tkwił przez kilka ostatnich godzin, a może i dni.

Liam cofnął się chwiejnie, a odbicie wszystkich kotłujących mu się w głowie myśli nagle pojawiło się na jego twarzy.

– Co to ma być, do cholery? – zapytał.

– Twój brat wysłał nas, żeby cię odnaleźć. Wzięłeś jego kurtkę zamiast swojej, kiedy uciekałeś w Filadelfii. I zabrałeś ze sobą to.

– Co to jest? – powtórzył i sięgnął po urządzenie.

Zamknęłam dłoń i wsunęłam przeklęte znalezisko do kieszeni, żeby przypadkiem nie zrobić czegoś głupiego. Tyle poświęceń dla maleńkiego kawałka taniego plastiku.

– To ściśle tajne dane – rzuciłam, zmuszając stopy, żeby ruszyły do przodu po ścieżce. – Dotyczą operacji, którą przeprowadzał twój brat.

Po części miałam nadzieję, że za mną nie pójdzie. Że zostanie w miejscu i pozwoli mi wrócić do obozowiska, a potem przejść przez las i po prostu zniknąć. Ale w moim życiu nic nie było proste – zamiast tego Liam mnie wyprzedził. Jego pierwsze kroki były chwiejne, sprawiał wrażenie, jakby brnął przez sięgającą mu do kolan wodę. Odruchowo wyciągnęłam rękę, żeby go podeprzeć, ale wyrwał mi się i parł do przodu, wykrzykując imię Pulpeta i odkasłując zalegającą w płucach wydzielinę.

Wyglądało na to, że Pulpet wyszedł nas szukać. Spotkaliśmy go na ścieżce w miejscu, gdzie skręcała do obozowiska. Był cały potargany, miał zaspane oczy i wygniecione ubranie. Jego mózg najwyraźniej jeszcze nie do końca się rozgrzał, bo nie pomyślał o tym, że jest bardzo zimno, więc powinien włożyć płaszcz i buty.

– Co?! – zawołał, kiedy nas zobaczył. – Co się dzieje?!

– Nie wierzę, że to zrobiłeś – wysapał Liam. – W co ty, u diabła, sobie pogrywasz?

Pulpet otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

– O czym ty mówisz?

– Wiem o wszystkim! – Liam podszedł do niego, kulejąc. Droga powrotna po stromym szlaku sprawiła, że ciężko dyszał. – Jak długo jeszcze chciałeś to przede mną ukrywać? Liga? *Poważnie?* Matko, przecież to ty jesteś z nas najbystrzejszy! I to ty się z nimi układasz?!

Pulpet przeciągnął dłonią po swoich ciemnych włosach i wydał z siebie długie, rozdrażnione westchnienie. Miałam jakieś trzy sekundy, żeby ściągnąć wściekłość Liama z powrotem na siebie, zanim Pulpet powie coś naprawdę głupiego.

– Tak, mam z tym problem! – Liam skierował się w stronę zagaszonego ogniska. Chciał oddalić się ode mnie na tyle, by nawet nie oddychać tym samym powietrzem.

– Możesz mnie wysłuchać? – poprosiłam. – To był mój pomysł... Wszystko. Cole wysłał nas, byśmy odnaleźli pendrive’a, i po drodze spotkaliśmy twojego przyjaciela. Umówiliśmy się, że jeśli pomoże cię odszukać, nie podamy żadnych waszych danych Lidze i zrobimy wszystko, byście dotarli do Kalifornii, żeby znaleźć Zu.

Na początku uznałam, że spojrzenie, które rzucił mi Pulpet, było wynikiem zaskoczenia tym, z jaką łatwością rzucam jednym kłamstwem za drugim. Ale gdzieś w głębi serca już w momencie wypowiedzania tych słów wiedziałam, że strzeliłam sobie w stopę.

– Skąd o tym wszystkim wiesz?! – naciskał Liam. – Jakim cudem znasz Zu?!

Przełknęłam ciężko ślinę, obejmując się ramionami. W głowie kotłowały mi się różne wymówki, jedna gorsza od drugiej.

– Gadaj!

Wzdrygnęłam się.

– Po prostu... słyszałam to i owo... Od Pulpeta oczywiście.

Liam odwrócił się jak rażony piorunem w stronę przyjaciela. Twarz płonęła mu z wściekłości i niedowierzania.

– Co jeszcze jej powiedziałaś?

– Nic! Lee, musisz się uspokoić... Proszę cię, usiądź. *Posłuchaj.*

– Nie wierzę, że to zrobiłeś! Nie wiesz, że oni mają sposoby, żeby ją wytropić? Naprawdę chcesz, żeby złapali Zu? Przecież obiecaliśmy sobie, że będziemy... Myślałem...

– Nic mi o niej nie powiedział oprócz tego, że przez jakiś czas razem podróżowaliście – wyjaśniłam spokojnie.

Liam starał się na różne sposoby chronić każde z nas, ale Zu była dla niego kimś naprawdę wyjątkowym.

– Nie wtrącaj się, Zielona! Co jeszcze jej wygadałeś? Co jeszcze z ciebie wydusiła? – warczał na Pulpeta.

Odskokczyłam w tył, zupełnie zbita z pantafiku.

– Jak ją nazwałeś? – przerwał mu Pulpet. Jasna sprawa, on też wyłapał słowo, które tak mnie zdumiało.

– Co znowu? Teraz nie wolno mi nawet używać jej imienia? – Wyraz twarzy Liama kipiał drwiną. – Jak mam się do ciebie zwracać? Pewnie Liga nadała ci jakieś zmyślne przezwisko, co? Dynia? Tygrys? Mandarynka?

– Nazwałeś mnie Zielona.

– Nieprawda. Po jaką cholere miałbym tak do ciebie mówić? Wiem, jaki masz kolor.

– Tak powiedziałeś – potwierdził Pulpet. – Nazwałeś ją Zielona. Naprawdę nie pamiętasz?

Moje serce roztrzaskało skuwający je lód. Obijało się o ściany klatki piersiowej, waląc coraz mocniej z każdą minutą ciszy, która nastąpiła po jego słowach. Liam spoglądał to na Pulpeta, to na mnie. Wściekłość niespodziewanie go opuściła, zastąpiona przez zagubienie, które przerodziło się w najprawdziwszy strach.

– Nic się nie stało. – Wyciągnęłam rękę w nieśmiałej próbie udobruchania go. – Wszystko w porządku. Możesz do mnie mówić, jak chcesz. To naprawdę nie ma znaczenia...

– Mącisz mu w głowie? Zmuszasz go, żeby ci nie podskakiwał? – zapytał Liam, wskazując na przyjaciela. Miał rozpaloną twarz i sprawiał wrażenie, jakby wypełniająca go wściekłość zaczynała przechodzić w lęk. Patrzył na mnie i widział nieznajomą.

Nie nadażałam za jego zmieniającymi się nastrojami i nagle zaczęłam się zastanawiać, czy w ogóle warto się starać. Wspomnienie tego, co się wydarzyło, kiedy odnalazł mnie przy wodospadach, wyparowało jak mgła w promieniach słońca. Może to sobie tylko wyobraziłam?

– Żartujesz? – odparował Pulpet. – Po tym wszystkim, co się wydarzyło w East River? Czy mam ci przypomnieć, że Clancy Gray nie był w stanie mnie tknąć, chociaż z ciebie zrobił chłoptasia na posyłki?

– Nie... Co? – Oddech eksplodował z płuc Liama. – Co ty wygadujesz?

*Jasna cholera*, pomyślałam.

Kiedy włamałam się do umysłu Liama i wyrwałam sobie z jego pamięci, musiałam nagiąć jeszcze kilka innych wspomnień, w przeciwnym razie całość nie miałaby sensu. Należała do nich noc, kiedy próbowaliśmy uciec z East River. Musiałam nieco zmienić jej scenariusz, ponieważ cały przerażający epizod został wywołany tym, że w najmniej odpowiedniej chwili opuściłam gardę i zaufałam Clancy'emu. Stanowiło to główny element historii.

Nie pamiętałam jednak, co wsunęłam w miejsce tego wspomnienia. Czyżbym całkowicie wymazała tę noc? W głowie mi się kotłowało, usiłowałam odkopać obrazy, które umieściłam w pustej przestrzeni, ale wszędzie były tylko czerń i mrok.

Pulpet odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć, jego oczy pałały ogniem zdolnym spopielić górę.

– Po co na nią patrzysz?! – wybuchnął Liam. – Co się tu wyprawia?! Czemu z nimi trzymasz?!

– Szukaliśmy cię razem! Wszyscy chcieliśmy ci pomóc!

– Na litość boską! – Z namiotu dobiegł wrzaskliwy głos Vidy. – Możecie w końcu zamknąć jadaczki i wrócić do wspólnej sypialni?! Nie chce się nam dziesiąty raz wysłuchiwać tego samego argumentu przed piątą nad ranem!

Jude wykonał bardzo śmiałą próbę uciszenia swojej towarzyszki, ale było za późno.

– Ty... ty... Nie mogę... – warczał Pulpet, zbyt wściekły, żeby złożyć poprawne zdanie. – Wyjdź tu. *W tej chwili!*

– Przyjdź po mnie, skarbie – zaświergotała. – Wiem, że wolisz chłopców, ale nie zaszkodzi spróbować.

– Wolę ludzi z działającym mózgiem! – odparował Pulpet.

– Pulpet! – wycodziłam. Znał ją trochę i wiedział, że to woda na jej młyn. – Vida, proszę cię, wyjdź do nas. Ty też, Jude.

Vida wyłoniła się z namiotu oplecioną kocem jak powłóczystą królewską szatą. Efekt psuły jednak wypłowiałe niebieskie włosy, które sterczały jej po bokach jak rogi. Jude nie wyglądał lepiej – chyba nigdy wcześniej nie widziałam, żeby miał tak podkrążone oczy. Wygrzebał się za nią w swojej kurtce ratownika medycznego i usiadł po drugiej stronie paleniska.

– Nie zmienię zdania, więc nawet nie zaczynajcie. Nie mam ochoty wysłuchiwać tych szytych grubymi nićmi bzdur o tym, jaka Liga jest *wspaniała* i jak *cudowni* są jej agenci – powiedział Liam, splatając ręce na piersi. – Przekażcie Cole'owi, żeby się wypchał. Nie potrzebuję ani jego, ani was! Sam potrafię o siebie zadbać!

– I to mówi dzieciak, który ledwo zipsał, kiedy go znaleźliśmy – rzuciła Vida, wywracając oczami. – A tak przy okazji: nie ma za co.

– Przysięgam, że naszym celem było zdobycie pendrive'a i że to kończy naszą umowę – powiedziała, patrząc, jak jego pierś z trudem się unosi, żeby nabrać wystarczająco dużo powietrza. Łatwiej mi było z nim rozmawiać, jakby był nieznajomym. Biorąc pod uwagę, jak bardzo był bladej, nieogolony i brudny, nietrudno było to sobie wyobrazić.

*To nie Liam* – mówiłam sobie. – *Coś jest nie tak.*

– Czyżby? – odezwał się chłodno. – Nie prosiłem o pomoc, a ostatnie, na co mam ochotę, to dać się niańczyć komuś takiemu jak ty.

Zabrało mi sekundę dłużej niż pozostałym, żeby się zorientować, że ten przytyk był skierowany do mnie.

– Hej! – wtrącił się Jude. – Chcemy tylko pomóc. Nie musisz się na nas wyżywać.

– Lee, nie dramatyzuj – podjął Pulpet.



– A ty... Boże, kupiłeś sobie nowe okulary, auto i kilka gadżetów i myślisz, że jesteś Rambo w dżungli. Nigdy w życiu nie pomyślałbym, że dasz się wciągnąć w coś takiego.

– Jeśli on nam ufa, czemu ty nie możesz? – próbował Jude.

– Zaufać Lidze? – Liam parsknął śmiechem. – Czy wy wszyscy naprawdę jesteście aż tak głupi? – Podniósł dłoń, uciszając Vidę, która chciała coś powiedzieć. – Gadają o rehabilitacji, a tylko robią z dzieci zakładników. Mówią o szkoleniu odmieńców, żeby mogli sami się bronić, a potem odwracają głowy i wysyłają ich na pewną śmierć. Albo jesteśmy w obozach, albo z Ligą, albo ukrywamy się jak zbiedzy. Rzadko możemy sami o sobie decydować. Powiedzieć wam, czego chcę? Dokonać wyboru. Tylko jednego. I to właśnie robię. Może wam nie przeszkadza powrót w ramiona morderców, ale ja mam zamiar trzymać się od nich z daleka. Z daleka od was.

Po tych słowach przepchnął się między mną a Pulpetem i ruszył tą samą ścieżką z powrotem w stronę wodospadów. Pulpet strzelał oczami w moim kierunku, ale ja nie odrywałam wzroku od Liama. Oparłam się o pniak, bezmyślnie pocierając rzą� szwów na łądźwiach.

– Naprawdę myślisz, że chce, bym to ja za nim poszła? – zapytałam.

Pulpet westchnął, energicznie trąc dłońmi o ramiona, po czym ruszył za przyjacielem. Nie zaszli zbyt daleko. Wspiąwszy się na palce, widziałam, jak Liam ciężko opiera się o drzewo. Na początku zdawało się, że Pulpet zachowuje bezpieczną odległość, by nie prowokować kolejnego wybuchu. Ale najwyraźniej coś mu powiedział albo go przeprosił, bo po chwili stał już przy nim, jedną rękę trzymając mu na plecach, a drugą wskazując w naszym kierunku.

– Nie mogę uwierzyć, że tak nas obsmarował – zrzędziła Vida. – Ten koleś ma większe huśtawki nastroju niż dwulatek na przyjęciu urodzinowym.

– Nie wiedziałem, że aż tak bardzo nas nienawidzi... – powiedział Jude.

– To nie tak – odparłam, nie spuszczać oczu z chłopaków. – On nie cierpi Ligi. Uważa, że bez niej było nam lepiej... że jej nie potrzebujemy.

– Zdaje się, że on nas jednak potrzebował – rzuciła Vida. – W niedalekiej przeszłości, kiedy topił się we własnej flegmie.

Jude siedział cicho, patrząc, jak obserwuję chłopców. Kiedy spojrzałam w jego stronę, żeby zapytać, co się dzieje, odwrócił wzrok i zajął się wygrzebywaniem kurtki Pulpeta z namiotu. Zmusiłam się, żeby usiąść na jednym z pniaków wokół paleniska. Cały mózg pulsował mi w rytm mojego tętna.

Chłopcy wrócili do nas po dziesięciu minutach. Pulpet cały czas potrząsał głową wyraźnie rozdrażniony, a Liam spuścił wzrok, żeby na nas nie patrzeć. Czubki jego uszu były zaczerwienione od lodowatego wiatru albo zażenowania. Z rękami wciśniętymi w kieszenie pokuśtykał obok nas w kierunku namiotu.

– Na razie zgodził się z nami zostać – powiedział Pulpet. – Chce pojechać do Kalifornii, żeby odnaleźć Zu, ale zrobi wszystko, byście nie mogli nas wysledzić... Pewnie będziemy musieli się rozdzielić przed granicą stanu.

– Ten koleś jest zmienny jak kwietniowa pogoda, co? – Vida przewróciła oczami.

Jude podał kurtkę trzęsącemu się Pulpetowi, który przyjął ją z wdzięcznością.

– Nie zapomnijcie wysłać nam kartki, kiedy was dopadną i zawleką z powrotem do obozu – dodała Vida.

– Będę nad nim pracował – obiecał Pulpet. – Po prostu musi ochłonać.

– Jasne – odparłam. – Dziękuję.

Ale wiedziałam, że to nie wystarczy.

Natural Falls State Park znajduje się w Oklahomie, na terenie przez większość uznawanym za wyżynę Ozark. Leży dokładnie w południowo-wschodnim rogu stanu, gdzie w grudniu jest naprawdę przeraźliwie zimno. Pulpet oprowadził mnie pobieżnie po kempingu: kilka piknikowych stołów z ławkami, parking na przyczepy i liczne przeplatające się szlaki turystyczne. Najważniejsze jednak, że prócz nas nie było tu zupełnie nikogo.

– Boli cię? – zapytał mnie Pulpet, dorzucając kolejną gałąź do coraz mocniejszego ognia.

– Nic mi nie jest. Tylko chciałabym wiedzieć, co mnie ominęło.

Przesunęłam się, oddając mu pół pniaka, żeby nie musiał siedzieć na śniegu, po czym zarzuciłam mu koc na ramiona i go przytuliłam. Ciągłe delikatnie pachniał proszkiem do prania i środkiem do dezynfekcji rąk, ale dopiero teraz poczułam od niego również naturalniejsze zapachy – takie, które zdradzały, że wiele nocy przespał na ziemi bez kąpieli. Biedak, pewnie miał wrażenie, że umiera.

– Niech ci będzie – rzucił, wziął głęboki oddech i zaczął opowiadać.

Powiedział, że kiedy do magazynu wróciła tylko połowa ekipy Olivii, od razu się zorientował, że coś jest nie tak. Ona i dziesięcioro innych wyszli z jatki niemal bez szwanku i pojawili się z powrotem z całym łupem, jaki udało im się przerzucić przez rzekę. Brett wrócił dopiero dwie godziny później, brnąc przez podtopiony parking z Jude'em przerzuconym przez ramię. Dla jego ludzi los nie był tak łaskawy – wróciło tylko pięcioro i mnie nie było wśród nich.

– Pokazałem Olivii, jak właściwie podawać dzieciom lekarstwo, zaaplikowałem antybiotyki Liamowi, po czym wnieśliśmy go do auta. Przez większą część nocy jeździliśmy w kółko, usiłując się połączyć z internetem, żeby sprawdzić aktualności w sieci łowców nagród. Wszyscy byliśmy przekonani, że wpadłaś w ręce SSP.

– Mało brakowało – wyszeptalam, ale chyba mnie nie usłyszał.

Zanim udało się im połączyć z siecią, Cate wysłała wiadomość za pośrednictwem komunikatora. Okazało się, że urządzenia identyfikujące – takie jak to, którym kobieta z SSP machała mi przed nosem – nie tylko odszukiwały profile odmieńców, ale jednocześnie automatycznie uaktualniały czas i miejsce, gdzie znajdował się poszukiwany. Aktualizacje pojawiały się równocześnie w sieciach SSP i łowców nagród.

*To stąd Rob wiedział, że jestem w okolicy lotniska, pomyślałam.*

– Ale jak wpadliście na to, żeby szukać Roba?

– Nie od razu przyszło nam to do głowy. Ukrywał się pod fałszywym nazwiskiem. – Pulpet spojrzał w dół na swoje splecione palce. – Zaktualizował dane w sieci łowców, twierdząc, że zostałaś *odzyskana*. Kiedy to zrobił, wszedłem na jego profil, sprawdziłem, jakim jeździ autem, i odczytałem jego numer rejestracyjny. Nie byliśmy daleko, ale i tak ciągle nie mogę uwierzyć, że cię odnaleźliśmy. Potem przyjechaliśmy tutaj... Jesteśmy tu od czterech dni.

– Dzięki, że mnie nie zostawiliście – powiedziałam po krótkiej chwili ciszy.

– Naprawdę myślisz, że moglibyśmy cię tak po prostu porzucić? – zapytał. – Że nie zrobilibyśmy wszystkiego, co w naszej mocy, żeby tylko cię odnaleźć?

– Nie to miałam na myśli. Chodzi o to...

*Może byłoby lepiej, gdybyście pozwolili, by mnie schwytano.* Uszy wypełnił mi szum, który zdominował wszystkie inne dźwięki. Poczułam, jak znów rodzą się we mnie zaczątki paniki.

– Skoro Liam tak bardzo nie chce przebywać w naszym towarzystwie, może będzie lepiej, jeśli się rozstaniemy – powiedziałam w końcu.

– Nie. To nie ma sensu. Nie nadążam za jego zmianami nastroju. Dostał szału, kiedy cię znaleźliśmy... Totalnie się rozsypał. Nigdy wcześniej nie widziałem go w takim stanie. Może gdzieś w głębi duszy czuł, że należycie do Ligi, jeszcze zanim mu o tym powiedziałaś... To jedyne wyjaśnienie jego zachowania, jakie przychodzi mi do głowy. Liam, którego znałem, spróbowałby się z wami dogadać i na pewno nie nalegałby na rozłąkę. Przecież sama jesteś tego dowodem. Ale odkąd zaczął czuć się lepiej, stał się nerwowy i rozdrażniony.

– Rozumiem go. Niby z jakiej racji miałby nam ufać?

– Zrozum w końcu, że ja nie zamierzam wybierać. Nie pozwolę, by Liam znowu był sam, ale ciebie też nie zostawię. Dlatego musisz znaleźć sposób, żeby wszystko się ułożyło, zgoda? Musisz zdobyć jego zaufanie. Czemu kręcisz głową?

– Nie kłamałam, kiedy mówiłam o swoich zamiarach. Może nie wszystko, co wyszło z moich ust, było prawdą, ale w tej jednej kwestii muszę dotrzymać słowa. Pomogę wam dotrzeć tam, gdzie zdecydujecie, a potem wrócę do Cole'a, żeby dokończyć misję.

Pulpet przytulił mnie mocniej, ale to szok, zranienie i strach, które z niego emanowały, sprawiły, że słowa uwięzły mi w gardle.

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, jakie to ważne. Obawiam się, że jeśli osobiście nie doprowadzę tej sprawy do końca i jeśli na własne oczy nie zobaczę, co za tym wszystkim stoi – wskazałam palcem na niego i na siebie – to nigdy sobie nie wybaczę. Nie mogę być z Liamem, ale chcę zrobić dla niego przynajmniej tyle. To jego dziecięce marzenie, pamiętasz?

– Nie – wyszeptał Pulpet. – Nie chcę znowu przez to przechodzić. Nie chcę bezustannie myśleć o tym, co się z tobą dzieje, tak jak przez ostatnie sześć miesięcy zamartwiam się o Zu. Wiem, że to samolubne, ale muszę mieć pewność, że jesteś bezpieczna, a póki jesteś w Lidze, to nie jest możliwe. Przemyśl to chociaż, dobrze? I daj mi szansę, żebym mógł cię przekonać.

Nie, pomyślałam, posyłając mu wąty, pocieszający uśmiech. Nawet gdyby Liam nie patrzył na mnie z taką nienawiścią, nawet gdyby pocałował mnie wtedy przy wodospadach, i tak nie miałyby to znaczenia. Nie byłam już niezapisaną kartą tak jak wówczas, kiedy Liam, Pulpet i Zu mnie znaleźli. Wtedy też, rzecz jasna, miałam na swoim koncie czyny, których się wstydziłam, ale teraz znalazłam się w miejscu, skąd nie było powrotu. W Liamie i Pulpecie wciąż paliło się za dużo światła, bym mogła ich ciągnąć za sobą w ciemność.

– Zobaczymy – powiedziałam, ściskając jego dłoń. – Zobaczymy.

Mimo że Pulpet nie miał żadnych map i nie był w stanie ściągnąć aktualizacji strony łowców nagród, i tak się upierał, by jak najszybciej opuścić park. Postanowiliśmy spędzić w nim jeszcze jedną noc, żeby odpocząć, i z samego rana ruszyć dalej na zachód.

Pulpetowi niespecjalnie spieszyło się do Kalifornii, podejrzewałam jednak, że przekroczył granicę tolerancji na panujące na wschodzie zimno – zarówno na poziomie fizycznym, jak i emocjonalnym. Nie wiedziałam, jak Vida zareaguje na kolejny wykład o hipotermii, ale wyobrażałam sobie, że zrobi użytek ze swoich zdolności telekinetycznych oraz ogniska. Jeszcze do niej nie dotarło, że to nie o siebie zamartwiał się Pulpet.

Zimno siało spustoszenie w płucach Liama, który sapał i dyszał, charczał i kaszłał za każdym razem, kiedy chciał iść tempem trochę szybszym niż ślimacze. Zamiast zbierać porozrzucane rzeczy, uklęknął obok Jude'a i pomagał mu dokładać do ognia, dyskutując o tym, który album Bruce'a Springsteena jest lepszy: *Born in the U.S.A.* czy *Born to Run*.

Kiedy skończyli, przynieśli z auta więcej warstw ubrań, na których mogliśmy usiąść. Zupełnie odruchowo Liam sięgnął po swoją starą skózaną kurtkę i nałożył ją na cienką ciemnoszarą, którą miał na sobie.

– Ale to... – zaprotestował Jude.

Potrząsnęłam stanowczo głową w jego kierunku, po czym szybko się schowałam, zanim Liam zdążył się odwrócić i cokolwiek zauważyć. Od tego momentu zawsze starałam się pozostawiać mu przestrzeń. Szłam w prawo, kiedy on skręcał w lewo, pilnując, by nie przekraczać linii ogniska. Do czasu, kiedy Jude zaczął dawać wyraźnie do zrozumienia, że musi zjeść kolację, Liam nieco się rozluźnił. Przynajmniej na tyle, żeby zdobyć się na uśmiech, gdy Pulpet potknął się z jękiem, wyrzucając w powietrze nasze dzienne racje żywnościowe.

– Zastanawiałam się, co się z nimi stało – zagadnęłam, pomagając mu zbierać foliowe opakowania.

– Większość musieliśmy zostawić – wyjaśnił, kiedy ruszyliśmy w kierunku pozostałych, kulących się przy palenisku. – Mamy tyle, ile zdołaliśmy upchać w kieszeniach. Na razie nam wystarcza. Dobra, na co macie ochotę?

– Ja poproszę chiński figowy batonik, jeśli jakiś ci został – powiedział Jude.

– Francuską mieszankę orzeszków – rzuciła Vida. – Tę w srebrnym opakowaniu.

– Czy ktoś wpadł na to, skąd wzięły się te rzeczy? – zapytałam. – Albo czemu tam leżały i się marnowały?

– Uznaliśmy, że trzeba to wpisać na listę zasług prezydenta naszego kraju. Gray jest parszywym draniem, a reszta świata najwyraźniej nie ma się nawet w połowie tak źle, jak sądziliśmy – skwitowała Vida. – To tyle w tym temacie.

Od samego początku w swoim cotygodniowym orędziu prezydent Gray uparcie podkreślał, że Amerykanie wyprawiają sobie żyły, żeby zadbać o poprawę sytuacji obywateli swojego kraju. Do znudzenia potępiał Organizację Narodów Zjednoczonych za nałożenie na Stany sankcji gospodarczych. Podobno nikt nie chciał robić z nami interesów, więc musieliśmy robić interesy między sobą. Nikt nie spieszył nam z finansową pomocą, zatem to garstka tych, którzy jakimś cudem nie zbankrutowali, kiedy załamały się rynki, musiała zdobywać się na szczodrość. Amerykanie mieli pomagać Amerykanom.

„Wielka Brytania, Francja, Japonia, Niemcy po prostu nie rozumieją amerykańskiego podejścia”, powiedział kiedyś Gray. Twierdził, że reszta świata nie ma bladego pojęcia o naszym bólu, bo OMNI ich nie dotknęło. Oglądałam go w Bazie na ekranie jednego z telewizorów w auli – jego twarz wyglądała starzej i szarzej niż jeszcze tydzień wcześniej. Miało się wrażenie, że siedzi w starym Gabinetie Ovalnym, ale Nico zauważył poblask na krawędzi obrazu, który wskazywał na to, że tło zostało nałożone. Chociaż Gray zbudował wokół siebie potężny ochronny mur, nie wrócił do Waszyngtonu od pierwszych bombardowań – przeprowadził się jedynie z jednego wieżowca na Manhattanie do innego.

„Niektórzy nie rozumieją, że w tak trudnych czasach trzeba się zdobyć na pewne poświęcenia – kontynuował swoje przemówienie Gray. – Jesteśmy w stanie się podnieść, trzeba nam jedynie czasu i oddania. Jesteśmy Amerykanami i zrobimy to po swojemu, tak jak zawsze...” Im dłużej mówił i im więcej używał słów, tym mniej sensu miała jego przemowa. Stanowiła niekończący się strumień pomysłów, równie bezbarwnych jak jego głos. Administracja rządowa tak bardzo gubiła się w swoich obietnicach, że wszystkim mąciło się już w głowach i nie mogliśmy nic z tego zrozumieć.

– A ty nie jesteś głodny? – zwróciłam się do Liama.

Czas, cisza i namacalne zażenowanie wcześniejszym wybuchem odrobinę go zmiękczyły. Najpierw przełamał się w stosunku do Jude’a, który ignorując wszystkie oszczerstwa, jakimi wcześniej obrzucił go Liam, był w niego wpatrzony jak dziecko w ulubionego piłkarza. Potem do Vidy, której czarująca osobowość nikogo nie pozostawiała obojętnym na długo. Widziałam, że ciągle był zły na Pulpeta, ale nawet to zaczęło z niego uchodzić, kiedy minął pierwszy szok. Cieszyłam się, że Vida i Jude mogą choć trochę go poznać i zobaczyć bez dziwnej

pokieroszowanej zbroi, w jaką się wcisnął.

– Zjem cokolwiek – rzucił, nie podnosząc wzroku znad małej czarnej książeczki, którą trzymał w prawej dłoni.

Usiadłam tak jak przedtem obok Pulpeta, pozwalając mu się wyżalać, ale nie zwracając uwagi na to, co mówił. Po mojej prawej stronie Jude nucił sobie pod nosem jakiś kawałek Springsteena i budował miniaturowego bałwana, używając do dekoracji cukierków M&M's ze swojej mieszanki orzeszków – uśmiech, który mu zrobił, był tak krzywy, że bałwan, zamiast prezentować się uroczo, wyglądał na pomyłkę.

– Joseph Lister? – powiedział nagle Liam, przerywając ciszę. – Naprawdę? Musiałeś wybrać akurat jego?

Poczułam, jak Pulpet się prostuje.

– To *bohater*. Inicjator badań nad pochodzeniem zakażeń i propagator antyseptyki.

Liam wbił wzrok w powleczonej sztucznej skórą okładkę legitymacji łowcy nagród Pulpeta, po czym ostrożnie dobierając słowa, powiedział:

– Nie mogłeś wybrać kogoś bardziej na czasie? Kogoś, kto nie jest starym, białym nieboszczykiem?

– Jego praca doprowadziła do zmniejszenia liczby zakażeń pooperacyjnych i zwiększyła bezpieczeństwo zabiegów – upierał się Pulpet. – A kogo ty byś wybrał? Kapitana Amerykę?

– Wszystko byłoby lepsze. – Liam oddał mu legitymację. – Jesteś... jak łowcy nagród z *Gwiezdných wojen*. Nie wiem, co powiedzieć, Pulpeciku.

*Powiedz, że to w porządku* – pomyślałam, przypominając sobie strach w oczach Pulpeta, gdy wyznał mi, że kiedyś schwytał chłopca. – *Powiedz, że rozumiesz, że musiał tak postąpić, nawet jeśli to nieprawda.*

– Co? – prychnął Pulpet z udawaną obojętnością. – Akurat teraz odebrało ci mowę?

– Nie o to chodzi... Po prostu jestem... – Liam odchrząknął. – Jestem ci wdzięczny za to, że mnie szukałeś i że zdobyłeś się na tyle poświęceń. Podejrzewam, że nie było ci łatwo.

– Zamknijcie się w końcu i przejdźcie do wymiany śliny – warknęła Vida, opierając się pokracznie o pniak. Nigdy by się do tego nie przyznała, ale wiedziałam, że poparzenia na plecach paliły ją żywym ogniem. – Usiłuję nadrobić sen, który mi przerwaliście, kiedy zaczęliście się na siebie wydzierać jak koty w marcu.

– Panno Vido – odezwał się Liam. – Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że jesteś jak bita śmietana na biszkopcie zwanym życiem?

Rzuciła mu nienawistne spojrzenie.

– A tobie ktoś powiedział, że masz kwadratowy łeb?

– To fizycznie niemożliwe – parsknął Pulpet. – Byłby...

– W sumie – zaczął Liam. – Cole kiedyś próbował... Co?

– Wybacz – przerwał mu Pulpet. – Najwyraźniej środek mojego zdania przerwał początkowi twojego. Kontynuuj, proszę.

– Podejrzewam, że nie chcecie słuchać o tym, jak brat przepychał mi głowę przez ogrodzenie sąsiada...

– Połała się krew? – zapytała Vida z nagłym zainteresowaniem. – Straciłeś chociaż ucho?

Liam uniósł dłonie do uszu, udowadniając, że oba wciąż są mocno przytwierdzone do czaszki.

– W takim razie nie – powiedziała. – Nikt nie chce wysłuchiwać twoich durnych historii.

Szybko nadciągała noc. Śledziłam ruch słońca między czubkami drzew nad naszymi głowami. Słaba pomarańczowa poświata omiała ośnieżone poszycie lasu, aż w końcu zamieniła się w senną szarość i zimno zmusiło nas do schowania się w namiocie.

Vida leżała na plecach, trzymając w górze komunikator i poruszając nim w poszukiwaniu zasięgu. Próbowala wysłać wiadomość o treści: WSZYSTKO DOBRZE / CEL OSIĄGNIĘTY, w odpowiedzi na dziesięć wezwań: PODAJ STATUS OPERACJI, które czekały na nas, kiedy włączyła urządzenie przed kilkoma dniami. Podejrzywałam, że jeśli Cate była choć w połowie tak zdeterminowana jak Vida, by nawiązać kontakt, dostaniemy kolejne dziesięć wiadomości, kiedy w końcu podłączymy się do sieci.

– Ciągłe nic? – zapytałam.

Vida opuściła komunikator z westchnieniem rozdrażnienia i potrząsnęła głową.

– Może kiedy wyjedziemy z gór, sygnał będzie mocniejszy – powiedziałam, ale najwyraźniej nie zdołałam jej pocieszyć.

Spojrzała na mnie, mrużąc oczy.

– Od kiedy to pijesz ze szklanki, która jest do połowy pełna?

Poczułam kolejne ukłucie bólu. Jęknęłam i na powrót wtuliłam twarz w ramiona.

– Boli cię? – zapytał Pulpet. Jedną rękę ułożył mi płasko między łopatkami dla stabilizacji, a drugą przemywał moje szwy.

W odpowiedzi wydałam z siebie kolejny jęk.

– Jeszcze raz to zdezynfekuję – ostrzegł.

– Super.

Pograżyliśmy się w spokojnej ciszy, która kontrastowała z wyjącem na zewnątrz wiatrem. Kiedy Pulpet skończył oczyszczać mi ranę, otworzył *Białego Kła* i umościł się na śpiworze, żeby poczytać, a ja zostałam na brzuchu, usiłując zasnąć.

Po chwili u wejścia do namiotu pojawił się Jude. Trzymał w rękach latarki, po które został wysłany do samochodu, a jego kręcone włosy pokrywała gruba warstwa śniegu – postanowił strząsnąć ją na nas. Na jego twarzy pojawił się pierwszy od wielu dni, a może nawet tygodni, uśmiech. Kiedy spostrzegł, że na niego patrzę, odwrócił wzrok i usiadł obok Liama, żeby dokończyć grać w wojnę.

Im dłużej milczeliśmy, tym bardziej robiło się niezręcznie. W oczach Vidy pojawił się niebezpieczny błysk, a usta wykrzywił jej uśmiech, który stawał się coraz bardziej szalony, w miarę jak coraz dłużej gapiała się na Pulpeta.

– Przyszła mi do głowy pewna myśl – odezwał się nagle Liam.

– I teraz obja się samotnie po twojej pustej czaszce – burknął Pulpet, przerzucając stronę. Liam przewrócił oczami.

– Robi się późno. Pomyślałem sobie, że powinniśmy po kolei trzymać wartę. Co wy na to?

Pokiwałam głową.

– Ja i mój młodszy kolega Jude możemy iść pierwsi. Ruby i Pulpet pójda po nas, a Vidzie zostaną ostatki.

Chciałam oprotować tę kolejność, ale Liam wyglądał na tak zdeterminowanego, że zabrakło mi pary.

Przez całą noc to zasypiałam, to znów się budziłam, przewracając się z boku na bok i rozkopując koce, które służyły nam za pościel. Nie spałam, kiedy Liam opowiadał Jude'owi cichym głosem o jakimś horrorze, który pasjami oglądał jako mały chłopiec.

Po skończeniu warty chłopcy wrócili do namiotu i wsunęli się z powrotem na posłanie. Wyczerpany Jude padł na kolana między mną a Pulpetem i klepał nas po ramionach, aż oboje się obudziliśmy i usiedliśmy, po czym wydał z siebie błogie westchnienie i skulił się pod przykryciem. Liam nie spieszył się tak bardzo, jakby się wahał. Czułam na sobie jego wzrok, tak jak czuje się promień słońca przechodzący przez szybę. Był ciepły i skupiony. Wstałam

dokładnie w chwili, gdy zaczął się układać pod przeciwnym kątem koca, tak daleko ode mnie jak to tylko możliwe.

Żeby się czymś zająć i pobudzić krążenie krwi, przeszliśmy się z Pulpetem na szybki spacer wokół obozowiska, szczęśliwi, że wiatr i śnieg osłabły, nawet jeśli miało to potrwać tylko kilka minut.

– To tędy wjechaliście? – zapytałam, wskazując na szlak, który wydawał się szerszy niż pozostałe.

Pokiwał głową.

– Wije się aż do autostrady. Ten odcinek był zamknięty zapewne dlatego, że nie ma go kto odśnieżać. Mam nadzieję, że jutro śnieg zacznie topnieć, bo nie mam pojęcia, jak w przeciwnym razie się stąd wydostaniemy.

Kilka godzin później, tuż przed świtem, nadeszła kolej Vidy, która poderwała się na równe nogi i zaczęła potrząsać kończynami, żeby pozbyć się senności przed wyjściem na mróz. Wsunęłam się do namiotu i wbiłam wzrok w ciasny skrawek między Pulpetem i Liamem, po czym pospieszenie się odwróciłam i ruszyłam za Vidą.

Kiedy usiadłam obok niej przy ognisku, przestała się intensywnie wpatrywać w przeciwny koniec polany, ale nie wydawała się zaskoczona.

– Za długo spałam w samochodzie – skłamałam, wyciągając zgrabiałe dłonie w stronę ognia. – Po prostu nie jestem zmęczona.

– Akurat. – Przewróciła oczami. – Chcesz mi powiedzieć, co się naprawdę dzieje?

– Od kiedy cię to obchodzi?

– Jeśli ma to coś wspólnego z twoim księciem z bajki, to rzeczywiście mam to gdzieś – rzuciła, odchylając się w tył. – Ale jeśli rozmyślasz nad tym, czy nie prysnąć z głupim i głupszym i czy nie zostawić dokończenia misji mnie i Judyty, to obchodzi mnie bardzo.

Potrząsnęłam głową.

– Przykro mi, ale nigdzie się nie wybieram.

– Naprawdę? – Tym razem wydawała się szczerze zaskoczona. – To o czym tyle szeptałyście z Pulpetem?

– Prosił, żebym z nimi pojechała. Ale nie mogę.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Nie mogę – wyszeptałam. – Nie chcę. Co za różnica?

Na moje słowa Vida się wyprostowała.

– Co się z tobą dzieje?

Wzruszyłam ramionami, gniotąc w palcach poszarpaną krawędź koca, którym się otuliłam.

– Odkąd cię znaleźliśmy, zachowujesz się jak wystraszony szczeniak. – Jej ciemne oczy zdradzały, że z całych sił próbuje mnie rozgryźć: zmrużyła je, świdrując mnie wzrokiem.

Nie jestem pewna, dlaczego łatwiej było mi opowiedzieć o wszystkim Vidzie ani dlaczego w ogóle chciałam z nią o tym rozmawiać, podczas gdy przed Pulpetem nie zdradziłam się ani słowem. Może po prostu wiedziałam, że Vida i tak nie myśli o mnie najlepiej, więc nie robiło mi różnicy, czy zniechocę mnie jeszcze odrobinę bardziej.

– Posunęłam się za daleko – wyznałam. – Z Knoksem, z dziećmi w magazynie i z Robem.

– Jak to? Chodzi ci o to, że nie musisz dotykać ludzi, żeby dosięgły ich twoje czary-mary?

– To skomplikowane – wymamrotałam. – Nie zrozumiesz.

– Bo co? Myślisz, że jestem głupia? – Vida kopnęła mnie w stopę. – Wał prosto z mostu,

a jeśli mój ptasi mózdek będzie miał pytania, to je zadam.

– Nie o to... – Powstrzymałam się. Musiałam przestać się z nią spierać o każdą głupotę. – Nie przeszkadzają ci zdolności, które masz, prawda? To znaczy na tyle, na ile to możliwe – poprawiłam się, widząc jej przeszywające spojrzenie. – Ale ja nienawidzę tego, co potrafię. *Nienawidzę* tego każdego dnia, w każdej minucie. Teraz, kiedy mam nad tym kontrolę, jest lepiej, ale wcześniej... – Każda chwila była dla mnie upiornym koszmarem. Żyłam sekunda po sekundzie, wstrzymując oddech, czekając na nieuchronne potknięcie, które znowu wszystko zniszczy. – Prawda jest taka, że to, co zrobiłam, było złe. Nie znoszę zmuszać ludzi do robienia czegoś, zwłaszcza jeśli wiem, że normalnie zachowaliby się zupełnie inaczej. Nie cierpię oglądania ich wspomnień, myśli i sekretów, które chcieliby zachować dla siebie.

Vida ani na chwilę nie odrywała ode mnie oczu.

– Nie widzę problemu...

– Po prostu za głęboko w tym tkwię. Czułam, że pogrążam się coraz bardziej, ale to bagatelizowałam. Myślałam, że mam nad tym kontrolę. Jeśli miałam ochotę, mogłam naginać ludzi do swojej woli. Ukaralam tych, którzy skrzywdzili mnie, ciebie i Liama, i wciąż chciałam więcej. Kiedy w końcu nie musiałam nikogo dotykać, żeby wykorzystać swoje umiejętności, było tak, jakby ktoś usunął mi ostatnią przeszkodę.

Westchnęła.

– Pewnie to nie sprawi, że poczujesz się lepiej, ale Knox dostał, na co zasłużył.

– Nie chodzi tylko o niego. Wniknęłam do głowy Masona i zawahałam się, naprawdę się zawahałam, czy nie zwrócić go przeciwko Knoksowi. To był mój pierwszy odruch, nie pragnienie, żeby mu pomóc. A później Rob...

Opowiedziałam jej z najdrobniejszymi szczegółami, co wydarzyło się w jeepie Roba. Nie zareagowała. Wyznałam jej wszystko. Słowa wylały się ze mnie jak rzeka i supeł, który zaciskał mi się na dnie żołądka od chwili, gdy to się wydarzyło, w końcu się rozluźnił.

– Nie chcę być nim – usłyszałam własne słowa. – Chcę używać swoich zdolności tylko w sytuacjach ostatecznych. Ale nie wiem, czy mi się uda.

– To dlatego krzyczałaś, żebyśmy cię zostawili? – zapytała Vida. – A tak przy okazji: pieprz się. Naprawdę myślisz, że jestem *aż taką* jędzą?

– Co będzie, jeśli przestanę się kontrolować i coś stanie się tobie, Jude'owi, Nico, Cate, Pulpetowi albo...

*Liamowi*. Na samą myśl żołądek podchodził mi do gardła.

Cisza, która nastąpiła po moich słowach, zaskoczyła mnie. Vida położyła dłonie na kolanach, wbiła w nie wzrok i zaczęła skubać zakrwawione skórki wokół paznokci.

– Ten drugi Pomarańczowy – powiedziała po chwili. – Był... Odbiło mu?

– Tak – odpowiedziałam. – Odbiło mu. Zawsze sięgał po to, na co miał ochotę, i nie cofał się przed niczym.

– Przyprawiał mnie o ciarki – burknęła. – Zakradł mi się do głowy i szeptał same ohydne brudy. Chciał mnie zmusić... do różnych rzeczy.

– Wiem – zaczęłam. Ale po chwili moje usta zsynchronizowały się z myślami. – Czekaj, co ty powiedziałaś?

– Ten dzieciak. *Martin* – wydusiła z siebie. – Chciałam powiedzieć o tym Cate, ale nigdy nie pozwalał mi się do niej wystarczająco zbliżyć.

Nie potrafiłam rozpoznać uczucia, które we mnie wezbrało. Może było to zaskoczenie... Nigdy wcześniej nie wyobrażałam sobie Martina w centrum swojego zespołu – jak rozmawia z Nico, na każdym kroku drażni się z Vidą albo dokucza Jude'owi. Może odczuwałam zazdrość, że dane mu było z nimi przebywać, nawet jeśli trwało to tylko kilka tygodni. Najsilniej czułam



jednak przerażenie na myśl, że Cate dopuściła do nich tę bestię.

Ciągle nawiedzały mnie koszmary, w których znów jechałam z nim w aucie i czułam, jak pierwsze muśnięcia jego mocy przenikają do mojego krwiobiegu. Bawił się mną, szturchał pazurami, a ja nie mogłam nic na to poradzić.

– Bałam się, że będziesz taka sama. – Vida spojrzała na mnie swoimi ciemnymi oczami. – Ale wygląda na to, że jesteś w porządku...

Zaśmiałam się kpiąco i rzuciłam:

– Dzięki...

– Niech to szlag! Syn prezydenta też taki był?

– To nie do końca jego wina – powiedziałam. – Najbardziej przeraża mnie to, że gdzieś w głębi serca rozumiem, czemu wybrał taką drogę. Odebrano nam wszystko, więc czemu nie mielibyśmy tego odzyskać, skoro mamy ku temu narzędzia?

– Chyba sobie żartujesz? To, że jesteś w stanie zadawać sobie takie pytania, oznacza, że nie zniżyłaś się do ich poziomu i najprawdopodobniej nigdy tego nie zrobisz. Kumam, o co ci chodzi. Rozumiem, że się boisz. Serio. Ale umyka ci najważniejsza rzecz, która odróżnia cię od Martina.

– Czyli?

– *Nie jesteś sama* – oświadczyła. – Nawet jeśli czasem się tak czujesz. Masz w swoim narożniku ludzi, którzy zrobiliby dla ciebie wszystko. Nie dlatego, że ich do tego zmuszasz, ale dlatego, że chcą. Myślisz, że ten gnój może się tym poszczycić? Myślisz, że byłby choć w połowie tak wredny, gdyby miał kogoś, kto potrafiłby wkroczyć i powiedzieć mu „dość”?

– Nie mogę przestać myśleć o tym, co zrobiłam. – Poczułam, że zbiera mi się na płacz.

– I dobrze. Musisz pamiętać, jak to jest otrząsnąć się z ciemności i patrzeć na skutki swoich działań. Przebaczone, ale nie zapominaj.

– A jeśli to nie wystarczy?

– Wtedy *ja* cię powstrzymam – powiedziała. – Nie boję się twojej mocy. Już nie. – Wstała i otrzepała spodnie. – Przejdę się. Jak wrócę, masz już spać, inaczej własnoręcznie cię położę.

– Dzięki, że mnie wysłuchałaś...

– Nie mówmy już o tym.

Zaczekałam, aż Vida zniknie na jednej ze ścieżek, po czym wróciłam do namiotu i wczłogałam się między Liama i Pulpeta. Byłam zbyt zmęczona i emocjonalnie wyczerpana, żeby czuć się niezręcznie. Umościłam się i zamknęłam oczy, pozwalając myślom zwolnić i rozmyć się w miękkim pastelowieńskim sen.

Zdążyłam się tak bardzo przyzwyczaić do przerywanego snu, który stał się nieodłączną częścią mojego życia, że nie byłam do końca pewna, co mnie obudziło. Nie był to hałas. Vida siedziała z nami w namiocie i cichutko nuciła jakąś starą, znajomo brzmiącą piosenkę. Przyglądałam się zdezorientowana, jak rozanielona rwie na strzępy strony *Białego kła*, po czym zwija je w małe kulki i celuje nimi w szeroko otwarte usta śpiącego Pulpeta.

Podniosłam się i przetarłam zaspane oczy.

– Która jest godzina? – zapytałam.

Vida wzruszyła ramionami.

– Wpół do cholera wie której. Śpij dalej.

– Dobra – powiedziałam i opadłam z powrotem na posłanie.

Systematyczne wrywanie kolejnych stron książki odbywało się w rytmie warkoczącego pochrapywania Pulpeta. I on, i Jude spali płasko na plecach, ramię w ramię. Wsunęłam się ponownie pod przykrycie i przewróciłam na lewy bok. Naciągnęłam na siebie koc, tak że Liamowi nie został nawet centymetr.

Po chwili znowu się podniosłam i ociężale wypłatałam z miękkich fałd. Kiedy w końcu uwolniłam spod siebie skradzioną połowę koca, odrzuciłam ją ostrożnie w kierunku Liama, patrząc z niedowierzaniem, jak jasnobrzoskwiniowy materiał opada swobodnie i ląduje na pustej przestrzeni.

– Gdzie jest Lee? – Minutę wcześniej nie byłam jeszcze obudzona. Teraz już tak.

– Wyszedł – rzuciła Vida, nie odrywając się od swojego zajęcia.

– Wyszedł. – To słowo miało posmak krwi. – Dokąd?

– Na spacer. Mówił, że nie może spać.

– Puściłaś go samego? – Wygrzebałam buty i drżącymi rękami wsunęłam je sobie na stopy. – Jak dawno temu poszedł?

– Co się dzieje? – wymamrotał Pulpet.

– Liama nie ma – powiedziałam.

– Co? – Nerwowo błędził dłońmi po ziemi w poszukiwaniu okularów, po czym wsunął je sobie na nos. – Jesteś pewna?

– Sprowadzę go z powrotem – oznajmiłam, wkładając przez głowę granatową bluzę z kapturem i za duży zakurzony męski płaszcz z czarnej wełny, który przez pomyłkę zabraliśmy z magazynu w Nashville. – Powiedział ci, dokąd się wybiera? – zwróciłam się do Vidy.

– Zostaw go w spokoju, mała – odburknęła, nawet się nie odwracając. – To duży chłopiec. Na pewno założył ciepłe majtki.

– Nie rozumiesz... On *nie ma zamiaru wracać*. Odszedł.

Vida otworzyła usta i rozejrzała się wokół. Świadomość tego, co się stało, spadła na nią całym swoim ciężarem i zaparła jej dech.

– No cóż... Przynajmniej zdążyłaś odzyskać pendrive'a. Mogło być gorzej...

– Żartujesz sobie?! – krzyknęłam.

Jude usiadł i przecierał oczy ze zdziwienia, ale nie miałam czasu odpowiadać na jego pytania.

– Dokąd mógł pójść? Potrzebowałby samochodu albo roweru... Wspominał wam o czymś?

– Nie! – odezwał się Pulpet. – Powiedziałbym ci!

– Nic nie mówił – potwierdził Jude. – Rozmawialiśmy tylko o tym, jak jutro wszyscy

razem się stąd zabierzemy. Może jeszcze wróci, co? Dajmy mu kilka minut.

*Niewykluczone.* Połknęłam wielki haust powietrza. Mocno przycisnęłam rękę do piersi, usiłując uspokoić trzepotanie serca. Może po prostu poszedł nad wodospady? Przecież to całkiem możliwe. Liam nigdy nie odszedłby bez Pulpeta albo przynajmniej bez poze...

Przerwałam myśl w połowie, zauważając maleńki skrawek papieru wystający z przedniej kieszeni koszuli Pulpeta. Sięgnęłam i wyjęłam go, zanim ten zdążył się zorientować.

„Stacja benzynowa przy autostradzie. Trzy kilometry na południe. Przyjdź przed 6.00”.

Zmiałam liścik i cisnęłam nim w Pulpeta.

– Nie wiedziałem! – zaprotestował, jeszcze zanim zdążył go przeczytać. – Naprawdę!

Mieliśmy dwie sztuki broni, które nosiliśmy z Vidą na zmianę, bo i Pulpet, i Liam odmówili tego ze względów moralnych. Rewolwer znajdował się u stóp Vidy, a czarny półautomat leżał na pustym plecaku. To oznaczało, że Liam był nieuzbrojony.

Oczywiście, *oczywiście* musiał iść w miejsce, gdzie istniało największe prawdopodobieństwo, że ktoś go zauważy. Co on sobie wyobrażał? Że pod osłoną nocy nic mu nie grozi?

Rozpięłam klapę namiotu i rzuciłam się przed siebie, utykając. Śnieg skrzypiał pod grubymi podeszwami moich butów.

– Zaczekaj na mnie! – krzyknęła Vida. – *Ruby!*

Kiedy opuściłam nasze przytulne schronienie, lodowate powietrze trzasnęło mnie w twarz jak bicz. Zanim pozbierałam myśli i ruszyłam w kierunku wąskiej drogi, którą wcześniej pokazał mi Pulpet, minęło kilka cennych sekund. Duże płatki śniegu, które zdołały się już przedostać przez moje rozpuszczone włosy i wedrzeć za kołnierz płaszcza, nie były wystarczająco ciężkie, żeby przykryć ślady stóp beztrząsco zostawione przez Liama.

Biegłam. Pędziłam przez podmuchy śniegu, poranną zmrozoną mgłę i zarośnięte ścieżki, aż w końcu dotarłam do autostrady. Powłoka śniegu pokrywająca drogę nie była nawet w przybliżeniu tak gruba jak ta w lesie. Zgubiłam trop w chwili, gdy poślizgnęłam się na zmrożonym asfalcie – szwy na plecach szarpnęły mnie tak boleśnie, że w jednej chwili zaparło mi dech. Chwiejnie parłam do przodu, choć paliło mnie w płucach. Wzeszło słońce i tylko dzięki temu wiedziałam, w którym kierunku jest południe.

Dopiero po kolejnych dwudziestu minutach ciągnących się jak zatruta przerażeniem wieczność moim oczom ukazał się wąski rząd budynków, a wśród nich stacja benzynowa, którą musieliśmy minąć w drodze na kemping.

Brakowało mi tchu, a lędzwie z każdym krokiem rozrywał mi nieznośny ból. Asfalt zamienił się w grząskie błoto, które oblepiało mi łydki. Sześć dystrybutorów paliwa leżało przewrócone na zniszczonej nawierzchni placu.

Za stacją stało kilka samochodów. Znajdująca się wśród nich ciężarówka miała otwartą maskę, jakby ktoś zaglądał do środka. Może ten ktoś stwierdził, że coś nie działa, i szukał teraz odpowiedniej części w serwisie naprawczym. *Albo jedzenia* – pomyślałam, odwracając się w kierunku budynku. – *Żeby zaopatrzyć się przed ucieczką.*

Tylne drzwi budynku stacji były otwarte – zamek i klamka zostały wyrwane. Skrzypnęły, kiedy je otworzyłam i wślizgnęłam się do środka.

Sklep był większy, niż się spodziewałam, ale w gorszym stanie. Ktoś bardzo się postarał, żeby dokładnie go wymieść, ale tu i ówdzie leżały wielkie paczki chipsów, a błyszczący automat z napojami wciąż buczał, ciągnąc resztki prądu. W dłoni nadal miałam pistolet, zimny i twardy, wycelowany w szklane drzwi lodówek z napojami zabazgrane graffiti, które nie pozwalały zobaczyć, co jest w środku.

Przeszłam wzdłuż linii pólek, mijając kasę i puste kartonowe pudełka po słodyczach

z przodu sklepu, i znalazłam się w wyglądającej na względnie nową części budynku oznakowanej napisem PEŁNY ZAKRES USŁUG.

Krótki korytarz między sklepem a warsztatem ozdabiały zdjęcia i plakaty starych samochodów z dziewczynami w bikini. Wzięłam powolny, uspokajający wdech. W powietrzu unosił się odór gumy, gazu i benzyny, którego nie zdołałyby zlikwidować ani czas, ani środki czyszczące.

Do warsztatu prowadziło jeszcze jedno wejście, z zewnątrz. Na drzwiach wisiała tabliczka z napisem „Wracam za 15 minut” i z dopiskiem, żeby w nagłych sytuacjach zgłosić się do garażu na tyłach. Stały tam krzesła, a ściany obwieszono zdjęciami pracowników warsztatu oraz oponami. Nie było tam jednak ani śladu Liama.

Pchnęłam ramieniem drzwi i nagle poczułam ukłucie strachu. Odwróciłam się, by nie pozwolić im trzasnąć, i to był błąd... W uszach od razu zabrzmiało mi ulubione powiedzenie Trenera Johnsona: „nigdy nie odwracaj się plecami do nieznanego”.

Nagle poczułam mrowienie, którego nie rozpoznałam na czas. Niespodziewanie runęłam w przód, jakby ktoś pchnął mnie z całej siły. Walnęłam czołem o framugę drzwi i osunęłam się na ziemię, a przed oczami migały mi na zmianę czarne i białe plamy. Pistolet potoczył się z grzechotem po betonowej podłodze – zbyt daleko, bym mogła go dosięgnąć.

Nagle jednak usłyszałam ciepły, znajomy głos nabrzmiały strachem:

– O Boże! Przepraszam, myślałem... – Białe oblicze Liama wyłoniło się zza stojącego pośrodku garażu wraku samochodu. – Co ty tu robisz?

– Powiedz mi lepiej, co *ty* tu robisz – warknęłam, zaglądając pod stoły i szafki w poszukiwaniu broni. Wszędzie plątały się obrośnięte brudem i kurzem narzędzia i części mechanizmów. – Przyszedłeś tu sam, zupełnie bezbronny...

– Bezbronny? – powtórzył, unosząc brew.

– Wiesz, co mam na myśli. – Uklękałam, mrugając, żeby pozbyć się czarnych plam z pola widzenia. Wsunęłam dłoń pod metalowy stół i w końcu moje palce natrafiły na lufę. Machnęłam mu nią przed nosem, dla dodania wagi swoim słowom. – Co byś zrobił, gdyby ktoś stanął przed tobą z tym?

Odwrócił się z powrotem do auta, wykrzywiając usta z pogardą.

– Nie było trudno cię rozbroić. Co powiedzieliby na to twoi trenerzy?

Dotknęło mnie to bardziej, niż mogłabym się spodziewać. Obserwowałam w ciszy, jak Liam ponownie otwiera maskę auta. W dłoni trzymał srebrny klucz francuski, ale jedynie opierał się o zieloną karoserię. Skórzana kurtka przyłgnęła mu do ramion, kiedy pochylił się do przodu i opuścił głowę. Opierałam się plecami o drzwi jak milczący strażnik, gotowa zareagować na każde potencjalne niebezpieczeństwo.

– Więc mnie znalazłaś – burknął pełnym napięcia głosem. – Podejrzewam, że powinienem podziękować za to Pulpetowi...

Jego umysł wił się w dzikim gąszczu emocji i w ciągu zaledwie kilku sekund przeskoczył od rozżarzonej wściekłości, przez ponure poczucie winy, aż do przygniatającej beznadziei. Miałam wrażenie, że jego podświadomość mnie wzywa i z krzykiem wyrывa się ku mojej.

Przycisnęłam grzbiet dłoni do czoła. Odkąd się poddałam i przestałam odsuwać na bok swoje zdolności, wyciszyły się, a nawet uspokoiły. Nie mogłam teraz stracić tej wątłej równowagi.

– Wiem... – Oblizawałam suche usta. – Nie wątpię, że potrafisz o siebie zadbać. Ale zupełnie nie znamy tej okolicy. Nie wiemy, na kogo można się tu natknąć, i myśl o tym, że bląkasz się tu samotnie...

– *Chciałem* być sam – rzucił oschle. – Musiałem wszystko sobie przemyśleć. Z dala od

nich. Z dała od *ciebie*.

Wpatrywałam się w niego, próbując przyjąć to, co powiedział, i dopasować znaczenie jego słów do malującego się na jego twarzy wyrazu najszczerzej desperacji.

– Posłuchaj – zaczęłam. – Kumam. Nie lubisz mnie, ale...

– Nie lubię cię? – Parsknął cichym, ironicznym śmiechem. Jedna salwa przechodziła w drugą, aż miałam wrażenie, że się dławi. Brzmiał okropnie i zupełnie jak nie on. Powietrze uchodziło z niego spazmatycznie, jakby szłochał. Spojrzał na mnie. – Nie lubię cię? – powtórzył z kamienną twarzą. – Nie *lubię* cię?

– Liam... – Zaczynałam się niepokoić.

– Nie mogę... Nie jestem w stanie myśleć o niczym ani o nikim innym – wyszeptał. Podniósł dłoń i przeciągnął nią po włosach. – Kiedy jesteś obok, zaczynam wariować. Nie mogę spać. Ciężko mi się oddycha... Ja...

– Liam, proszę – błagałam. – Jesteś zmęczony. Jeszcze całkiem nie wydobrzałeś. Czy możemy po prostu wrócić do pozostałych?

– Kocham cię. – Odwrócił się do mnie z wyrazem twarzy męczennika. – Kocham cię w każdej sekundzie każdego dnia i nie rozumiem dlaczego. Nie potrafię przestać...

W oczach płonął mu ból. Nie musiał nic mówić, już samo to, jak wyglądał, zwałało mnie z nóg.

– Całym sobą czuję, że nie powinienem. Mam wrażenie, że jestem chory. Staram się być dobrą osobą, ale nie umiem. Nie mogę tak dłużej.

*Co to ma znaczyć?* Przytłaczał mnie rozrywający ból malujący się na jego twarzy. Mój umysł nie nadążał za tym, co się działo.

Zacisnęłam dłoń w pięści w kieszeniach płaszcza. Odruchowo zaczęłam się cofać w kierunku drzwi, usiłując uciec przed jego spojrzeniem, zanim serce wyrwie mi się z piersi.

*Jest zagubiony. Wyjaśnij mu to. Po prostu jest zagubiony.*

– Spójrz na mnie.

Nie mogłam się ruszyć – nie miałam dokąd uciec. Liam już nic przede mną nie miał. Czułam oplatające go uczucia, falę ciepła i przeszywający ból przedzierający się przez oszołomienie, które mną owładnęło. Podszedł do mnie.

Jego ręce zwisały luźno po bokach, a moje wciąż tkwiły w kieszeniach. Nie dotykaliśmy się, wcale. Nagle odżyło we mnie wyraźne wspomnienie tego, jak kilka godzin wcześniej musnął mnie palcami. Nachylił twarz ku mojemu ramieniu i jego oddech przeniknął przez trzy warstwy ubrań, ogrzewając mi skórę. Zahaczył palcem o szlufkę moich dżinsów i przysunął mnie odrobinę bliżej. Wędrował czubkiem nosa po mojej szyi i policzku, a ja nic z tego nie widziałam. Kiedy w końcu oparł czoło o moje, jeszcze mocniej zacisnęłam powieki.

– Spójrz na mnie.

– Nie rób tego – szeptałam.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje – wydusił z siebie. – Mam wrażenie... Mam wrażenie, że wariuję. Zupełnie jakby obraz twojej twarzy odcisnął się na moim sercu. Nie pamiętam kiedy i nie rozumiem dlaczego, ale blizna ciągle tam jest i nie potrafię jej wyleczyć. Nie chce zejść. Ani zblednąć. A ty nawet na mnie nie spojrzysz.

Wysunęłam dłoń z bezpiecznej kryjówki płaszcza i chwyciłam za miękką skórę jego kurtki. Pod spodem ciągle miał kurtkę Cole'a.

– Wszystko będzie dobrze – wybąkałam. – Coś wymyślimy.

– Przysięgam. – Jego usta unosiły się nad moimi. – Przysięgam, że pamiętam, że kiedyś byliśmy razem na plaży... Miałaś na sobie jasnozieloną sukienkę i rozmawialiśmy godzinami. Miałem życie i ty też, i spędzaliśmy je razem. To do niczego nie pasuje. Ten kawałek nie pasuje

do reszty. Była tam Claire i Cole, który obiecywał, że już nigdy... Ale potem... Widzę twoją twarz w ogniu i pamiętam różne pożary, różne uśmiechy, wszystko się zmienia. Pamiętam cię w zielonej sukience, która potem zamienia się w zielony mundur... To nie ma sensu!

*Zielona sukienka... Plaża? Plaża w Wirginii?*

Z rzęs skapnęła mi łza, a za nią kolejna. Wtedy w błękitnym pokoju wszystko działo się tak szybko – musiałam działać błyskawicznie. Nic z tego, co opowiadał, się nie wydarzyło, ale sposób, w jaki o tym mówił, sprawiał, że sama mu uwierzyłam. Mogliśmy się spotkać na plaży tamtego lata i być tak blisko, że oddzielał nas tylko skrawek piasku i promienie słońca. Pewnie o tym marzyłam, kiedy wychodziłam z jego myśli i wspomnień. Musiałam przegapić ten okrucieństwo samej siebie albo mu go oddać, albo...

– To jak tortury. – Jego głos był napięty i stawał się coraz głośniejszy. – Chyba oszaleję, nie wiem, co się dzieje, i nic nie pamiętam, ale patrzę na ciebie i całym sercem czuję, że cię kocham. I to nie dlatego, że coś powiedziałas czy zrobiłaś. Zupełnie bez powodu. Przeraża mnie to. Boję się tego, do czego byłbym dla ciebie zdolny. Błagam... Musisz mi powiedzieć... Powiedz, że nie zwariowałem. Proszę, przynajmniej na mnie spójrz!

Nasze oczy się spotkały i zupełnie się rozplynęłam.

Jego usta przywarły do moich i rozchyliły je w mocnym pocałunku. Nie było w tym nic delikatnego. Drzwi za moimi plecami się zatrzęsły, kiedy mnie do nich przycisnął, ujmując moją twarz w dłonie. Wszystkie myśli w mojej głowie eksplodowały, zlewając się w czystą, pulsującą biel. Poczułam, jak mroczna smuga pożądania zaczyna się we mnie związać, naginając wszystkie moje zasady i rozrywając ostatnią drżącą resztkę oporu. Ostatni raz spróbowałam się odsunąć.

– Nie – zaprotestował, z powrotem odnajdując moje usta.

Tak jak kiedyś włożyłam mu dłonie pod kurtkę i przysunęłam go bliżej. Z gardła wydostał mu się cichy jęk – ten nieśmiały, błagalny odgłos rozpałił każdy centymetr mojej skóry.

Nagle coś się jednak zmieniło. Cofnęłam twarz, żeby złapać oddech. Kolejny pocałunek był głębszy, delikatniejszy i słodszy. Taki jak pamiętałam. Taki jak wtedy, gdy wydawało nam się, że nigdzie nie musimy się spieszyć, a przed nami rozciąga się pewna i jasna przyszłość.

Poddałam się ogarniającemu mnie uczuciu. Nie obchodziło mnie, jak to o mnie świadczy – mogłam być słaba, samolubna, głupia i niezdolna. Przypomniałam sobie maleńki ciepły płomyk, który tlił się w Liamie przed tym, jak go zniszczyłam i pograżyłam jego umysł w desperacji i zagubieniu. Teraz było w nim tyle ciemności. Wyraźne, jasne korytarze jego wspomnień się pozapadały. Przedzierałam się przez nie, rozrywając zasłony czerni i spalenizny. Tonęłam w nich, w nim... Spostrzegłam, że jestem w jego umyśle, kiedy było już za późno.

*Przestań, przestań, przestańprzestańprzestań...*

Pchnęłam go w tył, żeby zerwać kontakt fizyczny. Oboje chwialiśmy się na nogach. Głowę rozsadzał mi ból – osunęłam się na kolana. Liam opadł na najbliższy blat, posyłając setki piętujących się na nim maleńkich narzędzi i śrubek na ziemię. Hałas, który rozległ się wokół, nie chciał ucichnąć, jakby naśladował trzask towarzyszący rozłączeniu się naszych umysłów.

*Jasna cholera*, zaklęłam, łapiąc oddech. Zemdlilo mnie i zrobiło mi się słabo. Podłoga zaczęła falować pod stopami. Przez kilka przerażających sekund ból głowy był tak rozsadzający, że nic nie widziałam. Zaczęłam się czołgać, szukając pistoletu, który upuściłam, kiedy Liam mnie chwycił. Usiłowałam się podnieść, podpierając się o jedną z półek, ale tylko zerwałam ją ze ściany i spuściłam sobie na głowę lawinę kołpaków.

W końcu dałam za wygraną. Oparłam się o ścianę i przyciągnęłam kolana do piersi. *Niech to wszystko szlag*. Wbiłam sobie nasady dłoni w oczy, biorąc kolejny nierówny wdech.

– Ruby.

Spojrzałam znad dłoni, szukając w ciemności jego twarzy.

– Ruby... ty... – W jego głosie pobrzmiwała teraz panika. Przysunął mnie do siebie. Oparłam się o niego, zbyt oszołomiona, żeby się poruszyć czy zaprotestować, kiedy otoczył mnie ramieniem i wtulił twarz w moje włosy. – My... Ta kryjówka...

*O mój Boże.*

– Zrobiłaś coś... ty... O Boże, *Pulpet!* – Odsunął się, chwytając moją twarz w dłoń. – Postrzelili Pulpet! Zabrali go, pojmali nas... Byliśmy w tym pomieszczeniu i ty... Co ty zrobiłaś? Co mi *zrobiłaś*? Czemu odszedłem? Czemu was zostawiłem?

Krew odpłynęła mi z twarzy i całego ciała. Przeczesałam palcami jego włosy, zmuszając, żeby spojrzał mi prosto w oczy. Cały drżał.

– Nic mu nie jest. *Liam!* Pulpet jest cały i zdrowy. Znaleźliśmy cię w Nashville, pamiętasz?

Wpatrywał się we mnie i po raz pierwszy od wielu tygodni w jego przejrzystych oczach malowało się skupienie. Patrzył mi w oczy i dokładnie widziałam moment, kiedy zrozumiał, co mu robiłam. Włosy opadły mu na twarz, gdy potrząsał głową, a usta poruszały się w cichym niedowierzaniu. Nie mogłam wydusić z siebie ani słowa.

*To niemożliwe.*

Ile wspomnień wymazałam do tej pory? Dziesiątki? Setki? Od samego początku, od momentu, gdy na twarzy mojej mamy pojawił się najprawdziwszy strach, wiedziałam, że nie będzie odwrotu. Moje obawy potwierdziły się, kiedy to samo spotkało Sam. Wniknięcie do jej umysłu i próba naprawienia tego, co zrobiłam, dowiodły jedynie, że nic nie mogłam zrobić. Że wszelki ślad mnie samej, który mogłabym na powrót wydobyć na powierzchnię jej wspomnień, zniknął.

Ale Liamowi nie umieszczałam w głowie żadnych wspomnień. Rozpoznałabym to uczucie. To było coś innego, na pewno. Jedynie wyzwoliłam się od niego, by nie zapaść się zbyt głęboko i nie poczynić prawdziwego zniszczenia. To nie miało się prawa dziać. To nie było możliwe.

Odsunął się ode mnie, tak że nie byłam w stanie go dosięgnąć.

– Mogę to wyjaśnić – zaczęłam drżącym głosem.

Ale nie chciał mnie słuchać. Wrócił do samochodu stojącego na środku wilgotnego warsztatu, chwycił mały plecak, którego nie poznawałam, i zarzucił go sobie na ramię. Sam musiał się przekonać, że Pulpetowi nic nie jest. Że wszystko, co się wydarzyło, odkąd go znaleźliśmy, wydarzyło się naprawdę.

– Zaczekaj! – zawołam, zrywając się za nim. – *Lee!*

Słyszałam jego kroki rozbrzmiewające na linoleum w sąsiednim pomieszczeniu i rozdrażniony jęk, kiedy wpadł na ladę.

Usłyszałam wystrzały. Podwójne uderzenie eksplodującego dźwięku, który roztrzaskał szybę, a wraz z nią cały mój świat.

Przebiegłam przez odchodzący z warsztatu korytarz z kołyszącą się uniesioną bronią. Liam, który musiał skręcić do sklepu zaledwie przed chwilą, teraz leżał na plecach na ziemi. Przykrywała go gruba warstwa szkła i na pierwszy rzut oka wyglądał, jakby ktoś rozbił dużą ścianę lodu o jego pierś.

To wystarczyło, bym odzyskała opanowanie. Przerazenie, które niemal ugięło pode mną nogi, przekształciło się w coś użytecznego, wyrachowanego – w coś, co Liga Dzieci pieczołowicie w nas siała i pielęgnowała.

W kontrolowaną panikę.

Chciałam rzucić się ku Liamowi, ale dzięki niezliczonym symulacjom podczas treningów wiedziałam, czym to groziło. Zamiast tego wystawiłam głowę, żeby zobaczyć, które lodówki zostały roztrzaskane. Rozbita była tylko ostatnia, ta najbliższej mnie.

Osoba, która strzelała, najprawdopodobniej stała przy tylnych drzwiach – musiała zobaczyć odbicie wychodzącego zza rogu Liama i pociągnąć za spust.

Wbijałam w niego wzrok tak długo, aż zobaczyłam, że jego klatka piersiowa unosi się i opada. Podniósł ręce i ułożył je sobie na piersi, łapiąc oddech. Żył.

Gdzie się podział napastnik?

Przełknęłam palącą złość i ściskając mocniej broń, skanowałam wzrokiem przednią ścianę w poszukiwaniu czegoś odbijającego obraz. Za ladą z kasą znajdowało się jedno z tych okrągłych luster, dzięki którym można było obserwować sklep. Nieważne, że pokrywała je gruba warstwa brudu, nieważne, że moje pole widzenia było bardzo wąskie – nie mogłam jej nie zauważyć. Jeśli musiałabym ją opisać, powiedziałabym, że była korpulentna i miała około sześćdziesiątki. Wydały ją sztywne siwe włosy wystające spod zielonego kapelusza i kołnierza myśliwskiej kurtki.

Trzęsła się jak osika. Zaklęła, upuściwszy naboje, które usiłowała przeładować, po czym zanurkowała za nimi za półkę z pomadkami do ust. Stanęłam nad Liamem i wymierzyłam z broni między złote ramy lodówek. Kiedy znowu się wychyliła, byłam gotowa i oddałam dwa strzały w ścianę za nią.

Nie sądzę, żeby na mnie spojrzała, kiedy strzeliła po raz ostatni, a zaraz potem rzuciła się do ucieczki. Odruchowo się skuliłam, chociaż było oczywiste, że chybiła. Kula przeszła przez przednią szybę sklepu, roztrzaskując ją w drobny mak. Wszystko zamieniło się w huk, hałas, niepokój, przerażenie i szkło. Mnóstwo szkła.

Liam jęknął u moich stóp. Schyliłam się i strzepałam odłamki z jego włosów i piersi. Ponownie wsunęłam mu dłoń pod kurtkę, tym razem szukając krwi. Podłoga była czysta, tak jak moje palce. Nie był ranny. Ta jedna myśl wypełniała mi głowę, kiedy go podnosiłam. Opadł bezwładnie na futrynę lodówki, wyraźnie oszołomiony. Mogłam sobie tylko wyobrazić, jak dzwoniło mu w uszach.

Z ulgą ujęłam jego twarz w dłonie i przycisnęłam usta najpierw do jego czoła, a następnie do policzka.

– Wszystko w porządku? – wyszeptałam.

Pokiwał głową i położył dłoń na mojej. Upadek pozbawił go tchu.

– Będę żył.

Na zewnątrz warknął silnik samochodu. Odskokczyłam w tył, zgarniając broń z podłogi.

– Ruby! – zawołał za mną Liam, ale ja już biegłam. Staranowałam ramieniem połamane wahadłowe drzwi. Kiedy wypadłam na zewnątrz, czerwone światła odjeżdżającego auta robiły



się coraz mniejsze, aż w końcu zupełnie zniknęły. Pędziłam za nimi tak długo, jak byłam w stanie, gnana przypływem wściekłości. Mało brakowało, a zrobiłaby mu krzywdę. Prawie go zabiła.

Zatrzymałam się, po raz ostatni uniosłam broń i wymierzyłam dokładnie w jej lewą tylną opone. Podejrzewałam, że skoro widziała któreś z nas i miała głowę na karku, to nas wyda...

Nie. Ręka opadła mi ciężko. Kciukiem zabezpieczyłam broń. Nawet jeśli nas widziała, nawet jeśli się zorientowała, czym jesteśmy, to przecież byliśmy w samym sercu Totalnego Wygwizdowa. Nie było to miasto i na pewno nie miejsce, w którym przyszłoby do głowy polować łowcom nagród czy nawet SSP. Istniało ryzyko, że na nas doniesie, ale podejrzewałam, że zanim ktoś odpowie na jej zgłoszenie, minie kilka dni, a nawet miesięcy.

Starłam nadgarstkiem pot z czoła. Boże. Ta kobieta pewnie przyjechała szukać tu jedzenia, może schronienia. Nie była wyszkolona, a nieudolny sposób, w jaki trzymała broń, mógł świadczyć o tym, że oddała te pierwsze dwa strzały niechęć. Ja i Liam nie zachowywaliśmy się cicho. Może nas usłyszała, a na dźwięk jego kroków wpadła w panikę, że przyłapie ją na kradzieży.

Nie było sensu tego roztrząsać, zresztą nie miałam na to siły. Problemy już nie czekały na mnie w przyszłości. Były tuż za mną.

Odwróciłam się niespiesznie i ruszyłam w kierunku stacji, do Liama. Stał tyłem do wschodzącego słońca, twarz spowijała mu ciemność. Na ramionach miał kawałki stłuczonego szkła, ale ja utkwiałam wzrok w plecaku, który ścisnął w dłoni. I w jego spękanych, zbielejących kostkach palców.

Rozpryskujące się szkło zostawiło mu jedynie świeże rozcięcie u nasady nosa i krwawiącą ranę na brodzie. Tymczasem jedno spojrzenie wystarczyło mi, by dostrzec, że to, co ja zrobiłam, zraniło go do żywego.

Czekał. Szłam do niego, z każdym krokiem cierpiąc coraz bardziej. Poczułam, jak zalewa mnie fala gorącego wstydu, ściskająca mi gardło i kłująca w oczy łzami. Liam zrobił się czerwony od szyi po same czubki uszu. Patrzył na mnie z wyrutą na twarzy tęsknotą. Wiedziałam, jak bardzo z nią walczy, bo sama z trudem się powstrzymywałam, żeby nie chwycić go za rękę i nie pogłodzić kciukiem cieplej, poruszanej pulsem skóry nadgarstka. Napięcie między nami było nieznosne. Całą sobą pragnęłam udawać, że możemy zacząć wszystko od nowa.

– Czy... – Liam przycisnął pięść do ust, z trudem zdobywając się na wypowiedzenie kolejnych słów. – Czy ty po prostu nie chciałaś ze mną być?

Nawet nie podejrzewał, jak bardzo mnie rani.

– Jak mogłeś tak pomyśleć?

– A co mam myśleć? Czuję się, jakbym patrzył na wszystko spod taflí wody. Nic mi się nie składa, ale to jedno pamiętam. Pamiętam kryjówkę. Byliśmy razem, wszystko miało być dobrze.

– Wiesz, że to nieprawda. Nie miałam wyjścia. Tylko dzięki temu puścili cię wolno, a ja nie mogłam pozwolić ci zostać.

Od samego początku łączyła nas nie porozumienia – nie potrzebowaliśmy słów, wystarczyły spojrzenia i uczucia. Instynktownie wiedziałam, czemu podejmował konkretne decyzje, a on potrafił prześledzić tok mojego rozumowania tak łatwo, jakby szedł po oświetlonej drodze. Nie sądziłam, że przytrafi się nam coś takiego, chociaż nie wierzyłam, że będzie po prostu *wiedział*, czemu to zrobiłam.

– Nawet nie jest ci przykro – wybąkał.

– Nie – zdołałam wydusić z siebie pomimo kamienia tkwiącego mi w gardle. – Bo jedyną

rzeczą gorszą niż życie bez ciebie byłoby patrzenie, jak łamią cię dzień po dniu, aż w końcu przestałbyś być sobą, aż w końcu wysłaliby cię na akcję, z której byś nie wrócił.

– Tak jak stało się z tobą? – rzucił oschle. – I mam to zaakceptować? Odebrałaś mi prawo wyboru, Ruby. I dlaczego? Dlatego że uznałaś, że nie jestem wystarczająco silny, by przetrwać w Lidze?

– Dlatego że to *ja* nie jestem wystarczająco silna, by pogodzić się z tym, że jesteś w Lidze! Dlatego że po tym wszystkim, przez co przeszedłeś, chciałam, żebyś miał możliwość odnalezienia rodziców i mógł żyć.

– Do cholery jasnej, ja chciałem *ciebie*! – Chwycił mnie za ramiona, wbijając mi palce w skórę, jakby w ten sposób mógł sprawić, że zrozumiem jego ból. – Bardziej niż kogokolwiek innego! A ty po prostu... przetoczyłaś się przez moją głowę i wszystko mi zabrałaś, jakbyś miała do tego prawo, jakbym *ja* w ogóle nie potrzebował *ciebie*. Dobija mnie myśl, że ci ufałem... Byłem taki pewny, że o tym wiesz. Wszystko by się ułożyło, bo bylibyśmy razem!

Ileż to razy wyobrażałam sobie różne wersje tego scenariusza? Słyszając to, poczułam się jednak, jakby ktoś przyłożył mi do gardła ostrą brzytwę, przed którą nie miałam prawa się cofać.

– Mam w głowie totalne bagno, nic do niczego nie pasuje. – Zrobił krok w tył i przykucnął. – Pulpet został postrzelony, Zu ciągle jest na wolności, East River spłonęło i... Wszystko, co zdarzyło się później, przypomina jakiś koszmar. I ty... cały czas byłaś w Lidze. Gdyby coś ci się stało, nigdy bym się o tym nie dowiedział. Wiesz, jakie to uczucie?

Upadłam przed nim na kolana, uderzając w ziemię tak mocno, że w końcu strząsnęłam łzy przywierające mi do rzęs. Byłam wyczerpana. Pusta.

– Nie mogę tego naprawić – powiedziałam. – Wiem, że wszystko zepsułam i że nie ma już odwrotu. Naprawdę wiem. Ale twoje życie było warte więcej niż moje pragnienia, a to był jedyny pewny sposób, żeby nie przyszło ci do głowy mnie szukać.

– Kto powiedział, że bym cię szukał?

Wiedziałałam, że celowo jest okrutny. Że czuje się źle i pragnie tylko, bym cierpiała tak jak on. W jego słowach nie było jednak wystarczająco dużo jadu, żeby mnie zranić. Liam nie był do tego zdolny.

– A ja rozszarpałabym cały ten cholerny kraj na strzępy, żeby cię odnaleźć – odparłam łagodnie. – Może naprawdę byś odszedł. Może byś mnie nie szukał. Może wszystko źle odczytałam. Ale jeśli czułeś choć jedną czwartą tego co ja... – Głos mi zadrżał. – Ciągle się zastanawiałam, czy to nie dlatego, że ci mnie żal. Czy przypadkiem się nade mną nie litujesz, czy nie szukasz kolejnej osoby, którą mógłbyś chronić.

– I nie przyszło ci do głowy, że to może z innego powodu? – wyszeptał urażony. – Nie widziałaś, jak bardzo podziwiam twoją walkę o przetrwanie i dobre serce? Nie dostrzegłaś, że uwielbiam to, jaka jesteś zabawna, odważna i silna, i że czuję się przy tobie, jakbym sam też taki był, nawet wtedy, kiedy na to nie zasługuję?

– Liam...

– Nie wiem, co mam powiedzieć ani co zrobić. – Pokręcił głową. – To nigdy się dla mnie nie skończyło. Rozumiesz? Nie jestem w stanie tego zapomnieć. Nie potrafię cię znienawidzić... Jak to zrobić, skoro mam cholerną ochotę cię pocałować? – Kolejne słowa wypowiedział tak łamiącym się głosem, że ledwie go rozumiałam. – Czemu nie odebrałaś mi wszystkiego? Nie tylko wspomnień, ale też uczuć?

Wbijałam w niego wzrok. Byłam tak zdezorientowana, że miałam pustkę w głowie.

– To przerażające, *przerażające*, spotkać nieznaną osobę i zapalać do niej tak silnym uczuciem, że staje ci serce, choć nie masz ku temu *żadnych* powodów. *Żadnego* kontekstu. Uczucia po prostu w tobie są i wpijają ci się w piersi, jakby chciały się uwolnić. Nawet teraz...

Wystarczy, że na ciebie *spojrzę*, a mam wrażenie, że przygniata mnie ogrom tego, jak bardzo cię pragnę, potrzebuję i kocham. A tobie nawet nie jest przykro. Oczekujesz, że po prostu pogodzę się z tym, że poświęciłaś za mnie swoje życie.

Rozpacz tak szczelnie oddzieliła nas od świata, że zupełnie zapomniałam o jego istnieniu. Przestało być ważne, że znajdowaliśmy się na skraju pustej autostrady na lodowatym zimnie i w zasięgu wzroku każdego, kto spojrzałby w tę stronę. Rzeczywistość zmaterializowała się w dźwiękach warkotu silnika samochodu, rozgorączkowanego wycia klaksonu i miganiu wycelowanych prosto w nas świateł.

Pomogłam Liamowi wstać i sięgnęłam po broń wetkniętą do kieszeni płaszcza. Kiedy jednak wyteżyłam wzrok, okazało się, że zbliża się do nas znajoma zakurzona terenówka Pulpeta. Auto zahamowało z poślizgiem kilka metrów od nas, wyrzucając w górę chmurę śniegu.

Pulpet wyskoczył zza kierownicy, zostawiając silnik na chodzie.

– Dzięki Bogu. Zobaczyłem was na ziemi i myślałem, że się pozabijaliście.

Odwróciłam się od nich obu i otarłam policzki rękawem płaszcza. Usłyszałam, jak Pulpet wzdycha nerwowo, ale to Liam odezwał się pierwszy, przerażająco spokojnym głosem:

– Wejźmy na chwilę do środka. Zostało trochę jedzenia, które może się nam przydać.

Nie chciałam iść za nimi ani wsiadać do samochodu. Nie mogłam się ruszyć – klótnia, jeśli można to tak nazwać, wycięczyła mnie do tego stopnia, że zobaczyłam, jak dwóch Jude'ów wyskakuje z terenówki i rusza w moją stronę.

– Roo? – Wyglądał na wystraszonego.

Potrząsnęłam kończynami, żeby odzyskać przytomność umysłu.

– Wszystko w porządku.

– Co się stało? – wyszeptał i położył dłoń na moich plecach, żeby dodać mi otuchy. – Pokłóciliście się?

– Nie. Wszystko sobie przypomniał.

Odwróciwszy się, patrzyliśmy, jak Pulpet ledwo nadaża za przyjacielem ciągnącym go w kierunku stacji i rzuca mi przez ramię zaskoczone spojrzenie, kiedy Liam otworzył kopniakiem drzwi. Huk uderzenia był tak głośny, że wyciągnął z auta nawet Vidę.

Po dwóch, może trzech pełnych sekundach rozległy się wrzaski. Zaszyli się w sklepie tak głęboko, że nie byliśmy w stanie usłyszeć, co dokładnie mówią, ale wyjątkowo rozpalone krzyki raz po raz dobiegały naszych uszu: „jak mogłeś?” i „dlaczego”, i „ona, ona, ona”.

– No pięknie. – Vida odwróciła się do mnie, mocno opierając dłonie na biodrach. – Mówiłam ci, żebyś zostawiła go w spokoju. Coś ty mu zrobiła?

Miałam wrażenie, że skóra na twarzy robi mi się napięta i gorąca z wysiłku, jaki musiałam włożyć w to, by nie wybuchnąć płaczem.

– Czuję się jak pieprzony idiota! – krzyczał Liam. – Jak skończony kretyn!

– Wie? – zapytała Vida. – Powiedziałaś mu?

– Nie... Chyba sobie przypomniał. Najwyraźniej to cofnęłam. Albo nigdy tego do końca nie zrobiłam. Nie wiem. Nie chce ze mną rozmawiać. Już nigdy się do mnie nie odezwie.

– To na pewno nie tak – pocieszał mnie Jude. – Po prostu jest przytłoczony. Pewnie...

– Pewnie co? – przerwała mu Vida.

– Pewnie gdzieś w głębi serca cię pamiętał. Przypomnij sobie, jak się zdenerwował, kiedy cię znaleźliśmy. Był przerażony, że umrzesz.

– To czemu później zachowywał się jak dupek? – zapytała Vida.

– Zastanów się nad tym... Wiedział, że Roo jest w Lidze, ale traktował ją inaczej niż nas, mam rację? Może przebywanie w jej towarzystwie sprawiało, że czuł się pogubiony: mózg mówił mu jedno, a instynkt podpowiadał drugie.

Dokładnie tak tłumaczył mi to Liam. Jude'owi udało się wyłapać coś, czego nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić. Zarówno moi rodzice, jak i Sam... byli dla mnie chłodni po tym, jak wymazałam ich wspomnienia – po tym, jak je zapieczętowałam, czy jakkolwiek nazwać to, co z nimi robiłam. Byłam wtedy bardzo młoda i po prostu założyłam, że jakaś ich część mnie rozpoznawała i że nienawidzili mnie za to.

Może nie całkiem się myliłam? Jeśli odebrałam im wspomnienia, w których byłam obecna, ale nie uczucia, jakie do mnie żywili, może działo się z nimi to samo co z Liamem. Czy mogli być po prostu wystraszeni lub zdezorientowani przez to, co czuli? Mama nie była w tamtym okresie zbyt stabilna emocjonalnie – dostawała ataków paniki, nawet kiedy wracałam ze szkoły spóźniona o sekundę. Może zobaczyła mnie tamtego ranka i nie wytrzymała? A tata, opanowany, godny zaufania tata – może martwił się o to, jak zareaguje, dlatego nie chciał mnie wpuścić do środka?

*Może ich też mogłam naprawić?* Głos, który uwiesił się mojego ucha, był cichy, lecz wyraźny.

– Ale to nie zmienia tego, co Lee czuje teraz – powiedziałam. Ani tego, jak poczuliby się moi rodzice, gdyby się dowiedzieli, czym naprawdę była ich córka.

Pozwoliłam im zaprowadzić się do samochodu i wślizgnęłam się na tylne siedzenie. Zanim po nas przyjechali, spakowali namiot i zwinęli obóz, i to nie tylko dlatego, że się martwili, ale dlatego, że Vidzie udało się w końcu wysłać wiadomość do Cate.

I dostała odpowiedź.

Zamiast usiąść z przodu, Vida usadowiła się obok mnie. Jude też zaczął się gramolić do środka, ale odepchnęła go stopą i wycedziła:

– Pójdiesz powiedzieć naszemu zgredowatemu kierowcy, żeby ruszył tyłek.

Jude zaczął protestować, ale Vida zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

– O co chodzi? – zapytałam, a na widok komunikatora w jej dłoni jeszcze bardziej się zaniepokoiłam. – Co ci napisała?

– Nie wiem... Coś mi tu śmierdzi. Sama przeczytaj.

Białoniebieskie światło ekranu komunikatora zalało tylne siedzenie, kiedy przeglądałam ostatnią rozmowę.

DOBRE, ŻE JESTEŚCIE CALI // KONIECZNE BEZZWŁOCZNE SPOTKANIE // TO WASZE AKTUALNE WSPÓLRZĘDNE?

Vida odpisała:

TAK, AKTUALNE // MOŻLIWE SPOTKANIE JUTRO W KALIFORNII

Odpowiedź była natychmiastowa:

ESKORTUJEMY WAS STAMTĄD // PUEBLO, KOLORADO // PORZUCIĆ CEL

Było jasne, że w krótkich, lakonicznych wiadomościach ludzki głos się zatracił. I o to właśnie chodziło w komunikatorach – żeby przekazywać informacje albo pliki najszybciej, jak się da. Ale „porzucić cel” brzmiało wyjątkowo dosadnie. Co więcej, czemu Cate albo Cole mieliby ryzykować opuszczenie Bazy i ściąganie uwagi na swój plan?

NIE INFORMOWAĆ CELU O MIEJSCU SPOTKANIA

Poniżej widniał adres.

– Myślisz, że coś się stało? – Vida naciskała. – Po jaką cholerę mieliby ryzykować opuszczenie Bazy, skoro może to pogrzebać całą akcję?

– Może uważają, że nie uda nam się przekroczyć granicy z Kalifornią bez ich pomocy? – Było to słabe wytłumaczenie, ale możliwe. – Czy Cate osobiście dała ci komunikator? Czy własnoręcznie ci go wręczyła?

– Tak. To Nico ustawił połączenie między naszymi urządzeniami. – Widziałam, jak jej

ciemne oczy robią się coraz większe i jak w końcu dociera do niej to samo co do mnie. – Myślisz, że ktoś przechwycił komunikator? Że coś jej się stało? Albo że ma go Cole?

– Myślę, że możliwe, iż ktoś włamał się na naszą linię – powiedziałam spokojniej, niż się czułam. – I teraz przechwytuje nasze wiadomości.

– Nie ma mowy. Przecież połączenia nie da się zhakować. Istnieje sposób, żeby to sprawdzić?

Może jeden. Zacisnęłam zęby, wystukując słowa ostrożnie i z namysłem.

SKONTAKTUJEMY SIĘ PO DOTARCIU NA MIEJSCE // CZEŚĆ, CZOŁEM

Sekundy ciągnęły się w nieskończoność i ekran przygasł z braku aktywności, ale nie wyłączyłam urządzenia, a Vida nie odsunęła się ode mnie, dopóki znowu nie rozbłysnął.

Wibracje przeniknęły mnie do kości i wywołały gęsią skórę.

DOBRE // CZOŁEM, TRZYMAJCIE SIĘ

Minęło dziesięć minut, zanim chłopcy pojawili się w drzwiach sklepu, każdy z czym innym w rękach. Pulpet dzierżył opakowanie papieru toaletowego, Jude walczył z pięcioma gigantycznymi paczkami chipsów, a Liam usiłował nie upuścić ani jednej z dziesięciu butelek napojów.

– Oddychaj, mała – powiedziała Vida. – Musimy się tylko dostać do Kolorado.

*I przez całą drogę kłamać*, pomyślałam, opierając czoło o drzwi. Nie mieliśmy zbyt wielkiego wyboru. Jeśli czekał na nas ktoś inny niż Cate albo Cole, znaczyło to, że coś im się stało – albo ktoś odkrył ich plan, albo się zorientował, że dokładnie wiemy, gdzie jesteśmy, a nie starają się ściągnąć nas z powrotem. Do głowy przychodziło mi wielu różnych podejrzanych: Alban, jego doradcy, Jarvin i jego świta. Nie mogłam się pozbyć przeczucia, że wszystko sprowadza się do pendrive’a, nie potrafiłam przestać myśleć o tym, że ktoś taki jak Jarvin mógłby użyć znajdujących się na nim danych do własnych celów, a nie do tego, by pomóc dzieciom. Najgorsze było to, że nie mogliśmy mieć pewności, iż powrót do Bazy z pamięcią USB jest bezpieczny, dopóki nie przekonamy się, kto czeka na nas w Kolorado.

Miałam nadzieję, że to naprawdę była Cate. Pueblo w stanie Kolorado było tak dobre jak każde inne miejsce, żeby oddzielić się od chłopców. Jak mówiła Vida, nie było sensu się do nich przywiązywać, skoro i tak kiedyś trzeba będzie przeciąć pępowinę.

Kiedy otworzyli bagażnik i wrzucali do niego świeże zapasy, uderzyła nas fala zimnego powietrza. Jude wgramolił się obok Vidy, pocierając dłonie, żeby przywrócić je do życia. Z zagięć w jego kurtce wypełzał chłód, kiedy pochylił się do wywietrzników i wszystkie skierował w swoją stronę.

Pulpet usiadł za kierownicą i odwrócił się do nas, jakby był zaskoczony, że nikt go nie ubiegł. Napotkałam wzrok Liama chwilę przed tym, jak otworzył drzwi od strony pasażera i władował się do środka.

Nie miałam pojęcia, na co czekamy, ale siedzieliśmy w milczeniu przez dobre pięć minut, zanim w końcu Liam się odezwał:

– Czy chociaż przez moment możemy udawać, że nie jest nam wszystkim niewiarygodnie niezręcznie, i czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, co się naprawdę dzieje?

Pulpet w końcu zwolnił hamulec ręczny.

– Później. Nie potrafię bezpiecznie prowadzić, gdy wokół panuje hałas.

– Nie wierzę, zgredzie – rzuciła Vida. – To żałosne, nawet jak na ciebie. Chcesz się zamienić z którymś z nas?

– Ja mogę jechać! – zaoferował się Jude, zamykając kompas i prostując plecy. – Wziąłem kilka lekcji.

– Dokładnie jedną – poprawiłam go. – I skończyła się na tym, że rozwaliłeś trzy auta,

usiłując zaparkować.

– To nie była moja wina!

Pulpet nas zignorował i skierował auto z powrotem na drogę z typową dla siebie ostrożną prędkością. Kolejny raz przystąpiłam do opowiadania naszej historii najlepiej, jak potrafiłam, wyjaśniając, co Cole zamierzał zrobić z pendrive’em. Słowa się ze mnie wylewały – opisywałam, jak agenci wrócili do Bazy z ciałem Blake’a, ucieczkę w Bostonie, spotkanie z Pulpetem i to, jak odnaleźliśmy Lee w Nashville. Liam zadawał trafne pytania dotyczące tego, w jaki sposób Cole i Cate zamierzali użyć wyników badań jako dźwigni do zawrócenia Ligi na właściwe tory.

– Rozumiem – mruknął, kiedy skończyłam. Powiedział to bardziej do siebie niż do mnie. – Rozumiem... Ale mam jeszcze jedno pytanie. Mówiłaś, że byłaś gotowa nadstawić karku i porzucić tę misję, żeby mnie odnaleźć. Jaki miałaś w tym interes?

Czy to nie było oczywiste?

– Mówiłam ci już. Cole powiedział, że jeśli zdobędę dla niego tego pendrive’a, Alban będzie mu jadł z ręki. I weźmie się do wyzwalania obozów. Przy okazji dawało mi to szansę, by się upewnić, że jesteś bezpieczny i że Alban nie będzie miał żadnego powodu, by cię ścigać i ściągać z powrotem.

Kiedy Liam w końcu się odezwał, miał lekko zachrypnięty głos.

– Nie... Nie zwalnia cię to z umowy? Nie wypuszczą cię?

Zrozumiał, że moje milczenie oznacza „nie”.

– Przyszło ci to chociaż do głowy? – wyszeptał. Pierwsze ślady złości przesączały się do jego głosu. – Wrócisz tam, tak po prostu... Jakby ci agenci nie postawili sobie za życiowy cel mordowania dzieci?

– Muszę doprowadzić to do końca.

– Tak, a kto cię ochroni? – odparował. – Oddasz im dane i będziesz czekać, aż coś zrobią, z *nadzieją*, że nie cofną danego ci słowa albo nie palną ci w łeb, bo najdzie ich ochota? Chcę tylko wiedzieć *dlaczego*. *Dlaczego* chcesz im to oddać, skoro moglibyśmy wykorzystać te dane i sami sobie pomóc? Jeśli Cole mówi prawdę i rzeczywiście odkryto przyczynę OMNI, to czy nie zasługujemy, żeby ją poznać? I zdecydować, co z tym zrobić? – W jego słowach było tyle żaru i pasji, jakby na powrót rozkwitał i wracał do tego, kim był kiedyś. Nawet jego twarz nabierała kolorów.

– Tu nie ma o czym dyskutować – powiedziałam. – Przykro mi, ale musimy być realistami. Przedtem... Kiedyś myśleliśmy, że poradzimy sobie sami, że nie potrzebujemy pomocy, i popatrz, jak to się skończyło. Potrzebujemy pomocy. Ciągłe może nam się udać, ale sami nie damy rady.

– I na swojego partnera w działaniu wybierasz Ligę? – Parsknął.

Nie miałam zamiaru dać się zbić z tropu. Ignorując jego uwagę i odgłos oburzenia, jaki wydała z siebie Vida, ciągnęłam dalej:

– Wszystkie plemiona są rozproszone. Nie jesteśmy w stanie ich zjednoczyć, by stworzyć z nich siłę, z którą trzeba by się liczyć... A nawet gdyby to się nam udało, ułatwilibyśmy tylko Siłom Psi robotę: mogliby nas zwinąć wszystkich naraz. Wiem, wiem, jak bardzo ci się to nie podoba i że nigdy nie poszedłbyś tą drogą, ale powiedz mi szczerze: co takiego moglibyśmy zrobić z tymi danymi? Ujawnić je światu? Masz odpowiednie urządzenia? Ludzi? Usiłuję myśleć o tym, co jest najlepsze dla dzieci w obozach...

– Nie – rzucił oziębło. – Ty w ogóle nie myślisz.

– To już postanowione, Liam. Może Liga złamie dane mi słowo, ale ja nie złamię swojego. Cena jest za wysoka. Jeśli... Nie mam na to ochoty, ale zrozumieć, jeśli zechcesz się z nami rozdzielić, zanim dojedziemy do Kolorado. Nie ma problemu.

- Kolorado? – spyтали chórem Pulpet i Liam.
  - W końcu dostaliśmy wiadomość od Cate. Chce się spotkać w Pueblo w Kolorado.
  - Naprawdę? – zapytał Jude. – Ale dlaczego...?
  - Kiedy zamierzaliście nam o tym powiedzieć? – przerwał mu Pulpet.
- Liam, choć był wściekły na przyjaciela, z zapalem go poparł:
- I mamy was tam po prostu wysadzić? A co z pomysłem wspólnej podróży do

Kalifornii?

– Jeśli zdecydowała się po nas przyjechać, pewnie uważa, że nie damy rady bezpiecznie przekroczyć granicy stanu. – Skłamałam, nienawidząc siebie za to. – Pewnie chce przetransportować nas samolotem. Jestem pewna, że was podrzuci...

– Nawet nie kończ tego zdania... – powiedział Liam.

– *Dajcie już spokój!* – przekrzykiwał nas Pulpet, skręcając gwałtownie w prawo. – Na litość boską, czy choć przez pięć minut możecie być cicho? Przecież jesteśmy przyjaciółmi, którym na sobie zależy! Mam dość tego skakania sobie do gardeł! Spokój, i to już!

Po pięciu minutach niezręcznej ciszy, którą zdołaliśmy utrzymać, pierwsza odezwała się Vida:

– Nie wiem czemu... ale tak jest chyba jeszcze gorzej.

Liam najwidoczniej był tego samego zdania, bo wyciągnął rękę, żeby włączyć radio, po czym nucąc coś pod nosem, zaczął szukać stacji w natłoku hiszpańskich słów i reklam, aż w końcu trafił na głęboki, spokojny kobiecy głos:

*Liga Dzieci wydała następujące oświadczenie w sprawie Szczytu Bożonarodzeniowego...*

– Nie ma mowy – rzucił Pulpet, sięgając do wyłącznika. – Nie będziemy znowu słuchać tych bzdur.

– Nie! – Cała nasza trójka zaprotestowała z tylnego siedzenia.

Jude praktycznie wcisnął twarz w metalową kratkę oddzielającą go od radioodbiornika, a w chwili, gdy w głośnikach zabrzmiał głos Albana, Vida zrobiła to samo.

– To... – podjął podekscytowany Jude.

*Uważamy, że pokój, który usiłuje zaprowadzić Gray, leży wyłącznie w jego interesie. Jeśli to fałszywe porozumienie stron dojdzie do skutku, zniweczy wszelkie wysiłki podjęte przez obywateli Ameryki próbujących odbudować to, co zniszczył rząd. Nie będziemy spokojnie patrzeć, jak prawda zostaje pogrzebana pod stertą kłamstw. Nadszedł czas na zdecydowane działania.*

Nieźle, chwytiliwe przemówienie. Byłam pewna, że wyszło spod pióra Żabich Ust. Wymyślał on niemal każde słowo, które Alban wyduszał z siebie przez wyszczerzone w uśmiechu zęby. Nie musiałam nawet zamykać oczu, żeby wyobrazić sobie, jak pochyła swój łysy łeb nad odręcznymi notatkami, a światła kamer nadają jego cienkiej jak pergamin skórze niebieski połysk.

Poproszony o komentarz rzecznik prasowy rządu powiedział:

*Każde słowo wychodzące z ust tego terrorysty jest ukierunkowane na to, by zaostriść strach i niepewność wciąż panujące w społeczeństwie. John Alban postanowił przemówić, ponieważ boi się, że po przywróceniu pokoju i ładu Amerykanie nie będą dłużej tolerować jego aktów przemocy i niepatriotycznych posunięć.*

– Co za bzdury! – syknęła Vida. – To oni powinni się trząść ze strachu.

Jude ją uciszył, machając rękami.

– Możesz dać głośniejsze?

*Połączyliśmy się właśnie z Bobem Newportem, starszym doradcą politycznym współpracującym z senator stanu Oregon panią Joanne Freedmont, żeby dowiedzieć się czegoś*

więcej o tym, jak do Szczytu Jedności podchodzi Koalicja Federalna. Dzień dobry, słyszy nas pan?

W głośnikach rozległ się szum i przez kilka sekund uszy wypełniał mi jedynie niski pomruk kół sunących po drodze.

*Dzień dobry... Tak, słyszę. Przepraszam za zakłócenia. Nasz zasięg w Kalifornii nie... – Połączenie zostało zerwane, ale po chwili mężczyzna znowu się odezwał i to głośniejszym niż poprzednio: – ... w ciągu minionego miesiąca.*

– Nadajniki i satelity w Kalifornii ostatnimi czasy szwankują – wyjaśniłam chłopakom. – Alban uważa, że to Gray je zakłóca.

*Zanim znowu nas rozłączy, proszę powiedzieć, w jaki sposób Koalicja podejdzie do tego spotkania. Czy mógłby nam pan zdradzić, jakie punkty senator Freedmont i pozostali planują poruszyć podczas obrad?*

*Oczywiście. Chociaż nie mogę za bardzo wchodzić w szczegóły. – Połączenie znów osłabło, ale po chwili z powrotem zaskoczyło. – Z całą pewnością poruszymy kwestię uczynienia z Koalicji partii o zasięgu ogólnonarodowym i bez wątplenia będziemy naciskać na to, by wiosną przeprowadzić wybory.*

Prezenterka roześmiała się lekko.

*Jak pan myśli, jak prezydent zareaguje na pomysł skrócenia mu trzeciej kadencji?*

Rzecznik również sztucznie zachichotał.

*Przekonamy się. Kolejnym głównym punktem obrad będzie pobór do armii. Chcielibyśmy się dowiedzieć, czy prezydent planuje od tego odstąpić. Chodzi nam szczególnie o program szkolenia Sił Specjalnych Psi, który, z tego, co wiem, wzbudza w obywatelach naszego kraju sprzeczne uczucia...*

Na te słowa wszyscy pochyliliśmy się do zielonego wyświetlacza, a Jude chwycił mnie za rękę.

– Myślicie, że...? – wyszeptał.

*Czy dyskusji zostanie również poddany program rehabilitacji? – Prezenterka wyczuła wąły zapach krwi i z nosem przy ziemi podążała za tropem. – Ostatnio nie wydano żadnego oświadczenia o statusie programu ani o dzieciach, które zostały weń włączone. Co więcej, rząd przestał wysyłać listy do zarejestrowanych rodziców o postępach ich dzieci. Czy uważa pan, że oznacza to, iż program zostanie zmieniony?*

– Naprawdę wysyłali listy? – zapytałam. Nigdy wcześniej o tym nie słyszałam.

– Na początku rodzice dostawali lakoniczne pismo o treści: „Państwa dziecko czyni postępy, nie sprawia problemów” – powiedział Liam. – Wszystkim przysyłali to samo.

*Obecnie skupiamy się na omawianiu zmian mających na celu pobudzenie gospodarki. Pragniemy również wznowić rozmowy z byłymi międzynarodowymi partnerami.*

*Ale wracając do sprawy Psi... – Głos prezenterki zaczął zanikać, przerywany nienaturalnym metalicznym jękiem.*

– Zatrzymaj się – zakomenderowała Vida. – Inaczej stracimy sygnał!

*... czy poproszę państwo prezydenta o ujawnienie informacji o tym, jakie programy badawcze są obecnie w toku i czy poszukiwanie przyczyny OMNI przyniosło jakiegokolwiek rezultaty? Jako matka jestem szczególnie zainteresowana odpowiedzią na pytanie, czy mój syn, który i tak co tydzień przechodzi testy i obserwacje, zostanie objęty specjalnym programem leczenia OMNI, tak jak jest zalecane. Jestem przekonana, że politycy obu stron w równym stopniu współczują tysiącom rodziców, którzy w wielu przypadkach latami czekają na odpowiedzi dotyczące rokowań swoich dzieci. Podejrzewam, że w imieniu ich wszystkich mogę powiedzieć, że obecny stan rzeczy jest niedopuszczalny.*



– Dokładnie tak! – rzucił Jude. – Pokaż mu, kobieto! Nie pozwól mu zmienić tematu!

*Oczywiście Koalicja pragnie zmodyfikować... program...* – Znowu pojawił się szum. Rozmówca czuł się wyraźnie niezręcznie w poruszonym temacie. – *Jesteśmy za dalszą obserwacją pięciolatek w specjalnych placówkach, ale w przypadku braku niebezpiecznych symptomów OMNI chcielibyśmy wysłać je z powrotem do domów, zamiast automatycznie umieszczać w obozach rehabilitacyjnych...*

Połączenie zostało przerwane z ostrym trzaskiem. Prezenterka przywoływała rozmówcę:

*Proszę pana? Halo? Proszę pana?* – Nie dawała za wygraną, z nadzieją, że uda jej się jeszcze wyłować jego głos z ciszy.

Drogowskazy były do bólu szczere, nazywając tę część kraju ziemią niczyją. Pewnie odczulibyśmy ulgę, opuszczając w końcu Oklahomę i wjeżdżając do Kansas, gdybyśmy umieli odróżnić od siebie te dwa stany. Przez wiele godzin otaczała nas jedynie wyschnięta wysoka trawa przygnieciona przez śnieg i lód. Mijaliśmy miasteczka, w których kiedyś żyli ludzie, a teraz były zabite dechami, oraz porzucone samochody i rowery porzucone wzdłuż autostrady. Nad naszymi głowami rozciągało się szerokie, czyste niebo.

Widziałam kiedyś pustynię na południu Kalifornii, ale czegoś takiego nigdy... Otaczająca nas równina stanowiła najprawdziwsze pustkowie i ciągnęła się w nieskończoność – nawet niebo zdawało się tu szersze. Zatrzymaliśmy się zaledwie dwa razy, tylko po to, żeby sprawdzić, czy w porzuconych przy drodze autach nie ma przypadkiem benzyny. Mijaliśmy wprawdzie funkcjonujące stacje benzynowe, ale ceny były tak wygórowane, że wszyscy zgodnie uznaliśmy, iż nie będziemy na nich tankować.

W pewnej chwili pojedynczy radiowóz minął nas jak szalony, bardzo się dokąś spiesząc, ale poza tym przez większość czasu ruch na drodze był dość niewielki. Pulpet jednak i tak ścisnął mocno kierownicę przez całe pierwsze pięć godzin, które spędził za kółkiem. Za którymś razem, kiedy zatrzymaliśmy się, by skorzystać z łazienki, Vida wślizgnęła się na miejsce kierowcy i zamknęła za sobą drzwi, w związku z czym Pulpet był zmuszony zająć miejsce dla pasażera, a Liam przesiąść się do tyłu obok mnie.

Opuściliśmy równiny i ruszyliśmy w kierunku pogrążonych w ciemności gór. Tylko dzięki zmieniającemu się krajobrazowi wiedzieliśmy, że zbliżamy się do stanu Kolorado. Od Pueblo dzieliło nas jeszcze wiele godzin jazdy, ale mój żołądek już zaczął się skręcać z napięcia. Przed nami linie światła wydobywały kształty odległych miast, które robiły się tym większe i jaśniejsze, im głębiej zjeżdżaliśmy w dolinę. Jude i Liam zasnęli, ja jednak nie mogłam zmrużyć oka. Byłam zbyt niespokojna. Ścisnęłam komunikator i pendrive'a znajdujące się w kieszeni mojego płaszcza i usiłowałam się skoncentrować na tym, co nas czekało. Wyobrażałam sobie różne scenariusze i zastawiałam się, jak je rozegramy.

Planowałam, że najpierw razem z Vidą zrobimy rozeznanie terenu. Wiedziałam, że jeśli natknijemy się tylko na jedną osobę, na przykład na Jarvina, pójdzie nam jak z płatka. Oczami wyobraźni widziałam, jak Vida atakuje go, wykorzystując swoje zdolności, po czym ja obezwładnięm go po swojemu. Gdyby czekał na nas cały uzbrojony oddział, planowałam w ogóle się nie ujawniać i niepostrzeżenie zniknąć. Musiało się udać. *Uda się nam*, mówiłam sobie. Gnębiło mnie jednak co innego. Martwiłam się, że Liga przestała być bezpiecznym miejscem. Obawiałam się, że Cole i Cate mogli już do niej nie należeć, a nawet zginąć.

Liam miał zamknięte oczy i pierwszy raz od wielu dni oddychał bez wysiłku. Od czasu do czasu światła przejeżdżającej obok ciężarówki omiały szybko, o którą się opierał, i rozświeślały jego blond włosy. Na kilka wspaniałych sekund zadrapania i sińce zniknęły wtedy z jego twarzy. Tak jak cienie pod oczami.

Piosenka Beatlesów sącząca się z głośników ustąpiła delikatnemu gitarowemu kawałkowi, po którym z ulgą usłyszałam wesołe dźwięki *Wouldn't It Be Nice* Beach Boysów.

Dopiero wtedy w pełni zdałam sobie sprawę z tego, że to koniec. Że za kilkadziesiąt kilometrów, za kilka godzin po raz ostatni zamknę za sobą drzwi tego samochodu. Niełatwo było mi odejść za pierwszym razem, a teraz jeszcze to... Bałam się, że to kara za wszystko, co zrobiłam. Drżałam na samą myśl, że los chce mnie uwięzić w świecie, w którym będę ich tracić w kółko, ciągle od nowa, dopóki nie zostanie mi już nawet kawałek niezłamanego serca.

Nie czułam się ani zażenowana, ani zawstydzona i pozwoliłam sobie na łyż. Chciałam wyrzucić z siebie żal, póki wszyscy spali, a Vida koncentrowała się na czarnej nitce drogi. Ten jeden jedyny raz pozwoliłam sobie na to, by zapaść się głębiej w ból. Pozwoliłam sobie zadać pytanie, czemu to wszystko mi się przydarzyło. Czemu to wszystko przydarzyło się nam?

Ścisnęłam pendrive'a tak mocno, że wbił mi się w dłoń. Miałam nadzieję, że dzięki niemu przynajmniej dowiemy się, kto lub co za to wszystko odpowiada. Że odtąd kogoś innego będę mogła winić za koszmar, w jaki zamieniło się moje życie.

Piosenka nie chciała się skończyć. Z głośników cały czas dobiegała wesola gitarowa melodia oraz rozentuzjasmowane głosy obiecujące przyszłość, która, jak podejrzewałam, nigdy nie będzie moim udziałem.

Musnięcie, które poczułam, było z początku tak niepewne, że pomyślałam, iż Liam nieświadomie porusza się we śnie. Po chwili jednak położył dłoń na siedzeniu, czule i nieśmiało splatając palce z moimi. Przygryzłam usta, czując dotyk jego cieplej, szorstkiej skóry.

Przez cały czas miał zamknięte oczy, chociaż widziałam, że z trudem przełyka ślinę. Nie musiał nic mówić, bo wszystko zostało już powiedziane. Liam uniósł nasze splecione dłonie i przytulił je do piersi. Trzymał je tak przez całą piosenkę i kiedy mijaliśmy kolejne góry i miasta. Aż do samego końca.

Pueblo, Ojczyzna Bohaterów albo Stalowe Miasto Zachodu – w zależności od tego, którym znakom się wierzyło – było dość wyludnione, ale nie na tyle, żebym mogła siedzieć spokojnie, kiedy jechaliśmy wzdłuż migających latarni ulicznych i pustych komisów samochodowych. Miasteczko wyglądało tak jak pozostałe, które mijaliśmy – ze wszystkich stron otaczały je góry wyrastające nagle z płaskiej suchej ziemi. Zawsze wyobrażałam sobie stan Kolorado jako jedną gigantyczną górę, pokrytą grubą warstwą przyprószonych śniegiem zimozielonych roślin i poznaczoną stokami narciarskimi. Myliłam się – śnieg może i leżał w odległych Górach Skalistych, ale tu, na nizinach, w środku dnia paliło nas ostre słońce. Co więcej, w okolicy nie było ani jednego drzewa, pod którym można by się schować, ani kwitnących kwiatów upiększających krajobraz. To, że w takich miejscach istniało życie, wydało mi się nienaturalne.

Vida zaparkowała samochód naprzeciwko budynku, którego adres wysłała nam osoba podszywająca się pod Cate, pozwalając, żeby koła terenówki same powoli się zatrzymały.

– Jesteś pewna, że to tu? – zapytał Pulpet, wpatrując się w tablet.

To zrozumiałe, że miał wątpliwości. Umawianie się na spotkanie w opuszczonej restauracji rzeczywiście wydawało się dziwne. Podejrzewałam, że Cole ze swoim chorym poczuciem humoru byłby w stanie wymyślić coś takiego, ale przypadkowość całej tej sytuacji napawała mnie niepokojem.

– Nikogo tam nie widzę – powiedział Pulpet po raz dziesiąty. – Sam nie wiem... Może powinniśmy objechać to miejsce?

– Wyluzuj, zgredzie. Dostanę przez ciebie wrzodów – rzuciła Vida, wyłączając silnik. – Pewnie czeka na nas w którymś z tych aut.

– Na pewno. Tylko w którym? – odezwał się Liam.

Otaczały nas głównie małe osobówki w różnych kształtach i kolorach. Nie dość, że lakier łuszczył się na nich od nadmiaru słońca, to jeszcze każda od maski, przez szyby, aż po dach była pokryta grubą warstwą kurzu. Jedyny wyjątek stanowiła biała terenówka, która wprawdzie miała oblepione błotem koła i podwozie, ale poza tym była czysta. Najwidoczniej stała tam od niedawna.

– Napisała, że będzie w środku – rzuciłam i rozpięłam pas. – Do dzieła.

– Stój. – W głosie Pulpeta słychać było nutkę paniki. – Możemy poczekać jeszcze kilka

minut?

– Nie powinniśmy trzymać jej w niepewności. Pewnie strasznie się zamartwia – wtrącił Jude.

We wstecznym lusterku napotkałam spojrzenie Vidy.

– Zróbmy tak: ty zostań i spakuj plecak, a ja i Vida zorientujemy się w sytuacji – zarządziłam, starając się brzmieć najzwyczajniej w świecie. – Dowiemy się, jakie Cate ma plany i czy chłopaki mogą z nami podróżować.

– Dobra! Spotkamy się w środku za minutę! – Jude się ucieszył.

– Nie spiesz się i dobrze przemyśl, czego będziemy potrzebować – dodałam, przechodząc nad jego długimi nogami.

– Ale przecież Cate pewnie będzie miała wszystko, czego nam trzeba. A poza tym chcę się z nią zobaczyć. Mam wrażenie, że nie widzieliśmy się całe wieki – protestował.

Vida poszła w moje ślady i także rozpięła pasy.

Zamknęłam za sobą drzwi i uważając, żeby nie patrzeć Liamowi w twarz, obeszłam auto. W tej samej chwili Vida z cichym kliknięciem wysunęła magazynek z pistoletu i sprawdziła, czy wszystko działa.

– Trzymamy się na zewnątrz do czasu, aż będziemy pewne, że nie natkniemy się na uzbrojoną armię, *kapujesz?* Wchodzimy, robisz telepatyczne czary-mary, żeby sprawdzić, że naszym nic nie jest, i wychodzimy – powiedziała. – Jak myślisz, ile mamy czasu, zanim Judytka zrobi się kapryśna i niecierpliwa i przyjdzie nas szukać?

– Maksymalnie dziesięć minut. – Może dwanaście, jeśli Liam go czymś zajmie.

Kluczyłyśmy w cieniu między samochodami. Poczułam się zdenerwowana dopiero w chwili, gdy w jednym z okien restauracji dostrzegłam mignięcie światła i ruch. Vida chwyciła mnie za rękę i wciągnęła za ogromne kubły na śmieci wypełnione gnijącymi resztkami jedzenia. Tylne drzwi lokalu podparto niewielkim kamieniem. Vida rzuciła mi tylko szybkie spojrzenie i wślizgnęła się przez nie do ciemnej kuchni. Kiedy drzwi się za nami zatrzasnęły, najciszej, jak umiałam, przekręciłam zamek.

Odbicie Vidy mignęło mi w błyszczących drzwiach lodówki stojącej przy przeciwległej ścianie. Obróciłam się i zobaczyłam, jak moja towarzyszka, kucając, przechodzi obok srebrnych frytkownic i pustych półek. Spotkałyśmy się przy drzwiach prowadzących do lady i części dla gości.

Odbezpieczyłam pistolet i nisko się schylając, przemknęłam wzdłuż kontuaru i pustych miejsc, gdzie kiedyś stały zamrażarki z lodami. Pomimo że światło było zapalone, a w powietrzu ciągle wisiał słodki zapach jedzenia, nie miałam wątpliwości, że restauracja jest nieczynna.

Po chwili okazało się też, że jedyną osobą na całej sali wcale nie była Cate.

Nie widziałam go dokładnie, bo siedział w jednej z białych plastikowych łóż, beztrosko przerzucając strony starej, wymiętej książki autorstwa Fryderyka Nietzschego. Miał na sobie spodnie w kolorze khaki oraz szary sweter zarzucony na białą koszulę na guziki ze starannie podwiniętymi rękawami. Jego czarne włosy były trochę dłuższe, niż zapamiętałam, i wpadały mu do oczu za każdym razem, kiedy się pochylał, żeby przerzucić stronę. Najdziwniejsze w tej całej sytuacji wcale nie było to, że oto Clancy Gray siedział w znajdującej się pośrodku pustkowi restauracji pod wyblakłym plakatem reklamującym nowy rodzaj lodowych rożków, ale to, że był na tyle rozluźniony, iż opierał nogi o przeciwległe siedzenie.

Musiał zdawać sobie sprawę z mojej obecności, ale kiedy zaszłam go od tyłu i przyłożyłam mu lufę pistoletu do potylicy, nawet się nie poruszył.

– Mogłabyś chociaż poczekać, aż skończę rozdział? – zapytał słodkim głosem.

Oprócz tego, że mnie zemdliło, poczułam jeszcze coś – w moim umyśle zrodził się zbyt

dobrze mi znany niepokój.

– Odlóż broń, Ruby – powiedział, zamykając książkę.

Część mnie miała ochotę się roześmiać. Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę tego próbował. Pozwoliłam, by przez jedną krótką sekundę macki jego umysłu otarły się o moją podświadomość, po czym wzniosłam między nimi potężny mur. Tym razem Clancy się poruszył – z bólu pochylił się w przód, odwracając w moją stronę.

– Zawsze warto próbować – wycedziłam. Ani głos, ani dłoń mi nie zadrżały. – Masz trzydzieści sekund, żeby mi wyjaśnić, co, u licha, tu robisz i jak włamałeś się do naszego komunikatora. W przeciwnym razie zrobię z tobą to, co powinnam była zrobić wiele miesięcy temu.

– Widać, że nie masz pojęcia o ubijaniu interesów – parsknął. – Co będę z tego miał? Jeśli ci powiem, to zginę. Jeśli ci nie powiem, też zginę. I to niby ma mnie zachęcić?

Posłał mi swój najlepszy uśmiech, godny syna polityka. Poczułam, jak wypełniająca mnie wściekłość zaczyna kipieć. Chciałam zobaczyć w jego oczach strach, zanim pociągnę za spust. Pragnęłam, żeby był tak przerażony i bezbronny jak my tamtej nocy.

*Przestań* – pomyślałam. – *Opanuj się. Nie możesz znowu tego zrobić. Kontroluj się.*

– Jest jeszcze trzecia możliwość – powiedziałam.

– Jaka? Oddanie mnie w ręce SSP?

– Nie. Sprawienie, byś zapomniał, kim jesteś. Byś zapomniał, co potrafisz. Wyrwanie ci z głowy wszystkich wspomnień.

Kącik jego ust drgnął nerwowo.

– Tęskniłem za twoimi czczymi pogrozkami. Tęskniłem za *tobą*. Serio. Cały czas na bieżąco śledziłem, co się z tobą dzieje. Ostatnie kilka miesięcy było naprawdę fascynujące.

– Z pewnością – rzuciłam i ścisnęłam mocniej broń.

Clancy rozparł się na siedzeniu.

– Śledziłem losy wszystkich swoich dobrych znajomych: Olivii, Stewarta, Charlesa, Mike’a, Hayesa. A w szczególności twoje.

– No, no. Ty naprawdę umiesz prawić komplementy.

– Ale musisz mi wyjaśnić jedną rzecz. Czemu rozdzieliliście się ze Stewartem? Czytałem raport z serwerów Ligi. Podają w nim, że oboje zostaliście pojmاني, ale nie ma nawet wzmianki o tym, czemu on został puszczony wolno.

Nie odpowiedziałam. Clancy położył splecione dłonie na stole, a na jego przystojnej twarzy pojawił się współczujący uśmiech.

– Dokonałaś niemożliwego wyboru – ciągnął. – Wiedziałaś, że tak właśnie napisała w raporcie twoja Opiekunka? To dlatego mianowała cię Liderką swojego marnego zespołu. „Ruby jest niezwykle opiekuńcza, posiada silną wolę oraz odporność, które predysponują ją do podejmowania niemożliwych wyborów”. Podoba mi się to. Bardzo poetyckie.

Wyszedł z łoży i uniósł ręce w klasycznym geście poddania. Było to tak szczere jak jego uśmiech.

– Ruby – powiedział łagodnym głosem. Opuścił ręce i ułożył je tak, jakby chciał mnie uściskać. – Daj spokój. Naprawdę się cieszę, że znowu cię widzę...

– Ani kroku dalej – ostrzegłam, podnosząc pistolet.

– Przecież mnie nie zastrzelisz. – Nie dawał za wygraną. Jego głos nabrał znajomej jedwabistej miękkości, tak jak zawsze, kiedy próbował kimś manipulować.

Przyprawiło mnie to o ciarki i dłonie zrobiły mi się mokre. Nienawidziłam go. Nienawidziłam go za wszystko, co zrobił, ale jeszcze bardziej za to, że miał rację.

Wyraz mojej twarzy musiał zdradzić, że się zawahałam, bo nagle Clancy rzucił się na

mnie, chcąc wyrwać mi pistolet.

Broń wystrzeliła. Kula przecięła powietrze, ocierając się o jego rękę, a ułamek sekundy później rozległ się huk. Clancy zawył z bólu i upadł na kolana. Lewą dłoń ścisnął draśnięte przedramię.

Słyszałam, jak Jude krzyczy i wali w kuchenne drzwi, a moim oczom ukazała się Vida, która wyszła zza lady z pistoletem wycelowanym prosto w głowę Clancy'ego.

– Ruby kazała ci się nie ruszać – warknęła i stanęła za mną. – Następnym razem dostaniesz między nogi.

Zdałam sobie sprawę z niebezpieczeństwa o dwie sekundy za późno.

Clancy podniósł głowę.

– Przestań!

Vida wydała z siebie cichy jęk i skrzywiła się pod wpływem jego gwałtownego ataku. Zadrżała, próbując się opierać – dostrzegłam to w jej oczach na moment przed tym, jak zrobiły się szkliste. Trzęsącą się ręką znowu uniosła pistolet. Tym razem jednak mierzyła we mnie.

– Odlóż broń i posłuchaj – zwrócił się do mnie Clancy.

Wstał i usiadł na krawędzi kanapy, przyglądając się plamie krwi powiększającej się na jego nieskazitelnie białej koszuli. Nawet nie drgnęłam, choć walczyłam z obezwładniającą ochotą, żeby go zabić i mieć go w końcu z głowy. Vida dygotała za moimi plecami – czułam, jak drżąca lufa pistoletu opiera się o moją potylicę. Dziewczyna miała mokre policzki, ale nie byłam w stanie stwierdzić, czy to pot, czy łzy.

Bałam się o nią, ale poza tym prawie nie czułam strachu. Clancy bardzo się postarał, żeby doprowadzić do tego spotkania. Włamał się do naszego komunikatora, przyjechał do Kolorado i zniżył się do tego stopnia, że czekał na nas w obskurnej starej restauracji. Musiał mieć ku temu dobry powód. Zabijając mnie, nic by nie zyskał.

– Ech – westchnął, jakby usłyszał moje myśli, po czym spojrzał na Vidę, która odsunęła pistolet od mojej potylicy i przyłożyła go sobie do skroni.

– Nie odważysz się – wyszeptałam.

– Chcesz mnie sprawdzić? – Uniósł brwi i wskazał ręką na krzesło po przeciwnej stronie stołu, zapraszając mnie, bym usiadła.

Nie ruszyłam się z miejsca, ale zabezpieczyłam pistolet i wsunęłam go sobie za pasek spodni.

*Mogę przerwać połączenie*, pomyślałam i sięgnęłam do umysłu Vidy. Zdawało się jednak, że wokół jej myśli zamknęła się stalowa skorupa. Im bardziej starałam się ją przebić, tym mocniej się od niej odbijałam. Nie było mowy o dostaniu się do środka.

– Zrobiłaś spore postępy – rzucił Clancy. – Ale naprawdę wierzysz, że uda ci się do niej przebić, zanim każe jej wystrzelić?

*Nie*, pomyślałam. Miałam nadzieję, że w spojrzeniu, które posłałam Vidzie, udało mi się wyrazić, jak bardzo mi przykro i że jeszcze się nie poddałam.

– Od kiedy śledzisz połączenie między naszymi komunikatorami? – zapytałam, odwracając się z powrotem do Clancy'ego.

– Spróbuj zgadnąć, kiedy zacząłem odpowiadać za Catherine Connor. – Bębnił palcami o blat stołu.

Ręka Vidy przestała drżeć, a jej palec pewniej oparł się o spust. Zaciśnęłam pięści, ale usiadłam naprzeciwko Graya, nie starając się ukryć malującego się na mojej twarzy obrzydzenia.

– Catherine bardzo się o was wszystkich martwi. Trzeba przyznać, że zorientowała się, iż coś jest nie tak, wcześniej niż wy. I co lepsze, to ona wysłała was do Nashville. Podejrzewam, że natknęliście się tam na pewnego żalosego pozera. Zajął się nim?

Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że mówi o Knoksie.

– Ale potwarz, co? Świadomość, że jakiś marny *Niebieski* obnosi się z tożsamością, którą stworzyłeś, musiała być dobijająca. Wiedziałaś, że ma jednego z twoich Czerwonych?

– Słyszałem plotki. – Clancy lekceważąco machnął ręką. – Wiedziałem, że ten Czerwony jest złamany, inaczej bym się o niego upomniał. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo by mi się przydał, ale nie mam czasu, żeby go szkolić. Musiałbym oduczyć go nabudowanych odruchów i nauczyć wszystkiego od nowa.

– Zniszczyli go. Ty go zniszczyłeś. Już przez samo przedstawienie swojemu ojcu tego pomyślonego pomysłu. Ten chłopiec był jak zwierzę...

– A co innego można było z nimi zrobić? Czy byłoby lepiej pozwolić ludziom mojego ojca wymordować ich wszystkich, tak jak to zrobili z Pomarańczowymi? Czy lepiej przejąć kontrolę nad potworem, czy zostać pożartym?[1] – Miał w palcach okładkę książki. – Nietzsche natchnął mnie do różnych przemyśleń. Ja znam odpowiedź na to pytanie. A ty?

Nie wiedziałam, kim jest Nietzsche, i nieszczególnie mnie to obchodziło, ale nie miałam zamiaru pozwolić Clancy'emu zbaczać z tematu.

– Powiedz mi, czemu tu przyjechałeś? – zapytałam. – Czy znowu chodzi o Czerwonych? A może pranie ludziom mózgów w końcu ci się znudziło? Założę się, że czujesz się dość samotny, przebywając wyłącznie w towarzystwie własnego ego.

Clancy wybuchnął śmiechem.

– Jestem gotowy przyznać, że mój pomysł z East River był dziecinny. I całkowicie pozbawiony wysublimowania, jakiego potrzebowałem, żeby odnieść zwycięstwo. Pospieszyłem się i posiałem, kiedy gleba jeszcze nie była dobrze spulchniona. Nie o to mi chodzi. Jestem tu, bo chciałem się z tobą zobaczyć.

Zmroziło mnie.

Atak jego umysłu zaskoczył mnie jak nóż w ciemności. Dziwne, nieprzyjemne uczucie narastające w mojej głowie stanowiło jedyne ostrzeżenie. Ale ja też byłam szybka. Jak mawiał Trener Johnson: „czasem jedyną chwilą, gdy przeciwnik opuszcza gardę, jest ta, kiedy się na ciebie zamierza”. Skoncentrowałam się – wiedziałam, co robić. Zablokowałam go, przypuszczając ofensywę i wnikając głęboko w zakamarki jego umysłu.

Otoczyły mnie obrazy i uczucia rozmywające się w rozgrzane białe rozbłyski. Kiedy tylko dosięgałam któregoś z nich, nagle zamieniał się w inny. Skupiłam się na jednym nawracającym wspomnieniu, które przedstawiało twarz nieznajomej blondynki. Chwyciłam je i wydobyłam na powierzchnię.

Pojawiająca się wokół mnie rzeczywistość na początku była rozedrgana i wyblakła, ale im dłużej ją trzymałam, tym robiła się wyraźniejsza. Z każdym oddechem pojawiały się nowe szczegóły. Przed oczami migotało mi ciemne pomieszczenie, w którym następnie stanął krąg metalowych stołów. Błaty szybko wypełniły się połyskującymi maszynami i skomplikowanymi mikroskopami.

Na środku pomieszczenia stała blondynka. Miała spokojną twarz, ale wyciągała przed siebie otwarte dłonie, jakby kogoś uspokajała albo się broniła.

Zrobiła krok do tyłu i potykając się, runęła na ziemię. Kawałki szkła, które roztrzaskały się wokół niej, rozbłyśkały odbitym światłem pożaru roznieconego obok. Pochyliłam się nad nią, zauważając kropelki krwi na jej białym fartuchu. Usta kobiety układały się w słowa: „Clancy, nie. Proszę, Clancy...”.

Nie wiedziałam, jak to się stało, ale kiedy się ocknęłam, oboje leżeliśmy na ziemi, czołgając się z trudem w przeciwnych kierunkach. Znowu usłyszałam głos Jude'a wykrzykującego moje imię i walenie pięściami o tylne drzwi. Przycisnęłam dłoń do piersi

z nadzieją, że pomoże mi to uspokoić galopujące serce. Clancy jak szalony potrząsał głową – może z niedowierzania, a może próbując odzyskać świadomość. Przez długą okropną chwilę mierzyliśmy się nawzajem wzrokiem.

– Podejrzewam, że to Stewart skamle jak kundel, żeby go wpuścić – odezwał się w końcu Clancy.

– Nie – powiedziałam, zaciskając zęby. – Liam i Pulpet odjechali. Zostawili nas tutaj. Clancy znowu spojrzał na Vidę i w tej samej chwili usłyszałam jej cichy jęk.

– Mówię prawdę! Myślisz, że dobrowolnie pozwoliłabym mu z powrotem wdepnąć w to bagno? Nie ma go ze mną. *Odszedł!*

Clancy świdrował mnie wzrokiem, śledząc rysy mojej twarzy z lekkim rozbawieniem i nieco wyraźniejszą irytacją.

Usłyszeliśmy, jak szyba w tylnych drzwiach restauracji rozpryskuje się w drobny mak. Clancy przerzucił całą swoją uwagę ze mnie na Vidę. W jego ciemnych oczach płonęła furia. Nie miałam pojęcia, kto rozwalił drzwi, i zupełnie się nad tym nie zastanawiałam. Moje ciało wyprzedziło umysł – rzuciłam się na Vidę, zwalając ją z nóg i wyrywając jej z ręki broń.

Zanim Clancy zdążył zareagować, przewróciłam się na plecy, celując do niego z obu pistoletów. Vida otrząsała się z zamroczenia, przeklinając i szalejąc z wściekłości, ale ja nie spuszczałam wzroku z młodego Graya. On natomiast patrzył na chłopaków, którzy wparowali do środka, ślizgając się na okruchach stłuczonego szkła. *Nie! Nie teraz!*, błagałam w myślach.

– *Odszedł* – burknął Clancy, naśladując ton mojego głosu. – Rzeczywiście.

Liam przewędrował wzrokiem ode mnie do Clancy'ego, który cały czas siedział w łóżu i zirytowany wywraçał oczami. Następnie wyrwał do przodu ze ściągniętą twarzą, na której wyraźnie malował się nieposkromiony gniew. Wiedziałam, jaką podjął decyzję – wyczytałam to z jego gotowych do zadania ciosu pięści. Był żądny krwi. Tak samo jak Clancy.

– Nie rób tego! – wrzasnęłam.

Clancy zdążył już wniknąć do jego umysłu. Liam zahamował gwałtownie i cały się spiął. Patrzyłam, jak bezwładnie opada na ziemię.

Pozbierałam się z podłogi. Clancy z założonymi rękami mierzył Liama wzrokiem. Krew z rany postrzałowej skapywała mu na skórzaną kurtkę. Niesmak malujący się na twarzy Liama zamienił się w grymas bólu, a następnie w płonąca agonię. Wiedziałam, że tym razem coś jest inaczej – niewzruszony uśmiech Clancy'ego był o niebo bardziej przerażający niż wtedy w East River.

– Przestań! – rozkazałam, wchodząc pomiędzy nich. Odepchnęłam Clancy'ego, wbijając mu pod brodę lufę jednego z pistoletów. – Puść go!

Niespodziewanie cofnął się i zwolnił chwyt. Pozwoliłam, by moje oczy wyraziły wszystko, co byłam gotowa mu zrobić. W jednej chwili oboje zorientowaliśmy się, że wprawdzie nie zabiłabym go, żeby chronić siebie, ale bez wahania pociągnę za spust, by chronić tych, których kocham. Nie mógł już wniknąć do mojego umysłu i przejąć nade mną kontroli. Zaciskając zęby, zrobił krok w tył. Wściekłość sprawiła, że jego oczy stały się jeszcze ciemniejsze.

Pchnęłam go do łóżu, upewniając się, że słyszy, jak odbezpieczam broń. Ręce mi się trzęsły, ale nie ze strachu, lecz od nagłego zastrzyku adrenaliny. Moc, jaką poczułam w sobie, patrząc, jak Clancy kurczy się bez słowa, była upajająca. Byłam gotowa to zrobić. Wiedziałam, że jeśli jeszcze raz zmanipuluje kogoś z moich przyjaciół, to go zabiję. Ostatnią rzeczą, jaką by zobaczył, byłby uśmiech na mojej twarzy. Musieliśmy się stamtąd wydostać. Póki wciąż mieliśmy pendrive'a i przewagę.

Zobaczyłam błysk w oku Clancy'ego. Widziałam, jak się rozluźnia, odnajdując słowa,



które ratowały mu życie.

– Jeżeli teraz mnie zastrzelisz, nigdy się nie dowiesz, co się stało z twoimi znajomymi w Kalifornii. Przynajmniej póki jeszcze żyją.

To Jude odezwał się pierwszy. Łamał mu się głos. Patrzyłam, jak unosi dłoń i ściska wiszący na szyi kompas.

– O czym ty mówisz? – zapytał.

Przysunęłam lufę pistoletu jeszcze bliżej do twarzy Clancy’ego.

– Odpowiedz mu – warknęłam.

W jednej chwili zrozumiałam, że Clancy nigdy wcześniej nie był w sytuacji, z której nie mógł się wykręcić albo której nie potrafił kontrolować. Niechęć i frustracja wykrzywiały mu twarz.

– Mój informator w Lidze twierdzi, że agenci zamierzają wdrożyć plany obejmujące wysadzanie dzieci w powietrze. Zabij mnie, a nigdy się nie dowiesz, kiedy ani jak planują to zrobić.

Potrząsnęłam głową, ale czułam, że coś ściska mnie w żołądku.

– Jaki informator? Pewnie wykradłeś te plany z naszej wewnętrznej sieci.

Jego bezczelny uśmiezek sprawiał, że miałam ochotę pociągnąć za spust.

– To nasz wspólny znajomy Nico – wypowiedział imię chłopca, przeciągając samogłoski.

– Nie! Roo, on kłamie! – krzyknął Jude.

– Znamy się od bardzo dawna – przerwał mu Clancy, patrząc, jak kaszlący Liam usiłuje pozbiierać się z podłogi.

– Czy ty w ogóle potrafisz mówić prawdę? – zapytałam. – Nie mogłeś mieć dostępu do Nico. W przeszłości brał udział w eksperymentalnym programie Leda Corporation, a odkąd Liga go uwolniła, ani raz nie opuścił Bazy.

Clancy patrzył na mnie, jakby nie mógł uwierzyć, że jeszcze nie załapałam.

– Ruby, *pomyśl*. Gdzie był Nico, zanim trafił do Ledy? Naprawdę się nie domyślasz?

– Jeszcze chwila, a zedrę ci skórę z gęby i potnę ją na wstążki! – warknęła Vida z podłogi, ciągle zbyt oszołomiona, żeby wstać. Patrzyła na Clancy’ego z pogardą, otaczając się wściekłością jak zbroją.

– Widzę, że już ci lepiej – burknął Pulpet, czekając, aż w końcu Vida pozwoli sobie pomóc, czego oczywiście nie zrobiła.

– Co takiego? Ruby, co on wygaduje? – zapytał Jude, podchodząc bliżej.

Zrobiło mi się niedobrze i tak słabo, że prawie usiadłam.

– Nico był w Thurmond w tym samym czasie co ty?

– Trafiony, zatopiony! Nareszcie! – zawołał Clancy, klaszcząc w dłonie. – Byliśmy kumplami od skalpela. Lubili porównywać nasze mózgi, bo mieścimy się na przeciwnych końcach spektrum kolorów. Co więcej, przywieźli nas tam tego samego dnia. Stare dzieje.

Z trudem składałam myśli, próbując odgadnąć, dlaczego dopiero teraz się o tym dowiadywałam. Nie mogłam sobie przypomnieć, czy Nico kiedykolwiek o tym napomknął. Ja chyba też nigdy mu nie powiedziałam, że byłam w Thurmond. Może zrobiła to Cate?

– Twierdzisz, że twój stary pozwolił przeprowadzać na tobie badania? – Zza moich pleców dobiegł szorstki głos Liama.

Clancy bębnił palcami o blat stołu. Nie miał na to dowodów. Jego ojciec wyraził zgodę na eksperymenty, pod warunkiem że naukowcy nie zostawia żadnych blizn.

– Po opuszczeniu Thurmond nieraz się zastanawiałem, co się stało z pozostałymi – podjął Clancy po chwili. – Podejrzewałem, że ośrodek badawczy został gdzieś przeniesiony w związku z rozbudową obozu, który przygotowywano na przyjęcie dzieci takich jak nasza droga Ruby.

Zajął mi trochę czasu, zanim się dowiedziałem, że „podmioty badań” zostały przetransportowane do laboratorium Leda Corporation w Filadelfii.

Żołądek podszedł mi do gardła. Chciałam coś powiedzieć, ale obraz Nico – małego, wystraszonego chłopca przypiętego pasami do łóżka w Infirmarii – zupełnie odebrał mi mowę. Nie mogłam myśleć o niczym innym.

Clancy splótł ręce na stole i kontynuował swoją opowieść:

– Jeszcze przed założeniem East River zdałem sobie sprawę, że jedynymi dziećmi będącymi w stanie kiedykolwiek naprawdę zrozumieć, co próbuję zrobić, są te, które przeszły przez to samo co ja. Stwierdziłem, że mogą mi się przydać. Jednak kiedy w końcu udało mi się odkryć, gdzie są, było już za późno. Nicolas to jedyne dziecko ze sprawnym mózgiem, któremu udało się przeżyć.

– Ale by uczynić go *użytecznym*, musiałeś poczekać, aż Liga go wykradnie – dokończyłam z odrazą. – Planowałeś go przekonać, żeby uciekł i przyłączył się do ciebie w East River, zanim wszystko się posypało?

– Na nikogo nie czekałem. Jak myślisz, kto podesłał Lidze przeciek o tym, co się dzieje w laboratorium? Kto podsunął im sposób na wyciągnięcie dzieci? Owszem, musiałem się wykazać pewną dawką cierpliwości i poczekać, aż przewiozą go do Kalifornii. Dopiero wtedy się z nim skontaktowałem. Nigdy też nie planowałem ściągać go do East River, Ruby. Był przydatniejszy, kiedy siedział w Bazie i przysyłał mi tajne informacje, których potrzebowałem.

– Nieprawda. On nigdy by tego nie zrobił... – protestował Jude, chwytając się za włosy.

– Pomyliliście się co do niego. Nie doceniliście Nico. Nikt nigdy go nie podejrzewał, bez względu na to, jak intensywnie dla mnie szpiegował. – Clancy spojrzał na lufę pistoletu. – To on mi doniósł, że Liga planuje przeprowadzić akcję, w której dzieci będą żywymi bombami. To dlatego włamał się dla mnie na linię łączącą wasze komunikatory. Żebyśmy mogli się spotkać. Żebym mógł wyświadczyć mu tę przysługę.

– Powiedział ci o pendrivie. Przyznaj się, że to dlatego tu jesteś! – wypaliłam.

Clancy uniósł brwi i lekko otworzył usta. W jego oczach znowu pojawiła się ciekawość.

– Jakim pendrivie? Co na nim jest? Coś, co mogłoby mi się przydać? – Omiałał nas teraz wszystkich wzrokiem, jakby nie mógł się zdecydować, do którego umysłu się włamać, żeby najłatwiej wydobyć prawdę.

Zmusiłam go jednak, by znowu skupił się na mnie i na mojej broni.

– Powiedział mi tylko, że szukacie Stewarta, bo grozi mu niebezpieczeństwo. Miałem was tu ściągnąć, żeby wam przekazać, co się stało. Ale widzę, że chodzi o coś jeszcze.

– Gadaj! Mów wszystko, co wiesz, a wtedy *może* daruję ci życie – warknęłam.

Clancy westchnął, a malujące się na jego twarzy podekscytowanie, wywołane odkryciem potencjalnego skarbu, ustąpiło niechęci.

– Dwa dni temu kilkoro agentów zorganizowało przewrót. Zabili Albana i przejęli kontrolę nad organizacją. Wszyscy, którzy się im sprzeciwili, zostali zamknięci albo zamordowani. – Clancy spojrzał na Liama z ironicznym uśmieszkiem.

*Cole. Cate. Trenerzy.* Przed oczami pojawiła mi się nawet zmęczona twarz Albana z pożółkłym uśmiechem.

Kiedy minął pierwszy szok, Liam zaczął się trząść. Położyłam mu rękę na ramieniu, by go uspokoić. Powinnam była jednak martwić się o Vidę, która zamachnęła się pięścią, mierząc w zarozumiałą twarz Clancy’ego. Pulpet zdążył złapać ją w pasie – siła, jakiej użył, by ją powstrzymać, posłała ich oboje z powrotem na ziemię. Vida wierzgała i kopała, usiłując się uwolnić z jego uścisku, a z gardła wyrывał się jej przeraźliwy ryk.

Straszne wieści wywołały szok u Liama, a u Vidy atak wściekłości. Jude’a natomiast

ogarnęła głęboka rozpacz, której oznaką były jedynie ciche łzy.

– Co planują? Chcę znać szczegóły – zażądałam.

– Wywożą dzieci z Los Angeles jutro o szóstej rano – powiedział Clancy.

Z zaskoczenia cofnęłam się o krok. Otaczające nas powietrze wypełniło się niemal namacalnym przerażeniem, które lizało mi skórę, zostawiając po sobie błyszczącą warstwę potu. *Tak szybko*. Usiłowałam policzyć w myślach, ile czasu zabierze nam dojechanie tam samochodem, i znaleźć gdzieś dodatkowe godziny, które pozwoliłyby nam zdążyć.

– Nico twierdzi, że pozostałe dzieci nie mają pojęcia, co się dzieje. Wygląda na to, że wasza ukochana Cate, zanim ją zabrano, zdążyła ostrzec tylko jego – ciągnął Clancy.

Z jakiegoś powodu te słowa były najtrudniejsze do przełknięcia.

– Dokąd ją zabrali? Gadaj, pieprzony gnoju, albo rozkwaszę ci... – gorączkowała się Vida.

– Czemu wybrali taką porę? – zapytał Pulpet, ciągle usiłując okiełznać Vidę.

– Bo to pierwszy dzień Bożego Narodzenia – powiedział Clancy, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem. – Dzień żałosnego szczytu pokojowego, który organizuje mój ojciec. Liga chce ukraść dla siebie trochę światła reflektorów i podważyć wszystko, na co Koalicja Federalna będzie musiała się zgodzić.

*Nie. To nieprawda*, zaklinałam w myślach, jakbym mogła w ten sposób coś zmienić. Jakby ta cicha modlitwa była w stanie przepędzić przerażenie wpełzające w każdą komórkę mojego ciała.

– Nie uda się wam dotrzeć tam na czas. – Słowa Clancy’ego ociekały podłością. – Wiecie, ile mnie zajęło znalezienie samolotu i paliwa, żeby tu dotrzeć? Prawie cały tydzień. A później kolejny dzień spędziłem na poszukiwaniu pilota. Nawet jeśli udałoby się wam dojechać do Kalifornii w sześć godzin, i tak musielibyście się jeszcze przedostać przez blokady, które mój ojciec i Koalicja ustawili wzdłuż całej granicy stanu. Życie potrafi być ciężkie, co? Będziecie musieli żyć ze świadomością, że mogliście uratować te dzieci, ale zabrakło wam kilku godzin.

Do tej chwili wierzyłam, że moja nienawiść do Clancy’ego kiedyś w końcu obumrze. Nie zamierzałam mu wybaczyć, ale sądziłam, że przyjdzie taki dzień, kiedy pogodzę się z tym, co się wydarzyło, i zostawię to za sobą. Teraz jednak zrozumiałam, że to nie tak. Nienawiść do niego była jak dym, który z biegiem miesięcy i lat jedynie zmieniał swój kształt i zapach. Dotarło do mnie, że już zawsze będzie mi towarzyszyć i nieustannie rosnąć, przybierać na sile aż do momentu, kiedy ostatecznie mnie udusi.

Nie dałam pozostałym okazji, by powiedzieli, co o tym sądzą. Nie chciałam, by którekolwiek z nich próbowało namówić mnie do zmiany zdania w chwili, gdy w Kalifornii dwadzieścioro dzieci czekało na wyrok śmierci. Nie było na to czasu. Spojrzałam na skulonego przy ścianie Jude’a – ścisnął w rękach kompas, a na jego twarzy malowała się tak głęboka rozpacz, że mało brakowało, a też bym się jej poddała.

Zamiast tego pozwoliłam, by znowu owładnęła mną wściekłość. Trzasnęłam Clancy’ego pistoletem w twarz i pociągnęłam go za kołnierz koszuli. *To jedyny sposób*, mówiłam sobie, kiedy brutalnie zmusiałam go, żeby wstał. Krwawił z nosa i wyglądał, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje.

– Idziemy – syknęłam. – Kupisz nam godziny, których potrzebujemy.

– Czy nikt nie zauważy, że go wzięliśmy? – zapytał Pulpet, kiedy wchodziliśmy po schodkach do niewielkiego samolotu czarterowego.

– Ktoś pewnie się zorientuje – powiedziałam, patrząc na niego przez ramię.

Kiedy Clancy w końcu wyznał, że w miasteczku znajduje się lotnisko, na którym zresztą

sam wcześniej wylądował, miałam ochotę wybuchnąć szczerym, głośnym śmiechem. Na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że obsługiwano tu tylko prywatne samoloty, ale nagle zobaczyłam potężną maszynę transportową wyjeżdżającą na pas startowy. Na chwilę ogarnął mnie strach, że oto ucieka nam sprzed nosa ostatnia szansa.

Oczywiście zupełnie niepotrzebnie się bałam. Czemu Clancy miałby podróżować jak zwykli śmiertelnicy, skoro potrafił wyłudzić wszystko od każdego?

Samolot był absurdalnie piękny. Przyznaję, że na widok puszystych dywanów i wygodnych beżowych kanap zaparło mi dech. Z każdej strony znajdowały się owalne okna, które wpuszczały do środka ciepłe, miękkie światło. Tylną ścianę oraz boczne panele wyłożono błyszczącą, drogą drewnopodobną okleiną, a za ośmioma rzędami skórzanych foteli, pomiędzy dwoma łazienkami, znajdował się w pełni wyposażony barek.

– Komu go ukradłeś? – zapytałam Clancy’ego, wbijając mu pistolet w łędźwie i popychając go do przodu.

– A jakie to ma znaczenie? – warknął i usiadł na najbliższym miejscu, po czym uniósł skrzepowane ręce, kiwając głową w stronę plastikowego zacisku, który pochodził z zapasów Pulpeta. – Możecie mi to zdjąć?

– Czy ten gość da sobie radę? – Wskazałam kciukiem na pilota.

W większości przypadków, kiedy wnikałam do czyjejś głowy, ludzie ledwie pamiętali własne imię, o kierowaniu skomplikowaną maszyną nawet nie wspominając.

Clancy zaplótł ręce na piersi.

– Za każdym razem, kiedy na nas patrzy, widzi sześcioro podróżujących w interesach dorosłych, którzy godziwie wynagrodzili mu tę fatygę... Nie ma za co.

Liam wszedł do samolotu jako ostatni i mijając mnie, złapał moje spojrzenie.

– Kiedy go wysadzimy? – zapytał. Odezwał się pierwszy raz, odkąd wyszliśmy z restauracji.

Aż do tej chwili nie byłam w stanie spojrzeć mu w twarz, bojąc się rozczarowania, które byłam pewna na niej zobaczyć. Jeślibym mu pozwoliła, Liam starałby się mnie odwieść od tego pomysłu. Ja zresztą nie pozostałabym mu dłużna i usiłowałabym zrobić wszystko, by on i Pulpet zostali w Kolorado i trzymali się z dala od samolotu.

Oboje wiedzieliśmy jednak, że dyskusje nie miały najmniejszego sensu.

– Może w połowie drogi? Nad pustynią? – rzucił Pulpet z nadzieją w głosie.

Vida ubiegła Liama i wsunęła się na miejsce obok mnie.

– Nie pozbędziemy się go tak od razu, prawda?

Dokładnie wiedziałam, o czym myśli. Liga wpoila nam pewne zasady postępowania z cennymi jeńcami. Należało sprowadzić ich do Bazy, wycisnąć z nich jak najwięcej informacji, a następnie wymienić na coś lepszego. Potrząsnęłam głową, starając się nie uśmiechać na widok paniki, która pojawiła się w ciemnych oczach Clancy’ego.

– Nie, nie od razu – odparłam.

Spojrzenie, jakim obrzucił mnie Clancy, zmroziło mi krew. Ale co on mógł? Nic, czego nie potrafiłabym obrócić przeciwko niemu z pięciokrotnie większą siłą.

Widziałam, że Pulpet chce zapytać, co mamy na myśli, ale przerwał mu głos pilota oznajmiający, że jesteśmy gotowi do startu.

Rozluźniłam zaciśnięte na broni palce, dopiero kiedy byliśmy już wysoko, szybując nad poszarpanymi szczytami Gór Skalistych. Pulpet najpierw uraczył nas porcją informacji o tym, że małe samoloty rozbijają się znacznie częściej niż duże, po czym kiedy tylko wzbiliśmy się w powietrze, zasnął. Obserwowałam przez ramię, jak powoli przechyla się na prawo, a za chwilę gwałtownie się budzi i poprawia. Pozostali rozłożyli fotele na płasko albo kulili się na nich

przykryci kocami, które znaleźliśmy w jednym ze schowków na pokładzie.

Clancy odpiął pas i wstał.

– Dokąd to? – zapytałam.

– Do łazienki. A co, chcesz iść ze mną? – burknął.

Zignorowałam tę uwagę i ruszyłam za nim na tyły kabiny, a kiedy zamykał za sobą drzwi, rzuciłam mu wymowne spojrzenie.

Oparłam się o szafki z napojami i naczyniami, po czym omiotłam wzrokiem Liama, Vidę i Pulpeta i zatrzymałam się na siedzącym zaraz obok łazienki Judzie. Do tej pory sądziłam, że zasnął tak jak pozostali, bo był zupełnie cicho.

– Cześć – wyszeptałam.

Wyglądał przez okno, wpatrując się w rozciągający się pod nami bezkres. Kiedy dotknęłam jego ramienia, nawet się nie poruszył. Jude, który nienawidził ciszy, bo skrywała w sobie cienie z przeszłości, nie odezwał się ani słowem.

Usiadłam na podłokietniku jego fotela, rzucając pospieszne spojrzenie Liamowi i Pulpetowi, by upewnić się, że śpią. Znałam już zmartwione, przerażone i podekscytowane oblicze mojego przyjaciela, ale w takim stanie nie widziałam go nigdy.

– Odezwij się – poprosiłam.

Na moje słowa z oczu trysnęły mu łzy.

– Hej! Wiem, że na razie nic na to nie wskazuje, ale wszystko będzie dobrze – powiedziałam, chwytając go za ramiona.

Zabrało mi kilka dobrych minut, żeby go uspokoić i przekonać, by się wyprostował. Na twarzy pojawiły mu się czerwone plamy i ciągle ciekło mu z nosa, który wytarł w rękaw kurtki.

– Powinienem być tam z nimi. Może wtedy... Może mógłbym jakoś pomóc Cate i Albanowi. Nie było mnie, kiedy tego potrzebowali.

– I dzięki Bogu. W przeciwnym razie podzieliłbyś ich los. Zamknęliby cię...

*Albo zabili*, dopowiedziałam w duchu i na samą tę myśl dostałam dreszczy.

Objęłam go ramieniem i nagle coś w nim pękło – Jude wtulił się we mnie, łkając.

– O Boże. Jak można być tak podłym... – szlochał. – Strasznie się boję, że Cate też nie żyje. Że zabili wszystkich. I tak jak w przypadku Blake’a to znowu moja wina. Czy którakolwiek z tych rzeczy by się wydarzyła, gdybym nie był taki głupi? Gdyby Rob i Jarvin nie przyłapali nas na podsłuchiowaniu?

Wypuściłam oddech, który nieświadomie wstrzymywałam, i pogładziłam go po ramieniu.

– To nie twoja wina. Za nic nie jesteś odpowiedzialny. Nie masz wpływu na działania innych bez względu na to, czy są dobre, czy złe. Każdy dokonuje własnych wyborów, by przetrwać.

Pokiwał głową, wycierając oczy grzbietem dłoni. Przez długą chwilę jedynym dźwiękiem, który nas dobiegał, był pomruk silników i rytmiczne chrapanie Pulpeta.

– Ale może na coś bym się przydał. Mogłem pomóc im walczyć albo... – wyszeptał Jude.

Wesłam mu w słowo:

– Nie. Przykro mi. Rozumiem twój żal i dobre chęci, ale niepotrzebnie się torturujesz. Nie ma sensu gdybać o tym, co mogłeś albo powinienesz być zrobić, bo nic już tego nie zmieni. Pamiętaj, że nie wolno ci ryzykować życia. To twój najcenniejszy skarb, rozumiesz?

Skinął potakująco głową, ale się nie odezwał. Miałam jednak wrażenie, że udało mi się go trochę uspokoić.

– To po prostu niesprawiedliwe – powiedział po chwili.

– Życie nie jest sprawiedliwe. Zajęło mi trochę czasu, zanim to zrozumiałam, ale okazuje się, że los zawsze znajdzie sposób, żeby cię rozczarować. Możesz snuć plany, a życie i tak pchnie

cię w przeciwnym kierunku. Znajdziesz prawdziwych przyjaciół, a i tak zostaną ci zabrani, nieważne, jak mocno będziesz walczyć, by ich zatrzymać. Kiedy po coś sięgniesz, to się sparzysz. Nie doszukuj się w tym sensu i nie próbuj tego zmieniać. Musisz pogodzić się z rzeczami, na które nie masz wpływu, i postarać się przeżyć. To twoje jedyne zadanie.

Pokiwał głową. Poczekalam, aż weźmie głęboki wdech i trochę się uspokoi, po czym wstałam i zmierzwiłam mu niesforną czuprynę. Spodziewałam się, że zaprotestuje albo odepchnie moją dłoń, ale zamiast tego nakrył ją swoją.

– Ruby... – zaczął. Miał ściągniętą twarz, na której bardziej niż smutek malowało się teraz zmęczenie. – Jeśli nie możemy niczego zmienić, to jaki to wszystko ma sens?

Chwyciłam go za rękę i mocno zacisnęłam palce.

– Nie wiem, ale jak to odkryję, tobie pierwszemu o tym powiem.

Nie sądziłam, że widok chaotycznej płataniny nierównych dróg Kalifornii aż tak bardzo mnie ucieszy. Jechaliśmy w kierunku błyszczących wieżowców centrum Los Angeles. Samochód podskakiwał na wielkich wybojach, a znajomy smród spalin przedostający się do jego wnętrza przez wywietrzniki przyćmiewał nawet nieprzyjemny zapach nowości unoszący się ze skórzanych siedzeń. Nie miało to jednak dla nas większego znaczenia.

Kiedy wylądowaliśmy, na pasie lotniska czekała na nas duża czarna terenówka i ubrany w garnitur i ciemne okulary mężczyzna. Uwolniłam Clancy'emu ręce, żeby mógł przejąć od nieznajomego kluczyki, ale cały czas trzymałam go na muszce, na wypadek gdyby coś kombinował. Przebywaliśmy z daleka od ludzi już od tak dawna, że Jude wyraźnie się wzdrygnął, kiedy mężczyzna przeszedł obok niego.

– Musimy opracować jakiś plan – powiedziałam, gdy ujechaliśmy już spory kawałek od lotniska.

Minęła dziewiętnasta. W normalnych warunkach w Bazie rozpoczynałyby się właśnie pierwsze z dwóch wieczornych zajęć. Dwie godziny po szkoleniach nastąpiłaby obowiązkowa cisza nocna dla najmłodszych, a po kolejnej godzinie również agenci musieliby wrócić do swoich sypialni. Doszłam do wniosku, że najłatwiej będzie uwolnić dzieci, jeśli wszystkie zostaną zgromadzone w jednym miejscu, na przykład w sypialniach na drugim poziomie, ale przypomniałam sobie, że w każdym kącie sterczy tam kamera.

Nasz plan opierał się głównie na gdybaniu. *Gdyby udało się nam zejść tak daleko, to... Gdybyśmy znaleźli wejście... Gdybyśmy zdołali minąć strażników...*

– Najgorsze, że nie wiemy, jakie panują tam teraz zasady – dodałam. – Czy Nico coś o tym wspomniał? Halo! – Chwyciłam Clancy'ego za podarty kołnierzyk koszuli. – Zadałam ci pytanie.

Clancy zazgrzytał zębami.

– Nie odpisał mi na kilka ostatnich wiadomości. Podejrzewam, że agenci skonfiskowali komunikatory, żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się plotek.

– Wszystko po staremu – rzuciła z przekonaniem Vida zza kierownicy. – Pewnie nie chcą, by dzieci się dowiedziały, że obalili Albana. Mogłoby to wywołać falę paniki. Jestem pewna, że dzieci nie wiedzą o spisku.

– Jakim cudem zamierzają obwiązać je materiałami wybuchowymi, nie wzbudzając ich podejrzeń? – zapytał Liam. – Jeśli coś takiego zrobiliby mnie, chyba bym się domyślił.

– To akurat jest najłatwiejsze – odparł Clancy. – Trzeba podzielić dzieci na małe, dwu–trzyosobowe grupki, wszyć materiały wybuchowe w podszewki ich kurtek, a potem zdalnie je zdetonować. Sztuczka polega na tym, żeby dzieciaki dostały kurtki przed samym finałem akcji. – Powiedział to zupełnie normalnie, bez cienia obrzydzenia, jakby w głębi duszy podziwiał ten plan.

– Oznacza to, że czas przygotowania w Bazie będzie bardzo krótki. Jeśli zamierzają wyprowadzić dzieci o szóstej, obudzą je o piątej... – myślałam na głos, patrząc na Vidę. – Lepiej będzie, jeśli wejdziemy o trzeciej czy o czwartej?

– Wystarczy o czwartej – odpowiedziała.

– O czwartej? – Clancy wyglądał tak, jakby to była najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszał. – Widzę, że bardzo chcecie dać się złapać.

– Przymusowe przerwy w dostawie prądu – wyjaśniłam pozostałym. – Kalifornia usiłuje w ten sposób oszczędzać energię. W naszej okolicy dzieje się tak co noc między trzecią a piątą



nad ranem. Zapasowy generator prądu zasila wprawdzie system alarmowy i kamery, ale korytarze będą pogrążone w ciemności.

– Kiedy znajdziemy się w środku, mogę się zająć unieszkodliwieniem monitoringu – powiedziała Vida. – Dzięki temu nie będziemy musieli odcinać prądu. Jak myślisz, jak długo zajmie nam przejście tunelem, o którym mówiłaś?

– Nie wiem. Sama nigdy tamtędy nie szłam, jedynie widziałam, jak wprowadzają i wyprowadzają przez niego ludzi.

– O czym wy mówicie i czemu ja nic o tym nie wiem? – zapytał Jude.

Spuściłam oczy, ale starałam się, by mój głos brzmiał normalnie.

– To korytarz, którym wprowadzają zdrajców i ważnych jeńców na przesłuchania. A po wszystkim również tamtędy ich wyprowadzają.

– Jasna cholera, czyli naprawdę kazali ci torturować ludzi? – Vida wydawała się zaskoczona i zaciekawiona. Tak jak Clancy. – Gdzie to jest?

– Nie torturowałam – zaprotestowałam niemrawo. – Przesłuchiwałam ich. Agresywnie.

Liam wpatrywał się w coś za oknem, ale czułam, że musi się powstrzymywać, żeby nie wybuchnąć.

– Chodzi o te wiecznie zamknięte drzwi na poziomie trzecim, prawda? Zaraz obok sali komputerowej? – zapytał Jude.

– Tak. Alban powiedział mi kiedyś, że korytarz odchodzący od tego pomieszczenia z drugiej strony prowadzi do wyjścia w okolicach Seventh Street Bridge za rzeką – powiedziałam. – Jeśli spiskowcy uwięzili jakichś agentów albo chcą ukryć dowody swoich zbrodni, na pewno trzymają je w tym pokoju.

– Dobrze, ale pomijając fakt, że wiemy o istnieniu tej sali tortur, skąd mamy mieć pewność, że nie zablokowali wszystkich wejść? – rzucił Liam.

– Czemu cały czas używacie liczby mnogiej? – wtrącił się Clancy. – Chyba nie myślicie, że wejść z wami do tej dziury?

– Przykro mi, ale ty akurat jako jedyny z nas nie masz w tej sytuacji wyboru – wypaliłam. – Chcesz wiedzieć, co się dzieje w Lidze? Masz ochotę pogadać ze swoim starym kumplem Nico? Zapraszam na przedstawienie. Dostaniesz miejsce w pierwszym rzędzie.

Clancy pewnie podejrzewał, że do tego dojdzie, bo nie wyglądał na wystraszonego. Może mimo wszystko ciągle nie wierzył, że podam go Lidze na tacy i pozwolę agentom się nim zająć. Może przeczuwał, że jeśli zajdzie taka potrzeba, wymienię go za dzieci, które Jarvin przeznaczył na śmierć. Byłam pewna, że jeśli w naszym planie znajdzie się szczelina, Clancy wymyśli sposób, by się przez nią wymknąć.

Oznaczało to, że muszę jeszcze bardziej na niego uważać i wyprzedzać go nie o jeden krok, ale o trzy.

– Co, jeśli zostaniemy wykryci, zanim wyprowadzimy dzieci? – zapytał Pulpet.

– Wtedy będą musiały zrobić to, do czego je szkolono: walczyć – odparłam.

Los Angeles River jest mniej więcej osiemdziesięciokilometrową wstążką betonu, która z prawdziwą rzeką ma niewiele wspólnego. Pewnie w którymś momencie swojego długiego istnienia była zwyczajnym ciekim wodnym. Pewnego dnia jednak ludzie postanowili ujarzmić jej bieg, wtłaczając ją do betonowego kanału, który wije się teraz po przedmieściach Los Angeles między torami kolejowymi.

Podczas jednej z przeprowadzanych przez Ligę operacji Cate powiedziała mi, że kiedyś na dnie rzeki kręcono pościgi samochodowe do filmów, o których nigdy nie słyszałam. Teraz koryto było tak wysuszone jak ziemia w Pueblo w Kolorado i zamiast wody wypełniały je tylko jaskrawe bohomy graffiti i bezdomni włóczędzy szukający miejsca na nocleg. Jeśli już padał

deszcz, co na południu Kalifornii zdarzało się niezwykle rzadko, przez kanały burzowe wpadały tu najróżniejsze rzeczy: wózki na zakupy, worki na śmieci, sflaczałe piłki do koszykówki, wypchane zwierzęta, a od czasu do czasu czyjeś zwłoki...

– Nic nie widzę – mamrotał Pulpet, podnosząc wyżej latarkę, żebym mogła kolejny raz przyjrzeć się filarom mostu. – Jesteś pewna...?

– Znalazłam! – zawołała do nas Vida z przeciwległego brzegu kanału.

Liam zamachał latarką, żeby pokazać, gdzie stoją. Los Angeles zwykle tonęło w oceanie światła, teraz jednak nie działały nawet latarnie uliczne i widoczność wynosiła zaledwie kilka metrów. Dyskretnie poruszanie się w takiej ciemności przychodziło nam z trudem.

Wzięłam Pulpeta za rękę i pociągnęłam za sobą. Zeszliśmy z pochyłej ściany kanału i wspięliśmy się na jego przeciwny brzeg, zatrzymując się w miejscu, gdzie łukowaty spód mostu dotykał ziemi. Cały czas celowałam strumieniem światła latarki w plecy Clancy'ego, pilnując, by szedł bezpośrednio przede mną.

*Jude, Liam, Vida, Pulpet*, odliczyłam w myślach, sprawdzając, czy nikogo nie brakuje.

– To chyba to. – Vida zrobiła krok w tył, oświetlając ogromne graffiti, na którego środku widniała niebieska gwiazda.

To rodzaj farby zdradzał ukryte wejście – pomalowano je grubszą warstwą, która wciąż wyglądała na klejącą. Znalazłam zamaskowaną klamkę i pchnęłam drzwi ramieniem. Betonowy blok odskoczył i uderzył w wewnętrzną ścianę, krusząc odpadający tynk. Vida, Liam i ja wsunęliśmy do środka głowy, oświetlając latarkami metalową klatkę schodową.

– Ty pierwszy! – Wepchnęłam przed siebie Clancy'ego.

Myślałam, że to niemożliwe, ale znajdujący się przed nami tunel był jeszcze surowszy od tego, którym normalnie wchodziliśmy do Bazy. A na dodatek dziesięć razy dłuższy i obskurniejszy.

Idący przodem Clancy potknął się o coś i cicho zaklął, o mało nie tracąc równowagi. Na początku tunel był na tyle szeroki, że mogliśmy iść obok siebie w trójkę. Stopniowo robił się jednak coraz węższy, tak że w końcu musieliśmy maszerować gęsiego.

Liam szedł za mną – słyszałam, jak wilgotne zjełczałe powietrze ze świstem napęlnia i opuszcza jego płuca, co zaczynało mnie martwić.

Zwolniłam, by mnie dogonił, ale po chwili poczułam, jak popycha mnie do przodu.

– Nic mi nie jest. Idź dalej – rzucił.

W oddali było słychać płynącą wodę, ale muł, po którym stąpaliśmy, musiał zalegać w kanale już bardzo długo, bo zaczynał gnić i twardnieć.

Zastanawiałam się, ilu więźniów wprowadzono tą drogą i ile ciał nią wyniesiono. Staralam się uspokoić i opanować chęć skierowania latarki w dół i sprawdzenia, czy woda jest tak czerwona, jak sobie wyobrażałam. Usiłowałam ignorować pojawiające się przed oczami obrazy, w których Jarvin i jego ludzie wynosili tędy Albana, Cate i Cole'a. Odpędzałam wizje otwartych zastygłych oczu moich przełożonych, utkwionych w linii migających na suficie świetlówek.

– Po wszystkim obowiązkowo weźmiemy kąpiel w silnym środku dezynfekującym – zakomenderował Pulpet. – I spalimy ubrania. Próbowiałem zgadnąć, skąd bierze się ten zapach siarki, ale chyba sobie odpuszczę.

– Tak będzie najlepiej – odparł Clancy. Kiedy się odwrócił, światło latarki oświetliło jego trupioblada twarz, na której jeszcze mocniej niż zwykle odznaczały się czarne jak smoła brwi i oczy. – Ile takich tuneli zbudowała Liga?

– Kilka. A co? Już planujesz ucieczkę? – burknęłam.

Clancy prychnął.

- Która godzina?! – zawołałam za siebie.
- Jest 3.53. Widzisz jakieś drzwi? – odezwała się Vida.

*Nie.* Zaczynałam się niepokoić. Nie widziałam końca tunelu. Szliśmy już od blisko półgodziny, a miałam wrażenie, jakbyśmy cały czas tkwili w tym samym miejscu. Ciągłe otaczały nas betonowe ściany, a pod stopami rozlegał się chłupot mułu. Od czasu do czasu któreś z nas oświetlało latarką przemykającego pod ścianą albo chowającego się w jakiejś ciemnej rozpadlinie szczura. Miałam wrażenie, że tunel coraz bardziej wciąga nas w mrok, jakby brał głęboki oddech. Ściany zbliżały się do naszych głów i ramion, tak że po chwili musieliśmy już iść schylieni.

Jak długo jeszcze miało to potrwać? Kolejne pół godziny? Godzinę? Jeśli tak, obawiałam się, że nie starczy nam czasu, by dotrzeć do dzieci i je uwolnić.

– Już niedaleko – wyszeptał Liam, chwytając mnie za rękę i celując latarką przed siebie w miejsce, gdzie ścieżka zaczynała się wznosić ponad poziom mułu. Oświetlił duże metalowe drzwi. – Czy to tu?

Skinęłam głową. Odwróciłam się do pozostałych, czując, jak wypełnia mnie ulga i adrenalina.

– Jesteśmy – powiedziałam łagodnie. – Vida, włącz stoper. Mamy piętnaście minut, potem się wynosimy. Wszyscy pamiętaj, co mają robić?

Jude precyzyjnie się do przodu i podeszedł do elektronicznego zamka, który w tej samej chwili się uruchomił.

Skanowałam wzrokiem otaczające nas ściany w poszukiwaniu kamer, ale nie byłam zbytnio zaskoczona, kiedy żadnej nie znalazłam. Ciekawe. Podejrzywałam, że Alban chciał utrzymywać blok przesłuchań w sekrecie przed wszystkimi poza starszymi agentami i doradcami. Możliwe również, że po prostu przerażała go myśl, iż ktoś mógłby przechwycić nagrania uwieczniające tych, których wtedy przemycano. Zresztą pewnie kierowały nim oba te powody.

*Dzięki Ci, Boże.* Przynajmniej o to nie musieliśmy się martwić.

Wyłączyłam latarkę i w tej samej chwili poczułam na ramieniu dotyk ciepłej dłoni. Odwróciłam się i wpadłam prosto w otwarte ramiona Liama.

Pocałunek skończył się, zanim naprawdę się zaczął. Był tak gwałtowny i niecierpliwy, a przy tym pełen frustracji i namiętności, że serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Zapało mi dech. Liam ujął moją twarz w dłonie i lekko odsunął od niej usta, ale wciąż czułam jego przyspieszony oddech.

Wszystko trwało jedynie ułamek sekundy i zanim się obejrzałam, Liam zaczął się wycofywać, pozwalając, by przestrzeń między nami znowu wypełniła ciemność.

– Zgotuj im piekło, skarbie – zabrzmiął jego niski, szorstki głos.

– I na litość boską, tym razem nie daj się nikomu dźgnąć, ofiaro losu! – dodała Vida.

Gdyby nie dobiegający mnie cichy śmiech Clancy’ego, pewnie bym się uśmiechnęła.

– Jeden fałszywy krok, a nie zawaham się tego użyć – ostrzegłam go, wciskając mu w czaszke pistolet. – Bez mrugnięcia okiem rzucę twoje ścierwo na pożarcie szczurom.

– Rozumiem – odpowiedział swoim niskim, aksamitnym głosem. – A jak będę grzeczny, to też dostanę buziaka?

Pchnęłam go do przodu, trzymając mocno za kołnierzyk jego koszuli.

– Jestem gotowy – powiedział Jude i przyłożył dłoń do elektronicznego zamka, żeby go spalić. – Prowadź.

Powietrze wypełniające blok przesłuchań nie było ani trochę świeższe czy czystsze niż to w tunelu. Kiedy przekroczyłam próg i ruszyłam w dół krótkimi schodami, uderzył mnie znajomy smród wymiocin i fekaliiów. Zrobiło mi się niedobrze. Weszłam do korytarza, od którego

odchodziły liczne drzwi z małymi oknami, cały czas mierząc z pistoletu w znajdujące się na końcu wyjście. Omiotłam otaczającą mnie przestrzeń strumieniem światła i dałam sygnał pozostałym, że przejście jest bezpieczne.

– Jestem zaraz za tobą! – zawołała Vida, doganiając mnie.

Pozostali szli wolniej, zaglądając do cel w poszukiwaniu więźniów.

Kiedy dotarłam do wyjścia, przykucnęłam, puszczejąc kołnierzyk Clancy'ego i machając do Jude'a, żeby się za mną schował. Może odruchowo, a może korzystając z wiadomości, które wpoila mi Liga, otworzyłam drzwi i zanim wysunęłam nos za próg, dokładnie zeskanowałam wzrokiem rozciągający się za nimi kolejny korytarz.

Uszy wypełniało mi łomotanie pulsu, które jeszcze się nasiliło, kiedy przeszłam przez drzwi i pociągnęłam za sobą Jude'a. Gdy doszliśmy do pierwszego zakrętu i ruszyliśmy w górę schodami, Vida się od nas oddzieliła.

*Jeden poziom – pomyślałam. – Piąte drzwi po prawej. To Vida ma trudne zadanie, nie ty. Ty masz jedynie wyjść jeden poziom w górę. Ona musi pokonać dwa, żeby dostać się do pomieszczenia z monitoringiem. Jeden poziom, piąte drzwi po prawej.*

Po mojej lewej stronie rozległ się głośny grzechot. Zatrzymałam się gwałtownie i sekundę później Jude wpadł mi na plecy. Serce podeszło mi do gardła, kiedy znowu spojrzałam na idącego przodem Clancy'ego, który rozpyływał się w wątlm świetle. Podbiegłam, żeby go dogonić, i pchnęłam naprzód.

Korytarz skręcał w kierunku kolejnej klatki schodowej. Przez brak jednostajnego szumu dochodzącego z sali komputerowej miałam wrażenie, że jestem w tym miejscu po raz pierwszy. Nie zdziwiło mnie więc to, że zupełnie nie poznałam nieprzyjaznej postaci, która czekała na nas za drzwiami prowadzącymi na kolejny poziom.

Liga miała dziesiątki agentów w bazie w Georgii i jeszcze więcej w Kansas. Powinnam była się domyślić, że Jarvin postara się sprowadzić tu każdego, kto będzie gotowy mu pomóc w usunięciu Albana.

Czułam od tego mężczyzny alkohol i zapach jedzenia. Podejrzewałam, że właśnie udawał się do siedzib agentów na pierwszym poziomie, ale na nasz widok najwyraźniej zupełnie o tym zapomniał. Podskoczył z zaskoczenia i potargane blond włosy opadły mu na oczy, a głupkowaty uśmiech zszedł mu z twarzy, ustępując grymasowi niezadowolenia.

– Czemu, do jasnej cholery, nie jesteście w łózkach? – parsknął, wyciągając rękę w moim kierunku.

Byłam szybsza. Walnęłam go w twarz kolbą pistoletu i wywlekłam na klatkę schodową. Jude złapał drzwi, zanim się zatrzasnęły, i zajął przez szparę do rozciągającego się za nimi korytarza.

Wnikanie do pijanego umysłu poszło mi jak po maśle. Jediną trudnością było odnalezienie tego, czego szukałam, w płataninie myśli, które zdawały się ze sobą zlewać.

– Roo, musimy iść – wyszeptał Jude.

Jeśli to, co wyczytałam z pamięci żołnierza, było prawdą, na tym poziomie znajdowało się więcej agentów – większość w sali chorych, a jeden na pewno stał między drzwiami dwóch dziecięcych sypialni.

Przeciągnęłam unieszkodliwionego agenta na bok, omijając milczącego Clancy'ego, po czym wcisnęłam go w kąt i zabrałam mu nóż, który miał w tylnej kieszeni.

– Trzymaj się blisko mnie. Cały czas – powiedziałam Jude'owi, nie spuszczać oczu z Clancy'ego, który to zniknął, to wyłaniał się z mroku.

Ciągle nie było prądu, więc brnęliśmy niemal po omacku w zalewającej korytarz ciemności – nie włączaliśmy latarek ze względów bezpieczeństwa. Krawędzie podłogi oraz

klamki i elektroniczne zamki oznaczono świecącą w ciemności taśmą, ale światło, które emitowała, było raczej znikome.

Po drodze liczyłam klamki. *Jedna, druga, trzecia... Może jednak się nam uda. Błagam, niech się nam uda.*

Rozpoznałam agentkę, która trzymała wartę przed sypialniami. Nazywała się Andrea Clarkson i była wysoką, chudą jak patyk brunetką o ciemnych oczach. Pasjonowała się walkami na noże, w czym przez lata nikt jej nie dorównał. Jej największym marzeniem było zostać podniesioną do rangi starszej agentki. Po długim czasie starań jej pewność siebie zamieniła się w desperację, a następnie we frustrację, którą mogła odreagowywać jedynie na osobach znajdujących się w hierarchii niżej od niej, czyli na nas. Była przeciwieństwem Cate w bardzo wielu kwestiach, ale dopiero teraz nabrało to dla mnie prawdziwego znaczenia.

– Andrea! Andrea! – zawołałam cicho.

– Chelle? To już? Myślałam, że pobudka jest o piątej – odparła.

Wyczułam nieznaczny ruch w odległości jakichś dwóch metrów po lewej. Nie byłam w stanie spojrzeć jej w oczy, żeby zadziałać na nią na odległość, ale kiedy poczułam przed sobą zapach proszku do prania i delikatne ciepło jej oddechu, wysunęłam rękę i dotknęłam jej klatki piersiowej.

Kazałam jej pogрузić się w głębokim śnie. Wokół rozległ się huk uderzającego o ziemię pistoletu, który wypadł jej z dłoni, ale jej ciało cicho i miękko osunęło się na mnie i dało się ułożyć na podłodze.

Jude wybiegł przede mną do drzwi prowadzących do sypialni chłopców. Ja tymczasem sięgnęłam do klamki obok – tej samej, którą bez namysłu otwierałam przez wiele miesięcy – i weszłam do pokoju dziewcząt, po czym cichutko zamknęłam drzwi za plecami Clancy’ego.

– Pobudka... – powiedziałam, oświetlając latarką najbliższe łóżko piętrowe.

Pomieszczenie nie było duże. Zajmowało je zaledwie dwanaście dziewczynek, chociaż pod ścianą po prawej zawsze stało dodatkowe łóżko, na wypadek gdyby Lidze jakimś cudem udało się zwerbować kolejne dziecko. Piętrowe łóżko należące do mnie i Vidy, które mieściło się w tylnym prawym rogu sypialni, było starannie zaścielone – Vida wygładziła pościel z typową dla siebie wojskową precyzją. Reszta poduszek i kołder też nie była zmięta. Zupełnie jakby...

Jakby nikt tu nie spał.

*Za późno.*

– Nic nie mów – ostrzegłam Clancy’ego. – Ani słowa, do cholery.

Chłopak wpatrywał się w puste materace z kamienną twarzą i milczał.

Kolana lekko się pode mną ugięły, pewnie pod ciężarem serca, które zamieniło się w ołów. *Za późno.*

*Bogu ducha winne dziewczynki... Wszystkie...*

Zaczęłam uderzać nasadami dłoni w czoło. Nie mogłam przestać, czując, jak niemy krzyk podchodzi mi do gardła. *O Boże. Wszystkie.*

*Za późno.*

Gwałtownie otworzyłam drzwi i prowadząc przed sobą Clancy’ego, przeszłam do sypialni chłopców. Obawiałam się, że Jude nie wpadnie na to, żeby zachować ciszę, i obudzi całą Bazę.

W przeciwieństwie do zimnego, ciemnego pokoju dziewcząt ten był wypełniony światłami latarek i naturalnym ludzkim ciepłem unoszącym się z ciał dwudziestu chłopców i dziewczynek, którzy tłoczyli się teraz na łóżkach w ubraniach.

Spojrzałam na ich twarze, po czym utkwiliam wzrok w małej stercie broni zgromadzonej u stóp Jude’a i Nico na środku pomieszczenia.

– O nie! – jęknął Nico. – Co wy tu robicie?

– Przecież ci mówię, że przyszliśmy po was. Co tu się, u licha, dzieje? – gorączkował się Jude.

– Myślałam, że wiesz o planach agentów... O bombach i obozach. Czemu jesteś taki zaskoczony, skoro wiesz, że twój *przyjaciół* o wszystkim nam powiedział?

Clancy rozglądał się po pokoju z obojętnym wyrazem twarzy.

– Oczywiście, że wiem! Przecież przez cały czas porozumiewamy się za pomocą komunikatora! Mielście się trzymać z daleka od Bazy! – odparował Nico. – Przecież kazałem wam poczekać, aż będzie bezpieczniej! Do *jutra*!

– Co to ma znaczyć, do cholery?! Pogrywasz sobie z nami? – Odwróciłam się w kierunku Clancy'ego.

Otoczające mnie twarze wyglądały na całkowicie zdezorientowane.

– Do kogo mówisz? – zapytał Jude, rozglądając się wokół.

– Do niego! A do kogo miałabym mówić? – warknęłam zirytowana, usiłując chwycić Clancy'ego, zanim zdąży się wymknąć.

– Roo... – zaczął Jude, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia. – Nikogo tu nie ma.

– Clancy?

– To on tu jest? Przyjechał z wami? – zapytał Nico.

– Przecież tu stoi! – powiedziałam i sięgnęłam ku jego dłoni. Moje palce jednak przeniknęły przez nią, łapiąc tylko zimne powietrze.

Obraz Clancy'ego zatrzęsł się, zamigotał...

I zniknął.

*Przecież on...* Sparaliżował mnie strach. Nie byłam w stanie dokończyć myśli.

– Nie widziałem, żeby uciekał. Może Vida zabrała go ze sobą, żeby wyłączyć kamery...? Roo, co się dzieje? – pytał Jude.

– Monitoring nie działa od wielu godzin! Włamaliśmy się do sieci! – powiedział Nico.

– Mamy stąd nie wychodzić – dodał jeden z chłopców. – Kazali się nam zgromadzić w jednym pokoju i poczekać, aż wszystko się skończy. Przyszliście za wcześnie.

– Aż co się skończy? Co ma się wydarzyć o szóstej? – dociekał Jude.

Szum krwi wypełniający mi uszy tłumił jego słowa.

Nico odchylił głowę w tył i wziął głęboki, pełen frustracji oddech.

– Cate i reszta mają nas uwolnić.

To musiał być jakiś podstęp.

– Rozumiem... Rozumiem, po prostu... – mamrotałam, usiłując złapać choć jedną z przebiegających mi przez głowę myśli.

Przecież Clancy był ze mną w tunelu. Na pewno. Nie miałam wątpliwości, że wszedł razem z nami. Jeśli chciał uciec, czemu nie zrobił tego wcześniej? Wiedziałam, że potrafi wpłynąć na umysły wielu osób naraz, więc tak naprawdę mógł nas oszukać i w ogóle nie wysiąść z samolotu. Ale przecież wysiadł. Osobiście ciągnęłam go za sobą, kiedy schodziliśmy ze schodów, a pchając go do tunelu, czułam jego przyspieszający puls. Czemu wtedy nie uciekł? Przecież na zewnątrz też panowała zupełna ciemność...

– Co teraz? – zapytał Jude.

Musielimy znaleźć Clancy'ego i go tu ściągnąć przed powrotem Cate i pozostałych.

– Nie możecie stąd wyjść... Tylko tu jest bezpiecznie – odezwał się Nico.

*Znowu dałam mu się ograć.*

– Ruby! Roo! – Jude chwycił mnie za ramię i obrócił do siebie, wytrącając z odrętwienia.

Patrzyłam na jego rozczochrane włosy, błyszczące oczy i zlewające się ze sobą piegi wyglądające jak punkty na mapie, którą dopiero niedawno nauczyłam się czytać. Był poruszony, ale się nie bał, co bardzo ratowało sytuację.

– Leć na dół i sprowadź tu Pulpeta i Liama. Ale jeśli zauważysz coś podejrzanego, od razu wracaj. Zrozumiano?

Jude pospieszenie pokiwał głową.

– Vida będzie tu za kilka minut – oznajmiłam pozostałym, podejrzewając, że moja towarzyszka niedoli wpadnie w dziki szal, kiedy się dowie, że wysłałam ją na górę na darmo. – Kiedy cała czwórka wróci, zabarykadujcie drzwi łózkami i nikogo nie wpuszczajcie.

– A co z tobą? – zapytał Nico.

– Ja muszę się zająć twoim *przyjacielem* – odparłam z nadzieją, że ton mojego głosu da mu dobitnie do zrozumienia, że bagno, w które wdepnęliśmy, jest wynikiem jego zdrady.

– Powinienem iść z tobą... On tu jest? Naprawdę? – wyszeptał chłopiec.

Dobrze znałam te szeroko otwarte oczy wypełnione szczerym uwielbieniem. Widziałam to spojrzenie setki, a może nawet tysiące razy w East River u tych, którzy nie zdawali sobie sprawy, że pod skórą Clancy ma śliskie łuski, albo byli tak wykolejeni, że im to nie przeszkadzało. Pomyślałam o Olivii, o tym, jak chwytała się za gardło, kiedy wypowiadała jego imię. Pielęgnowałam w sobie złość na Nico od chwili, gdy się dowiedziałam, że przez cały czas wyjawiał nasze sekrety. Karmiłam ją przykrymi myślami i obiecywałam sobie, że już nigdy mu nie wybaczę. Ale kiedy teraz na niego patrzyłam, wszystko ze mnie uleciało. Ból serca stłumił wściekłość i zdałam sobie sprawę, jak bardzo pokiereszowane jest stojące przede mną dziecko. Jego paranoje, nerwowe wiercenie się i ciche dni nie wzięły się znikąd. To oczywiste, że Clancy był jego bohaterem. Wyciągnął go z piekła przewyższającego najgorsze koszmary.

– Czy Clancy wypytывał cię ostatnio o Bazę? O jakieś szczególne akta albo osoby? – zapytałam.

Nico zrobił taką minę, że zaczynałam się coraz bardziej obawiać, że jego lojalność w stosunku do przyjaciela przyćmi wątpliwości wzbudzone faktem, że Clancy beczelnie nas okłamał i sprowadził do Bazy mimo ostrzeżeń.

– Przekazał mi listę słów i osób, które miałem odnaleźć. Było ich bardzo dużo... – odezwał się w końcu. – Kilka tygodni temu trafiłem w systemie na jednego z poszukiwanych.

Agenta o kryptonimie Profesor.

Wyprostowałam się.

– Jesteś pewien?

– Tak. Przeprowadzał jakieś badanie w naszej bazie w Georgii. Parę tygodni temu informacje o tym pojawiły się nagle na tajnych serwerach. Podejrzewam, że Clancy wie, kto to jest, bo zażądał współrzędnych tej bazy.

Przypomniałam sobie słowa doradcy Albana, które kiedyś podsłuchałam. Mówił o problemach z Profesorem w Georgii... I o projekcie o kryptonimie Śnieżycy.

– Czy wypytywał cię też o naszą Bazę? – Nie odpuszczałam.

– Pytał o tunele i przerwy w dostawie prądu – powiedział powoli Nico.

– Co jeszcze? Czemu chciał wiedzieć, kiedy odcinają prąd? – Byłam świadoma uciekającego czasu, nawet jeśli Nico zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Dopytywał, czy na ten czas elektroniczne zamki i skanery siatkówki przestają działać...

Obróciłam się na pięcie, odpychając Jude'a, po czym otworzyłam drzwi i wypadłam na korytarz. Przed oczami próbującymi znów przyzwyczaić się do ciemności pojawiły mi się plamy. Biegnać, liczyłam mijane klamki. Trzymałam się zewnętrznej krawędzi zakrętu, jednym okiem skanując ciemne okna sali chorych po prawej – miały zaciągnięte zasłony, przez które nie przenikało nawet miganie urządzeń medycznych.

Jedynym źródłem światła na całym drugim poziomie była latarka, którą Clancy trzymał między zębami, przegrzebując szuflady z aktami w biurze Albana.

Wszystkie elektroniczne zamki i skanery siatkówki *działały* zasilane przez zapasowe generatory prądu. W normalnych warunkach, gdyby wisiały przymocowane do drzwi, nawet Clancy nie dałby im rady. Ktoś jednak użył albo siekiery, albo materiałów wybuchowych i roztrzaskał je w drobny mak.

Pchnęłam drzwi i wślizgnęłam się do środka, wyciągając pistolet zza paska džinsów.

Clancy wysunął opasłą czerwoną teczkę spomiędzy setek innych, wydając z siebie cichy pomruk triumfu. Następnie zaczął ją pospiesznie wertować, równocześnie odwracając się do biurka Albana, które ktoś przewrócił na bok – zapewne podczas przetrząsania tego miejsca. Clancy przytrzymał sobie teczkę jedną nogą, dzięki czemu mógł chwycić latarkę wolną ręką. Na jego twarzy malowała się taka ekscytacja, że skrzyknęło mnie ze strachu.

– Znalazłeś to, czego szukałeś?

Gwałtownie podniósł głowę i równocześnie zsunął teczkę z biurka do metalowego kosza na śmieci. Wbił oczy w lufę mojego pistoletu i przez chwilę złość walczyła na jego twarzy ze zdenerwowaniem, ale w końcu pojawił się na niej szeroki uśmiech.

– Znalazłem, ale... Czy ty przypadkiem nie masz teraz ważniejszych rzeczy na głowie? – Jego głos wił się wokół mnie jak dym. – Nie musisz się zająć bardziej istotnymi ludźmi?

Pochylił głowę w kierunku przeciwległej ściany i zanim zdążyłam się odwrócić, poczułam otaczający mnie ze wszystkich stron metaliczny zapach ciepłej, lepkiej krwi. Po chwili przed oczami wyrósł mi obraz zwiniętego w kłębek Pulpeta. Liam pochylał się nad nim z twarzą białą jak śnieg, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami, które z jasnoniebieskich zmieniły się w matowoszare. Okrywał przyjaciela ramieniem, jakby chciał go osłonić, a jego dłonie – te same, które tak delikatnie ujęły wcześniej moją twarz – leżały w ciemnej kałuży krwi, rozlewającej się po betonowej podłodze.

Pistolet wysunął mi się z dłoni.

Clancy obszedł biurko Albana, patrząc na mnie z lekkim uśmiechem, i wrzucił do kosza coś, co wyglądało jak zapalniczka.

*To nie jest prawda* – tłumaczyłam sobie. – *Oni nie są prawdziwi.* Przewyciężyłam opór



i ponownie zerknęłam na podłogę, by przyjrzeć się tej scenie dokładniej, nie zważając na to, jak bardzo była przerażająca.

Zauważyłam, że okulary Pulpeta miały złote oprawki zamiast srebrnych, a włosy Liama były dłuższe niż ostatnio – Clancy najwyraźniej nie przyjrzał się też dokładnie temu, jak kręca się na końcach.

Patrzyłam na niemal idealne kopie swoich przyjaciół. Ale to nie byli oni.

Nie zareagowałam, kiedy Clancy się do mnie zbliżył. Przez kilka sekund pozwoliłam mu myśleć, że jestem tak pogrążona w rozpacz, że uda mu się przemknąć obok mnie niepostrzeżenie. Wydawał z siebie niskie gardłowe pomruki i stał tak blisko, że czułam jego ciepły oddech na policzku – wystarczająco blisko, bym mogła walnąć go w gardło.

Wysunęłam cios i jednocześnie zaatakowałam mackami umysłu, dżgając go jak nożem i rozrywając stworzony przez niego obraz Pulpeta i Liama. Clancy wytoczył się na korytarz, chwytając się za głowę i walcząc o oddech. Przez połączenie, które pojawiło się między nami, znów przefiltrował się obraz kobiety w białym fartuchu, ale tym razem odepchnęłam to wspomnienie. Spostrzegłam, że z kosza na śmieci unosi się strużka dymu. Przewróciłam go więc, rozsypując po podłodze płonące kartki papieru, po czym zaczęłam je deptać, próbując zdusić ogień – jeśli młody Gray chciał się pozbyć tych materiałów, musiałam je zobaczyć.

– Niech cię szlag – sapał Clancy.

Kiedy wyszłam do niego na korytarz, zaczerpnął głęboki haust powietrza i upadł na kolana. Nasze umysły łączyła coraz cieńsza nitka, złapałam ją więc, zanim zupełnie ją przerwał, i sprawiłam, żeby ogarnęło go wrażenie gorąca. Nie widziałam go w ciemności, ale słyszałam, jak w szale klepie się po ramionach i nogach – tam, gdzie dosięgały go wyobrażone płomienie.

Po chwili jednak przestał.

– Czy ty naprawdę chcesz grać w tę grę? – odezwał się.

Nagle poczułam, że karku dotyka mi zimny metal. Stało się to tak niespodziewanie, że odruchowo założyłam, iż to kolejna ze sztuczek Clancy’ego. To prawda, co mówią – jeśli człowiek jest pozbawiony możliwości korzystania z jednego zmysłu, wszystkie inne niewiarygodnie się wyostwiają. Poczułam ciepły oddech i zapach potu, a do moich uszu dobiegło skrzypienie ciężkich butów. Dopadli nas agenci. Zostaliśmy zdemaskowani.

Clancy odwrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki. Nie widziałam, co się dzieje, usłyszałam jednak trzask, kiedy coś twardego uderzyło go w głowę i posłało jego bezwładne ciało na ziemię.

W ciemności rozległ się głos Jarvina:

– Wiedziałem, że wrócisz. – Zaciśnął mi rękę na karku i pchnął na kolana, wciskając lufę pistoletu w podstawę czaszki. – Rob miał rację, mówiąc, że wystarczy tylko poczekać.

Zarówno Jarvin, jak i agent stojący za nim mieli na sobie mundury, które delikatnie odcinały się od otaczającej ich ciemności.

Usłyszałam, że Jarvin odbezpiecza pistolet.

– Nie chcesz tego zrobić – ostrzegłam go, czując, jak macki mojego umysłu ponownie się rozwijają. Byłam spięta, ale się nie bałam. Kontrolowana panika.

– Masz rację. Lepiej zrobię to – odparł i nagle rozległo się ciche kliknięcie, po którym korytarz i moją czaszkę wypełnił Biały Szum.

Okazało się, że człowiek jest jednak w stanie zapomnieć, jak strasznie może cierpieć.

Kilka miesięcy po tym, jak trafiłam do Thurmond, strażnicy zaczęli włączać Biały Szum niemal codziennie. Kiedy wciąż jeszcze istnieli Czerwoni, których trzeba było ujarzmić, oraz wymagający dyscypliny Pomarańczowi, jedno fałszywe spojrzenie wystarczało, żeby żołnierz SSP wysłał sygnał na Wieżę Kontrolną. Stanowiło to nieodłączną część mojego życia i może po

prostu się do tego przyzwyczaiłam, bo po pewnym czasie nie odczuwałam tego już tak intensywnie.

Od tamtej pory minęły jednak długie miesiące i teraz gwałtowny ból skrzył mi żołądek tak mocno, że poczułam mdłości. Zwałam się na ziemię na tyle blisko Clancy'ego, że dostrzegłam krwawiące rozcięcie na jego czole. Przez głowę przebiegały mi różne myśli. Słyszałam głos, który mówił: *Poradzisz sobie z Jarvinem, możesz go zniszczyć. Dasz radę.* Ale nawet on ucichł w miarę narastania Białego Szumu, który spadł na mnie jak fala, przygniatając mi klatkę piersiową.

Trudno w to uwierzyć, ale wszystkie nasze umiejętności i wpływ, jaki potrafiliśmy wywierać na innych, przestały mieć znaczenie. Stały się niczym.

W Thurmond najpierw rozlegały się dwa ostrzegawcze sygnały, a sekundę później z głośników buchał Biały Szum. Niełatwo opisać ten dźwięk. Było to piskliwe brzęczenie, tak ostre i przeraźliwe, że wdercało się w twarde kości czaszki. Przepływało przez nas jak prąd elektryczny, sprawiając, że mięśnie kurczyły się nam spazmatycznie, rozrywane bólem. Człowiek miał wrażenie, że jedyne, co może mu pomóc, to wbicie głowy w ziemię, i miał szczęście, jeśli nie stracił przytomności.

Tym razem mi się nie poszczęściło. Czułam, że odpływam i zapadam się w mrok korytarza. Nie byłam w stanie poruszyć rękami, które przygniatałam sobie tułowiem, i nie czułam nóg. W końcu Jarvin, widząc, że nie mogę nawet podnieść głowy, wyłączył urządzenie. Nie potrafiłam pozbierać myśli, a uszy wypełniało mi dzwonienie. Osuwałam się w ciemność, która wciągnęła mi głowę pod swoją mętną powierzchnię.

Kiedy się ocknęłam, ktoś trzymał mnie za ramię. Słyszałam, jak Jarvin rozmawia z innymi agentami tylko dlatego, że krzyczał.

– Zapalcie te pieprzone światła! Nie obchodzi mnie, co musicie zrobić! Po prostu je włączcie! Coś mi tu nie pasuje! Czy ktoś może mi poświecić, do jasnej cholery?!

W głosie, który mu odpowiedział, pobrzmiwał łagodny południowy akcent.

– Jasne, stary. Będę cię krył.

Rozległ się pojedynczy trzask i w ciemności zabłysł wątył płomyk, rozświetlając wściekłą twarz Cole'a Stewarta.

Na początku myślałam, że zapalił zapalniczkę, ale ogień w jego palcach zaczął rosnąć, aż w końcu ogarnął mu dłoń i ramię, które z rozmachem szybowało teraz w kierunku twarzy Jarvina. Korytarz rozbrzmiał echem krzyków, które wzmagaly się, w miarę jak buchające wokół nas płomienie przybierały na sile. Ogień ogarniał stojących za Jarvinem żołnierzy, zalewając ich falą wrzącego powietrza. Mężczyźni rzucili się w popłochu w dół korytarza, po czym runęli na ziemię. Przesycający powietrze zapach spalonej skóry przyprawił mnie o mdłości.

– To niemożliwe! Jesteś... – odezwał się jeden z agentów.

*Jednym z nas*, dokończyłam w myślach, patrząc zdumiona, jak Cole po raz kolejny kształtuje w dłoni kulę ognia i ciska nią w mężczyznę, który się odezwał. Jak ją roznieca, pozwalając, by objęła ciało wrzeszczącego nieszczęśnika, aż ten zamienił się w ciemną sylwetkę uwięzioną w trawiących mu skórę płomieniach.

*Czerwony.*

*To niemożliwe. Przecież Cole był za stary, nie mógł...*

– Hej! Halo! – Ogień zdążył już zgasnąć, ale dłonie Cole'a ciągle były gorące w dotyku. Chłopak usiłował postawić mnie na nogi, ale nie byłam w stanie się na nich utrzymać. Poczułam, jak delikatnie klepie mnie po twarzy. – Do jasnej cholery, perełko, obudź się. Dasz radę, wiem, że potrafisz.

– Ty... – wybąkałam z trudem. – Ty po prostu...

Z ulgą wypuścił powietrze, które wstrzymywał. Zirytowany przerzucił mnie sobie przez ramię i klepnął mnie w uda.

– Niech to wszyscy diabli, przez ciebie najadłem się strachu. Usłyszałem Biały Szum z końca korytarza i musiałem zaczekać, aż ucichnie. Nie mogłem się zbliżyć. Przepraszam.

Kopniakiem otworzył drzwi do biura Albana i usadowił mnie na ziemi za biurkiem. Następnie wyciągnął z kabury jeden ze swoich pistoletów i wcisnął mi go w zdrętwiałe palce.

Poczułam, jak ujmuję moją twarz w dłonie.

– Nie możesz nikomu o tym powiedzieć, słyszysz? Nikt nie może się dowiedzieć, a już w szczególności Liam, zgoda? Pokiwaj głową.

*Matko, to Lee nie wie? Nikt nie ma o tym pojęcia?*

– Ty, ja, Cate i Alban – dodał Cole, jakby czytał mi w myślach. – A teraz zostało nas tylko troje. Jeśli się wygadasz, czeka mnie koniec.

Pokiwiałam głową.

– Co się z nim stało...? – wymamrotałam, przekrzywając głowę w kierunku korytarza. Cole jęknął.

– Z opresji ratuję tylko damy, faceci muszą sami sobie radzić.

Posłałam mu spojrzenie, z nadzieją, że wyglądam groźnie i że nie robię zeza. Cole westchnął i wstał, opuszczając ramiona tak samo jak Liam, kiedy musiał robić coś, na co nie miał ochoty, po czym zniknął na chwilę. Kiedy wrócił, niósł Clancy'ego – rzucił go obok mnie, nawet nie spojrzawszy mu w twarz.

– Zieloni przysłali nam wiadomość, że jesteście w Bazie, więc postanowiliśmy zacząć imprezę wcześniej – wyjaśnił. – Podejrzewam, że nie mogłaś się doczekać, by mnie zobaczyć, stąd ten pośpiech, co?

Zakaszlałam, próbując wykrztusić to, co zalegało mi w gardle.

– Radzę ci, żebyś na razie tu została – warknął. – Jeśli opuścisz to pomieszczenie, zanim ogłosimy, że droga wolna, własnoręcznie urwę ci łeb!

Kiedy odwrócił się do drzwi, znów sprawiał wrażenie opanowanego i pewnego siebie, a jego ruchy były płynne i zdecydowane.

Nie wiem, ile czasu minęło, zanim dobiegły mnie odgłosy strzelaniny. Pięć minut, dziesięć, a może nawet piętnaście. Kończyny mrowiły mnie i piekły, co znaczyło, że odzyskiwałam czucie – wołałam ból od niemocy. Kiedy w końcu nabrałam wystarczająco dużo siły, podniosłam się na kolana i zaczęłam pchać ciężkie biurko Albana w kierunku drzwi. Wiedziałam, że nie zapewni mi to zbytnej osłony ani nie będzie stanowić wielkiej przeszkody dla kogoś zdesperowanego, żeby wtargnąć do środka, ale musiałam się czymś zająć. Szczerze mówiąc, chciałam też stworzyć namacalną barierę dla samej siebie – znak, który miał mi przypominać, że zanim ruszę na poszukiwanie pozostałych, muszę pozwolić Cole'owi wymieść z budynku zarazę.

*Nikomu nic się nie stało, wszyscy są cali, nic ci nie będzie...* Doczołgałam się z powrotem do szafki z dokumentami, po czym przyciągnęłam kolana do piersi i objęłam je rękami, usiłując zamknąć w sobie uczucia, które z całych sił pragnęły się ze mnie wydostać.

*Nikomu nic się nie stanie.*

Leżący obok mnie Clancy poruszył się i pasemko włosów zasłoniło mu oczy. Choć w East River spędziliśmy ze sobą tyle czasu, nigdy wcześniej nie widziałam go śpiącego – za żadne skarby nie dopuściłby do siebie nikogo, kiedy był tak bezbronny.

Spojrzałam na kosz na śmieci i kartki papieru, które z niego wysypałam. Podeszłam do nich na czworakach, po drodze podnosząc z ziemi latarkę, którą upuścił Clancy. Za drzwiami rozlegało się tyle krzyków, że nie byłam w stanie wyłowić z nich poszczególnych słów.

Odgłosy strzelaniny ucichły i dobiegało mnie teraz jedynie trzaskanie drzwi prowadzących z korytarza na klatkę schodową. Wzięłam głęboki oddech. *Nic im nie będzie, nic ci nie będzie.*

Przesunęłam światło latarki z drzwi na nadpalone kartki, które ułożyłam sobie na kolanach. Jednej czwartej z nich nie dało się odczytać – ogień wypalił wielkie dziury w tekście i zdjęciach. Na kartkach ze spodu sterty widniały wprawdzie smugi sadzy i osmolone plamy, ale były one w dużo lepszym stanie. Znajdowały się na nich tabele i wykresy, zdania zapisane naukowym żargonem, na którym nawet Pulpet połamałby sobie język. Były tam terminy medyczne oraz nazwy leków tak samo skomplikowane jak te z listy, którą Pulpet dał mi w Nashville. Rozpoznawałam jedynie nieliczne słowa z potocznego języka.

**Podmiot A po zabiegu rehabilitacji nie wykazuje żadnych symptomów...**

**Przejawia zachowania pasywne...**

**Wyniki badań pozwalające na wyciągnięcie wniosków wciąż nie są znane...**

Na górze każdej ze stron wydrukowane pogrubionymi czarnymi literami widniały jednak słowa, które rozpoznawałam: PROJEKT ŚNIEŻYCA.

Przerzucałam kolejne kartki, aż w końcu dotarłam do zdjęć... A wśród nich trafiłam na portret kobiety.

Był to jeden z zaskakujących skutków ubocznych spędzenia niemal połowy życia za ogrodzeniem obozu bez dostępu do jakichkolwiek środków przekazu. Miałam wrażenie, że każda twarz, którą zobaczyłam w telewizji albo gazecie, wygląda znajomo, ale nie byłam w stanie przypomnieć sobie nazwiska jej właściciela. To samo czułam właśnie teraz, wpatrując się w blondynkę ze zdjęcia.

Już samo ujęcie było dziwne – kobieta spoglądała ponad ramieniem, ale nie patrzyła bezpośrednio w obiektyw aparatu. W tle widniał ceglany budynek, który w zestawieniu z jej elegancką klasyczną garsonką wydawał się dziwnie obskurny. Na jej twarzy widać było nie tyle strach, ile zdenerwowanie, i przez sekundę zastanawiałam się, czy podejrzewała, że ktoś ją śledzi. Kolejne zdjęcie było mniejsze i trochę podarte – może Alban chciał je zniszczyć, ale nagle zmienił zdanie. Na tej fotografii blondynka siedziała między byłym przywódcą Ligi i prezydentem Grayem, który był wówczas dużo młodszy niż obecnie.

Powoli docierało do mnie, na kogo patrzę. Z wrażenia aż zaparło mi dech.

*Clancy, nie. Błagam, Clancy...*

– A niech mnie – wyszeptalam. Kobieta, którą zobaczyłam w jego myślach, była...  
... pierwszą damą Stanów Zjednoczonych.

Sięgnęłam po pozostałe rozrzucone strony i je pozbierałam. Dokumenty i raporty zupełnie się pomieszały, więc trudno było doszukać się w nich sensu. Zorientowałam się jednak, że widnieją na nich wykresy aktywności mózgów oznaczone u góry starannymi symbolami X.

Przejrzałam wycinki z gazet opisujące działalność dobroczynną Lillian Gray w różnych częściach kraju. Ktoś podkreślił najważniejsze informacje dotyczące jej rodziny: „siostra mieszka w Westchester w stanie Nowy Jork”, „rodzice przeprowadzili się na farmę w Wirginii”, „brat niedawno zmarł”. Zaznaczono też fragmenty opisujące jej edukację, włącznie z doktoratem z neurologii, który obroniła na Harvardzie. Dowiedziałam się również, że pierwsza dama wygłosiła wzruszającą mowę na pogrzebie wiceprezydenta „pośród dymiących zgłiszcz Kapitoli”, a zapytana, czemu rząd zwleka z ponownym obsadzeniem tego stanowiska, odmówiła komentarza.

Ostatni artykuł, który znalazłam, koncentrował się na jej zniknięciu z życia publicznego wkrótce po ataku na Waszyngton. Cytowano w nim prezydenta: „zapewnienie ochrony i bezpieczeństwa żonie jest moją główną troską”, ale nie podano żadnych szczegółów.

Właśnie dlatego stała się legendą. Nie dzięki dziesiątkom odznaczeń, podejmowaniu ważnych osobistości czy rewolucyjnym badaniom w dziedzinie neurologii. Nie dzięki swojemu ukochanemu synowi. Według artykułu z „Time’a” ludzie podejrzewali, że pierwsza dama została zamordowana albo porwana przez wrogi kraj. Sprawa stała się jeszcze bardziej niepokojąca, kiedy Clancy sam zaczął wychodzić na ulice, żeby w imieniu ojca zachwalać obozy rehabilitacyjne, przedstawiając samego siebie jako jeden z pierwszych dowodów na ich skuteczność.

Od tamtego czasu minęło dziesięć lat, a jego matka wciąż nie pokazała się publicznie. Teczka, którą trzymałam w rękach, zawierała fotografie, wyniki badań Lillian Gray oraz... jej odręczne zapiski. Raz po raz zaciskałam i rozluźniałam dłonie, próbując się pozbyć drżenia.

W stercie dokumentów znalazłam trzy kilkulinijkowe listy. Nie miały kopert, ale ciągle kleiły się od czegoś, czym je zabezpieczowano. Nie przyszły pocztą elektroniczną – ktoś musiał wręczyć je byłemu szefowi Ligi osobiście. Na górze każdego z nich Alban wyraźnie wpisał datę, najpewniej dla porządku w papierach. Pierwszy pochodził sprzed pięciu lat i zawierał następującą treść:

*Bez względu na to, co się z nami stało, jeśli chcę go ocalić, muszę się ukryć tam, gdzie mnie nie dosięgnie. Jeśli pomożesz mi zniknąć, ja pomogę Tobie. Proszę Cię, John.*

Kolejny napisano dwa lata później:

*Załączam najświeższe wyniki badań. Jestem bardzo dobrej myśli i wierzę, że to się wkrótce skończy. Powiedz, że go odnalazłeś.*

Ostatni nosił datę zaledwie sprzed dwóch miesięcy:

*Nie zamierzam siedzieć bezczynnie, czekając na Twoją zgodę. Nie tak się umawialiśmy. Wpuszczę dziś do serwerów przeciek o laboratorium. Jeśli do mnie nie przyjdzie, sama zacznę go szukać.*

Spojrzałam na leżącego obok nieprzytomnego Clancy’ego. Obserwowałam, jak jego klatka piersiowa spokojnie unosi się i opada, i poczułam, że robi mi się niedobrze.

– Ty żalosny gnojku – wyszeptalam.

To dlatego tu przyszedł. To właśnie było zadanie, którego nie mógł nikomu zlecić.

Kolejny raz przejrzałam dokumenty, usiłując dokładnie ustalić, nad czym pracowała jego matka. Kiedy zobaczyłam wykresy, zaczęłam nabierać przekonania, że w jakiś sposób dotyczy to odmieńców. Nie rozumiałam jednak, czemu Lillian Gray miałaby prowadzić własne tajne badania nad przyczyną OMNI, kiedy równocześnie robiła to Leda Corporation. W pierwszym liście napisała: „muszę się ukryć tam, gdzie mnie nie dosięgnie” – czy to możliwe, że podejrzewała, iż jej własny mąż sfałszuje wyniki uzyskane przez Ledę i że to zagrozi życiu jej syna?

Ale w takim razie czemu Clancy chciał zniszczyć te papiery? Wróciłam do stron z tabelami i wykresami i zauważyłam, że u dołu każdej z nich widnieją inicjały L.G. Przejrzałam je uważnie jeszcze raz, uważając, by żadnej nie pominąć. Czemu chciał się tego pozbyć? Żeby chronić miejsce pobytu matki? Żeby zniszczyć dowody na to, że dostarczała Albanowi informacji?

Nie potrafiłam poskładać tego w spójną całość. W ostatnim liście donosiła, że „wypuści przeciek o laboratorium” – czy chodziło o jej miejsce pobytu? To zgadzałoby się z tym, co powiedział wcześniej Nico. Przypomniałam sobie, jak mówił, że kryptonim Profesor, którego Clancy kazał mu szukać, kilka miesięcy temu nagle pojawił się w sieci. Wyglądało jednak na to, że pani Gray wypuściła tę informację, dopiero kiedy była gotowa – po ukończeniu projektu Śnieżycy.

Zdałam sobie sprawę, że nie chciała, by Clancy wiedział, nad czym pracuje. Ale w takim razie czemu go szukała? Czemu chciała pozwolić, by ją znalazł, skoro to właśnie przed nim powinna się ukrywać?

Lampy i inne znajdujące się w biurze Albana urządzenia niespodziewanie ożyły, wywołując eksplozję różnych dźwięków i szumów. Skoczyłam na równe nogi w chwili, gdy w głośnikach radia zagrzmięła donośna chóralna wersja znanej bożonarodzeniowej piosenki. Wyciągnęłam przed siebie rękę, by osłonić twarz przed ostrym światłem, i utykając, ruszyłam w stronę odbiornika. Oczy mi łzały i nie byłam w stanie dojrzeć, które z pokręteł odpowiada za głośność, więc zaczęłam kręcić czym popadnie, aż w końcu dźwięk zniżył się do znośnego poziomu. Po ataku Białym Szumem nawet ciche skrobnięcie w drzwi było dla mnie jak huk gromu. Przez długą, okropną minutę zmusiłam się do stania w bezruchu, by pozwolić swoim zmysłom przywyknąć do zalanej światłem rzeczywistości.

Clancy wydał z siebie cichy jęk i zaczął potrząsać głową. W tym samym momencie uświadomiłam sobie, że okno, dzięki któremu mogłam go kontrolować, zatrasnęło się z hukiem.

Rozlegająca się za drzwiami strzelanina ucichła i teraz słyszałam tylko pojedyncze wystrzały dochodzące z piętra nad nami. Założenie, że nasz poziom został już oczyszczony z buntowników, było dość ryzykowne, ale czułam, że muszę działać. Podejrzewałam, że kiedy Cole i pozostali weszli do Bazy, większość agentów znajdowała się w swoich łóżkach na poziomie pierwszym. Tylko nieliczni, wśród nich Jarvin, trzymali wartę.

Założyłam, że korytarz jest czysty, i postanowiłam szybko zejść na dół, by upewnić się, że Liam, Pulpet, Jude i Vida są bezpiecznie zabarykadowani w sypialni chłopców. Nie mogłam jednak zostawić Clancy'ego, zwłaszcza że wszystkie zamki zostały rozbrojone.

Objęłam go mocno od tyłu za klatkę piersiową, niechęć odrywając mu jeden ze złotych guzików od kurtki.

– Jesteś moim największym utrapieniem... – wysapałam, czując, jak ciągną mnie szwy na plecach.

Musiłam go na moment puścić, żeby odsunąć biurko, którym chwilę wcześniej zabarykadowałam drzwi. Kiedy skończyłam, wyjrzałam na korytarz – widok ciała Jarvina i jego agentów tak mną wstrząsnął, że byłam zmuszona wziąć głęboki oddech, by się uspokoić. Poza nimi w korytarzu nie było jednak nikogo. Kiedy wywlekałam Clancy'ego na zewnątrz, do głowy przyszedł mi pomysł, żeby zaciągnąć go do sali chorych. Przez zasłonięte okna było jednak widać, że ktoś w niej jest, a nie chciałam ryzykować kolejnej wpadki. Od korytarza odchodziło wiele drzwi, które w większości były zamknięte na cztery spusty. Zauważyłam jednak, że jeden ze schowków jest otwarty – stojak na broń został opróżniony, w związku z czym było w nim wystarczająco dużo miejsca, by zmieścić człowieka.

Niespodziewanie, dokładnie w chwili, gdy ułożyłam ciało Clancy'ego pod odpowiednim kątem, żeby wcisnąć go w ciasną przestrzeń, ktoś na całe gardło zawołał moje imię.

Odwróciłam się jak rażona piorunem, usiłując wybadać, skąd dochodzi dźwięk. Nagle zobaczyłam Cate, która wyłoniła się z sali chorych. Ściągnęła sobie z ramienia pasek od karabinu, zdarła z twarzy kominiarkę, którą cisnęła na ziemię, i zanim zdążyłam się przygotować, wpadła na mnie i schowała mnie w swoich ciepłych ramionach. Wtuliłam się w nią, wypełniona niespodziewaną ulgą.

– Co ty robisz? – zapytała.

Jej widok wprowił mnie w tak wielkie osłupienie, że powiedziałam jej prawdę:

– Zamykam Clancy'ego Graya w schowku na broń.

Cofnęła się gwałtownie i wbiła wzrok w leżącą na ziemi postać. Po raz pierwszy, odkąd ją znałam, Cate nie zapytała, czy chcę o tym porozmawiać ani jak się czuję. Nie musiałam jej

wyjaśniać, czemu nie możemy zostawić go w sali chorych ani w żadnym z pomieszczeń, z których mógłby się wydostać. Zdawała sobie sprawę, czym jest Clancy i ile jest wart.

– Dobra. Pójdę po klucz – rzuciła.

– Cate – wymamrotałam, chwytając ją za ramię. – Czy już po wszystkim?

Uśmiechnęła się.

– Od dziesięciu minut.

– Naprawdę? – Miałam wrażenie, że mówię cienkim dziecięcym głosem. Czułam się jak pięcioletnia dziewczynka, która zgubiła się w centrum handlowym, ale nagle wśród gąszczy rąk odnalazła dłoń taty. Wiedziałam, że nie powinnam płakać, byłam jednak na skraju wyczerpania i nagle uwolnienie od strachu i bólu sprawiło, że emocje po prostu się ze mnie wylały.

Cate zbliżyła się do mnie i ujęła moją twarz w dłonie. Zdawało mi się, że w otaczającej mnie ciemności w końcu rozblęsnęło światło.

– Wiedziałam, że sobie poradzisz – powiedziała.

Zacisnęłam mocno oczy. Pod powiekami ukazał mi się Biały Namiot. Zobaczyłam, jak Mason bierze swój ostatni oddech. Poczulałam zapach sztywnego skórzanego kagańca. Usłyszałam przeciągły krzyk Roba... Chciałam o wszystkim jej opowiedzieć, wylać to na nią i podzielić się przygniatającym mnie ciężarem. Tyle razy proponowała, że mnie wysłucha, a ja wciąż od nowa się buntowałam i arogancko odrzucałam pomoc. Nawet teraz poczułam, że w piersi rodzi mi się znajomy opór, którym zawsze próbowałam chronić swoje nadwerżone serce.

– Było okropnie – wyszeptałam.

Starła mi z policzka zabłąkaną łzę.

– Ale byłaś silna.

Potrząsnęłam przecząco głową.

– Nie. Byłam... – Jak miałam jej to wyjaśnić, by zrozumiała?

– Vida i Jude twierdzą co innego.

Otworzyłam oczy, szukając w jej twarzy choć cienia fałszu.

– Są cali? – zapytałam.

– Cali i zdrowi – odparła. – I strasznie się o ciebie martwią. Zabiorę cię do nich, ale najpierw musimy się zająć naszym małym problemem. – Skinęła głową w stronę Clancy'ego. – Zgoda?

– Zgoda – powiedziałam, biorąc głęboki, drżący oddech. – Do dzieła.

Cole i Cate zaprowadzili wszystkie dzieci do auli i zamknęli je tam, żeby nie patrzyły na ciała, które powoli wynoszono z mieszkalnej części Bazy i umieszczano w sali chorych. Były to zwłoki agentów, którzy obalili Albana – wszystkich. Z jednej strony wydawało mi się niedorzeczne, że próbują ochronić nas przed tym widokiem, z drugiej jednak byłam im za to wdzięczna.

Odetchnęłam, strąsając z barków napięcie, i sięgnęłam do klamki.

Większość mieszczących się w auli stołów przesunięto pod ściany, żeby zrobić miejsce na prycze. Przy niektórych dzieciach i agentach uwijał się personel medyczny, opatrując skaleczenia i otarcia. W pierwszym odruchu uznałam za absurdalne to, że zamiast zejść do w pełni wyposażonej sali chorych, polegają jedynie na marnych zapasach opatrunków i środków dezynfekujących. Później jednak przypominałam sobie, że pomieszczenie pod nami zostało tymczasowo przekształcone w kostnicę.

– Wszyscy zginęli? – zapytałam cicho.

Na środku sali tłoczyło się dwadzieścioro dzieci, które jadły śniadanie złożone z tego, co udało im się wygrzebać z kuchennych zapasów. Oprócz nich było tu również około czterdziestu ubranych w czarne mundury agentów, którzy w grupkach stali na obwodzie auli. Można się było



spodziewać, że to właśnie oni poprą Cate i Cole'a. Byli to opiekunowie zespołów dzieci z Psi, trenerzy oraz agenci, którzy zawsze rzucali nam tęskne, smutne spojrzenia, kiedy myśleli, że nie patrzymy.

– Polegli ci, którzy nie chcieli ustąpić. – Cate ważyła słowa.

*Czyli wszyscy?*

– Wiem, że pewnie myśleliście, iż cała Liga jest przeciwko wam, ale zabójstwo Albana zszokowało wielu agentów. Nie sprzeciwili się Jarvinowi ze strachu przed zemstą. Nie stawiali oporu, kiedy przeczesywaliśmy sypialnie, więc mogli wybrać, czy chcą z nami zostać, czy odejść.

Nie przestawałam się rozglądać, aż zlokalizowałam wszystkich swoich przyjaciół. Pulpet i Liam stali przed jednym z telewizorów i oglądali transmisję sprzed jakiegoś budynku z białą kopułą. Nieopodal Jude i Vida kucali przed Nico, który wyglądał, jakby z całych sił usiłował zwinąć się w kłębek i zapaść pod ziemię.

Cate podażyła za moim spojrzeniem.

– O tym porozmawiam później.

– O czym? – zabrzmiały wypowiedziane z południowym akcentem słowa Cole'a. –

Czyżby o mojej wspaniałej osobie?

Poczułam opadającą mi na ramię ciężką dłoń. Usiłowałam mu się wyrwać, ale mnie przytrzymał, mierzwiąc mi już i tak rozczochrane włosy. Dobiegający od niego zapach dymu sprawił, że odruchowo się wzdrygnęłam. *Czerwony.*

Psi.

Niemożliwe.

Potałam czoło. Nie mogłam uwierzyć, że przy swoich zdolnościach Cole był zupełnie normalny, podczas gdy Mason zamienił się we wrak człowieka. Owszem, agent Stewart potrafił totalnie rozbroić i dezorientować każdego, ale nie o to mi chodziło. Po prostu wszyscy Czerwoni, których spotkałam w Thurmond, zachowywali się jak dzikie zwierzęta uwięzione we własnej skórze. Nie patrzyli nikomu w twarz i włóczyli się po tym świecie z pustymi spojrzeniami, wsłuchując się we własne myśli, których reszta z nas nie była w stanie pojąć. Od czasu do czasu odzyskiwali świadomość, a twarze wykrzywiał im głód. Zawieszali wtedy wzrok na którymś z dzieci i kąski ich ust unosiły się w kpiącym uśmiechku. Za każdym razem dokładnie wiedzieliśmy, jak to się skończy...

W przeciwieństwie do nich Cole nie tylko potrafił się kontrolować, ale też bardzo się rozwinął.

*Czerwony.*

Cate wymieniła z nim porozumiewawcze spojrzenie.

– Cole wspomniał mi, że... powierzył ci bardzo ważny sekret.

Nie odpowiedziałam – nie dlatego że nie potrafiłam znaleźć słów, ale dlatego że nie mogłam wybrać jednej odpowiedzi spośród tysiąca, które przelewały mi się przez głowę. W końcu odwróciłam się do niego i odparłam:

– Od kiedy o tym wiesz?

– Odkąd skończyłem dwanaście lat. W porównaniu z resztą z was późno się to u mnie objawiło. O mało nie umarłem ze strachu. Mama i Harry podejrzewali, że przemycam do domu zapalki albo zapalniczki i podpalam różne rzeczy, żeby się wyładować. Nie bardzo miałem ochotę o tym rozpowiadać, biorąc pod uwagę ryzyko trafienia do jednego z obozów.

– Czemu nie chcesz powiedzieć Liamowi? Czemu to przed nim ukrywasz? – zapytałam.

Cole zmrużył oczy.

– Mam swoje powody, które nie powinny cię interesować. Pamiętaj, że dałaś mi słowo, że

się nie wygadasz.

– I go dotrzymam – rzuciłam ze złością. Powierzono mi kolejny sekret, który musiałam zachować. Kolejne kłamstwo. – Ale jak to możliwe? Przecież jesteś za stary. Jest was więcej?

Nic dziwnego, że Alban tak go cenił. Choć Cole miał zdolności psioniczne, ze względu na swój wiek mógł się swobodnie poruszać między dorosłymi.

Cate rozglądnęła się wokoło, sprawdzając, czy nikt nas nie podsłuchuje.

– Dużo, dużo mniej niż was. Kilkuset. Ale to nie czas, żeby o tym rozmawiać. Teraz mamy na głowie ważniejsze sprawy – powiedziała.

– Jeśli już o nich mowa – Cole ściszył głos i pochylił głowę – nie wspomniałaś mi, że drugą damą w opałach był syn prezydenta.

– Ciekawe, ile słów ty byś z siebie wydusił, gdyby poszatkowano ci mózg? – parsknęłam.

– Racja – przyznał i spojrzał na Cate. – Damy sobie z nim radę?

– Siedzi zamknięty w schowku B2 – odparła i uniosła brwi, jakby rzucała mu wyzwanie.

– Dobrze, już dobrze. Zajmę się tym później. Nie została tam przypadkiem jakaś broń?

Nie wiem, którą z nas bardziej zirytowało to pytanie, mnie czy Cate.

– Czy razem z moim bratem idiotą przytargałaś też nasz wyczekiwany skarb? – zapytał Cole z ironicznym uśmieszkiem.

Zacząłam się klepać po kieszeniach, szukając małej plastikowej kostki. Nagle poczułam, że nie mogę się doczekać, aż choć na chwilę pozbędę się ciężaru pendrive’a. Z ulgą go oddałam.

Cole spojrzał na Cate i powiedział:

– Jest twój. Zaraz wyjeżdżasz, mam rację?

– Za moment. Muszę poinformować swoje dzieci, dokąd jadę.

– Bo nie będą wiedziały, co ze sobą począć, jeśli zabraknie im nadgorliwej mamusi? – zadrwił.

Na te słowa w końcu mu się wykręciłam, czując, że niebezpiecznie skacze mi ciśnienie. Cole podniósł dłoń i cofnął się o krok.

– Wyluzuj, perełko. Uśmiechnij się. Dziś jest dobry dzień, pamiętasz? Zwyciężyliśmy.

– Dokąd wyjeżdżasz? – zapytałam Cate.

– Razem z kilkoma agentami jedziemy poszukać jakiegoś środka transportu dla nas wszystkich.

– Ale...

– Wrócę za kilka godzin, obiecuję. Pewnie się ze mną zgodzisz, że nie byłoby właściwe zostawać w Bazie po tym, co się tu stało.

– Dokąd się przeniesiemy? Do Kansas? Georgii?

– Roo!

To niesamowite, że udało się nam rozmawiać w spokoju tyle czasu, zanim wyłapał nas radar Jude’a. Chłopiec skoczył na równe nogi i teraz przedzierał się ku nam przez tłum agentów i przerażonych, wstrzymujących płacz dzieci. Kątem oka zobaczyłam, jak Pulpet i Liam się odwracają, ale po chwili cały świat przesłonił mi Jude, który rzucił się na mnie, oplatając pająkowatymi ramionami.

– Ale mnie wystraszyłaś!

Mój jednoosobowy komitet powitalny.

– Ja też się o ciebie martwiłam. Jesteś ranny? – Odwzajemniłam uścisk.

Potrząsnął przecząco głową.

– Znalazłaś go?

– Mówiłam ci, że nic jej nie będzie. – Vida położyła rękę na ramieniu chłopca, usiłując go ode mnie odkleić. – Judytko, spocznij.

Cate wybuchnęła śmiechem, klepiąc Jude'a po plecach.

– Chodźcie do Nico – zaproponowała. – Muszę wam coś powiedzieć.

Na jej słowa Jude zwolnił trochę uścisk.

– On nadal się nie odzywa. Nie mogę wyciągnąć z niego ani słowa. Zupełnie, jakby się zablokował – stwierdził.

Pomachałam im lekko na pożegnanie.

Usłyszałam, że Cole westchnął, i zobaczyłam, jak cały się spina i prostuje. Znów wyglądał na opanowanego. Miałam wrażenie, że nawet twarz mu tężeje. Odepchnął się od ściany, o którą się opierał, po czym bez słowa ruszył do przodu, rzucając mi przez ramię ostatnie ostrzegawcze spojrzenie.

Mijając Liama, nawet na niego nie spojrzał, a brat odwzajemnił mu się tym samym – przeszli obok siebie zupełnie obojętni. Napotkałam spojrzenie Pulpeta, które wyraźnie dawało mi do zrozumienia, że o wszystkim opowie mi później.

*Żyją, żyją, żyją, żyją.* Serce podskakiwało mi z radości. Pozwoliłam, by zatruta wizja, którą roztoczył przede mną Clancy, ulotniła się z mojej wyobraźni, zostawiając jedynie lśniąca jasność. Zaparło mi dech. *Żyją.* To nic, że mieli brudne twarze. To nic, że rana na brodzie Liama znowu się otworzyła, a Pulpet miał zbite szkiełko w okularach.

Najważniejsze, że żyli.

Stali przede mną ze splecionymi na piersiach ramionami i identycznymi pełnymi dezaprobaty wyrazami twarzy.

– Nic wam nie jest? – zapytałam, widząc, że żaden z nich nie ma zamiaru odezwać się pierwszy.

– A tobie? – wypalił Liam. – Co ty sobie myślałaś? Jak mogłaś tak po prostu za nim pójść?

Zjeżyłam się, słysząc jego ton.

– Podejrzewałam, że pozwolił mi się tu zaciągnąć, bo miał ku temu powód. I się nie pomyliłam. – Sięgnęłam do kieszeni i wyłowiłam zdjęcie pochodzące z teczki Albana.

Pulpet z daleka przyglądał się pobrudzonej fotografii.

– Mam nadzieję, że to nie twoja krew – rzucił, wskazując na plamy.

Przycisnęłam mu zdjęcie do piersi, zmuszając, by je wziął.

– Wyśledziłam Clancy'ego w biurze Albana. To tego szukał.

Liam pochylił się do przodu. W przeciwieństwie do mnie chłopcy najwyraźniej nie cierpieli na zaniki pamięci, bo oczy momentalnie rozświeciły im zdumienie, a Pulpetowi dodatkowo opadła szczeka.

– Szuka jej – wyjaśniłam. – Zdjęcie pochodzi z teczki zawierającej, jak sądzę, dokumentację badań, które przeprowadzała. Clancy mógł myśleć, że ją tu znajdzie, albo podejrzewał, że Alban może coś wiedzieć, ale...

Nie zdążyłam dokończyć, bo w tej samej chwili na stół pośrodku pomieszczenia wdrapał się Cole i dwukrotnie klasnął, po czym złożył dłonie i przytknął je sobie do ust jak megafon.

– Czy mogę prosić o uwagę? – Przybrał bardzo oficjalny ton, co sprawiało, że brzmiał nienaturalnie. Wyglądało na to, że Cole uwielbiający z nieodłącznym przebiegłym uśmieszkiem doprowadzać innych do furii ustąpił miejsca agentowi Stewartowi, który nie miał czasu na żarty.

Wszyscy wstali ze swoich miejsc i teraz kluczyli między pryzmami i stołami, żeby się do niego zbliżyć.

– Dziękuję za uwagę. Postaram się mówić krótko – zaczął Cole. – Walka, którą tu stoczyliśmy, dobiegła końca. Bardzo wam dziękuję za poświęcenie. Chciałbym móc powiedzieć, że ci, którzy zbuntowali się przeciwko Albanowi, i tak nie odważyliby się urzeczywistnić

swojego niecnego planu, ale wszyscy wiemy, że byłoby to wierutne kłamstwo.

Liam oparł się o ścianę, przyjmując taką samą pozę, jak jego brat kilka minut wcześniej. Wpatrywał się we mnie, wyraźnie na coś czekając.

– Nie umiem kwieście przemawiać – ciągnął Cole. – Ale chcę, żebyście poznali prawdę. Przez całe życie nieustannie jesteście okłamywani i to musi się skończyć. – Odchrząknął. – Kiedy Alban zakładał Ligę, pragnął jedynie odkryć prawdę o OMNI i zmusić Graya do wzięcia odpowiedzialności za hańbę obozów. Jego marzeniem było przywrócenie naszego kraju do stanu sprzed epidemii i ponowne uczynienie z niego miejsca, z którego byłby dumny i któremu z całego serca chciał służyć. Liga Dzieci była jego snem, który niestety zmienił się w koszmar. Alban chciał przywrócić przeszłość, ale ja uważam, że nie możemy się oglądać za siebie.

Obróciłam się w stronę Cole’a i stanęłam przed Pulpetem, żeby lepiej widzieć. Pozostałe dzieci słuchały przemówienia jak zaczarowane. Nie dziwiłam im się. Pamiętałam, jak wiele razy dawałam się porwać płomiennym mowom Liama o wyzwaniu obozów. Pasja pobrzmiwająca w słowach obu braci zawsze przyćmiewała wszelką niepewność i nieśmiałość. Liam i Cole pozwalali sobie płonąć, podczas gdy tyłu z nas obawiało się chociażby ogrzać w ich ogniu.

*Cole jest jednym z nas*, pomyślałam. Pozostali nie mieli o tym pojęcia, a i tak czuli, że to on powinien przejąć dowodzenie.

Liam prychnął i przewrócił oczami. Spojrzałam na Pulpeta, zastanawiając się, czy on też czuje, że przyjaciel posyła w naszą stronę jedną falę rozczarowania za drugą.

– Albo ruszymy do przodu, albo nigdzie – mówił dalej Cole. – Ja i obecni tu agenci wróciliśmy po was, ale opuszczamy to miejsce i porzucamy starą nazwę. Nie wiem, w co się przekształcimy ani jak będziemy się nazywać, ale wiem, co zamierzamy zrobić. Dowiemy się, jaka jest przyczyna OMNI, znajdziemy winnych i wyciągniemy dzieci z piekła, w którym są więzione. Odchodzimy. Jedziemy na Ranczo, które w tej chwili jest dla nas przygotowywane. Chcemy, żebyście poszli z nami. Chcemy, byście ruszyli do walki. Potrzebujemy was.

Cate podniosła się z miejsca i ruszyła ku drzwiom po drugiej stronie pomieszczenia, machając mi na pożegnanie. Vida, Jude i Nico niczego nie zauważyli – kiwali głowami, pozwalając, by obietnice Cole’a porwały ich i wypełniły nadzieją. Ja też nie pozostawałam na nie obojętna. Wokół nie było doradców, którzy sączyliby do uszu Cole’a gładkie frazy, ani zamkniętych szafek z tajnymi dokumentami. Słowa, które słyszeliśmy, były szczere. Prawdziwe.

– Co to jest Ranczo? – wyszeptał Pulpet.

– To stara, tymczasowa baza Ligi w pobliżu Sacramento – powiedziałam. – Zamknęli ją, kiedy ukończyli ten budynek.

– Jesteście nam potrzebni! – powtórzył Cole, przesuwając wzrok na nas. – Ale wybór należy do was.

Napotkałam jego spojrzenie i kiedy do mnie mrugnął, z trudem się powstrzymałam, żeby nie przewrócić oczami. Wiedział, że mnie ma.

Liam też zdawał sobie z tego sprawę.

Odsunął się od ściany i ruszył przed siebie, ale zdążyłam złapać go za kurtkę. Ramiona trzęsły mu się z każdym głębokim, nierównym oddechem. Po wielu dniach odzyskiwania sił i zdrowych kolorów znów wyglądał, jakby zaraz miał się przewrócić. Jego twarz była poszarzała i patrzył na mnie rozgorączkowanymi oczami.

– Powiedz, że odejdziesz dzisiaj z nami – wyszeptał. – Ze mną i z Pulpetem. Jesteś za mądra, żeby łyknąć te wszystkie bzdury. Znam cię.

Odpowiedź malowała mi się na twarzy. Liam chwycił mnie za nadgarstki i odepchnął.

Chwilę przed tym, nim doszedł do drzwi, odwrócił się jeszcze i rzucił zachrypniętym głosem:

– W takim razie nie mam ci już nic do powiedzenia.

Cole skończył przemawiać i mruczając pod nosem, że musi „coś” sprawdzić, ulotnił się bez dalszych wyjaśnień. W głębi duszy czułam, że powinnam za nim pójść i upewnić się, że „coś”, które miał na myśli, nie było Clancym Grayem, ale wątpiłam, bym była w stanie wstać, nawet gdybym się bardzo starała.

Nasza piątka – Jude, Vida, Pulpet, Nico i ja – okupowała okrągły stolik w pobliżu jednego z telewizorów. Celowo usunęliśmy się z drogi agentom, którzy usiłowali „wysprzątać” budynek, zabierając wszystko, co wpadło im w ręce, a mogło się okazać przydatne.

Minęła godzina. Jude w końcu nie wytrzymał i zapytał:

– Czy Cate już wróciła?

Ja natomiast zaczynałam się martwić o Liama. Miałam wrażenie, że z każdą chwilą robię się coraz bardziej ociężała, i w końcu poszłam w ślady siedzącego po przeciwnej stronie stołu Nico i oparłam głowę na rękach, żeby pozbyć się napięcia z barków.

– Mówiła, że trochę im to zajmie – odezwała się Vida, kolejny raz sprawdzając czas na komunikatorze. – Jest nas siedemdziesięcioro, więc musi skołować trochę pojazdów.

*Nadajemy dla państwa sprzed siedziby władz Teksasu, gdzie prezydent Gray oraz przedstawiciele Koalicji Federalnej za niespełna piętnaście minut rozpoczną obrady Szczytu Jedności...* – odezwał się głos prezentera.

Jude wyciągnął rękę i dał głośniej. Przez cały ranek był uosobieniem opanowania i nawet słowem nie wspomniał, że jest głodny albo zmęczony. Z całej naszej grupy jako jedyny zwrócił też uwagę na to, co pokazało się na ekranie. Nico wycofał się tak daleko w głąb samego siebie, że wyglądał, jakby zapadł w śpiączkę, a Pulpet strzelał oczami to na drzwi, to na swój zegarek.

Transmisja z bożonarodzeniowego szczytu pokojowego rozpoczęła się przed piętnastoma minutami o dziewiątej czasu teksańskiego. Na ekranie pojawiały się na razie głównie ujęcia tłumu, i to jego bardzo niewielkiej części. Kiedy operator niechętny łapał grupę protestantów z transparentami, których utrzymywano w sporej odległości od budynku rządowego, transmisja się urywała.

Nagle między mnie a Jude’a wcisnął się Cole, o mało nie spychając chłopca z ławki.

– Hej, perelko, potrzebuję cię na sekundkę – wypalił.

Obróciłam się i głębiej wcisnęłam twarz w rękę.

– Czy to może poczekać?

– *To się obudziło i jest bardzo złe, więc byłbym wdzięczny, gdybyś posłużyła mi pomocą...* Wydaje mi się, że jesteś jedyną osobą, która będzie w stanie powiedzieć, czy przypadkiem nie topi mi się mózg.

– Ludzie wiedzą, czym on jest? – zapytał zaskoczony Pulpet. – Powiedzieliście im?

– Nasz szef wiedział – wyjaśnił Cole. – Podczas jednej z konferencji prasowych, jakie Clancy urządzał po wyjściu z obozu, Alban zobaczył, jak chłopiec manipuluje funkcjonariuszem służb specjalnych.

Wyprostowałam się.

Jeżeli Alban wiedział, czym jest Clancy i co potrafi, to pierwszy list Lillian Gray mógł mieć całkiem inny wydźwięk. „Jeśli chcę go ocalić, muszę się ukryć tam, gdzie mnie nie dosięgnie”. Może pierwsza dama zorientowała się, że jej syn wykorzystuje swoje umiejętności, by manipulować ludźmi, jeszcze zanim wpadł na to sam prezydent.

W końcu wszystko zaczynało do siebie pasować i układać się w spójną całość. Podejrzywałam, że Alban zauważył, co robi Clancy, tuż przed tym, nim założył Ligę, dzięki czemu ukrył się tam, gdzie chłopak nie mógł go dosięgnąć, jak powiedziałaaby pani Gray. Gdyby pierwsza dama poprosiła o pomoc męża albo któregoś z jego doradców, Clancy by się o tym

dowiedział. Zrozumiałam, jak bardzo musiała być zdesperowana.

– W takim razie czemu nic z tym nie zrobił? – rozległ się za nami głos Liama. Napięcie wyostrzało rysy jego twarzy. – Mógł to przecież wykorzystać i skończyć ten cyrk z obozami.

Cole przewrócił oczami.

– Jak miał tego dowieść? Clancy był jak duch. Próbowaliśmy wybadać, czy nie da się go przeciągnąć na naszą stronę, ale się nie udało.

– Bo on was nie potrzebuje – odezwał się zachrypniętym głosem Nico. – Nie potrzebuje nikogo. Sam potrafi o sobie zadbać.

Otworzyłam usta, żeby wyłożyć im swoją teorię, ale Liam mi przerwał.

– Czy ty nie powinienes przypadkiem pomagać pozostałym sprzątać? – zapytał kąśliwie brata, po czym wbił wzrok w leżącą na moim ramieniu dłoń Cole’a.

Nie mogłam uwierzyć, że widzę ich obok siebie, zwłaszcza że na ich prawie identycznych twarzach malowała się taka sama złość.

– Pamiętaj, że możesz odejść w każdej chwili, Lee – powiedział Cole, lekceważąco machając ręką. – Nikt cię tu nie trzyma. Powiedziałem ci, jak znaleźć mamę i Harry’ego, więc się zabieraj. Możesz znowu uciekać i się ukrywać. Szkoda, że nie było mnie przy tym, kiedy im opowiadałeś, jak o mało co nie wyspałeś całej grupy dzieci tylko dlatego, że nie uważałeś, co robisz i gdzie leżesz. Wspomniałeś im też o tym, co się stało, kiedy próbowałeś uciec z obozu?

Usłyszałam, jak Vida przeklina pod nosem, i położyłam rękę na ramieniu Pulpeta, żeby się nie wtrącał, ale mnie nie miał kto powstrzymać.

– Przestańcie! Co wy wygadujecie? – rzuciłam.

– Ty... – Szyja Liama zrobiła się czerwona i zobaczyłam, jak bardzo musi walczyć, by nie stracić kontroli nad mimiką. – Nie masz o niczym bladego pojęcia...

– Tylko się nie rozplacz – skwitował oschle Cole. – Przyniosłeś mi już wystarczająco dużo wstydu. Po prostu odejdz. Na litość boską, wynoś się, skoro tak bardzo tego chcesz, i przestań marnować mój czas!

– Hej... – odezwał się piskliwym, łamiącym się głosem Jude. – Przestańcie!

– Proszę was – spróbowałam kolejny raz.

Jude pochylił się przez stół i chwycił mnie za rękę, odwracając się w kierunku telewizora.

– Zamknijcie się i patrzcie! – krzyknął.

Prezydent Gray wyszedł z samochodu i zwrócił się ku tłumowi, unosząc dłoń w doskonale wyćwiczonym geście. Jego włosy zdążyły posiwieć, odkąd widziałam go ostatni raz przed kilkoma miesiącami, a pod ciemnymi oczami widniały jeszcze większe sińce. Ale jego twarz wciąż była twarzą Clancy’ego za trzydzieści, a może czterdzieści lat i już samo to sprawiało, że miałam ochotę odwrócić wzrok.

– Co to... – zaczęła Vida dokładnie w chwili, w której drobna postać w kapturze przepchała się obok ładnej blond prezenterki i przeskoczyła policyjne taśmy.

Prezydent powoli wspinał się po nieskazitelnie białych schodach budynku administracji, wyciągając dłoń ku gubernatorowi stanu. Flagi Stanów Zjednoczonych i Teksasu powiewały na wietrze za jego plecami. Zdawał się nie zauważać, że coś jest nie tak, póki stojący obok niego mężczyźni w garniturach nie wyciągnęli broni, a twarz gubernatora zupełnie nie zbliała.

Rozstawieni wzdłuż schodów policjanci oderwali się od ziemi i zostali ciśnięci na boki z taką siłą, że przebili się przez linię kamerzystów i fotografów. Napastnik nie musiał nawet ich dotykać – wystarczyło, że wysunął przed siebie ręce i rozłożył je, jakby odsłaniał ciężką zasłonę.

– Chryste! To dziecko! – odezwał się Liam.

Był to szczupły, umięśniony chłopak o opalonej skórze. Wyglądał jak sportowiec, który spędził lato na szkolnej bieżni. Miał długie włosy związane z tyłu gumką, by nie wpadały mu do

oczu, dzięki czemu mógł celnie wymierzyć, kiedy wyciągnął z bluzy mały pistolet i spokojnie oddał dwa strzały prosto w pierś prezydenta.

Mimo że telewizory w auli były ustawione na różne kanały, wszystkie pokazywały teraz tę samą scenę, z różnych stron.

*O Boże. O mój Boże*, mamrotała prezenterka.

Kobieta upadła na ziemię i patrzyliśmy teraz zza jej głowy, jak policja i służby bezpieczeństwa rzucają się na chłopca i grzebią go pod górą mundurów i płaszczy. W tle rozległy się krzyki tłumu i drżąca kamera odwróciła się, by zarejestrować uciekających ludzi. Wszystkie nienawistne i pełne obrzydzenia spojrzenia, które jeszcze przed chwilą rzucono prezydentowi, teraz spoczęły na zamachowcu.

– Czy to Liga? – zapytał wzburzony Liam i odwrócił się w stronę brata. – Czy to ty rozkazałeś temu chłopcu to zrobić?

– On nie jest jednym z nas – powiedziała Vida. – Nigdy wcześniej nie widziałam tego gnoja na oczy!

Cole odwrócił się na pięcie i popędził ku drzwiom, przedzierając się przez wypełniające aulę zdumienie. Nie miałam pojęcia, dokąd biegnie. Nikt poza nim się nie ruszył. Vida chwyciła za pilota i nastawiła głośniej telewizor.

*Panie i panowie, bardzo proszę...* Prezenterka wciąż leżała na ziemi, usiłując się zasłaniać przed tratującymi ją nogami uciekających gapiów. Na ekranie pojawiły się teraz przerażone twarze prezenterów w studio telewizyjnym, ale po kolejnej chwili ekran zrobił się czarny i wyświetlono na nim duży napis:

**SYSTEM REAGOWANIA ALARMOWEGO  
RZĄD STANÓW ZJEDNOCZONYCH WYDA NADZWYCZAJNE  
OŚWIADCZENIE**

**PROSIMY NIE WYŁĄCZAĆ ODBIORNIKÓW  
ZARAZ PODAMY ISTOTNE INFORMACJE**

Na ekranie nie pojawiło się jednak nic innego i zostaliśmy z cichym buczeniem, które każdy z nas słyszał setki razy podczas czekania na specjalne obwieszczenia albo gdy przeprowadzano testy telewizyjne czy radiowe.

Gdzieś nad naszymi głowami rozległo się stłumione łupnięcie, które ledwo przebiło się przez spanikowane głosy wypełniające aulę i odgłos telewizorów. Po chwili usłyszałam następne, a potem kolejne i kolejne, następujące po sobie raz po raz jak wybuchy fajerwerków, które kiedyś oglądaliśmy z ogródka za domem w Święto Niepodległości. Dźwięki dochodziły z daleka, nie były więc specjalnie przerażające. Przez chwilę uwierzyłam, że to naprawdę sztuczne ognie. Czy jednak ludzie byliby aż tak nikczemni, żeby od razu świętować odejście prezydenta Graya z tego świata?

Nagle eksplozje zostały przytłumione przez odgłos, który przypominał szum wody albo może bardziej szum urządzeń elektrycznych. Zalała nas dzika fala trzasków, huków i wycia – zupełnie jakby wokoło rozszał się huragan.

W kolejnej chwili wszystko jednak ucichło z ledwo słyszalnym jękiem – takim, jaki mogłoby wydać zwierzę, biorąc ostatni oddech. Światła, telewizory, klimatyzacja – wszystko się wyłączyło, znowu pogrążając nas w nieprzeniknionej ciemności.

Jude się zachwiał, ale dzięki temu, że ścisnął mnie za rękę, zdołałam go złapać, zanim upadł.

– Uważaj, kolego – rzuciłam.

W jednej chwili doskoczyła do nas Vida i pomogła mi posadzić chłopca.

– Coś się stało... – wymamrotał.

Otoczający nas agenci wyciągnęli świetliki – plastikowe laski wypełnione specjalną świecącą cieczą – żeby chociaż trochę rozjaśnić ciemność. Zobaczyłam, że Jude chwytając się za włosy z oszołomionym, niemal pijanym wyrazem twarzy.

– Coś złego – skończył.

– Co masz na myśli? – zapytałam, pozwalając Pulpetowi podejść bliżej, by rzucił na niego okiem.

Jude niespokojnie rozglądał się wokół.

– Coś pękło, błysnęło i zniknęło... Zrobiło się strasznie cicho... Nic już nie wydaje żadnych dźwięków.

Omiotłam wzrokiem aulę w poszukiwaniu grupy Żółtych. Okazało się, że wszyscy wpadli w ten sam stan – byli oszołomieni, słabi i niezdolni utrzymać się na nogach. Widziałam ich twarze w delikatnym, niewyraźnym blasku świetlików.

– Co się, u licha, dzieje? – zapytał Pulpet. – Kolejna przerwa w dostawie prądu?

Uciszyłam go, przysłuchując się, jak jeden z agentów pośpiesznie zdaje relację z tego, co się stało, Cole'owi, który szedł w naszą stronę.

– Wspomagający generator prądu wciąż działa, ale nie mamy zasięgu ani komórkowego, ani radiowego. Kamery na ulicach się wyłączyły, więc Bennett próbuje je uruchomić...

– To nic nie da – powiedział spokojnie Cole. – Podejrzewam, że są spalone.

*Spalone? Ale to by oznaczało...*

Prąd nie mógł tak po prostu wysiaść akurat w tym momencie. Byłby to zbyt duży zbieg okoliczności. Cole nie sugerował jednak, że ktoś majstrował przy sieci zasilania Los Angeles, ale że ktoś zniszczył wszystkie urządzenia elektroniczne w całym mieście.

– Podejrzewasz, że to elektromagnetyczny impuls? – wtrącił kolejny agent.

– Myślę, że powinniśmy się stąd zbierać, zanim przekonamy się na własnej skórze. – Cole złożył dłonie i przystawił je do ust, przekrzykując niespokojne szeptem: – Już dobrze! Wiem, że macie to przećwiczone! Zabierzcie wszystko, co zdołacie wynieść z tego pomieszczenia, i udajcie się prosto do wyjścia! Tylko tyle! Trzymajcie się w szyku! Zarządzam przymusową ewakuację! Natychmiast!

Vida przyciągnęła do siebie Jude'a, a ja zajęłam się Nico.

– Może to tylko kolejna przerwa w dostawie prądu – zaprotestował jeden z agentów. – Przecież to nie mogło mieć związku z zabójstwem prezydenta. Powinniśmy po prostu zejść na poziom trzeci i to przeczekać.

– Jeśli to atak, najbezpieczniej będzie zostać – wtrącił się inny.

– Najbezpieczniejsi będziemy z daleka od...

Nagle rozległy się trzy głośne stuknięcia, zupełnie jakby ktoś stał bezpośrednio nad nami i prosił, byśmy wpuścili go do środka. Nie wiem, czemu to zrobiłam ani nawet co sobie pomyślałam, ale powaliłam Nico na ziemię – chwilę później poczułam, że Vida zrobiła to samo z Jude'em, i padła zaraz obok.

– Kryć się! – wrzasnął jakiś głos, ale słowa pochłonął rozpalony do czerwoności rozbłysk światła.

Na nasze głowy spadł deszcz ognia.



Ból przyszedł później, najpierw poczułam jedynie ciężar przygniatający mi kręgosłup.

Kiedy się ocknęłam, wokół panowała zupełna ciemność. Słyszałam, jak Nico wykrzykuje moje imię, potrząsając mnie za ramiona. Przez jedną błogą chwilę moja świadomość była w zupełnych strzępach i nie potrafiła połączyć tego, co widziałam i czułam, z tym, co się wydarzyło. Wszystko docierało do mnie przez mrok.

– Nie! Najpierw muszę ją znaleźć...

– Liam, rusz się, do cholery! – grzmiał Cole. – Idź za resztą!

– Tu są – odezwała się Vida. – Pomóście mi...

Ciężar, który przygniatał mnie do Nico, ustąpił i płuca wypełniło mi zakurzone powietrze. Kaszlałam, błędząc dłonią po ziemi, aż w końcu natrafiłam na coś, co wzięłam za świetlik.

Pomyliłam się. Trzymałam czyjś palec, na dodatek odłączony od reszty ciała.

Nagle ktoś postawił mnie na nogi i przytrzymał, aż przestałam się chwiać.

– Czy wszyscy...? – zaczęłam.

– Granaty do niszczenia bunkrów – oznajmiła Vida. – Musimy uciekać.

– Jude...

– Tu jestem – odpowiedział. – Nie widzę was, ale żyję...

– Wszyscy jesteśmy cali – przerwał mu Pulpet. – Którędy mamy iść?

– Wzdłuż... – Zakaszlałam, wykrztuszając pokrywającą mi język i gardło grubą warstwę kurzu. Moje oczy zaczynały się przyzwyczajać do ciemności i zdałam sobie sprawę, że otaczająca nas pomarańczowa poświata pochodzi nie ze świetlików, ale z wywołanych eksplozją pożarów. Rzeczywistość uderzyła mnie jak pocisk rozsadzający głowę. Z częściowo zapadniętego sufitu zwisały kable i kawałki betonu, a w oddali wciąż rozbrzmiewały grzmoty – teraz jednak były głośniejsze i następowały po sobie regularnie i w krótkich odstępach.

*Bombarduj miasto.* W tej chwili nie miało znaczenia, kto był za to odpowiedzialny. Wytarłam śliską ciepłą krew spływającą mi po szczęcie, rzucając spojrzenie na Nico, by sprawdzić, czy nic mu nie jest. On i Jude tulili się do siebie.

Obróciłam się na pięcie, odliczając wszystkich kolejno. Pulpet obserwował ciemne sylwetki dzieci i agentów, którzy kulejąc, wychodzili przez zachodnie drzwi auli. Liam chciał się do nas przedostać i szarpał się z Cole'em, który usiłował go ustawić w kolejce do wyjścia. Vida wbijała wzrok w nieruchome, leżące na ziemi ciała, z których parę zostało w połowie pogrzebanych przez zapadający się sufit. Pomieszczenie wypełniło się swędem palonego mięsa i dymu, a podłoga wyścielona była trampkami i ciężkimi butami zdartymi z zakrwawionych, sztywnych stóp.

– Nie możemy ich tu zostawić! – krzyknął Jude, sięgając po Sarah, jedną z Niebieskich. Dziewczynka wbiła w niego wzrok – klatę piersiową przygniatał jej fragment zbrojenia.

– To niesprawiedliwe. Nie możemy! *Błagam!*

– Nie mamy wyjścia – powiedziałam. – Ruszamy.

W czasie mojego pobytu w Lidze dwukrotnie przeprowadzono ćwiczenia ewakuacji i podczas każdego z nich wyprowadzono nas innym wyjściem. Jedna droga prowadziła przez windę i tunel – to tędy normalnie wchodziliśmy do Bazy. Druga wiodła przez szeroką klatkę schodową, która wiła się i zakręcała ku powierzchni i kończyła się zamaskowanym wyjściem nieopodal fabryki. Z twarzy Cole'a wyczytałam jednak, że nie możemy użyć żadnej z nich.

– Dalej, ruszać się, ruszać – powtarzał, popychając wszystkich ku drzwiom. – Schodzić na poziom trzeci. Wyjdziemy drogą, którą się tu dostaliście. Idźcie za agentem Kalbem!

Próbowałam policzyć mijające mnie postaci, ale było za ciemno i otaczał mnie zbyt gęsty dym. Nagle budynek się zatrzęsł, a ja runęłam w stronę Liama, który czekał na nas przy drzwiach.

– Wszystko w porządku? – wymamrotał zasapany. – Cole próbował mnie zmusić do wyjścia, ale nie chciałem iść bez was...

Nagle brat złapał go za podkoszulek i wywlekl na korytarz przed nami. Było jasne, że bomby wymierzono w samo serce budynku. Z trudem brnęliśmy gęsiego, usiłując kluczyć między zwałami betonu, płonącym gruzem i porozrywanymi rurami plującymi parą. To cud, że korytarz nie runął całkiem, tak jak aula.

Klatkę schodową prowadzącą na drugi poziom wypełniała jeszcze gęstsza chmura dymu i gazu. Byłam mokra od potu. Zaczęłam ściągać kurtkę, odruchowo szukając pendrive'a, którego przecież już nie miałam.

*Cate* – pomyślałam. – *Gdzie jest Cate? Co się z nią stało?*

Kolejna fala uderzeniowa pchnęła mnie na Liama. Jedno z idących przodem dzieci krzyknęło, ale ja słyszałam tylko powtarzający się w kółko za moimi plecami szept Jude'a:

– O Boże! O mój Boże...

Nie wiem, co podpowiadał mu strach, ale jeśli tak jak ja oczami wyobraźni widział, jak zostajemy pogrzebani pod dziesiątkami ton betonu i ziemi, to byłam zaskoczona, że jeszcze funkcjonuje, a na dodatek ciągle prze naprzód.

Kiedy dotarliśmy do drugiego poziomu, musieliśmy zwolnić. Najwyraźniej coś zablokowało przejście. Przecisnęłam się obok Liama i chwyciłam Cole'a za rękę, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

– Co z ludźmi w sali chorych? – zapytałam.

– Jeśli nie zdołają wstać i wyjść o własnych siłach, nie zrobimy tego za nich – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– A co z Clancym? – drażyłam, choć w głębi serca znałam odpowiedź. – Wypuścili go?

– Nie mieliśmy czasu przeszukać tego poziomu.

Spojrzałam za siebie z nadzieją, że w ciemności dostrzegę twarz Liama. Zamiast tego poczułam, jak kładzie mi dłonie na talii i delikatnie popycha do przodu. Po chwili usłyszałam jego głos:

– Ciekawe, co by zrobił, gdybyś to była ty? Albo ja.

Nie pomogło mi to przełknąć podchodzącej do gardła żółci. Jedną rzeczą było traktować kogoś jak jeńca, inną skazać go na pewną śmierć.

– Chyba sobie żartujesz, do jasnej cholery! – parsknęła Vida.

Razem z Pulpetem trzymali histeryzującego Nico i ciągnęli go do przodu. Widziałam, jak Jude przygląda im się z pobladłą twarzą.

– Pójdę po niego! – jęczał Nico. – Przyprowadzę go!

– Nie! – krzyknął Jude. – Musimy się trzymać razem!

Podmuch kolejnej eksplozji powalił nas wszystkich na kolana. Uderzyłam głową w ścianę i przed oczami pojawiły mi się plamy, ale zdołałam się podnieść i razem z pozostałymi rzucić pędem w dół schodów, a potem korytarzem do bloku przesłuchań. Ściana po mojej prawej stronie leżała w gruzach.

– Trzymajcie się blisko mnie – zarządził Cole, patrząc na nas przez ramię. – Szybciej, musimy się wysunąć na czoło.

Cole zdołał się przedrzeć na przód kolejki, która zakorkowała wyjście z tunelu. Mogłam sobie tylko wyobrażać, jaka byłaby reakcja pozostałych, gdyby cała nasza szóstka podążyła za nim, wszystkich wyprzedzając.

W końcu podeszliśmy na tyle blisko, by zobaczyć, co spowodowało spowolnienie. Po przekroczeniu progu wszyscy musieli przejść przez zwalisko rur i cementu, które runęły z sufitu tunelu.

Bez końca czekaliśmy, aż nadejdzie nasza kolej. Czułam, jak krew pulsuje mi w skroniach, i miałam wrażenie, że z każdą chwilą robię się coraz bardziej odrętwiała. Liam raz po raz wznosił się na palce, jakby się szykował, by wystrzelić do przodu.

Kiedy w końcu znaleźliśmy się przy drzwiach, odsunęłam się na bok, chcąc puścić pozostałych przodem. Liam jednak, nic sobie z tego nie robiąc, podniósł mnie, przeniósł nad stertą gruzu i dopiero wtedy sam się na nią wspiał, zagrządzając mi drogę powrotną.

Usłyszałam za plecami, jak Vida przeklina, a Pulpet stęka z wysiłku. Tunel wypełniony taką liczbą ludzi wydawał się parny i wilgotny. Wybuchy na górnych poziomach sprawiły, że miejscami był zawalony, co dodatkowo zwalniało nasz marsz, zmieniając równą ścieżkę w tor przeszkód.

Poczułam potężne wibracje, jeszcze zanim huk wybuchów dobiegł moich uszu. Była to seria czterech niskich dudniących dźwięków, każdy głośniejszy od poprzedniego. Vida krzyknęła coś do nas, ale nieznosna fala hałasu pochłonęła jej słowa. Miałam wrażenie, że żołądek, serce i pozostałe wnętrzności podchodzą mi do gardła, jakby ziemia usunęła mi się spod nóg. Kolejne sekundy mijały w zwolnionym tempie, dając mi tylko tyle czasu, że zdążyłam się odwrócić od eksplozji wyrywającej drzwi, przez które przed chwilą przeszliśmy.

Rzuciliśmy się na ziemię w chwili, gdy przez tunel przetoczył się podmuch niosący szary pył, kawałki betonu i szkła. Otaczająca nas konstrukcja zatrzęsała się z taką siłą, że byłam pewna, iż się zawali. Wokół rozlegały się krzyki dzieci i agentów, ale głos Cole'a zdołał się przez nie przebić.

– Ruszać się! Szybciej!

Nie miałam siły iść dalej. Zdołałam jedynie podnieść się na kolana i podciągnąć, przytrzymując się ściany. Słyszałam, jak Vida i Pulpet narzekają, że nic nie widzą.

– To było w Bazie. Zawaliła się? – wyszeptalam.

– Chyba tak – odparł Liam.

– Tunel za nami został całkiem odcięty! – zawołał Pulpet, kaszląc.

Idące przed nami dzieci podały wiadomość do tych na czele kolejki – słyszeliśmy, jaki wzbudziła szok i lament.

Podejrzewałam, że wszyscy myślimy o tym samym – o agentach i dzieciach, które zostawiliśmy za sobą, o tym, że ich rodziny nigdy się nie dowiedzą, co się z nimi stało... Jeśli w którymś z nich tliło się jeszcze życie, teraz nie było już żadnych szans na ucieczkę...

Szloch utknął mi w gardle. Nie płakałam, ale moim ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze, na których widok Liam otoczył mnie od tyłu ramionami. Czułam na plecach bicie jego serca i to, jak wtula mi twarz w szyję.

Był cały i miałam go przy sobie. *Żył, żył, żył.* Ulżyło mi na myśl, że udało się nam wydostać, ale nie mogłam przestać wyobrażać sobie zawalającego się sufitu, spadającego szkła i rozstępującej się podłogi.

*Koncentracja* – upomniałam się. – *Za tobą wciąż są dzieci. Jeszcze nie jesteś bezpieczna. Nie pozwól się zabić. Liam, Pulpet, Vida, Jude. Liam, Pulpet, Vida, Jude.*

– Oddychaj – powiedział Liam roztrzęsionym głosem.

Szliśmy teraz obok siebie. Równomierne opadanie i wznoszenie się jego klatki piersiowej uspokoiło mnie na tyle, że przestałam się go kurczowo trzymać. Liam przycisnął mi usta do czoła, co, jak podejrzewałam, było głównie przejawem ulgi.

– Już dobrze – wyszeptalam. – Już dobrze. Tylko się nie zatrzymuj.

Mój umysł uczepił się tych słów i poniósł je ze sobą w mrok. *Tylko się nie zatrzymuj.* Im dłużej szliśmy, tym bardziej strach, gniew i poczucie winy zlewały się ze sobą. Tworzyły mi w piersi pęczniejącą masę, będącą źródłem wzbierającego bólu. Ktoś przed nami albo się śmiał, albo szlochał – dobiegający mnie odgłos był tak dziwaczny, że nie potrafiłam tego stwierdzić.

Moją największą obawą, która z całej siły wypychała mi serce do gardła i ugiwała kolana, tak że z każdym krokiem niemal lądowałam na ziemi, było to, że za chwilę tunel może się zawalić.

*Oddychaj. Masz przy sobie Liama, wszystko będzie dobrze.*

W końcu dotarliśmy do części tunelu, która była nienaruszona i na tyle wysoka, że mogliśmy zupełnie się wyprostować. W takiej pozycji szło się łatwiej, zupełnie jakbyśmy wzięli to za oznakę, że zbliżamy się do wyjścia. Wokoło ciągle jednak panowała zupełna ciemność. Za każdym razem, kiedy obracałam głowę, byłam w stanie dojrzeć tylko niewyraźny zarys twarzy Liama.

*Nie zatrzymuj się.* Opuściłam głowę, zwiesiłam ramiona i uparcie parlałam do przodu, krocząc najszybciej, jak potrafiłam. Minęło pięć minut, a może dziesięć, a potem piętnaście. Przejście znowu się zwężiło i zapach pleśni zamienił się w nieznośny kwaśny smród. Wyciągnęłam ręce na boki i teraz przesuwiałam nimi po oślizgłych, mokrych betonowych ścianach. Liam wydał z siebie zduszony jęk, kiedy uderzył głową o obniżający się sufit, a sekundę później ja także musiałam się schylić.

Stojąca w kanale woda była gęsta, cuchnęła zgnilizną i pleśnią. Usłyszałam, że komuś zebrało się na wymioty, i jak na zawołanie po chwili wszystkich zaczęły męczyć torsje.

Przecierałam sobie ręką policzki i szyję, usiłując odgarnąć strąki włosów, które lepiły mi się do skóry. Czułam się coraz bardziej przytłoczona – gęste, klejące powietrze robiło się coraz cięższe, ściany coraz bardziej się zasklepiały, a do tego kompletnie nic nie widziałam.

*Nie możemy tu umrzeć.* Nie miałam zamiaru pozwolić, żebyśmy tak po prostu zniknęli.

Usiłowałam skoncentrować całą swoją uwagę na szeleście ocierającej się o beton skóry i rytmicznym skapywaniu wody z sufitu. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego tunel wydaje mi się zupełnie inny od tego, przez który weszliśmy. Znowu poczułam, że się rozszerza i opada. Nie wiem, czy to przypadkiem nie była moja wyobraźnia, ale mogłabym przysiąc, że nagle zrobiło się jaśniej.

To działało się naprawdę. Najpierw zobaczyliśmy niewielki błysk, który stopniowo robił się coraz jaśniejszy, tak że w końcu byłam w stanie zobaczyć pochylającą się ku mnie zaskoczoną twarz Liama. Tunel wypełnił się odgłosami ulgi. Wspięłam się na palce, próbując zobaczyć coś ponad głowami idących przede mną dzieci. Mała strużka światła wpadała do środka z końca tunelu i z każdym naszym krokiem robiła się odrobinę większa. W nogi wstąpiła mi nowa energia – szłam coraz szybciej i szybciej, aż w końcu zobaczyłam drabinę i postaci, które wspinały się po niej, wydostając się z gęstej ciemności ku światłu.

Przez długi czas otaczał nas tylko dym.

Wisiął wokół jak szarobrazowa zasłona ogrzewana jedynie promieniami zachodzącego słońca. Gruzy powstałe po wybuchach wciąż jeszcze nie do końca osiadły, a unoszący się z nich drobny kurz wnikał do wnętrza tunelu i wirował pod wpływem naszych ruchów. Ręce mi się trzęsły w czasie wspinaczki po drabinie, a kiedy doszłam do końca, czekający przy wyjściu Cole chwycił mnie za ramię i pociągnął w górę. Następnie zrobił to samo z Liamem.

– Niech cię szlag, idioto! – krzyknął, potrząsając bratem. Miał zachrypnięty głos i każde słowo zdawało się stawać mu w gardle. – O mało nie dostałem przez ciebie zawału! Nie rozumiesz, co się do ciebie mówi?! Kazałem ci iść zaraz za mną! Czemu po prostu sobie nie poszedłeś, kiedy ci pozwoliłem?! Czemu choć raz nie możesz mnie posłuchać?!

Następnie mocno go przytulił, na co ten z ulgi i wyczerpania nie zaprotestował. Nie byłam w stanie usłyszeć, co do siebie mówią, ale tę wyjątkową chwilę zepsuł dobiegający z dołu krzyk Vidy:

– Niektórzy wciąż jeszcze próbują się stąd wydostać, do jasnej cholery!

Jeden z agentów poprowadził nas wzdłuż koryta Los Angeles River w miejsce leżące pod samym środkiem mostu, gdzie zgromadzono resztę dzieci. Naciągnęłam sobie na nos i usta koszulkę, żeby nie wdychać kredowego zapachu, ale i tak już oblepiał mi gardło. Połknęłam dawkę trucizny, pozwalając, by mieszała się z wypełniającymi mnie dymem i żółcią.

Widok Los Angeles i okręgu przemysłowego był dla każdego z nas trudny do zniesienia. Nikt nie chciał się odwrócić i stanąć twarzą w twarz z widocznymi w oddali zniszczeniami. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że miasto zostało zbombardowane, ale i tak widok płonących na horyzoncie wieżowców i czarnego dymu unoszącego się z nich ku bezchmurnemu niebu przyprawiał o mdłości.

Usiedliśmy z Liamem nieopodal innych dzieci, które tuliły się do siebie z płaczem. Wystarczało mi, że był obok, że jego ramię dotykało mojego. Patrzyłam na łzy płynące po twarzach pozostałych, żałując, że sama nie potrafię dać upustu emocjom i wyrzucić z siebie skręcającej się i kipiącej masy strachu.

Zmęczenie mnie otumaniło. Widok najróżniejszych przedmiotów codziennego użytku porozrzucanych wzdłuż rzeki uciszył szalejące mi w głowie myśli. Gruba warstwa kurzu pokrywała samochody i ziemię. Znajdowaliśmy się wiele kilometrów od centrum miasta, ale gdzie nie spojrzeć, otaczały nas gazety, krzesła biurowe, okulary przeciwsłoneczne, walizki i buty, porzucone i zapomniane albo przyniesione przez falę uderzeniową z wysadzonych w powietrze budynków. Nalot zniszczył stary wieżowiec będący siedzibą Koalicji Federalnej, zamieniając go w płonący czarny kikut. Widziałam jego ostatnie sekundy, jak wypływał z siebie kłębowiska dymu, pogrążając pobliskie dzielnice w ciemności.

Słyszałam, jak Liam powtarza w kółko tylko jedno słowo: „cholera”.

Wzięłam głęboki, uspokajający oddech. Kątem oka zobaczyłam Jude’a – wyszedł spod mostu i z zamkniętymi oczami skierował twarz do słońca, któremu w jednym miejscu udało się przebić przez dym. Nie miałam siły się podnieść, ale wyobrażałam sobie, że stoję obok niego. Że odchyłam głowę w tył, pozwalając, by ciepłe promienie wysuszyły klejące, mokre strąki moich włosów. Żeby strach ze mnie wyparował. Pragnęłam przenieść się w myślach gdzieś bardzo, bardzo daleko.

Na widok Pulpeta i Vidy oklejonych połyskującym kurzem Liam wstał i wyszedł im naprzeciw. Objął przyjaciela za szyję i skierował go w moją stronę.

– Słyszeliśmy, jak Cole rozmawiał z agentami, którzy jako pierwsi wyszli z tunelu. Mówili, że nie znaleźli ani jednego działającego telefonu czy samochodu. Cole uważa, że to naprawdę był impuls elektromagnetyczny. Nie rozpoznaliśmy go, bo byliśmy głęboko pod ziemią.

Właśnie ze względu na ochronę przed tego rodzaju bronią Alban tak bardzo nalegał, by Bazę umieścić pod powierzchnią gruntu. Wyglądało na to, że jeśli Cole miał rację i to naprawdę był impuls elektromagnetyczny, przewidywania byłego szefa Ligi dokładnie się potwierdziły. Wybuch zniszczył elektrownię zaopatrującą Bazę w prąd, ale jej rolę przynajmniej na jakiś czas przejął zapasowy generator.

Nie mogłam uwierzyć, że rząd czy ten, kto był odpowiedzialny za atak, posunął się aż tak daleko. Spalono wszelkie pojazdy, komputery i odbiorniki telewizyjne. A wszystko po to, by unieszkodliwić Ligę.

– Nie możemy nawiązać kontaktu z Cate – powiedziała Vida.

– Nic jej nie jest – odparłam, mając nadzieję, że mój głos nie brzmiał tak beznadziejnie, jak się czułam.

*Pendrive. Cate ma przy sobie pendrive'a. Jeśli coś jej się stało...*

– Miasto aż kipi od żołnierzy – zauważył Pulpet. – Nie wygląda to dobrze.

– Prawdziwa inwazja – rzuciła Vida i opadła na ziemię obok mnie.

Wskazała na Nico, który stał przy drzwiach prowadzących do tunelu i wsuwał przez nie głowę, jakby czekał, aż pojawi się w nich jeszcze ktoś.

Przetarłam oczy, usiłując się pozbyć obrazu Clancy'ego Graya uwięzionego w mroku. *Jest tam, gdzie jego miejsce*, podszeptnął mi dziki wewnętrzny głos. To z powodu Clancy'ego wróciliśmy do Bazy – okłamał nas i naraził na śmierć. W imię czego? Tylko po to, żeby uporać się z jakimś chorym problemem, który miał z własną matką.

Nie chciałam myśleć o martwych, więc skupiłam się na żywych. Objęłam myślami ludzi, których miałam wokół, starając się docenić nieprawdopodobny uśmiech losu – uciekliśmy z Bazy, zanim cała konstrukcja runęła. Jeszcze nie do końca wszystko do mnie docierało, ale jedno było pewne – ludzie obok byli prawdziwi. Liam pochylał się do swojego najlepszego przyjaciela, szepcząc:

– Zostaniemy z nimi do czasu, aż wymyślimy, jak wydostać się z miasta.

Pulpet kiwał głową, choć widziałam, że z trudem powstrzymuje łzy. Vida położyła się na plecach i opierając sobie dłonie na brzuchu, patrzyła, jak podnoszą się i opadają z każdym głębokim oddechem.

A Jude...

Obróciłam się w prawo, spoglądając na grupki dzieci. Wyłowiłam spośród nich ciemną kręconą czuprynę. Chłopiec odszedł na bok, dyskutując o czymś gorączkowo z jakimś kolegą. Zirytowana, zastanawiałam się, dokąd się wybiera. Pochylił głowę w naszą stronę.

To nie był Jude...

Jak mogłam się tak pomylić? Ten dzieciak zupełnie nie wyglądał jak on – był jednym z Zielonych o głowę od niego niższym. Czemu wzięłam go za Jude'a? Czemu mój umysł dał się tak oszukać?

Jak mogłam go nie poznać?

Każdy miesiąc, staw i więzadło zamieniło mi się w kamień. Znowu zaczęłam się trząść i nie mogłam się ruszyć. Z wielkim wysiłkiem jeszcze raz rozglądnęłam się wokół. Próbowalam go zawołać, ale z ust zamiast krzyku wydobył mi się jęk. Przyłożyłam sobie dłoń do gardła i mocno zacisnęłam, żeby zdusić przerażenie, które w nim utknęło.

– Ruby? Co się dzieje? – zapytał Pulpet.

– O co chodzi? – zawtórował mu Liam.

– Gdzie...? Gdzie jest Jude? – wymamrotałam.

Chłopcy wymienili spojrzenia, po czym sami zaczęli się rozglądać.

– Jude! – zawołała Vida, wypatrując go. – Judytko! To nie jest śmieszne!

Nie znalazłam jego twarzy pośród siedzących obok dzieci, a przecież agenci pilnowali, by nikt nie wychodził spod mostu. Oczy pozostałych zaczynały się odwracać w naszą stronę, Cole'a także.

– Wyszedł z Bazy, prawda? – pytałam piskliwym, spanikowanym głosem. – Szedł z wami z tyłu, tak?

*O mój Boże.*

Vida ściągnęła brwi i przez jej twarz przemknęła jakaś mroczna myśl.

Chwyciłam ją za bluzę.

– Kiedy ostatnio z nim rozmawiałaś?! Kiedy widziałas go po raz ostatni?! – krzyczałam.

– Nie wiem! – wrzasnęła, odpychając mnie. – Nie wiem. Było ciemno...

Przepchałam się obok niej i pognałam pędem z powrotem ku wejściu do tunelu. Nico podniósł na mnie wzrok i zrozumiałam, że nie czekał na Clancy'ego, ale na Jude'a.

– Ruby... Gdzie on jest? – zapytał.

– Stój! – warknął Cole, chwytając mnie za łokieć.

Z całej siły próbowałam mu się wyrwać. Jude utknął na dole. Porzuciliśmy go. Pozwoliłam, by został sam w ciemnościach.

– Szliście na samym końcu, prawda? – powiedział Cole. – Wysłałem jednego z agentów, żeby sprawdził, czy nikogo nie zostawiliśmy. Twierdzi, że konstrukcja się zawaliła...

– Zamknij się! – parsknął Liam i odciągnął mnie od brata. – Ja i Pulpet sprawdzimy to jeszcze raz. Jestem pewny, że po prostu odłączył się od grupy.

– Chyba cię pogięło! W życiu nie pozwolę wam tam zejść – zaprotestował Cole. – Jeszcze krok, a uknę ci łeb.

Liam zupełnie zignorował jego słowa.

– Jude mógł skrócić sobie kostkę albo się poślizgnąć, albo uderzyć w głowę – powiedział zzieleniały ze zmartwienia Pulpet. – A może po prostu utknął...

– Nie! – warknęłam. – On jest moim...

– Ruby, dobrze o tym wiem – powiedział Liam. – Ale ty, Cole i pozostali musicie wymyślić, jak nas stąd wydostać. I to szybko. Pozwól nam przynajmniej tyle dla siebie zrobić.

– Jestem za niego odpowiedzialna. To *ja* jestem jego Liderką.

– Ale mną nie dowodzisz – odparł łagodnie Liam. – Będzie szybciej, jeśli pójdziemy ja i Pulpet. Nawet się nie odwrócisz, a już będziemy z powrotem. Skup się na kombinowaniu, jak się stąd wydostać.

Potrząsnęłam głową.

– Ruby, pozwól im iść – wtrąciła się Vida, biorąc mnie za rękę. – Daj spokój.

Cole wydał z siebie ostre, wściekle warknięcie, wciskając bratu świetlik.

– Macie godzinę i ani minuty więcej. Jeśli do tego czasu nie wrócicie, odejdziemy bez was.

Liam spojrzał na Pulpeta, kiwając głową w stronę drzwi.

Nie wrócili ani za godzinę, ani za dwie.

Próbowałam sobie przypomnieć, ile czasu zabrało nam przejście tunelem, i stwierdziłam, że około trzydziestu minut. Może trochę dłużej, choć kiedy brnęliśmy w ciemności, zdawało mi się, że całą wieczność.

Siedziałam obok drzwi z plecami przylepionymi do ściany. Z drugiej strony ułożyła się Vida, splatając ramiona na piersi i wyciągając nogi. Co kilka minut mocniej zaciskała sobie palce na ramieniu i zaczynała nerwowo potrząsać stopą.

Cole i pozostali już trzeci raz kłócili się o kwestię podzielenia nas na mniejsze grupy. Większość dzieci, bez względu na to, jak bardzo się temu opierała, w końcu zupełnie się rozkleiła. Kuliły się teraz w cieniu albo przytulały do siebie nawzajem. Raz po raz wiatr przynosił ku nam wypowiedane szeptem imię Jude'a – teraz wymieniano je na tym samym oddechu, co imiona dzieci, które zginęły w pierwszej eksplozji.

Osiem istnień zmiecionych w jednej chwili. Prawie połowa naszej grupy.

Pierwsza usłyszałam odgłos kroków i natychmiast się podniosłam. Vida nawet nie drgnęła, zachowując dla siebie myśl, która właśnie przemknęła jej przez głowę. Zmrużyłam oczy, próbując dostrzec coś w ciemności, i nagle zobaczyłam dwa niewyraźne kształty wspinające się po drabinie. Tylko dwa...

Liam wyszedł pierwszy i bez słowa wyjaśnienia chwycił mnie za rękę. Pozwoliłam mu wyprowadzić się na słońce z dala od pozostałych. Obróciłam się przez ramię i zobaczyłam, jak Pulpet przysiadł obok Vidy.

– Wiem – powiedziała ponuro. – Nie musisz się wysilać.

Liam odwrócił mnie ku sobie, z widocznym trudem usiłując trzymać emocje na wodzy. Więc go nie znaleźli. W takim razie teraz moja kolej. Znałam Jude'a lepiej od nich. Pod miastem zapewne wiły się kilometry tuneli, a ja miałam lepszą intuicję.

Liam otworzył moją dłoń i włożył w nią coś gładkiego. Jego niebieskie oczy zrobiły się jeszcze jaśniejsze. Podążyłam wzrokiem w dół po podartej koszuli, którą miał na sobie, i brudnej skórze nadgarstków do zgniecionych i powyginanych resztek małego srebrnego kompasu.

W jednej chwili ogarnęło mnie zupełne odrętwienie, które wymazało mi z głowy wszystkie słowa i myśli, aż w końcu sprawiło, że zapomniałam oddychać. Poczułam, że rozchylają mi się usta, a klatka piersiowa zapada.

– Nie. – Zacisnęłam palce na niewielkim przedmiocie, ukrywając go przed własnym wzrokiem. Chciałam udawać, że go tam nie ma. Siła, z jaką coś spadło na kompas, prawie złamała go na pół, całkowicie roztrzaskując szybkę i pozbawiając go czerwonej wskazówki. *Nie*. Zupełnie nie dopuszczałam do siebie prawdy. – *Nie!*

– Wróciliśmy tą samą drogą – powiedział Liam, pewnie trzymając mnie za rękę. – Aż do wyjścia z Bazy, tak daleko, jak pozwoliły nam gruzy i...

– Przestań... – błagałam.

*Nie mów mi tego.*

– Nie wiem... – Łamał mu się głos. – Nie mam pojęcia, co się stało. Prawie go nie zauważyłem, ale potem... Dostrzegłem but. Nie mogliśmy nic zrobić... Pulpet nie był w stanie mu pomóc. Już nie żył... Nie mogliśmy go wydostać. Szedł z samego tyłu, musiał go dosięgnąć wybuch...

Cisnęłam w niego kompasem, a widząc, że go to nie poruszyło ani nie zabolowało, wysunęłam cios i wałęnałam go pięścią w ramię. Liam złapał obie moje ręce i przycisnął je sobie



do piersi.

*On kłamie.* To niemożliwe. Przecież widziałam Jude'a, jak patrzył w słońce. Słyszałam go, widziałam, czułam.

Zachwiałam się chwilę przed tym, nim ugięły mi się kolana. Liam był zupełnie wyczerpany, ale trzymał mnie na tyle mocno, by nie pozwolić mi upaść.

– Musimy po niego wrócić – mamrotałam. – Nie możemy go tam tak po prostu... Nie może tam zostać. On się boi ciemności i nie znosi ciszy. Nie powinien być tam sam...

– Ruby – powiedział łagodnie Liam. – Nie da się go wyciągnąć. Musisz się z tym pogodzić.

Wykręciłam się gwałtownie, usiłując się wyrwać Liamowi i odepchnąć od siebie prawdę. Ale ten nagły wybuch energii ustąpił równie szybko, jak przyszedł. Łzy paliły mnie w policzki, mieszały się z brudem, zawieszały na ustach i skapywały na brodę. Liam ujął moją twarz w dłonie i zaczął je ścierać, choć czułam, że sam też płacze.

– Nie mogę... – szlochałam. – Nie mogę...

Dopiero teraz zrozumiałam, że Liam nie pozwolił mi ze sobą pójść nie dlatego, że się bał, iż nie znajdzie Jude'a, ale wręcz przeciwnie.

– Został sam! – krzyczałam. – Nikogo przy nim nie było...! Musiał się strasznie bać! Obiecałam mu, że nigdy go nie zostawię!

Przed oczami miałam twarz Jude'a i jego odstające uszy, które wyglądały, jak przeklejone z innego ciała. Jakie były ostatnie słowa, które do niego powiedziałam? Trzymaj się blisko? Nie zatrzymuj się? I co mi odpowiedział? Przypominałam sobie jedynie jego bladą twarz w słabym blasku trzymanego przez Cole'a świetlika.

*Podążaj za Liderem.* Podążał za mną, a ja doprowadziłam go do takiego końca. To ja byłam odpowiedzialna za jego śmierć.

– Lee! – zawołał Pulpet, a kiedy żadne z nas się nie poruszyło, krzyknął jeszcze raz, tym razem głośniejsze.

Nad naszymi głowami szybował samolot, wypuszczając z siebie czerwoną chmurę czegoś, co wyglądało jak gaz. Liam zasłonił nas rękami, ale wiatr przywiał ku nam jedynie tysiące kartek papieru.

Dzieci oraz agenci wyszli spod osłony mostu, żeby którąś złapać. Chwyciłam jedną unoszącą się w powietrzu tuż obok nas. Liam pochylił się nad moim ramieniem, a ja podniosłam kartkę wyżej, byśmy mogli razem przeczytać napisany na niej tekst.

Na środku u góry strony widniała pieczęć prezydencka, amerykańska flaga i symbol departamentu obrony.

„Po nieudanej próbie zamachu przeprowadzonej przez niestabilnego psychicznie nieletniego z Psi prezydent Gray został przewieziony do okręgowego szpitala, gdzie poddano go badaniom lekarskim. Podczas ataku miał na sobie kamizelkę kuloodporną, dzięki czemu jedynymi obrażeniami, jakich doznał, są stłuczenia brzucha oraz dwa złamane żebra. Po wyjściu ze szpitala prezydent wydał następujące oświadczenie:

»Dziś otrzymaliśmy potwierdzenie bardzo niepokojących doniesień wywiadu, które do tej pory traktowałem jak pogłoski, mając nadzieję, iż nie okażą się prawdą. Niestety odkryto, że Koalicja Federalna i jej zwolennicy są na usługach organizacji terrorystycznej znanej pod nazwą Liga Dzieci. Nasi przeciwnicy wspólnie stworzyli program szkolenia dzieci – które najpierw wykradli z ratujących im życie obozów rehabilitacyjnych – i przekształcają je w żołnierzy. Uczą je walczyć i zabijać z bestialstwem, co jest równie niehumanitarne, jak zdolności psioniczne. Nie widząc żadnego innego wyjścia, zarządziłem natychmiastowy atak powietrzny na siedzibę Ligi Dzieci w Los Angeles.

Były to bombardowania celowane, przeprowadzone tak, by zminimalizować szkody wśród cywilów. Nie wolno nam rozpaczać po tych odpychających osobnikach. Historia zna przypadki, w których nieustępliwa zaraza musiała być potraktowana ogniem. My również żyjemy w takich czasach. To jedyna droga, byśmy mogli odbudować nasz naród i uczynić go silniejszym»”.

– Zapomniał dodać: „Boże, pobłogosław Amerykę” – burknął Liam, zgniatając kartkę. Gdzieś w tyle rozległ się strzał. Obróciłam się na pięcie, zasłaniając Liama. Na drugim brzegu agencji otaczali coś albo kogoś, a ci, którzy mieli broń, mierzyli przed siebie.

– Nie wierzę – wymamrotał Liam.

Vida wrzasnęła z wściekłości i zanim ktokolwiek zdążył ją zatrzymać, rzuciła się ku zbiegowisku.

Co roztropniejsi agencji usunęli się jej z drogi i tylko Cole był na tyle głupi, by powstrzymać ją przed rozerwaniem Clancy’ego Graya na strzępy.

– Jakim cudem?! – wyła, kiedy przepychaliśmy się między dziećmi i agentami, by dostać się do przodu. – *Jak?!!*

Clancy wyglądał jak upiór – był pokryty brudem, a spuchnięte oczy i nos oblepiała mu zaschnięta krew. Ale nawet teraz, choć stał na czworakach, wyglądał zarożumiałe i wyniosłe.

Nagle zauważyłam, że obok znajdują się drzwi. Mieściły się dokładnie naprzeciwko tych, przez które wyszliśmy, i były ukryte w jednym z filarów mostu pod warstwą jaskrawego graffiti.

Clancy parsknął cichym beznamiętnym śmiechem.

– Przez odpływ w męskiej łazience. – Jego ciemne oczy odnalazły moje spojrzenie. – Kiedy w końcu wydostałem się ze schowka.

– Czy właśnie wtedy planowałeś uciec po tym, jak znalazłeś w biurze Albana to, czego potrzebowałeś? – zapytałam.

Clancy wzruszył ramionami, ignorując wymierzone w siebie lufy.

– Nie wiedziałas o tym przejściu, prawda?

– Boże – odezwał się jeden z agentów. – Czy to naprawdę syn prezydenta?

*Clancy żyje* – pomyślałam, przysuwając się bliżej do Liama – *a Jude nie*. Lee objął mnie ramieniem i przytulił. To nie miało sensu... To nie mogło być prawdziwe.

– Oto nasza przepustka – odezwał się nagle kolejny głos. – Wymienimy go za możliwość ucieczki! Nie ma się nad czym zastanawiać, Stewart! Mundurowi zalewają miasto, a my nie mamy ani środka transportu, ani możliwości skontaktowania się z Ranczem. To nasza jedyna szansa.

– I myślisz, że jak już podrzucimy go naszym wrogom, to reszta pójdzie jak z płatka? To Pomarańczowy! Znajdzie sposób, żeby się wywinąć. – Cole wpatrywał się w Clancy’ego, ignorując dochodzące z tłumu odgłosy przerażenia. – Może będzie lepiej, jeśli od razu go wykończymy i wyślemy im ciało. Jego ojciec dostałby jasną odpowiedź na swoje oświadczenie. Znajdziemy inny sposób, by wydostać się z miasta.

Kilku agentów wydało z siebie pomruki aprobaty.

– Nie wydostaniecie się z Los Angeles – powiedział Clancy. – Mój ojciec nie działa pochopnie. To nie w jego stylu. Szczegółowo to obmyślił i na pewno obstawił wszystkie drogi ucieczki. Nie kłamie: ta akcja była planowana od miesięcy, a może nawet lat. Kiedy w końcu zmęczył się czekaniem na pretekst do ataku, sam go sobie dostarczył.

To brzmiało zbyt absurdalnie, by mogło być prawdziwe.

– Sugerujesz, że twój ociec ukartował ten zamach? – zapytałam.

– Ja bym tak zrobił. Zakładam, że przeżył, mam rację?

Liam ścisnął mnie tak mocno, że ledwie mogłam oddychać. Znowu zaczęłam się trząść,

ale tym razem wypełniał mnie gniew. Vida i Pulpet patrzyli na mnie, jakby czekali, że podważę jego słowa. Nie wiem, co przerażało mnie bardziej: to, że Clancy miał rację, czy to, że jak zwykle spadł na cztery łapy.

– Uwierzyliście mi, kiedy mówiłem, że zaczniemy od nowa, prawda? – Cole zwrócił się do siedzących pod mostem dzieci i agentów, którzy wyglądali na zdezorientowanych i przerażonych. – Nadszedł ten moment. Pójdziemy własną drogą. Ale nie możemy go ze sobą zabrać.

– Pomyśl o informacjach, które moglibyśmy z niego wydobyć! – krzyknęła jedna z agentek, wyrzucając w górę ręce. – Możemy go obezwładnić...!

– Tylko spróbujcie – warknął Clancy. – Zobaczymy, jak to się dla was skończy.

– Masz rację – rzucił do niego Cole, przewracając oczami. – Powinniśmy po prostu strzelić ci w łeb.

– Proszę bardzo. – Clancy uśmiechnął się, odsłaniając oblepione krwią zęby. – Skończ to. Ja zakończyłem swoją misję. A wy wszyscy... – Odwrócił się do otaczających go dzieci i skupił wzrok na Nico. Spojrzenie było tak intensywne, że chłopiec aż zadrżał. – Możecie podziękować mi za to, że wciąż macie szansę walczyć. Ja nas ocaliłem. *Ja*.

– Co ty bredzisz, do jasnej cholery? – Cole tracił cierpliwość. Spojrzał na mnie, ale nie mogłam oderwać oczu od Clancy'ego.

Mimo że żał po stracie Jude'a ciągle nie pozwalał mi jasno myśleć, zaczynałam rozumieć, o czym mówi Clancy.

Tego ranka doszczętnie zniszczono całe miasto, grzebiąc w gruzach niezliczone ofiary. Tak wiele ludzi już nigdy miało nie wrócić do domów. Tak wiele matek, ojców, córek, synów, żon i mężów miało z nadzieją oczekiwać na swoich bliskich cały nadchodzący dzień i całą noc. Dym wsiąkał w beton pokrywający każdy centymetr tego zrujnowanego miasta, jeszcze bardziej je kalecząc. Podejrzewałam, że za dziesięć, a może nawet za dwadzieścia lat to, co się stało, wciąż będzie zbyt straszne, by o tym rozmawiać. Chociaż po tym poranku nastąpią tysiące innych, słonecznych, ten dzień na zawsze pozostanie w ludzkiej pamięci. Kolejne słowa Clancy'ego wszystko jednak zmieniły.

– Lek na OMNI – wycedził – który odkryła moja matka, a który Alban przed wami ukrywał, czekając na właściwy moment, by wymienić go z moim ojcem z korzyścią dla siebie. – Wytarł cieknącą mu z nosa krew, rechocząc kpiąco. – Lek, który pozbawiłby nas umiejętności i tym samym uczynił *bezbronnymi*. Spaliłem go, a mój niczego nieświadomy ojciec pomógł mi go pogrzebać. W pamięci mojej matki nie ma po nim śladu i nikt już nigdy nie zobaczy wyników jej badań. Nikt nie odbierze nam tego, co należy do nas!

*Lekarstwo*. To pojedyncze słowo głośno dzwoniło mi w uszach. Mój umysł nie potrafił go pojąć ani rozpoznać. Od tylu lat tak uporczywie przekonywałam samą siebie, że to niemożliwe, i na siłę porzucałam nadzieję, że poza elektrycznym ogrodzeniem obozu istnieje inny świat, że wymazałam ten wyraz ze swojego słownika.

Odwróciłam się, odruchowo szukając Jude'a, by zobaczyć jego reakcję, ale nie było go obok. Zostawiłam go. Pozwoliłam mu osunąć się w ciemność. Przed oczami znowu stanął mi obraz Liama i Pulpeta wyłaniających się z tunelu i skradł mi oddech.

Jedno z młodszych dzieci zaczęło głośno płakać i krzyczeć wystraszonym, zdezorientowanym głosem:

– Co takiego?! O czym on...?! O czym on mówi?!

*O Boże*. Drgnęłam.

Myliłam się. Tak bardzo się myliłam. Pierwsza dama wcale nie szukała przyczyny choroby. Poświęciła własne życie, by znaleźć sposób, żeby położyć jej kres.

Ruszyłam w kierunku Clancy'ego, zostawiając pozostałych w tyle. Ciężar słów młodego Graya przygniatał Pulpeta tak bardzo, że cały dygotał i ledwie trzymał się na nogach. Złapałam spojrzenie Liama, ale było w nim tyle surowego, rozdzierającego bólu i tęsknoty, że musiałam odwrócić wzrok. Wiedziałam, o czym myśli. Oczywiście wyobraźni też zobaczyłam, jak stoimy razem na plaży pod czystym błękitnym niebem w otoczeniu swoich najbliższych.

*Lekarstwo.*

Alban miał rację, twierdząc, że Lillian Gray nie była zaślepiona przez miłość do syna. Wiedziała, że Clancy nigdy dobrowolnie nie zrzekłby się swoich zdolności i że nigdy go nie odnajdzie. To on musiał odszukać ją. Nic dziwnego, że skusiła go możliwość wyśledzenia matki po tak długim czasie w zamknięciu i odosobnieniu. Clancy musiał zostać poddany leczeniu jako pierwszy. W przeciwnym razie, gdyby usłyszał choćby najcichszy szept o leku, zniknąłby na zawsze. Zastanawiałam się, czy to dlatego Alban tak długo trzymał wszystko w sekrecie – czy było to częścią umowy. Clancy musiał być pierwszy, dopiero później lek miał zostać zaprezentowany światu. Naród ogłosiłby Albana swoim bohaterem.

Kucnęłam obok Clancy'ego i spojrzałam mu w twarz. Jego wzrok podążył za ręką, którą wsunęłam do kieszeni kurtki.

Za trującymi słowami Clancy'ego tkwiła drzazga prawdy i bólu, które sięgały tak głęboko, że całe jego ciało zdawało się nimi pulsować. Jego matka, jego *własna matka* zastawiła na niego pułapkę. I co zrobił w odwecie? Spalił jej laboratorium, rzucił się na nią, zniszczył jej pamięć i wykorzystał sytuację w Bazie, żeby skończyć to, co zaczął w Georgii.

*To stąd wiedział, że matka wysłała wyniki badań Albanowi – pomyślałam, powoli rozprostowując papiery na kolanie. Skupiałam teraz na sobie całą jego uwagę. – Pewnie zobaczył to w jej wspomnieniach.*

Clancy delektował się myślą, że ojciec na wieki pogrzebał pod gruzami jedyną rzecz, która była w stanie postawić jego kraj na nogi i ocalić jego dziedzictwo. Największą ironią losu było jednak to, że gdyby Clancy nie węszył w Bazie za wynikami badań swojej matki i nie próbował ich zniszczyć, na pewno nie zdołalibyśmy odnaleźć ich na czas. Uciekając, zostawilibyśmy je za sobą, jak wszystko inne.

Pojawił się w Bazie, żeby zamknąć za sobą drzwi, ale zamiast tego szeroko je przede mną otworzył.

*Istnieje lekarstwo.* Niedorzeczność tej myśli sprawiła, że czułam, jak zaczynam wirować niczym wskazówka kompasu Jude'a, szukając właściwego kierunku.

Jude zasłużył, by tego doczekać. Powstrzymałam napływające mi do oczu łzy, pozwalając, by na moment gniew stłumił żal i pchnął mnie do działania. Jude zasłużył, by przeżyć tę chwilę. Powinien być tu ze mną i zobaczyć, jak nagle we wszystko zostaje tchnięta ożywcza nadzieja.

Wyciągnęłam pogniecione, osmolone papiery prosto przed Clancy'ego, unosząc je na tyle wysoko, żeby mogły je również zobaczyć otaczający nas agenci i dzieci. Nie wiem, co dawało mi więcej siły i satysfakcji – przerażenie, które pojawiło się na twarzy syna prezydenta, czy świadomość, że oto znowu trzymam własną przyszłość w swoich rękach.

– O te badania ci chodzi?

## Podziękowania

Na wstępie pragnę z całego serca podziękować fantastycznym ludziom z wydawnictwa Disney-Hyperion za to, że wkładają w moje książki ogrom ciężkiej pracy i podchodzą do nich z takim entuzjazmem. Jestem szczególnie wdzięczna moim redaktorkom: Emily Meehan, Laurze Schreiber, Stephanie Lurie, oraz wybitnym specjalistom od PR: Lizzy Mason, Dinie Sherman, LaToi Maitland, Andrew Sansone'owi, Lloydowi Ellmanowi i Marci Senders.

Powstanie tej książki nie byłoby możliwe bez mojej nieustraszonej agentki Merrilee Heifetz. Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że nie mogłam trafić w lepsze ręce i że niezmiennie się cieszę, iż mam Cię w swoim narożniku.

Wyrazy wdzięczności składam również Annie Jarzab i Erin Bowman, które czytały pierwsze przerażająco chaotyczne wersje tej historii. Obie udzieliły mi ubogacających, konstruktywnych wskazówek, które sprawiły, że rezultat przekroczył moje najśmielsze oczekiwania. Dziękuję również Sarah J. Maas – nie tylko za wczytywanie się w tekst i krytykę, ale również za całe ciepło i wsparcie, które słała w moim kierunku w ciągu tego niezmiennie wymagającego roku.

Serdecznie dziękuję Tyler Infinger i Catherine Wallace – nie potrafię wyrazić słowami, jak bardzo jestem wdzięczna za przyjaźń i troskę, którą niezmiennie okazują mi od wielu lat.

Miałam ogromne szczęście, że trafiłam na takich, a nie innych współpracowników i przyjaciół w wydawnictwie Random House Children's Books. Szczególnie chciałabym wyróżnić Adrienne Waintraub, Tracy Lerner oraz Lisę Nadel. Z całego serca Was podziwiam.

Jestem niezmiennie wdzięczna członkom mojej rodziny za odwagę, wyrozumiałość i siłę, jaką się wykazali, kiedy pisałam tę książkę. Za każdym razem, kiedy myślałam, że nie mogą być wspanialszy, udowadniali mi, że się mylę.

[1] Parafraza cytatu: „Kto walczy z potworami, ten niechaj baczy, by sam przytem nie stał się potworem”. Fryderyk Nietzsche, *Poza dobrem i złem*, przeł. Stanisław Wyrzykowski, Warszawa–Kraków 1912, s. 108 (przyp. tłum.).